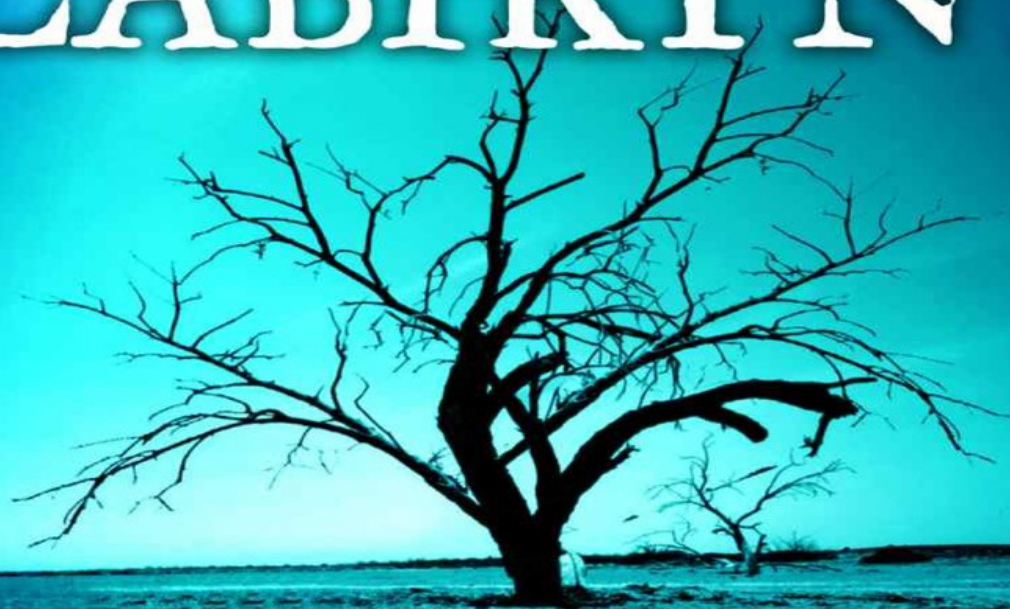


DOUGLAS PRESTON
LINCOLN CHILD
BŁĘKITNY
LABIRYNT



Preston i Child znów posyłają agenta
Pendergasta na spotkanie ze śmiercią.
Znakomita lektura!
Suspense Magazine

Douglas Preston
Lincoln Child

Błękitny labirynt

Przełożył
Robert P. Lipski



Tytuł oryginału: *Blue Labyrinth*

Copyright © 2014 by Splendide Mendax, Inc. and Lincoln Child
This edition published by arrangement with Grand Central Publishing,
New York, New York, USA. All rights reserved.

Copyright for the Polish Edition © 2015 Burda Publishing Polska
Sp. z o.o. Spółka Komandytowa
02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 41-42
faks 22 360 38 49

Sprzedaż wysyłkowa:
Dział Obsługi Klienta, tel. 22 360 37 77

Redakcja: Joanna Ziolo-Werstler
Korekta: Magdalena Szroeder-Stępowska
Projekt okładki: Wioletta Wiśniewska
Zdjęcie na okładce: David Aleksandrowicz/Shutterstock
Redakcja techniczna: Mariusz Teler
Redaktor prowadząca: Agnieszka Koszałka

ISBN: 978-83-7778-875-2

Skład i łamanie: Beata Rukat/Katka

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)

[75](#)

[76](#)

[77](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

*Lincoln Child dedykuje tę książkę swojej córce
Veronice*

*Douglas Preston dedykuje tę książkę
Elizabeth Berry i Andrew Sebastianowi*

I

Okazała rezydencja w stylu Beaux-Arts przy Riverside Drive, między Sto Trzydziestą Siódmą a Sto Trzydziestą Ósmą Ulicą, wyglądała na niezamieszkaną. W ten burzowy czerwcowy wieczór nikt nie przechadzał się po niedużym balkoniku, z którego rozciągał się widok na rzekę Hudson. Nie było żółtawej poświaty sączącej się z bogato zdobionych wykuszowych okien. Jedyny blask napływał od frontowego wejścia, rozjaśniając podjazd przy głównej bramie.

Pozory mogą jednak mylić i niekiedy ktoś umie o to zadbać. Zwłaszcza że rezydencja przy Riverside 891 należała do agenta specjalnego FBI Aloysiusa Pendergasta, który nade wszystko ceni sobie prywatność.

Siedział w skórzanym fotelu klubowym w wytwornej bibliotece posiadłości. Choć lato dopiero się zaczęło, noc była chłodna i pochmurna, dlatego w kominku płonął niewielki ogień. Pendergast wertował *Man'yōshū*, tomik starej, szanowanej poezji japońskiej z połowy ósmego wieku. Na stoliku obok stał nieduży tetsubin – żeliwny imbryczek – z porcelanową filiżanką na wpół wypełnioną zieloną herbatą. Nic nie rozpraszało skupienia agenta. Od czasu do czasu słychać było tylko trzask osiadających na palenisku węgla i odległy grzmot dobiegający z zamkniętych okiennic.

W znajdującym się nieopodal korytarzu rozbrzmiały ciche kroki i w drzwiach biblioteki pojawiła się Constance Greene. Miała na sobie prostą wieczorową suknię. Fiołkowe oczy i obcięte krótko na pazia ciemne włosy podkreślały błądź jej skóry. W jednym ręku trzymała plik listów.

– Poczta – oznajmiła.

Pendergast uniósł głowę i odłożył tomik.

Constance usiadła obok agenta; zauważyła, że odkąd wrócił z – jak to określał – „przygody w Kolorado”, wyglądał wreszcie jak dawniej. Wciąż jednak jej niepokój budził jego stan mentalny po upiornych wydarzeniach w ubiegłym roku.

Zaczęła wertować niewielki plik listów i odkładać na bok te, które nie zainteresowałyby Pendergasta. Pieczę nad wszelkimi opłatami i częścią jego nader wysokich dochodów sprawowała stara, szacowna i dyskretna firma prawnicza z Nowego Orleanu, którą rodzina zatrudniała od lat. Inwestycjami, funduszami powierniczymi oraz nieruchomościami zajmowała się równie zaufana firma bankowa z Nowego Jorku. Całą korespondencję dostarczano na adres skrytki, którą Proctor, szofer, ochroniarz i człowiek od wszystkiego, odbierał regularnie z urzędu pocztowego. Obecnie Proctor szykował się, aby odwiedzić krewnych w Alzacji, więc tę część jego obowiązków przejęła chwilowo Constance.

– Przyszedł list od Corrie Swanson.

– Otwórz go, proszę.

– Załączyła kserokopię listu z college’u Johna Jaya. Za swoją pracę otrzymała Nagrodę Rosewella.

– Wiem. Byłem na ceremonii jej wręczenia.

– Corrie na pewno poczuła się zaszczycona.

– Rzadko ceremonia przyznania takich nagród oferuje coś więcej poza pompatycznymi przemówieniami i nudnymi, niekończącymi się wystąpieniami. – Pendergast upił łyk herbaty. – Ale tym razem było inaczej.

Constance przejrzała resztę korespondencji.

– Jest także list od Vincenta D’Agosty i Laury Hayward.

Pendergast dał znak głową, aby wyjęła go z koperty.

– To podziękowania za prezent ślubny i ponowne za uroczyste przyjęcie – wyjaśniła.

Pendergast spojrział na Constance, gdy odłożyła list na bok. Miesiąc temu, w przeddzień ślubu D’Agosty i Hayward, agent zaprosił nowożeńców na prywatną kolację, na której podał potrawy przyrządzone osobiście przez niego wraz z rzadkimi winami ze swojej piwniczki. Właśnie ten gest, bardziej niż cokolwiek innego, przekonał Constance, że Pendergast doszedł do siebie po niedawnej traumie.

Przeczytała jeszcze kilka innych listów, po czym odłożyła na bok te ciekawe, a resztę wrzuciła do kominka.

– Jak tam postępy w projekcie, Constance? – zapytał Pendergast, nalewając sobie kolejną filiżankę herbaty.

– Doskonale. Wczoraj otrzymałam przesyłkę z Francji, z Bureau Ancestre

du Dijon, a teraz próbuję połączyć to wszystko z informacjami, które pozyskałam z Venice i Luizjany. Kiedy będziesz miał wolną chwilę, chciałabym zadać ci kilka pytań na temat Augustusa Robespierre'a St. Cyr Pendergasta.

– Większość z tego, co wiem, to przekazywane z pokolenia na pokolenie historie, mity, legendy, a niekiedy mrozące krew w żyłach opowieści grozy i będę rad, mogąc podzielić się z tobą większością z nich.

– Większością? Miałam nadzieję, że podzielisz się ze mną wszystkimi opowieściami.

– Obawiam się, że rodzinna szafa Pendergastów skrywa trupy, tak dosłownie, jak i w przenośni, których nie mogę wyjawić nawet tobie.

Constance westchnęła i wstała. Agent znów sięgnął po tomik poezji, a ona wyszła z biblioteki. Minęła korytarz, w którym po obu stronach wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy muzealnych gablot pełnych osobliwości, i dotarła do tonącego w półmroku pomieszczenia wyłożonego boazerią ze starego, pociemniałego już dębu. Głównym meblem był tu drewniany stół refektarzowy, niemal tak długi jak samo pomieszczenie. Na jednym końcu stołu leżały w starannych stosikach czasopisma, stare listy, stronicze ze spisów ludności, pożółkłe zdjęcia i ryciny, transkrypcje sądowe, pamiętniki, przedruki gazetowych mikrofiszek oraz inne dokumenty. Obok nich stał laptop, którego ekran rozpraszał swoim blaskiem panujący w pomieszczeniu półmrok. Parę miesięcy temu Constance podjęła się sporządzenia drzewa genealogicznego rodziny Pendergastów. Chciała zaspokoić własną ciekawość, jak i pomóc Pendergastowi dojść do siebie. To było bardzo złożone, wkurzające, a zarazem piekielnie fascynujące przedsięwzięcie.

W odległym końcu pomieszczenia, za łukowatymi drzwiami, zaczynał się hol prowadzący do głównego wejścia rezydencji. Gdy tylko Constance usiadła przy stole, rozległo się pukanie.

Constance znieruchomiała i zmarszczyła brwi. Do domu przy Riverside Drive 891 rzadko zaglądali goście – i nigdy nie zjawiali się bez zapowiedzi.

Puk-puk. Od strony drzwi wejściowych dobiegł kolejny odgłos, któremu towarzyszył stłumiony grzmot.

Przyglądając suknię, Constance przeszła przez pokój do holu. Ciężkie frontowe odrzwia były masywne i bez judasza, więc zawahała się przez chwilę. Gdy pukanie rozległo się po raz trzeci, otworzyła górny zamek,

potem dolny i powoli uchyliła drzwi.

W świetle głównej bramy dostrzegła postać młodego mężczyzny. Jasne włosy miał mokre i pozlepiane w strąki, które przylgnęły mu do głowy. Wilgotna od deszczu twarz zdradzała charakterystyczne nordyckie rysy, o wysokim czole i wąskich wargach. Miał na sobie przemoczony lniany garnitur, przylepiony do ciała.

Był skrępowany grubymi sznurami.

Constance jęknęła i zaczęła wyciągać ręce w jego stronę. Ale wychodzące z orbit oczy nie zarejestrowały tego gestu. Patrzyły tępo przed siebie, nie mrugając.

Jeszcze przez chwilę postać stała, kołysząc się lekko, rozjaśniona światłem błyskawic, ale potem zaczęła się przewracać jak ścięte drzewo, najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż runęła twarzą do dołu u progu rezydencji.

Constance z krzykiem uskoczyła do tyłu. Zaraz potem nadbiegł Pendergast, a za nim Proctor. Pendergast pochwycił Constance i odciągnął ją na bok, po czym pospiesznie ukląkł nad młodym mężczyzną. Schwyciwszy leżącego za ramię, odwrócił go, odgarnął mu włosy z oczu i na próżno poszukiwał pulsu, dotykając chłodnej już szyi młodzieńca.

– Nie żyje – powiedział cichym, nienaturalnie opanowanym głosem.

– Boże – głos Constance zaczął się łamać. – To twój syn Tristram.

– Nie – odrzekł Pendergast. – To Alban. Jego brat bliźniak.

Jeszcze przez chwilę klęczał obok ciała. A potem zerwał się na nogi i miękko jak kot wybiegł na zewnątrz, w szalejącą burzę.

2

Pendergast pobiegł do Riverside Drive i przystanął na rogu, by zlustrować szeroką ulicę w obu kierunkach, północnym i południowym. Lało jak z cebra, ruch uliczny osłabł, nie było widać żadnych przechodniów. Jego wzrok padł na najbliższy pojazd, na znajdujący się trzy przecznice na południe od niego jeden z najnowszych modeli lincolna town cara, czarny, taki, których tysiące widuje się każdego dnia na ulicach Manhattanu. Ale lampka przy tablicy rejestracyjnej była wygaszona i nie dało się odczytać numerów samochodu.

Pendergast pobiegł za lincolnem.

Pojazd nie przyspieszył, lecz ciągle sunął ślamazarnym tempem, a ponieważ trafił na zieloną falę, stopniowo, lecz nieubłaganie, oddalał się od agenta. Światła na kolejnym skrzyżowaniu zmieniły się na żółte, potem na czerwone. Wóz nie przyspieszył ani nie próbował zwolnić.

Pendergast wyjął komórkę i w biegu wstukał numer.

– Proctor. Przyrowadź samochód. Kieruję się Riverside, na południe.

Lincoln town car prawie zniknął, w strugach deszczu widać było tylko migające tylne światła, ale gdy pojazd pokonał zakręt przy Sto Dwudziestej Szóstej Ulicy, nawet one przestały być widoczne.

Pendergast biegł dalej, poły czarnej marynarki falowały za nim, zacinający deszcz kąśliwie wpadał mu do oczu. Kilka przecznic dalej znów spostrzegł lincolna, który zatrzymał się na kolejnych światłach, za dwoma innymi pojazdami. Agent ponownie wyjął komórkę i zadzwonił.

– Posterunek policji numer dwadzieścia sześć – usłyszał. – Sierżant Powell przy telefonie.

– Mówi agent specjalny FBI Pendergast. Ścigam czarnego lincolna town cara na nowojorskich tablicach jadącego na południe wzdłuż Riverside, obecnie na wysokości Sto Dwudziestej Czwartej Ulicy. Kierowca jest podejrzany o zabójstwo. Potrzebuję pomocy przy zatrzymaniu tego pojazdu.

– Przyjąłem – powiedział sierżant. A po chwili: – Dwie przecznice dalej

mamy radiowóz. Proszę nas informować o swoim położeniu i o tym, gdzie znajduje się ścigane auto.

– Przydałoby się też wsparcie z powietrza – dodał, nie przerywając biegu, Pendergast.

– Ale jeżeli kierowca jest jedynie podejrzanym...

– To priorytetowa sprawa i priorytetowy cel FBI – rzucił Pendergast. – Powtarzam: priorytetowy cel.

Krótką pauza.

– Poderwiemy maszynę w powietrze.

Gdy Pendergast chował komórkę, lincoln nagle wyminął stojące przed światłami auta, wjechał na krawężnik i sunął dalej po chodniku, rozjeżdżając parę klombów w Riverside Park i rozchlapując błoto z wszechobecnych kałuż, po czym skręcił w Henry Hudson Parkway.

Agent znów zadzwonił na policję, by poinformować o kierunku, w jakim zmierza ścigany pojazd, a następnie skontaktował się z Proctorem i wbiegł do parku, przeskakując przez niski płot. Sprintem pokonał kilka tulipanowych klombów, ani na chwilę nie spuszczać z oka tylnych świateł wozu, który właśnie wjechał z piskiem opon do parku.

Pendergast przeskoczył ponad niskim kamiennym murkiem po drugiej stronie wjazdu, a potem, usiłując zagrozić lincolnowi drogę, na wpół pobiegł, na wpół zjechał w dół z nasypu, rozrzucając na wszystkie strony śmieci i odłamki potłuczonego szkła. Upadł, przetoczył się parę razy i poderwał na nogi, ciężko dysząc, przemoknięty do suchej nitki; biała koszula przywierała do torsu agenta. Patrzył, jak samochód wykręca i mknie jak strzała w jego stronę. Sięgnął po les baera, ale jego dłoń napotkała jedynie pustą kaburę. Rozejrzał się szybko po ciemnym nasypie zjazdu, lecz zaraz, gdy padł na niego snop światła reflektorów, musiał odtoczyć się w bok. Kiedy wóz go minął, Pendergast znowu się podniósł i podążył za nim wzrokiem; samochód wyjechał na ulicę i płynnie włączył się do ruchu.

Po chwili pojawił się elegancki rolls-royce i gwałtownie zahamował przy krawężniku. Pendergast otworzył tylne drzwi i wskoczył do środka.

– Jedź za lincolnem – rzucił do Proctora, zapinając pasy.

Rolls gładko przyspieszył. Agent usłyszał za sobą słaby jęk syren; policja była za daleko i z pewnością utknie w korku. Z jednego z bocznych schowków wyjął policyjne radio. Proctor zwiększył prędkość, ponieważ

lincoln town car zmieniał pasy i wyprzedzał inne samochody, mknąc co najmniej sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, nawet gdy znaleźli się na terenie, gdzie prowadzono roboty drogowe i na poboczu, po obu stronach szosy, ustawiono betonowe zapory.

Z policyjnego radia płynęło wiele różnych głosów, ale to oni prowadzili pościg. Helikoptera nie było widać.

Nagle przed nimi pojawiły się oślepiające błyski, a po chwili rozległ się huk.

– Oddano strzały! – oznajmił na otwartym kanale Pendergast.

Natychmiast zrozumiał, co to oznacza. Samochody zaczęły jak szalone skręcać w prawo i w lewo, a piskowi opon towarzyszyły błyski kolejnych wystrzałów. Dało się słyszeć głucho łup, łup, łup, gdy rozpędzone pojazdy zaczęły wpadać na siebie, powodując karambol. W powietrzu rozszedł się zgrzyt i jęk zgniatanego metalu. Proctor zahamował, wprowadzając rolls-royce'a w kontrolowany ślizg i próbując wyminąć miejsce, gdzie doszło do ogromnej kolizji. Rolls uderzył w betonową zaporę, a gdy odbiło go z powrotem na pas ruchu, najechał na niego kolejny rozpędzony pojazd. Rozległ się ogłuszający huk miażdżonego metalu. Siedzący z tyłu Pendergast poleciał do przodu, ale zatrzymały go pasy bezpieczeństwa, po czym impet uderzenia wcisnął go z powrotem w kanapę. Oszołomiony agent usłyszał syk pary, wrzaski, krzyki i pisk opon, którym towarzyszył huk następnych wpadających na siebie aut mieszający się z przybierającym na sile rykiem syren i – nareszcie – odgłosami nadlatującego śmigłowca.

Otrzeponyjąc się z odłamków szkła, Pendergast powoli doszedł do siebie i wypiął się z pasów bezpieczeństwa. Następnie wychylił się do przodu, żeby sprawdzić, co z Proctorem.

Szofer był nieprzytomny i miał zakrwawioną głowę. Pendergast sięgnął po radio, by wezwać pomoc, ale drzwi limuzyny otworzyły się i do środka zajrzeli ratownicy medyczni, żeby wyciągnąć go z samochodu.

– Zostawcie mnie – odrzekł. – Zajmijcie się nim.

Pendergast o własnych siłach wysiadł z rolls-royce'a i stanął w strugach deszczu, wciąż otrzeponyjąc się z odłamków szkła. Spojrzał przed siebie, na morze porozbijanych samochodów i migających świateł, wsłuchując się w nawoływania ratowników medycznych, policjantów i łoskot łopat wirnika bezużytecznego, krążącego w górze helikoptera.

Po lincolnie town carze już dawno nie było śladu.

3

Porucznik Peter Angler, mogący poszczycić się magisterium z filologii klasycznej na Uniwersytecie Browna, znany jako były aktywista zielonych, nie należał do typowych oficerów nowojorskiej policji. Miał jednak cechy łączące go z kolegami po fachu: lubił szybko i gładko rozwiązywać przydzielone mu sprawy i pakować przestępców za kratki. Ta sama niezłomność, która nakłoniła go do tego, żeby na studiach przetłumaczyć *Wojnę peloponeską* Tukidydesa, a kilka lat później własną pierśią bronić starych sekwoi przed bestialskim ostrzem pił łańcuchowych sfrustrowanych drwali, pozwoliła mu awansować do stopnia porucznika wydziału śledczego w wieku zaledwie trzydziestu sześciu lat. Organizował swoje śledztwa jak kampanie wojskowe i pilnował, aby podlegający mu detektywi wypełniali obowiązki skrupulatnie i z maksymalną precyzją. Z wyników uzyskanych dzięki tej strategii Angler był bardzo dumny.

Natomiast nowa sprawa budziła jego niepokój.

Co prawda była całkiem świeża, sprzed niespełna dwudziestu czterech godzin. Jego zespołu nie można było oskarżyć o brak postępów. Wszystko załatwiono regulaminowo. Pierwsi funkcjonariusze obecni na miejscu przestępstwa zabezpieczyli je, spisali zeznania i zatrzymali świadków do czasu przybycia faktycznych śledczych. Ci z kolei przeprowadzili gruntowne przeszukanie miejsca przestępstwa, zbierając materiały dowodowe. Współpracowali ściśle z technikami kryminalistyki sądowej, ekipą od daktyloskopii, ekspertami sądowymi, fotografami i koronerem.

To, że Angler był niezadowolony, wynikało z nietypowej natury zbrodni i, jak na ironię, z zachowania ojca ofiary, agenta specjalnego FBI. Zapoznał się już z transkrypcją oświadczenia mężczyzny, które zwracało uwagę zwięzłością i brakiem istotnych informacji. Agent nie utrudniał prac zespołu śledczego, lecz z jakiegoś powodu nie chciał wpuścić ekipy techników poza granice miejsca zbrodni, nie pozwolił nawet skorzystać ekspertom sądowym

z toalety. FBI nie było oficjalnie zainteresowane sprawą, ale Angler był gotów udzielić agentowi wglądu do akt, jeśli tamten sobie tego zażyczył. Agent jednak jak dotąd o to nie poprosił. Gdyby Angler nie wiedział, jak było naprawdę, mógłby podejrzewać, że Pendergastowi wcale nie zależy na schwytaniu zabójcy syna.

I właśnie dlatego postanowił go przesłuchać dokładnie – spojrzał na zegarek – za minutę.

Dokładnie minutę później agenta wprowadził do gabinetu jego adiutant, osobisty asystent, sierżant Loomis Slade, który często jako pierwszy miał okazję wyrazić opinię o pomysłach swojego przełożonego. Angler otaksował gościa wzrokiem: wysoki, szczupły, włosy tak jasne, że niemal białe, jasnoniebieskie oczy. Ascetycznego wyglądu dopełniał czarny garnitur i ciemny krawat. Ten człowiek nie wyglądał jak typowy agent FBI. Ale zważywszy jego miejsca zamieszkania – apartament w Dakocie i prawdziwą rezydencję przy Riverside Drive, gdzie podrzuciono ciało – Angler uznał, że to nie powinno go dziwić. Wskazał agentowi krzesło, po czym sam zasiadł za biurkiem. Sierżant Slade zajął miejsce w kącie, za Pendergastem.

– Dziękuję, że pan przyszedł, agencie Pendergast – powiedział Angler.

Mężczyzna z czarnym garniturze lekko skinął głową.

– Przede wszystkim proszę przyjąć moje kondolencje.

Mężczyzna nie odpowiedział. Nie wyglądał na pogrążonego w żałobie. W ogóle nie zdradzał żadnych emocji. Jego oblicze pozostawało nieodgadnione.

Gabinet Anglera nie przypominał typowego policyjnego biura. Owszem było w nim sporo teczek z aktami i raportów. Na ścianach jednak, zamiast oprawionych w ramki zdjęć i dyplomów, wisiało kilkanaście bardzo starych map. Angler był zapalonym kolekcjonerem zabytkowej kartografii. Zazwyczaj ci, którzy tu trafiali, zwracali uwagę na stronicę z francuskiego atlasu LeClerka z 1631 roku albo na planszę 58 z atlasu *Britannia* Ogilby'ego, ukazującą drogę z Bristolu do Exeter, lub na – stanowiący przedmiot jego chluby i radości – poźółkły, delikatny fragment Tablicy Peutingerera skopiowany dla Abrahama Orteliusa. Pendergast nawet nie rzucił okiem na tę kolekcję.

– Chciałbym powrócić do pańskiego pierwotnego oświadczenia. I uprzedzam, że będę zmuszony zadać panu kilka niewygodnych pytań.

Z góry przepraszam. Zważywszy na pańskie doświadczenie zawodowe, jestem pewien, że pan to zrozumie.

– Oczywiście – odparł melodyjnym akcentem z Południa agent, ale w jego głosie pobrzmiwało coś twardego, metalicznego.

– Ta zbrodnia nie daje mi spokoju i mocno mnie zastanawia. Zgodnie z pańskim oświadczeniem i tym, co zeznała pańska... – Angler zerknął na raport leżący na biurku – pańska podopieczna panna Greene, mniej więcej dwadzieścia po dziewiątej wczoraj wieczorem rozległo się pukanie do frontowych drzwi rezydencji. Kiedy panna Greene otworzyła, ujrzała pańskiego syna skrępowanego grubymi sznurami, pozostawionego na progu domu. Gdy upewnił się pan, że syn nie żyje, ruszył pan w pościg za czarnym lincolnem town carem wzdłuż Riverside Drive, na południe, i zawiadomił pan policję. Czy to się zgadza?

Agent Pendergast pokiwał głową.

– Co pozwoliło panu przypuszczać – przynajmniej w pierwszej chwili – że morderca znajduje się właśnie w tym samochodzie?

– Był to wówczas jedyny poruszający się pojazd w zasięgu wzroku. I wokół nie było żadnych przechodniów.

– Nie przyszło panu na myśl, że sprawca mógł ukryć się gdzieś w pobliżu rezydencji i zbiec stamtąd inną drogą?

– Pojazd pokonał kilka przecznic, a potem przestał zatrzymywać się na światłach, wtargnął na chodnik, przejechał po klombie i wykręcił w niedozwolonym miejscu. Innymi słowy można było na tej podstawie domniemywać, że kierowca stara się uniknąć pogoni.

Ironiczny, oschły ton tej wypowiedzi rozsierdził Anglera.

Pendergast mówił dalej:

– Czy mogę zapytać, dlaczego policyjny śmigłowiec pojawił się tak późno?

Angler zdenerwował się jeszcze bardziej.

– Przyleciał pięć minut od zgłoszenia. To niezły czas.

– Nie dość szybko.

Próbując przejąć kontrolę nad przebiegiem rozmowy, Angler nieco dobitniej, niż zamierzał, powiedział:

– Wróćmy do zbrodni. Pomimo starannego przeczesania całej okolicy moja ekipa śledcza nie napotkała innych świadków poza tymi na West Side Highway, którzy widzieli lincolna town cara. W organizmie pańskiego syna

nie natrafiono na ślady alkoholu czy narkotyków, nie stwierdzono też oznak przemocy. Zmarł wskutek złamania karku, mniej więcej pięć godzin przed tym, gdy go pan znalazł, a przynajmniej takie są wyniki wstępnych oględzin. Dokładny czas zgonu powinna określić autopsja. Zgodnie z tym, co zeznała panna Greene, podejście do drzwi i otwarcie ich zajęło jej około piętnastu sekund. Mówimy więc o zabójcy lub zabójcach, którzy odebrali życie pańskiemu synowi, skrupowali go – niekoniecznie w tej kolejności – i zesztyniałe wskutek stężenia pośmiertnego ciało pozostawili przy frontowych drzwiach, a następnie nacisnęli dzwonek, wrócili do samochodu i zdołali oddalić się na odległość kilku przecznic, zanim ruszył pan za nimi w pościg. Jak to możliwe, że ten człowiek lub ci ludzie działali tak szybko i sprawnie?

– Zbrodnia została zaplanowana i przeprowadzona z nienaganną precyzją.

– Cóż, być może, albo był pan w szoku, co, zważywszy na okoliczności, wydaje się całkowicie zrozumiałe, i zareagował pan wolniej, niż to wynika z pańskiego zeznania?

– Nie.

Angler zamyślił się nad tą oschłą, krótką odpowiedzią. Spojrzał na sierżanta Slade'a, który jak zwykle siedział w bezruchu i milczeniu jak Budda, po czym znów przeniósł wzrok na Pendergasta.

– No i nie zapominajmy o dramatycznej naturze zbrodni. Ciało skrupowane sznurami, porzucone pod drzwi domu zdaje się wskazywać na zabójstwo w stylu miejskiego gangu. W tej sytuacji zmuszony jestem zadać panu krępujące pytanie – za co raz jeszcze przepraszam. Czy pański syn był w jakiś sposób związany z półświatkiem?

Agent Pendergast popatrzył Anglerowi w oczy, ale jego spojrzenie, podobnie jak wyraz twarzy, było nieodgadnione.

– Nie mam pojęcia, w co mógł być zamieszany mój syn. Jak już wspomniałem w oświadczeniu, mój syn i ja nie utrzymywaliśmy kontaktów.

Angler przewrócił kolejną stronę w raporcie.

– Ekipa techników sądowych i moi śledczy zbadali miejsce zbrodni z największą starannością. Miejsce jest zdumiewające przede wszystkim z uwagi na brak oczywistych dowodów. Nie było żadnych odcisków palców, nawet fragmentarycznych, z wyjątkiem tych zostawionych przez pańskiego

syna. Żadnych włosów czy włókien poza należącymi do pańskiego syna. Jego ubranie było zupełnie nowe, z tych najpopularniejszych, co więcej, ciało denata zostało starannie umyte. Nie znaleźliśmy na ulicy żadnych łusek, strzały musiały zostać oddane z wnętrza pojazdu. Krótko mówiąc, sprawcy są obeznani z technikami śledczymi i zadali sobie sporo trudu, by nie pozostawić żadnych materiałów dowodowych. Dobrze wiedzieli, co robią. Ciekawi mnie, agencie Pendergast, z zawodowego punktu widzenia, jak by pan to wytłumaczył?

– Raz jeszcze powtórzę, że była to starannie zaplanowana zbrodnia.

– Porzucenie ciała u progu pańskiego domu sugeruje, że sprawcy chcieli przekazać panu wiadomość. Domyśla się pan jaką?

– Nie mam pojęcia.

Nie mam pojęcia. Angler uważniej przyjrzał się Pendergastowi. Rozmawiał z wieloma rodzicami przeżywającymi tragedię po śmierci dziecka. Najczęściej byli w szoku, kompletnie otępiali. Udzielali odpowiedzi urywanych, niezbornych, pełnych wahania. Z Pendergastem było inaczej. Sprawiał wrażenie absolutnie opanowanego i spokojnego, jakby nie chciał współpracować albo nie uważał tego za konieczne.

– Porozmawiajmy o... ee... pańskim tajemniczym synu – kontynuował Angler. – O tym, że nim był, świadczy jedynie pańskie wcześniejsze zeznanie. Nie mamy go w żadnej policyjnej bazie danych, CODIS-ie¹, IAFIS-ie² ani NCIC³. Nie ma jego aktu urodzenia, prawa jazdy, numeru ubezpieczenia, paszportu, danych z wydziału szkolnictwa ani nawet wizy wjazdowej do Stanów. Kieszenie miał zupełnie puste. Dopóki nie otrzymamy wyniku analizy próbek DNA, można by przypuszczać, że pański syn w ogóle nie istniał. W oświadczeniu stwierdził pan, że syn urodził się w Brazylii i nie był obywatelem amerykańskim. Nie był jednak również obywatelem Brazylii, bo także w tym kraju nie ma po nim żadnych śladów. Miasto, gdzie zgodnie z pańskim zeznaniem miał dorastać, wydaje się nie istnieć, przynajmniej oficjalnie. Brak jakichkolwiek dowodów, że pański syn opuścił Brazylię i wjechał na terytorium Stanów Zjednoczonych. Jak pan to wyjaśni?

Agent Pendergast powoli założył nogę na nogę.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Jak już mówiłem, o tym, że mam syna, dowiedziałem się niespełna półtora roku temu.

- I wtedy go pan widział?
- Tak.
- Gdzie?
- W brazylijskiej dżungli.
- A później?
- Od tamtej pory ani go nie widziałem, ani nie kontaktowałem się z nim.
- Dlaczego nie próbował go pan odnaleźć?
- Już mówiłem, nie utrzymujemy stosunków.
- A to czemu?
- Nazwijmy to różnicą charakterów.
- Co może pan powiedzieć o jego charakterze?
- Prawie go nie znałem. Czerpał upodobanie w mrocznych gierkach; był specjalistą od prowokacji i zabójczych niespodzianek.
- Angler wziął głęboki oddech. Tego rodzaju odpowiedzi działały mu na nerwy.
- A jego matka?
- W swoim zeznaniu jasno stwierdziłem, że zmarła wkrótce po jego narodzinach, w Afryce.
- Zgadza się. Wypadek na polowaniu. – W tym także było coś dziwnego, ale Angler musiał skoncentrować się na tym, co go nurtowało, po kolei wyłuskując podejrzane szczegóły. – Czy pański syn mógł wpakować się w jakieś kłopoty?
- Nie wątpię, że tak właśnie było.
- Co to mogły być za kłopoty?
- Nie mam pojęcia. Ale miał wyjątkowy talent do radzenia sobie w najgorszych tarapatach.
- Skąd pan może wiedzieć, że syn napisał sobie biedy, skoro niewiele potrafi pan powiedzieć na ten temat?
- Ponieważ przejawiał silne skłonności do działań o charakterze przestępczym.

I tak w kółko. Angler był przekonany, że Pendergastowi wcale nie zależy na tym, żeby pomóc policji nowojorskiej w schwytaniu zabójcy syna, co więcej, prawdopodobnie zatajał też przed nimi jakieś informacje. Dlaczego to robił? Przecież nie mieli nawet pewności, że denat faktycznie był jego synem. Owszem, podobieństwo rzucało się w oczy. Jednak jak na razie

musieli opierać się wyłącznie na słowach Pendergasta. To on zidentyfikował zwłoki syna. Warto sprawdzić, czy analiza próbki DNA ofiary da jakieś wyniki w którejkolwiek z baz danych. Nietrudno będzie porównać DNA denata z próbką DNA Pendergasta, która znajdowała się w jego aktach osobowych w centralnym archiwum FBI.

– Agencie Pendergast – powiedział lodowatym tonem Angler. – Muszę zapytać raz jeszcze. Czy wie pan lub domyśla się, kto mógł zabić pańskiego syna? Czy dysponuje pan informacjami na temat okoliczności, które mogły prowadzić do jego śmierci? Czy podejrzewa pan, dlaczego ktoś postanowił podrzucić jego zwłoki pod drzwi pańskiego domu?

– Podtrzymuję to, co dotychczas powiedziałem w oświadczeniu.

Angler odsunął od siebie raport. To była dopiero pierwsza runda. Jeszcze nie skończył z tym mężczyzną.

– Nie wiem, co w tej sprawie dziwi mnie bardziej, szczegóły zabójstwa, pańska obojętność czy to, że nie dysponujemy żadnymi informacjami o pańskim synu, jakby on w ogóle nie istniał.

Wyraz twarzy Pendergasta pozostał niezmienny.

– O nowy wspaniały świat, w którym żyją tacy ludzie – powiedział.

– Jest nowy dla ciebie⁴ – odparował Angler.

Dopiero teraz Pendergast okazał cień zainteresowania podczas tej rozmowy. Jego oczy lekko się rozszerzyły, gdy z wyrazem twarzy przypominającym zaciekawienie popatrzył na detektywa.

Angler pochylił się do przodu i oparł łokcie o blat biurka.

– Myślę, że w tej chwili na tym skończymy, agencie Pendergast. Powiem jedno: może pan nie chce, żeby ta sprawa została rozwiązana. Ale ona zostanie rozwiązana i zajmę się tym osobiście. Dojdę po trupach tak daleko jak się da, nawet gdyby miały one prowadzić do rezydencji pewnego opornego, nieskorego do współpracy agenta FBI. Rozumiemy się?

– Nie oczekuję niczego innego.

Pendergast wstał i skinął głową do Slade'a, po czym otworzył drzwi i bez słowa wyszedł z gabinetu.

Po powrocie na Riverside Drive Pendergast udał się od razu do biblioteki. Podszedł do jednego z wysokich regałów, na którego półkach stały oprawne w skórę książki, i odsunąwszy drewniany panel, odsłonił laptop. Zaczął

szybko stukać w klawisze, podając hasła, gdy było to konieczne. Najpierw uzyskał dostęp do serwerów policji nowojorskiej, a następnie do baz danych otwartych dochodzeń w sprawach zabójstw. Po wpisaniu numerów ewidencyjnych przeszedł do policyjnej bazy danych DNA, gdzie szybko zlokalizował wyniki badań próbek należących do tak zwanego Zabójcy z Hotelu, który brutalnymi zbrodniami sparaliżował wszystkie hotele na Manhattanie półtora roku temu.

Chociaż zalogował się jako prawowity użytkownik, dane były zablokowane, nie można było ich skasować ani niczego zmienić.

Pendergast przez chwilę wlepił wzrok w ekran. Następnie wyjął z kieszeni komórkę i wybrał zamiejscowy numer, który miał go połączyć z River Pointe w Ohio. Odebrano już po pierwszym sygnale.

– No proszę – rozległ się łagodny, nieco zdyszany głos. – Toż to mój ulubiony tajny agent.

– Witaj, Mimie – odparł Pendergast.

– Czym mogę dziś służyć?

– Potrzebuję usunąć pewne informacje z bazy danych policji nowojorskiej. Po cichu i nie zostawiając śladów.

– Zawsze chętnie pomogę pokrzyżować szyki niebieskim mundurkom. Powiedz mi tylko, czy ma to coś wspólnego z – jak to się nazywa – Operacją Wildfire?

Pendergast milczał przez chwilę.

– Owszem, tak. Ale proszę, Mimie, nie pytaj o nic więcej.

– Nie dziw się, że mnie to ciekawi. Ale to już nieistotne. Masz wszystkie niezbędne numery ewidencyjne?

– Podyktuję ci je, gdy będziesz gotowy.

– Jestem gotów.

Powoli, bardzo wyraźnie, nie odrywając wzroku od ekranu i dłoni od trackpada laptopa, Pendergast zaczął odczytywać cyfry.

4

Było wpół do siódmej wieczorem, kiedy rozległ się sygnał komórki Pendergasta. Na wyświetlaczu pojawił się napis „Numer nieznany”.

– Agent specjalny Pendergast? – Głos był anonimowy, monotony, lecz znajomy.

– Tak.

– Jestem pańskim przyjacielem w potrzebie.

– Słucham.

Oschły chichot.

– Spotkaliśmy się kiedyś. Byłem w pana domu. Pojechaliśmy pod most Waszyngtona. Dałem panu pewne akta.

– Oczywiście. Dotyczące Locke’a Bullarda. Jest pan tym dżentelmenem z...

– Pendergast ugryzł się w język, zanim wymienił nazwę firmy, w której tamten pracował.

– Tak. Postępuje pan mądrze, nie wymieniając na głos niewygodnych rządowych akronimów podczas rozmowy przez niezabezpieczoną komórkę.

– Co mogę dla pana zrobić? – spytał Pendergast.

– Powinien pan spytać inaczej. Co ja mogę zrobić dla pana?

– Skąd przypuszczenie, że potrzebuję pomocy?

– Dwa słowa: Operacja Wildfire.

– Rozumiem. Gdzie możemy się spotkać?

– Zna pan strzelnicę FBI przy Dwudziestej Drugiej Zachodniej?

– Oczywiście.

– Za pół godziny. Stanowisko strzeleckie numer szesnaście.

Połączenie zostało przerwane.

Pendergast wszedł przez podwójne drzwi do długiego niskiego budynku na rogu Dwudziestej Drugiej Ulicy i Ósmej Alei, pokazał swoją odznakę kobiecie przy bramce i schodami skierował się na dół, ponownie błysnął odznaką, tym razem na użytek właściciela strzelnicy, wziął kilka

papierowych tarcz i ochraniacze na uszy, po czym znalazł się na terenie strzelnicy. Przeszedł wzdłuż stanowisk strzeleckich, mijając agentów, stażystów oraz instruktorów strzelania, do punktu oznaczonego numerem szesnaście. Stanowiska były oddzielone od siebie dźwiękochłonnym parawanem, a boks strzelniczy siedemnasty, tuż szesnastego, był pusty. Przepierzenia tylko częściowo tłumiły odgłosy wystrzałów, dlatego Pendergast, bardzo wyczulony na dźwięki, nałożył na uszy specjalne ochraniacze przypominające słuchawki.

Gdy odkładał na półkę przed sobą cztery puste magazynki i pudełko z amunicją, wyczuł czyjąś obecność. Do stanowiska numer szesnaście zbliżył się wysoki, chudy mężczyzna w średnim wieku, ubrany w szary garnitur. Miał głęboko osadzone oczy i twarz, jak na swój wiek, mocno poorly zmarszczkami. Pendergast rozpoznał go natychmiast. Włosy mężczyzny były nieco bardziej przerzedzone niż cztery lata temu, kiedy Pendergast widział go ostatnio, ale poza tym nie zmienił się i wciąż otaczała go aura łagodnej anonimowości. Należał do osób, których, gdy mijają się na ulicy, już po kilku minutach nie jesteśmy w stanie precyzyjnie opisać.

Mężczyzna nie spojrzął na Pendergasta, lecz wyjął z kieszeni sig sauera P229 i położył na półce przy stanowisku siedemnastym. Nie użył słuchawek ochronnych i dyskretnym ruchem, wciąż nie patrząc w stronę agenta, dał znak, aby zdjął on swoje ochraniacze.

– Ciekawy wybór miejsca spotkania – rzekł Pendergast, rozglądając się dokoła. – Mniej dyskretne niż samochód stojący pod mostem Waszyngtona.

– Brak prywatności czyni to miejsce jeszcze bardziej anonimowym. Ot po prostu dwóch federalnych ćwiczących na strzelnicy. Żadnych telefonów, do których można by założyć podsłuch, żadnych ukrytych urządzeń nagrywających. No i nie ma mowy, żeby przy tym hałasie ktoś mógł nas podsłuchać.

– Kierownik strzelnicy na pewno zapamięta wizytę agenta CIA w swoich progach, zwłaszcza że akurat wy raczej nie nosicie ukrytej broni.

– Mam wiele różnych przydatnych tożsamości. Nie zapamięta nic konkretnego.

Pendergast otworzył pudełko z nabojami i zaczął ładować magazynki.

– Podoba mi się pański pistolet, model 1911, robiony na zamówienie – rzekł mężczyzna, spoglądając na broń Pendergasta. – Les baer thunder ranch

special? Prawdziwe cacko.

– Może zechciałby mi pan wyjaśnić, czemu się tu dziś spotkaliśmy?

– Obserwowałem coś od naszego pierwszego spotkania. – Mężczyzna wciąż unikał kontaktu wzrokowego. – Kiedy dowiedziałem się, że był pan zaangażowany w zainicjowanie Operacji Wildfire, zaintrygowało mnie to. Niezbyt rozpowszechniona, lecz prowadzona na szeroko zakrojoną skalę operacja monitorująca, prowadzona zarówno przez agentów FBI, jak i CIA, mająca na celu zlokalizowanie młodego człowieka, który mógł, choć niekoniecznie, mieć na imię Alban i który mógł, choć niekoniecznie, ukrywać się w Brazylii lub w krajach ościennych, który mówił płynnie po portugalsku, angielsku i niemiecku i którego należy uważać za wyjątkowo niebezpiecznego i zdolnego do wszystkiego.

Zamiast odpowiedzieć, Pendergast przypiął cel – klasyczną tarczę strzelecką z czerwonym kręgiem pośrodku – do szyny i przycisnąwszy guzik uruchamiający wysięgnik, przesunął ją na odległość dwudziestu pięciu metrów od stanowiska strzeleckiego. Mężczyzna obok niego przyczepił do wysięgnika tarczę używaną przez FBI – sylwetkę w kształcie szarej butelki, bez żadnych oznaczeń – po czym posłał ją na sam koniec toru strzeleckiego.

– A dziś dowiedziałem się o raporcie policji, w którym napisano, że pański syn, notabene imieniem Alban, został znaleziony martwy u drzwi pańskiej rezydencji.

– Słucham dalej.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Stąd to spotkanie.

Pendergast sięgnął po jeden z magazynków i załadował broń.

– Czy zechciałby pan wreszcie przejść do sedna.

– Mogę panu pomóc. Dotrzymał pan słowa w sprawie Locke'a Bullarda i oszczędził mi sporo fatygi. Mam zwyczaj odwzajemniać przysługi. I jak już wspominałem, miałem pana na oku. Jest pan ciekawą postacią. Całkiem możliwe, że jeszcze kiedyś będzie pan mógł mi pomóc. Nazwijmy to współpracą partnerską.

Pendergast nie odpowiedział.

– Wie pan, że może mi zaufać – rzekł mężczyzna pośród nieco wytłumionego wszechobecnego huku wystrzałów. – Jestem wzorem dyskrecji, podobnie jak pan. Wszelkie informacje, jakie od pana otrzymam, zachowam dla siebie. A możliwe, że mam dostęp do źródeł, które są dla pana

nieosiągalne.

Po chwili Pendergast jeden jedyny raz kiwnął głową.

– Przyjmuję pańską propozycję. Jeżeli chodzi o informacje podstawowe, mam dwóch synów, bliźniaków, o których istnieniu dowiedziałem się zaledwie półtora roku temu. Jeden z nich, Alban, jest – a raczej był – socjopatycznym mordercą, wyjątkowo niebezpiecznym. To on był tak zwanym Zabójcą z Hotelu, którego sprawa, wciąż otwarta i nierozwiązana, znajduje się w archiwach nowojorskiej policji. Chciałbym, żeby tak pozostało, więc powziąłem w tym celu pewne kroki. Kiedy tylko dowiedziałem się o jego istnieniu, Alban zniknął w brazylijskiej dżungli i nie widziałem go aż do chwili, gdy jego ciało pojawiło się na progu mojego domu. Zawsze wierzyłem, że pewnego dnia wróci... i że będzie to miało katastrofalne skutki. Właśnie dlatego zainicjowałem Operację Wildfire.

– Ale nie przyniosła żadnych efektów.

– Niestety.

Bezimienny mężczyzna naładował broń, wprowadził nabój do komory, wycelował, trzymając pistolet oburącz, i opróżnił cały magazynek, celując do szkoleniowej tarczy. Każda kula trafiła w szary butelkowaty kształt. W ciasnym pomieszczeniu huk wystrzałów zabrzmiał ogłuszająco.

– Kto aż do wczoraj wiedział, że Alban był pańskim synem? – zapytał mężczyzna, wyjmując pusty magazynek.

– Tylko kilka osób, w większości rodzina i służba.

– A jednak ktoś nie tylko zdołał odnaleźć i schwytać Albana, ale także był w stanie go zabić, porzucić na progu pańskiego domu, a następnie niemal bez przeszkód stamtąd zbiec.

Pendergast pokiwał głową.

– Innymi słowy sprawca był w stanie dokonać tego, czego nie potrafiły wspólnie FBI i CIA, a nawet pokusił się o coś więcej.

– Otóż to. Sprawca charakteryzuje się wybitnymi zdolnościami. Możliwe, że ma powiązania z policją, właśnie dlatego nie wydaje mi się, aby nowojorscy kryminalni poradzili sobie z tą sytuacją.

– Rozumiem, że Angler to dobry glina.

– Na tym właśnie polega problem. Jest dobrym gliną, a co za tym idzie, może utrudnić mi odnalezienie zabójcy. Byłoby lepiej, gdyby był niekompetentny.

– I dlatego nie okazał pan chęci do współpracy z nim?

Pendergast nie odpowiedział.

– Nie domyśla się pan, dlaczego ktoś zabił pańskiego syna ani co chciał panu w ten sposób dać do zrozumienia?

– To mnie właśnie w tym wszystkim najbardziej przeraża: że nie mam zielonego pojęcia, kto mógł chcieć przekazać mi wiadomość i czego miałyby dotyczyć.

– A pański drugi syn?

– Załatwiłem mu stałą ochronę, a właściwie coś w rodzaju aresztu domowego, ale obecnie na szczęście przebywa za granicą.

Mężczyzna załadował do siga nowy magazynek, zwolnił zamek, posłał wszystkie kule do papierowej tarczy i wcisnął przycisk, żeby przyciągnąć tarczę do stanowiska strzeleckiego.

– A tak właściwie co pan teraz czuje? W związku ze śmiercią syna?

Pendergast milczał przez krótką chwilę.

– Odpowiem tak: targają mną sprzeczne odczucia. On nie żyje. To dobrze. Jednak... był moim synem.

– Co ma pan zamiar zrobić, gdy, albo raczej jeśli, odnajdzie pan osobę odpowiedzialną za ten czyn?

Pendergast znowu milczał przez chwilę. Zamiast odpowiedzieć, unióśł les baera w prawym ręku, opuszczając lewą dłoń za plecami i przyjmując pozycję, w której broń nie miała dodatkowego wsparcia.

Następnie, oddając serię strzałów, opróżnił magazynek, szybko załadował drugi, przełożył pistolet do lewej ręki, ponownie odwrócił się w stronę tarczy i tym razem znacznie szybciej wykonał siedem strzałów. Potem wcisnął przycisk ściągający tarczę do stanowiska strzeleckiego. Agent CIA przyjrzał się tarczy.

– Kompletnie zniszczył pan centralny punkt. Strzelając z pozycji swobodnej, trzymając broń na zmianę w prawej i lewej ręce, silniejszej i słabszej. – Zamilkł, po czym dodał: – Czy to miała być odpowiedź na moje pytanie?

– Wykorzystuję jedynie czas, żeby doszlifować swoje umiejętności.

– One nie wymagają doszlifowania. Gdy tylko czegoś się dowiem, dam panu znać.

– Dziękuję.

Agent CIA pokiwał głową. A potem, nałożywszy ochronne słuchawki, odłożył sig sauera na bok i zaczął ponownie załadowywać magazynki.

5

Porucznik Vincent D'Agosta zaczął wspinać się po szerokich granitowych stopniach wiodących do głównego wejścia Nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej. Uniósł wzrok, by w świetle popołudnia przyjrzeć się rozległej fasadzie – długości czterech przecznic i w pełnym przepychu stylu nawiązującym do architektury romańskiej. Budowla ta wywoływała u niego sporo złych wspomnień i uważał za ironię losu, że akurat teraz musiał tu przyjść.

Zaledwie wczoraj wieczorem wrócił z najlepszego w swoim życiu wyjazdu: trwającego dwa tygodnie miesiąca miodowego z nowo poślubioną żoną Laurą Hayward, które spędził w kurorcie Turtle Bay na słynnym północnym brzegu hawajskiej wyspy Oahu. Czas upłynął im na opalaniu się, wędrowaniu kilometrami po nieskazitelnej plaży i nurkowaniu z fajką w zatoce Kuilima – no i oczywiście na poznawaniu się nawzajem w najintymniejszy z możliwych sposobów. Był to, krótko mówiąc, raj na ziemi.

Dlatego powrót tego ranka do pracy, w dodatku w niedzielę, okazał się prawdziwym szokiem, gdy przydzielono mu funkcję szefa ekipy śledczej w sprawie morderstwa technika z wydziału osteologii MHN. Nie tylko zlecono mu świeżą sprawę, ale musiał przeprowadzić śledztwo w budynku, którego progu miał nadzieję już nigdy nie przestąpić.

Postanowił jednak, że uczyni, co w jego mocy, żeby rozwikłać tę sprawę i zaprowadzić sprawcę morderstwa przed oblicze sprawiedliwości. Był to typowy przykład kretyńskiego zabójstwa, które okrywało Nowy Jork złą sławą – przypadkowego, bezsensownego, brutalnego mordu, którego ofiarą padł Bogu ducha winny mężczyzna, ktoś, kto po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Przystanął, by złapać oddech – niech to szlag, będzie musiał przejść na dietę po ostatnich dwóch tygodniach zajadania się poi, wieprzowiną kalua,

opihi i haupia oraz popijania wszystkiego piwem. Po chwili ruszył dalej i wszedł do rozległej Wielkiej Rotundy. Tu ponownie się zatrzymał, żeby wyjąć iPada i przypomnieć sobie szczegóły zabójstwa. Morderstwa dokonano wczoraj, późnym wieczorem. Technicy już zakończyli prace na miejscu zbrodni. Pierwszym zadaniem D'Agosty będzie ponowne przesłuchanie strażnika ochrony, który odkrył ciało. Potem czekało go spotkanie z szefem działu public relations, któremu – o ile znał poglądy pracowników muzeum – bardziej niż na rozwiązaniu sprawy morderstwa będzie zależało na uniknięciu złej prasy. Na liście osób, z którymi miał porozmawiać, widniało jeszcze kilka innych nazwisk.

Pokazał odznakę jednemu ze strażników, wpisał się do księgi gości, odebrał tymczasową przepustkę, a potem ruszył przez ogromne, pobrzmiwające donośnym echem przestrzenie, mijając dinozaury i jeszcze jeden punkt kontrolny, przeszedł przez nieoznaczone drzwi i labiryntem korytarzy dotarł do centrum ochrony – pamiętał tę drogę lepiej, niż mógłby sobie tego życzyć. W poczekalni siedział samotnie mundurowy strażnik. Gdy D'Agosta wszedł, tamten natychmiast zerwał się na nogi.

– Mark Whittaker? – zapytał D'Agosta.

Mężczyzna energicznie pokiwał głową. Był niski, miał jakieś metr pięćdziesiąt osiem wzrostu, spory brzusek, brązowe oczy i rzadziejące jasne włosy.

– Porucznik D'Agosta, wydział zabójstw. Wiem, że już wcześniej pan to relacjonował, więc postaram się nie zająć panu więcej czasu, niż będzie to konieczne.

Uścisnął wiotką spoconą dłoń strażnika. Z doświadczenia wiedział, że prywatnych ochroniarzy można zaklasyfikować do jednej z dwóch kategorii – niedoszłych gliniarzy, zawsze zuchwałych i skorych do bójki, oraz tych spokojnych, którzy nikomu nie wadzili i starali się trzymać z dala od kłopotów. Mark Whittaker ewidentnie zaliczał się do drugiej kategorii.

– Czy możemy pomówić na miejscu zbrodni?

– Jasne, oczywiście – odparł gorliwie Whittaker.

D'Agosta podążył za nim jeszcze dalej w głąb muzealnych korytarzy. Gdy nimi kluczyli, D'Agosta mimowolnie zwracał uwagę na mijane eksponaty. Minęło parę lat, odkąd po raz ostatni przestąpił próg tej placówki, ale najwyraźniej niewiele się tu zmieniło. Przeszli przez pociemniałą salę

afrykańską, mijając stado słoń, a stamtąd do sali ludów Afryki, Meksyku i Ameryki Środkowej, Ameryki Południowej; w każdej sali rozbrzmiewało echo i stały gabloty z ptakami, złotem, naczyniami, rzeźbami, tkaninami, włócznie, obrazami, maskami, szkieletami, małpami... D'Agosta aż dostał zadyszki i zastanawiał się, jak to możliwe, że nie może nadążyć za tłustym małym strażnikiem.

Weszli do sali mieszkańców mórz i oceanów, gdzie Whittaker wreszcie się zatrzymał przy jednej z odleglejszych wnęk, oddzielonej od reszty sali żółtą taśmą policyjną. Stał tam inny strażnik.

– Brzuchonogi – D'Agosta odczytał napis na mosiężnej tabliczce.

Whittaker pokiwał głową.

D'Agosta pokazał odznakę strażnikowi, przeszedł pod taśmą i dał znak Whittakerowi, żeby pospieszył za nim. We wnęce było ciemno i duszno. Przeszkłone gabloty ciągnęły się wzdłuż trzech ścian, wypełnione muszlami wszelakich rozmiarów i kolorów należącymi niegdyś do różnych żyjątek, od ślimaków poprzez małże po trąbiki. W innych, sięgających do pasa gablotach umieszczono jeszcze więcej muszli. D'Agosta pociągnął nosem; to musiało być najrzadziej odwiedzane miejsce w muzeum. Gdy jego wzrok padł na królewską konchę, różową i błyszczącą, na chwilę znów przywołał w pamięci jeden z wieczorów na północnym brzegu Hawajów: piasek był wciąż nagrany od słońca, Laura leżała obok niego, a łagodne fale przyboju obmywały im stopy. Westchnął i powrócił do rzeczywistości. Zajrzał pod jedną z gablot, gdzie widać było kredowy obrys i kilka numerowanych znaczników do materiałów dowodowych, a także długą, bardzo długą strużkę zaschniętej krwi.

– Kiedy znalazł pan ciało?

– W sobotę wieczorem. Jakies dziesięć po jedenastej.

– A o której rozpoczął pan zmianę?

– O ósmej.

– Ta sala należała do pańskiego rewiru?

Whittaker skinął głową.

– O której muzeum jest zamykane w soboty?

– O szóstej.

– Jak często patroluje pan tę salę po godzinach?

– To zależy. Co pół godziny do czterdziestu pięciu minut. Mam kartę

magnetyczną, z której muszę korzystać przy otwieraniu drzwi. Szefostwo nie lubi, gdy dokonujemy obchodów rutynowo, w regularnych odstępach czasu.

D'Agosta wyjął z kieszeni plan muzeum, w który zaopatrzył się przy wejściu.

– Czy mógłby pan rozrysować, jak przebiega pański obchód?

– Oczywiście.

Whittaker wyjął z kieszeni pióro i nakreślił na mapie krętą linię przez mniej więcej całą długość piętra. Oddał plan D'Agoście.

Porucznik obejrzał narysowaną trasę.

– Nie wygląda, aby zwykle zaglądał pan do tej niszy.

Whittaker odczekał chwilę, zanim odpowiedział, jakby uznał to pytanie za podchwytliwe.

– Zazwyczaj nie. Gdy dochodzę do tej wnęki, na ogół ją omijam.

– Czemu więc zajrzał tu pan wczoraj wieczorem?

Whittaker otarł spocone czoło.

– Na parkiecie dostrzegłem krew. Kiedy poświeciłem na podłogę... zobaczyłem rozlewającą się czerwoną strużkę.

D'Agosta przypomniał sobie ślady krwi na zdjęciach techników sądowych. Rekonstrukcja zbrodni pozwoliła ustalić, że w tej wnęce starszy technik nazwiskiem Victor Marsala został zatłuczony na śmierć kilkoma ciosami zadanymi w głowę narzędziem o tępych krawędziach, po czym zabrano mu portfel oraz drobne, które miał w kieszeniach, i jego ciało wciśnięto pod jedną z gablot.

D'Agosta zajrzał do swojego tabletu.

– Czy na wczoraj wieczór były zaplanowane jakieś szczególne wydarzenia?

– Nie.

– Żadnych spóźnialskich, którzy przegapili zamknięcie muzeum, prywatnych imprez, pokazów w IMAX-ie albo wycieczek po godzinach? Nic takiego?

– Absolutnie nic.

D'Agosta już to wszystko wiedział, ale wolał się upewnić. Raport koronera wskazywał, że czas zgonu określono na wpół do jedenastej.

– Czy w ciągu czterdziestu minut poprzedzających odkrycie ciała widział pan może kogoś lub coś niezwykłego? Zbłąkanego turystę, który twierdził, że

się zgubił? Pracownika muzeum poza swoim sektorem?

– Nie widziałem nic niezwykłego. Jedyne to, co zwykle, czyli pracujących do późna naukowców i kustoszów.

– A ta sala?

– Była pusta.

D’Agosta skinął głową, wskazując w stronę prawie niewidocznych drzwi w sąsiedniej ścianie i podświetlonego napisu „Wyjście” powyżej.

– Dokąd one prowadzą?

Whittaker wzruszył ramionami.

– Tylko do piwnic.

D’Agosta zamyślił się nad tym, co właśnie usłyszał. Niedaleko stąd była sala południowoamerykańskich wyrobów ze złota, ale nic nie zostało stamtąd skradzione, niczego nie brakowało ani nic nie wskazywało na to, aby coś tam się wydarzyło. Możliwe, że Marsala, wychodząc późno po wykonaniu zadania, wpadł na jakiegoś włóczęgę, który uciął sobie drzemkę w ciemnym kącie muzeum. D’Agosta wątpił jednak, by w grę wchodziła aż tak nieprawdopodobna wersja wydarzeń. W całej tej sprawie niezwykle było to, że zabójca najwyraźniej zdołał niepostrzeżenie opuścić muzeum. O tej godzinie musiał przejść przez silnie strzeżony punkt kontrolny na jednym z niższych poziomów. Czy zabójca był pracownikiem muzeum? D’Agosta miał listę wszystkich, którzy pracowali tego wieczoru do późna; okazała się zaskakująco długa, ale też muzeum było wielką instytucją zatrudniającą kilka tysięcy osób. Zadał Whittakerowi kilka dodatkowych pytań i podziękował mu.

– Jeszcze trochę się tu rozejrzę, ale pan jest już wolny – powiedział.

Przez następne dwadzieścia minut sprawdzał wnękę i przylegające do niej miejsca, porównując je ze zdjęciami z miejsca zbrodni, które miał w tablecie. Nie dostrzegł jednak nic nowego, co mogło zostać przeoczone.

Z głośnym westchnieniem włożył iPada do aktówki i ruszył w stronę działu public relations.

6

Przyglądanie się autopsji nie należało do czynności zajmujących wysoką pozycję na liście ulubionych obowiązków porucznika Petera Anglera. Nie miał problemu z patrzeniem na krew. Przez piętnaście lat służby w policji widział wiele martwych ciał – zastrzelonych, zasztyletowanych, zatłuczonych, rozjechanych, otrutych, roztrzaskanych na chodniku albo rozkawałkowanych na torach w metrze. Nie mówiąc o własnych obrażeniach. Bądź co bądź do strachliwych nie należał, w trakcie służby ponad dziesięć razy sięgał po broń, a dwukrotnie był zmuszony jej użyć. Potrafił sobie radzić z przypadkiem brutalnej śmierci. Niepokój budził w nim chłodny kliniczny sposób, w jaki ciało było systematycznie rozbierane na części, organ po organie, a każda czynność starannie dokumentowana kamerą, która jednocześnie nagrywała komentarz koronera niestroniącego od żartobliwych uwag. No i ma się rozumieć smród. Ale przez lata oswoił się z tym obowiązkiem i podchodził do niego z isticie stoicką rezygnacją.

W tej autopsji było jednak coś, co przydawało jej szczególnie makabrycznego charakteru. Angler nigdy nie uczestniczył bowiem w sekcji zwłok, która byłaby obserwowana z głębokim zainteresowaniem przez ojca ofiary.

W sali znajdowało się pięć osób – a w każdym razie pięciu żywych ludzi. Angler, jeden z jego detektywów Millikin, patolog sądowy przeprowadzający autopsję, jego asystent – instrumentariusz, niski, pomarszczony i zgarbiony jak Quasimodo – oraz agent specjalny Aloysius Pendergast.

Oczywiście Pendergast nie przebywał tu oficjalnie. Kiedy zwrócił się do Anglera z dziwną prośbą o pozwolenie na uczestniczenie w sekcji, ten w pierwszej chwili miał zamiar odmówić. Bądź co bądź agent jak dotąd wykazywał uporczywy brak chęci do współpracy przy śledztwie. Angler zainteresował się jednak trochę osobą Pendergasta i dowiedział się, że choć w Biurze nie przepadano za nim z uwagi na jego nietypowe metody

działania, mógł się on poszczycić nieporównywalnie wysokim współczynnikiem rozwiązanych spraw. Angler nigdy nie spotkał się z aktami, które zawierałyby równocześnie tak wiele pochwał i nagan. Ostatecznie uznał więc, że nie ma o co kruszyć kopii, i postanowił zezwolić agentowi na obecność przy autopsji. Chodziło przecież o jego syna. A poza tym czuł, że niezależnie od tego, co by zrobił albo powiedział, agent i tak znalazłby sposób, by uczestniczyć w tym wydarzeniu.

Patolog, doktor Constantinescu, zdawał się znać Pendergasta. Constantinescu wyglądał bardziej jak dobroduszny, prowincjonalny stary lekarz niż koroner, a obecność agenta FBI raczej go stresowała. Był spięty i zdenerwowany jak kot w nowym domu. Od czasu do czasu pomiędzy kolejnymi komentarzami wypowiedzanymi półgłosem do wiszącego u góry mikrofonu oglądał się przez ramię, by spojrzeć na Pendergasta, po czym, odchrząknąwszy, mówił dalej. Przeprowadzenie samych oględzin zwłok zajęło mu prawie godzinę, co wydawało się rzeczą niezwykłą, bo przecież nie było żadnych materiałów dowodowych do odkrycia, opisanie i sklasyfikowania. Usunięcie ubrania, wykonanie zdjęć, prześwietlenie rentgenowskie, zważenie zwłok, przeprowadzenie badań na obecność toksycznych substancji, oględziny w poszukiwaniu znaków szczególnych i cała reszta zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Zupełnie jakby patolog bał się popełnić najdrobniejszy błąd albo nie spieszył się z rozpoczęciem właściwej sekcji. Asystent, który najwyraźniej nie był zapoznany ze sprawą, wyglądał na zniecierpliwionego, przestępował z nogi na nogę, przekładając kolejne narzędzia. Pendergast cały czas stał w bezruchu w pewnym oddaleniu od reszty; fartuch otulał go jak całun. Wodził wzrokiem od Constantinescu do zwłok syna i z powrotem, nic nie mówiąc i nie zdradzając żadnych emocji.

– Brak widocznych zewnętrznych zasinień, wylewów, ran kłutych czy innych obrażeń – mówił do mikrofonu patolog. – Wstępne oględziny i badanie rentgenowskie wykazały, że śmierć nastąpiła wskutek zmiążdżenia kręgów szyjnych C3 i C4, przypuszczalnie w wyniku gwałtownego poziomego skrętu czaszki, co doprowadziło do przerwania kręgosłupa i wywołało wstrząs w stosie paciierzowym.

Doktor Constantinescu cofnął się od mikrofonu i ponownie odchrząknął.

– Zaczniemy teraz... ee... badanie wewnętrzne, agencie Pendergast.

Pendergast wciąż trwał w bezruchu i tylko lekko, prawie niedostrzegalnie skinął głową. Był bardzo blady; rysy jego twarzy wyglądały jak wyciosane z kamienia. Im bardziej Angler poznawał tego człowieka, tym mniej go lubił. Ten mężczyzna był jakimś cholernym dziwolągiem.

Angler ponownie przeniósł wzrok na ciało leżące na wózku noszowym. Młodzieniec był w doskonałej kondycji fizycznej. Muskulatura i gładkość jego ciała nawet po śmierci przywodziły na myśl niektóre z wizerunków Hektora i Achillesa z malowideł czarnofigurowych przypisywanych Grupie Antiope.

Zacniemy teraz badanie wewnętrzne. Ciało nie będzie już takie piękne.

Na znak Constantinescu jego asystent podał mu piłę Strykera. Gdy patolog przesuwiał ją wokół czaszki Albana, wydała charakterystyczny przejmujący wizg, którego Angler nienawidził. Następnie Constantinescu zdjął wierzch czaszki denata. To było niestandardowe – z doświadczenia Angler wiedział, że mózg był zwykle jednym z ostatnich organów, które wyjmowano z ciała. Większość autopsji zaczynała się od nacięcia w kształcie litery Y. Może miało to coś wspólnego z przyczyną śmierci, którą było złamanie kręgów szyjnych. Angler podejrzewał jednak, że taką a nie inną decyzję podjął bladolicy obserwator stojący nieopodal. Spojrzał ukradkiem na Pendergasta. Mężczyzna wydawał się jeszcze bledszy niż zazwyczaj, a jego twarz pozostawała bardziej zacięta niż dotychczas.

Constantinescu, zbadawszy mózg, ostrożnie go wyjął, umieścił na wadze i wypowiedział kilka uwag do mikrofonu. Pobrał kilka próbek tkanek, podał je swojemu asystentowi, a potem, ciągle na nikogo nie patrząc, odezwał się:

– Agencie Pendergast... czy przewiduje pan ceremonię z otwartą trumną?

Przez chwilę w sali panowała cisza. Wreszcie Pendergast się odezwał:

– Nie będzie żadnej ceremonii... ani pogrzebu. Kiedy ciało zostanie wydane, poczynię niezbędne kroki, żeby poddano je kremacji. – Jego głos brzmiał jak zgrzyt noża po lodzie.

– Rozumiem. – Constantinescu odłożył mózg do wnętrza czaszki i znieruchomiał na chwilę. – Zanim powrócę do przerwanej czynności, chciałbym o coś zapytać. Rentgen wykazał obecność okrągłego przedmiotu w... jamie brzusznej denata. Jednak na ciele nie ma śladów mogących wskazywać na starą ranę postrzałową albo przebyte operacje chirurgiczne. Wie pan, czy w tym ciele znajdują się jakieś implanty?

– Nie – odparł Pendergast.

– Dobrze – powiedział Constantinescu i wolno pokiwał głową. – Wykonam teraz nacięcie w kształcie litery igrek.

Kiedy nikt się nie odezwał, patolog znów sięgnął po piłę Strykera i zrobił nacięcie od lewego, a następnie od prawego ramienia, zbiegające w dół do mostka, po czym skalpelem dokończył dzieła, przeciągając nacięcie w linii prostej od mostka aż do łona. Asystent podał mu nożyce, a Constantinescu dokończył procedurę otwarcia klatki piersiowej, unosząc i odginając rozcięte żebra oraz tkanki, by odsłonić serce i płuca.

Pendergast stał w bezruchu tuż obok Anglera. W pomieszczeniu rozszedł się nieprzyjemny odór, który kojarzył się Anglerowi z autopsją, podobnie jak wizg piły do kości.

Constantinescu wyjął serce i płuca, zbadał je, zważył, pobrał próbki tkanek, nagrał swoje uwagi i odłożył organy do foliowych torebek, by ponownie umieścić je w ciele podczas ostatniej, rekonstrukcyjnej fazy autopsji. Nerki, wątrobę i inne ważne organy spotkał ten sam los. Następnie patolog skupił uwagę na głównych arteriach, rozcinając je i dokonując pospiesznych oględzin. Pracował teraz energiczniej, co było przeciwieństwem jego zachowania podczas oględzin wstępnych.

Przyszła kolej na żołądek. Po zbadaniu go, zważeniu, obfotografowaniu i pobraniu z niego próbek tkanek Constantinescu sięgnął po duży skalpel. Właśnie tej części Angler nie znosił najbardziej – badania treści żołądka. Odsunął się od wózka noszowego.

Patolog pochylił się nad metalowym naczyniem, w którym znajdował się żołądek, a jego przyobleczone w rękawiczki dłonie pracowały nieprzerwanie; na zmianę używał skalpela i kleszczy, a asystent nachylił się bardziej w jego stronę. Nieprzyjemna woń w pomieszczeniu przybrała na sile.

Nagle rozległ się dźwięk, głośny brzęk czegoś twardego, co wpadło do misy. Patolog na chwilę wstrzymał oddech. Wymamrotał coś do swojego asystenta, który podał mu nową parę kleszczy. Constantinescu chwycił nimi coś okrągłego, śliskiego od przejrzystych płynów i opłukał znaleziony przedmiot pod kranem. Kiedy się odwrócił, Angler ku swemu zdumieniu stwierdził, że patolog trzyma w kleszczach kamień o nieregularnym kształcie, nieco większy od szklanej kulki, barwy ciemnoniebieskiej. Kamień był szlachetny.

Kątem oka policjant zauważył wreszcie jakąś reakcję Pendergasta.

Constantinescu oglądał kamień uważnie, obracając go to w jedną, to w drugą stronę.

– Proszę, proszę – wymamrotał.

Włożył kamień do foliowej torebki na materiały dowodowe i już miał ją zapieczętować, gdy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Pendergast podszedł do niego, wpatrując się w kamień. Znikł nieodgadniony, beznamiętny wyraz twarzy i pusty wzrok agenta. Teraz z jego oczu wyzierał głód, pragnienie tak silne, że nieomal zmusiło policjanta, aby cofnął się o krok.

– Ten kamień – rzekł Pendergast. – Muszę go mieć.

Angler myślał, że się przesłyszał.

– Mieć? Ten kamień to pierwszy materiał dowodowy, na jaki natrafiliśmy.

– Właśnie dlatego muszę mieć do niego dostęp.

Angler oblizał usta.

– Proszę posłuchać, agencie Pendergast. Mam świadomość, że na tym wózku spoczywa ciało pańskiego syna i że to wszystko nie jest dla pana łatwe. Ale to oficjalne śledztwo. Musimy trzymać się reguł i postępować zgodnie z procedurami, a ponieważ dowodów jest niewiele...

– Mam swoje źródła, które mogą pomóc. Potrzebuję tego kamienia. Muszę go mieć. – Pendergast podszedł bliżej, przeszywając Anglera wzrokiem. – Proszę.

Angler musiał się pohamować, żeby nie cofnąć się pod naporem siły spojrzenia agenta. Coś mu mówiło, że Pendergast nie używa zbyt często słowa „proszę”. Przez chwilę stał w milczeniu, targany sprzecznymi emocjami. Jednak ta wymiana zdań zrobiła na nim duże wrażenie, przekonała go, że agent mimo wszystko chce się dowiedzieć, co się stało z jego synem. I nagle zrobiło mu się go żal.

– Trzeba wpisać ten kamień do ewidencji materiałów dowodowych – powiedział. – Zrobić zdjęcia, dokładnie opisać, skatalogować i wprowadzić do bazy danych. Kiedy to zostanie wykonane, będzie pan mógł pobrać ten przedmiot z działu materiałów dowodowych, ale wyłącznie z uwzględnieniem wszystkich niezbędnych procedur. I będzie musiał pan zwrócić kamień na miejsce w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Pendergast skinął głową.

– Dziękuję.

– Może pan go przetrzymywać dwadzieścia cztery godziny. Nie dłużej.

Ale mówił już do pleców Pendergasta, gdyż ten szybkim krokiem kierował się ku drzwiom, a poły zielonego fartucha unosiły się za nim przy wtórze głośnego szelestu.

7

Wydział osteologii Nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej mieścił się w ukrytych pod szerokim dachem, przywodzących na myśl niekończący się ciąg nor salach, do których można było wejść jedynie przez masywne podwójne drzwi u końca długiego korytarza na czwartym piętrze, gdzie ulokowano pomieszczenia biurowe i skąd należało zjechać poruszającą się wolno gigantyczną windą towarową. Kiedy D'Agosta wsiadł do windy (i stwierdził, że dzieli kabinę z truchłem małpy leżącym na metalowym wózku), zrozumiał, dlaczego ten wydział był tak oddalony od reszty pomieszczeń publicznych muzeum – to miejsce cuchnęło, jak powiedziałby jego ojciec, niczym tandetny burdel po szczególnie gorącym weekendzie.

Winda zatrzymała się z łoskotem i drzwi się rozsunęły, ich górna i dolna część. D'Agosta wysiadł na poziomie wydziału osteologii, rozejrzał się dokoła i ze zniecierpliwieniem zatarł ręce. Teraz czekała go rozmowa z Morrisem Frisbym, kierownikiem wydziałów antropologii i osteologii. Nie obiecywał sobie wiele po tej rozmowie, gdyż Frisby wrócił dziś rano z konferencji w Bostonie i nie było go w muzeum w dniu śmierci technika. Bardziej obiecująco zapowiadał się młodzieniec, który, powłócząc nogami, zmierzał w jego stronę. Niejaki Mark Sandoval, technik osteologii, przez tydzień był na chorobowym, bo nabawił się poważnego letniego przeziębienia.

Sandoval zamknął za nimi główne drzwi wydziału osteologii. Wciąż wyglądał na ciężko chorego, oczy miał zaczerwienione i podpuchnięte, twarz bladą i raz po raz wycierał nos w chusteczkę.

D'Agosta pomyślał, że facet przynajmniej nie czuje okropnego smrodu. Ale prawdopodobnie do niego przywykł.

- Za dziesięć minut mam spotkanie z doktorem Frisbym – rzekł D'Agosta.
- Oprowadzi mnie pan? Chciałbym zobaczyć, gdzie pracował Marsala.
- Cóż... – Sandoval przełknął ślinę i obejrzał się przez ramię.
- Jakiś problem?

– Chodzi... – Kolejne niepewne spojrzenie przez ramię, a potem cicha odpowiedź: – Chodzi o doktora Frisby’ego. On nie lubi, gdy...

Technik nie dokończył.

D’Agosta zrozumiał natychmiast. Bez wątpienia Frisby był typowym muzealnym biurokratą zazdrośnie strzegącym swojego małego królestwa i rozpaczliwie broniącym go przed wszelką złą sławą. Mógł sobie wyobrazić kustosza: tweedowa marynarka ze śladami tytoniu do fajki, różowe obwisłe policzki ze smugami podrażnień od maszynki do golenia i malujący się na twarzy wyraz konsternacji.

– Bez obawy – zapewnił D’Agosta. – Nie powiem nikomu, że to pan mnie oprowadził.

Sandoval wahał się jeszcze przez chwilę, po czym ruszył w głąb korytarza.

– Rozumiem, że współpracował pan z Marsalą – rzekł D’Agosta.

– Można tak powiedzieć. – Technik wciąż wydawał się spięty.

– Nie był szczególnie lubiany?

Sandoval wzruszył ramionami.

– Nie chcę źle mówić o zmarłych.

D’Agosta wyjął notes.

– Chciałbym jednak usłyszeć, co ma pan o nim do powiedzenia.

Sandoval wytarł nos.

– Był... jak by to ująć, trudnym facetem. Opryskliwym, obrażonym na cały świat.

– Dlaczego?

– Chyba można powiedzieć, że był niedoszłym naukowcem.

Minęli coś, co wyglądało jak drzwi gigantycznej lodówki.

– Słucham dalej.

– Poszedł na studia, ale oblał chemię organiczną, a bez tego nie ma szans na doktorat z biologii. Po studiach podjął tu pracę jako technik. Był naprawdę dobry, jeżeli chodziło o pracę z kośćmi. Ale bez stopnia naukowego przed nazwiskiem nie mógł liczyć na nic więcej. To było dla niego powodem wiecznej frustracji. Nie podobało mu się, że naukowcy próbują mu rozkazywać, wszyscy musieli obchodzić się z nim delikatnie. Nawet ja... a byłem dla Victora kimś, kogo mógłby nazwać swoim przyjacielem. Choć to o niczym nie świadczy.

Sandoval przeszedł przez drzwi po lewej stronie. D’Agosta znalazł się

w pomieszczeniu pełnym wielkich metalowych kadzi. Powyżej rząd gigantycznych wentylatorów łąpczywie pompował powietrze, ale niewiele to dawało, bo woń była niemal nie do wytrzymania.

– To sala maceracji – rzekł Sandoval.

– Co?

– Sala maceracji. – Sandoval otarł nos chusteczką higieniczną. – Widzi pan, jednym z podstawowych zadań wydziału osteologii jest odbieranie martwych ciał i redukcja ich do kości.

– Ciał? Ludzkich?

Sandoval uśmiechnął się.

– W dawnych czasach, owszem, tak się zdarzało. No wie pan, darowizny na rzecz nauki. Teraz otrzymujemy wyłącznie zwierzęta. Większe okazy są umieszczane w tych kadziach do macerowania. Kadzie są wypełnione ciepłą wodą. Nie są sterylne. Jeżeli pozostawić okaz dostatecznie długo w wodzie, rozpuści się, a po wyciągnięciu korka zostaną wyłącznie kości. – Sandoval wskazał najbliższą kadź wypełnioną czymś, co przypominało mętną zupę. – Tu maceruje się goryl.

W tej samej chwili zjawił się technik pchający wózek z ciałem małpy.

– A to – powiedział Sandoval – makak japoński z zoo w Central Parku. Mamy z nimi umowę, otrzymujemy od nich wszystkie padłe zwierzęta.

D’Agosta przełknął ślinę z niesmakiem. Smród naprawdę był nieprzyjemny, a włoskie smażone pikantne kiełbaski, które zjadł na śniadanie, dziwnie ciężko zaległy mu na żołądku.

– To należało do podstawowych obowiązków Marsali – wyjaśnił Sandoval.

– Nadzorowanie procesu maceracji. Oczywiście pracował też z żukami.

– Z żukami?

– Tędy.

Sandoval wrócił do głównego korytarza, minął kolejnych kilka drzwi, po czym wszedł do następnego laboratorium. W przeciwieństwie do sali maceracji to pomieszczenie było pełne niedużych szklanych pojemników przypominających akwaria. D’Agosta zbliżył się do jednego z nich i zajrzał do środka. Wewnątrz ujrzał coś, co wyglądało jak wielki martwy szczur. Truchło oblazł rój żuków, które żarłocznie pochłaniały padlinę. Niemal słyszał odgłosy towarzyszące pożywianiu się owadów. Cofnął się pospiesznie, mamrocząc pod nosem przekleństwo. Śniadanie nieprzyjemnie

poruszyło się w jego żołądku.

– Chrząszcze wielożerne – wyjaśnił Sandoval. – Skórnikowate. Tak usuwamy tkanki z ciał mniejszych okazów. Dzięki temu szkielety mają doskonałą artykulację.

– Artykulację? – spytał zdumiony D’Agosta.

– No wie pan, po połączeniu kości drutami montujemy je na metalowych ramach do badania lub wystawienia jako eksponat. Marsala dbał o żuki i czuwał nad okazami, które tu przynoszono. Zajmował się odtluszczaniem.

D’Agosta nie zapytał o szczegóły, ale Sandoval i tak mu to wyjaśnił:

– Kiedy z okazji zostają już same kości, zanurza się je w benzenie. Gdy się porządnie wymoczą, stają się białe, a poza tym przestają cuchnąć i w ten sposób usuwane są z nich wszystkie lipidy.

Znowu wrócili do głównego korytarza.

– To należało do jego podstawowych obowiązków – kontynuował Sandoval. – Ale, jak już wspomniałem, Marsala świetnie radził sobie ze szkieletami. Często więc proszono go, by podjął się ich artykulacji.

– Rozumiem.

– Właściwie laboratorium artykulacji stało się nieoficjalnym gabinetem Marsali.

– Proszę mnie tam zaprowadzić.

Ponownie wycierając nos, Sandoval poprowadził porucznika wzdłuż, zdawałoby się niemającego końca, korytarza.

– Tu znajduje się część zbiorów wydziału osteologii – powiedział technik, wskazując następne drzwi. – Kolejne kości, posegregowane taksonomicznie. A teraz wkraczamy w obszar zarezerwowany dla kolekcji wydziału antropologii.

– Co wchodzi w ich skład?

– Szczątki, mumie i wypreparowane szkielety – martwe ciała zebrane przez antropologów, niejednokrotnie pochodzące z pól bitew stoczonych z Indianami, i sprowadzone do muzeum. A także niektóre dzieła sztuki rdzennych Amerykanów. W ostatnich latach sporo ich musieliśmy zwrócić różnym plemionom.

D’Agosta zajrzał przez otwarte drzwi. Dostrzegł rzędy drewnianych regałów z przeszklonymi drzwiczkami, za którymi spoczywało całe mnóstwo tac, a każda była zaopatrzona w stosowną fiszkę z numerem.

Minąwszy jeszcze kilkanaście innych tego rodzaju magazynów, Sandoval wprowadził D'Agostę do laboratorium pełnego stołów roboczych z blatami ze steatytu. Pod przeciwległą ścianą stało kilka biurek z komputerami i różnymi narzędziami.

- To było biurko Marsali – rzekł Sandoval, wskazując jedno z nich.
- Miał dziewczynę? – zapytał D'Agosta.
- Nic o tym nie wiem.

8

Doktor Finisterre Paden cofnął się od urządzenia do dyfrakcji promieni rentgenowskich, nad którym się nachylał, i niemal odbił się od czegoś, co wyglądało jak słup czarnego sukna. Odsunął się z oburzeniem i ujrzał przed sobą wysokiego mężczyznę przyodzianego w czarny garnitur; nieznajomy w jakiś sposób zmaterializował się za nim i musiał stać tuż obok, obserwując go przy pracy.

– Co, u licha? – rzucił z wściekłością Paden, a jego niska korpulentna sylwetka zatrzęsała się z wściekłości. – Kto pana tu wpuścił? To moje biuro!

Mężczyzna nie zareagował i wciąż patrzył na niego oczami barwy białego topazu, a jego twarz miała rysy wyczelowane tak misternie, że wyglądała, jakby wyszła spod dłuta Michała Anioła.

– Pytam jeszcze raz, kim pan jest? – Paden odzyskał swój charakterystyczny dla kustosa spokój. – Ja tu próbuję pracować, a nie mogę tego robić, jeśli ktoś będzie mi przeszkadzał!

– Przepraszam – rzekł kojącym tonem mężczyzna, cofając się o krok.

– No dobrze, ja również – powiedział Paden, nieco udobruchany. – Ale to naprawdę niestosowne, że tak pan tu wparował bez uprzedzenia. I gdzie ma pan plakietkę gościa?

Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął brązowy skórzany portfelik.

– To nie jest plakietka!

Portfelik rozchylił się, ukazując niebiesko-złotą odznakę.

– Och – mruknął Paden, przyjrzawszy się uważniej. – FBI? Wielkie nieba.

– Nazywam się Pendergast. Agent specjalny A.X.L. Pendergast. Czy mogę usiąść?

Paden przełknął ślinę.

– No, chyba tak.

Płynnym, pełnym gracji ruchem agent usadowił się na jedynym oprócz

należącego do Padena fotelu stojącym w gabinecie i założył nogę na nogę, jakby zamierzał zabawić tu dłużej.

– Czy chodzi o morderstwo? – zapytał zdyszczanym głosem Paden. – Bo gdy do niego doszło, nawet nie było mnie w muzeum. Nic o tym nie wiem, nie znałem ofiary. A poza tym nie interesują mnie brzuchonogi. Przez dwadzieścia lat mojej pracy tutaj nigdy, ani razu nie byłem w tej sali. Jeśli więc o to... – Urwał, gdy mężczyzna powoli uniósł dłoń.

– Nie chodzi o morderstwo. Może pan spocznie, doktorze Paden? Bądź co bądź to pański gabinet.

Paden usiadł przy stole roboczym. Na przemian zaplatał i rozplatał ramiona, zastanawiając się, dlaczego ochrona muzeum nie powiadomiła go zawnazasu o tej wizycie i czy powinien odpowiadać na pytania, czy może należy skontaktować się z adwokatem. Tyle że on nie ma adwokata.

– Doktorze Paden, proszę mi wybaczyć nagłe wtargnięcie. Mam mały problem i potrzebuję pańskiej pomocy. Oczywiście nieformalnie.

– Uczynię, co w mojej mocy.

Mężczyzna wyciągnął zaciśniętą dłoń. Jak iluzjonista powoli rozwarł palce, ukazując błękitny kamień. Paden, odetchnąwszy z ulgą, że chodzi tylko o sprawę identyfikacji, wziął kamień i uważnie go obejrzał.

– Turkus – rzekł, obracając minerał w dłoni. – Obły. – Sięgnął po lupę, przyłożył do oka i raz jeszcze obejrzał podany przedmiot. – Wygląda na kamień naturalny, niestabilizowany i na pewno nierekonstruowany, powlekany czy woskowany. Prawdziwy klejnot, o niezwyklej barwie i kompozycji. Nader niezwyklej, jeśli chodzi o ścisłość. Powiedziałbym, że jest wart sporą sumkę, może nawet ponad tysiąc dolarów.

– Co czyni go tak cennym?

– Barwa. Większość turkusów ma kolor niebieski, często z lekkim zielonkawym nalotem. Ale ten minerał ma ciemnobłękitną czystą barwę niemal w spektrum ultrafioletowym. To w połączeniu z otaczającą go złotą siatką macierzystą jest ogromną rzadkością. – Paden odłożył lupę i oddał kamień Pendergastowi. – Mam nadzieję, że panu pomogłem.

– W rzeczy samej – padło w odpowiedzi – ale miałem nadzieję, że powie mi pan, skąd pochodzi ten turkus.

Paden znów wziął go do ręki, tym razem na nieco dłużej.

– Cóż, na pewno nie jest irański. Podejrzewam, że jest amerykański,

z południowego zachodu. Zdumiewająca błękitna barwa i złota siatka macierzysta. Powiedziałbym, że pochodzi z Nevady, Arizony lub ewentualnie z Kolorado.

– Doktorze Paden, mówiono mi, że jest pan jednym z czołowych światowych ekspertów, jeżeli chodzi o turkusy. Widzę, że się nie pomyliłem.

Paden lekko pochylił głowę. Zdumiał się, że stróż prawa okazał się tak szacownym, elokwentnym i wnikliwym dżentelmenem.

– Ale widzi pan, doktorze Paden, muszę wiedzieć, z której konkretnie kopalni pochodzi ten turkus.

Mówiąc te słowa, błąd jak śmierć agent FBI spojrział na kustosa świdrującym wzrokiem. Paden przesunął dłonią po łysinie.

– No cóż, panie... ee... Pendergast... to zupełnie inna para kaloszy.

– Jak to?

– Nie potrafię na podstawie wstępnych oględzin stwierdzić, skąd pochodzi ten kamień, konieczne będzie dokładniejsze badanie. Widzi pan – tu Paden nieco się wyprostował, rozwijając swój ulubiony temat – turkus to uwodniony fosforan miedzi i aluminium, który tworzy się wskutek przesiąkania wody przez skałę, głównie wulkaniczną, z dużą ilością szczelin i pustych przestrzeni. Woda zawiera rozpuszczone siarczki i fosforany miedzi, które w szczelinach wytrącają się w turkusy. Turkusy z południowego zachodu niemal zawsze pojawiają się w miejscach, gdzie obok złóż siarczków miedzi można znaleźć skalenie potasu z intruzjami porfiru. Mogą one również zawierać limonit, piryt i inne tlenki żelaza.

Wstał i podszedł na swoich krótkich grubych nogach do olbrzymiej szafki, schylił się i wysunął jedną z szuflad.

– Oto niewielki, lecz wyjątkowy zbiór turkusów pochodzących bez wyjątku z prehistorycznych kopalni. Korzystamy z nich, żeby pomóc archeologom w ustaleniu źródła pochodzenia prehistorycznych turkusowych artefaktów. Proszę podejść, niech pan się przyjrzy.

Paden przywołał do siebie agenta, po czym wziął od niego próbkę turkusu i szybko porównał ją z innymi znajdującymi się w szufladzie.

– Nie widzę tu nic, co mogłoby pasować, ale turkusy różnią się wyglądem, nawet jeśli pochodzą z dwóch części tej samej kopalni. A to tylko niewielka próbka. Weźmy ten turkus z Cerrillos, z kopalni Cerillos, na południe od Santa Fe. Ten rzadki okaz pochodzi ze słynnego prehistorycznego

stanowiska znanego jako Góra Chalchihuitl. Ma barwę kości słoniowej i jasnowapienną podstawę macierzystą. To eksponat o wielkiej wartości historycznej, choć nie jest najwyższej jakości. A tu mamy przykłady prehistorycznego turkusu z Nevady...

– To nader ciekawe – rzekł łagodnym tonem Pendergast, przerywając monolog uczonego. – Wspomniał pan o badaniach. Jakie byłyby konieczne?

Paden odchrząknął. Nieraz upominano go, że ma tendencję do gadulstwa, gdy mówi na swój ulubiony temat, że nie wie, kiedy powinien skończyć.

– Konieczne będzie przeprowadzenie gruntownej analizy pańskiego kamienia – turkusu i skały macierzystej – na kilka różnych sposobów. Zacznę od indukowanej przez protony analizy rentgenowskiej. Polega ona na tym, że w próżni kamień jest bombardowany protonami, którym nadano olbrzymią prędkość, i na podstawie tej analizy badana jest emisja promieni rentgenowskich. Na szczęście mamy wyśmienite laboratorium mineralogiczne. Chciałby pan je zobaczyć? – Uśmiechnął się radośnie do Pendergasta.

– Nie, dziękuję. Cieszy mnie jednak, że zechciałby pan podjąć się tego zadania.

– Ależ oczywiście! Tym się właśnie zajmuję. Robię to głównie dla archeologów, ale mogę także dla FBI. Jestem do pańskich usług, agencie Pendergast.

– Niemal zapomniałem wspomnieć o moim małym problemie.

– To znaczy?

– Analiza ma zostać przeprowadzona do jutra, do południa.

– Co? Niemożliwe! To zajmie kilka tygodni! Minimum miesiąc!

Długa pauza.

– Ale fizycznie byłby pan w stanie uporać się do jutra z tą analizą?

Paden poczuł, że cierpnie mu skóra. Nie był wcale pewien, czy ten człowiek jest tak miły i sympatyczny, jak się początkowo wydawał.

– No cóż... – Odchrząknął. – Fizycznie, jak sądzę, możliwe jest przeprowadzenie wszystkich niezbędnych badań i uzyskanie wstępnych wyników, ale oznaczałoby to pracę non stop przez dwadzieścia godzin. I wcale nie jest powiedziane, że moje wysiłki zostaną zwieńczone powodzeniem.

– A to dlaczego?

– Wszystko będzie zależało od tego, czy ten szczególny rodzaj turkusu był już wcześniej badany i czy jego chemiczna sygnatura jest zapisana w bazie danych. Przeprowadziłem wiele analiz tych minerałów dla archeologów. To pomaga im na przykład w ustaleniu dawnych szlaków handlowych. Jeżeli jednak ten turkus pochodzi z nowszej kopalni, może się okazać, że nigdy nie był poddany analizie. Im starsza kopalnia, tym większa szansa na sukces.

Cisza.

– Czy mogę prosić, doktorze Paden, by zechciał pan podjąć się tego zadania?

Paden znów pogładził się po łysince.

– Prosi mnie pan, żebym przez następne dwadzieścia godzin nie zmrużył oka, lecz zajął się pańską sprawą?

– Tak.

– Mam żonę i dzieci, panie Pendergast! Dziś jest niedziela. Normalnie nawet by mnie tu nie było! A nie jestem już najmłodszy.

Agent zamyślił się przez chwilę. A potem płynnym ruchem sięgnął do kieszeni i wyjął z niej coś, co ukrył w zaciśniętej dłoni tak jak wcześniej turkus. Powoli rozwarł palce. Na jego dłoni spoczywał niewielki, błyszczący, czerwonobrazowy szlifowany kamień o wadze mniej więcej jednego karata. Paden instynktownie spojrzał na niego i przyłożywszy lupę do oka, uważnie obejrzał nieduży przedmiot, obracając go to w jedną, to w drugą stronę.

– O rany. O rany. Mocna wielobarwność...

Wziął ze stołu małą ręczną lampę ultravioletową i ją włączył. Kamień natychmiast zmienił barwę na seledynowozieloną. Paden uniósł wzrok, miał rozszerzone oczy.

– Paitit.

Agent FBI pochylił głowę.

– Nie myliłem się, uważając pana za wyśmienitego mineraloga.

– Skąd pan to wziął, na Boga?

– Mój stryjeczny pradziadek był kolekcjonerem, zbieraczem osobliwości. Kolekcję tę odziedziczyłem po nim wraz z domem. Wziąłem ten kamień z jego zbiorów, żeby pana zmotywować. Kamień będzie pana, jeżeli upora się pan na czas z moim zleceniem.

– Ale ten kamień musi być wart... wielkie nieba, nie ośmielę się nawet spekulować na temat jego ceny. Paitit to jeden z najrzadszych kamieni

szlachetnych na Ziemi!

– Doktorze Paden, informacja dotycząca kopalni, z której pochodzi ten turkus, jest dla mnie o wiele cenniejsza niż ten kamień. A teraz pytam: robi pan to? I – dodał oschłym tonem – czy jest pan pewien, że żona i dzieci nie będą mieć panu tego za złe?

Paden już poderwał się na nogi. Włożył turkus do zamykanej foliowej torebki i koncentrował się teraz na tym, jakie chemiczne i mineralogiczne testy będzie musiał przeprowadzić w ciągu najbliższych kilkunastu godzin.

– Czy będą mieć mi to za złe? – rzucił przez ramię, znikając w czeluściach swojego laboratorium. – A kogo to, u licha, obchodzi?

Porucznik D'Agosta trzy razy skręcił źle i dwukrotnie musiał zapytać o drogę, aż w końcu zdołał znaleźć wyjście z labiryntu wydziału osteologii na parter. Przeszedł przez Wielką Rotundę i wolno zbliżał się ku wejściu, pogrążony w myślach. Jego spotkanie z głównym kustoszem Morrisem Frisbym okazało się stratą czasu. Żadna z przeprowadzonych przez niego rozmów nie rzuciła nowego światła na sprawę morderstwa. Wciąż nie wiedział, jak sprawcy udało się wydostać z muzeum.

Błąkał się po tym budynku od rana i teraz bolały go nogi, a na dodatek czuł łupanie w krzyżu. Ta zbrodnia wyglądała coraz bardziej na typowe zafajdane nowojorskie morderstwo, przypadkowe, bezmyślne, a co za tym idzie, wyjątkowo trudne do rozwiązania. Żaden z tropów nie okazał się na tyle obiecujący, żeby można było nim podążyć. Wszyscy potwierdzili, że Victor Marsala, choć miał paskudny charakter, był dobrym i rzetelnym pracownikiem. Nikt w muzeum nie miał powodu, żeby chcieć go zabić. Jedyne potencjalny podejrzany – Brixton, specjalista od nietoperzy, który miał z Marsalą na pieńku, odkąd posprzeczali się dwa miesiące temu – wyjechał i w dniu morderstwa przebywał poza krajem. A poza tym ten człowiek nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego psychopaty o morderczych skłonnościach. Członkowie ekipy D'Agosty przesłuchali już sąsiadów Marsali z Sunnyside w Queensie. Wszyscy zgodnie opisywali go jako cichego, spokojnego samotnika, stroniącego od ludzi. Nie miał dziewczyny. Nie balował. Nie brał narkotyków. Nie miał przyjaciół, może z wyjątkiem technika osteologii Sandovala. Rodzice, którzy mieszkali w Missouri, nie widzieli syna od lat. Ciało znaleziono w ustronnym, rzadko odwiedzanym zakątku muzeum, bez portfela, zegarka i jakichkolwiek drobiazków. D'Agosta nie miał najmniejszych wątpliwości, że była to nieudana próba napaści i rabunku, która zakończyła się fatalnie. Marsala stawiał opór, a durny napastnik wpadł w panikę, zabił go i zawłókł do muzealnej wnęki.

Co gorsza, materiałów dowodowych było zatrzęsienie. D'Agosta z zespołem tonęli pod ich nawalem. Miejsce zbrodni obfitowało w resztki włókien, fragmenty włosów i odcisków palców. Tysiące ludzi przeszło przez tę salę, odkąd została ona gruntownie wysprządana, a szyby gablot umyte – pozostało na nich mnóstwo tłustych śladów. Porucznik zlecił kilku detektywom przejrzenie nagrań z monitoringu, ale dotąd nie udało się odkryć niczego podejrzanego. Sztab dwustu ludzi pracował wczoraj do późna. To tyle, jeżeli chodzi o wolny weekend. D'Agosta wiedział już, co będzie dalej – przyjdzie mu borykać się z tym morderstwem przez kolejny tydzień lub dwa, zmarnuje czas na dochodzenie, które zabrnęło w ślepią uliczkę. Potem sprawa trafi do akt i powoli będzie stygnąć, ot jeszcze jedno nierozwikłane zabójstwo z megabajtami transkrypcji z rozmów i przesłuchań, zdigitalizowanych zdjęć i analiz techników sądowych, rozlewających się po bazie danych policji nowojorskiej jak fale mętnej rzeki obmywające podstawę pirsu, a jedynym rezultatem będzie obniżenie współczynnika skuteczności rozwiązanych przez D'Agostę zbrodni.

Gdy ruszył w stronę wejścia i przyspieszył kroku, zauważył znajomą postać: wysoką sylwetkę agenta Pendergasta maszerującego energicznie po wypolerowanej marmurowej posadzce, w czarnym garniturze, którego poły unosiły się za nim, falując. Zdziwił się, dostrzegając go w muzeum. Nie widział się z Pendergastem od uroczystej prywatnej kolacji, którą agent urządził miesiąc temu, aby uczcić zbliżający się ślub przyjaciela. Posiłek i towarzyszące daniom wina były niezwykłe. Pendergast przygotował wszystko sam z pomocą japońskiej gosposi. Jedzenie było niewiarygodnie pyszne... Przynajmniej dopóki Laura, żona D'Agosty, nie rozpracowała dzień później wyszukanego menu. Okazało się, że zjedli między innymi zupę na rybach wargach i wnętrznościach (*sup bibic ikan*) oraz krowi żołądek gotowany na wolnym ogniu, z bekonem, koniakiem i białym winem (*tripes à la mode de Caen*). Jednak najważniejszym akcentem tej uroczystej kolacji był sam Pendergast. Doszedł już do siebie po tragedii, jaka dotknęła go osiemnaście miesięcy temu, a po powrocie z wyprawy do kurortu narciarskiego w Kolorado przestał być bardzo blady i chudy jak szkielet. Po raz pierwszy od dłuższego czasu wyglądał na w pełni sprawnego fizycznie i stabilnego emocjonalnie, choć jak zwykle zachowywał dystans i chłodną rezerwę.

– Hej, Pendergast! – D’Agosta pospiesznie przeszedł przez rotundę i uściskał dłoń agenta.

– Vincent. – Białe oczy agenta na moment odnalazły spojrzenie porucznika. – Miło cię widzieć.

– Raz jeszcze chciałem podziękować za kolację. Przeszedłeś sam siebie, a to wiele dla mnie znaczy. Dla nas obojga.

Pendergast jakby od niechcienia pokiwał głową, wodząc wzrokiem dokoła. Sprawiał wrażenie, że coś zaprzęta jego umysł.

– Co tu robisz? – zapytał D’Agosta.

– Musiałem... skonsultować się z pewnym kustoszem.

– To zabawne. Ja również. – D’Agosta zaśmiał się. – Jak za starych czasów, no nie?

Pendergast nie wyglądał na rozbawionego.

– Czy mógłbyś wyświadczyć mi drobną przysługę?

Pytanie spotkało się z niewyraźnym, wymijającym spojrzeniem agenta.

D’Agosta poszedł za ciosem.

– Ledwie wróciłem z miesiąca miodowego, a Singleton przydzielił mi dochodzenie w sprawie morderstwa. Ubiegłej nocy na wydziale osteologii znaleziono zwłoki technika. Miał rozbitą głowę, a jego ciało wciśnięto do jednej z bocznych wnęk. Wygląda to na próbę rabunku, która zakończyła się morderstwem. Masz nosa do takich spraw i jestem ciekaw, czy mógłbyś wyrazić swoją opinię w tej kwestii, może podsunąłbyś mi coś...

Podczas krótkiego monologu D’Agosty Pendergast stawał się coraz bardziej niespokojny. Teraz agent spojrzał na porucznika tak przenikliwym wzrokiem, że ten natychmiast zamilkł w pół słowa.

– Przykro mi, mój drogi Vincencie, ale obawiam się, że nie mam obecnie czasu ani ochoty, żeby rozmawiać z tobą o jakimkolwiek śledztwie.

A potem, prawie niedostrzegalnie skinąwszy głową, obrócił się i ruszył szybkim krokiem w kierunku wyjścia z muzeum.

10

W głębi urządzonych w stylu wytwornego niemieckiego renesansu apartamentów Dakota, na samym końcu ciągu trzech połączonych ze sobą, gwarantujących prywatność pomieszczeń, za przesuwaną ścianą z drewna i papieru ryżowego znajdował się *uchi-roji*, wewnętrzny ogródek japońskiej herbaciarni. Ścieżka z płaskich kamieni wiła się wśród karłowatych, wiecznie zielonych roślin. Powietrze było przepelnione zapachem eukaliptusów i trelami niewidocznych ptaków. W oddali znajdowała się herbaciarnia, mała i nieskazitelna, ledwie widoczna w słabym świetle mającym sugerować późne popołudnie.

Ten swoisty cud – prywatny ogród w przepięknej miniaturze, założony w wytwornym apartamentowcu na Manhattanie – został zaprojektowany przez agenta Pendergasta jako miejsce medytacji i odmładzania duszy. Obecnie agent siedział na ławeczce wyciosanej z drewna keyaki, stojącej przy kamiennej ścieżce, i wpatrywał się w staw, w ciemną wodę, gdzie pomarańczowo-białe rybki śmigły chaotycznie we wszystkich kierunkach jak rozmazane cienie.

Zwykle sanktuarium to przynosiło mu ulgę, pozwalając oderwać się od trosk tego świata, lub przynajmniej tymczasowe zapomnienie. Ale tego popołudnia nie mógł liczyć nawet na odrobinę spokoju.

Z kieszeni marynarki agenta dobiegł świergot. To jego komórka, ten numer telefonu znało zaledwie kilka osób. Spojrzał na wyświetlacz i zobaczył napis „Numer nieznanym”.

– Tak?

– Agencie Pendergast – rozległ się oschły głos bezimiennego agenta CIA, z którym spotkał się dwa dni temu na strzelnicy. Wcześniej dało się w nim wyczuć nutę ironii, jakby oderwanie od codzienności. Dziś jego ton był inny, pozbawiony ironii.

– Tak? – powtórzył Pendergast.

– Dzwonię, bo wiem, że wolałby pan usłyszeć złe wieści możliwie jak najprędzej.

Pendergast mocniej ścisnął w dłoni aparat.

– Proszę mówić.

– Złe wieści są takie, że nie ma w ogóle żadnych wieści.

– Rozumiem.

– Użyłem rozmaitych sposobów, sporo zainwestowałem i skorzystałem z przysług, które byli mi winni różni ludzie tak w kraju, jak za granicą. Zaryzykowałem dekonspirację tajnych agentów w nadziei, że organizacje rządowe niektórych obcych państw mogą ukrywać informacje dotyczące Operacji Wildfire. I nic. Nie ma śladu, że Alban kiedykolwiek pojawił się czy to w Brazylii, czy w jakimkolwiek innym kraju. Brak dowodów świadczących o tym, że wjechał na terytorium Stanów. I służba celna, i Biuro Ochrony Wewnętrznej Państwa przepuściły jego zdjęcia przez swoje serwery, ale bez rezultatu. Także u nas, w służbach lokalnych i federalnych, nie ma żadnego tropu, którym można by podążyć.

Pendergast wysłuchiwał tego wszystkiego w milczeniu.

– Oczywiście nadal istnieje możliwość, że pojawi się jakaś cenna przeoczona informacja w którejś z podrzędnej baz danych. Wykorzystałem jednak wszystkie dostępne kanały i to w szerszym zakresie niż kiedykolwiek.

Pendergast wciąż milczał.

– Przykro mi – kontynuował głos w komórce. – To dla mnie... prawdziwa porażka. W moim fachu, jeśli dysponuje się zasobami, jakie są mi dane, człowiek przyzwyczaja się do sukcesów. Niestety podczas naszego ostatniego spotkania wykazałem się przesadną pewnością siebie, niepotrzebnie wzbudziłem w panu złudne nadzieje.

– Nie ma za co przeproszać – odrzekł Pendergast. – Nie łudziłem się nadzieją na sukces. Alban był nadzwyczajny.

Zapadła krótka cisza, zanim mężczyzna znów się odezwał.

– Być może chciałby pan wiedzieć, że porucznik Angler, nowojorski policjant prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa pańskiego syna... Rzuciłem okiem na kilka jego wewnętrznych raportów. Bardzo się panem interesuje.

– Doprawdy?

– Pańska niechęć do współpracy i ogólna postawa wzbudziły jego

podejrzliwość. Na przykład pana obecność przy autopsji. I zainteresowanie turkusem, który udało się panu wypożyczyć z magazynu materiałów dowodowych policji nowojorskiej, a którego, o ile wiem, wciąż nie raczył pan zwrócić, choć minął ustalony termin. Angler może zacząć sprawiać panu kłopoty.

– Dziękuję za ostrzeżenie.

– Nie ma za co. Raz jeszcze przepraszam, że nie udało mi się ustalić niczego więcej. Nadal będę miał oko na wiadomą sprawę. Gdybym mógł jeszcze w czymś pomóc, proszę zadzwonić na główny numer do Langley i poprosić o przełączenie do sektora Y. Gdyby coś się zmieniło, dam panu znać.

Połączenie zostało przerwane.

Pendergast siedział przez chwilę, wpatrując się w komórkę. A potem wsunął ją do kieszeni i przeszedłszy po kamiennym chodniku, opuścił herbaciany ogród.

W dużej kuchni w prywatnej części apartamentu gospoia Pendergasta Kyoko Ishimura siekała właśnie szalotki. Gdy agent FBI ją minął, odwróciła się i używając języka migowego, dała mu do zrozumienia, że czeka na niego nagrana wiadomość telefoniczna. Podziękował skinieniem głowy, po czym poszedł korytarzem do swojego gabinetu, sięgnął po telefon i nawet nie siadając za biurkiem, odsłuchiwał wiadomość.

– Ee... panie Pendergast – rozległ się urywany, zdyszany głos doktora Padena, mineraloga z muzeum. – Przeprowadziłem analizę próbki, którą zostawił pan u mnie wczoraj, wykonałem dyfrakcję promieni rentgena, badanie mikroskopowe jasności pola, fluorescencję, polaryzację, iluminację diaskopową i episkopową oraz kilka innych badań. To z całą pewnością turkus naturalny: twardość sześć, współczynnik refrakcji jeden przecinek sześćset czternaście, a ciężar gatunkowy rzędu dwa przecinek osiemdziesiąt siedem, i – jak wczoraj wspomniałem – brak oznak stabilizacji czy rekonstrukcji. Jakkolwiek ta próbka przejawia pewne... hm... osobliwe właściwości. Ziarnistość jest niezwykła sama w sobie z uwagi na wielkość. Nigdy nie widziałem takiej półprzejrzystości w dużej skale macierzystej. No i barwa... ten kamień nie pochodzi z żadnej dobrze znanej kopalni i nie ma w bazie danych zapisów tego rodzaju sygnatury chemicznej. Innymi słowy, obawiam się, że to rzadki okaz z jakiejś małej kopalni, którą trudno będzie

panu zidentyfikować, i że będę potrzebował dużo więcej czasu, niż sądziłem. Mam nadzieję, że zechce pan uzbroić się w cierpliwość i nie zażąda zwrotu painitu, podczas gdy ja...

Pendergast nie zadał sobie trudu, by odsłuchać resztę wiadomości. Skasował ją zdecydowanym naciśnięciem palca i odłożył słuchawkę. Dopiero wtedy usiadł, opierając łokcie na polerowanym blacie biurka, i wsunąwszy złączone dłonie przed brodę, siedział dłuższą chwilę, wpatrując się niewidzącym wzrokiem gdzieś w przestrzeń.

Constance Greene siedziała w pokoju muzycznym rezydencji przy Riverside Drive i grała cicho na klawikordzie. To był cudowny instrument, wykonany w Antwerpii w latach sześćdziesiątych siedemnastego wieku przez sławnego Andreasa Ruckersa II. Drewno o pięknych słojach ozdobiono przy krawędziach złoceniami, a spód wieka pudła rezonansowego przedstawiał malowidło z sielankową sceną – nimfy i satyry na skąpanej słońcem polanie.

Pendergast nie przepadał za muzyką. I choć upodobania Constance były w dużej mierze ograniczone do baroku i wczesnych okresów klasycznych, to wykazała się wielkim talentem do gry na klawikordzie, więc z nieskrywaną radością nabył dla niej najwspanialszy dostępny na rynku instrument z epoki. Oprócz klawikordu umeblowanie pokoju było skromne, lecz gustowne. Przed perskim dywanem ustawiono dwa nieco podniszczone skórzane fotele, a po obu ich stronach identyczne stojące lampy od Tiffany'ego. Na jednej ze ścian umieszczono wnękowy regał z zapisami nutowymi dzieł kompozytorów muzycznych z siedemnastego i osiemnastego wieku w wydaniach urtekstowych. Na przeciwległej ścianie oprawione w ramki wisiły stronice odręcznie zapisanych utworów, oryginalne holografy Telemanna, Scarlatti'ego, Haendla i innych.

Nierzadko Pendergast zakradał się tu niczym duch i siadał w jednym z foteli, podczas gdy Constance grała. Tym razem uniosła wzrok i ujrzała go stojącego w drzwiach. Jej brwi wygięły się w łuki jakby w niemym pytaniu, czy powinna przestać grać, ale on tylko pokręcił głową. Kontynuowała więc Preludium do *Das Wohltemperierte Klavier* w tonacji cis-moll nr 2 Bacha. Kiedy bezbłędnie grała krótki utwór muzyczny, piekielnie szybkie i gęste od pasaży ostinato, Pendergast nie zajął swojego zwyczajowego miejsca, lecz niespokojnie krążył po pokoju, podszedł do regału i przeglądał jedną z ksiąg z zapisami nutowymi dawnych utworów. Dopiero gdy skończyła, usiadł

w skórzanym fotelu.

– Pięknie grasz, Constance – powiedział.

– Dziewięćdziesiąt lat praktyki pomaga udoskonalić technikę – odparła, a na jej ustach pojawił się cień uśmiechu. – Jakies nowiny o Proctorze?

– Wyjdzie z tego. Już go przenieśli z OIOM-u. Ale będzie musiał spędzić kilka tygodni w szpitalu, a potem czeka go jeszcze tydzień lub dwa rehabilitacji.

W pokoju zapadła cisza. Nagle Constance wstała od klawikordu i zasiadła w drugim fotelu.

– Coś cię trapi – powiedziała.

Pendergast nie odpowiedział od razu.

– Oczywiście chodzi o Albana. Nie powiedziałaś ani słowa, odkąd... od tamtego wieczoru. Jak się trzymasz?

Pendergast wciąż milczał, leniwie wertując zapisy nutowe. Constance także zamilkła. Ona bardziej niż ktokolwiek inny wiedziała, że Pendergast nie cierpi rozmawiać o swoich emocjach. Ale instynktownie wyczuwała, że przyszedł zapytać ją o radę. Dlatego czekała.

Wreszcie Pendergast zamknął stary wolumin.

– Emocji, jakie mną targają, nie pragnąłby z pewnością żaden ojciec. Nie czuję smutku. Żal owszem, być może. Ale także coś w rodzaju ulgi, że światu jednak oszczędzone zostało zło, jakie mógł wyrządzić Alban z jego chorym, pokręconym umysłem.

– To zrozumiałe. Ale on... był przecież twoim synem.

Nagle Pendergast cisnął wolumin, wstał i ponownie zacząć spacerować po pokoju w tę i z powrotem.

– A jednak najsilniejszym odczuciem, które mnie przepełnia, jest oszołomienie i zakłopotanie. Jak zdołali tego dokonać? Jak go pojмали i zabili? Bądź co bądź Alban miał prawdziwy dar przetrwania. Szczególne zdolności... Dopadnięcie go musiało wymagać mnóstwa wysiłku, kosztów i drobiazgowego planowania. Nigdy nie spotkałem się z tak doskonałą zbrodnią, gdzie jedynymi dowodami są te, które miały być pozostawione, i nic więcej. Ale najbardziej zastanawia mnie, dlaczego ktoś to zrobił. Jaką wiadomość pragnął mi w ten sposób przekazać?

– Przyznaję, że jestem równie skonfundowana jak ty. – Constance zamilkła. – Czy twoje prywatne śledztwo przyniosło jakieś rezultaty?

– Jedyne prawdziwy dowód – turkus znaleziony w żołądku Albana – jak dotąd nie został zidentyfikowany. Właśnie odebrałem w tej sprawie telefon od doktora Padena, mineraloga z Muzeum Historii Naturalnej. Nie spodziewa się większego sukcesu, a przynajmniej w jego głosie brakowało pewności siebie.

Constance przyglądała się spacerującemu nerwowo agentowi.

– Nie możesz się tym zamartwiać – wyszeptała w końcu.

Odwrócił się i lekceważąco machnął ręką.

– Powinieneś znaleźć sobie nową sprawę. Z pewnością jest wiele nierozwiązanych zabójstw, które tylko czekają, żebyś się nimi zajął.

– W tym mieście nigdy nie brakuje pospolitych, prostackich zbrodni, niewartych najmniejszego mentalnego wysiłku. Czemu miałbym zawracać sobie nimi głowę?

Constance wciąż mu się przyglądała.

– Potraktuj to jako odskocznię. Są dni, gdy przyjemność sprawia mi zagranie utworu napisanego dla osoby początkującej. To pozwala oczyścić umysł.

Pendergast odwrócił się do niej.

– Po co mam marnować czas na błahostki, gdy stoję w obliczu wielkiej zagadki, jaką jest zabójstwo Albana? Ktoś o rzadkich zdolnościach pragnie wciągnąć mnie w złowieszczą grę, której szczegóły zna tylko on. Nie wiem, kim jest mój przeciwnik, jaką grę ze mną prowadzi, ba, nie znam nawet jej reguł.

– I właśnie dlatego powinieneś dać się pochłonąć czemuś zupełnie innemu – odparła Constance. – Oczekując na rozwój wypadków, skup się na prostej sprawie. W przeciwnym razie... utracisz równowagę.

Ostatnie słowa wypowiedziała powoli i z wielkim przekonaniem.

Pendergast wlepił wzrok w podłogę.

– Oczywiście masz rację.

– Podpowiadam ci to, bo mi na tobie zależy, i wiem, w jaką obsesję i szaleństwo może cię wpędzić ta niezwykła sprawa. Dostyc już wycierpiałeś.

Pendergast zatrzymał się na chwilę. A potem podszedł do Constance, nachylił się do niej i uniósłszy jej podbródek, ucałował ją delikatnie, czym ją zaskoczył.

– Jesteś moją wyrocznią – powiedział krótko.

11

Vincent D'Agosta siedział przy stoliku w niewielkim pomieszczeniu, które wybrał na swoje terenowe biuro w Nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej. Potrzeba było sporego samozaparcia, żeby wyrwać je z łap tutejszej administracji. Z wyraźnym oporem i niechęcią zrezygnowano na jego rzecz z pustego pokoju na drugim końcu wydziału osteologii, na szczęście z dala od cuchnących kadzi do macerowania.

Teraz D'Agosta wysłuchiwał relacji jednego ze swoich ludzi, detektywa Jimeneza, dotyczącej oględzin zapisów taśm ochrony z dnia, gdy dokonano morderstwa. Można by streścić wszystko w jednym słowie: zero, D'Agosta udawał jednak, że słucha śledczego z zainteresowaniem. Nie chciał, aby tamten uznał, że jego praca nie została doceniona.

– Dziękuję, Pedro – rzekł D'Agosta, odbierając pisemny raport.

– Co dalej? – zapytał Jimenez.

D'Agosta zerknął na zegarek. Było piętnaście po czwartej.

– Ty i Conklin macie już dzisiaj wolne, możecie iść na piwo, zasłużyliście. Odprawa jutro rano o dziesiątej. Wtedy podsumujemy wszystkie dotychczasowe wyniki.

Jimenez uśmiechnął się.

– Dziękuję, panie poruczniku.

D'Agosta odprowadził detektywa wzrokiem. Miał olbrzymią ochotę dołączyć do kolegów. Ale nic z tego – czekały go obowiązki. Z głośnym westchnieniem pospiesznie przewertował raport Jimeneza. Następnie, odłożywszy go na bok, wyjął z aktówki tablet i zaczął przygotowywać własny raport – dla kapitana Singletona.

Pomimo wyczerpanych wysiłków całego zespołu i pracy w nadgodzinach nie udało się odkryć żadnego obiecującego tropu w sprawie zabójstwa Victora Marsali. Nie było żadnych naocznych świadków. Zapisy ochrony nie zarejestrowały nic niezwykłego. Najistotniejszą kwestią było pytanie, w jaki

sposób ten cholerny sprawca zdołał wydostać się z muzeum. Od początku próbowali rozwikłać tę zagadkę.

Materiały dowodowe zebrane przez ekspertów okazały się nieistotne. Brakowało powodu, dla którego Marsala mógł paść ofiarą odwetu ze strony swoich współpracowników, a ci, którzy mieli z nim na pieńku, dysponowali niepodważalnym alibi. Jego życie prywatne było przeraźliwie nudne i prawomyślne. D'Agosta poczuł się urażony, że po tylu latach pracy w policji został obarczony przez kapitana Singletona taką sprawą.

Zaczął przygotowywać raport. Zawarł w nim przebieg dotychczasowego śledztwa, liczbę osób, które przesłuchano, a także informacje na temat Marsali zebrane w wywiadzie środowiskowym, wyniki pracy ekip techników śledczych oraz ekspertów sądowych, analizy zapisów z monitoringu w muzeum i zeznania pozostałych strażników ochrony. Zasugerował, by następnym krokiem, o ile Singleton zechce to zatwierdzić, było rozszerzenie przesłuchań poza wydział osteologii. Oznaczałoby to przeprowadzenie wywiadów środowiskowych i sporządzenie korelacji krzyżowych całego personelu, który pracował tamtego wieczoru do późna, a może nawet wszystkich pracowników muzeum, niezależnie czy byli tego dnia w pracy, czy nie.

D'Agosta podejrzewał, że Singleton nie zdecyduje się na to. Trzeba by przeznaczyć dużo czasu, przydzielić więcej ludzi – nakłady zbyt wysokie, a szanse, że wysiłek zakończy się powodzeniem, niewielkie. Nie, prawdopodobnie dochodzenie zostanie zlecone mniejszej ekipie śledczej i zepchnięte na dalszy plan. Z czasem i tej ekipie zostaną powierzone inne zadania. Tak to już było z zimnymi sprawami.

Skończył raport, przeczytał go pospiesznie, przesłał do Singletona i wyłączył tablet. Kiedy uniósł wzrok, z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że na krześle przed jego niewielkim biurkiem siedzi Pendergast. Nie zauważył ani nawet nie usłyszał, że agent wszedł do środka.

– Jezu! – rzucił D'Agosta, biorąc głęboki oddech, żeby otrząsnąć się z szoku. – Lubisz zaskakiwać ludzi i podkradać się do nich, no nie?

– Przyznaję, że to zabawne. Większość ludzi w ogóle nie zwraca uwagi na to, co dzieje się wokół nich.

– Dzięki za uświadomienie mi tej prostej prawdy. To co cię tu sprowadza?

– Ty, mój drogi Vincencie.

D'Agosta przyjrzał mu się uważnie. Dzień wcześniej dowiedział się o śmierci syna Pendergasta, więc zrozumiał, dlaczego ten potraktował go tak oschle podczas spotkania w muzeum.

– Posłuchaj – zaczął trochę niepewnie. – Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Wiesz, kiedy podszedłem do ciebie w rotundzie, nie wiedziałem o twoim synu. Dopiero co wróciłem z miesiąca miodowego i nie byłem na bieżąco z wydziałowymi sprawami...

Pendergast uniósł rękę, a D'Agosta zamilkł.

– Jeżeli ktoś miałby przeprosić, to raczej ja.

– Daj spokój.

– Konieczne jest krótkie wyjaśnienie. Potem byłbym zobowiązany, gdybyśmy nie wracali do tego tematu.

– Wal.

Pendergast wychylił się lekko do przodu.

– Wiesz, Vincencie, że mam syna Albana. To stuprocentowy psychopata. Ostatni raz widziałem go półtora roku temu. Znikł w brazylijskiej dżungli po dopuszczeniu się w Nowym Jorku serii zabójstw, ochrzczony przez media mianem Zabójcy z Hotelu.

– Nie słyszałem o tym.

– Od tamtej pory jakby się zapadł pod ziemię... aż cztery dni temu jego ciało podrzucono wieczorem pod drzwi mojego domu. Nie mam pojęcia, kto i w jaki sposób tego dokonał. Śledztwo prowadzi porucznik Angler i obawiam się, że nie jest osobą nadającą się do tego zadania.

– Dobrze go znam. To niezły śledczy.

– Nie wątpię, że jest kompetentny. Właśnie dlatego poleciłem swojemu współpracownikowi obdarzonemu wyjątkową smykałką do komputerów, żeby wykasował z archiwów policji nowojorskiej wszystkie dowody dotyczące DNA Zabójcy z Hotelu. Może przypominasz sobie, że sporządziłeś oficjalny raport stwierdzający, że Alban i Zabójca z Hotelu to jedna i ta sama osoba. Na moje szczęście nikt nigdy nie potraktował tego raportu poważnie. Wolałem jednak, żeby Angler nie natrafił na niego, gdyby zechciał porównać DNA mojego syna z tym, co macie w swoich bazach danych.

– Chryste. Nie chcę słyszeć nic więcej.

– Tak czy owak, Angler ma do czynienia z najbardziej niezwykłym zabójcą i na pewno nie uda mu się go znaleźć. Ale to akurat moje zmartwienie. Stąd

moja obecność tutaj. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, wspomniałeś, że chciałeś zasięgnąć mojej rady co do jakiegoś dochodzenia.

– Jasne. Ale na pewno masz teraz ważniejsze sprawy...

– Chętnie zajmę umysł czymś innym.

D'Agosta spojrział na agenta FBI. Był chudy jak zwykle, ale wydawał się spokojny i opanowany. W jego wzroku znów pojawił się lodowaty chłód. Pendergast był najdziwniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał, i tylko Bóg wiedział, jakie emocje kotłują się w jego wnętrzu.

– Dobrze. Świetnie. Ale ostrzegam, to jedna z durnych spraw.

D'Agosta zrelacjonował szczegóły zbrodni, materiały dowodowe zebrane przez ekspertów, wygląd miejsca zbrodni, choć to i tak nie wносиło niczego do sprawy, raporty od pracowników ochrony, zeznania kustoszów i asystentów z wydziału osteologii. Pendergast przysłuchiwał się temu wszystkiemu w absolutnym bezruchu, jeśli nie liczyć przypadkowego mrugnięcia jego srebrzystych oczu. Nagle w pomieszczeniu pojawił się jakiś cień i Pendergast odwrócił wzrok.

D'Agosta obejrzał się przez ramię, podążając za wzrokiem Pendergasta, i zobaczył wysoką, masywną sylwetkę Morrisa Frisby'ego, szefa wydziału. Kiedy po raz pierwszy z nim rozmawiał, zdziwił się, że nie ma do czynienia z krótkowzrocznym kustoszem o obwisłych ramionach, jakiego spodziewał się zobaczyć, lecz z postawnym facetem, którego obawiał się cały personel. W D'Agostie ten człowiek też wzbudził pewien niepokój. Miał na sobie drogi garnitur w prążki, do tego czerwony krawat, a gdy mówił, w jego głosie pobrzmiwał oschły nowojorski akcent typowy dla przedstawicieli klasy wyższej. Obdarzony wzrostem ponad metr osiemdziesiąt, Frisby zdawał się wypełniać całe pomieszczenie. Przeniósł wzrok z D'Agosty na Pendergasta i z powrotem, emanując rozdrażnieniem wywołanym ciągłą obecnością policji na podległym mu terytorium.

– Wciąż pan tu jest – powiedział. Było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie.

– Sprawa nie została rozwiązana – odparł D'Agosta.

– I zapewne nigdy nie zostanie rozwiązana. To było przypadkowe zabójstwo dokonane przez kogoś z zewnątrz. Marsała znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Morderstwo nie miało nic wspólnego z wydziałem osteologii. Rozumiem, że wielokrotnie przesłuchał

pan mój personel, który ma na co dzień mnóstwo pracy, ważnej pracy, i nie może sobie pozwolić na przerwy. Czy mogę zakładać, że możliwie jak najszybciej zakończy pan śledztwo i pozwoli moim ludziom w spokoju wykonywać swoje obowiązki?

– Kim jest ten człowiek, poruczniku? – spytał łagodnie Pendergast.

– Jestem doktor Morris Frisby – odparł oschle tamten, odwracając się do agenta. Miał ciemnoniebieskie oczy o bardzo dużych białkach, które koncentrowały się na danej osobie jak para reflektorów. – Jestem kierownikiem wydziału antropologii.

– Ach tak. Otrzymał pan awans po dość tajemniczym zniknięciu Hugona Menziesa, o ile mnie pamięć nie myli.

– A pan to kto? Jeszcze jeden policjant po cywilnemu?

Płynnym ruchem Pendergast sięgnął do kieszeni, wyjął swoją legitymację i machnął nią Frisby'emu przed nosem.

Frisby spojrzał na odznakę.

– Co tu robi FBI?

– Jestem tu ze zwykłej ludzkiej ciekawości – odparł ze swadą agent.

– Pewnie na okoliczność urlopu podczas pracy zawodowej. To miłe z pana strony. Może podpowie pan porucznikowi, żeby się uwijał, zamknął sprawę i przestał marnować czas moich ludzi oraz pieniądze podatników, że nie wspomnę o zajmowaniu pomieszczeń naszego wydziału.

Pendergast uśmiechnął się.

– Moja zwykła ludzka ciekawość może przerodzić się w oficjalne zainteresowanie, jeśli porucznik uzna, że jego pracę próbuje opóźnić egoistyczny, krótkowzroczny biurokrata o ograniczonych poglądach. Oczywiście nie mam na myśli pana. Tak tylko generalizowałem.

Frisby spojrzał na Pendergasta, a jego szeroka twarz zapłonęła wściekłą purpurą.

– Utrudnianie pracy stróżowi prawa to poważne przestępstwo, doktorze Frisby. Dlatego chętnie posłucham, jak w swojej niezmierzonej szczodrości zechce pan zaproponować mu swoje wsparcie i szeroko pojętą współpracę.

Frisby zastygł na dłuższą chwilę w bezruchu. A potem odwrócił się, żeby wyjść.

– Ach, doktorze Frisby? – ciągnął Pendergast tym samym co dotychczas melodyjnym tonem.

Frisby przystanął na chwilę.

– Może pan wykazać się niesłabnącą chęcią pomocy, wygrzebując nazwisko i referencje uczonego, który był gościem muzeum i który ostatnio pracował z Victorem Marsalą – kontynuował Pendergast. – Byłbym zobowiązany, gdyby zechciał pan przekazać te informacje mojemu szanownemu koledze.

Dopiero teraz Frisby się odwrócił. Jego twarz była niemal czarna z wściekłości. Otworzył usta, ale Pendergast go uprzedził.

– Zanim coś pan powie, doktorze, pozwolę sobie o coś zapytać. Zna pan teorię gier?

Kierownik kustosz nie odpowiedział.

– Jeżeli tak, to powinien pan wiedzieć, że istnieje pewna podgrupa gier znana matematykom i ekonomistom jako suma zerowa. Gry o sumie zerowej operują zasobami, które nie powiększają się ani nie zmniejszają w trakcie rozgrywki, a jedynie przechodzą od jednego gracza do drugiego. Obawiam się, że gdyby teraz się pan odezwał, mógłby pan powiedzieć coś pochopnego. Ja nie pozostałbym dłużny i zareagowałbym ciętą ripostą. W wyniku wymiany zdań pan zostałby upokorzony, co zgodnie z zasadami teorii gier umocniłoby moją pozycję i wpływy pańskim kosztem. Dlatego pozwolę sobie zasugerować, że najlepiej byłoby, gdyby nabrał pan wody w usta i jak najszybciej zajął się odszukaniem informacji, o które poprosiłem.

Kiedy Pendergast mówił, na twarzy Frisby'ego pojawił się wyraz, jakiego D'Agosta wcześniej u niego nie widział. Mężczyzna nic nie mówił, kołysał się tylko w przód i w tył jak gałąź poruszana wiatrem. A potem prawie niedostrzegalnie pokiwał głową i opuściwszy pomieszczenie, zniknął za rogiem.

– Będę zobowiązany! – zawołał w ślad za oddalającym się kustoszem Pendergast, wychylając się nieznacznie na krześle.

D'Agosta obserwował tę wymianę zdań w milczeniu.

– Tak mu skopałeś tyłek, że będzie musiał skontaktować się z proktologiem.

– Zawsze mogę liczyć na twoje adekwatne bon moty, Vincencie.

– Obawiam się, że zyskałeś kolejnego wroga.

– Mam długoletnie doświadczenie w kontaktach z tym muzeum. Istnieje

pewna grupka kustoszów, którzy uważają podległe im wydziały za swoje włości i zachowują się, jakby byli ich panami. Zwykle traktuję takich ludzi surowo. To irytujący zwyczaj, ale ciężko mi się go pozbyć. – Wstał z krzesła. – A teraz chciałbym zamienić słówko z technikiem wydziału osteologii, o którym wspominałeś. Z Markiem Sandovaliem.

D’Agosta podźwignął się ciężko na nogi.

– Chodź za mną.

12

Znaleźli Sandovala w jednym z pomieszczeń magazynowych na końcu korytarza. Krzątał się to tu, to tam, otwierając szuflady pełne kości i oglądając je. Nos miał wciąż czerwony, a oczy podpuchnięte – letnie przeziębienia bywały uciążliwe i trudne do zwalczenia.

– To agent specjalny FBI Pendergast – rzekł D’Agosta. – Chciałby zadać panu kilka pytań.

Sandoval rozejrzał się nerwowo dookoła, jakby martwił się, że ktoś, zapewne Frisby, mógł ich zauważyć.

– Tutaj?

– Tak, tutaj – odrzekł Pendergast, otaksowując wzrokiem wnętrze magazynu. – Cóż za czarujące miejsce. Ile sztuk szczątków ludzkich znajduje się w tym pomieszczeniu?

– Około dwóch tysięcy. Może więcej.

– Skąd pochodzą?

– Z Australii, Oceanii i Nowej Zelandii.

– A ile ich jest we wszystkich zbiorach?

– Jakies piętnaście tysięcy, jeśli liczyć łącznie zbiory wydziału osteologii i antropologii.

– Panie Sandoval, rozumiem, że jednym z pana obowiązków jest towarzyszenie naukowcom, którzy zjawiają się tu z wizytą.

– To nasz podstawowy obowiązek, jeśli chodzi o ścisłość. Bez przerwy mamy gości.

– Ale nie należało to do obowiązków Victora Marsali, choć był on technikiem.

– Vic był za bardzo narwany. Czasami szacowni uczeni, którzy tu przychodzą, są... delikatnie mówiąc, irytujący... albo nawet gorzej.

– Co wchodzi w zakres pana obowiązków?

– Zazwyczaj naukowcy chcą przestudiować konkretny okaz lub kolekcję.

Jesteśmy niejako bibliotekarzami od kości: dostarczamy eksponaty, czekamy, aż zostaną zbadane, a następnie odnosimy je na miejsce.

– Bibliotekarze od kości. Trafne porównanie. Ilu odwiedzającym asystował pan, dajmy na to, w ciągu miesiąca?

– To zależy. Od sześciu do dziesięciu.

– Od czego to zależy?

– Od tego, jak duże są wymagania danego uczonego. Jeżeli trafi się naukowiec dysponujący szczegółowo opracowaną listą zagadnień, które go interesują, to mogą asystować wyłącznie jemu przez kilka tygodni. Ale może się zdarzyć gość, który chce po prostu rzucić okiem na kość udową albo czaszkę.

– Jakie warunki muszą spełnić uczeni, którzy was odwiedzają?

Sandoval wzruszył ramionami.

– Muszą być związani z jakąś placówką naukową i przedstawić plan badań.

– Nie są wymagane żadne referencje?

– Wystarczy list intencyjny, formalna prośba na papierze z oficjalnym stemplem uniwersytetu albo potwierdzenie na piśmie, że dana osoba jest związana z placówką naukową lub akademią medyczną.

Pendergast jakby od niechcienia poprawiał mankiety koszuli.

– Jak rozumiem, choć zdarzało się to sporadycznie, to jednak dwa miesiące temu Marsala współpracował z jakimś naukowcem przy realizacji jego projektu?

Sandoval pokiwał głową.

– Czy wspominał panu, że ten projekt szczególnie go zainteresował?

– Ee, tak.

– Co mówił na ten temat?

– Że ten uczoney może mu pomóc.

– I Marsala pracował wyłącznie z nim?

– Tak.

– W jaki sposób projekt naukowca, który przybył tu gościnnie, mógł pomóc panu Marsali, wybitnemu specjalście w dziedzinie artykulacji kości, którego podstawowymi obowiązkami były jednak nadzorowanie kadzi do macerowania i opieka nad chrząszczami wielożernymi?

– Nie wiem. Może zamierzał uznać Vica za współautora pracy, którą miał

opublikować.

– Dlaczego?

– W uznaniu za jego pomoc. Bibliotekarz od kości musi być gotowy spełnić różne prośby naukowców i czasami przydają się nasze szczególne umiejętności.

D’Agosta obserwował tę wymianę zdań z coraz większym zdziwieniem. Spodziewał się, że Pendergast skupi się na pytaniach, jakie na ogół zadaje się podczas przesłuchania w sprawie zabójstwa. Ale agent FBI jak zwykle zabrał się do tego z zupełnie innej, zgoła niespodziewanej perspektywy, drążąc zagadnienia, które pozornie nie miały z tym wszystkim nic wspólnego.

– Panie Sandoval, czy wie pan, które okazy chciał zbadać ten naukowiec?

– Nie.

– Czy może pan się tego dla nas dowiedzieć?

– Oczywiście.

– Doskonale. – Pendergast wskazał ręką w stronę drzwi. – Wobec tego proszę przodem, panie Sandoval.

Wyszli z pomieszczenia magazynowego i płątaniną korytarzy dotarli do terminalu komputerowego, który wyglądał jak centralne laboratorium; było tam mnóstwo stołów i stanowisk roboczych oraz kilka na wpół skompletowanych szkieletów ułożonych na wózkach wyściełanych zielonym rypsem.

D’Agosta i Pendergast nachylili się nad Sandovaliem, gdy ten usiadł przy terminalu, a następnie wszedł do bazy danych wydziałów osteologii i antropologii. W laboratorium zapadła kompletna cisza, jeśli nie liczyć odgłosów stukania w klawisze. Po chwili rozległ się szmer drukarki i Sandoval zdjął z niej kartkę papieru.

– Wygląda na to, że Marsala sprawdzał dla tego uczonego tylko jeden okaz – stwierdził. – Tu jest potwierdzenie.

D’Agosta odczytał na głos treść zapisu:

– Data ostatniego badania: dwudziesty kwietnia. Hotentot, mężczyzna, wiek około trzydziestu pięciu lat. Cape Colony, dawniej Griqualand East. Stan: bardzo dobry. Brak oznak zniekształceń. Przyczyna śmierci: czerwotka, podczas siódmej wojny Xhosa, tak zwanej wojny o Przylądek. Data: 1889. Dostarczony przez: N. Hutchins. AR: C-31234-rn.

– Oczywiście to oryginalny zapis – wyjaśnił Sandoval. – Hotentot to

nazwa, której się już nie używa. Obecnie poprawna to Khoikhoi.

– Ten zapis stwierdza, że ciało zostało przysłane do muzeum w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym – powiedział Pendergast. – Jednak o ile mnie pamięć nie myli, siódma wojna Xhosa zakończyła się w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku.

Sandoval podziękował i mruczał coś pod nosem.

– Przepuszczalnie przed przesłaniem do muzeum przeprowadzono ekshumację ciała.

W laboratorium znów zapadła cisza.

– W dawnych czasach takie rzeczy były na porządku dziennym – dodał Sandoval. – Wykopywano zwłoki z grobów, żeby zdobyć pożądany okaz. Oczywiście dziś takich praktyk się nie stosuje.

Pendergast wskazał na numer ewidencyjny.

– Czy moglibyśmy zobaczyć ten okaz?

Sandoval zmarszczył brwi.

– Po co?

– Tak po prostu.

Znów cisza.

Pendergast pochylił głowę.

– Chciałbym poznać proces wyszukiwania i dostarczania żądanych okazów.

– Dobrze. Proszę za mną.

Zapisawszy numer ewidencyjny na skrawku papieru, Sandoval ponownie wyprowadził ich na korytarz główny, a stamtąd jeszcze dalej w głąb, zdawałoby się niemającego końca labiryntu mniejszych sal i przejść. Trochę trwało przeszukiwanie starych drewnianych szafek z mosiężnymi wykończeniami i drzwiczkami z szybami z mlecznego szkła. Wreszcie Sandoval zatrzymał się przed stojącą w kącie szafką; przy dużej tacy na jednej z górnych półek szafki widniał poszukiwany numer ewidencyjny, napisany odręcznie, mocno przyblakłą kursywą. Dla pewności jeszcze raz sprawdził numer i sięgnął po tacę. Zaniósł ją do laboratorium i położył na wolnym kawałku zielonego rypsu. Podał D'Agoście i Pendergastowi po parze cienkich lateksowych rękawiczek. Następnie, także założywszy rękawiczki, zdjął pokrywę z pojemnika.

Wewnątrz panował chaos – żebra, kręgi i inne kości były ze sobą

wymieszane. W powietrzu rozeszła się niezwykła woń. D'Agosta poczuł zapach piżma, starych korzeni, kulek na mole i ledwie wyczuwalny odór rozkładu.

– Te kości są bardzo czyste, nie wyglądają, jakby spoczywały w ziemi przez czterdzieści lat – powiedział.

– Dawniej szkielety dostarczane do muzeum były poddawane gruntownemu czyszczeniu – odparł Sandoval. – Wtedy nie zdawano sobie sprawy, że gleba też jest cennym elementem okazu i należy ją zachować.

Pendergast wpatrywał się przez minutę w zawartość tacy. A potem ostrożnie wziął z niej czaszkę pozbawioną żuchwy. Wyciągnął rękę i w tym momencie skojarzył się D'Agostie z Hamletem stojącym nad grobem Yoricka.

– To ciekawe – wymamrotał agent. – Naprawdę bardzo ciekawe. Bardzo dziękuję, panie Sandoval.

Odłożył czaszkę i skinieniem głowy dał znak technikowi, że ich spotkanie dobiegło końca. Zdjął rękawiczki, po czym poprowadził D'Agostę w głąb korytarza, z powrotem do krainy żywych.

13

Jadalnia dla pracowników – albo JP, jak ją powszechnie nazywano – mieściła się na przedostatnim piętrze One Police Plaza. To właśnie tam komendant, jego zastępca i inne wydziałowe szyszki wiodły prym w porze lunchu. D’Agosta był w środku tylko raz, na uroczystym obiedzie w dniu, w którym on i dwudziestu innych policjantów otrzymało awans na porucznika, i choć samo pomieszczenie wyglądało jak relikwiarz z lat sześćdziesiątych, rozpościerająca się za oknami panorama Dolnego Manhattanu zapierała dech.

Jednak czekając w przestronnym przedsionku przed wejściem do JP, D’Agosta nie myślał o pięknych widokach. Wpatrywał się w twarze wychodzących stamtąd ludzi, poszukując wśród nich Glena Singletona. Była trzecia środa miesiąca, dzień, w którym komendant jadł lunch ze wszystkimi szefami wydziałów, i Vincent wiedział, że Singleton będzie wśród nich.

W jednej chwili wypatrzył dobrze ubranego, nienagannie prezentującego się kapitana. Pospiesznie przecisnął się przez tłum.

– Vinnie. – Singleton wyraźnie zdziwił się na jego widok.

– Słyszałem, że chcesz się ze mną widzieć – rzekł D’Agosta.

– Owszem. Ale nie musiałeś się aż tak fatygować. To mogło poczekać.

D’Agosta dowiedział się od sekretarki Singletona, że kapitan ma zajęte całe popołudnie.

– Nie ma sprawy. O co chodzi?

Szli w stronę windy, gdy nagle Singleton przystanął.

– Przeczytałem twój raport w sprawie śmierci Marsali.

– Tak?

– Dobra robota, zważywszy na okoliczności. Postanowiłem przekazać tę sprawę Formosie, a ciebie przydzielić do zabójstwa przy Siedemdziesiątej Trzeciej. No wiesz, chodzi o tę miłośniczkę joggingu, którą ktoś napadł

i poderżnął jej gardło. To wygląda na solidne dochodzenie, z paroma naocznymi świadkami i dobrze przeprowadzoną analizą materiałów dowodowych. Możesz osobiście wybrać kilku ludzi spośród zajmujących się sprawą zabójstwa w muzeum, to ich też przeniosę.

D'Agosta spodziewał się, że usłyszy coś takiego. Właśnie dlatego pofatygował się do Singletona w porze lunchu – chciał złapać kapitana, zanim sprawy zajdą za daleko. Formosa... był jednym z najmłodszych poruczników, praktycznie miał jeszcze mleko pod nosem.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu – powiedział – chciałbym pozostać przy zabójstwie w muzeum.

Singleton zmarszczył brwi.

– Ale twój raport... To nie jest porządna sprawa. Brak mocnych dowodów, brak naocznych świadków...

Zerkając ponad ramieniem Singletona, D'Agosta zauważył swoją żonę, Laurę Hayward, wylaniającą się z jadalni; jej cudowna figura pięknie prezentowała się na tle wysokich okien Budynku Woolwortha. Ona również go spostrzegła i uśmiechnęła się odruchowo, ale gdy zobaczyła, że rozmawia z Singletonem, tylko puściła do niego oko i ruszyła w stronę windy.

D'Agosta powrócił wzrokiem do Singletona.

– Wiem, że to przegrana sprawa, ale chciałbym poświęcić jej jeszcze tydzień.

Singleton przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

– Wcale nie chciałem cię ukarać. Daję ci porządną, możliwą do rozwikłania i ważną sprawę, która zwiększy twoje notowania.

– Wcale tak nie uważałem, kapitanie. Czytałem o zabójstwie tej biegaczki, wiem, że to priorytetowa sprawa.

– Czemu więc chcesz zostać przy zabójstwie Marsali?

Dzień wcześniej był skłonny, i to bardzo, oddać tę sprawę innemu nieszczęśnikowi.

– Nie jestem pewien – odparł powoli. – W każdym razie nie do końca. Ale nie lubię zostawiać spraw. Czasami szósty zmysł, instynkt, czy jak to nazwać, podpowiada, że nie należy z czegoś rezygnować. Zapewne zna pan to uczucie, kapitanie.

D'Agosta wiedział, że w jego wypadku to przecucie nazywało się Pendergast.

Singleton taksował go jeszcze chwilę wzrokiem. Wreszcie na jego ustach pojawił się cień uśmiechu i pokiwał głową.

– Owszem, znam – przyznał. – I głęboko wierzę w przeczucia. Dobrze, Vinnie, możesz zostać przy tej sprawie. Zlecę zabójstwo biegaczki Claytonowi.

D’Agosta z trudem przełknął ślinę.

– Dziękuję, kapitanie.

– Powodzenia. Informuj mnie na bieżąco.

Singleton skinął głową, odwrócił się i odszedł.

14

Gdy Pendergast wszedł do zagraconego gabinetu w muzeum, doktor Finisterre Paden natychmiast wskazał mu krzesło zarezerwowane dla gości.

– Ach, agent Pendergast. Proszę spocząć. – Zniknął niepewny ton sprzed dwóch dni. Mężczyzna wręcz rozpływał się w uśmiechach. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

Pendergast skinął głową.

– Doktorze Paden. Rozumiem, że ma pan dla mnie nowe informacje?

– Tak. Mam. – Mineralog zatarł pulchne dłonie. – Muszę przyznać, panie Pendergast – i mam nadzieję, że zatrzyma to pan dla siebie – że ogarnia mnie pewnego rodzaju smutek.

Wysunął szufladę i wyjął z niej kawałek miękkiej tkaniny, który następnie rozwinął, odsłaniając kamień, po czym dotknął go niemal pieszczotliwym, delikatnym gestem.

– Przepiękny. Absolutnie przepiękny.

Paden wreszcie się opanował i oddał turkus Pendergastowi.

– Ponieważ nie byłem w stanie natychmiast rozpoznać kamienia ani nie było go w żadnych oczywistych źródłach, musiałem zbadać jego chemiczną sygnaturę, współczynnik refrakcji i inne tego typu szczegóły. Prawda jest taka, że najciemniej jest pod latarnią, a ja nie potrafiłem ujrzeć tego, co najbardziej rzuca się w oczy.

– Muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem, doktorze Paden.

– Powinienem skupić się na wyglądzie kamienia zamiast na jego właściwościach chemicznych. Od początku mówiłem, że pański okaz ma niezwykłą barwę, a najcenniejsza jest w tym wszystkim siatka macierzysta. Być może pamięta pan również, jak powiedziałem, że turkusy o tak głębokim odcieniu indygo można znaleźć tylko w trzech stanach. I to się zgadza, aczkolwiek z jednym wyjątkiem.

Paden wyciągnął rękę w stronę laserowej drukarki, wyjął z podajnika

kartkę i podał ją Pendergastowi.

Agent pospiesznie spojrział na kartkę. Zawierała zdjęcie okazu z katalogu jubilerskiego lub listy aukcyjnej. Towarzyszyło mu kilka linijek tekstu opisujących dany przedmiot, a konkretnie widniejący na zdjęciu kamień szlachetny. Choć był wyraźnie mniejszy niż kamień znaleziony w żołądku Albana, pod każdym innym względem wyglądał niemal identycznie.

– Jedyne lazurki amerykańskie znalezione poza tymi trzema stanami – rzekł z niemal nabożną czcią doktor Paden. – I jedyny lazurkowy turkus ze złotą siatką macierzystą, na jaki kiedykolwiek natrafiłem.

– Skąd pochodzi? – zapytał bardzo cicho Pendergast.

– Z niewielkiej kopalni w Kalifornii, znanej pod nazwą Złoty Pająk. To bardzo stara kopalnia, jej złoża wyczerpały się ponad sto lat temu i dlatego nie było jej w żadnej fachowej księdze czy katalogu. Ale mimo wszystko kamień jest tak niezwykły, że powinienem rozpoznać go na pierwszy rzut oka. Niestety kopalnia była naprawdę mała, dawała niewielki urobek, szacuje się, że wydobyto z niej nie więcej niż dwadzieścia pięć, trzydzieści kilogramów najwyższej jakości turkusu. To właśnie fakt, że została zapomniana, i jej kalifornijska lokalizacja początkowo mnie zmyliły, na szczęście w porę się zorientowałem.

– Gdzie w Kalifornii? – zapytał prawie szeptem Pendergast.

– Na brzegu Salton Sea, na północny wschód od pustyni Anza-Borrego i na południe od Parku Narodowego Joshua Tree. Wyjątkowo niezwykle miejsce, zwłaszcza z perspektywy mineraloga, bo tylko...

Do tej chwili Pendergast siedział na krześle w całkowitym bezruchu. Nagle zerwał się na nogi i niemal pędem wybiegł z gabinetu, z rozwianymi połami czarnej marynarki, ściskając w dłoni kartkę z komputerowym wydrukiem, a do uszu zaskoczonego kustosa dobiegły rzucone jakby mimochodem słowa podziękowania.

Magazyn dowodów rzeczowych na Dwudziestym Szóstym Komisariacie w Nowym Jorku nie był jednym pomieszczeniem, lecz całym labiryntem wnęk, pakamer i zakamarków, oddzielonym od reszty sal piwnicznych grubą drucianą siatką. Budynek był stary, więc cuchnęło tu pleśnią i saletrą. Porucznik Peter Angler podejrzewał, że podczas jakichś gruntownych poszukiwań za którąś ze ścian mogliby natknąć się na zamurowany szkielet, będący dla Poego inspiracją do opowiadania *Beczka amontillado*.

Stał teraz przy dużym oknie otoczonym drucianą siatką i opatrzonym napisem „Punkt depozytowy materiałów dowodowych”. Słyszał dochodzące z daleka odgłosy szurania i stłumione łupnięcia. Minutę później z półmroku wyłonił się sierżant Mulvahill, trzymając w rękach nieduży pojemnik na dowody.

– To jest to, panie poruczniku – powiedział.

Angler pokiwał głową, po czym przeszedł kilka kroków do sali raportów. Zamknął za sobą drzwi i zaczekał, aż Mulvahill postawi pojemnik w otwieranej obustronnie szafce wbudowanej w ścianę. Podpisał pokwitowanie i wsunął do otworu. Potem podszedł z pojemnikiem do najbliższego stolika, usiadł, stawiając pudełko na blacie, otworzył je i zajrzał do środka.

Nic.

Niezupełnie nic. Było tam parę próbek ubrania Albana Pendergasta i kilka grudek ziemi spod podeszwy jednego z butów w szczelnie zamkniętej foliowej torebce. Prócz tego parę mocno zdeformowanych pocisków wyjętych z karoserii aut, ale te wciąż były badane przez ekspertów od balistyki.

Jednak jedynego faktycznego dowodu – turkusu – tam nie było. Tylko nieduży, pusty, plastikowy pojemnik, w którym znajdował się kamień, dopóki nie został pobrany z magazynu przez Pendergasta.

Angler w głębi duszy wiedział, że kamienia tam nie będzie. Mimo to łudził się, że Pendergast go zwróci. Wpatrując się w pusty pojemnik, poczuł złość. Pendergast obiecał, że odda kamień w ciągu dwudziestu czterech godzin... które minęły dwa dni temu. Angler nie był w stanie skontaktować się z agentem, bo ten nie odpowiadał na jego częste telefony.

Choć wściekał się na Pendergasta, był również zły na siebie. Agent FBI niemal błagał o turkus, w dodatku podczas autopsji swojego syna, więc w chwili słabości, wbrew temu, co podpowiadał zdrowy rozsądek, Angler na to przystał. I co mu z tego przyszło? Pendergast zawiódł jego zaufanie.

Co, u licha, zrobił z tym kamieniem?

Kątem oka dostrzegł rozmazaną plamę czerni, a następnie zobaczył Pendergasta, który jak na zawołanie zjawił się w drzwiach sali raportów. Angler patrzył w milczeniu, gdy agent podszedł bez słowa, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej turkus.

Uważnie przyjrzał się minerałowi. Był to ten sam turkus, a przynajmniej tak mu się wydawało. Otworzył plastikowe pudełko, włożył do niego kamień, zamknął wieko i umieścił pudełko w pojemniku na materiały dowodowe. A potem spojrzał na Pendergasta.

– Co powinienem powiedzieć? – zapytał.

Pendergast popatrzył na niego beznamiętnie.

– Miałem nadzieję, że pan mi podziękuje.

– Podziękuje? Zatrzymał pan kamień dwie doby dłużej, niż panu pozwoliłem. Nie oddzwaniał pan ani nie odpowiadał na moje telefony. Agencje Pendergast, procedury rządzą się ściśle określonymi zasadami nie bez powodu, a pańskie zachowanie jest wysoce nieprofesjonalne.

– Doskonale znam zasady i procedury – odrzekł Pendergast. – Podobnie jak pan. A mimo to pozwolił mi pan wypożyczyć ten kamień.

Angler wziął głęboki oddech. Szczycił się tym, że nie traci zimnej krwi, i nie zamierzał dopuścić, żeby ten blady jak upiór, beznamiętny typ, nieodgadniony jak Sfinks, wytrącił go z równowagi.

– Proszę mi wyjaśnić tę zwłokę?

– Próbowałem ustalić, skąd pochodzi ten kamień.

– I udało się panu?

– Wyniki nie są jednoznaczne.

Nie są jednoznaczne. Nie było bardziej wymijającej odpowiedzi. Angler

zamyślił się przez chwilę. Ostatecznie postanowił zmienić temat.

– Obieramy nowy kierunek w związku z poszukiwaniami zabójcy pańskiego syna – powiedział.

– Doprawdy?

– Zamierzamy prześledzić poczynania Albana w ostatnich dniach i tygodniach poprzedzających jego śmierć.

Pendergast słuchał tego wszystkiego w milczeniu. Wreszcie, wzruszywszy lekko ramionami, odwrócił się, żeby wyjść.

Angler nie był w stanie dłużej się hamować i wybuchł:

– To ma być pańska reakcja? Wzruszenie ramion?

– Trochę mi się spieszy, poruczniku. Raz jeszcze dziękuję, że zechciał pan powierzyć mi tymczasowo ten turkus. A teraz, proszę wybaczyć, muszę już iść.

Angler jeszcze z nim nie skończył. Podążył za nim w stronę drzwi.

– Chciałbym wiedzieć, co, u licha, dzieje się w pańskiej głowie. Jak może być pan tak cholernie... zimny i obojętny? Nie chce pan wiedzieć, kto zabił pańskiego syna?

Ale Pendergast już zniknął za rogiem sali raportów. Angler, mrużąc lekko powieki, spojrzął na puste wejście. Usłyszał odgłos lekkich, szybkich kroków, których echo odbijało się w kamiennym korytarzu, gdy agent szedł w stronę schodów prowadzących na parter. Wreszcie, gdy dźwięk kroków stał się prawie niesłyszalny, Angler odwrócił się, zamknął pudełko na materiały dowodowe, zastukał w ścianę magazynu dowodów, dając znak Mulvahillowi, po czym umieścił pojemnik w szafce.

I raz jeszcze, niemal wbrew sobie, podążył wzrokiem w kierunku drzwi, za którymi zniknął zaledwie przed chwilą zagadkowy, irytujący agent FBI.

Z tłumu kłębiącego się w Wielkiej Rotundzie wyłoniła się atrakcyjna kobieta po trzydziestce, o lśniących, długich do ramion, brązowych włosach, weszła po szerokich głównych schodach na pierwsze piętro, po czym idąc marmurowym korytarzem wypełnionym głośnym echem, dotarła do drzwi ozdobionych z obu stron gustownie oświetlonymi petroglifami Anasazi. Przystanęła, wzięła głęboki oddech, a następnie weszła do środka. Stojący za niedużym drewnianym pulpitem szef sali spojrzął na nią wyczekująco.

– Mam rezerwację na lunch dla dwóch osób – powiedziała kobieta. – Na nazwisko Green. Margo Green.

Mężczyzna zerknął na ekran.

– Ach tak. Doktor Green. Witamy ponownie. Pani gość już czeka.

Podążyła za kelnerem, który poprowadził ją między stolikami nakrytymi lnianymi obrusami. Rozejrzała się dokoła. Wiedziała, że to miejsce ma ciekawą historię. Pierwotnie była to sala cmentarna Anasazi, z dziesiątkami mumii rdzennych Amerykanów pozostających w pozach, w jakich ich pogrzebano, wraz z niezliczonymi kocami, garnkami i grotami strzał zabranymi z Jaskini Mumii w Arizonie, i innych prehistorycznych cmentarzysk z końca dziewiętnastego wieku. Z czasem sala zaczęła wzbudzać kontrowersje i na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku do Nowego Jorku przybyła duża grupa Nawahów, żeby pikietować przed muzeum, protestując przeciwko temu, co uważali za zbezczeszczenie grobów. Salę po cichu zamknięto, a mumie usunięto. Taki stan rzeczy utrzymywał się przez kolejnych parę dekad, aż dwa lata temu jakiś urzędnik o szerszych horyzontach uznał to miejsce za idealne, żeby założyć tu restaurację z cateringiem dla darczyńców, członków muzeum i kustoszów podejmujących ważnych gości. Nazwano ją Chaco i zachowano piękne stare murale nadające jej wygląd wnętrza kivy z pradawnego puebla Indian Anasazi, tyle że bez zmumifikowanych szczątków. Usunięto jednak ścianę

imitującą cegły z gliny suszonej na słońcu, aby odsłonić olbrzymie okna z widokiem na Museum Drive, teraz skąpane w blasku słońca.

Margo z przyjemnością spojrzała w stronę okien.

Porucznik Vincent D'Agosta właśnie wstawał od stolika dokładnie na wprost niej. Wyglądał prawie tak samo jak wtedy, gdy widziała go ostatni raz. Nieco zeszczupłał, stracił trochę włosów, ale był najwyraźniej w lepszej kondycji fizycznej. Fakt, że jego widok przywołał w niej dawne wspomnienia, przepełnił ją dziwną mieszaniną wdzięczności i melancholii.

– Margo – powiedział i dość niezdarnie ją uściskał. – Jak się cieszę, że cię widzę.

– I nawzajem.

– Świetnie wyglądasz. Naprawdę jestem wdzięczny, że znalazłaś dla mnie chwilę.

Usiedli. D'Agosta zadzwonił do niej niespodziewanie dzień wcześniej, prosząc o spotkanie na terenie muzeum. zaproponowała Chaco. Rozejrzał się dokoła.

– To miejsce bardzo się zmieniło od naszego pierwszego spotkania. Ile to już lat?

– Od czasu zabójstw w muzeum? – Margo zamyśliła się. – Jedenaście lat. Nie, dwanaście.

– Nie do wiary.

Kelner przyniósł im karty dań ozdobione wizerunkiem Kokopelli. D'Agosta zamówił mrożoną herbatę, Margo również.

– Czym się obecnie zajmujesz?

– Pracuję w fundacji medycznej non profit na East Side. W Instytucie Pearsona.

– Naprawdę? Co tam robisz?

– Jestem etnofarmakologiem. Oceniam przydatność roślin do wykorzystania ich w produkcji leków.

– Brzmi fascynująco.

– I tak właśnie jest.

– Wciąż wykładasz?

– Jeżeli o to chodzi, zupełnie się wypaliłam. A to, co robię obecnie, ma potencjał. Mogę pomóc tysiącom ludzi zamiast jednej grupie studentów.

D'Agosta ponownie sięgnął po menu, przejrzał kartę dań.

– Odkryłaś jakieś cudowne leki?

– Miałam okazję pracować nad składnikiem z kory drzewa ceiba, który może pomóc chorym na epilepsję i parkinsona. Majowie używali tej substancji w leczeniu demencji ludzi w podeszłym wieku. Problem polega na tym, że przygotowanie nowego leku ciągnie się w nieskończoność.

Wrócił kelner i złożyli zamówienie. D'Agosta znów spojrzał na Margo.

– Przez telefon mówiłaś, że regularnie odwiedzasz muzeum.

– Przynajmniej dwa, trzy razy w miesiącu.

– Dlaczego?

– Najsmutniejsze jest to, że naturalne miejsca występowania wielu roślin są niszczone, karczowane, wypalane lub zaorywane w zatrważającym tempie. Bóg raczy wiedzieć, ile potencjalnych leków na raka przestało istnieć wskutek naszych działań. Muzeum ma najwspanialsze na świecie zbiory okazów etnobotanicznych. Oczywiście nie myślano o mnie, gdy po prostu gromadzono lokalne rośliny lecznicze i substancje mogące mieć magiczne moce, używane przez tubylcze plemiona na całym świecie. To idealne miejsce dla mnie do prowadzenia badań. W zbiorach muzeum znajdują się rośliny, które nie występują już w naturze. – Przerwała, upominając się w duchu, że nie wszyscy dzielą jej pasję.

D'Agosta złączył dłonie.

– Cóż, tak się składa, że twoje regularne wizyty w muzeum są mi obecnie bardzo na rękę.

– Jak to?

Wychylił się nieznacznie do przodu.

– Słyszałaś o morderstwie, jakie niedawno popełniono w muzeum?

– Masz na myśli Vica Marsalę? Pracowałam z nim jeszcze na studiach, gdy przydzielono mnie do wydziału antropologii. Byłam jedną z nielicznych osób, z którymi się dogadywał. – Margo pokręciła głową. – Nie mogę uwierzyć, że ktoś mógł chcieć go zabić.

– To mnie przydzielono do śledztwa w tej sprawie. I potrzebuję twojej pomocy.

Nie odpowiedziała.

– Wygląda na to, że Marsala na krótko przed śmiercią pracował z jakimś naukowcem, który zjawiał się gościnnie w muzeum. Pomagał mu znaleźć i zbadać okaz z kolekcji antropologicznej, szkielet mężczyzny, Hotentota.

Wspiera mnie w tej sprawie agent Pendergast i jego też najwyraźniej zaniepokoił ten szkielet.

– Słucham dalej – powiedziała Margo.

D’Agosta zawahał się.

– Tyle tylko... że... ee... Pendergast zniknął. Przedwczoraj wieczorem wyjechał z miasta, nie pozostawiając wiadomości, gdzie i jak można się z nim skontaktować. Wiesz, jaki on jest. A poza tym wczoraj odkryliśmy, że rekomendacje naukowca pracującego z Marsalą były fałszywe.

– Fałszywe?

– Tak. Ten mężczyzna podawał się za doktora Jonathana Waldrona, antropofizyka z uniwersytetu pod Filadelfią, ale prawdziwy Waldron nic o tym nie wie. Przesłuchałem go osobiście. Nigdy nie był w muzeum.

– Skąd wiesz, że to nie on jest zabójcą? Może tylko wypiera się, że nic o tym nie wie?

– Pokazałem jego zdjęcie pracownikom wydziału antropologii. To ktoś zupełnie inny. Jest trzydzieści centymetrów niższy i dwadzieścia lat starszy.

– Dziwna sprawa.

– Tak. Czemu ktoś miałby udawać kogoś innego tylko po to, by obejrzeć jakiś szkielet?

– Uważasz, że ten fałszywy naukowiec zabił Marsalę?

– Na razie nie mam żadnych hipotez. Ale to niezły trop, pierwszy, na jaki wpadłem. Dlatego... – Zawahał się. – Zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś rzucić okiem na ten szkielet.

– Ja? – zapytała Margo. – Ale dlaczego?

– Jesteś antropologiem.

– Tak, ale specjalistką od etnofarmakologii. Od studiów nie zajmowałam się antropologią.

– Założę się, że wciąż mogłabyś zakasować większość tutejszych antropologów. Poza tym ufam ci. Przychodzisz tu, znasz muzeum, ale nie należysz do personelu.

– Moje badania są czasochłonne.

– Wystarczy, żebyś rzuciła okiem. W wolnej chwili. Naprawdę zależy mi na twojej opinii.

– Nie rozumiem, co stary szkielet Hotentota może mieć wspólnego z morderstwem.

– Ja też tego nie wiem. Ale to jak dotąd mój jedyny trop. Posłuchaj, Margo, zrób to dla mnie. Znałaś Marsalę. Proszę, pomóż mi rozwiązać sprawę jego morderstwa.

Westchnęła.

– Skoro tak to ująłeś, czy mogłabym odmówić?

– Dziękuję. – D’Agosta uśmiechnął się. – Ach i jeszcze jedno. Ja stawiam lunch.

Ubrany w sprane dzinsy, dzinsową koszulę na zatrzaski i stare kowbojki, agent A.X.L. Pendergast lustrował Salton Sea z ukrycia wśród wysokich trzcin na obrzeżach Narodowego Rezerwatu Przyrody imienia Sonny'ego Bono. Nad ciemnymi wodami widać było pelikany brunatne kołujące w powietrzu z głośnym skrzeczeniem. Dochodziło wpół do jedenastej, a temperatura wynosiła trzydzieści sześć stopni Celsjusza.

Salton Sea, wbrew nazwie, nie było morzem, lecz śródlądowym jeziorem. Powstało przez przypadek na początku dwudziestego wieku, gdy silne ulewy zniszczyły źle zaprojektowaną część kanałów irygacyjnych i wody rzeki Kolorado wpłynęły do Salton Sink, zalewając miasteczko Salton i ostatecznie tworząc jezioro o powierzchni niemal sześciuset kilometrów kwadratowych. Przez pewien czas te tereny były żyzne i na jego brzegach powstały liczne ośrodki wypoczynkowe. Jednak wody opadły, a gdy, cofając się, zaczęły stawać się coraz bardziej słone, miasteczka utraciły klientów i opustoszały, urlopowicze przestali przyjeżdżać, ośrodki zbankrutowały. Teraz cały region, z nagimi pustynnymi wzgórzami, bagnami pokrytymi skorupą zaschniętej soli, mnóstwem niszczących na parkingach przyczep i opustoszałymi kurortami z lat pięćdziesiątych, wyglądał jak świat po zagładzie atomowej. To była ziemia, która uległa wyludnieniu, ogołoceniu do białego piasku; odpychający krajobraz, gdzie nic nie było w stanie przeżyć, z wyjątkiem niezliczonych stad ptaków.

Pendergastowi to miejsce wydało się nieodparcie urzekające. Schował lornetkę i wrócił do samochodu, perłowego cadillaca deville rocznik 1998. Skierował się z powrotem na szosę numer 86 i ruszył w głąb Imperial Valley, wzdłuż zachodniego brzegu jeziora. Od czasu do czasu zatrzymywał się przy przydrożnych bramach i smętnie wyglądających sklepikach „z antykami”, gdzie oglądał oferowane towary, wypytując o artykuły kolekcjonerskie, podrabianą biżuterię indiańską, rozdając wizytówki, a nawet zdarzyło mu

się coś kupić.

Okolo południa wjechał na nieoznakowaną boczną drogę i kilka kilometrów dalej zaparkował u podnóża Scarrit Hills, łańcucha nagich szczytów i skał, mocno zerodowanych i pozbawionych życia. Sięgnął po lornetkę leżącą na fotelu pasażera, wysiadł z samochodu i wspiął się na najbliższe wzgórze. Zwalniał w miarę zbliżania się do szczytu. Ukrywszy się za ogromnym głazem, przyłożył lornetkę do oczu i ostrożnie wyjrzał zza skały.

Od wschodu wzgórze schodziło w dół, ku pustyni i oddalonym półtora kilometra posępnym brzegom Salton Sea. Nad powierzchnią słonych nizin przetaczały się pyłowe diabły, wzbijając w powietrze wirujące kaskady kurzu.

Poniżej na pustyni, w połowie drogi między wzgórzami a brzegiem, można było dostrzec dziwną budowlę, niszczącą i mocno naruszoną przez warunki atmosferyczne. Była to rozległa, potężna mieszanina betonu i drewna, niegdyś w krzykliwych kolorach, a teraz spłowieła niemal na kość, prawie biała, upstrzona dwuspadowymi dachami, minaretami i pagodami niczym fantastyczne połączenie chińskiej świątyni z parkiem rozrywki Asbury. To było dawne Salton Fontainebleau, sześćdziesiąt lat temu najbardziej wytworny kurort nad Salton Sea, znany jako Las Vegas Południa, odwiedzany przez gwiazdy filmowe i gangsterów. Na tych plażach i szerokich werandach kręcono jeden z filmów z Elvisem. To tu występowała słynna grupa Rat Pack, a ludzie tacy jak Frank Costello i Moe Dalitz prowadzili swoje interesy w zacisznych pokoikach na tyłach. Kiedy jednak fale jeziora cofnęły się od tych eleganckich pirsów, a poziom zasolenia wzrósł tak, że pozabijał wszystkie ryby, które śnięte zalegały cuchnącymi, gnijącymi stertami przy butwiejących palach, kurort opustoszał, pozostawiony na pastwę słońca, wiatrów i migrujących ptaków.

Ze swojej kryjówki Pendergast przyglądał się kurortowi z największą uwagą. Warunki pogodowe sprawiły, że farba złuszczyła się z wiekowego drewna, a większość okien wyglądała teraz jak czarne puste otwory. W kilku miejscach potężny dach zapadł się i pojawiły się w nim ziejące dziury. Tu i ówdzie ozdobne balkony poprzeczymały się w bok, osłabione przez lata nieużytkowania. Nie było żadnych oznak niegdysiejszej aktywności. Fontainebleau pozostało nietknięte, nienaruszone, odizolowane, niewarte

zainteresowania nawet członków młodocianych gangów czy grafficiarzy.

Pendergast spojrział teraz przez lornetkę na miejsce oddalone o osiemset metrów na północ za kurortem. Stary, biegnący żlebem szlak prowadził tu do ciemnego otworu w zboczu wzgórza, którego strzępiasta paszcza została w którymś momencie zablokowana przez stare, drewniane drzwi. Było to wejście do kopalni Złoty Pająk, miejsca, skąd pochodził turkus znaleziony w żołądku Albana. Pendergast zlustrował wejście i drogę do kopalni z wyjątkową skrupulatnością. W przeciwieństwie do Fontainebleau w starej kopalni turkusów ostatnio coś się działo. Dostrzegł świeże ślady na starym szlaku, a przed wejściem do kopalni popękany grunt ukazywał warstwę soli jaśniejszą niż powyżej. Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby zatrzeć zarówno ślady opon, jak i stóp, ale ze wzgórza jedno i drugie, choć rozmazane, rzucały się w oczy.

To nie był przypadek ani zbieg okoliczności. Alban został zabity, a turkus umieszczono w jego ciele z jednego powodu – aby zwabić Pendergasta do tego miejsca zapomnianego przez Boga. Powód, dla którego ktoś to zrobił, wciąż pozostawał zagadką.

Pendergast pozwolił się tu zwabić. Ale nie zamierzał dać się zaskoczyć.

Długo obserwował wejście do jaskini. W końcu skierował lornetkę jeszcze dalej na północ, przepatrując otaczający krajobraz. Jakies trzy kilometry za Fontainebleau, na niewielkim wzniesieniu dało się dostrzec siatkę ulic, nieczynnych latarni i opuszczonych domów, które kiedyś składały się na miasto. Pendergast przyjrzał się im z uwagą. A potem przez kolejną godzinę obserwował pejzaż od północy i południa, wypatrując czegoś jeszcze, co mogło świadczyć o niedawnej aktywności w tej okolicy.

Nic.

Zszedł ze wzgórza, wsiadł do samochodu i pojechał w stronę opustoszałego miasteczka. Gdy zbliżał się do dużej, spłowiełej od słońca tablicy, dostrzegł ledwie widoczne litery układające się w napis witający go w miasteczku Salton Palms. Upiorny wizerunek poniżej ukazywał kobietę w bikini, na nartach wodnych, machającą ręką i uśmiechającą się pogodnie.

Dotarłszy do opuszczonej osady, Pendergast zaparkował i zaczął spacerować po Salton Palms tak po prostu, bez żadnego ustalonego planu, a jego kowbojki stukały o pokryte popękany asfalterm ulice, wzbijając w powietrze obłoczki kurzu, białego jak sypki śnieg. Salton Palms było

niegdyś miasteczkiem skromnych letnich domków, które popadły w ruinę – smagane wiatrem, bez drzwi, spalone albo całkiem zapadnięte. Zniszczona przystań, z pirsem sterczącym pod szalonym kątem, ze zbutwiałymi palami, była oddalona o setki metrów od obecnej linii wody. Zeschłe, niesione przez wiatr rośliny, pooblepiane kryształkami soli, wyglądały jak gigantyczne płatki śniegu.

Pendergast szedł wolno pośród tego chaosu, popatrując na zardzewiałe huštawki w opustoszałych przydomowych ogródkach, stare ruszty do grilla i popękane baseniki dla dzieci. Samochodzik na pedały z lat pięćdziesiątych leżał przewrócony na bok na środku ulicy. W cieniu wiatrochronu spoczywał pokryty solą szkielet psa, który wciąż miał obrozę na szyi. Jedynymi słyszalnymi odgłosami było ciche zawroźnienie wiatru.

Na południowym krańcu Salton Palms, z dala od innych budowli, stał prowizoryczny barak z dachem z papy, niechlujny, oblepiony solą, sklecony z fragmentów opuszczonych domów, a obok niego stary, ale wciąż jeszcze sprawny pikap składający się bardziej z rdzy niż metalu. Pendergast przyglądał się temu przez dłuższą chwilę, wreszcie swobodnym, różnym krokiem ruszył w jego stronę.

Poza pikapem, jak okiem sięgnąć, nie było żadnych oznak życia. Barak wyglądał na pozbawiony prądu i bieżącej wody. Pendergast znów rozejrzał się dokoła, a potem postukał w arkusz blachy falistej pełniący funkcję prowizorycznych drzwi. Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, zastukał ponownie.

Ze środka dobiegł cichy odgłos lekkiego poruszenia.

– Jazda mi stąd! – rozległ się ochryply głos.

– Bardzo przepraszam – rzekł przez drzwi Pendergast, zastępując swój południowy akcent łagodniejszym teksańskim – ale czy mógłbym zająć panu chwilę?

Ponieważ jego słowa nie przyniosły rezultatu, wyjął z jednej z kieszonek na piersi wizytówkę. Widniał na niej napis:

WILLIAM W. FEATHERS

Handlarz artykułami kolekcjonerskimi,
wrobami rękodzielniczymi, pamiątkami z Zachodu
i akcesoriami kowbojskimi.

Odsprzedaże na eBayu to moja specjalność.

Wsunął wizytówkę pod arkusz blachy falistej. Przez chwilę leżała na ziemi. Potem nagle zniknęła. A zaraz znów rozległ się ochryply głos:

– Czego pan chce?

– Miałem nadzieję, że ma pan parę drobiazgów na sprzedaż.

– Akurat teraz nie mam.

– Ludzie zawsze tak mówią. Nie zdają sobie sprawy z tego, co mają, dopóki im tego nie uświadomię. Płacę gotówką. Oglądał pan kiedykolwiek *Handlarzy w trasie*?

Żadnej odpowiedzi.

– Na pewno ma pan coś ciekawego, nie wątpię, że przeczesał pan to stare miasteczko w poszukiwaniu rarytasów dla kolekcjonerów. Może coś bym od pana kupił. Oczywiście, jeśli nie jest pan zainteresowany, sam pokręcę się trochę tu i tam i może w którymś z tych starych domów znajdę coś ciekawego. Skoro już się tu pofatygowałem, warto chyba spróbować.

Wciąż cisza, jeszcze przez co najmniej minutę. Wreszcie drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i pojawiła się brodata, surowa twarz, unosząca się jak upiorny balon pośród panującego wewnątrz mroku, a na niej malował się grymas podejrzliwości.

Pendergast natychmiast wykorzystał okazję, by wsunąć stopę w szparę i entuzjastycznie uścisnął dłoń tamtego. Starał się okazać maksimum życzliwości, zasypując brodacza podziękowaniami i nie dając mu szansy powiedzieć choć słowo.

Wewnątrz baraku było duszno i śmierdziało. Pendergast rozejrzał się pospiesznie dokoła. W kącie leżał stary siennik. Pod pojedynczym oknem stał piecyk, klasyczna koza z płytą kuchenną do gotowania. Funkcję krzeseł pełniły dwa drewniane pniaki. Wszędzie panował chaos, na tej ograniczonej przestrzeni walały się ubrania, koce, jakieś graty, puste puszki, stare mapy drogowe, kawałki wyschniętego na słońcu drewna, połamane narzędzia i niezliczone ilości innych drobiazgów.

Wśród tej graciarni coś delikatnie rozbłysło. Puszczając dłoń gospodarza, Pendergast schylił się, żeby podnieść zauważony przedmiot z okrzykiem zachwyty.

– Widzi pan, o czym mówię? Proszę tylko spojrzeć! A niech to, takie cacko leży na ziemi? Powinno się je postawić w przeszklonej gablocie!

Był to fragment naszyjnika z ogniwami w kształcie kwiatów, pełnego rys

i wgniecen, z taniego srebra i bez zdobiących go drogich kamieni. Pendergast ujął jednak ten przedmiot z taką czcią, jakby miał w dłoniach kamienną tablicę z Dziesięciorgiem Przykazań.

– Mogę dostać za to na eBayu nawet sześćdziesiąt dolców! – zawołał. – Zajmę się całą transakcją, zrobię zdjęcie i opis, zapłacę za wysyłkę i wystawienie tego przedmiotu na aukcji, proszę się o nic nie martwić. Proszę tylko, żebym mógł pobrać mały procent, prowizję od transakcji. Zapłacę panu z góry, a jeśli na aukcji internetowej uda mi się zarobić więcej, wyślę panu wyrównanie. Chciałbym zatrzymać jedynie dziesięć procent od finalnej sumy. Czy powiedziałem sześćdziesiąt dolców? Niech będzie siedemdziesiąt. – Wyjął z kieszeni plik banknotów.

Schorowane oczy gospodarza rozlatującego się baraku przeniosły wzrok z twarzy Pendergasta na zwitek pieniędzy. Brodacz wpatrywał się w niego, gdy Pendergast odliczał siedem banknotów dziesięciodolarowych, a następnie mu je podał. Po krótkiej chwili wahania drżąca dłoń uniosła się i zgarnęła pieniądze, jakby w każdej chwili mogły zniknąć lub odlecieć. Staruszek wcisnął pieniądze do kieszeni dżinsowych ogrodniczek.

Uśmiechając się do gospodarza po teksańsku, od ucha do ucha, Pendergast rozgościł się w baraku w najlepsze, sadowiąc się na jednym z pieńków. Jego gospodarz, z wyrazem niepewności na zarośniętym obliczu, uczynił to samo. Mężczyzna był niski, chudy, o długich, zmierzwionych, siwych włosach i wąsach. Miał sękaty dłonie i niewiarygodnie brudne paznokcie. Jego twarz i ramiona były pociemniałe od długich dni spędzonych na słońcu. Podejrzliwość wciąż płonęła w jego oczach, choć widok pieniędzy trochę ją złagodził.

– Jak cię zwa, przyjacielu? – zapytał Pendergast. Jakby od niechcienia wciąż trzymał w dłoni plik banknotów.

– Cayute.

– Cóż, panie Cayute, pozwoli pan, że się przedstawię. Bill Feathers, do usług. Ma pan tu sporo ślicznych drobiazgów. Jestem pewien, że się dogadamy!

Pendergast sięgnął po starą metalową tablicę z oznaczeniem autostrady stanowej numer 111 i położył ją na dwóch blokach z pustaków, by pełniła funkcję stołu. Farba odłaziła z tablicy, a jej powierzchnia była podziurawiona śrucinami.

– Na przykład to. Wie pan, restauratorzy wieszają takie tablice w swoich lokalach, gdzie serwuje się prawdziwe amerykańskie steki. Są bardzo poszukiwane. Założę się, że mógłbym to opchnąć za... powiedzmy... pięćdziesiąt dolarów. Co pan na to?

Błysk w oczach tamtego przybrał na sile. Po minucie Cayute skwapliwie pokiwał głową. Pendergast natychmiast odliczył z pliku kolejnych pięć banknotów i podał staruszkowi. A potem się rozpromienił.

– Panie Cayute, widzę, że ma pan głowę do interesów. Śmiem twierdzić, że dla nas obu będzie to korzystna wymiana.

W piętnaście minut Pendergast nabył pięć absolutnie bezwartościowych przedmiotów za ogółem trzysta osiemdziesiąt dolarów. To uspokoiło wyjątkowo podejrzliwego Cayute'a. A półlitrowa butelka southern comfort, którą Pendergast wyjął z tylnej kieszeni dzinsów i podsunął w stronę staruszka, jeszcze bardziej rozwiązała mu język. Wyglądało na to, że Cayute koczował w tym baraku, bo w dzieciństwie przebywał trochę w tych stronach, a gdy nastały dla niego ciężkie czasy, wrócił do opustoszałego Salton Palms. Pomieszkiwał w „bungalowie” stanowiącym jego główną bazę wypadową i regularnie poszukiwał rzeczy, które mógł sprzedać.

Z cierpliwością i taktem Pendergast zaczął wypytywać o historię miasteczka i pobliskiego Salton Fontainebleau, a w nagrodę poznał między innymi wiele anegdot związanych z rozkwitem i żalonym upadkiem kasyna. Cayute był kelnerem w najwytworniejszej restauracji w Fontainebleau w okresie jego prosperity.

– Boże – powiedział Pendergast – cóż to musiał być za widok.

– Jeszcze jaki. Nawet pan sobie nie wyobraża – odparł ochryplym tonem Cayute, pociągając z butelki i odstawiając ją na bok jak zdobycz ze swojej kolekcji. – Wszyscy tu przyjeżdżali. Cała śmietanka Hollywood. Marilyn Monroe złożyła raz autograf na mankiecie mojej koszuli, gdy obsługiwałem jej stolik!

– Nie!

– Niestety przypadkiem koszula została uprana – rzekł ze smutkiem Cayute. – Pomyśleć tylko, ile to mogłoby być dzisiaj warte.

– Wielka szkoda. – Pauza. – Dawno temu zamknięto ten kurort?

– Będzie z pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt pięć lat.

– Co za tragedia, taki piękny budynek...

– Mieli wszystko. Kasyno. Basen. Promenadę. Przystań dla łodzi. Spa. Ogród zoologiczny.

– Ogród zoologiczny?

– Tak. – Mężczyzna wziął do ręki pustą butelkę southern comfort, spojrział na nią ze smutkiem i odstawił. – Zbudowali go w naturalnych tunelach pod hotelem. Tuż obok sali koktajlowej. Zrobili tak, żeby zoo wyglądało jak fragment dżungli. Były tam prawdziwe żywe lwy, czarne pantery i tygrysy syberyjskie. Wieczorami wszystkie grube ryby mogły zebrać się na balkonie z drinkami w dłoniach i podziwiać zwierzęta.

– To ciekawe – rzekł Pendergast, pocierając z zadumą podbródek. – Czy w środku wciąż jest coś ciekawego? To znaczy chcę zapytać, czy spenetrował pan już wnętrze?

– Nic tam nie ma. Zupełnie. Wszystko rozgrabiono.

Coś jeszcze przykuło wzrok Pendergasta, wyzierając spod leżącego na podłodze postrzępionego katalogu Searsa i Roebucka sprzed pół wieku. Podniósł to coś i podszedł do okna, żeby się lepiej przyjrzeć. Był to nieoszlifowany fragment turkusu z czarnymi żyłkami.

– Cóż za piękny kamień. Cudowne znakowanie. Może i w tej kwestii się dogadamy. – Spojrzał na Cayute'a. – Jak rozumiem, niedaleko jest stara kopalnia. Złoty Pająk, o ile mnie pamięć nie myli. Tam pan to znalazł?

Staruch potrząsnął kudłatą głową.

– Nigdy tam nie wchodziłem.

– Czemu nie? Wydaje mi się, że to idealne miejsce, by poszukać turkusów.

– To z powodu historii, jakie opowiadają.

– Jakich historii?

Na twarzy Cayute'a pojawił się dziwny grymas.

– Ludziska mówią, że to miejsce jest nawiedzone.

– Co pan nie powie.

– To nie jest duża kopalnia, ale są tam naprawdę głębokie sztolnie. Krąży wiele plotek.

– Jakich plotek?

– Słyszałem, że właściciel kopalni odkrył gdzieś w środku istną fortunę w turkusach. Facet umarł, plotki zaczęły się rozchodzić, ale nikt już nie zna miejsca tego skarbu. Od czasu do czasu ktoś próbuje przeszukiwać wnętrze kopalni, ale nikomu nie udało się niczego znaleźć. Aż tu dwadzieścia lat temu zjawił się pewien łowca skarbów. W jednym chodniku były zbutwiałe deski i nieszczęśnik runął w głąb szybu. Pogruchotał obie nogi. Nikt nie

słyszał jego błagalnych krzyków, gdy wołał o pomoc. Zmarł z pragnienia i przegrzania w ciemnym tunelu.

– Okropna historia.

– Ludziska mówią, że kto zapaści się do tej kopalni, wciąż może go usłyszeć.

– Usłyszeć go? Znaczą się jego kroki?

Cayute pokręcił głową.

– Nie, raczej szuranie, jakby ktoś próbował się czołgać po ziemi, no i wołanie o pomoc.

– Szuranie. Oczywiście, to z powodu połamanych nóg. Cóż za straszna historia.

Cayute nic już powiedział, tylko znów popatrzył tęsknie na pustą butelkę.

– Wygląda na to, że ta legenda nie odstraszyła wszystkich – zauważył Pendergast.

Cayute przeniósł wzrok na niego.

– Jak to?

– Cóż, pokręciłem się wcześniej przed wejściem do jaskini. Zauważyłem ślady stóp. I opon. Świeże.

Mężczyzna szybko odwrócił wzrok.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Pendergast czekał, aż tamten powie coś więcej, ale nic takiego nie nastąpiło. W końcu zmienił nieznacznie pozycję na prowizorycznym stołku.

– Naprawdę? To mnie dziwi. Z tego baraku musi pan mieć doskonały widok na kopalnię. – Jakby od niechcienia znowu wyjął z kieszeni gruby plik banknotów.

Cayute nie odpowiedział.

– Jestem zdumiony. To miejsce nie może być oddalone więcej niż półtora kilometra od kopalni.

Pendergast powoli zaczął przekładać banknoty, odsłaniając znajdujące się pod dziesiątkami dwudziesto- i pięćdziesięciodolarówki.

– Czemu to pana interesuje? – zapytał Cayute, jakby nagle znów obudziła się w nim podejrliwość.

– Cóż, specjalizuję się w turkusach. Jestem również, co tu kryć, łowcą skarbów. Tak jak facet z pańskiej opowieści.

Pendergast nachylił się w stronę brodacza i zniżając głos do szeptu,

powiedział:

– Jeżeli przy kopalni Złoty Pająk coś się dzieje, chciałbym to wiedzieć.

Stary zbieracz rupieci miał niepewną minę. Zamrugął przekrwionymi oczami.

– Zapłacili mi, żebym nic nie mówił.

– Ja też mogę zapłacić. – Pendergast rozłożył plik banknotów i wyjął dwie pięćdziesiątki. – Może pan zarobić dwa razy i nikt się nie dowie.

Cayute spojrzawszy wyglądającym wzrokiem na pieniądze, ale nic nie powiedział. Pendergast odliczył jeszcze dwie pięćdziesiątki i mu podał. Kolejne wahanie, a potem szybko, zanim mógłby się rozmyślić, staruszek zgarnął banknoty i włożył do tej samej kieszeni co pozostałe.

– To było parę tygodni temu – powiedział. – Przyjechali kilkoma ciężarówkami, zrobili sporo zamieszania. Zaparkowali przed wejściem do kopalni i zaczęli rozładowywać sprzęt. Domyśliłem się, że zamierzają otworzyć kopalnię, więc poszedłem tam, żeby się przywitać. Zaproponowałem, że sprzedam im starą mapę kopalni.

– I co?

– To nie byli sympatyczni ludzie. Powiedzieli, że zamierzają zbadać kopalnię na okoliczność... integralności struktury... tak się chyba wyrazili. Ale jakoś mi na to nie wyglądało.

– Jak to?

– Nie wyglądali na inspektorów. Głównie z powodu sprzętu, który wnieśli do środka. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Haki, liny i coś jak... jak... ten tego... – Cayute zaczął gestykulować – jak to, do czego wchodzi nurekowie.

– Klatka na rekiny?

– Tak. Tyle że większa. Nie chcieli mojej pomocy. A potem kazali mi pilnować swoich spraw i dali pięćdziesiątaka, żebym trzymał język za zębami. – Stary pociągnął Pendergasta za rękaw. – Nie powie pan nikomu o tym, co widziałem, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Słowo?

– To będzie nasza tajemnica. – Pendergast potarł podbródek. – Co było dalej?

– Kilka godzin później odjechali. Wrócili wczoraj. W aucie było dwóch

facetów. Zaparkowali przy wejściu i wysiedli.

– I co? – ponaglił go Pendergast.

– Była pełnia księżycy, więc widziałem wszystko jak na dłoni. Jeden starannie zaczął zacierać ślady grabiami, a drugi przysypywał zagrabione miejsca piaskiem, używając do tego słomianej miotły. Cofali się po własnych śladach od kopalni aż do ciężarówki. Potem odjechali.

– Czy mógłby pan opisać tych mężczyzn? Jak wyglądali?

– Groźnie. Z takimi ludźmi lepiej nie zadzierać. Już i tak powiedziałem za dużo. Proszę pamiętać, co pan mi obiecał.

– Bez obawy, panie Cayute. – Pendergast zamyślił się przez chwilę. – Wspominał pan coś o mapie kopalni?

W starych, schorowanych oczach znów pojawił się znajomy błysk łagodzący ożywienie i niesłabnącą podejrzliwość.

– Owszem, a bo co?

– Może byłbym zainteresowany jej nabyciem.

Cayute znieruchomiał na moment. Wreszcie, nie podnosząc się z prowizorycznego zydlu, zaczął grzebać wśród sterty rupieci walających się u jego stóp, by wyjąć upstrzony przez muchy zwinięty w rulon arkusz papieru, mocno sfatygowany i poplamiony. Bez słowa rozwinął mapę i pokazał Pendergastowi, ale mu jej nie podał.

Pendergast nachylił się, żeby lepiej się przyjrzeć. Potem bez słowa odliczył kolejne cztery pięćdziesiątki i pokazał Cayute'owi.

Transakcja została przeprowadzona szybko i sprawnie. Zrolowawszy mapę, Pendergast wstał z pniaka i uściśnął sękatą dłoń.

– Dziękuję i życzę miłego dnia, panie Cayute – rzekł, wkładając zakupione rzeczy do kieszeni, a mapę i tablicę drogową wciskając pod pachę. – Miło się robi z panem interesy. Niech się pan nie fatyguje, proszę nie wstawać, sam trafię do wyjścia.

D'Agosta przysiadł na stole w głównym laboratorium wydziału osteologii, a Margo Green stała obok niego ze skrzyżowanymi ramionami, nerwowo bębniąc palcami jednej ręki o łokieć. D'Agosta patrzył, tłumiąc rozdrażnienie, gdy technik Sandoval pracował przy swoim komputerze, na przemian stukając w klawisze i wlepiając wzrok w ekran. W muzeum wszystko działo się tak cholernie wolno, że dziwił się, iż w ogóle cokolwiek byli tu w stanie zrobić.

– Wyrzuciłem świstek z numerem ewidencyjnym – powiedział Sandoval. – Nie spodziewałem się, że będzie pan chciał zobaczyć te kości raz jeszcze.

Technik był zdenerwowany, że musi powtórzyć całą procedurę, a może bardziej przejmował się tym, iż Frisby mógłby go przyłapać na marnowaniu cennego czasu pracy na rzecz nowojorskiej policji.

– Chciałem, żeby doktor Green także rzuciła okiem na ten okaz – odrzekł D'Agosta, wypowiadając słowo „doktor” ze szczególną emfazą.

– Już mam.

Jeszcze kilka uderzeń w klawisze, cichy szmer i z pobliskiej drukarki wysunęła się kartka papieru. Sandoval podał ją D'Agoscie, a ten pokazał ją Margo.

Zlustrowała wzrokiem tekst na wydruku.

– To informacje ogólne – powiedziała. – Czy mogę poprosić o szczegółowe?

Sandoval mrugał przez chwilę powiekami. A potem powrócił wzrokiem do komputera i bez pośpiechu znów zaczął stukać w klawisze. Drukarka wypluła jeszcze kilka stron, które Sandoval podał Margo. Przejrzała ich treść.

W pomieszczeniu było chłodno jak w pozostałej części muzeum, ale D'Agosta zauważył, że na jej czole pojawiły się kropelki potu, a twarz wyraźnie pobiadła.

– Dobrze się czujesz, Margo?

Machnęła lekceważąco ręką i uśmiechnęła się słabo.

– I to jedyny okaz, jaki Vic pokazał temu fałszywemu naukowcowi?

Sandoval pokiwał głową, podczas gdy Margo wciąż przeglądała zapis katalogowy.

– Mężczyzna, Hotentot, wiek około trzydziestu pięciu lat. Kompletny.

Preparator: dr E.N. Padgett.

– Ach. On. – Sandoval zachichotał.

Margo spojrzała na niego, po czym znów wlepiła wzrok w wydruk.

– Zauważyłaś coś ciekawego? – zapytał D’Agosta.

– Nie bardzo. Najwyraźniej szkielet został pozyskany w typowy sposób, a przynajmniej typowy dla tamtych czasów. – Przewróciła kolejną stronę. – Wygląda na to, że muzeum dogadało się z badaczem z Ameryki Południowej, który miał dostarczać placówce szkielety do kolekcji osteologicznych. Są tu załączone zapiski terenowe tego badacza nazwiskiem Hutchins.

Cisza, podczas gdy Margo przeczytała kolejny fragment.

– Podejrzewam, że ten Hutchins był w rzeczywistości zwykłym rabusiem grobów. Przypuszczalnie dowiedział się o miejscu pochówku Hotentota, odnalazł grób, który potem ciemną nocą splądrował, wypreparował szkielet i przesłał do muzeum. Podana tu rzekoma przyczyna śmierci, czerwotka, której mężczyzna miał nabawić się podczas siódmej wojny Xhosa, to prawdopodobnie wybieg, aby transakcja została zaakceptowana przez muzeum.

– Nie wie pani tego na pewno – wtrącił Sandoval.

– To prawda. Nie wiem. Ale zbadalam dość dokumentów zawierających zapisy o pozyskaniu okazów archeologicznych, żeby umieć czytać między wierszami. – Odłożyła wydruk.

D’Agosta zwrócił się do Sandovala:

– Czy zechciałby pan przynieść szkielet?

– Jasne – westchnął Sandoval.

Wstał od komputera, zabrał kartkę z numerem ewidencyjnym obiektu i ruszył w stronę korytarza. W drzwiach przystanął na chwilę i obejrzał się przez ramię.

– Chcecie pójść ze mną?

D’Agosta wykonał gest, jakby chciał to zrobić, ale Margo przytrzymała go

za rękę.

– Zaczekamy w laboratorium na końcu korytarza.

Sandoval wzruszył ramionami.

– Jak chcecie – powiedział i zniknął za rogiem.

D'Agosta podążył za Margo w głąb korytarza do pomieszczenia, gdzie przybywający gościnnie do muzeum naukowcy mogli badać interesujące ich okazy. Zaczynał żałować, że nie przyjął oferty Singletona i nie zajął się sprawą zamordowanej biegaczki. To irytujące, że Pendergast nagle zniknął bez słowa, nie racząc nawet wyjaśnić, dlaczego ten szkielet był jego zdaniem taki ważny. Dopiero gdy już było za późno, D'Agosta uświadomił sobie, jak bardzo liczył na pomoc agenta FBI. W dodatku zaczynał powoli tonąć pod lawiną transkrypcji z przesłuchań, raportów na temat materiałów dowodowych i opinii ekspertów. Wszystkie sprawy wiązały się nierozzerwalnie z papierkową robotą, ale przy tej było jej aż nadto, głównie z powodu wielkości muzeum i liczby zatrudnionych w nim osób. Pusty gabinet przylegający do jego biura w komendzie głównej wypełniał się nieubłaganie stertami nagromadzonych papierów.

Patrzył, jak Margo nakłada parę lateksowych rękawiczek, spogląda na zegarek i zaczyna krążyć po pokoju. Wydawała się zdenerwowana.

– Margo – powiedział – jeżeli pora nie jest odpowiednia, możemy wrócić później. Mówiłem ci, że to tylko przeczucie, nic więcej.

– Nie – odparła. – To prawda, że muszę niedługo wrócić do instytutu, ale nie w tym rzecz.

Spacerowała jeszcze trochę, po czym, jak pod wpływem nagłego impulsu, przystanęła i odwróciła się, a D'Agosta odniósł wrażenie, że cofnął się o kilkanaście lat w przeszłość, do dnia, kiedy po raz pierwszy przesłuchiwał ją w sprawie zabójstw w muzeum.

Patrzyła mu w oczy przez dłuższą chwilę, a potem usiadła na jednym z krzesel ustawionych przy stole do badań. D'Agosta zrobił to samo. Odchrząknęła, przełknęła ślinę.

– Mam nadzieję, że nikomu o tym nie powiesz.

D'Agosta pokręcił głową.

– Wiesz, co wtedy przeżyłam.

– Tak. Zabójstwa w muzeum, zabójstwa w metrze. To były straszne chwile. Margo spuściła wzrok.

– Nie o to mi chodzi. Miałam na myśli to, co przydarzyło mi się... później.

Przez moment nie rozumiał, o co jej chodzi. I nagle doznał olśnienia. Było jak cios łopata w głowę. O Boże, pomyślał. Zupełnie zapomniał o tym, co spotkało Margo, kiedy wróciła do muzeum, żeby nadzorować wydanie lokalnego czasopisma naukowego „Muzeologia”. Kiedy w mrocznych salach muzeum była bezlitośnie tropiona jak zwierzę, a następnie pchnięta nożem przez szalonego seryjnego zabójcę i ledwie uszła z życiem. Spędziła wiele miesięcy w prywatnej klinice, zanim wróciła do zdrowia. D’Agosta nie zdawał sobie sprawy, jaką traumę mogło wywołać w jej umyśle to zdarzenie.

Margo milczała przez chwilę. Wreszcie znów się odezwała, choć z większą rezerwą i wahaniem:

– Od tamtej pory przebywanie w muzeum jest dla mnie prawdziwą katorgą. Cóż za ironia, nieprawdaż, skoro moje badania mogę prowadzić wyłącznie tutaj? – Pokręciła głową. – Zawsze byłam odważna. Niczego się nie bałam. Pamiętasz, jak uparłam się, żeby towarzyszyć tobie i Pendergastowi w wyprawie do tuneli metra i na jeszcze niższy poziom, pod nimi? Ale wszystko się zmieniło. Jest tylko kilka miejsc w muzeum, do których mogę swobodnie wejść... nie doznając ataku paniki. Nie mogę zapuszczać się zbyt daleko w głąb pomieszczeń, gdzie zgromadzone są poszczególne zbiory. Bo tam odżywają we mnie wspomnienia. Zapamiętałam wszystkie najbliższe wyjścia, wiem, jak najszybciej mogę się wydostać na zewnątrz, gdybym musiała. Kiedy pracuję, muszą być ze mną inne osoby. I nigdy nie zostaję w muzeum po godzinach, po zmierzchu. Samo przebywanie tutaj, na górnym piętrze stanowi dla mnie poważny problem.

D’Agosta poczuł się jeszcze bardziej niezręcznie, że zwrócił się do niej o pomoc; było mu cholernie głupio.

– To, przez co przechodzisz, jest normalne.

– To nie wszystko. Jest znacznie gorzej. Nie znoszę ciemnych miejsc. Ani w ogóle ciemności. W moim mieszkaniu przez całą noc pali się światło. Powinieneś zobaczyć, jakie płacę rachunki za prąd. – Zaśmiała się oschle. – Jestem w rozsypce. Chyba cierpię na nową przypadłość, muzeofobię.

– Posłuchaj. – D’Agosta przerwał, biorąc ją za rękę. – Może powinniśmy zapomnieć o tym cholernym szkielecie. Znajdę kogoś innego, kto...

– Nie ma mowy. Może i jestem porąbana, ale odwagi mi nie brak. Zrobię to. Tylko nie proś mnie, żebym poszła tam dalej. – Wskazała w głąb labiryntu

sal, dokąd udał się Sandoval. – I nigdy, przenigdy nie prosź mnie – starała się trzymać fason, ale w jej głosie dało się wyczuć drżenie – żebym zesła do piwnic.

– Dziękuję – rzekł D'Agosta.

W korytarzu rozległy się kroki. Wrócił Sandoval, trzymając oburącz znajomy pojemnik na okazy. Ostrożnie postawił go na stole pomiędzy nimi.

– Będę przy swoim biurku – powiedział. – Dajcie znać, gdy skończycie.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. D'Agosta patrzył, jak Margo naciąga mocniej rękawiczki, a następnie wyjmuje z pobliskiej szuflady złożony kawałek bawełnianej tkaniny, rozkłada go starannie na stole, sięga po kości i umieszcza je na materiale. Robiła to metodycznie: żebra, kręgi, kości rąk i nóg, czaszka, żuchwa i wiele mniejszych, których nie był w stanie rozpoznać. Przypomniatł sobie, jak Margo uwolniła się od traumy po sprawie morderstw w muzeum, jak zaczęła intensywnie ćwiczyć, jak zdobyła pozwolenie na broń i nauczyła się posługiwać pistoletem. Wydawała się taka chłodna i opanowana. Ale widywał gliniarzy, którzy mieli podobne przejścia, i mógł jedynie mieć nadzieję, że sytuacja się nie pogorszy. Patrząc na Margo, przestał myśleć o czymkolwiek innym. Spojrzała obok niego i nagle znieruchomiła, trzymając w przyobleczonych w lateksowe rękawiczki dłoniach kość miednicy. Wyraz jej twarzy zmienił się. Nie była już zdystansowana, lecz zaaferowana, a nawet zdumiona.

– Co się stało? – zapytał.

Zamiast odpowiedzieć, obróciła trzymaną w dłoniach kość miednicy i przyjrzała się jej uważnie. A potem starannie odłożyła ją na bawełnianą tkaninę, sięgnęła po żuchwę i zbadała ją gruntownie, oglądając najpierw z jednej, a potem z drugiej strony. Wreszcie odłożyła żuchwę i popatrzyła na D'Agostę.

– Mężczyzna, Hotentot, wiek w przybliżeniu trzydzieści pięć lat?

– Tak.

Margo oblizwała usta.

– To ciekawe. Będę musiała tu jeszcze wrócić w wolnej chwili, ale jedno mogę powiedzieć ci już teraz. Ten szkielet na pewno nie należał do Hotentota ani tym bardziej do trzydziestopięcioletniego mężczyzny.

Słońce wciąż płonęło na południowym niebie, kiedy Pendergast odjechał swoim perłowym cadillakiem z Salton Palms. Wrócił tu po północy.

Zatrzymał się pięć kilometrów od miasta duchów. Wyłączywszy światła, zjechał z drogi i ukrył samochód w zagajniku karłowatych drzew. Zgasił silnik i siedział w bezruchu za kierownicą, zastanawiając się nad całą sytuacją.

Większość faktów pozostawała tajemnicą, ale dwa były oczywiste. Śmierć Albana stanowiła element spisku mającego na celu zwabienie go tutaj, do kopalni o nazwie Złoty Pająk. Miejsce zostało starannie przygotowane na jego przybycie. Pendergast nie wątpił, że nawet teraz wejście do kopalni znajduje się pod ścisłą obserwacją. Tamci, kimkolwiek byli, czekali na niego.

Pendergast rozłożył na kolanach dwa zrolowane arkusze papieru: mapę kopalni Złoty Pająk, którą nabył od Cayute'a, i stare plany konstrukcyjne Salton Fontainebleau.

Ze schowka na rękawiczki wyjął latarkę z przesłoną i najpierw skupił się na mapie kopalni. Kopalnia była względnie mała, główny chodnik zdawał się opadać pod niewielkim kątem na południowy zachód od jeziora. Od głównego chodnika odchodziło kilka innych, mniejszych, niektóre proste, inne zakrzywione, w zależności od ukierunkowania złóż turkusów, jakie się tu znajdowały. Pendergast zapamiętał to wszystko.

Skierował promień latarki na drugi koniec mapy. U wylotu kopalni od głównego chodnika odchodził kręty, zwężający się tunel, kończący się jakieś osiemset metrów stąd stromym, niemal pionowym szybem – możliwe, że był to szyb wentylacyjny lub, co bardziej prawdopodobne, nieużywane tylne wejście. Oznaczające je linie były wyblakłe i niewyraźne, jakby nawet kartograf zapomniał o tym miejscu.

Pendergast położył teraz na mapie kopalni schemat starego hotelu. Spoglądał to na jeden, to na drugi arkusz papieru, próbując zestawić

rozmieszczenie kopalni Złoty Pająk i Salton Fontainebleau. Plany hotelu pokazywały poszczególne poziomy: pokoje gościnne, przestronny hol, sale jadalne, kuchnię, kasyno, spa, sale balowe i dziwną okrągłą konstrukcję pomiędzy salą koktajlową a tylną promenadą, oznaczoną jako o.z.

Ogród zoologiczny, powiedział Cayute. Wybudowany w naturalnej dziurze w ziemi, pod hotelem. Mieli tam prawdziwe żywe lwy, czarne pantery i tygrysy syberyjskie.

Pendergast znów starannie porównał schemat z mapą; ogród zoologiczny był usytuowany dokładnie nad tylnym wejściem do kopalni Złoty Pająk.

Zgasił latarkę i usiadł prosto. Teraz wszystko wydawało się oczywiste – czy mogło być lepsze miejsce na zbudowanie podziemnego zoo niż zapomniana, nieużywana część dawno opuszczonej kopalni?

Tajemniczy gospodarze zadali sobie sporo trudu, żeby przygotować kopalnię na jego przybycie i zatrzeć ślady swojej niedawnej obecności w tym miejscu. Kopalnia była bez wątpienia pułapką – ale pułapką mającą tylne wyjście.

Stygający silnik pykał cichutko, a Pendergast zastanawiał się, co ma zrobić. Pod osłoną ciemności przeprowadzi rekonesans: wejdzie do kurortu, odnajdzie tylne wejście do kurortu i w ten sposób zbliży się do pułapki. Zorientuje się, na czym ona polega, i jeśli to będzie konieczne, wykorzysta ją do swoich potrzeb albo unieszkodliwi. Następnego dnia podejdzie do głównego wejścia, nie próbując się z tym kryć i z pozoru nie zdając sobie sprawy z tego, co na niego czeka. I tak oto dopadnie gospodarza, lub gospodarzy, tego miejsca. A gdy dorwie tę osobę, lub osoby, nakłoni ją do ujawnienia, kto stoi za tym drogim i absurdalnie wymyślnym planem... i kto nadał sprawie bieg, zabijając jego syna.

Oczywiście Pendergast musiał przyznać, że mógł przeoczyć coś, co zmusi go do zrewidowania zamiarów. Ale prowadził obserwację i przygotowania wyjątkowo ostrożnie i obmyślana strategia wydawała się mieć szansę powodzenia.

Jeszcze kwadrans pochylał się nad planami hotelu, zapamiętując każdy korytarz, garderobę i schody. Ogród zoologiczny mieścił się w podziemiach, zwierzęta trzymano w odpowiedniej odległości od widzów powyżej. Dotrzeć tam można było przez korytarze, w których znajdowały się pokoje dla opiekunów dzikich zwierząt oraz weterynarzy. Pendergast będzie musiał

przejsć przez te pomieszczenia, żeby dostać się do ogrodu zoologicznego, a stamtąd do wejścia do kopalni.

Wyjął ze schowka na rękawiczki les baera, sprawdził go i wsunął za pasek spodni. Z planami w dłoni wysiadł z samochodu, delikatnie zamknął drzwiczki i czekał w ciemnościach, nasłuchując. Półksiężyc był częściowo zasłonięty przez strzępiaste chmury, zapewniał jednak dostatecznie dużo światła, aby agent, obdarzony wyjątkowo wyostrzonymi zmysłami, mógł radzić sobie równie dobrze jak w dzień. Pendergast pozbył się dzinsowych spodni i koszuli oraz kowbojskich butów – teraz miał na sobie czarne spodnie, czarne obuwie na gumowej podeszwie, czarny golf i wielofunkcyjną czarną kamizelkę.

Dokoła było cicho jak makiem zasiał. Odczekał jeszcze chwilę, uważnie przepatrując okolicę. Następnie włożył plany do kieszeni kamizelki i bezszelestnie ruszył na północ, bezpiecznie ukryty w cieniu Scarrit Hills.

Po piętnastu minutach skręcił na wschód i zaczął się wspinać na stok. Ze skał na szczycie zlustrował obszar Salton Fontainebleau; w słabym świetle księżycy dachy i kopuły wyglądały jeszcze bardziej widmowo. Za kurortem rozciągała się ciemna, mętna, nieruchoma powierzchnia Salton Sea.

Wyjął z kieszeni kamizelki latarkę i powoli sprawdził całą okolicę od południa w kierunku północnym. Jak okiem sięgnąć, wszędzie panowała cisza i spokój, pejzaż był martwy jak rozciągające się nieopodal śródlądowe jezioro. Na północy agent dostrzegł niewielką czarną nieckę wiodącą do głównego wejścia do kopalni. Prawdopodobnie nawet teraz niewidoczne oczy, ukryte gdzieś w ruinach Salton Palms, obserwowały to miejsce, oczekując jego przybycia.

Jeszcze przez dziesięć minut, ukryty wśród skał, przesuwiał lornetkę to w jedną, to w drugą stronę. Wreszcie, gdy chmury zgęstniały i przesłoniły księżyc, prześlizgnął się nad granią wzgórza i zaczął schodzić w dół stoku, starając się cały czas trzymać w ciemnościach, za ruinami Fontainebleau, gdzie nie mógł zostać zauważony przez osobę obserwującą wejście do kopalni. W miarę jak zmierzał naprzód niczym plama czerni na tle ciemnego jak noc piasku, wielki kurort, górując nad nim, z wolna przesłonił całe niebo.

Wzdłuż tylnej części hotelu ciągnęła się szeroka weranda. Pendergast podkraść się tam, przystanął i ostrożnie wspiął się po schodach przy wtórze

cichego protestu zbutwiałego drewna. Przy każdym kroku spod jego stóp wzbijały się niewielkie chmurki kurzu. Było to jak spacer po powierzchni Księżyca. Znalazłszy się na werandzie, Pendergast rozejrzał się w lewo i w prawo, przepatrując ganek i schody, po których wszedł, a następnie popatrzył w dół, przez barierkę. Nie zauważył innych śladów oprócz własnych. W Fontainebleau panowała niezmacona cisza.

Teraz agent zbliżył się do podwójnych drzwi prowadzących do kurortu. Stał miętko jak kot, przy każdym kroku sprawdzając deski na ganku. Niegdyś drzwi były zapewne zamykane na klucz, ale dawno temu wandalę wyrwali jedno skrzydło z zawiasów i tak już zostało.

Za nimi znajdowała się sala; być może goście zbierali się w niej na popołudniową herbatę. Panowała tam głęboka ciemność. Pendergast stał w drzwiach w absolutnym bezruchu, dając oczom czas, żeby przywykły do nowych warunków. W powietrzu unosiła się woń pleśni, soli i szurzego moczu. Na jednej ze ścian królował wielki kamienny kominek. W sali znajdowały się stare fotele i podniszczone sofy; zbutwiały materiał przebijały sprężyny. Pod jedną ze ścian rozstawiono stoły bankietowe ze skórzanymi fotelami; niegdyś miękkie siedzenia były popękane, podarte i wylaziła z nich wyściółka. Na ścianach widać było kilka wyblakłych, zniszczonych fotografii przedstawiających Salton Sea w okresie największej świetności, w latach pięćdziesiątych, z motorówkami, miłośnikami jazdy na nartach wodnych i wędkarzami w waderach. Można też było dostrzec puste prostokątne ślady po zdjęciach, które skradziono. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

Pendergast przeszedł przez salę i znajdujące się za nią łukowate wejście, aż znalazł się w głównym korytarzu, gdzie szerokie schody prowadziły na wyższe piętra z pokojami i apartamentami dla gości. Przed sobą dostrzegł zarys głównego holu z grubymi drewnianymi kolumnami i ledwie widocznymi malowidłami naściennymi o tematyce morskiej. Stał przez chwilę w bezruchu, żeby zorientować się w swoim położeniu. W kieszeni kamizelki miał plany, ale ich nie potrzebował, bo dokładnie pamiętał rozkład kurortu. Przestronny korytarz po lewej stronie prowadził w dół, przypuszczalnie do spa i sali balowej. Niskie, łukowato sklepione wejście po prawej – do sali koktajlowej.

Na pobliskiej ścianie wisiała stłuczona szklana gablota, wewnątrz której dało się dostrzec arkusz papieru do powielacza, wyblakły i pozwijany na

brzegach. Pendergast podszedł bliżej, żeby w słabym świetle księżyca przeczytać, co się na niej znajduje.

WITAMY
W BAJECZNYM SALTON FONTAINEBLEAU!
„BAJECZNEJ WYSPIE
NA ŚRÓDLĄDOWYM MORZU”

SOBOTA, 5 PAŹDZIERNIKA 1962

Dziś w programie:

- 6.00 – Pływanie dla zdrowia z Ralphem Amandero, dwukrotnym uczestnikiem igrzysk olimpijskich
- 10.00 – Zawody w pływaniu na nartach wodnych
- 14.00 – Wyścigi motorowodne
- 16.00 – Wybory Miss Kurortu
- 20.30 – Tańce w Wielkiej Sali Balowej z akompaniamentem orkiestry Verne’a Williamsa i gościnnym udziałem Jean Jester
- 23.00 – *Dżungla ożywa* – oglądanie zwierząt i darmowy koktajl

Pendergast odwrócił się w stronę łukowatego wejścia do sąsiedniej sali. Okiennice w sali klubowej były pozamykane i chociaż część listewek poodpadała albo wypaczyła się, a szyby popękały, w pomieszczeniu wciąż panowała nieprzenikniona ciemność. Pendergast wyjął z kieszeni kamizelki gogle noktowizyjne trzeciej generacji. Gdy je założył i włączył, w jednej chwili wyraźnie ujrzał szczegóły otaczających go przedmiotów; krzesła, ściany i kandelabry nabrały odcienia widmowej zieleni. Pokręcił gałką przy goglach, wyostrzając obraz, po czym przeszedł przez salę.

Była duża, ze sceną w jednym rogu i długim półokrągłym barem po przeciwnej stronie. Resztę przestrzeni wypełniały okrągłe stoliki. Na nich i na podłodze walały się kieliszki koktajlowe, których zawartość dawno temu wyparowała, pozostawiając po sobie smołowy osad. Sam bar, choć po alkoholach nie było śladu, mógł poszczycić się arsenałem elegancko poukładanych serwetek, słomek do napojów, a wszystko to pokrywała gruba warstwa kurzu. Olbrzymie lustro za barem było stłuczone; odłamki wciąż leżały na kontuarze i podłodze. Było to ostateczne świadectwo tego, jak

ponure i odludne stało się Salton Fontainebleau albo jak niechętnie ludzie zapuszczali się do miejsc uznawanych powszechnie za nawiedzone, skoro nawet wandalcy czy poszukiwacze ciekawostek, tacy jak Cayute, nie pozabierali stąd wszystkiego, co się dało. Tymczasem stary hotel zmienił się w coś w rodzaju kapsuły czasu z epoki Rat Pack, porzuconej na łaskę i niełaskę pogody i pustyni.

Jedną część sali zajmowało olbrzymie okno, które mimo kilku pęknięć przetrwało próbę czasu, ale pokrywający je nalot soli sprawił, że stało się prawie nieprzezroczyste. Pendergast serwetką wytarł szybę do czysta w jednym miejscu i wyjrzał na zewnątrz. Za szkłem znajdowało się okrągłe, zamknięte pomieszczenie z rozstawionymi na jego obwodzie fotelami klubowymi; jak przy krytym basenie, tyle że tam, gdzie powinien być basen, ziała czarna dziura okolona ceglany murem i zabezpieczona żelaznymi prętami. Miała z pięć metrów średnicy i wyglądała jak cembrowina wielkiej studni. Przyglądając się jej przez gogle noktowizyjne, Pendergast odniósł wrażenie, że wśród czerni dołu dostrzega pomarszczone fragmenty liści sztucznych drzew palmowych.

Ogród zoologiczny. Nietrudno było wyobrazić sobie bogaczy i gwiazdy Hollywood, jak stoją tutaj ramię przy ramieniu pół wieku temu, pod kopułą rozgwieżdżonego nieba, z kieliszkami w dłoniach, a ich śmiech i brzęk szkła miesza się z rykiem dzikich zwierząt; jak sączą drinki i wpatrują się w krążące poniżej drapieżne bestie.

Pendergast przypomniał sobie rozkład pomieszczeń hotelu i mapę kopalni Złoty Pająk. Ogród zoologiczny był usytuowany dokładnie nad tylnym wejściem do kopalni, tunel zaś wykorzystano jako miejsce, gdzie ku uciesze gości kurortu wypuszczano dzikie zwierzęta.

Odwróciwszy się od okna, Pendergast uniósł uchylny blat i wszedł za bar. Minął puste półki, na których kiedyś stały baterie butelek najlepszego koniaku i markowego szampana. Szedł, starając się nie nadepnąć na potłuczone szkło, aż dotarł do obwieszonych pajęczynami drzwi z pojedynczym okrągłym okienkiem pośrodku. Otworzył je przy wtórze cichego skrzypnięcia; pajęczyny rozdarły się bezgłośnie. Usłyszał odgłosy uciekających spłoszonych gryzoni. W nozdrza uderzyła go woń stęchlizny, zjełczałego tłuszczu i szczurzych bobków.

Za drzwiami znajdowały się kuchnie, spiżarnie i sale, w których

przygotowywano posiłki. Pendergast minął je bezszelestnie, popatrując to w jedną, to w drugą stronę przez gogle, aż odnalazł drzwi prowadzące do betonowych schodów wiodących na dół.

Pomieszczenia serwisowe w piwnicach kurortu były oszczędne i funkcjonalne, jak dolne pokłady na statku pasażerskim. Pendergast przeszedł przez kotłownię i kilka sal magazynowych – w jednej walały się sterty starych zbutwiałych leżaków i parasoli plażowych, w drugiej wisiało całe mnóstwo nadzartych przez mole strojów pokojówek – aż dotarł do solidnych metalowych drzwi.

Ponownie przystanął, żeby odtworzyć w myślach rozkład pomieszczeń hotelu. Te drzwi prowadziły do pomieszczeń, gdzie trzymano zwierzęta. Mieli tam również gabinety ludzie, którzy się nimi opiekowali, karmili je i dbali o ich zdrowie. Jeszcze dalej powinien znajdować się ogród zoologiczny i tylne wejście do kopalni.

Pendergast spróbował otworzyć drzwi, ale metal zardzewiał przez wiele lat nieużytkowania i nie chciał ustąpić. Nacisnął mocniej i uchyliły się parę centymetrów przy wtórze niepokojącego zgrzytu. Z kamizelki wyjął niewielki łom i z kilku miejsc wokół framugi usunął warstwę rdzy za pomocą sporej ilości specjalnego superprzeziąkalnego oleju używanego na okrętach wojskowych i cywilnych. Gdy ponownie pchnął drzwi, rozchyliły się na tyle, że zdołał się przecisnąć.

Za nimi znajdował się korytarz wyłożony białymi ceramicznymi płytkami. Po obu jego stronach były otwarte drzwi, za którymi panowała ciemność nieprzenikniona nawet dla noktowizyjnych gogli. Powoli, ostrożnie Pendergast ruszył naprzód. Nawet teraz, po tylu latach, w powietrzu dało się wyczuć silną piżmową woń dzikich zwierząt i ich odchodów. Po lewej stronie agent ujrzał pomieszczenie z czterema dużymi żelaznymi klatkami ze specjalnymi drzwiczkami, przez które podawano zwierzętom karmę. Jeszcze dalej mieścił się gabinet weterynaryjny, w którym przeprowadzano drobne zabiegi chirurgiczne. Na końcu krótkiego korytarza widać było kolejne metalowe drzwi.

Pendergast przystanął, wpatrując się w nie przez noktowizor. Wiedział, że dalej znajduje się specjalna sala, gdzie zwierzętom podawano środki uspokajające, aby można było zająć się nimi w szczególnych przypadkach, gdy wymagały pielęgnacji, opieki lekarskiej lub gdy trzeba było z innych

powodów wynieść je z ogrodu zoologicznego. Z tego, co zapamiętał, pokój pełnił funkcję swoistej śluzy pomiędzy podziemnym ogrodem a resztą sal, w których wykorzystywano sztuczny obieg powietrza.

Z planów nie wynikało dokładnie, jak zbudowano ogród zoologiczny nad tylnym wejściem do kopalni, nie sposób też było stwierdzić, czy kopalnia została zamknięta, czy był z niej swobodny dostęp do zoo. Tak czy owak, agent był przygotowany na to, żeby odblokować wejście – miał przy sobie dłuta, młot, łom, zestaw wytrychów i smar.

Te drugie metalowe drzwi były mniej zardzewiałe niż pierwsze i Pendergast zdołał otworzyć je bez większego trudu. Znajdujące się za nimi pomieszczenie okazało się nieduże i wyjątkowo ciemne, z porcelanowymi płytkami, mocowaniami i specjalnymi uchwytyami na ścianach, a także zasłoniętymi otworami wentylacyjnymi w suficie. Ponieważ było osłonięte przed czynnikami zewnętrznymi, zachowało się w lepszym stanie niż reszta budowli, sprawiało wrażenie prawie nowego. Ściany były czyste i niemal lśniły w zielonkawym blasku noktowizyjnych gogli...

Nagle potężne uderzenie w szyję powaliło Pendergasta na ziemię. Upadł oszołomiony, a gdy odzyskał ostrość widzenia, ujrzał napastnika stojącego pomiędzy nim a drzwiami – mężczyzna był wysoki, muskularny, ubrany w maskujący kombinezon bojowy i zaopatrzony w noktowizor oraz czterdziestkępiątkę.

Pendergast powoli odsunął rękę od kamizelki, pozostawiając les baera w kaburze. Wstał ostrożnie i w tej samej chwili zobaczył, jak ze szczękiem drzwi same zamknęły się za mężczyzną. Okazując chęć do współpracy i nie próbując stawiać oporu, uniósł ręce tak, żeby tamten to widział. Poruszał się wolno, zyskując czas, by otrząsnąć się z zaskoczenia, że dał się podejść. Pustka tego miejsca, kurz i ślady upływu lat wzbudziły w nim fałszywe poczucie izolacji.

Błyskawicznie jednak jego nadnaturalna ostrość zmysłów powróciła.

Mężczyzna nie odezwał się ani słowem. Nawet nie drgnął. Pendergast zauważył jednak, że sylwetka tamtego delikatnie się rozluźniła, stan gotowości nieznacznie osłabł, gdy Pendergast mową ciała dał do zrozumienia, że tamten ma nad nim pełną kontrolę.

– Co się dzieje? – zapytał niepewnym tonem, z charakterystycznym akcentem teksańskim. – Czemu pan mnie uderzył?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Jestem kolekcjonerem staroci, chciałem spenetrować to miejsce. – Niemal płaszcząc się przed napastnikiem, Pendergast pochylił głowę i postąpił krok naprzód, jakby chciał się przed nim ukorzyć. – Proszę, niech pan nie strzela. – Znow pochylił głowę i opadł na kolana, tłumiąc szloch. – Proszę.

Przypięty do kamizelki łom, uwolniony prawie niedostrzegalnym ruchem, z brzękiem spadł na ziemię. Ten dźwięk i ułamek sekundy dezorientacji wystarczyły, żeby Pendergast poderwał się błyskawicznie na nogi i pogruchotał prawy nadgarstek mężczyzny, wybijając mu broń z ręki.

Ale zamiast rzucić się po pistolet, mężczyzna obrócił się na jednej nodze, drugą zaś wymierzył Pendergastowi krótkie proste kopnięcie boczne w stylu karate tak szybko, że agent nie zdążył wyciągnąć z kabury les baera. Znow został powalony na ziemię, lecz tym razem, mając świadomość, że nie zdoła już zaskoczyć napastnika, przetoczył się przed potężnym prawym sierpowym. Uchylając się w bok, wbił piętę pod prawe kolano tamtego, aż usłyszał trzask pękających ścięgien. Napastnik zachwiał się i zadał kolejny cios pięścią. Pendergast błyskawicznie skontrolował uderzenie, ale była to jedynie zmyłka. Kiedy przeciwnik wyprowadził następny cios, Pendergast odchylił się do tyłu i odpowiedział uderzeniem w twarz typowym dla kung-fu, z palcami ułożonymi w pazury tygrysa. Mężczyzna cofnął się i uderzenie minęło jego twarz o centymetry, podczas gdy on zdołał wbić pięść w brzuch Pendergasta z taką siłą, że prawie pozbawił go tchu.

To była niezwykła walka, rozgrywająca się w egipskich ciemnościach, w całkowitej ciszy, z nadzwyczajną zawziętością i brutalnością. Mężczyzna nic nie powiedział, nie wydał żadnego dźwięku z wyjątkiem przypadkowego stęknięcia. Poruszał się tak szybko, że nie dał Pendergastowi czasu na wyjęcie les baera. Był ekspertem w dziedzinie walki wręcz i przez ciągnącą się w nieskończoność minutę szanse obu walczących wydawały się wyrównane. Pendergast jednak dysponował szerszą gamą technik z zakresu różnych sztuk walki, nie mówiąc o dość mało znanych sposobach samoobrony, które poznał w starym tybetańskim klasztorze. Ostatecznie, używając jednej z wyuczonych tam właśnie technik, zwanej Dziób Kruka, błyskawicznego uderzenia dłońmi połączonymi jak do modlitwy, strącił gogle noktowizyjne z twarzy przeciwnika. Dało mu to natychmiastową

przewagę i wykorzystał ją, by zasypać tamtego gradem ciosów i powalić na kolana. Po chwili Pendergast wyjął swoją czterdziestkępiątkę i wycelował w klęczącego mężczyznę. Szybko go przeszukał, a znalazłszy nóż, odrzucił go na bok.

– FBI – rzekł. – Jesteś aresztowany.

Mężczyzna nie odpowiedział. Ciągłe nie odezwał się ani słowem.

– Otwórz drzwi.

Cisza.

Pendergast odwrócił tamtego, plastikowymi kajdankami spiął mu ręce z tyłu, a potem drugimi kajdankami przypiął go do starej rury, którą wypatrzył nieopodal.

– W porządku. Sam je otworzę.

Mężczyzna wciąż milczał, nic nie wskazywało na to, że w ogóle go słuchał. Po prostu siedział na podłodze, przypięty do rury, z nieobecnym wyrazem twarzy.

Gdy Pendergast podszedł do drzwi, żeby oddać kilka strzałów w zamek, wydarzyło się coś dziwnego. Pokój zaczął wypełniać się wyraźnym zapachem: delikatnym, słodkim aromatem lilii. Pendergast rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu źródła tej woni. Zapach zdawał się napływać od strony otworów wentylacyjnych w suficie, dokładnie nad miejscem, gdzie pozostawił skrepowanego napastnika – z przewodów, które wcześniej były zamknięte, a teraz otworzyły się i przy wtórze szumu powietrza wypływała z nich delikatna mgiełka. Przeciwnik Pendergasta, oślepiiony po utracie goggles, patrzył przed siebie z przerażeniem, podczas gdy delikatna mgiełka zasnuwała jego twarz i całe ciało. Mężczyzna zaczął pokasływać i kręcić głową.

Pendergast pośpiesznie wymierzył w zamek i nacisnął spust. W ograniczonej przestrzeni huk wystrzału zabrzmiał ogłuszająco, podobnie jak – niespodzianka – wizg kuli odbijającej się od metalu. Ale gdy agent szykował się do oddania kolejnego strzału, poczuł, że jego kończyny stają się ciężkie, a ruchy dziwnie ospałe. Przepęłniło go uczucie niewyjaśnionej ociężałości, a wraz z nią pojawiło się coś jeszcze – osobliwe spełnienie i wrażenie spokoju, błogości i ogólnego zadowolenia. W zielonkawej poświacie, jaką miał przed oczami, zobaczył czarne mroczki. Zachwiał się, odzyskał równowagę, znów się zakołysał i upuścił broń. Zanim otuliła go

ciemność i osunął się na podłogę, usłyszał jeszcze zgrzyt zamykających się pod sufitem otworów wentylacyjnych. I wyszeptane przez kogoś słowa:

– Podziękuj za to Albanowi...

Później – nie wiedział, ile czasu minęło – Pendergast powoli wynurzył się z oceanu mrocznych snów, powracając do świata jawy. Otworzył oczy i ujrzał zielonkawą mgiełkę. Przez chwilę był zdezorientowany, nie wiedział, na co patrzy. Wreszcie zdał sobie sprawę, że wciąż ma na głowie gogle, a zielonym obiektem jest wylot otworu wentylacyjnego... i wtedy wspomnienia powróciły.

Podźwignął się na kolana i – nie bez trudu – wstał. Był obolały po walce, ale czuł się dziwnie silny, jakby pokrzepiony. Zapach lilii zniknął. Napastnik wciąż leżał nieprzytomny przy rurze nieopodal.

Pendergast rozejrzał się wokoło. Przepatrując pomieszczenie przez gogle noktowizyjne, tym razem zrobił to z większą przenikliwością. Porcelanowe płytki sięgały na wysokość metra dwadzieścia ponad podłogę, a ściany powyżej wykonano z nierdzewnej stali. Kłapy otworów wentylacyjnych w suficie były teraz zamknięte, na ścianach wysoko można było dostrzec wyloty jakichś rur, a otwór odpływowy w podłodze zalano betonem.

Miejsce to skojarzyło się Pendergastowi z zupełnie innego rodzaju pomieszczeniem, z którego korzystano kiedyś w okropnie barbarzyńskim celu.

Cisza, ciemność i dziwne wyposażenie zmroziły mu krew w żyłach. Sięgnął do kieszeni, znalazł komórkę i zaczął wybierać numer.

Rozległ się kolejny głośny szczęk – zamek został odblokowany i metalowe drzwi uchyliły się gładko, ukazując krótki korytarz, kompletnie pusty, jeśli nie liczyć odcisniętych na pylistym podłożu śladów stóp agenta Pendergasta.

Porucznik D'Agosta zjawił się punktualnie o pierwszej. Gdy cicho zamknął za sobą drzwi, Margo gestem wskazała mu krzesło.

– I czego się dowiedziałaś? – zapytał, spoglądając z zaciekawieniem na zasłany kośćmi stół przed sobą.

Usiadła obok niego i włączyła laptop.

– Pamiętasz, co było napisane w karcie katalogowej? Mężczyzna, Hotentot, wiek około trzydziestu pięciu lat?

– Jak mógłbym zapomnieć. Słyszę te słowa w swoich najgorszych koszmarach.

– To, co tu mamy, jest szkieletem kobiety, rasy białej, przypuszczalnie Amerykanki, która miała co najmniej sześćdziesiąt lat.

– Jezu. Skąd ty to wiesz?

– Popatrz na to.

Margo ostrożnie wzięła do ręki kość miednicy.

– Najlepszym sposobem na ustalenie płci osoby, do której należy szkielet, jest zbadanie miednicy. Widzisz, jak szeroki jest pas miednicowy? To dlatego, że jest z założenia przystosowany do rodzenia dzieci. U mężczyzn szerokość kości biodrowej byłaby inna. Zwróć również uwagę na gęstość kości i cofnięcie kości krzyżowej.

Odłożyła kość miednicy na stół i wzięła do ręki czaszkę.

– Spójrz na kształt czoła, względny brak wałów nadoczodołowych. To jeszcze jeden wskaźnik płci. A widzisz tutaj, jak szew strzałkowy i ciemieniowy są w pełni złączone? To wskazywałoby na kogoś, kto miał więcej niż czterdzieści lat. Zbadałam pod mikroskopem elektronowym zęby, ich stopień zużycia wskazuje na osobę jeszcze starszą, sześćdziesięcio-, może nawet siedemdziesięcioletnią.

– Rasy białej?

– To nie jest aż tak pewne, ale rasę, do jakiej należał ten szkielet, można

często ustalić na podstawie wyglądu kości czaszki i żuchwy.

Obróciła czaszkę w dłoniach.

– Popatrz na jamę nosową. Jest trójkątna i ma łagodną krzywiznę oczodołu. To typowe dla ludzi pochodzenia europejskiego. – Wskazała na zatokę w dolnej części czaszki. – Widzisz to? Łuk kości szczękowej jest paraboliczny. Gdyby to była czaszka Hotentota, miałaby kształt hiperboli. Oczywiście, żeby zyskać całkowitą pewność, konieczne będzie przeprowadzenie sekwencjonowania DNA, ale daję głowę, że te kości należały do białej kobiety po sześćdziesiątce.

Przez okienko w zamkniętych drzwiach laboratorium Margo dostrzegła kogoś, kto przeszedł korytarzem, a potem nagle zatrzymał się i zawrócił. Doktor Frisby. Popatrzył przez szybę na nią, potem na D'Agostę, a na jego twarzy pojawił się gniewny grymas. Frisby raz jeszcze łypnął na Margo, odwrócił się i zniknął w głębi korytarza. Margo zadrżała. Nigdy nie lubiła tego człowieka i zastanawiała się, co zrobił D'Agosta, że kustosz żywił wobec niego tak silną antypatię.

– A skąd przypuszczenie, że to była Amerykanka? – spytał D'Agosta.

Margo znów przeniosła wzrok na niego.

– To bardziej domysły. Zęby są zużyte równo i dobrze zachowane. Kość wygląda na zdrową, brak oznak chorób. Testy chemiczne powiedzą nam coś więcej, bo w zębach znajdują się izotopy, które mogą wskazywać na to, gdzie żyła dana osoba i jak wyglądała jej dieta.

D'Agosta zagwizdał.

– Każdego dnia człowiek uczy się czegoś nowego.

– I jeszcze jedno. W karcie napisano, że szkielet jest kompletny. Ale brakuje w nim kości długiej.

– Błąd urzędniczy?

– Niemożliwe. Zapis „kompletny” jest niezwykle sam w sobie. Tu nie można się pomylić, a kość długa to jedna z największych w całym ciele.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Margo odłożyła kości do pojemnika, a D'Agosta patrzył w przestrzeń z wyrazem głębokiego zamyślenia.

– Skąd, u licha, ten szkielet się tu znalazł? Czy muzeum jest w posiadaniu zbioru szkieletów starszych kobiet?

– Nie.

– Wiadomo, ile lat mają te kości?

– Biorąc pod uwagę stan uzębienia, powiedziałabym, że szkielet pochodzi z końca dziewiętnastego wieku. Musielibyśmy jednak przeprowadzić badanie radiologiczne metodą izotopu węgla C14, żeby mieć całkowitą pewność. To potrwałoby dobrych parę tygodni.

D'Agosta musiał to przetrwać.

– Upewnijmy się, że nie ma mowy o pomyłce przy ewidencjonowaniu i że brakująca kość nie znajduje się gdzieś w pobliżu. Poproszę naszego przyjaciela Sandovala, żeby powyjmował szkielety z sąsiednich szuflad i te, które mają zbliżone numery ewidencyjne. Mogłabyś tu jeszcze zajrzeć i sprawdzić, czy któryś z tych szkieletów przypomina mężczyznę, Hotentota w wieku około trzydziestu pięciu lat?

– Z przyjemnością. Są jeszcze inne badania, którym chciałabym poddać ten szkielet, skoro już o tym mowa.

D'Agosta zaśmiał się.

– Gdyby Pendergast był w pobliżu, założę się, że powiedziałby coś w rodzaju: ta kość jest kluczem do rozwikłania tej sprawy.

Wstał.

– Zadzwoń, żeby umówić cię na następną sesję. Tylko nikomu ani słowa, dobrze? Zwłaszcza Frisby'emu.

Gdy Margo wracała z wydziału osteologii głównym korytarzem, z jednego z bocznych ciemnych korytarzy wyłonił się nagle Frisby i podszedł do niej.

– Doktor Green? – Patrzył przed siebie, idąc obok.

– Tak, słucham, doktorze Frisby.

– Rozmawiała pani z tym policjantem.

– Tak. – Starła się nie okazywać zdenerwowania.

Frisby wciąż patrzył przed siebie.

– Czego chciał?

– Poprosił mnie o zbadanie szkieletu.

– Którego?

– Tego, który Victor Marsala pobrał dla naukowca goszczącego w naszym muzeum.

– Poprosił, żeby zbadała pani ten szkielet? Dlaczego akurat pani?

– Znamy się z porucznikiem od bardzo dawna.

– I czego się pani dowiedziała?

Ta rozmowa coraz bardziej przypominała przesłuchanie. Margo

próbowała zachować spokój.

– Zgodnie z kartą katalogową szkielet mężczyzny, Hotentota, został włączony do zbiorów w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym.

– Co może mieć wspólnego studwudziestopięcioletni szkielet z zabójstwem Marsali?

– Tego nie wiem. Pomagam jedynie policji, na specjalne życzenie.

Frisby parsknął.

– To nie do przyjęcia. Policja węszy nie tam, gdzie powinna. Zupełnie jakby chcieli wciągnąć cały mój wydział w tę bezsensowną sprawę zabójstwa, wywołując skandal i potęgując spiralę podejrzeń. To grzebanie po omacku, mam tego serdecznie dość.

Frisby przystanął.

– Czy prosił panią o coś jeszcze?

Margo zawahała się.

– Wspomniał coś o zbadaniu kilku szkieletów należących do zbiorów.

– Rozumiem. – Dopiero teraz Frisby na nią spojrział. – A więc ma pani tutaj szczególne przywileje.

– Tak i jestem za to bardzo wdzięczna.

– Co by się stało, gdyby te przywileje zostały cofnięte?

Margo spojrzała mu prosto w oczy. To było oburzające. Ale nie zamierzała dać się ponieść emocjom.

– Pogroziłoby to moje badania. Mogłabym stracić pracę.

– Szkoda by było, gdyby do tego doszło – powiedział Frisby, a następnie odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w głąb korytarza, pozostawiając odprowadzającą go wzrokiem Margo w bezruchu.

22

Apartament na drugim piętrze hotelu Hilton w Palm Springs był słabo oświetlony, zaciągnięte zasłony w panoramicznym oknie z widokiem na basen i bar koktajlowy zdawały się skrzyć w promieniach popołudniowego słońca. Pendergast siedział wygodnie w fotelu, a na stoliku obok niego stał imbryczek z herbatą. Skrzyżowane w kostkach stopy agent oparł na skórzanej otomanie i rozmawiał przez komórkę.

– Do czasu wyznaczenia kaucji przebywa w areszcie w Indio – powiedział.
– Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, a jego odcisków palców nie ma w żadnej bazie danych.

– Powiedział, dlaczego cię zaatakował? – rozległ się głos Constance Greene.

– Milczy jak mnich z zakonu trapistów.

– Obaj zostaliście obezwładnieni jakimś środkiem odurzającym?

– Na to wygląda.

– W jakim celu?

– To wciąż pozostaje tajemnicą. Byłem u lekarza, jestem w doskonałym stanie, pomijając obrażenia, jakich doznałem podczas walki. Nie wykryto trucizny ani symptomów choroby. Brak śladów po igle ani jakichkolwiek innych mogących wskazywać, że coś mi podano, kiedy byłem nieprzytomny.

– Osoba, która cię zaatakowała, musiała być w zmowie z kimś, kto potraktował was tą substancją odurzającą. Wydaje się dziwne, że ten ktoś odurzył również swojego współnika.

– Cała ta sekwencja zdarzeń jest dziwna. Odnoszę wrażenie, że ten mężczyzna nie spodziewał się tego, co go spotkało. Dopóki nie zacznie mówić, jego motywy pozostają nieznane. Jedno wszelako nie pozostawia najmniejszych wątpliwości, niestety. I przyznaję to z pewnym zakłopotaniem.

Przerwał.

– Tak?

– To wszystko – turkus, kopalnia Złoty Pająk, Salton Fontainebleau, nieudolnie pozacierane ślady opon, mapa kopalni i być może także staruszek, z którym rozmawiałem – było ukartowane. Miało na celu zwabienie mnie do tego pomieszczenia, gdzie zajmowano się zwierzętami i gdzie można było rozpylić gaz. Ten pokój zbudowano wiele lat temu właśnie po to, by można tam było usypiać gazem szczególnie groźne zwierzęta.

– Co zatem wprawiło cię w zakłopotanie, o którym wspominałeś?

– Sądziłem, że wyprzedzam ich o krok, podczas gdy w rzeczywistości to oni cały czas byli kilka kroków przede mną.

– Mówisz „oni”. Czy naprawdę wierzysz, że Alban mógł być w to w jakiś sposób zaangażowany?

Pendergast nie odpowiedział od razu.

– *Podziękuj za to Albanowi* – wreszcie, już ciszej, powtórzył. – To chyba mówi samo za siebie, nie uważasz?

– Tak.

– Skomplikowana szarada w Salton Fontainebleau, zaaranżowana z taką przesadą, jakby w celu zapobieżenia wszelkim ewentualnym porażkom, ma w sobie cechy planu, jaki mógł w swojej chorej wyobraźni spłodzić wyłącznie Alban, rozkoszując się swoim dziełem. A jednak to jego śmierć uruchomiła zastawioną na mnie pułapkę.

– Osobliwa forma samobójstwa? – podsunęła Constance.

– Wątpię. Samobójstwo nie było w stylu Albana.

Minęło kilka chwil, zanim Constance znów się odezwała:

– Powiedziałeś o tym D’Agoście?

– Nie poinformowałem nikogo, a zwłaszcza porucznika D’Agosty. Już i tak wie na temat Albana więcej, niż powinien. Co się tyczy policji nowojorskiej, nie wierzę, aby była w stanie pomóc mi w rozwiązaniu tej sprawy. Wręcz przeciwnie, obawiam się, że stróże prawa mogliby mi co najwyżej zaszkodzić. Wybiorę się dziś po południu do aresztu w Indio i sprawdzę, czy uda mi się coś wycisnąć z naszego milczka.

Chwila przerwy.

– Constance, jestem szczerze zasmucony, że dałem się wciągnąć w tę pułapkę.

– Był twoim synem. Miałeś złącony umysł. Nie byłeś w stanie myśleć logicznie.

– Nie mogę traktować tego jako pocieszenia ani wytłumaczenia popełnionych błędów.

Pendergast przerwał połączenie, wsunął komórkę do kieszeni marynarki i zastygł w bezruchu jak ledwie widoczna, rozmyta, pogrążona w zamyśleniu postać w ciemnym pokoju.

Terry Bonomo był ekspertem nowojorskiej policji w dziedzinie identyfikacji przestępców i tworzenia portretów pamięciowych. Był także przemądrzałym dupkiem, jak przystało na kogoś, kto pochodzi z Jersey z rodziny mającej włoskie korzenie, a co za tym idzie, należał do ulubieńców D’Agosty. Od samego siedzenia wśród komputerów, monitorów, tablic i rozmaitego sprzętu laboratoryjnego D’Agostie poprawił się nastrój. Dobrze było wyrwać się z ciemnych, cuchnących stęchlizną pomieszczeń muzeum i czymś zająć. Oczywiście nie można powiedzieć, że usiłując zidentyfikować „profesora”, który zjawił się z wizytą w muzeum, nie robił nic, podczas gdy jego ekipa techników przeglądała kości i pojemniki w poszukiwaniu odcisków palców, śladów DNA oraz włosów i włókien. Jednak sporządzenie portretu pamięciowego twarzy fałszywego doktora Waldrona to było coś innego. Mogło stanowić duży krok naprzód. A nikt nie był lepszy w tworzeniu portretów pamięciowych niż Terry Bonomo.

D’Agosta nachylił się nad ramieniem Bonomo i patrzył, jak tamten pracuje ze skomplikowanym oprogramowaniem. Po drugiej stronie biurka siedział Sandoval. Można to było zrobić w muzeum, ale D’Agosta wolał w tego typu sprawach ściągać świadków na posterunek. Pobyt na komendzie budził niepokój i pomagał świadkowi się skupić. A Sandoval, który wydawał się bledszy niż zwykle, na pewno był skoncentrowany.

– Hej, Vinnie – rzekł Bonomo grzmiącym głosem z akcentem z New Jersey. – Pamiętasz, jak stworzyłem portret podejrzanego o zabójstwo, wykorzystując w tym celu zeznania samego zabójcy?

– Ta sprawa przeszła już do legendy – odparł D’Agosta, chichocząc.

– Chryste Panie. Gościowi wydawało się, że jest sprytny, udając świadka zabójstwa, żeby nie znaleźć się w kręgu podejrzanych. Chciał stworzyć fikcyjny portret pamięciowy, żeby nas zmylić. Ale ja od razu wyczułem pismo nosem. – Bonomo mówił, nie przerywając pracy, stukając w klawisze

i manipulując myszką. – Wielu świadków ma kiepską pamięć. Ale ten pajac podał nam rysopis kogoś, kto był dokładnym przeciwieństwem jego samego. Miał wielki nos, więc powiedział, że nos tamtego był mały. Jakie on miał usta? Cienkie. A więc sprawca miał usta grube, mięsiste. A szczękę? Wąską. Wobec tego sprawca miał kanciastą, masywną szczękę. Był łysy, zatem sprawca miał długie, gęste włosy.

Bonomo zaśmiał się.

D'Agosta patrzył, jak tamten pracuje nad wstępnym szkicem portretu pamięciowego na podstawie informacji uzyskanych od Sandovala; otwierał nowe okno i dodawał kolejną warstwę.

– To niezły program – powiedział. – Usprawniono go, odkąd byłem tu ostatni raz. Stale coś w nim unowocześniają. To jak Photoshop mający tylko jeden cel. Opanowanie go po mistrzowsku zajęło mi trzy miesiące, a wtedy oni znów coś pozmieniali. Ale wreszcie rozpracowałem dziada. Pamiętasz stare czasy, kiedy mieliśmy tylko puste obrysy twarzy i małe kartoniki do ich wypełnienia?

D'Agosta wzdrygnął się.

Bonomo przesadnie wytwornym ruchem wcisnął klawisz, a potem obrócił laptop, żeby Sandoval mógł zobaczyć ekran. W dużym oknie centralnym znajdował się cyfrowy szkic twarzy mężczyzny otoczony mniejszymi okienkami.

– Czy podobieństwo jest duże? – spytał.

Technik wpatrywał się w monitor dłuższą chwilę.

– Wygląda trochę jak on.

– Dopiero zaczynamy. Zajmiemy się nim szczegół po szczególe. Zacznijmy od brwi.

Bonomo włączył okienko zawierające katalog rysów twarzy i wybrał „brwi”. Na ekranie pojawiły się prostokątne ramki zawierające różne kształty brwi. Sandoval wybrał te, które były jego zdaniem najbardziej podobne, po czym pojawiły się kolejne w najróżniejszych odmianach i technik znów wybrał te, które uznał za najbardziej zbliżone do oryginału. D'Agosta patrzył, jak Bonomo kontynuuje znużoną procedurę korygowania wyglądu brwi podejrzanego – ich kształt, grubość, krzywiznę łuku, odległości między nimi itd. Wreszcie, kiedy Bonomo i Sandoval uznali, że osiągnęli zadowalający rezultat, zajęli się oczami.

– Ale co właściwie zrobił ten człowiek? – zwrócił się do D’Agosty Bonomo.

– Jest podejrzanym w sprawie zabójstwa technika z Muzeum Historii Naturalnej.

– Tak? Ale jak to?

D’Agosta przypomniał sobie, że Bonomo cechuje nieuleczalna ciekawość szczegółów przestępstw kryjących się za osobami, których portrety pamięciowe tworzył.

– Użył fałszywej tożsamości, żeby uzyskać dostęp do zbiorów muzeum, i być może zabił jednego z techników. Podał się za profesora wyższej uczelni w Bryn Mawr w Pensylwanii. W rzeczywistości starego piernika w okularach z trzyogniskowymi szklami. Ten staruszek omal nie sfajdał się w gacie, gdy dowiedział się, że ktoś ukradł jego tożsamość i w związku z tym on sam ma zostać przesłuchany w sprawie zabójstwa.

Bonomo znowu się zaśmiał.

– Już to widzę.

D’Agosta stał, przyglądając się zmudnemu procesowi wyostrzania nosa, ust, zuchwy, podbródka, kości policzkowych, uszu, włosów, koloru i pigmentacji skóry oraz doszlifowania dziesiątków innych szczegółów. Sandoval okazał się dobrym świadkiem, bo przecież widział fałszywego uczonego więcej niż raz. Wreszcie Bonomo nacisnął jeden klawisz i program Identi-CAD stworzył całą serię wygenerowanych przez komputer wersji portretu pamięciowego i Sandoval mógł wybrać tę najbardziej jego zdaniem odpowiadającą oryginałowi. Jeszcze odrobina cieniowania, aż w końcu Bonomo usiadł wygodnie na fotelu, uśmiechając się jak artysta zadowolony z kolejnego portretu.

Komputer sprawiał wrażenie, że się zawiesił.

– Co się dzieje? – spytał D’Agosta.

– Program renderuje ostateczną wersję portretu pamięciowego.

Minęło kilka minut. Wreszcie komputer zaświergotał, a na ekranie pojawił się napis „Proces renderowania zakończony”. Bonomo wcisnął klawisz i stojąca obok drukarka ożyła, wypluwając stronę z portretem pamięciowym w różnych odcieniach szarości. Bonomo zdjął kartkę z podajnika, obejrzał i wręczył Sandovalowi.

– To on? – zapytał.

Sandoval ze zdumieniem popatrzył na wizerunek.

– Boże. To ten człowiek! Nie do wiary! Jak pan to zrobił?

– To pańskie dzieło – odparł Bonomo, poklepując technika po ramieniu.

D’Agosta spojrział na dzieło Bonomo. Komputerowy wydruk był tak wyraźny i szczegółowy, że wyglądał jak zdjęcie.

– Terry, jesteś geniuszem – powiedział.

Bonomo rozpromienił się, a potem wydrukował jeszcze kilka kopii i podał je porucznikowi.

D’Agosta wyrównał starannie wydruki o kant biurka i włożył do aktówki.

– Prześlij ten portrecik na mój adres mailowy, dobra?

– Jasne, Vinnie.

Gdy D’Agosta wychodził z Sandoval, myślał wyłącznie o jednym, że pozostało mu już tylko dopasować twarz z tego portretu do twarzy jednej z dwunastu tysięcy osób, które weszły do muzeum i wyszły stamtąd w dniu zabójstwa. Zapowiadała się niezła zabawa.

Pokój przesłuchań B kalifornijskiego stanowego aresztu śledczego w Indio był przestronnym pomieszczeniem z beżowymi ścianami z pustaków. Stały w nim stół i cztery krzesła: trzy po jednej i jedno po drugiej stronie. Z sufitu zwieszał się mikrofon, a w dwóch rogach umieszczono kamery wideo. Wzdłuż przeciwległej ściany biegł ciemny prostokątny pas lustra weneckiego.

Agent specjalny Pendergast zasiadł na środkowym z trzech krzeseł. Dłonie z zaplecionymi palcami oparł o stół. W pokoju panowała kompletna cisza. Białe oczy mężczyzny wpatrywały się w odległy punkt w przestrzeni, a ciało pozostawało nieruchome niczym posąg z marmuru.

Nagle w korytarzu rozległ się dźwięk kroków. Rygiel zasuwany został odciągnięty przy wtórze metalicznego zgrzytu i drzwi uchyliły się na zewnątrz. Pendergast uniósł wzrok, by ujrzeć Johna Spandaua, starszego funkcjonariusza służby więziennej, wchodzącego do pokoju przesłuchań.

Pendergast wstał, wciąż trochę zeszywniały po niedawnej walce, i wyciągnął rękę.

– Dzień dobry, panie Spandau – powiedział.

Spandau uśmiechnął się, pokiwał głową.

– Jest gotowy, jeśli chce go pan widzieć.

– Powiedział coś?

– Ani słowa.

– Rozumiem. Proszę go wprowadzić.

Spandau wrócił na korytarz. Słysząc było krótką przyciszoną rozmowę. Zaraz potem do pokoju wszedł człowiek, który zaatakował Pendergasta w Salton Fontainebleau, ubrany w pomarańczowy kombinezon i eskortowany przez dwóch strażników więziennych. Mężczyzna miał gips na jednym nadgarstku, opaskę ortopedyczną na kolanie i szedł powoli, utykając. Kajdanki na jego dłoniach i kostkach stóp były połączone

łańcuchami. Strażnicy podprowadzili zatrzymanego do pojedynczego krzesła po drugiej stronie biurka i pomogli mu usiąść.

– Czy chce pan, żebyśmy byli przy tym obecni? – spytał Spandau.

– Nie, dziękuję.

– Strażnicy będą na zewnątrz, gdyby pan czegoś potrzebował.

Spandau dał znak swoim ludziom, po czym wszyscy trzej wyszli z pokoju przesłuchań. Rozległ się szcęk zaciąganej zasuwki, a potem zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

Spojrzenie Pendergasta przez moment zatrzymało się na zamkniętych drzwiach. Wreszcie agent usiadł i odwrócił się, by spojrzeć na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie stołu. Mężczyzna odnalazł jego spojrzenie. Twarz miał zupełnie pozbawioną emocji. Był wysoki, muskularny, z szeroką twarzą, wysokim czołem i masywnymi, grubymi brwiami.

Przez dłuższą chwilę obaj patrzyli na siebie nawzajem, nie odzywając się ani słowem. Wreszcie Pendergast przerwał milczenie:

– Mógłbym ci pomóc, gdybyś tylko mi na to pozwolił.

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Jesteś ofiarą, podobnie jak ja. Byłeś zdziwiony tak jak ja, gdy do pomieszczenia wpompowano gaz obezwładniający. – Kontynuował łagodnym, wyrozumiałym, niemal uległym tonem. – Kolokwialnie mówiąc, wyszedłeś na głupca czy też dałeś zrobić z siebie kozła ofiarnego. To nic przyjemnego. Nie wiem, dlaczego zgodziłeś się przyjąć tę robotę, czemu mnie zaatakowałeś ani co ci za to zaoferowano. Wiem tylko, że musiało to być zlecenie, nie osobista zemsta, bo nigdy wcześniej cię nie widziałem. Zostałeś zmanipulowany, wrobiony, wykorzystany, a potem rzucony wilkom na pożarcie. – Przerwał. – Powiedziałem, że mogę ci pomóc. I pomogę, jeżeli powiesz mi, kim jesteś i dla kogo pracujesz. To wszystko, czego od ciebie chcę: dwóch nazwisk. Ja zajmę się resztą.

Mężczyzna patrzył beznamiętnym wzrokiem.

– Jeżeli wciąż będziesz milczał, z jakiegoś mylnie pojmowanego poczucia lojalności, pozwól, że wyrażę się jaśniej: już zostałeś spisany na straty. Rozumiesz to? Kimkolwiek jest ten, kto tobą steruje, ten tajemniczy władca marionetek odpowiedzialny za twoje poczynania, z całą pewnością od samego początku planował, że wpadniesz w tę zasadzkę wraz ze mną. Poświęcił cię bez mrugnięcia okiem. Czemu więc uparcie milczysz?

Wciąż cisza.

– Coś ci opowiem. Jeden z moich kolegów po fachu siedem lat temu wpakował do mamra pewnego gangstera za szantaże i wymuszenia. Gangsterowi dano wiele okazji, by w zamian za złagodzenie kary podał nazwiska swoich szefów. Ale facet poszedł w zaparte. Pozostał lojalnym żołnierzem. Odsiedział pełen wyrok, siedem lat. Dwa tygodnie temu wyszedł na wolność. Pierwsze, co zrobił, to wrócił do domu, do rodziny, która powitała go łzami radości. Niecałą godzinę później został zastrzelony przez tych samych gangsterów, w których obronie poszedł siedzieć. Sprzątnęli go, by na zawsze zamknąć mu usta... mimo że przez siedem lat był wobec nich lojalny.

Gdy Pendergast mówił, mężczyzna tylko mrugał powiekami i pozostawał w kompletnym bezruchu.

– Nabrałeś wody w usta, bo masz nadzieję, że zostaniesz za to wynagrodzony? Nie licz na to.

Nic. Teraz to Pendergast zamilkł na chwilę, otaksowując wzrokiem siedzącego naprzeciw niego mężczyznę. Wreszcie znów się odezwał:

– Może chronisz swoją rodzinę. A może obawiasz się, że jeśli zaczniesz mówić, oni zginą.

Mężczyzna wciąż milczał.

Pendergast wstał.

– Cóż, jedyną nadzieją dla ciebie i twojej rodziny jest to, że zaczniesz mówić. Możemy ich ochronić. W przeciwnym razie i oni, i ty będziecie bezpowrotnie straceni. Uwierz mi, wielokrotnie miałem do czynienia z takimi przypadkami.

W oczach tamtego pojawił się ledwie widoczny błysk – a może nie?

– Miłego dnia.

Pendergast wezwał strażników. Drzwi zostały otwarte, szczęknęła zasuwka i do pokoju weszli pracownicy służby więziennej oraz Spandau. Pendergast stał, podczas gdy dwaj funkcjonariusze wyprowadzili więźnia.

Pendergast zawahał się.

– Wracam do Nowego Jorku. Czy mogę otrzymać zdjęcia tego człowieka, jego odciski palców, próbki DNA i raport medyczny od lekarza, który się nim zajmował?

– Oczywiście.

– Wiedziałem, że mogę na pana liczyć. – Przerwał. – Proszę powiedzieć, panie Spandau, jest pan koneserem win?

Funkcjonariusz spojrział na niego z niejakim zdziwieniem.

– Skąd to przypuszczenie?

– Zauważyłem wczoraj na pańskim biurku ulotkę dotyczącą win Bordeaux.

Spandau zawahał się.

– Muszę przyznać, że można mnie nazwać miłośnikiem wina.

– A zatem zna pan château pichon longueville comtesse de lalande.

– Oczywiście.

– Smakowało panu?

– Nigdy nie miałem okazji go spróbować. – Spandau pokręcił głową. – I za moje pobory raczej nigdy nie będzie mnie na nie stać.

– Szkoda. Tak się składa, że dziś rano udało mi się zdobyć skrzynkę rocznika dwa tysiące. Wyśmienity, już nadaje się do picia. Załatwiłem, co trzeba, aby dostarczono ją do pańskiego domu.

Spandau zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

– Wyświadczyłby mi pan olbrzymią osobistą przysługę, gdyby zechciał pan poinformować mnie niezwłocznie, jeśli nasz przyjaciel jednak zdecyduje się mówić. Wszystko w słusznym celu rozwiązania tej sprawy.

Spandau zastanawiał się przez chwilę.

– A gdyby udało się panu sporządzić również transkrypcję tego, co on powie – ma się rozumieć, oficjalnie – byłaby to pełnia szczęścia. Chętnie służę pomocą. Oto moja wizytówka.

Spandau milczał jeszcze kilka chwil. Wreszcie na jego zwykle posępnym obliczu pojawił się uśmiech.

– Agencie Pendergast – powiedział. – Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność.

Opuściwszy więzienie, Pendergast wyjechał z Indio i udał się na południe. Był wczesny wieczór, kiedy zjechał z głównej drogi i zaparkował pod strzępiastym masywem Scarrit Hills.

Wspiał się na grań i spojrzał ku wschodowi. Pomiędzy nim a martwym brzegiem Salton Sea leżało Fontainebleau; krzykliwe, nierówne kontury kurortu wydawały się miniaturowe na tle posępnego bezmiaru słonego jeziora. Dokoła panowały cisza i spokój. Jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnych oznak życia. Słysząc było tylko cichy szum wiatru.

Teraz Pendergast spojrzał na północ, w stronę biegnącego wzdłuż żlebu szlaku do kopalni Złoty Pająk. Niedokładnie zatarte ślady opon, które zauważył dzień wcześniej, zniknęły, teraz widać już było tylko pokrywającą ziemię nienaruszoną warstwę soli.

Zszedł ze stoku i tą samą drogą co wczorajszej nocy zbliżył się do kurortu. Spod jego stóp unosiły się obłoczki solnego pyłu. Nie było jednak widać żadnych śladów z poprzedniego wieczoru; stopnie prowadzące na werandę i weranda wyglądały, jakby od dziesiątków lat nikt po nich nie chodził.

Zawrócił i przeszedł niespełna kilometr na północ, do głównego wejścia do kopalni Złoty Pająk. Na jej starodawnych drzwiach zalegała warstwa soli. Miniaturowe solne wydmy, utworzone przez pyłowe diabły, pokrywały całą powierzchnię szlaku prowadzącego przez żleb. Było tu dokładnie tak, jak to wyglądało ze szczytu wzgórza – pokrywa soli na ziemi wydawała się nienaruszona.

Pendergast przyjrzał się wejściu pod różnymi kątami, podchodząc najpierw z jednej, potem z drugiej strony, to przystając, to przypatrując się z uwagą wybranym szczegółom. W końcu ukląkł i starannie zlustrował warstwę osadu na ziemi, wyjął z kieszeni marynarki mały pędzelek i bardzo delikatnie omiół nim powierzchnię, żeby odsłonić stopniowo jaśniejszej barwy pokrywę soli poniżej. Dopiero teraz natknął się na prawie

niedostrzegalne oznaki aktywności zamaskowane z taką wprawą, aby nie można ich było zauważyć ani wydobyć z nich żadnych informacji. Patrzył przez dłuższą chwilę, nie mogąc nadziwić się, ile wysiłku włożono w to wszystko, aż wreszcie znów podniósł się na nogi.

Wiatr wył i zawodził, mierzwiąc mu włosy i rozchełstując poły marynarki. Przez krótką chwilę suche powietrze przesycone było przyjemnym aromatem lilii.

Odwróciwszy się od kopalni, Pendergast podążył na północ, ponad trzy kilometry do obrzeży miasta duchów – Salton Palms. Wyglądało dokładnie tak jak dzień wcześniej: nieczynne potłuczone latarnie, zniszczone domy popadające w ruinę, ziejące pustką okna, rdzewiejące poidełka dla ptaków, puste baseny. Ale sklecony ze starych desek barak z dachem z papy, stojący na południowym krańcu miasteczka, zniknął.

Pendergast podszedł do miejsca, gdzie znajdował się barak i gdzie dzień wcześniej pukał do drzwi z arkusza blachy falistej, a następnie rozmawiał z Cayute'em.

Teraz nie było tam nic oprócz klepiska i połaci zeschniętej trawy.

Zupełnie jakby to wszystko – kurort i kopalnia – pozostawało od lat nietknięte, jakby od wielu dekad nikt tu nie zaglądał. Jakby stary mężczyzna z jego nic niewartymi rupieciami nigdy nie istniał.

Jakby to był tylko sen.

Pendergast zachwiał się, gdy wiatr powiał silniej, omiatając go od stóp do głów. Po chwili zawrócił na południe, przez sól, kurz i piach, do wynajętego samochodu.

– Tak – powiedział młodszy kustosz. – Jasne, że go pamiętam. Pracował z Marsalą jakieś dwa miesiące temu. On i Marsala sprawiali wrażenie, jakby się kumplowali, co było dość niezwykle.

– Ten facet na ekranie wygląda jak on? – zapytał Bonomo.

– Prawie. Tyle tylko... – Kustosz wlepił wzrok w ekran laptopa – że moim zdaniem miał trochę szersze czoło. Przy skroniach.

Bonomo znów zaczął czarować programem do tworzenia portretów pamięciowych.

– Tak jak teraz?

– Jeszcze trochę szersze – rzekł z coraz większym przekonaniem w głosie kustosz. – I wyższe.

Znów trochę czarów.

– Tak?

– Tak. Teraz jest idealnie.

– Idealnie? Naprawdę?

– Naprawdę.

– Perfekcja to nasza specjalność – skwitował Bonomo i jak to miał w zwyczaju, głośno się zaśmiał.

D'Agosta przyglądał się tej wymianie zdań z rozbawieniem. Robili obchód po całym wydziale osteologii, rozmawiając z każdym, kto pamiętał, że widział kiedyś „naukowca”, któremu asystował Marsala. Pomogło to Bonomo doszlifować stworzony dzień wcześniej portret pamięciowy, stał się on wyrazistszy. D'Agosta był w tak optymistycznym nastroju, że zaczął przeglądać nagrania z kamer monitoringu, usiłując odnaleźć na nich osobę z portretu. Interesowały go dwa dni – kiedy Marsala zginął i kiedy pobrał z muzealnych zbiorów okaz dla gościa.

D'Agosta skreślił z listy nazwisko młodszego kustosza i ruszyli dalej w głąb korytarza. Dostrzegłszy kolejną pracownicę, która widziała

falszywego naukowca, przedstawił ją Bonomo i patrzył, jak technik policyjny prezentuje kobiecie portret pamięciowy, pytając o podobieństwo. Bonomo przemierzał zakurzone, pogrążone w ciszy sale muzeum, głośno rozmawiając, opowiadając dowcipy, rzucając kąśliwe uwagi i zaśmiewając się na całe gardło. Przepęniało to D'Agostę radością, zwłaszcza gdy widział, jak Frisby parę razy wyrzwał ze swojego gabinetu i rozglądał się dokoła, łypiąc gniewnie w poszukiwaniu źródła niespodziewanego hałasu. Nic nie powiedział – bo co mógł powiedzieć? Trwało śledztwo policyjne.

Kątem oka D'Agosta dostrzegł Margo Green. Szła korytarzem od strony głównego wejścia do wydziału osteologii. Ich spojrzenia spotkały się i ruchem ręki wskazała pobliski magazyn.

– Co słyhać? – spytał, wchodząc za nią do pomieszczenia i zamykając drzwi. – Gotowa, żeby zbadać kilka dodatkowych okazów?

– Już to zrobiłam. Nie znalazłam żadnego Hotentota. Brakującej kości długiej także nie napotkałam w żadnym z sąsiednich pojemników. Ale zgodnie z obietnicą przeprowadziłam dalszą analizę szkieletu tej kobiety. Chciałabym ci przekazać, co udało mi się ustalić.

– Wal.

D'Agosta odnosił wrażenie, że Margo jest trochę zasapana.

– Zdołałam potwierdzić większość moich wstępnych wniosków dotyczących kości. Dalsze badania, a zwłaszcza współczynnika izotopów tlenu i węgla obecnych w kościach, wskazujące na dietę i położenie geograficzne wykazały, że mamy do czynienia z kobietą mniej więcej sześćdziesięcioletnią, z końca dziewiętnastego wieku, mieszkającą w Ameryce, w środowisku miejskim, przypuszczalnie w okolicach Nowego Jorku.

Z korytarza znów dobiegł gromki śmiech Bonomo, od którego niemal zatrzęśły się ściany.

– Trochę głośniej i twój przyjaciel mógłby naśladować Jimmy'ego Durante.

– Bywa nieco gruboskórny, ale w swoim fachu nie ma sobie równych. Poza tym miło popatrzeć, jak Frisby wije się z kompletnej bezsilności.

Na dźwięk nazwiska Frisby'ego Margo sposepniała.

– Jak się trzymasz? – zapytał D'Agosta. – Mam na myśli przebywanie tutaj. Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe.

– Radzę sobie.

– Frisby daje ci ostro w kość?

– Wytrzymam.

– Chcesz, żebym z nim porozmawiał?

– Dzięki, ale to nic nie pomoże. Dzięki konfrontacji niczego nie zyskam, a mogę wszystko stracić. Muzeum może być prawdziwym gniazdem żmij. Jeżeli nie będę się wychylać, powinno być dobrze. – Przerwała. – Chciałam porozmawiać z tobą o czymś jeszcze.

– Tak?

Choć byli w pomieszczeniu sami, Margo zniżyła głos do szeptu.

– Pamiętasz, jak poprosiliśmy Sandovala, żeby sprawdził listę osób, które miały dostęp do szkieletu?

D’Agosta pokiwał głową. Nie miał pojęcia, do czego zmierza Margo.

– I kiedy odczytaliśmy nazwisko preparatora – doktor Padgett – Sandoval powiedział: „Ach. On”.

– Mów dalej.

– Wtedy wydawało mi się to dziwne. Dlatego dziś zapytałam o to Sandovala. Jak wielu pracowników muzeum uwielbia on gromadzić stare plotki i pogłoski dotyczące tego miejsca. Opowiedział mi, że Padgett dawno temu był kustoszem wydziału osteologii i miał żonę, która zniknęła. Wyniknął z tego skandal. Jej ciała nigdy nie odnaleziono.

– Zniknęła? – spytał D’Agosta. – Ale jak? O jakim skandalu mowa?

– Tego nie wiedział – odparła Margo.

– Myślisz o tym samym co ja?

– Chyba tak, i muszę przyznać, że coraz bardziej mnie to przeraża.

Porucznik Peter Angler siedział przy poobijanym biurku, na którego blacie piętrzyła się sterta papierów, w labiryncie pomieszczeń biurowych Administracji Ochrony Ruchu Lotniczego. Za pojedynczym oknem, na pasie startowym 4L-22R portu lotniczego imienia Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, przy wtórze ogłuszającego ryku silników wzbijały się w powietrze kolejne samoloty pasażerskie. Niemal taki sam hałas panował wewnątrz budynku. W pomieszczeniach biurowych nie cichły ani na chwilę dźwięki telefonów, stukot klawiszy komputerów, odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi oraz nie tak rzadkie, jak można było się tego spodziewać, podniesione głosy przepełnione gniewem lub oburzeniem. Dokładnie naprzeciwko jakiś krępy mężczyzna z Cartageny przechodził drobiazgową kontrolę osobistą, co można było zobaczyć przez uchylone dość szeroko drzwi.

Jak brzmiał cytat z *Króla Edypa* Sofoklesa? „Jakże straszna może być prawda”. Angler szybko powrócił do leżących na biurku papierów.

Ponieważ nie było wielkiego wyboru, kilku jego ludzi zajęło się sprawdzaniem, w jaki sposób Alban mógł dostać się do Stanów. Angler wiedział, że Alban przed śmiercią i zanim jego ciało podrzucono pod drzwi domu w Nowym Jorku, był widziany w Brazylii. Właśnie dlatego Angler wysłał swoich ludzi na lokalne lotniska, Penn Station i dworzec autobusowy Port Authority, by poszukali jakichkolwiek dowodów jego obecności w którymś z tych miejsc.

Sięgnął po plik papierów: listy pasażerów, którzy w ostatnich miesiącach wjechali na teren Stanów Zjednoczonych, przybywając z Brazylii na lotnisko JFK. To był jeden z wielu manifestów pokładowych i miał co najmniej dwa i pół centymetra grubości. Poszukiwanie dowodów? Grzęźli w bagnie dowodów – i jak wszystko na to wskazywało, na próżno. Jego ludzie przeglądali te same dokumenty, poszukując znanych przestępców, z którymi mógł współpracować Alban, i wypatrując wszystkiego, co mogło wydawać się

podejrzane.

On wertował te listy godzinami, licząc na to, że coś – cokolwiek – zwróci jego uwagę.

Angler wiedział, że nie myśli jak przeciętny gliniarz. Był mózgowcem, zawsze poszukiwał przebłysku intuicji, jakiegoś dziwnego powiązania, które mogło zostać przegapione przy bardziej ortodoksyjnym, logicznym podejściu do sprawy. Wiele razy jego nietypowe zachowanie przyniosło mu sukces. Dlatego nadal wertował strony i odczytywał nazwiska, nie wiedząc nawet, czego konkretnie szuka. Bo jedno wiedzieli na pewno, że Alban nie wjechał do Stanów pod prawdziwym nazwiskiem.

Howard Miller
Diego Cavalcanti
Beatriz Cavalcanti
Roger Taylor
Fritz Zimmermann
Gabriel Azevedo
Pedro Almeida

Anglera przepęłniało mgliste uczucie – nie po raz pierwszy – że ktoś przed nim robił to samo. Świadczyły o tym drobiazgi – nieznacznym bałagan w papierach, w których nie powinno być bałaganu, szuflady z aktami sprawiające wrażenie, jakby ktoś niedawno w nich grzebał, no i parę osób przypomniawszy sobie jak przez mgłę, że ktoś zadawał podobne pytania pół roku, a może nawet rok temu.

Ale kto to mógł być? Pendergast?

Na myśl o Pendergaście poczuł znajome rozdrażnienie. Nigdy dotąd nie spotkał nikogo takiego. Gdyby ten człowiek okazał choć odrobinę chęci do współpracy, przekopywanie się przez te tony papierów nie byłoby konieczne.

Odegnął nieprzyjemne, irytujące myśli i zajął się manifestami pokładowymi. Zaczynała go męczyć niestrawność, nie zamierzał pozwolić na to, żeby myślenie o Pendergaście jeszcze pogorszyło jego samopoczucie.

Dener Goulart
Matthias Kahn
Elizabeth Kemper

Robert Kemper
Nathalia Rocha
Tapanes Landberg
Marta Berlitz
Yuri Pais

Nagle zatrzymał się. Jedno z nazwisk – Tapanes Landberg – zwróciło jego uwagę.

Dlaczego? Wiele innych nazwisk też go zastanowiło, ale nic z tego nie wynikło. Czemu akurat to wywołało impuls w jego mózgu?

Zamyślił się przez chwilę. Co Pendergast powiedział o swoim synu? Było tego tak niewiele, że Angler dokładnie to zapamiętał. *Miał wyjątkowy talent do radzenia sobie w najgorszych tarapatach. I coś jeszcze: Czerpał upodobanie w mrocznych gierkach; był specjalistą od prowokacji i zabójczych niespodzianek.*

Gierki. Prowokacje i zabójcze niespodzianki. To ciekawe. Jaki sens skrywały te słowa? Czy Alban był oszustem? Czy lubował się w robieniu kawałów?

Angler sięgnął po ołówek i powoli, wydymając wargi, zaczął zapisywać nazwisko Tapanes Landberg na górnym marginesie manifestu.

Tapanes Landberg
Tapanes Bergland
Sada Plantenberg
Abrades Plangent

Abrades Plangent. Pod wpływem impulsu Angler wymazał z nazwiska litery składające się na imię Alban. Zostało:

rdesPagent

Na dole marginesu zmienił układ liter.

dergaPenst
Pendergast

Angler spojrział na szczegóły manifestu. Był to lot liniami Air Brazil z Rio de Janeiro do Nowego Jorku.

Osoba, która przybyła z Brazylii na lotnisko Kennedy'ego, posługiwała się nazwiskiem, które było anagramem imienia i nazwiska Alban Pendergast.
Po raz pierwszy od kilku dni Peter Angler uśmiechnął się.

Czytelnia mikroform na parterze głównego budynku nowojorskiej biblioteki publicznej była jasno oświetlona, wypełniona czytnikami mikrofilmów i mikrofiszek; było w niej zdecydowanie za gorąco. Gdy D'Agosta usiadł obok Margo, poluzował krawat i rozpiął górny guzik koszuli. Patrzył, jak Margo wkłada do czytnika rolkę mikrofilmu, przeplata przez mechanizm i nawija na oś odbierającą.

– Chryste – powiedział. – Można by się spodziewać, że w dzisiejszych czasach wszystko zostało już przeniesione na nośniki cyfrowe. Co właściwie przeglądamy?

– „New-York Evening Independent”. Obejmował dość wszechstronną tematykę jak na tamte czasy, ale interesował się sensacjami bardziej niż, dajmy na to, „The Times”. – Spojrzała na pudełko. – Ta szpula zawiera roczniki od tysiąc osiemset osiemdziesiąt osiem do dziewięćdziesiąt dwa. Od kiedy twoim zdaniem powinniśmy zacząć?

– Szkielet trafił do zbiorów w roku osiemdziesiątym dziewiątym, zacznijmy od tej daty. – D'Agosta jeszcze bardziej poluzował krawat. A niech to, ależ tu gorąco. – Jeżeli ten facet pozbył się żony, raczej nie czekał, żeby usunąć ciało.

– Racja.

Margo pokręciła galką czytnika mikrofilmów, żeby przesunąć taśmę do przodu. Na ekranie pojawiły się strony starej gazety. Najpierw powoli, potem nieco szybciej. Urządzenie wydało cichy szmer. D'Agosta przeniósł wzrok na Margo. Wydawała się inną osobą, gdy przebywała poza muzeum – była o wiele swobodniejsza i spokojniejsza.

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że choć może się to okazać ciekawym odkryciem, ostatecznie nie popchnie naprzód jego sprawy – nawet jeśli Padgett zabił żonę i ukrył jej kości wśród zbiorów. Znów miał pretensje do Pendergasta, że swoimi pytaniami w muzeum obudził w nim złudne

nadzieje na rozwikłanie morderstwa, a potem zniknął bez słowa. To było pięć dni temu. D'Agosta zaczął zostawiać Pendergastowi coraz bardziej ponaglące wiadomości, ale jak dotąd bez rezultatów.

Margo znów zwolniła przesuw taśmy w czytniku, gdy dotarli do roku 1889. Na ekranie pojawiały się kolejne strony: artykuły o nowojorskich politykach, bardziej lub mniej interesujących wydarzeniach zagranicznych, zwykłe plotki i historie o zbrodniach, których w owym czasie, gdy miasto wciąż się rozwijało, nie brakowało. Wreszcie, w końcu lata, napotkali na coś ciekawego:

WIADOMOŚCI LOKALNE

Na rynek trafiły akcje Przedsiębiorstwa Kolei Miejskiej
Mąż podejrzany w sprawie tajemniczego zniknięcia żony
Nowa premiera w Teatrze Garricka
Krach w przemyśle cukrowniczym
Stinson w więzieniu po oskarżeniu o zniesławienie

Specjalnie dla „New-York Evening Independent”

NOWY JORK, 15 SIERPANIA. Consolidated Steel ogłosiła ofertę nowych akcji na sprzedaż stali, która zostanie wykorzystana do zbudowania wiaduktu nowej linii kolei miejskiej nad Trzecią Aleją.

Nowojorska policja aresztowała doktora Evansa Padgetta z Nowojorskiego Muzeum w związku z niedawnym zniknięciem jego żony.

W Teatrze Garricka już w ten piątek premiera nowej wersji *Otella* z Julianem Halcombem w roli Maura.

Krążą plotki o zbliżającym się krachu w przemyśle cukrowniczym...

– Boże – wyszeptała Margo. – A więc on naprawdę zabił żonę.

– Tylko go aresztowano – odparł D'Agosta. – Poszukajmy czegoś więcej.

Margo przejrzała kilka następnych numerów. Mniej więcej tydzień później pojawiła się kolejna relacja związana z tą sprawą.

Teraz była to najwyraźniej sensacja, bo poświęcono jej osobny artykuł.

NAUKOWIEC Z MUZEUM OSKARŻONY

O ZABÓJSTWO ŻONY POSZUKIWANIA ZWŁOK ŻONY PRZEBIEGAJĄ W ATMOSFERZE CORAZ WIĘKSZEGO SKANDALU

PODEJRZANY NA KILKA DNI PRZED ZNIKNIĘCIEM ŻONY WSPOMINAŁ, ŻE MYŚLAŁ O ZAMORDOWANIU JEJ – PRZESŁUCHIWANY NABIERA WODY W USTA – PREZES MUZEUM ZAPRZECZA, ABY JEGO PLACÓWKA BYŁA W JAKIKOLWIEK SPOSÓB ZWIĄZANA Z TĄ SPRAWĄ

NOWY JORK, 23 SIERPNIĄ. Doktor Evans Padgett został dziś oficjalnie postawiony w stan oskarżenia w związku z zaginięciem i, jak się przypuszcza, zamordowaniem swojej żony Ophelii Padgett. Przyjaciele i sąsiedzi wiedzieli, że pani Padgett cierpiała na wyniszczającą i bolesną chorobę połączoną z nasilającymi się zaburzeniami natury psychicznej. Pierwsze podejrzenia wobec doktora Padgetta pojawiły się, kiedy jego koledzy z Nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej, w którym jest kustoszem, powiedzieli policji, że kilkakrotnie przy różnych okazjach wspominał, iż ma ochotę położyć kres życiu swojej żony. Owi koledzy donieśli, że doktor Padgett sugerował, iż za obecny stan jego żony odpowiedzialny był pewien patentowany lek czy też nostrum, i dawał do zrozumienia, że chciałby „skrócić jej cierpienia”. Od czasu aresztowania Padgett nie złożył zeznań ani przed policją, ani przed obliczem sędziego, lecz zachowuje uporczywe milczenie. Obecnie przebywa w areszcie śledczym więzienia The Tombs, gdzie oczekuje na proces. Zapytany o komentarz prezes muzeum stwierdził jedynie, że nie ma nic do powiedzenia w sprawie tych niepokojących i bulwersujących wydarzeń poza tym, że jego placówka w żaden sposób nie może być powiązana z zaginięciem.

D’Agosta parsknął drwiąco.

– Już wtedy muzeum bardziej dbało o własną reputację niż o pomoc w wyjaśnieniu zbrodni.

Przerwał.

– Zastanawiam się, czym był ów patentowany lek. Pewnie zawierał duże dawki kokainy albo opium.

– Symptomy nie wskazują na standardowe uzależnienie od narkotyków –

powiedziała Margo. – Wyniszczająca choroba... W dziewiętnastym wieku tak określano przypadłość, która nieuchronnie kończyła się śmiercią. A to ciekawe...

Przerwała.

– Co takiego?

– Mianowicie to, że jeden z testów, jakiemu poddałam szkielet, wykazał pewną anomalię związaną z mineralizacją kości. Może Ophelia Padgett cierpiała na postępującą chorobę kości albo inną przypadłość zwyrodnieniową.

D'Agosta patrzył, jak Margo przewija taśmę do późniejszych numerów rocznika gazety. Były jeszcze najwyżej dwie krótkie wzmianki o zbliżającym się procesie i jedna stwierdzająca, że postępowanie sądowe się rozpoczęło. Aż wreszcie 14 listopada 1889:

Doktor Evans Padgett z Gramercy Lane, którego oskarżono o zamordowanie swojej żony Ophelii, został dziś oczyszczony z wszystkich postawionych mu zarzutów przez sędziego przewodniczącego procesowi w King's Courtroom przy Park Row 2. Choć niektórzy świadkowie naoczni wspominali o zawołanych sugestiach Padgetta, zgodnie z którymi zamierzał on jakoby położyć kres życiu żony, a prokurator stanu Nowy Jork przedstawił dowody poszlakowe, doktor Padgett został uwolniony od ciężących na nim zarzutów, ponieważ nie udało się odnaleźć *corpus delicti* pomimo szeroko zakrojonych poszukiwań prowadzonych przez siły policyjne Manhattanu. W tej sytuacji Padgett został oczyszczony z zarzutów i dziś w południe już jako wolny człowiek opuścił gmach sądu.

– Brak *corpus delicti* – rzekł D'Agosta. – Oczywiście nie było ciała. Stary spreparował je w jednej z kadzi na osteologii, a potem włączył szkielet do zbiorów muzeum, opisując go jako szczątki Hotentota!

– W tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku antropologia sądowa nie stała na wysokim poziomie. Kiedy z tej kobiety pozostały jedynie kości, nie było szans, żeby ją zidentyfikować. Zbrodnia doskonała.

D'Agosta osunął się w fotelu. Czuł się teraz bardziej zmęczony, niż kiedy tu przyszedł.

– Ale co to może oznaczać, do cholery? Dlaczego fałszywy naukowiec

ukradł jedną z jej kości?

Margo wzruszyła ramionami.

– To zagadka.

– Świetnie. Zamiast rozwikłać sprawę morderstwa sprzed tygodnia, odkryliśmy zbrodnię sprzed stu lat.

Skąd przybyliśmy? Jak zaczęło się nasze życie? Jak trafiliśmy na tę drobinę pyłu zwaną Ziemią, otoczoną innymi drobinami pyłu składającymi się na wszechświat? Aby odpowiedzieć na te pytania, musimy cofnąć się miliardy lat, do czasu jeszcze przed powstaniem tego wszechświata. To czasu, kiedy nie było nic – nic oprócz ciemności...

D'Agosta odwrócił się od łagodnej krzywizny tafli lustra weneckiego i przetarł zaczerwienione, podpuchnięte oczy. Słyszał tę prezentację już pięć razy i mógł wyrecytować cały tekst z pamięci.

Zasłaniając usta dłonią, ziewnął i rozejrzał się po spowitym półmrokiem pomieszczeniu monitoringu kontrolnego muzeum. Właściwie było ono nazywane obsługą planetarium. Mieściły się tu komputery, oprogramowanie, dyski sieciowe i serwery obrazów, które sterowały filmami wyświetlanymi na kopule planetarium. Pomieszczenie znajdowało się w rogu piątego piętra, przy górnej części kopuły, stąd zakrzywiona szyba przy przeciwległej ścianie. O ile D'Agosta zdołał się zorientować, mimo że muzeum okazało się na tyle nowoczesne, iż zainstalowano w nim kamery ochrony, to niestety nikomu nie przyszło do głowy, że kiedyś ktoś mógłby chcieć przejrzeć niektóre z rejestrowanych przez nie nagrań. Dlatego monitory do przeglądania archiwalnych nagrań monitoringu umieszczono w obsłudze planetarium, a do ich odtwarzania wykorzystywano znajdujące się w tym pomieszczeniu komputery, zapewne w ramach programu ograniczania zbędnych kosztów.

Problem polegał na tym, że w trakcie godzin pracy muzeum światła w tym pokoju musiały być niemal całkiem wygaszone, aby nie przesączały się przez lustro weneckie kopuły planetarium, niwecząc wrażenie iluzji dla gości siedzących na miejscach poniżej. Monitory do przeglądania zapisów z monitoringu były więc odwrócone od szyby. W dodatku pomieszczenie było małe, więc D'Agosta i jego dwaj detektywi, Jimenez i Conklin, musieli

siedzieć ściśnięci jak sardynki, pracując równocześnie przy trzech stanowiskach komputerowych. D'Agosta spędził po ciemku już trzy godziny, wpatrując się w ziarnisty nieduży ekran, i zaczynał odczuwać za gałkami ocznymi pierwsze symptomy paskudnego bólu głowy. Ale coś skłoniło go do większego wysiłku: dziwny niepokój, że sprawa zostanie odłożona *ad acta*, jeżeli nie uda mu się odnaleźć czegoś na tych nagraniach.

Nagle ciemne pomieszczenie wypełniła eksplozja oślepiającego światła w planetarium; nieco poniżej doszło właśnie do Wielkiego Wybuchu. D'Agosta powinien się tego spodziewać, bądź co bądź przed minutą usłyszał znajomy wstęp, ale znów dał się zaskoczyć i drgnął nerwowo. Zamknął oczy, ale było za późno, pod opuszczonymi powiekami ujrzał tańczące szaleńczo gwiazdy.

– Niech to szlag – usłyszał głos Conklina.

Teraz do ciasnego pokoiku wpłynęła grzmiąca muzyka. D'Agosta siedział w bezruchu, z zamkniętymi oczami, aż gwiazdy odpłynęły, a dudniące dźwięki stopniowo zaczęły cichnąć. Dopiero wtedy znów otworzył oczy, zamrugał i spróbował skupić się na ekranie przed sobą.

– Macie coś? – zapytał.

– Nie – odparł Conklin.

– *Nada* – rzekł Jimenez.

Zanim zadał to pytanie, wiedział, że było głupie, bo gdyby coś zauważyli, natychmiast by o tym powiedzieli. Ale jednak je zadał, wiedziony nadzieją, że dzięki temu coś się wydarzy.

Taśma, którą oglądali – widok głównego wejścia do sali mieszkańców mórz i oceanów, godzina między 17.00 a 18.00 w sobotę 19 czerwca, w dniu, kiedy zamordowano Marsalę – skończyła się, nie ujawniając niczego ciekawego. D'Agosta zamknął myszką okno na ekranie komputera, ponownie przetarł oczy, wykreślił odpowiednią pozycję na wykazie leżącym pomiędzy nim a Jimenezem, po czym z głównego menu wybrał następne nagranie i włączył je bez większego entuzjazmu: sala mieszkańców mórz i oceanów, kamera przy głównym wejściu, godzina między 18.00 a 19.00 również 19 czerwca. Zaczął przesuwac zapis wideo, najpierw ze zwykłą prędkością, potem dwukrotnie ją zwiększając, aż w końcu wybrał tryb ośmiokrotnie szybszy.

Nic.

Wykreśliwszy i tę pozycję, wybrał dla odmiany obraz z kamery obserwującej południową część Wielkiej Rotundy, z godziny między 16.00 a 17.00. Wprawnym ruchem przewinął cyfrowy zapis do początku, przełączył na tryb pełnoekranowy i włączył odtwarzanie ze zwykłą prędkością. Na monitorze pojawiła się rotunda widziana z góry; strumienie ludzi przepływały od prawej do lewej strony. Zbliżała się pora zamknięcia i zwiedzający opuszczali muzeum. D'Agosta przetarł oczy i wyteżył wzrok, próbując się skupić. Widział strażników na swoich posterunkach, przeciskających się przez tłum docentów z chorągiewkami na tyczkach oraz wolontariuszy w punkcie informacyjnym, składających już powoli mapki, ulotki i broszury z prośbami o darowizny.

Grzmiący ryk z planetarium za ścianą. Okrzyki i oklaski zachwyconych widzów: właśnie odbywał się proces formowania się Ziemi w strugach płomieni, pośród barwnych koron i kul ognia. Głębokie organowe dźwięki wprawiły krzesło D'Agosty w tak silne drzenie, że omal nie wylądował on na podłodze.

Cholera. Zdecydowanym ruchem odsunął się od ekranu. Dość już tego. Jutro rano pójdzie do Singletona i będzie się płaszczyl, przymilał, całował go w tyłek, byle tylko przeniesiono go do sprawy zabójstwa miłośniczki joggingu z Upper East Side.

Nagle znieruchomiał. Wlepił wzrok w monitor. Patrzył około pół minuty. A potem palcami drżącymi z napięcia wcisnął klawisz przewijania do tyłu i obejrzał ostatni fragment nagrania z nosem prawie dotykającym ekranu. Odtworzył zapis ponownie. I jeszcze raz.

– Matko Boska – wyszeptał.

Był tam – ten fałszywy naukowiec.

Spojrzał na kopię sporządzonego przez Bonomo portretu pamięciowego, przyklejoną z boku do monitora Jimeneza, i znów przeniósł wzrok na ekran. To bez wątpienia był on. Miał na sobie jasny lekki płaszcz, ciemne spodnie i mokasyny na gumowych podszewkach, w których poruszał się praktycznie bezgłośnie. Nie był to strój typowego uczonego. D'Agosta patrzył, jak mężczyzna wchodzi drzwiami wejściowymi, rozgląda się dokoła, jakby chciał zapamiętać rozmieszczenie kamer, płaci za występ, mija stanowisko ochrony, w rotundzie przeciska się pomiędzy osobami zmierzającymi ku wyjściu, po czym znika z pola widzenia kamer. D'Agosta odtworzył nagranie

jeszcze raz, nie mogąc się nadziwić, jak spokojny wydawał się ten mężczyzna idący wolnym, wręcz leniwym krokiem.

Chryste. To jest to. Odwrócił się podekscytowany, żeby oznajmić o swoim odkryciu, gdy nagle zauważył stojącą tuż za nim ciemną postać.

– Pendergast! – powiedział ze zdumieniem.

– Vincencie. Dowiedziałem się od pani Trask, że chciałeś się ze mną widzieć. I to pilnie. – Pendergast swoimi bladymi oczami zlustrował wnętrze pokoju. – Łoża do wycieczki w kosmos. Doprawdy ekscytujące. Powiedz mi, co się właściwie stało?

W przypiływie euforii D’Agosta nagle zapomniał o swojej złości na agenta.

– Znaleźliśmy go!

– Boga?

– Nie, nie! Fałszywego doktora Waldrona. To on!

Przez twarz Pendergasta przemknął grymas zniecierpliwienia.

– Fałszywego kogo? Trochę się pogubiłem.

Jimenez i Conklin zebrali się przy monitorze, podczas gdy D’Agosta wyjaśnił agentowi całą sprawę.

– Pamiętasz, gdy byłeś tu ostatnim razem, zastanawiałeś się, z którym z goszczących w muzeum uczonych pracował Victor Marsala? Cóż, okazało się, że jego rekomendacja została sfałszowana. A teraz spójrz, udało mi się go odnaleźć. Wszedł do muzeum o szesnastej dwadzieścia tego dnia, kiedy zamordowano Marsalę!

– To ciekawe – rzekł znudzonym tonem Pendergast, kierując się już w stronę drzwi. Sprawiał wrażenie, jakby stracił zainteresowanie tą sprawą.

– Sporządziliśmy portret pamięciowy – kontynuował D’Agosta. – I oto on. Porównaj twarz tego faceta z jego portretem pamięciowym.

D’Agosta zerwał wydruk z komputera Jimeneza i podsunął w stronę Pendergasta.

– To ten sam człowiek. Przyjrzyj się!

– Cieszę się, że sprawa posuwa się naprzód – powiedział Pendergast, podchodząc do drzwi. – Obawiam się, że obecnie moją uwagę zaprzęta coś zupełnie innego. Jestem jednak pewien, że śledztwo znajduje się w dobrych rękach...

Przerwał, gdy jego wzrok padł na portret. Głos uwiązł mu w gardle; agent znów znieruchomiał. W jednej chwili zbladł jak ściana. Wyciągnął rękę

i spojrzął na kartkę, która głośno zaszeleściła. Po chwili osunął się na pusty fotel pod ścianą, ale wciąż ścisnął w dłoni kartkę i wpatrywał się w nią przenikliwym wzrokiem.

Przez chwilę Pendergast milczał. A gdy się odezwał, jego głos brzmiał posępnie, złowieszczo, jakby dochodził z grobu.

– To naprawdę niezwykle. Ale nie ma potrzeby wszczynać za nim pościgu.

D’Agosta zdziwił się, słysząc te słowa.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Całkiem niedawno miałem okazję poznać tego dżentelmena. Nie dalej jak wczoraj.

W tej samej chwili dłoń, w której trzymał kartkę, opadła powoli, a portret pamięciowy wysunął się spomiędzy szczupłych palców i spłynął na zakurzoną podłogę.

Porucznik D'Agosta nigdy nie był w sali, gdzie zgromadzono broń palną w należącym do Pendergasta domu przy Riverside Drive. Nigdy też nie widział wielu innych pomieszczeń rezydencji, która zdawała się nie mieć końca. Ta sala okazała się miłą niespodzianką. Jego ojciec był zagorzałym kolekcjonerem starej broni palnej i D'Agosta przynajmniej do pewnego stopnia odziedziczył po nim to zamiłowanie. Rozglądając się dokoła, zauważył, że Pendergast posiada w swoich zbiorach wiele naprawdę cennych egzemplarzy. Pomieszczenie nie było duże, ale urządzone luksusowo, ze ścianami z różanego drewna i dobranym do nich kasetonowym sufitem. Na dwóch przeciwległych ścianach wisiały dwa ogromne gobeliny, oczywiście bardzo stare. Resztę ścian zajmowały szafki wnękowe z przeszklonymi podwójnymi drzwiczkami, gdzie wyeksponowano mnóstwo najróżniejszej klasycznej broni palnej. Wszystkie wydawały się pochodzić sprzed drugiej wojny światowej. Były tam le-enfield .303 i mauser model 1893, oba w idealnym stanie, rzadki luger przerobiony na amunicję kalibru czterdzieści pięć; strzelba na słońce, z amunicją nitro express .577, z kolbą wykładaną kością słoniową, dzieło Westleya Richardsa; colt .45, jednotaktowy rewolwer jakby żywcem wyjęty ze starego Dzikiego Zachodu, z siedmioma karbami na kolbie, a prócz tego wiele innych strzelb, karabinów, sztucerów i broni krótkiej, której D'Agosta nie rozpoznał. Przechodził od jednej szafki do drugiej, zaglądając do środka, i z zachwytem aż pogwizdywał pod nosem.

Jedynym meblem w pokoju był centralny stół, wokół którego ustawiono sześć krzeseł. Pendergast siedział u jego szczytu, dłonie miał splecione – palce wskazujące stukają o siebie nawzajem – i kocimi oczami wpatrywał się w pustkę. D'Agosta przeniósł wzrok z broni na agenta FBI. Irytowało go zagadkowe milczenie Pendergasta, który z jakichś powodów nie chciał wyjaśnić, kim jest tamten mężczyzna, upomniał się jednak, że agent, jak

przystało na ekscentryka, lubi robić wszystko po swojemu, w niestandardowy sposób. Stłumił zatem zniecierpliwienie, gdy towarzyszył Pendergastowi w drodze z muzeum do jego rezydencji.

– Masz tu naprawdę niezłą kolekcję – rzekł.

Pendergastowi zajęło chwilę, żeby na niego spojrzeć, i kolejną, by odpowiedzieć.

– Zgromadził ją mój ojciec. Pomijając les baera, mam inne pasje i gust.

Do sali weszła Margo. Po chwili pojawiła się Constance Greene. Choć ich nazwiska brzmiały podobnie, kobiety diametralnie się różniły. Ta druga miała na sobie staroświecką wieczorową suknię z białą koronką pod szyją i na nadgarstkach, przez co zdaniem D'Agosty wyglądała jak postać z filmu. Podziwiał jej cudowne lśniące włosy barwy mahoni. Była piękna. Jej uroda miała w sobie coś złowrogiego, budziła grozę.

Ujrzawszy D'Agostę, Constance powitała go skinieniem głowy.

Odpowiedział uśmiechem. Nie wiedział, dlaczego Pendergast zebrał ich wszystkich w tym miejscu, ale z pewnością wkrótce jego ciekawość zostanie zaspokojona.

Pendergast poprosił, by usiedli. Gdy D'Agosta zajął miejsce, z zewnątrz dobiegł słaby grzmot; dźwięk, choć z trudem, zdołał przeniknąć grube mury. Potężna burza zapowiadana od kilku dni wreszcie nadeszła.

Agent FBI spojrział najpierw na D'Agostę, a potem na Margo; jego oczy lśniły w słabym świetle jak srebrne monety.

– Pani doktor – zwrócił się do Margo. – Miło znów panią widzieć. Szkoda, że okoliczności naszego ponownego spotkania nie są przyjemniejsze.

Margo tylko się uśmiechnęła.

– Zaprosiłem was tutaj – ciągnął Pendergast – ponieważ jest już pewne, że dwa morderstwa, które badaliśmy dotąd jako odrębne sprawy, są w istocie ściśle ze sobą powiązane. Vincencie, zataiłem przed tobą pewne informacje, bo nie chciałem mieszać cię bardziej, niż to było konieczne, w śledztwo dotyczące zabójstwa mojego syna. I tak przysporzyłem ci wielu kłopotów, zmuszając do podejmowania trudnych wyborów. Nadeszła jednak pora, żebym ujawnił wszystko, co wiem, i uczynię to właśnie teraz.

D'Agosta pochylił głowę. To prawda, Pendergast, choć nie z własnej winy, obciążył go brzemieniem strasznej tajemnicy. Ale *acqua passata*, jak mawiała jego babka, było minęło. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Agent zwrócił się do Margo:

– Pani doktor, wiem, że mogę liczyć na dyskrecję, a mimo to zmuszony jestem prosić panią i wszystkich innych o zachowanie w tajemnicy wszystkiego, co zostanie tu dziś powiedziane.

Przystali na to bez wahania.

Pendergast, jak zauważył D'Agosta, wydawał się dziwnie niespokojny, postukiwał palcami w blat stołu. Zazwyczaj zastygał w bezruchu jak kot.

– Ustalmy fakty – zaczął. – Dokładnie jedenaście dni temu, pod wieczór ciało mojego syna Albana zostało podrzucone pod drzwi tego domu. W jego żołądku odnaleziono kamień, rzadki turkus. Podążając tropem tego turkusu, trafiłem do mało znanej kopalni u wybrzeży Salton Sea w Kalifornii. Kilka dni temu odwiedziłem tę kopalnię. Zastawiono tam na mnie zasadzkę, zostałem zaatakowany.

– Kto, u licha, mógł chcieć się na ciebie zasadzić? – zapytał D'Agosta.

– To ciekawe pytanie, ale na razie nie znam na nie odpowiedzi. Gdy udało mi się obezwładnić napastnika, obaj zostaliśmy odurzeni rozpylonym w powietrzu bliżej niesprecyzowanym gazem paralizującym. Zemdlałem. Kiedy odzyskałem przytomność, zatrzymałem swojego napastnika i odwiozłem do aresztu. Ten człowiek uparcie milczy, a jego tożsamość wciąż pozostaje nieznana.

Przeniósł wzrok na D'Agostę.

– Wróćmy teraz do twojej sprawy, śmierci Victora Marsali. Głównym podejrzanym wydaje się dżentelmen, który podał się za naukowca i prowadził badania pewnego osobliwego szkieletu ze zbiorów muzeum. Z pomocą Margo udało się wam ustalić trzy dodatkowe interesujące szczegóły. Po pierwsze, w szkielecie brakuje jednej z kości.

– Prawej kości udowej – wtrąciła Margo.

– Najwyraźniej nasz fałszywy naukowiec ukradł tę kość z bliżej nieznanym powodów. Później zabił Marsalę.

– Być może – przyznał D'Agosta.

– Po drugie, szkielet zaklasyfikowany w zbiorach nie odpowiada temu, co widnieje w jego karcie katalogowej. Okazało się, że nie należy do młodego mężczyzny, Hotentota, lecz do starszej kobiety, Amerykanki, prawdopodobnie są to szczątki żony kustosa muzeum, który został oskarżony o jej zamordowanie i pod tym zarzutem stanął przed sądem

w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym. Uwolniono go jednak od ciężących na nim zarzutów, ponieważ nie znaleziono ciała. Ale teraz szczątki się znalazły. A raczej wy je znaleźliście. – Pendergast powiódł wzrokiem dokoła. – Czy nie pominąłem niczego istotnego?

D’Agosta poruszył się na krześle.

– Czy mógłbyś wyjaśnić, jak te dwa morderstwa są ze sobą powiązane?

– To prowadzi do trzeciego punktu, który chciałem teraz poruszyć. Człowiek, który zaatakował mnie nad Salton Sea, i człowiek, którego poszukujesz w związku ze śmiercią Victora Marsali – wspomniany fałszywy uczonek – to jeden i ten sam mężczyzna.

D’Agosta poczuł, że krew zastyga mu w żyłach.

– Co?

– Rozpoznałem go natychmiast dzięki twojemu doskonałemu portretowi pamięciowemu.

– Co łączy te sprawy?

– Właśnie, co? Kiedy znajdziemy odpowiedź na to pytanie, będziemy na dobrej drodze do rozwiązania obu tych spraw.

– Oczywiście będę musiał go przesłuchać w areszcie w Indio – rzekł D’Agosta.

– Naturalnie. Może uda ci się lepiej niż mnie. – Pendergast poruszył się nerwowo i odwrócił do Margo. – Może teraz zechciałaby pani przedstawić nam szczegóły swojego śledztwa?

– Niemal wszystko zostało powiedziane – odparła Margo. – Śmiem przypuszczać, że kustosz nazwiskiem Padgett potajemnie przeniósł zwłoki swojej żony do muzeum, zmacerował je w jednej z kadzi w wydziale osteologii, a następnie umieścił szkielet w zbiorach muzeum, zaopatrzonej w fałszywą kartę katalogową.

Siedząca po drugiej stronie stołu Constance Greene gwałtownie wstrzymała oddech. Spojrzenia wszystkich skierowały się na nią.

– Constance? – zapytał Pendergast.

Ale ona patrzyła na Margo.

– Powiedziałaś doktor Padgett? – To były pierwsze słowa, jakie padły z jej ust od początku spotkania.

– Tak. Evans Padgett. Czemu pytasz?

Przez chwilę Constance nie odpowiadała. Wreszcie przesunęła dłonią po

koronce pod szyją.

– Prowadziłam badania archiwalne dotyczące przeszłości rodziny Pendergastów – zaczęła głębokim, dziwnie staroświeckim głosem. – Rozpoznałam to nazwisko. Ten człowiek był jedną z pierwszych osób, które publicznie oskarżyły Hezekiaha Pendergasta o sprzedaż patentowanego leku, który był w rzeczywistości groźną trucizną.

Tym razem to Pendergast wyglądał na zaskoczonego.

D'Agosta był coraz bardziej zakłopotany.

– Chwileczkę. Kim, u licha, jest Hezekiah Pendergast? Kompletnie się pogubiłem.

W pokoju zapadła cisza. Constance wciąż patrzyła na Pendergasta. Wydawało się, że minęły wieki, zanim agent znów się odezwał. I prawie niedostrzegalnie skinął głową.

– Mów, proszę, dalej, Constance.

– Hezekiah Pendergast – ciągnęła Constance – był stryjecznym prapradziadkiem Aloysiusa i oszustem czystej wody. Zaczął swoją karierę jako sprzedawca cudownego leku „na żmijach”, prowadząc żywot komiwojażera przy taborze obwoźnych handlarzy różnymi eliksirami, i z czasem opracował własne „lekarstwo”: cudowny, regenerujący gruczoły eliksir Hezekiaha. Miał niezwykły talent do handlu i w końcu lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku sprzedaż nostrum osiągnęła apogeum. Elixir był wdychany, co w tamtych czasach nie należało do rzadkości, za pomocą specjalnego atomizera, który nazwał się hydrokonium. W rzeczywistości był to staroświecki rozpylacz, który Hezekiah opatentował i sprzedawał z eliksirem. Pomogło to w odzyskaniu dawnej fortuny rodziny Pendergastów, która w owym czasie bardzo zubożała. O ile dobrze pamiętam, eliksir nazywano „przyjemnym a cudownym lekiem na różne dolegliwości”, który mógł „uczynić słabych silnymi, a neurastenikom przynieść spokój, jedynymi w swoim rodzaju perfumami do wdychania”. Jednak w miarę jak eliksir Hezekiaha trafiał do coraz większej rzeszy użytkowników, zaczęły pojawiać się niepokojące plotki: o szaleństwie, wybuchach morderczej wściekłości i bolesnej, wyniszczającej chorobie prowadzącej nieuchronnie do śmierci. Samotne głosy, takie jak doktora Padgetta, który starał się grzmieć na alarm, zostały zignorowane. Niektórzy lekarze medycyny zaprzeczali, aby eliksir miał niebezpieczne, trujące

właściwości. Opinia publiczna dowiedziała się o całej sprawie dopiero wtedy, gdy w jednym z numerów czasopisma „Collier” przeprowadzono analizę składu chemicznego eliksiru i ujawniono, że zawiera on niebezpiecznie uzależniającą i na dłuższą metę zabójczą mieszaninę chloroformu, kokainy, szkodliwych substancji roślinnych i innych toksycznych ingrediencji. Produkcję przerwano około roku tysiąc dziewięćset piętego. Jak na ironię, jedną z ostatnich ofiar była żona samego Hezekiaha, Constance Leng Pendergast, nazywana w rodzinie Staną.

W pokoju zapanowała lodowata cisza. Pendergast znów utkwiał wzrok w przestrzeń, delikatnie bębniąc palcami w blat stołu, z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

Ciszę przerwała Margo.

– W jednym z artykułów prasowych, jakie odkryliśmy, wspomniano, że Padgett obwiniał o stan swojej żony jakiś patentowany lek. Właśnie on miał wywołać u niej chorobę. Kiedy przeprowadziłam izotopową analizę jej kości, wykazała ona dziwaczne anomalie w składzie chemicznym szkieletu.

D’Agosta spojrzał na Constance.

– A zatem mówisz, że żona tego Padgetta padła ofiarą wspomnianego patentowanego leku, eliksiru opracowanego i sprzedawanego przez przodka Pendergasta, a kustosz zabił ją, żeby położyć kres jej cierpieniom?

– Tak przypuszczam.

Pendergast wstał od stołu. Spojrzenia wszystkich przeniosły się na niego. On jednak tylko wygładził przód koszuli i zaraz znów usiadł, a jego palce zdrząły leciutko.

D’Agosta już miał coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili się pohamował. Z wolna zaczął dostrzegać związek między tymi wszystkimi faktami, ale wydawał mu się tak niezwykle, tak przerażający, że nie był w stanie rozważać go na poważnie.

W tej samej chwili bezgłośnie otworzyły się drzwi i do sali weszła pani Trask.

– Telefon do pana – zwróciła się do Pendergasta.

– Proszę zanotować wiadomość i przekazać mi ją później.

– Pan wybaczy, ale dzwonią do pana z Indio w Kalifornii. Człowiek, który zadzwonił, mówi, że to nie może czekać.

– Ach.

Pendergast znowu się podniósł i ruszył w stronę drzwi. W połowie drogi do wyjścia nagle się zatrzymał.

– Pani doktor – zwrócił się do Margo. – To, o czym dziś rozmawialiśmy, jest sprawą delikatną. Przepraszam, że o to proszę, ale czy może mi pani obiecać, że nie będzie pani dyskutować o tym z nikim innym?

– Jak już wspomniałam, może pan na mnie liczyć. Na samym początku poprosił nas pan o zachowanie treści rozmów będących przedmiotem tego spotkania w całkowitej tajemnicy.

Pendergast pokiwał głową.

– Tak – powiedział. – Tak, oczywiście.

Raz jeszcze spojrzął na twarze trzech osób, które wciąż siedziały przy stole, po czym wyszedł za panią Trask z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Gdy zbliżali się do miasteczka Indio, od strony autostrady międzystanowej numer dziesięć, D'Agosta wyjrzał z zaciekawieniem przez szybę pojazdu należącego do stanowego wydziału służby więziennej. Był w Kalifornii tylko raz; miał dziewięć lat, gdy rodzice zabrali go do Disneylandu. Jak przez mgłę pamiętał palmy, bogato rzeźbione baseny, szerokie czyste bulwary ozdobione kwiatowymi klombami, pamiętał też Matterhorn i Myszkę Miki. Ale to miejsce, na drugim końcu stanu, było dla niego czymś niezwykłym. Całe w brązach, spalone słońcem, gorące jak piekło, z dziwnymi krzewami, karłowatymi drzewkami przypominającymi kaktusy i nagimi wzgórzami. Nie rozumiał, jak ktokolwiek mógł żyć na tej zapomnianej przez Boga pustyni.

Siedzący obok niego w tylnej części pojazdu Pendergast poruszył się niespokojnie.

– Próbowaleś już rozmawiać z tym facetem i nakłonić go do mówienia. Może jakieś nowe pomysły? – zapytał D'Agosta.

– Dowiedziałem się czegoś nowego podczas rozmowy, którą odbyłem wczorajszego wieczoru. Zadzwoił do mnie starszy oficer służby więziennej z aresztu w Indio. Wygląda na to, że nasz przyjaciel siedzący za kratkami jednak zaczął mówić.

– Bez jaj.

D'Agosta znów wyjrzał przez szybę. To było w stylu Pendergasta zachować w tajemnicy jedną z najistotniejszych informacji, żeby ujawnić ją w ostatniej chwili. Ale czy na pewno? Podczas nocnego lotu agent wydawał się milczący i rozdrażniony, jak podejrzewał D'Agosta, wskutek braku snu.

Kalifornijski stanowy areszt śledczy w Indio mieścił się w ciągu długich niskich budynków, które, gdyby nie wieżyczki strażnicze i trzy rzędy murów zabezpieczonych na szczycie zwojami drutu brzytwiastego, mogły kojarzyć się z budowlą z dziecięcych klocków. Poza drutami stało kilka smętnych

palm, których liście zwisały ponuro na wpeł uschnięte w bezlitosnym słońcu. Wjechali przez główną bramę, przepuszczono ich przez wiele punktów kontroli, aż dotarli do oficjalnego, głównego wejścia. Wyszli z auta. D'Agosta zamrugał w promieniach słońca. Był na nogach od siedmiu godzin, lecz w Kalifornii dopiero dochodziła dziewiąta rano, co wprawiało go w dezorientację.

Tuż przy wejściu czekał na nich ciemnowłosy mężczyzna o szczupłej budowie ciała. Wyciągnął rękę.

– Agencie Pendergast. Miło znów pana widzieć.

– Pan Spandau. Dziękuję, że tak szybko mnie pan zawiadomił.

Pendergast obrócił się, żeby dokonać prezentacji.

– John Spandau, starszy oficer służby więziennej. A to detektyw porucznik D'Agosta z policji nowojorskiej.

– Poruczniku. – Spandau uściśnił dłoń D'Agosty, po czym wszyscy ruszyli w głąb korytarza.

– Jak wspominałem wczoraj przez telefon – zaczął Pendergast – więzień jest również podejrzany w sprawie niedawnego zabójstwa w Nowym Jorku. Śledztwo prowadzi pan porucznik. – Przeszli przez kolejną bramkę kontrolną. – Porucznik chciałby przesłuchać go jako pierwszy.

– Dobrze, co prawda ten człowiek zaczął mówić, ale w jego słowach nie ma większego sensu – odrzekł Spandau.

– Coś jeszcze?

– Stał się niespokojny. Przez całą noc kręcił się po celi. Nic nie jadł.

D'Agosta został wprowadzony do standardowego pokoju przesłuchań. Pendergast i Spandau zajęli miejsca w pomieszczeniu obok, obserwując przebieg przesłuchania przez lustro weneckie.

D'Agosta stał i czekał. Weszło dwóch strażników prowadzących mężczyznę w więziennym kombinezonie. Na jednym przegubie aresztant miał gips. D'Agosta zaczekał, aż strażnicy usadowią więźnia na krześle po drugiej stronie stołu, a potem zajmą miejsca przy drzwiach.

Przeniósł uwagę na siedzącego za stołem mężczyznę. Był dobrze zbudowany i oczywiście jego twarz wydawała się znajoma. Zatrzymany nie wyglądał na przestępcę, ale to akurat nie zdziwiło D'Agosty: facet miał dość ikry, by udawać naukowca tak przekonująco, że oszukał Marsałą. Wymagało to zarówno sporej inteligencji, jak i olbrzymiej pewności siebie, którym

jednak przeczył wyraz twarzy mężczyzny. Charyzmatyczne rysy, rozpoznawalne dzięki portretowi pamięciowemu sporządzonemu przez Bonomo, zdawały się zatarte przez jakiś tajemniczy dialog rozgrywający się w tym człowieku. Podpuchniętymi zaczerwienionymi oczami bez przerwy wodził po całym pokoju. Rozglądał się powoli, ospale jak narkoman, nie zatrzymując spojrzenia na siedzącym naprzeciw niego przybyszu. Skute kajdankami ręce miał skrzyżowane na wysokości klatki piersiowej. D'Agosta zauważył, że mężczyzna niezbyt mocno, lecz nieprzerwanie kołysze się na krześle w przód i w tył.

– Jestem porucznik Vincent D'Agosta z wydziału zabójstw – zaczął, wyjmując notes i kładąc go przed sobą. Mężczyźnie odczytano jego prawa, więc nie trzeba było powtarzać całej procedury. – Ta rozmowa jest rejestrowana. Czy zechciałby pan podać swoje nazwisko na potrzeby nagrania?

Mężczyzna nie odpowiedział, kołysał się tylko w przód i w tył. Jego oczy przepatrywały pokój z większym zapałem, zmarszczył czoło, jakby szukał czegoś, co zapomniał albo raczej zgubił.

– Halo, proszę pana? – D'Agosta próbował zwrócić jego uwagę.

Tamten wreszcie przeniósł na niego wzrok.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań w związku z zabójstwem, które zostało popełnione dwa tygodnie temu w Nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej.

Mężczyzna spojrzał na niego spokojnie, ale zaraz odwrócił wzrok.

– Kiedy był pan ostatnio w Nowym Jorku?

– Lilie – odparł tamten. Głos miał zaskakująco wysoki i melodyjny jak na tak potężnego mężczyznę.

– Jakie lilie?

– Lilie – powtórzył mężczyzna tęsknym tonem zmieszonym z bolesną zadumą.

– O co chodzi z tymi liliami?

– Lilie – upierał się mężczyzna, powracając wzrokiem do D'Agosty, czym go zaskoczył.

To było szaleństwo.

– Czy mówi panu coś nazwisko Jonathan Waldron?

– Zapach – mówił mężczyzna, a tęskny ton przybrał na sile. – Ten cudowny

zapach lilii. Już go nie ma. Teraz... czuję inną woń. Straszna. Okropna.

D'Agosta wpatrywał się w tego człowieka. Czy on udaje?

– Wiemy, że skradł pan tożsamość profesora Jonathana Waldrona, by zyskać dostęp do szkieletów w Muzeum Historii Naturalnej. Pracował pan z technikiem z wydziału osteologii tego muzeum, niejakim Victorem Marsalą.

Mężczyzna niespodziewanie zamilkł. D'Agosta wychylił się do przodu i złączył dłonie.

– Przejdę do sedna. Uważam, że zabił pan Victora Marsalę.

Kołysanie ustało. Mężczyzna odwrócił wzrok od D'Agosty.

– Prawdę mówiąc, wiem, że pan go zabił. A teraz, kiedy mamy pańskie DNA, porównamy je z próbką DNA z miejsca zbrodni. Spodziewam się, że uzyskamy pełną zgodność.

Cisza.

– Co pan zrobił ze skradzioną kością?

Cisza.

– Wie pan, o czym myślę? Że powinien pan znaleźć sobie adwokata, i to szybko.

Mężczyzna znieruchomiał jak posąg. D'Agosta wziął głęboki oddech.

– Proszę posłuchać – rzekł coraz bardziej złowieszczo. – Został pan aresztowany, gdyż napadł pan na agenta federalnego. To poważna sprawa. Ale ja jestem tutaj, ponieważ policja nowojorska chce, żeby przewieźć pana do Nowego Jorku i oskarżyć o morderstwo pierwszego stopnia. Mamy naocznych świadków. Mamy pana na nagraniu z kamer. Jeżeli nie zacznie pan współpracować, ugrzęźnie pan w bagnie tak głęboko, że nawet najlepszy adwokat panu nie pomoże. Ma pan ostatnią szansę.

Mężczyzna rozglądał się po pokoju, jakby w ogóle zapomniał o D'Agostie.

Porucznika ogarnęło silne zmęczenie. Nie cierpiał takich przesłuchań, powtarzania pytań i braku reakcji podejrzanych, a w dodatku ten typ wyglądał na niezłego świra. Był pewien, że mają sprawcę, teraz muszą tylko założyć mu sprawę, nie dysponując przyznaniem się oskarżonego do winy.

Otworzyły się drzwi i D'Agosta uniósł wzrok, by ujrzeć stojącą w korytarzu ciemną postać Pendergasta, który wykonał gest, jakby chciał powiedzieć: Mogę teraz ja spróbować?

D'Agosta zabrał notes i wstał. Jasne, odpowiedział wzruszeniem ramion,

życzę powodzenia.

Wszedł do pokoju obserwacyjnego za ścianą i usiadł obok Spandaua. Patrzył, jak Pendergast siada wygodnie na jednym z krzeseł naprzeciw podejrzanego. Potem agent bardzo długo poprawiał krawat, marynarkę, spinki przy mankietach i kołnierzyk. Wreszcie wyprostował się, opierając łokcie na blacie, a koniuszki palców o porysowane drewno. Przez chwilę jego palce wybijały szybki rytm, aż wreszcie, jakby po namyśle, agent zacisnął dłonie w pięści. Spojrzał ponad stołem i zatrzymał wzrok na swoim napastniku. I gdy D'Agosta był już bliski wybuchu nagromadzonego w nim napięcia, Pendergast nagle zaczął mówić spokojnym tonem, ze znajomym melodyjnym akcentem:

– Tam, skąd pochodzę, pożytywane jest za ogromny nietakt, jeśli nie zwracamy się do osób, z którymi rozmawiamy, inaczej niż po nazwisku. Gdy spotkaliśmy się ostatnim razem, nie zechciał pan podać mi swojego nazwiska, które, jak wiem, nie brzmi wcale Waldron. Czy może zmienił pan zdanie?

Mężczyzna spojrział na niego, ale nie odpowiedział.

– Dobrze więc. Ponieważ nie znoszę impertynencji, będę zwracał się do pana nazwiskiem, które sam dla pana wybiorę. Będę nazywał pana Nemo, co, jak być może pan wie, po łacinie znaczy „nikt”.

Te słowa nie wywołały żadnego efektu.

– Nie zamierzam marnować na tę wizytę tyle czasu co ostatnio, panie Nemo. Wobec tego przejdźmy do rzeczy. Czy zechce pan mi powiedzieć, kto pana wynajął?

Cisza.

– Czy zechce pan mi powiedzieć, dlaczego pana wynajęto albo w jakim celu zastawiono tę osobliwą pułapkę?

Cisza.

– Jeżeli nie chce pan podać nazwisk, to może przynajmniej raczy pan wyjaśnić, jaki miał być cel tego wszystkiego?

Cisza.

Pendergast leniwie popatrzył na swój złoty zegarek.

– To ode mnie zależy, czy będzie pan sądzony w sądzie stanowym, czy federalnym. Od tego, czy zdecyduje się pan do mnie przemówić, czy nie, będzie zależeć, czy trafi pan do Rikers Island, czy więzienia o zaostrzonym

rygorze we Florence w Kolorado. Rikers to piekło na ziemi. Florence to piekło, którego nawet Dante nie byłby w stanie sobie wyobrazić. – Popatrzył na tamtego przenikliwym wzrokiem. – Wyposażenie każdej celi jest wykonane z lanego betonu. Prysznic ma włącznik czasowy. Włączają się trzy razy w tygodniu, o piątej rano, dokładnie na trzy minuty. Z okna widać tylko beton i niebo. Każdego dnia osadzonym przysługuje tylko godzina „ćwiczeń” na betonowym spacerniku. Zakład karny we Florence ma czternaście tysięcy zdalnie kontrolowanych stalowych drzwi i jest otoczony pasem bezpieczeństwa z zamontowanymi alarmami uruchamianymi pod wpływem nacisku oraz kilkoma wysokimi na cztery metry ogrodzeniami z siatki z drutu brzytwiastego. Za tymi murami pańska egzystencja dobiegnie końca. Jeżeli nie zdecyduje się pan mówić, i to zaraz, naprawdę stanie się pan nikim.

Pendergast zamilkł. Mężczyzna poruszył się na krześle.

D’Agosta, patrząc przez lustro weneckie, nie miał już wątpliwości, że więzień jest szalony. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie mógłby oprzeć się takiemu przesłuchaniu.

– We Florence nie ma lilii – rzekł półgłosem Pendergast.

D’Agosta i Spandau wymienili zdumione spojrzenia.

– Lilie – rzekł mężczyzna powoli, jakby smakował to słowo.

– Tak. Lilie. Cóż za cudowne kwiaty, nieprawdaż? Mają delikatny, wyjątkowy aromat.

Mężczyzna wychylił się do przodu. Pendergast wreszcie przykuł jego uwagę.

– Ale tego zapachu już nie ma, prawda?

Mężczyzna spiął się. Powoli pokręcił głową z boku na bok.

– Nie, to nie tak. Lilie wciąż tam są. Sam pan tak powiedział. Ale coś jest z nimi nie tak. Nie pachną.

– One cuchną – wymamrotał mężczyzna.

– Tak – powiedział Pendergast z dziwną mieszanką empatii i drwiny. – Nic nie cuchnie gorzej niż gnijący kwiat. Jaka woń się przy tym wydziela! – Nagle podniósł głos.

– Zrób coś, żebym przestał ją czuć! – wrzasnął mężczyzna.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział Pendergast, niespodziewanie zniżając głos do szeptu. – Nie będzie lilii w pańskiej celi we Florence. Ale

smród pozostanie. I będzie się nasilał w miarę postępowania rozkładu. Aż w końcu...

Ze zwierzęcym rykiem mężczyzna zerwał się z krzesła i rzucił ponad stołem na Pendergasta; palce dłoni zakutych w kajdanki wykrzywiły się w szpony, oczy przepełniła mordercza furia, z wykrzywionych wściekłością ust wylatywały drobinki piany i kropelki śliny. Wykonując szybki, zwinny unik, jak matador uchylający się przed atakiem szarżującego byka, Pendergast podniósł się z krzesła i uskoczył w bok. Dwaj strażnicy postąpili naprzód. Mieli paralizatory w gotowości i błyskawicznie obezwładnili napastnika. Mężczyzna zleź w końcu na blacie stołu, podrygując spazmatycznie, a w powietrzu zaczęły unosić się wąskie smużki dymu ulatujące w stronę mikrofonu i świetlówek na suficie. Pendergast stanął z boku, przyglądał się przez chwilę mężczyźnie, po czym odwrócił się i wyszedł.

Po chwili był już w pokoju obserwacyjnym i z wyraźnym rozdrażnieniem strzepywał z marynarki zabłąkany paproch.

– Cóż, Vincencie – powiedział – nie widzę sensu, abyśmy mieli pozostawać tu dłużej. Jak to się mówi? Obawiam się, że naszemu przyjacielowi brak siódmej klepki.

– Piątej klepki.

– Dziękuję. – Odwrócił się do Spandaua. – Raz jeszcze dziękuję, panie Spandau, za nieocenioną pomoc. Proszę mnie powiadomić, gdyby u osadzonego wystąpił okres przebłysku świadomości.

Spandau uścisnął dłoń agenta.

– Niezwłocznie pana o tym poinformuję.

Gdy opuścili więzienie, Pendergast wyjął komórkę i zaczął wybierać numer.

– Obawiałem się, że będziemy musieli wracać do Nowego Jorku nocnym lotem – powiedział. – Skoro jednak nasz przyjaciel okazał się tak oporny, mamy szansę zdążyć na wcześniejszy samolot. Sprawdzę to, jeśli nie masz nic przeciwko. Nie zdołamy niczego wyciągnąć z tego człowieka, ani teraz, ani, obawiam się, już nigdy.

D'Agosta wziął głęboki oddech.

– Czy mógłbyś mi łaskawie wyjaśnić, co, u licha, tam się wydarzyło?

– Co masz na myśli?

– Wszystkie te szalone pytania. O kwiaty, o lilie. Skąd wiedziałeś, że

zareaguje w taki sposób?

Pendergast przerwał wybieranie numeru i opuścił rękę, w której trzymał telefon.

– Powiedzmy, że miałem pewne podejrzenia.

– Tak, ale jak na to wpadłeś?

Pendergast odpowiedział dopiero po krótkiej chwili. A gdy się odezwał, jego głos brzmiał niemal jak szept.

– Bo widzisz, mój drogi Vincencie, nasz więzień nie jest jedyną osobą, która ostatnio zaczęła czuć zapach kwiatów.

Pendergast wślizgnął się do pokoju muzycznego w rezydencji przy Riverside Drive tak nagle, że zaskoczona Constance przestała grać na klawikordzie. Patrzyła, jak agent podchodzi do kredensu, odkłada olbrzymi plik papierów, wyjmując pękaty kieliszek, nalewa sporą porcję absyntu, przekłada ponad kieliszkiem specjalną wygiętą łyżeczkę, umieszcza na niej kostkę cukru, którą polewa odrobiną lodowato zimnej wody z karafki, a następnie zabiera papiery i idzie do jednego ze skórzanych foteli.

– Nie przestawaj grać przez wzgląd na mnie – powiedział.

Constance, zdziwiona jego oschłym, surowym tonem, powróciła do sonaty Scarlattiego. Widziała Pendergasta kątem oka, ale czuła, że coś jest nie tak. Agent pospiesznie wypił łyk absyntu i z brzękiem odstawił kieliszek, po czym znowu się napił, niemal opróżniając pękate naczynie. Jedną stopą tupał w perski dywan, nierówno, nie trzymając tempa z muzyką. Przejrzał papiery, które okazały się fragmentami starych traktatów naukowych, dzienników medycznych i wycinków z gazet, a potem odłożył je na bok. Gdy upił trzeci łyk absyntu, Constance przestała grać – to był piekielnie trudny utwór, wymagający absolutnego skupienia – i odwróciła się do niego.

– Wnioskuje, że wyprawa do Indio była rozczarowaniem – powiedziała.

Pendergast, który wpatrywał się teraz w jeden z oprawionych w ramki holografów, pokiwał głową, nie patrząc na nią.

– Ten mężczyzna nie zaczął mówić?

– Wręcz przeciwnie, okazał się bardzo gadatliwy.

Constance wygładziła przód spódnicy.

– I co?

– To był tylko bełkot.

– Co konkretnie powiedział?

– Jak już wspomniałem, to był bełkot.

Constance zaplotła ramiona.

– Chciałabym wiedzieć, co konkretnie powiedział.

Pendergast odwrócił się do niej, mrużąc srebrzyste oczy.

– Jesteś dziś wyjątkowo natarczywa.

Constance czekała.

– Ten mężczyzna mówił o kwiatach.

– O liliach?

Wahanie.

– Tak. Jak już wspomniałem, to był bezsensowny bełkot.

Constance znów ucichła. Żadne z nich nie odzywało się przez kilka minut. Pendergast wciąż bawił się kieliszkiem, dopił, wstał i podszedł do kredensu. Ponownie sięgnął po butelkę absyntu.

– Aloysiusie – odezwała się Constance. – Ten człowiek mógł mówić niezbornie, ale to na pewno nie był bezsensowny bełkot.

Ignorując ją, Pendergast zaczął szykować sobie następnego drinka.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać. To bardzo delikatna sprawa.

– Wobec tego miejmy to już za sobą – rzekł Pendergast, nalewając absynt na dno kieliszka i układając w poprzek jego górnej krawędzi łyżeczkę z uchwytem. – Gdzie ten cholerny cukier? – wymamrotał do siebie.

– Badałam historię twojej rodziny. Podczas naszego wczorajszego spotkania w sali z kolekcją broni palnej padło nazwisko doktora Evansa Padgetta. Znasz je?

Pendergast umieścił kostkę cukru na łyżeczce i zaczął po kropelce sączyć na nią zimną wodę.

– Nie lubię takiego dramatyizmu. Mów, co wiesz.

– Żona doktora Padgetta została otruta eliksirem twojego stryjecznego prapradziadka. Mężczyzna w więzieniu w Indio zdradza identyczne symptomy, jakie miała żona Padgetta i wszyscy inni, którzy zażywali patentowany lek Hezekiaha.

Pendergast wziął do ręki kieliszek z absyntem i upił spory łyk.

– Najwyraźniej osoba, która zamordowała technika z wydziału osteologii w muzeum – i która zaatakowała ciebie – ukradła kość długą ze szkieletu żony Padgetta. Po co? Może ten człowiek pracował dla kogoś, kto próbował odtworzyć eliksir? Z pewnością w kości musiały pozostać śladowe osady tej substancji.

– Które zgniły – wtrącił Pendergast.

– Obawiam się, że nie. Moje badania dotyczące tego eliksiru były bardzo skrupulatne. Wszystkie ofiary mówiły z początku o liliach, między innymi to spowodowało gwałtowny wzrost sprzedaży rzekomo leczniczej substancji. Kiedy ludzie zaczęli zażywać eliksir, zapach był ulotny, towarzyszyło mu uczucie zadowolenia, wewnętrznego spokoju i mentalnego ożywienia. Z czasem zapach przybierał na sile. Stawał się cięższy. Po kolejnych dawkach woń lilii zanikała, jakby kwiaty zaczynały więdnąć i gnić. Ofiara czuła rozdrażnienie, niepokój, nie mogła zasnąć. Wrażenie wewnętrznego zadowolenia zastępowały strach i zachowania obsesyjne z okresami nagłej apatii. Następne dawki eliksiru były bezużyteczne, a właściwie przyspieszały tylko i potęgowały cierpienia ofiary. Dochodziło do coraz częstszych wybuchów niekontrolowanej wściekłości z epizodami skrajnego letargu. Potem pojawiały się bóle głowy i stawów tak silne, że koniec końców ofiara prawie nie mogła się poruszać, bo każdy ruch sprawiał jej niewysłowione cierpienie. Ostatecznie... – Constance zawahała się – ostatecznie wyzwoleniem była śmierć.

Gdy Constance mówiła, Pendergast odstawił kieliszek i wstał. Zaczął krążyć po pokoju.

– Wiem wszystko o haniebnym postępkach mojego przodka.

– Jeszcze jedno: eliksir był przyjmowany w postaci wziewnej. Nie zażywało się go w kroplach czy pigułkach. Należało go wdychać.

Agent wciąż spacerował po pokoju.

– Z pewnością domyślasz się, do czego zmierzam – ciągnęła Constance.

Pendergast zbył jej słowa lekceważącym ruchem ręki.

– Aloysiusie, na miłość boską, zostałeś otruty tym samym eliksirem. Co więcej, najwyraźniej zaaplikowano ci stężoną dawkę tej substancji!

– Za bardzo podnosisz głos, Constance. To nieprzyjemne.

– Czy zaczęłaś czuć zapach lilii?

– To dość pospolity kwiat.

– Po naszym wczorajszym spotkaniu poprosiłam Margo, żeby przeprowadziła dalsze śledztwo. Ustaliła, że ktoś, bez wątplenia używając fałszywego nazwiska, interesował się eliksirem Hezekiaha i prowadził związane z tym badania w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej i w Nowojorskim Towarzystwie Historycznym.

Pendergast zatrzymał się. Usiadł w fotelu i wziął do ręki kieliszek. Rozparł

się wygodnie, napił i odstawił naczynie.

– Wybacz, że jestem taka bezpośrednia. Ale ktoś najwyraźniej postanowił wziąć na tobie odwet za grzechy twojego przodka.

Pendergast zdawał się jej nie słyszeć. Dopił resztkę absyntu i zaczął szykować kolejną porcję.

– Musisz niezwłocznie się ratować albo skończysz jak ten człowiek w Kalifornii.

– Nie ma dla mnie innego ratunku – odrzekł oschle Pendergast – oprócz tego, co sam mogę dla siebie zrobić. I będę ci wdzięczny, jeśli nie będziesz próbowała ingerować w moje śledztwa.

Constance wstała z ławeczki i postąpiła krok w jego stronę.

– Drogi Aloysiusie. Niedawno w tym pokoju nazwałeś mnie swoją wyrocznią. Pozwól, żebym dalej odgrywała tę rolę. Twój stan się pogarsza. Widzę to. Możemy ci pomóc, my wszyscy. Oszukiwanie samego siebie będzie fatalne w...

– Oszukiwanie samego siebie? – Pendergast wybuchnął drwiącym śmiechem. – Nikt nikogo nie oszukuje. Doskonale zdaję sobie sprawę ze swojego stanu. Myślisz, że nie uczyniłem wszystkiego, co w mojej mocy, by jakoś zaradzić tej sytuacji?

Sięgnął po stertę papierów i cisnął je w kąt.

– Jeśli mój przodek Hezekiah, którego żona umarła wskutek zażycia tego eliksiru, nie był w stanie znaleźć lekarstwa... to jak mnie mogłoby się to udać? Mam dość tego, że stale mieszasz się w moje sprawy. To prawda, że nazwałem cię swoją wyrocznią. Teraz jednak stajesz się kulą u mojej nogi. Jesteś kobietą cierpiącą na idée fixe, czemu dramatycznie dałaś wyraz, wrzucając swojego kochanka do wulkanu Stromboli.

W Constance zaszła zmiana. Jej ciało gwałtownie zeszywniało. Palce rozluźniły się i wyprostowały, jeden raz. W fiołkowych oczach rozbłysły groźne iskry. Powietrze wokół niej dziwnie zgęstniało. Zmiana była tak nagła i podszyta tak złowrogą aurą, że Pendergast, sięgając ponownie po kieliszek, drgnął mimowolnie i wylał sobie trochę absyntu na rękę.

– Gdyby coś takiego powiedział mi jakikolwiek inny mężczyzna – wycedziła półgłosem – nie dożyłby poranka.

Odwróciła się i wyszła z pokoju.

– Poruczniku, ktoś do pana.

Peter Angler uniósł wzrok znad pliku wydruków leżących na jego biurku i spojrzał pytająco na swojego asystenta, sierżanta Slade’a, który pojawił się w drzwiach.

– Kto taki?

– Syn marnotrawny – odrzekł Slade, uśmiechając się pod nosem, i usunął się na bok.

Po chwili w drzwiach pojawiła się ascetyczna sylwetka agenta specjalnego Pendergasta.

Angler skutecznie ukrył zdziwienie. Bez słowa zaprosił Pendergasta, by usiadł. Agent wyglądał inaczej; Angler od razu wyczuł, że coś jest nie tak. Nie potrafił tego sprecyzować, ale miało to coś wspólnego z błyszczącymi oczami, które wydawały się niesamowicie jasne mimo jak zwykle bladej cery Pendergasta.

Odchylił się wygodniej w fotelu, odsuwając się od wydruków. Miał już dość prób dotarcia do enigmatycznego agenta – niech teraz on zacznie mówić pierwszy.

– Chciałem pogratulować, poruczniku, pańskiego inspirującego odkrycia – zaczął Pendergast. – Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, aby poszukiwać anagramu nazwiska mojego syna na listach pasażerów przylatujących z Brazylii do Stanów. Zupełnie jakby Alban traktował to niczym grę.

Oczywiście, że nie przyszłoby ci to na myśl, stwierdził w duchu Angler; umysł Pendergasta pracował bowiem inaczej. Przez chwilę porucznik zastanawiał się, czy Alban Pendergast mógł być inteligentniejszy niż jego ojciec.

– Zaciekawilo mnie – ciągnął Pendergast – którego dnia Alban przyleciał do Nowego Jorku?

– Czwartego czerwca – odparł Angler. – Na pokładzie samolotu linii Air

Brazil z Rio.

– Czwartego czerwca – powtórzył jakby do siebie Pendergast. – Na tydzień przed swoją śmiercią. – Znow przeniósł wzrok na Anglera. – Oczywiście gdy odkrył pan ten anagram, nie omieszkał pan raz jeszcze sprawdzić wszystkich list?

– Naturalnie.

– I znalazł pan coś jeszcze?

Przez chwilę Angler miał chęć zastosować wobec Pendergasta jego własną taktykę i ukryć przed nim prawdę. Ale nie był takim policjantem.

– Jeszcze nie. Jednak wciąż to sprawdzamy. Do przejrzania jest mnóstwo list pasażerów, a nie wszystkie, zwłaszcza te należące do zagranicznych przewoźników, są starannie uporządkowane.

– Rozumiem. – Pendergast sprawiał wrażenie, jakby przez moment nad czymś się zamyślił. – Poruczniku, pragnę przeprosić, że w przeszłości nie byłem wobec pana szczery i chętny do współpracy, jak mógł pan tego oczekiwać. Wydawało mi się wówczas, że osiągnę lepsze efekty i szybciej rozwikłam zagadkę śmierci swojego syna, jeśli poprowadzę to dochodzenie sam, na własną rękę.

Innymi słowy, uznałeś mnie za skończonego kretyna i zapewne takie samo zdanie masz o większości służących w policji funkcjonariuszy, pomyślał Angler.

– Muszę przyznać, że byłem w błędzie. Pomyliłem się i żeby naprawić ten błąd, chciałem podzielić się z panem wszystkimi informacjami, jakie udało mi się do tej pory pozyskać.

Angler wykonał drobny gest prawą ręką, prosząc w ten sposób Pendergasta, aby kontynuował. W głębi gabinetu wciąż stał sierżant Slade, w kompletnym milczeniu, jak to miał w zwyczaju, przysłuchując się uważnie wszystkiemu.

Pendergast krótko i zwięźle opowiedział Anglerowi historię o kopalni turkusów, pułapce i związku między tą sprawą a zabójstwem technika z Muzeum Historii Naturalnej. Angler słuchał z coraz większym zdumieniem, rozdrażnieniem, a nawet złością, że Pendergast zataił przed nim to wszystko. Jednakże te informacje mogły okazać się bardzo przydatne. Pozwolą spojrzeć na śledztwo z nowej perspektywy, ujawniając świeże tropy, jeżeli oczywiście to wszystko było wiarygodne. Angler słuchał, nie zdradzając

żadnych emocji i zachowując pokerową twarz.

Pendergast dokończył opowieść i zamilkł, spoglądając na Anglera, jakby oczekiwał od niego odpowiedzi. Nie doczekał się. Wreszcie, po dłuższej chwili wstał.

– Tak czy inaczej, poruczniku, to wszystko, co w tej sprawie udało mi się ustalić. Dzielę się tym z panem w duchu współpracy. Gdybym mógł jeszcze w jakiś sposób pomóc, proszę dać mi znać.

Dopiero teraz Angler poruszył się na fotelu.

– Dziękuję, agencie Pendergast. Odezwiemy się.

Pendergast skinął kurtuazyjnie głową i wyszedł z gabinetu.

Angler siedział na fotelu odsuniętym od biurka. Wreszcie odwrócił się do Slade'a i gestem przywołał go do siebie. Sierżant zamknął drzwi i zajął miejsce zwolnione przez Pendergasta.

Angler przez krótką chwilę przyglądał się asystentowi. Mężczyzna był niski, ciemnowłosy, ponury i wyjątkowo przenikliwy w rozszyfrowywaniu ludzkiej natury. Był także najbardziej cynicznym człowiekiem, którego Angler miał okazję poznać, i te cechy czyniły go wyjątkowym doradcą.

– I co o tym myślisz? – zapytał.

– Nie mogę uwierzyć, że ten sukinsyn tak długo zatajał przed nami to wszystko.

– Tak. Wobec tego czemu akurat teraz postanowił odkryć karty? Dlaczego, choć do tej pory robił co mógł, żeby nie ujawnić przede mną więcej niż kilka marnych strzępków informacji, zjawia się tu nagle, z własnej woli i wyznaje wszystko jak na spowiedzi?

– Możliwości są dwie – odparł Slade. – Po pierwsze, chce czegoś.

– A po drugie?

– Wcale tak nie jest.

– Czyli że co?

– Czyli że wcale nie wyjawiał nam wszystkiego.

Angler zachichotał.

– Sierżancie, podoba mi się to, jak pracuje wasz umysł.

Przerwał.

– To zbyt piękne, aby było prawdziwe. Ta nagła zmiana frontu i nieoczekiwana chęć współpracy, i do tego ta historia o kopalni turkusów, pułapce i tajemniczym napastniku.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – powiedział Slade, wkładając do ust kawałek lukrecji (zawsze miał ich kilka przy sobie, poupychane w kieszeniach), po czym wrzucił zmięte opakowanie do kosza na śmieci. – Wierzę w jego historię, choć wydaje się naciągana i nieprawdopodobna. Sęć w tym, że jest w niej coś jeszcze, czego nam nie powiedział.

Angler wlepił wzrok w blat biurka i zamyślił się. Po chwili uniósł wzrok.

– W takim razie czego on chce?

– To był strzał w ciemno. Chciał się dowiedzieć, co udało się nam ustalić, jeżeli chodzi o poczynania jego syna.

– Co oznacza, że sam nie wie jeszcze wszystkiego o poczynaniach swojego syna.

– A może wie. I udając zainteresowanie, chce nas skierować na fałszywe tory. – Slade uśmiechnął się krzywo, żując zawzięcie.

Angler usiadł prosto, przysunął do siebie kartkę papieru i zrobił pospiesznie kilka notatek, stenografując. Lubił stenografować, nie tylko dlatego, że tak było szybciej, ale dlatego, że ten rodzaj zapisu wyszedł z obiegu i jego notatki były bezpieczne co najmniej tak, jakby zostały zaszyfrowane. Gdy skończył, odłożył kartkę na bok.

– Wyślę do Kalifornii ekipę, żeby sprawdziła kopalnię i przesłuchała mężczyznę w więzieniu w Indio. Skontaktuję się też z D'Agostą i zdobędę wszystkie akta dotyczące śledztwa w muzeum. A na razie chciałbym, żebyś dyskretnie wyszperał wszystko, co uda ci się znaleźć na temat Pendergasta. Całą jego historię, listę aresztowań, jakich dokonał, spis osób, które dzięki niemu trafiły za kratki, pochwały, nagany, wszystko, do czego dasz radę się dokopać. Masz paru kumpli w FBI. Zaprosz ich do knajpy. Nie lekceważ plotek. Chcę poznać tego faceta od podszewki.

Slade uśmiechnął się powoli. Taką właśnie robotę uwielbiał. Wstał i wyszedł bez słowa.

Angler znów usiadł wygodnie w fotelu, opierając dłonie za głowę i wlepiając wzrok w sufit. W myślach odtwarzał wcześniejsze spotkania z Pendergastem, a zwłaszcza pierwszą wizytę agenta w tym gabinecie, kiedy agent jasno i wyraźnie okazał mu niechęć do jakiegokolwiek współpracy. Potem spotkanie przy autopsji i kolejne, w magazynie dowodów rzeczowych, gdy Pendergast sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie obchodziło go schwytanie zabójcy syna. I dzisiejszą wizytę, podczas której

nagle zmienił się w uosobienie szczerości. Ta zmiana przywołała Anglerowi na myśl najpopularniejszy temat wielu greckich mitów, które znał tak dobrze, a którym była ni mniej, ni więcej, tylko zdrada. Atreus i Tiestes. Agamemnon i Klitajmestra. Wpatrując się w sufit, zdał sobie sprawę, że choć w ostatnich tygodniach Pendergast wzbudzał w nim przede wszystkim złość i powątpiewanie, to cały czas w jego wnętrzu kiełkowało powoli całkiem inne odczucie.

Mroczne podejrzenie.

W pokoju o barwie wydmy piaskowej na najwyższym piętrze Konsulatu Stanów Zjednoczonych w Rio de Janeiro agent specjalny Pendergast chodził niespokojnie w tę i z powrotem. Pokój był nieduży, urządzone spartańsko, z jednym biurkiem, paroma krzesłami i obowiązkowymi fotografiami prezydenta, wiceprezydenta oraz sekretarza stanu wiszącymi równo na jednej ze ścian. Klimatyzator w oknie rzeził i przeraźliwie dygotał. Lot z Nowego Jorku i pospieszne przygotowania do podróży bardzo zmęczyły agenta, dlatego od czasu do czasu przystawał, żeby złapać się oparcia krzesła i zaczerpnąć kilka głębszych oddechów. Po czym znów zaczynał dreptać, wyglądając raz po raz przez okno, z którego rozpościerał się widok na zbcze usłane mrowiem tandetnych szafasów i chat o identycznych beżowych dachach, lecz ze ścianami w najróżniejszych, nierzadko gryzących się wzajemnie kolorach jaśniejących w porannym słońcu. Jeszcze dalej można było dostrzec roziskrzony wody Zatoki Guanabara, a za nią Głowę Cukru.

Drzwi otworzyły się i do środka weszły dwie osoby. Pierwszą był mężczyzna, którego Pendergast rozpoznał jako agenta CIA z sektora Y, ubrany w stonowany garnitur, typowy dla biznesmena. Towarzyszył mu niższy, krępy mężczyzna w mundurze ozdobionym epoletami, baretkami i orderami.

Agent CIA zachowywał się tak, jakby nigdy wcześniej nie spotkał Pendergasta. Podeszedł do niego, wyciągając rękę.

– Jestem Charles Smith, asystent konsula generalnego, a to pułkownik Azevedo z ABIN, Brazylijskiej Agencji Wywiadowczej.

Pendergast uściskał im dłonie, po czym wszyscy mężczyźni usiedli. Nie pokazał swoich dokumentów, najwyraźniej nie było to konieczne. Zauważył, że Smith wpatruje się w blat biurka. Pendergast zastanawiał się, kiedy po raz ostatni ten człowiek miał okazję pełnić tego rodzaju misję pod przykrywką.

– Jestem poniekąd obeznany z pańską sytuacją – rzekł Smith. – Poprosiłem pułkownika Azevedo, żeby zechciał oddać się do naszej dyspozycji.

Pendergast podziękował skinieniem głowy.

– Jestem tutaj w związku z Operacją Wildfire – oznajmił.

– Oczywiście – rzekł Smith. – Może zechciałby pan wtajemniczyć pułkownika Azevedo w szczegóły.

Pendergast odwrócił się do pułkownika.

– Celem Operacji Wildfire było wykorzystanie zarówno amerykańskich, jak i zagranicznych zasobów do poszukiwania jakichkolwiek oznak ponownego pojawienia się osoby będącej w kręgu zainteresowania Langley – i moim – która zniknęła w brazylijskiej dżungli osiemnaście miesięcy temu.

Azevedo pokiwał głową.

– Ciało tej osoby podrzucono dwa tygodnie temu pod drzwi mojego domu w Nowym Jorku. Wiadomość została przesłana. Jestem tu, by dowiedzieć się, kto wysłał tę wiadomość, dlaczego to zrobił i co chciał mi w ten sposób przekazać.

Azevedo wyglądał na zaskoczonego, Smith nie.

– Ten człowiek przyleciał z Rio do Nowego Jorku czwartego czerwca, posługując się fałszywym brazylijskim paszportem – ciągnął Pendergast. – Używał nazwiska Tapanes Landberg. Czy to nazwisko coś panu mówi, pułkowniku?

Mężczyzna odparł, że nie.

– Muszę prześledzić jego poczynania tutaj z okresu ostatnich osiemnastu miesięcy. – Pendergast przetarł czoło wierzchem dłoni. – Wiele roboczogodzin i mnóstwo ściśle tajnych technologii zostało wykorzystanych podczas poszukiwań tej osoby. A jednak Operacja Wildfire nie przyniosła żadnego rezultatu. Jak to możliwe? Jakim cudem ten człowiek był w stanie uniknąć wykrycia tu, w Brazylii, przez prawie półtora roku, a przynajmniej przez czas, jaki tu spędził?

Pułkownik Azevedo wreszcie się odezwał.

– Coś takiego jest możliwe.

Pomimo potężnej postury miał łagodny, niemal miękki głos i mówił po angielsku doskonale, prawie bez śladu akcentu.

– Jeżeli zakładamy, że ten człowiek przebywał w Brazylii – co bardzo

prawdopodobne, zważywszy na to, co pan przed chwilą powiedział – to są tylko dwa miejsca, gdzie mógł się ukryć: dzungla... albo fawele.

– Fawele – powtórzył Pendergast.

– Tak, *senhor* Pendergast. Słyszał pan o nich? To jeden z naszych największych problemów społecznych. Albo raczej jedna z największych społecznych plag. Ufortyfikowane slumsy nadzorowane przez handlarzy narkotyków i odcięte od reszty miasta. Nielegalnie pobierają wodę i prąd, ustalają swoje prawa, wymuszają dyscyplinę, bronią swoich granic, zabijają członków konkurencyjnych gangów, prześladują mieszkańców. Są jak skorumpowane nieduże lenna, państwa w państwie. W fawelach nie ma policji ani kamer monitoringu. Ktoś, kto chciałby zniknąć, mógłby rozpląnąć się tam bez śladu – i wielu ludzi faktycznie tam przepadło. Jeszcze parę lat temu w okolicach Rio było mnóstwo faweli. Jednak w miarę jak zbliżał się dzień otwarcia igrzysk olimpijskich, rząd zabrał się do działania. BOPE i Unidade de Polícia Pacificadora zaczęły przeprowadzać naloty na fawele i pacyfikować je po kolei. Nie zaprzestaną swoich działań, dopóki nie uporają się ze wszystkimi fawelami. – Azevedo przerwał. – To znaczy ze wszystkimi z wyjątkiem jednej, której nie ośmieli się tknąć wojsko ani nawet UPP. Nosi nazwę Cidade dos Anjos – Miasto Aniołów.

– Dlaczego to miejsce jest traktowane w sposób szczególny?

Pułkownik uśmiechnął się ponuro.

– To największa, najbardziej brutalna i najpotężniejsza z wszystkich faweli. Baroni narkotykowi, którzy ją nadzorują, są bezwzględni i nieustraszeni. Aby nie być gołosłownym: półtora roku temu najechali bazę wojskową i zbiegli stamtąd z tysiącami sztuk broni i amunicji. Zabrali karabiny maszynowe kaliber pięćdziesiąt, granaty, ręczne granatniki przeciwpancerne, moździerz, wyrzutnie rakiet, ba, nawet pociski typu ziemia–powietrze.

Pendergast zmarszczył brwi.

– Moim zdaniem tym bardziej powinno się oczyścić to miejsce.

– Patrzy pan na tę sytuację z perspektywy człowieka z zewnątrz. Fawele toczą wojny między sobą, nie nękają reszty populacji. Przeprowadzenie akcji pacyfikacyjnej w Cidade dos Anjos byłoby bardzo krwawą operacją okupioną olbrzymimi stratami wśród biorących w niej udział żołnierzy i policjantów z sił specjalnych. Żadna z innych faweli nie rzuci wyzwania Miastu Aniołów.

Z czasem inne fawele przestaną istnieć. Po co więc zakłócać naturalny porządek rzeczy? Lepszy znany wróg niż taki, którego się nie zna.

– Osoba, o której mówimy, znikła w dżungli półtora roku temu – rzekł Pendergast. – Wątpię jednak, aby pozostała tam długo.

– No cóż, panie Pendergast – odezwał się agent CIA. – Wygląda na to, że jest tylko jedna możliwa odpowiedź wyjaśniająca, w jaki sposób pan Tapanes Landberg stał się niewidzialny. – Uśmiechnął się delikatnie.

Pendergast wstał.

– Dziękuję wam, panowie.

Pułkownik Azevedo otaksował go wzrokiem.

– *Senhor* Pendergast, boję się nawet myśleć, jakie będzie pańskie następne posunięcie.

– Z uwagi na protokół dyplomatyczny nie mogę panu towarzyszyć – rzekł agent CIA.

Pendergast pokiwał tylko głową i odwrócił się w stronę drzwi.

– Gdyby chodziło o jakiegokolwiek inne miejsce, przydzielilibyśmy panu wojskową eskortę – dodał pułkownik. – Ale jeśli zamierza pan wybrać się tam, mogę jedynie dać panu dobrą radę: proszę najpierw uporządkować swoje sprawy.

Pendergast leżał w ubraniu na królewskim łożu w apartamencie hotelu Copacabana Palace. Światła były zgaszone i chociaż właśnie dochodziło południe, w pokoju panowała ciemność. Cichy szum fal od strony plaży Copacabana przesączał się przez zamknięte okna i opuszczone żaluzje.

Kiedy tak pozostawał w niemal całkowitym bezruchu, jego ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze, prawie jak podczas ataku, i z każdą chwilą coraz bardziej przybierały na sile. Mocno zacisnął powieki i zwinął dłonie w pięści, wykorzystując całą siłę woli, aby przewyciężyć nieoczekiwany atak. Po kilku minutach dreszcze zaczęły słabnąć. Ale nie ustały zupełnie.

– Pokonam to – wymamrotał pod nosem.

Na początku, gdy po raz pierwszy zauważył u siebie pewne symptomy, łudził się jeszcze nadzieją, że znajdzie sposób, by je przewyciężyć. Kiedy nie odnalazł odpowiedzi w przeszłości, zajął się przeszukiwaniem teraźniejszości, licząc, że zdoła odkryć metody swojego dręczyciela. Im bardziej jednak pojmował diabelską złożoność planu mającego na celu zaaplikowanie mu trucizny i im dłużej zastanawiał się nad historią swojego przodka Hezekiaha i jego nieszczęsnej żony, tym dobitniej uświadamiał sobie, że jego nadzieje były złudne, że w okrutny sposób oszukuje sam siebie. Do działania pchała go teraz paląca potrzeba doprowadzenia tego śledztwa – które z każdym dniem coraz bardziej wydawało się jego ostatnim dochodzeniem – do końca... dopóki miał jeszcze czas.

Powrócił myślami do porannego spotkania i słów brazylijskiego pułkownika. *Są tylko dwa miejsca, gdzie mógł się ukryć*, powiedział o Albanie. *Dżungla... albo fawele.*

W głowie Pendergasta rozbrzmiały też inne słowa. Te, które usłyszał od Albana na pożegnanie tamtego dnia, osiemnaście miesięcy temu, gdy pospiesznie odchodził w głąb brazylijskiej dżungli. *Mam długie, produktywne życie przed sobą. Jak to się mówi, świat stoi przede mną otworem, i mogę ci obiecać, że*

stanie się znacznie ciekawszym miejscem, kiedy będę mógł nadal w nim funkcjonować.

Pendergast wspominał scenę pożegnania, przywołując w pamięci najdrobniejsze szczegóły tego niezwykłego wydarzenia.

Oczywiście wiedział, że jego syn początek tych osiemnastu miesięcy spędził w brazylijskiej dżungli – na własne oczy widział Albana znikającego wśród drzew. Ale, jak powiedział pułkownikowi, był przekonany, że Alban nie pozostał tam długo. Nie było tam dość rzeczy, które mogły go zainteresować, zaspokoić potrzebę rozrywki i, co istotne, pomóc w tworzeniu nowych misternie złożonych planów. Alban nie wrócił do Novej Godói, miasta, gdzie przyszedł na świat, które obecnie znajdowało się w rękach brazylijskiego rządu i było pod kontrolą wojska. Zresztą nie miał tam już czego szukać – wszystko zostało zniszczone, naukowcy, żołnierze i młodzi przywódcy zginęli, trafili do więzienia, przeszli do drugiego obozu albo rozpierchli się na wszystkie strony świata. Im dłużej Pendergast się nad tym zastanawiał, tym bardziej był pewien, że Alban raczej prędzej niż później musiał wyjść z dżungli – i wślizgnął się na teren faweli.

Dla niego byłoby to idealne miejsce. Zero policji, którą musiałby się przejmować, zero kamer monitoringu, żadnej ochrony czy agentów wywiadu śledzących każdy jego krok. Ze swoim przenikliwym umysłem ten geniusz zbrodni i bezlitosny socjopata mógł mieć wiele do zaoferowania narkotykowym baronom kierującym fawelą. To wszystko zapewniłoby mu czas i miejsce, jakich potrzebował, żeby zrealizować własne plany na przyszłość.

Świat stoi przede mną otworem i mogę ci obiecać, że stanie się znacznie ciekawszym miejscem, kiedy będę mógł nadal w nim funkcjonować.

Pendergast nie miał również wątpliwości, którą fawelę wybrał Alban. Zawsze decydował się na to, co największe i najlepsze dla niego.

Rodziły się jednak inne pytania. Co stało się z Albanem w Mieście Aniołów? Jaki dziwny cel podróży sprowadził Albana z faweli pod drzwi nowojorskiej rezydencji? I jaki był związek pomiędzy nim a atakiem na Pendergasta w kurorcie nad brzegami Salton Sea?

Boję się myśleć, jakie będzie pańskie następne posunięcie. Ale następne posunięcie było oczywiste.

Pendergast wziął kilka głębokich, drżących oddechów. Potem podniósł się

z łóżka i opuścił stopy na podłogę. Pokój wokół niego zawirował, a dreszcze zmieniły się w bolesne, spazmatyczne skurcze mięśni, które dopiero po dłuższej chwili zaczęły mijać. Agent zaczął przyjmować całą masę leków, które sam sobie zaordynował, między innymi atropinę, chelatory, glukagon oraz środki przeciwbólowe, które miały pomóc mu przetrwać ataki pojawiające się coraz częściej i coraz bardziej przybierające na sile. Ale właściwie działał po omacku i jak dotąd nie przynosiły mu ukojenia.

Zaczekał, aż minie drugi skurcz, i podszedł do biurka pod przeciwległą ścianą. Na blacie znajdowały się przybory toaletowe i kabura ze służbową bronią, czy też raczej w jego wypadku z wykonanym na zamówienie lesbaerem kaliber czterdzieści pięć. Obok pistoletu leżało kilka zapasowych magazynków.

Agent usiadł przy biurku i wyjął broń z kabury. Nie miał trudności z wwiezieniem jej do Brazylii, zgłosił ją po prostu na lotnisku Kennedy'ego w stanowisku ochrony, postępując zgodnie ze standardowymi procedurami, i miał przy sobie zezwolenia na posiadanie broni palnej w kilku obcych krajach. Nie przeszedł przez skaner, nie przepuścił też pistoletu przez bramkę rentgenowską.

Zresztą taka kontrola i tak nic by nie wykazała.

Uspokajając palce, Pendergast uniósł broń, sięgnął do lufy i paznokciami wyjął z niej małą gumową zatyczkę. Potem, kierując lufę do dołu, ostrożnie wysunął ze środka miniaturową strzykawkę i kilka igieł. Nasadził jedną igłę na wylot strzykawki i odłożył na bok.

Następnie skupił uwagę na jednym z zapasowych magazynków. Wyłuskał górny nabój i niedużymi szczypczykami wyjętymi z kieszeni marynarki ostrożnie usunął kulę z łuski. Sięgnął do szuflady po kartkę papieru, odwrócił łuskę i wysypał jej zawartość. Zamiast prochu strzelniczego na kartce pojawił się drobny biały proszek.

Wierzchem dłoni Pendergast odsunął na bok pustą łuskę i bezużyteczny ołowiany pocisk. Z kosmetyczki wyjął dwie fiołki pigułek na receptę. Jedna zawierała mieszankę dwóch półsyntetycznych opiatów na uśmierzanie bólu, druga – środek rozluźniający mięśnie. Na kartce papieru położył po dwie pigułki z każdej buteleczki i zgniótł je na proch łyżeczką, którą zabrał z leżącej nieopodal tacy serwisu obsługi hotelowej.

Teraz na kartce były trzy małe stosiki. Pendergast starannie zmieszał je

i nabrał sproszkowaną substancję na łyżeczkę. Wyjął z przyborów toaletowych zapalniczkę, podłożył ją pod łyżeczkę i zapalił. Pod wpływem ciepła mieszanka zaczęła ciemnieć, bulgotać i roztopiać się.

Pendergast upuścił zapalniczkę na biurko i ujął łyżeczkę obiema rękami, gdy jego ciałem wstrząsnął kolejny bolesny skurcz. Odczekał minutę, aby toksyczna, niebezpieczna mikstura ostygła. A potem włożył koniec igły do płynu i napełnił strzykawkę. Cicho westchnął, gdy pusta już łyżeczka wylądowała na blacie; najtrudniejsze zadanie zostało wykonane. Ostatni raz sięgnął do kosmetyczki i wyjął z niej kawałek gumowej rurki. Podciągnął jeden rękaw, obwiązał kauczukową rurką rękę powyżej łokcia, zacisnął pięść i zębami mocno zaciągnął końce rurki.

W zgięciu pojawiła się żyła.

Trzymając ostrożnie końce rurki zębami, wolną ręką ujął strzykawkę. Wykonywał kolejne czynności tak, żeby zdążyć pomiędzy kolejnymi skurczami; wprowadził igłę do żyły i powoli, delikatnie nacisnął tłok.

Pozwolił powiekom opaść i siedział tak kilka minut z igłą w żyłę. Gdy otworzył oczy, wyjął strzykawkę z ciała i odłożył ją na bok. Wziął płytki oddech, ostrożnie, jak miłośnik kąpieli sprawdzający temperaturę wody.

Ból zniknął. Skurcze ustały. Pendergast był słaby, dezorientowany, ale mógł funkcjonować.

Leniwie, jak staruszek budzący się ze snu, podniósł się z krzesła. Potem nałożył kaburę podramienną i marynarkę. Następnie schował legitymację służbową i odznakę FBI do sejfku, zatrzymując jedynie paszport i portfel. Raz jeszcze rozejrzał się dokoła i opuścił hotelowy pokój.

Wejście do Miasta Aniołów znajdowało się na końcu wąskiego zaułka przy jednej z uliczek Rio w Zona Norte. Na pierwszy rzut oka fawela nie różniła się od przylegającego do niej obszaru Tijuca. Było tam pełno prostych, szpetnych, dwu-, trzypiętrowych budyneczków przypominających pudełka z betonu, stojących ciasno jeden przy drugim ponad labiryntem ulic, które swoją złożonością i meandrycznym układem przywodziły na myśl ulice w średniowieczu. Najbliższe zabudowania miały szary kolor, ale te dalej na północ i wyżej na zboczu rozległego miasteczka nędzy, ponad którymi niebo zasnuwane było falującymi smużkami dymu ze znajdujących się w środku palenisk, miały inne barwy, oscylujące od różnych odcieni zieleni po kolor terakoty. Dopiero gdy Pendergast zauważył dwóch nastolatków siedzących leniwie na pustych beczkach po benzynie i ubranych w szorty oraz hawajskie klapki, z pistoletami maszynowymi zawieszonymi na nagich ramionach, zdał sobie sprawę, że znalazł się u wejścia do zupełnie innej części Rio de Janeiro.

Przystanął w zaułku i zachwiał się lekko. Narkotyki, jakie zażył, choć konieczne do zrealizowania jego misji, przyćmiły mu umysł i spowolniły reakcje. W jego obecnym stanie jakakolwiek próba charakteryzacji czy kamuflażu byłaby zbyt ryzykowna. Pendergast znał jedynie kilka słów po portugalsku i nie byłby w stanie opanować po mistrzowsku dialektów, jakimi posługiwano się w fawelach. Gdyby handlarze narkotyków albo ich strażnicy w Cidade dos Anjos uznali go za tajniaka, zostałby natychmiast zabity. Nie miał innego wyjścia, jak udać się na miejsce bez jakiegokolwiek przebrania, dzięki czemu wyróżniał się i rzucał w oczy.

Podszedł do nastolatków, którzy obserwowali go spod przymrużonych powiek, w bezruchu. Powyżej, nad ulicą przewody elektryczne i telewizyjne przecinały się tak gęsto, że spowijały ten fragment zaułka w nieustannym półmroku; były ciężkie, zwieszały się nad asfaltem niczym wielka złowroga

pajęczyna. Na ulicy panował okropny skwar, w powietrzu czuć było woń śmieci, psich odchodów i kwaśnego dymu. Gdy Pendergast podszedł, nastolatki, choć nie wstali z beczki po paliwie, na której siedzieli, zsunęli z ramion paski pistoletów maszynowych i wzięli broń do rąk. Nie próbowali ich minąć, ale zbliżył się do starszego z dwóch chłopaków.

Ten – nie miał więcej niż szesnaście lat – otaksował agenta wzrokiem z mieszaniną zaciekawienia, wrogości i pogardy. W dusznym skwarze Pendergast ubrany w czarny garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat wyglądał jak przybysz z obcej planety.

– *Onde você vai, gringo?* – zapytał groźnie.

Jednocześnie drugi chłopak, wyższy, z ogoloną na łyso głową, zsunął się z beczki i unosząc pistolet maszynowy, jakby od niechcenia wymierzył w Pendergasta.

– *Meu filho* – rzekł Pendergast. – Mój syn.

Chłopak parsknął drwiąco i wymienił spojrzenie ze swoim kompanem. Bez wątpienia był to częsty widok: ojciec szukający zaginionego syna, który zszedł na złą drogę. Łysy najwyraźniej miał ochotę rozwalić Pendergasta bez zadawania żadnych zbędnych pytań. Ten niższy jednak, który miał od niego wyższą pozycję, lufą broni dał Pendergastowi znak, żeby uniósł ręce. Pendergast wykonał polecenie, a łysy go obszukał. Zabrano mu paszport, a potem portfel. Niewielka suma, jaką agent miał w portfelu, została wyjęta i natychmiast rozdzielona. Kiedy stojący na czujce nastolatki natknęli się na les baera, wybuchła między nimi sprzeczka. Niższy wyrwał pistolet łysemu i podsunął broń pod nos Pendergastowi, zadając gniewne pytania po portugalsku. Ten wzruszył ramionami.

– *Meu filho* – powtórzył.

Spór trwał, na ulicy zebrała się niewielka grupka ciekawskich. Wyglądało na to, że łysy może jednak postawić na swoim. Sięgając do sekretnej wewnętrznej kieszeni marynarki, Pendergast wyjął plik banknotów – tysiąc reali brazylijskich – i podał niższemu.

– *Meu filho* – powiedział spokojnym, niegroźnym tonem.

Chłopak spojrział na pieniądze, ale ich nie wziął.

Pendergast znów sięgnął do kieszeni, wyjął jeszcze tysiąc reali. Dwa tysiące reali brazylijskich – tysiąc dolarów – w takiej społeczności jak ta było sporą kwotą.

– *Por favor* – rzekł, delikatnie wymachując banknotami przed twarzą chłopaka. – *Deixe-me entrar*.

Chłopak skrzywił się i gwałtownym ruchem wyrwał banknoty z ręki agenta.

– *Porra* – wymamrotał.

To wywołało kolejną gwałtowną reakcję łysego, który najwyraźniej miał ochotę po prostu zastrzelić Pendergasta i zabrać jego pieniądze. Niższy jednak uciszył go potokiem inwektyw. Oddał Pendergastowi paszport i portfel, zatrzymując pistolet.

– *Sai da aqui* – powiedział, zbywając agenta machnięciem ręki. – *Fila da puta*.

– *Obrigado*.

Gdy Pendergast minął prowizoryczny punkt kontrolny, kątem oka dostrzegł, że łysy odłączył się od reszty grupy i zniknął w zaułku.

Zaczął pięć się pod górę główną ulicą, która szybko rozdzieliła się w prawdziwy labirynt jeszcze węższych zagmatwanych przejść – schodziły się, rozchodziły i skręcały pod dziwnymi kątami, a niekiedy nagle kończyły ślepyimi zaułkami. Ludzie przyglądali mu się w milczeniu, gdy ich mijał, niektórzy z zaciekawieniem, inni z podejrzliwością. Od czasu do czasu przystawał, żeby zapytać kogoś o *meu filho*, ale witany był zawsze szybkim, stanowczym, przeczącym ruchem głowy, a osoby, które starał się zagadnąć, mijały go bez słowa, oddalając się pospiesznie, jakby nie chciały mieć nic wspólnego z tym mamrocącym do siebie szaleńcem.

Próbując przezwyciężyć otępiający wpływ narkotyków, Pendergast wyteżył zmysły. Musiał zrozumieć. Uliczki były względnie czyste, tu i ówdzie przechadzała się kura albo ukradkiem przemykał wychudzony pies. Oprócz dwóch strażników nie zauważył nikogo, kto byłby uzbrojony, nie natknął się też na żadną transakcję narkotykową ani jakąkolwiek inną działalność o charakterze przestępczym. Przeciwnie, w tej faweli panował większy porządek niż w otaczającym ją mieście. Budynki zdobiło mnóstwo kolorowych plakatów i ulotek, których wiele odlepiło się, trzepocząc na wietrze; ten odgłos był niemal przytłaczający. Przez otwarte okna dochodziły dźwięki brazylijskiej muzyki funk, gwar rozmów albo głośnych kłótni, od czasu do czasu rozlegało się wykrzyczane *Caralho!* bądź inne przekleństwo. W powietrzu roznosiła się wszechobecna woń smażonego mięsa. Ulicami od

czasu do czasu przejeżdżały motorynki lub zardzewiałe rowery, prawie nie było tu samochodów. Przy każdym skrzyżowaniu stało przynajmniej jedno *barzinho* – uliczny bar ze zwykłymi plastikowymi stolikami i grupką mężczyzn zgromadzonych wokół starego telewizora, z butelkami *cerveja* skoł w dłoniach, oglądających z entuzjazmem transmisję meczu piłki nożnej. Ich okrzyki po każdym strzelonym голу zlewały się w jeden ryk.

Pendergast zatrzymał się, ustalił swoje położenie, a potem zaczął wspinać się na stok góry, na której usytuowane było *Cidade dos Anjos*. Gdy piął się krętymi uliczkami, charakter mijanych po drodze budynków zmienił się. Dwupiętrowe betonowe bloki zastąpione zostały przez coraz bardziej zapuszczone chałupy i szałas, posklecane z kawałków drewna i pozbieranych skądś desek, poskręcanych drutem i zadaszonych – o ile w ogóle miały dachy – arkuszami z blachy falistej. Pojawiły się także śmieci, walające się na ziemi, a w powietrzu utrzymywała się woń zepsutego mięsa i gnijących ziemniaków. Sąsiednie budynki zdawały się wspierać o siebie, jakby podtrzymując się wzajemnie. Jak okiem sięgnąć, na krzyżujących się sznurach porozwieszane było pranie, sztywniejące powoli w potwornym upale. Mijając nieduże boisko urządzone prowizorycznie na pustej parceli i otoczone pozostałością drucianej siatki, Pendergast dostrzegł daleko w dole dumne sylwetki wież apartamentowców w dzielnicy *Rio* zwanej *Zona Norte*. Znajdowały się nie dalej niż trzy, cztery kilometry od niego, ale równie dobrze mogły stać na drugim końcu świata.

W miarę jak robiło się coraz bardziej stromo, krajobraz zmieniał się w płataninę tarasów, schodów z kiepsko wylanego betonu i wypaczonego drewna oraz wąskich ciągnących się zygzakiem chodników. Umorusane dzieci łypały na niego spoza drutów kolczastych i drucianych ogrodzeń. Było tu mniej muzyki, mniej wrzasków, mniej życia. W powietrzu zdawała się unosić niemal namacalna aura biedy i rozpacz. Wszędzie wokoło stały posklecane z czego bądź chatynki, każda pod innym kątem i różnej wysokości, jakby ignorowały pozostałe, które je otaczały, tworząc razem trójwymiarowy labirynt ciasnych uliczek, przejść, placów i wspólnej przestrzeni. Pendergast cały czas powtarzał pod nosem te same żałośnie brzmiące słowa: *Meu filho. Por favor. Meu filho.*

Gdy minął nieduży zapuszczony zakład kaletniczy, na wprost niego z piskiem opon zatrzymała się czterodrzwiowa, mocno poobijana

i porysowana toyota hilux. Pikap był niewiele węższy od uliczki, więc zablokował mu drogę. Podczas gdy kierowca pozostał w środku, z pojazdu przez troje pozostałych drzwiczek wyskoczyło trzech młodych mężczyzn w spodniach khaki i kolorowych koszulach. Każdy był uzbrojony w AR-15 i każdy mierzył w Pendergasta. Jeden z nich pospiesznie podszedł do niego, a dwóch pozostałych stanęło w bezpiecznej odległości.

– *Pare!* – zawołał. – *Stój!*

Pendergast zatrzymał się. Nastąpiła nieprzyjemna, ciągnąca się w nieskończoność chwila zawieszenia. Pendergast postąpił krok naprzód, a jeden z mężczyzn odepchnął go do tyłu kolbą karabinka automatycznego. Dwaj pozostali podeszli, celując w głowę agenta.

– *Coloque suas maos no carro!* – zawołał pierwszy mężczyzna, odwracając Pendergasta i opierając o samochód. Podczas gdy dwaj pozostali trzymali Pendergasta na muszce, obszukał agenta, sprawdzając, czy ma broń. A potem otworzył tylne drzwiczki pikapa. – *Entre* – rzucił oschłym tonem.

Ponieważ Pendergast nie wykonał żadnego ruchu poza tym, że zamrugał powiekami w silnym słońcu, mężczyzna schwycił go za ramiona i pchnięciem zmusił, aby wsiadł do samochodu. Dwaj pozostali również zajęli miejsca w toyocie, po obu stronach agenta, cały czas celując do niego z AR-15. Pierwszy mężczyzna wślizgnął się z przodu na miejsce dla pasażera, a kierowca wrzucił bieg i wóz potoczył się wzdłuż usłanej śmieciami ulicy, wzbudzając tumany kurzu, w których rozplynęli się po kilku sekundach.

Jeden z oficerów zajrzał do gabinetu D'Agosty.

- Poruczniku? Telefon do pana. Dzwoni niejaki Spandau.
- Niech przekaze wiadomość. Mam teraz coś pilnego.
- Mówi, że to ważne.

D'Agosta spojrział na sierżanta Slade'a siedzącego na fotelu dla gości. Właściwie cieszył się, że mu przerwano. Slade, chłopiec na posyłki Anglera, odwiedził go, żeby „poznać najnowsze informacje” w związku z dwiema sprawami, morderstwem w muzeum i ciałem podrzuconym pod drzwi rezydencji Pendergasta. D'Agosta nie był pewien, o co naprawdę chodzi i ile wie Angler... facet nie był zbyt wylewny. Niemniej Angler i jego pupil chcieli kopii wszystkich akt sprawy i to natychmiast. D'Agosta nie lubił Slade'a... i nie tylko z powodu odrażających pałeczek lukrecji, którymi tamten się zajadał. Kojarzył się D'Agostie ze szkolnym lizusem, który wiedząc, że ktoś coś spocił, donosił skwapliwie nauczycielowi w nadziei, że wkradnie się w łaski. D'Agosta wiedział jednak, że Slade jest sprytny i pomysłowy, co pogarszało całą sytuację.

Podniósł słuchawkę.

– Przepraszam. Chyba powinienem odebrać. To może chwilę potrwać. Porozmawiamy później.

Slade spojrział na niego, na oficera dyżurnego i wstał.

– Jasne.

Wyszedł z gabinetu, roztaczając wokół siebie zapach lukrecji.

D'Agosta odprowadził go wzrokiem i przyłożył telefon do ucha.

- Co się dzieje? Czy nasz chłoptaş jednak odzyskał rozum?
- Niezupelnie – na linii rozległ się rzeczowy, surowy głos Spandaua.
- Wobec tego co się stało?
- On nie żyje.
- Nie żyje? Ale jak? Facet co prawda wyglądał na chorego, ale jego stan nie

wydawał się aż tak poważny.

– Jeden ze strażników znalazł go w celi niecałe pół godziny temu. Samobójstwo.

Samobójstwo. Ta sprawa robiła się beznadziejna.

– Jezu. To nie do wiary. – W głosie D’Agosty, pojawiła się nuta frustracji, choć wcale tego nie chciał. – Czy nie miał być pod stałą obserwacją, żeby nie zrobił sobie nic złego?

– Oczywiście. Zastosowaliśmy wszystkie wymagane procedury: trafił do celi o miękko wyściełanych ścianach, był unieruchomiony skórzanymi pasami i co kwadrans zaglądali do niego strażnicy. Tuż po ostatnim obchodzie udało mu się uwolnić z krępujących go więzów – złamał przy tym obojczyk, a następnie odgryzł sobie duży palec lewej stopy i... udławił się nim.

Przez chwilę D’Agosta był tak wstrząśnięty tym, co usłyszał, że nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Próbowałem skontaktować się z agentem Pendergastem – ciągnął Spandau. – Ale ponieważ nie udało mi się do niego dodzwonić, zadzwoniłem do pana.

To była prawda: Pendergast znowu zniknął. I choć irytowało to D’Agostę, nie zamierzał zaprzętać sobie tym głowy.

– W porządku. Czy choć przez chwilę był przytomny i miał trzeźwy umysł?

– Wręcz przeciwnie. Po waszym wyjeździe jego stan jeszcze się pogorszył. Cały czas bełkotał, powtarzając to samo bez ładu i składu.

– Co powtarzał?

– Słyszał pan trochę. Ciągle bredził o woni, o smrodzie gnijących kwiatów. Przestał sypiać, dzień i noc robił raban. Uskarżał się na ból, nic konkretnego, ale na dolegliwość, która zdawała się oddziaływać na całe jego ciało. Po waszym odjeździe było gorzej. Lekarz więzienny przeprowadził kilka testów, podał mu jakieś leki, ale to nic nie pomogło. Nie udało się postawić ostatecznej diagnozy. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin stan więźnia pogarszał się w coraz szybszym tempie. Ten człowiek bredził, bełkotał bez przerwy, jęczał, szlochał i wył. Poczyniłem przygotowania, żeby przewieźć go do więziennego szpitala, kiedy otrzymałem wiadomość o jego śmierci.

D’Agosta wziął głęboki oddech, a potem zrobił długi wydech i westchnął

przeciągle.

– Autopsja została wyznaczona na dziś po południu. Prześlę panu raport, gdy tylko go otrzymam. Czy coś jeszcze miałbym dla pana zrobić?

– Jeżeli coś mi wpadnie do głowy, dam panu znać. – I jakby po namyśle D'Agosta dodał: – Dziękuję.

– Przykro mi, że nie mam dla pana lepszych wieści.

Połączenie zostało zakończone. D'Agosta rozsiadł się wygodniej na fotelu. Jego wzrok powoli, mimowolnie zatrzymał się na stercie akt, które zalegały na jego biurku, a które miał skopiować dla Slade'a.

Pięknie. Po prostu pięknie.

Toyota hilux, trąbiąc głośno, przedzierała się przez kręte uliczki faweli jak słoń przez trzciniowe zarośla. Uliczni sprzedawcy nie mieli wyjścia, jak tylko wycofywać się do sklepików, przed którymi stali, a przechodnie i rowerzyści albo skręcali w zaułki, albo chowali się po bramach. Niejeden raz boczne lusterka pikapa otarły się o ściany budynków po prawej lub lewej stronie. Porywacze Pendergasta nic nie mówili, celowali tylko do niego z AR-15. A samochód cały czas piał się pod górę, z determinacją pokonując kolejne zakręty i mijając budowle pokrywające stok niczym wielobarwny grzyb.

Wreszcie zatrzymali się przy niewielkiej ogrodzonej rezydencji w najwyższym punkcie faweli. Kolejny uzbrojony mężczyzna otworzył przesuwaną bramę z drucianej siatki i toyota wjechała na nieduży parking. Wszyscy czterej mężczyźni wysiedli z pikapa. Jeden z nich ruchem karabinu dał znak Pendergastowi, żeby zrobił to samo.

Agent wykonał polecenie, mrugając powiekami w silnym słońcu. W dół z bocza rozciągało się skupisko prymitywnych chat i szałasów i dopiero daleko za nimi można było dostrzec nowocześniejsze, bardziej uporządkowane uliczki właściwego Rio, a jeszcze dalej – roziskrzony lazur Zatoki Guanabara.

Na zamkniętym terenie znajdowały się trzy budynki, funkcjonalne, identyczne, ale od reszty faweli różnił je zdecydowanie lepszy stan. Kilka dużych strzępiastych dziur w środkowej budowlu zostało załatanych cementem i zamalowanych. Na podwórzu stał generator, wydając z siebie ogłuszający terkot. Powyżej kilkanaście przewodów w różnych kolorach było podpiętych do kilku miejsc na dachach. Dwaj mężczyźni dali Pendergastowi znak, żeby wszedł do środkowego budynku.

Wewnątrz było ciemno, chłodno i spartańsko. Lufami karabinków półautomatycznych strażnicy zmusili agenta, aby minął wyłożony kafelkami korytarz, a następnie schodami udał się na piętro, do dużego pokoju, który

najwyraźniej pełnił funkcję biura. Jak reszta domu był urządzony wyjątkowo skromnie. Stało tam biurko z bliżej nieokreślonego drewna, a po obu jego stronach zajmowali pozycje kolejni strażnicy z AR-15. W pokoju stało również kilka prostych drewnianych krzesel. Na jednej z pomalowanych ścian z pustaków wisiał krucyfiks, a na drugiej duży telewizor plazmowy. Na ekranie leciała właśnie transmisja jakiegoś meczu piłkarskiego, z wyciszonym dźwiękiem.

Za biurkiem siedział mężczyzna, może trzydziestoletni. Miał ciemną skórę, gęste falujące włosy i trzydniowy zarost. Nosił szorty, podkoszulek i nieodłączne klapki. Na szyi miał gruby platynowy łańcuch, a na jednym przegubie złotego rolexa. Choć względnie młody i swobodnie ubrany, emanował powagą i pewnością siebie. Gdy Pendergast wszedł, mężczyzna przyjrzał mu się błyszczącymi czarnymi oczami. Pociągnął długi łyk piwa Bohemia z butelki stojącej na biurku. Następnie przeniósł wzrok na ludzi, którzy wprowadzili Pendergasta, i zwrócił się do nich po portugalsku. Jeden z nich obszukał Pendergasta, wyjął portfel i paszport i położył na biurku. Mężczyzna popatrzył na przedmioty, ale nie obejrzał uważniej żadnego z nich.

– *Pasporte.* – Zmarszczył brwi. – *Só isso?* To wszystko?

– *Sim.*

Pendergast znów został przeszukany, tym razem dokładniej. Zabrano mu to, co zostało z pliku reali brazylijskich, i również położono na biurku. Ale gdy przeszukanie się skończyło, Pendergast ruchem głowy wskazał na coś, co przeoczono, a co było ukryte w podszewce marynarki.

Po chwili z zaszytej sekretnej kieszonki dobiegł szelest złożonej kartki papieru. Jeden z mężczyzn zaklął, otworzył składany nóż z blokadą i rozciął zaszytą kieszeń, by wyjąć schowaną tam fotografię. Było to zdjęcie Albana zrobione po jego śmierci i nieco podretuszowane, żeby nie wyglądał jak nieboszczyk. Rozprostowano je i położono na biurku obok portfela i paszportu.

Kiedy mężczyzna zobaczył fotografię, wyraz jego twarzy zmienił się z pełnego irytacji znużenia w szok i zdumienie. Wziął ją do ręki.

– *Meu filho* – powtórzył Pendergast.

Mężczyzna popatrzył badawczo na niego i na zdjęcie, po czym ponownie przeniósł wzrok na agenta. Dopiero teraz sięgnął po pozostałe przedmioty –

najpierw po paszport, a następnie po portfel – i uważnie je obejrzał. Wreszcie zwrócił się do jednego ze strażników:

– *Guarda a porta. Niquen pode entrar.*

Strażnik podszedł do drzwi pokoju, zatrzasnął je i zamknął na zasuwkę, po czym stanął przy nich z bronią gotową do strzału. Mężczyzna za biurkiem znów spojrzał na Pendergasta.

– A więc – powiedział nienagannym angielskim, choć z charakterystycznym akcentem – jest pan człowiekiem, który bez trwogi wchodzi do Cidade dos Anjos, ubrany jak przedsiębiorca pogrzebowy, uzbrojony w pistolet i wszystkim mijanym osobom mówi wprost, że szuka syna.

Pendergast nie odpowiedział. Stał tylko przed biurkiem, lekko się kołysząc.

– Dziwi mnie, że pan przeżył. Może dlatego, że to, co pan zrobił, było szaleństwem, i uznali, że jest pan niegroźny. Ale teraz – postukał palcem w zdjęcie – wiem już na pewno, że nie jest pan człowiekiem niegroźnym. Wręcz przeciwnie.

Mężczyzna wziął paszport, zdjęcie i wstał. Za pasek szortów miał wciśnięty wielki pistolet. Obszedł biurko i stanął dokładnie naprzeciwko Pendergasta.

– Nie wygląda pan dobrze, *cada* – powiedział, najwyraźniej dostrzegając nienaturalną bladość agenta i pot perlący się na jego skroniach. Raz jeszcze popatrzył na paszport i zdjęcie. – Ale i tak podobieństwo jest uderzające – rzekł bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

Przez chwilę w pokoju panowała niezmacona cisza.

– Kiedy ostatni raz widział pan swojego syna? – zapytał.

– Dwa tygodnie temu – odparł Pendergast.

– Gdzie?

– Leżał martwy. Przed drzwiami mojego domu.

Przez twarz mężczyzny przemknął grymas będący mieszaniną szoku i bólu. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Co pana tu sprowadza?

Cisza.

– Chciałem dowiedzieć się, kto go zabił.

Mężczyzna pokiwał głową. To był motyw, który potrafił zrozumieć.

– I dlatego wszedł pan do naszej faweli, wypytując wszystkich o niego? Pendergast przetarł oczy dłonią. Narkotyki przestawały działać, ból powracał.

– Tak, muszę... dowiedzieć się, co tutaj robił.

W pokoju zapadła cisza. Wreszcie mężczyzna westchnął.

– *Caralho*.

Pendergast nic nie powiedział.

– I zamierza pan wziąć odwet na jego zabójcy?

– Zależy mi tylko na informacji. Nie wiem, co będzie później.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę. Ruchem ręki wskazał jedno z krzeseł.

– Proszę usiąść.

Pendergast zajął miejsce na najbliższym stojącym krześle.

– Mam na imię Fábio – ciągnął mężczyzna. – Kiedy moi zwiadowcy donieśli, że do mojego miasta przybył dziwny mężczyzna mamroczący o swoim synu, nie potraktowałem tego poważnie. Ale kiedy opisali mi tego mężczyznę, wysokiego, chudego jak tyka, z dłońmi poruszającymi się nerwowo jak spłoszone białe pająki, skórą bladą jak marmur i oczami barwy srebrnych konch, zacząłem się zastanawiać. Ale skąd mogłem mieć pewność? Przepraszam za sposób, w jaki pana tu ściągnąłem, ale... – Wzruszył ramionami. A potem spojrzał świdrującym wzrokiem na Pendergasta. – Czy to, co pan mówi, jest prawdą? Trudno uwierzyć, że ktoś taki jak on mógł zostać zamordowany.

Pendergast pokiwał głową.

– Wobec tego stało się to, czego się obawiałem – rzekł mężczyzna imieniem Fábio.

Pendergast spojrzał na mężczyznę. Wiedział, że tak właśnie ubierają się baronowie narkotykowi w Rio, tak żyją, tak są uzbrojeni. Próbował przypomnieć sobie słowa pułkownika Azevedo. *Cidade dos Anjos to największa, najbardziej brutalna i najpotężniejsza z wszystkich faweli. Baroni narkotykowi, którzy ją nadzorują, są bezwzględni i nieustraszeni.*

– Chcę jedynie informacji – rzekł Pendergast.

– I otrzyma je pan. Prawdę mówiąc, moim obowiązkiem jest przekazać je panu. Opowiem panu historię. Historię o pańskim synu. O Albanie.

Ponownie siadając za biurkiem, Fábio opróżnił butelkę bohemii i odstawił ją na bok. Natychmiast sięgnął po nową, pełną. Wziął fotografię z biurka, dotykając jej koniuszkami palców niemal czułym gestem. Po chwili jednak odłożył ją i spojrzał na Pendergasta, który pokiwał głową.

– Kiedy ostatni raz widział pan swojego syna żywego?

– Osiemnaście miesięcy temu, w Novej Godói. Zniknął w dżungli.

– W takim razie od tego zaczęę. Z początku pański syn – Alban – mieszkał wśród niewielkiego plemienia Indian, w głębi amazońskiego lasu deszczowego. To był dla niego trudny czas, wykorzystał go, by dojść do siebie i – jak to się mówi? – przegrupować siły. Miał plany wobec siebie, plany wobec świata. I plany wobec pana, *rapiz*.

Fábio znacząco pokiwał głową.

– Alban nie potrzebował wiele czasu, by zrozumieć, że nie może zrealizować swoich planów z głębi dżungli. Przybył do Rio i błyskawicznie przeniknął do naszej faweli. Dokonał tego bez trudu. Wie pan równie dobrze jak ja, *o senhor*, że jest on – a raczej był – mistrzem kamuflażu i oszustwa. W dodatku doskonale mówił po portugalsku, posługiwał się też wieloma dialektami. W Rio są setki faweli, a on dokonał dobrego wyboru. Znalazł idealne miejsce, by się schronić, nie obawiając się, że ktoś go tu znajdzie.

– Cidade dos Anjos – rzekł Pendergast.

Fábio uśmiechnął się.

– Zgadza się, *rapiz*. Wtedy to było inne miejsce. Zabił tu kogoś – włóczykija, samotnika – i przejął jego dom oraz tożsamość. Zmienił się w obywatela brazylijskiego nazwiskiem Adler, dwudziestojednolatka, i z łatwością zintegrował się z życiem faweli.

– To w stylu Albana – przyznał Pendergast.

Przez chwilę oczy Fábio rozbłyły.

– Niech pan go nie osądza, dopóki nie usłyszy pan całej historii. Dopóki

nie przyjdzie panu mieszkać w miejscu takim jak to.

I wykonał zamaszysty ruch ręką, jakby chciał ogarnąć nią całą fawelę.

– Podjął pracę. Zajmował się importem-eksportem, dzięki czemu mógł podróżować po świecie.

Odkręcił butelkę piwa i napił się.

– Wtedy Miastem Aniołów rządził gangster znany jako O Punho – Pięść – i jego zbiry. O Punho zyskał przydomek z uwagi na brutalność, z jaką osobiście zabijał swoich wrogów. Alban – Adler – nie przejął się O Punho i jego bandą. Niezorganizowany sposób, w jaki prowadzili interesy, kłócił się z wpojonym mu poczuciem porządku. Wpajany niemal od urodzenia. Mam rację, *senhor*?

Fábio uśmiechnął się znacząco do Pendergasta.

– Adler dla rozrywki rozważał, o ile byłby lepszy w kierowaniu fawelą, gdyby to on tutaj rządził. Ale nie podjął wówczas żadnych działań, a jego umysł zaprzętały inne, istotniejsze sprawy. I wtedy wszystko się zmieniło.

Fábio zamilkł. Pendergast wyczuł, że czeka na jego reakcję.

– Wydaje się pan sporo wiedzieć o moim synu – powiedział.

– Był... moim przyjacielem.

Pendergast stłumił reakcję na to stwierdzenie.

– Alban poznał dziewczynę, córkę norweskiego dyplomaty. Nazywała się Danika Eglund, ale wszyscy znali ją jako Anja das Favelas.

– Anioł z Faweli – rzekł Pendergast.

– Nazwano ją tak, gdyż bez lęku wchodziła do faweli, żeby rozdawać lekarstwa, jedzenie i pieniądze, a także krzewić edukację i mówić o niezależności dla uciskanych. Przywódcy faweli oczywiście jej nie ufali. Musieli jednak ją tolerować, bo cieszyła się ogromną popularnością wśród tutejszych mieszkańców, a jej ojciec był człowiekiem wpływowym. Danika imponowała Adlerowi. Była odważna, opanowana i piękna na swój... ee...

Fábio wskazał dłonią twarz Pendergasta.

– Nordycki sposób – podpowiedział agent.

– Właśnie tak. Ale jak już wspomniałem, Adler był wówczas pochłonięty innymi sprawami. Poświęcał wiele czasu na badania.

– Co konkretnie robił?

– Nie wiem. Ale dokumenty, które studiował, były starymi naukowymi traktatami o formułach chemicznych. A potem wyjechał do Ameryki.

– Kiedy to było?

– Rok temu.

– Po co tam pojechał?

Po raz pierwszy Fábio zawahał się.

– Ma pan wątpliwości, czy o tym wspomnieć – rzekł Pendergast. – Mówił pan, że Alban miał pewne plany. Były związane ze mną, prawda? Dotyczyły zemsty?

Fábio nie odpowiedział.

– Nie znam szczegółów, *o senhor*. Ale tak, wydaje mi się, że miało to coś wspólnego z... i nie chodziło tylko o zabicie pana. O coś gorszego. On nie zdradzał szczegółów swoich planów, był bardzo skryty.

W ciszy, jaka zapadła, rozległo się kilka metalicznych szczęknięć; jeden ze strażników bawił się swoim AR-15.

Fábio znów zaczął mówić:

– Kiedy Adler wrócił, coś się w nim zmieniło. Jakby z jego ramion zdjęto wielkie brzemię. Skupił się na dwóch rzeczach, kierowaniu fawelą i Danice Egland. Była od niego starsza, miała dwadzieścia pięć lat. On ją podziwiał, pociągała go. A ona lgnęła do niego. – Wzruszył ramionami. – Któż wie, jak się dzieją takie rzeczy, *cada*? Pewnego dnia zrozumieli, że są w sobie zakochani.

Na dźwięk ostatniego słowa Pendergast gwałtownie wypuścił powietrze przez nos, co zabrzmiało trochę jak pogardliwe parsknięcie.

– Ojciec dziewczyny wiedział o jej pracy w faweli i ostro przeciw temu protestował. Obawiał się o jej życie. Ona zataiła przed rodziną, że ma romans. Anja nie od razu wprowadziła się do Adlera, ale spędziła wiele nocy w jego domu, z dala od rezydencji ojca w ogrodzonej, strzeżonej części śródmieścia. I wtedy Adler dowiedział się, że Danika jest w ciąży.

– W ciąży – powtórzył cicho Pendergast.

– Pobrali się potajemnie. Tymczasem Adler obsesyjnie zapragnął przejąć władzę nad fawelą. Wierzył, że pod jego przywództwem może stać się ona czymś innym niż pogrążonymi w chaosie slumsami. Uważał, że jest w stanie zmienić to miejsce w coś wydajnego, sprawnie działającego i dobrze zorganizowanego.

– Wcale mnie to nie dziwi – rzekł Pendergast. – Fawela była idealnym miejscem, które mogło stać się jego bazą, skąd mógł realizować swoje plany

wielkiej dominacji. Zastąpiłaby to, co zostało zniszczone w Novej Godói. Państwo w państwie z nim w roli przywódcy.

Oczy Fábio znowu rozbłysły.

– Nie zamierzam udawać, że wiem, co mu chodziło po głowie, *senhor*. Mogę powiedzieć tylko tyle, że w bardzo krótkim czasie opracował sprytny plan dokonania puczu w Cidade dos Anjos. Ktoś jednak zdradził jego zamiary O Punho i jego gangowi. Pięść wiedział, że Anioł z Faweli jest żoną i największą miłością Adlera. Postanowił działać. Pewnej nocy on i jego ludzie otoczyli dom Adlera i podłożyli ogień. Budynek spłonął doszczętnie. Adlera akurat nie było, bo wyjechał... ale w pożarze zginęła jego żona i nienarodzone dziecko.

Pendergast, tłumiąc ból, czekał w milczeniu, żeby usłyszeć resztę tej historii. Żona i nienarodzone dziecko Albana spłonęli żywcem...

– Nigdy nie widziałem człowieka tak przepelnionego żądzą krwi. Nie zdradzał się z tym, był milczący, zamknięty w sobie, wyglądał, jakby nic się nie wydarzyło. Ja jednak znałem Adlera i wiedziałem, że w głębi duszy pała żądzą zemsty. Poszedł do strzeżonej siedziby O Punho. Uzbrojony po zęby, ale sam. Byłem pewien, że zginie. On jednak rozpętał taką orgię przemocy i zniszczenia, o jakiej nigdy nie słyszałem, nawet sobie czegoś takiego nie wyobrażałem. Zabił O Punho i wszystkich jego zbirów. W jedną noc w pojedynkę wymordował przywódców faweli. Strumienie krwi spływające rynsztokami w dół z boczka z ich siedziby miały prawie kilometr długości. Tej nocy fawela nigdy nie zapomni.

– Oczywiście – rzekł Pendergast. – Chciał przeobrazić fawelę w coś nieskończenie większego i nieskończenie gorszego, niż była do tamtej pory.

Na twarzy Fábio pojawił się wyraz zdziwienia.

– Nie. Nie, pan nic nie rozumie. Do tego właśnie zmierzam. Coś się w nim zmieniło, gdy zamordowano jego żonę i dziecko. Nie twierdzę, że to rozumiem. Coś w jego wnętrzu się zmieniło.

Najwyraźniej niedowierzenie Pendergasta było aż nazbyt widoczne, ponieważ Fábio mówił dalej z wielkim przejęciem:

– Wierzę, że to dobroć jego żony i jej tragiczna przedwczesna śmierć go odmieniły. Nagle uświadomił sobie, na czym polega istota dobra i zła.

– Bez wątpienia – mruknął sarkastycznie Pendergast.

Fábio wstał od biurka.

– To prawda, *rapiz!* A dowody tego może pan ujrzyć wszędzie wokół siebie. Tak, Adler przejął kontrolę nad Miastem Aniołów. Ale zupełnie je zmienił. I to na lepsze! Zlikwidował przemoc, narkotyki, głód, tyranię gangów. Oczywiście to miejsce musi wydawać się panu siedliskiem nędzy. Oczywiście mamy tu broń – najróżniejszą broń. Wciąż musimy bronić się przed brutalnym, cynicznym światem – konkurencyjnymi gangami, wojskiem i skorumpowanymi politykami, którzy wydają miliardy dolarów na budowę stadionów piłkarskich i olimpijskich, podczas gdy ludzie głodują. W samym Cidade dos Anjos rzadko dochodzi do aktów przemocy. Weszliśmy na drogę przemian. My... – Fábio szukał odpowiedniego słowa. – Troszczymy się o swoich ludzi. Dajemy im szansę. Tak, właśnie tak to określił. Ludzie mogą tu żyć wolni, z dala od korupcji, zbrodni, przemocy, podatków i brutalności policji, które są plagą całej reszty Rio. Wciąż mamy swoje problemy, ale dzięki Adlerowi wiele się poprawiło.

Nagle Pendergast poczuł, że jego siła woli słabnie. Zakręciło mu się w głowie, kości przeszył ból. Wziął głęboki oddech.

– Skąd pan to wszystko wie? – zapytał w końcu.

– Ponieważ byłem adiutantem pańskiego syna w nowym Mieście Aniołów. Byłem jego prawą ręką. Miałem zaszczyt stać u jego boku. Znałem go lepiej niż ktokolwiek inny, oczywiście poza Daniką.

– A dlaczego opowiedział mi pan to wszystko?

Fábio wrócił na swoje miejsce i po chwili wahania kontynuował:

– Opowiedziałem panu tę historię, *senhor*, ponieważ to był mój obowiązek. Trzy tygodnie temu Adler po raz drugi opuścił fawelę. Powiedział mi, że wybiera się do Szwajcarii, a następnie do Nowego Jorku.

– Do Szwajcarii? – zapytał Pendergast nagle zaniepokojony.

– Po śmierci Daniki Adler-Alban wymusił na mnie obietnicę, że gdyby coś mu się stało, mam odnaleźć jego ojca i opowiedzieć mu historię o jego odkupieniu.

– Odkupieniu! – powtórzył Pendergast.

– Ale nie podał mi pańskiego nazwiska – ciągnął Fábio – ani nie wyjaśnił, jak miałbym się z panem skontaktować. Nie było go trzy tygodnie... nie otrzymałem żadnych wiadomości od niego ani o nim. I zjawia się pan, mówiąc, że on nie żyje.

Fábio znów napił się piwa.

– Opowiedziałem panu historię, którą miałem przekazać na jego prośbę.
Wypełniłem swój obowiązek.
Przez dłuższą chwilę żaden z mężczyzn się nie odzywał.
– Nie wierzy mi pan – rzekł Fábio.
– Dom Albana – odparł Pendergast. – Ten, który spłonął. Jaki miał adres?
– Rio Paranoá trzydzieści jeden.
– Czy pańscy ludzie mogą mnie tam zaprowadzić?
Fábio zmarszczył brwi.
– Zostały z niego jedynie zgliszcza.
– Mimo wszystko bardzo o to proszę.
Po chwili Fábio pokiwał głową.
– A ten O Punho, o którym pan mówił? Gdzie on mieszkał?
– Tutaj. – Fábio wzruszył ramionami, jakby powinno to być oczywiste. –
Coś jeszcze, *senhor*?
– Chciałbym odzyskać swój pistolet.
– *Me da a arma* – zwrócił się do jednego ze strażników Fábio.
Minutę później Pendergast odzyskał les baera i włożył go do kieszeni marynarki. Wolno, bardzo wolno, pozbierał z blatu biurka portfel, paszport i pieniądze. Następnie raz jeszcze podziękował Fábio skinieniem głowy, odwrócił się i opuścił biuro w ślad za uzbrojonymi strażnikami, po czym schodami wyszedł na parną ulicę.

D'Agosta wszedł do muzealnego pomieszczenia ochrony dokładnie za piętnaście czternasta. Jimenez poprosił o spotkanie z nim, a D'Agosta miał nadzieję, że nie potrwa ono dłużej niż kwadrans; celowo wybrał tę porę – krótką przerwę między kolejnymi prezentacjami w planetarium – bo nie był pewien, czy zniósłby kolejną osiemdziesięciodecybelową wycieczkę w kosmos.

Jimenez i Conklin siedzieli przy niedużym stole i pracowali przy laptopach. D'Agosta podszedł do nich, wymijając w półmroku różne sprzęty.

– Co jest? – zapytał.

Jimenez wyprostował się.

– Skończyliśmy.

– Tak?

– Przejrzeliśmy wszystkie taśmy z nagraniami z wejścia do muzeum od dziewiętnastego czerwca, kiedy zamordowano Marsalę, do szóstego kwietnia. Do tygodnia przed dniem, w którym jeden z naocznych świadków twierdzi, że widział zabójcę w muzeum, dodaliśmy jeszcze tydzień, tak na wszelki wypadek.

Jimenez skinął w stronę laptopa.

– Mamy to nagranie, które pan odkrył, z dziewiętnastego czerwca, kiedy ten mężczyzna późnym popołudniem wchodzi do muzeum. Mamy go też na nagraniu, gdy wchodzi i wychodzi z muzeum dwudziestego kwietnia, i jeszcze raz, czternastego kwietnia.

D'Agosta pokiwał głową. Data dwudziestego kwietnia widniała na dokumentach z rejestracji dostępu do szkieletu pani Padgett. Nie ulega wątpliwości, że właśnie czternastego kwietnia morderca podający się za naukowca po raz pierwszy spotkał się z Marsalą, żeby umówić się na przeprowadzenie oględzin kości. Dziewiętnasty czerwca był dniem morderstwa.

Osunął się na krzesło.

– Dobra robota.

Mówił szczerze. To była zmudna harówka, ślęczenie godzinami i wpatrywanie się w ziarnisty obraz na ekranie, podczas gdy zza ściany raz po raz dobiegały grzmiące odgłosy Wielkiego Wybuchu. Natknęli się na dwa wcześniejsze nagrania, kiedy morderca odwiedził muzeum, i kolejne, w dniu zabójstwa. Ale wciąż nie odnaleźli zarejestrowanego momentu, gdy opuszcza muzeum po morderstwie.

D'Agosta zastanawiał się, dlaczego w ogóle zlecił swoim ludziom to zadanie. Podejrzany o morderstwo nie żył, gdyż popełnił samobójstwo. Raczej nie będą musieli gromadzić materiałów dowodowych do procesu. Uznał, że odezwał się w nim staroświecki glina, który lubi postawić kropkę nad i.

Samobójstwo. Wciąż miał przed oczami obraz zabójcy w areszcie śledczym w Indio. To, jak mężczyzna bełkotał bez ładu i składu o woni gnijących kwiatów, to, jaki był pobudzony i rozdrażniony. Nie mówiąc już o tym, jak szaleńczo rzucił się na Pendergasta. Tego nie sposób zapomnieć. No i, Chryste Panie, zabić się przez połknięcie odgryzionego dużego palca stopy? Trzeba naprawdę skrajnej determinacji, żeby zrobić coś takiego. To nie pasowało do wizerunku fałszywego profesora Waldrona, mężczyzny, który był tak spokojny, inteligentny i racjonalny, że zdołał oszukać zarówno Victora Marsalę, jak i resztę personelu muzeum; uwierzyli, że mają do czynienia z naukowcem.

D'Agosta westchnął. Cokolwiek stało się z tym człowiekiem od dnia zabójstwa Marsali, jedno nie ulegało wątpliwości, że dziewiętnastego czerwca, gdy doszło do morderstwa, z całą pewnością był on przy zdrowych zmysłach. Okazał dostatecznie dużo sprytu, żeby zwabić Marsalę w ustronne miejsce, gdzie szybko i wprawnie go zabił, a następnie upozorował mord jako nieudaną próbę napaści rabunkowej. I co najważniejsze, zdołał wydostać się później z muzeum tak, że nie zarejestrowała go żadna kamera.

Może to bez znaczenia, ale jak, u licha, tego dokonał?

D'Agosta odtworzył w myślach wizytę na miejscu zbrodni w towarzystwie strażnika ochrony Whittakera. Stało się to w niszy brzuchonogów, na drugim końcu sali mieszkańców mórz i oceanów, niedaleko wejścia do piwnic i blisko sali złotych wyrobów z Ameryki Południowej...

Nagle wyprostował się na krześle.

Oczywiście.

Nie mógł uwierzyć, jakim głupcem się okazał. Wstał, przez chwilę krążył po pokoju, aż wreszcie odwrócił się do Jimeneza.

– Marsała został zamordowany w sobotę wieczorem. O której muzeum jest otwierane w niedzielę?

Jimenez przewertował leżące na stoliku papiery i znalazł złożoną ulotkę z muzeum.

– O jedenastej.

D’Agosta podszedł do jednego ze stanowisk i usiadł przy komputerze. Za ścianą poniżej zaczęła się prezentacja o godzinie czternastej, ale nie zwracał na to uwagi. Używając myszki, wybrał z menu na ekranie długą listę plików, a spośród nich ten, który go interesował – zapis z kamery w Wielkiej Rotundzie, z okolic wyjścia południowego, z niedzieli dwudziestego czerwca, w godzinach między jedenastą a dwunastą.

Na ekranie pojawił się znajomy obraz z lotu ptaka. Gdy Jimenez i Conklin podeszli i stanęli za nim, D’Agosta włączył odtwarzanie z normalną prędkością, a kiedy jego wzrok przyzwyczał się do nieco rozmytego obrazu, zwiększył prędkość dwu- i czterokrotnie. Strumienie ludzi wchodzących do muzeum i mijających punkty kontroli zgęstniały, przemierzając nieduży ekran od lewej do prawej.

Jest. Samotna postać przechodząca z prawej strony na lewą, w przeciwnym kierunku, jak pływak walczący z prądem. D’Agosta włączył pauzę i spojrzał na odczyt czasu nagrania – jedenasta trzydzieści cztery. Pół godziny przed jego przybyciem do muzeum i otwarciem sprawy. Zrobił zbliżenie na przechodzącego, po czym znów włączył odtwarzanie, ale już ze zwykłą prędkością. Nie mogło być mowy o pomyłce: twarz, ubranie, ostentacyjnie powolny chód – to był morderca.

– Cholera – wymamrotał Conklin znad ramienia D’Agosty.

– Tuż za wnęką brzuchonogów jest wejście do piwnic – wyjaśnił D’Agosta.

– Te piwnice to istny labirynt poziomów, tuneli i przestrzeni magazynowych. Tylko w niewielkiej części są objęte monitoringiem. Ukrył się tam przez resztę nocy, czekając, aż muzeum zostanie otwarte następnego ranka, a wówczas, wychodząc, po prostu wtopił się w tłum.

Odsunął się od komputera. A więc przynajmniej tę zagadkę udało im się

rozwiązać. Wejście i wyjście mordercy zostały udokumentowane.

Rozdzwoniła się komórka D'Agosty. Wyłuskał ją z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz. Nie znał tego numeru. Kierunkowy z południowej Kalifornii. Wcisnął przycisk, żeby odebrać.

– Porucznik D'Agosta – powiedział.

– Poruczniku? – dobiegł głos z drugiego końca kraju. – Mówi doktor Samuels. Jestem patologiem z wydziału więziennictwa w Indio. Przeprowadziłem autopsję tego człowieka, który niedawno popełnił samobójstwo w naszym areszcie, i natknąłem się na coś ciekawego. Oficer Spandau uznał, że powinienem do pana zadzwonić.

– Proszę mówić.

Zwykle D'Agosta szczyił się swoim profesjonalizmem jako funkcjonariusz policji. Nie tracił zimnej krwi, nie sięgał po broń bez potrzeby, nie przeklinał bez wyraźnego powodu. Ale gdy koroner skończył mówić, na chwilę zapomniał o ostatnim punkcie przyświecającej mu maksymy.

– Ożeż kurwa mać – wymamrotał, wciąż trzymając telefon przy uchu.

Toyota hilux skręciła w boczną uliczkę i zatrzymała się z piskiem opon. Strażnik na tylnym siedzeniu otworzył drzwiczki i celując teraz z półautomatycznego karabinka w ziemię, wysiadł, po czym ręką dał Pendergastowi znak, żeby zrobił to samo.

Pendergast ostrożnie opuścił pikapa. Strażnik ruchem głowy wskazał na znajdujący się przed nimi budynek. Podobnie jak domy wokoło był niegdyś dwupiętrową budowlą, z której zostały zgliszcza, pozbawione dachu, z zawalonymi piętrami i grubą warstwą czarnej sadzy zalegającej w stiukach nad pustymi framugami okien. Zwęglone szczątki frontowych drzwi upstrzone były strzępiastymi otworami, jakby ratownicy próbowali sforsować je z użyciem taranów.

– *Obrigado* – rzekł Pendergast.

Strażnik pokiwał głową, wrócił do pikapa i samochód odjechał.

Pendergast stał przez chwilę w wąskim zaułku, patrząc, jak toyota znika w oddali. A potem zlustrował okoliczne budynki. Przypominały te, które widział w innych częściach Cidade dos Anjos – postawione z byle czego, sklecone, jak się dało, pomalowane na krzykliwe kolory, z dachami unoszącymi się i opadającymi szaleńczo w zależności od topografii wzgórza. Kilka osób z zaciekawieniem obserwowało go przez okna.

Odwrócił się w stronę domu. Choć nie było żadnej tabliczki z nazwą ulicy, tak jak w całej faweli, nad zniszczonymi drzwiami można było dostrzec pozostałości numeru trzydzieści jeden. Pendergast pchnięciem otworzył drzwi – zamek leżał na wyłożonej płytkami podłodze tuż za progiem, zardzewiały i pokryty sadzą – i powoli wszedł do środka, a następnie, najlepiej jak potrafił, zamknął je za sobą.

Wewnątrz panowała duchota i nawet teraz czuć było swąd spalonego drewna i stopionego plastiku. Rozejrzał się dokoła, dając oczom czas, żeby przyzwyczyliły się do półmroku, starając się zignorować ból, który zalewał go

powolnymi falami. W ukrytej kieszonce marynarki miał niewielki pakiecik ze środkami przeciwbólowymi, który został przegapiony podczas przeszukiwania, i przez chwilę zastanawiał się, czy nie pogryźć i nie połknąć kilku, ale odrzucił od siebie tę myśl. Nie mógł tego zrobić, mając w perspektywie to, po co tu przyjechał.

Na razie ból musi poczekać.

Przeszedł przez parter. Rozkład wąskiego domu przypominał proste chaty z delty Missisipi. Był w nim duży pokój z całkowicie spalonym stołem i zwęglona kanapa, z której wystawały poczerniałe sprężyny. Poliestrowy dywan wtopił się w betonową podłogę. Dalej znajdowała się nieduża kuchnia z dwupalnikową emaliowaną kuchenką, poobijanym i powgniatanym żeliwnym zlewem i kilka szafek, pootwieranych i z wysuniętymi szufladami. Podłoga była zasłana skorupami naczyń, talerzy, kubków, kieliszków i tanich, na wpół stopionych sztucców. Dym i ogień pozostawiły na ścianie i suficie dziwne groźne ślady.

Pendergast stanął w drzwiach kuchni. Próbował wyobrazić sobie swojego syna Albana wchodzącego do domu i do tego pomieszczenia, witającego się z żoną i nawiązującego luźną pogawędkę, śmiejącego się, rozprawiającego o ich nienarodzonym dziecku i snującego plany na przyszłość.

Ten obraz nie chciał pojawić się w jego głowie. Było to coś niepojętego. Po kilku chwilach Pendergast zrezygnował z dalszych prób.

Tak wiele rzeczy zdawało się nie mieć sensu. Szkoda, że jego umysł pracował z takim trudem. Pendergast przypomniał sobie szczegóły z opowieści Fábía. Alban ukrywający się w faweli, zabijający jakiegoś samotnika i zawłaszczający jego tożsamość – w to akurat był w stanie uwierzyć. Alban wracający po cichu do Stanów, żeby zainicjować plan odwetu na swoim ojcu – w to także mógł uwierzyć. Alban wzniecający pucz i przejmujący kontrolę nad fawelą do własnych, złowrogich celów. To było najbardziej wiarygodne i prawdopodobne.

Podziękuj za to Albanowi...

Ale Alban kochający ojciec i głowa rodziny? Alban potajemnie biorący ślub z Aniołem z Faweli? To go nie przekonywało. Podobnie wizerunek Albana jako dobrotliwego przywódcy slumsów, kładącego kres panującej tam tyranii, aby zaprowadzić rządy pokoju i dobrobytu. Z całą pewnością Alban oszukał Fábía, tak jak okpił wszystkich innych.

Było coś jeszcze w tym, co powiedział Fábio – przed swoim drugim wyjazdem do Stanów Alban zamierzał odwiedzić Szwajcarię.

Gdy Pendergast to sobie przypominał, poczuł lodowate ciarki, choć w spalonym domu panował nieprzyjemny upał. Był tylko jeden powód, dla którego Alban mógł chcieć wybrać się do Szwajcarii. Skąd jednak mógł wiedzieć, że jego brat Tristram przebywa w jednej z tamtejszych szkół z internatem, w dodatku pod przybranym nazwiskiem? Pendergast natychmiast odpowiedział sobie na to pytanie: dla osoby posiadającej takie zdolności jak Alban odkrycie miejsca pobytu Tristrama nie stanowiło problemu.

A jednak Tristram był bezpieczny. Pendergast wiedział to na pewno, bo gdy tylko dowiedział się o śmierci Albana, poczynił dodatkowe starania, żeby zadbać o ochronę Tristrama.

Co roіło się w głowie Albana? Jaki miał plan? Odpowiedzi mogły kryć się w tych ruinach.

Pendergast wrócił do frontowej części domu i betonowych schodów; były czarne od sadzy, brakowało barierki. Wszedł po nich ostrożnie, opierając się jedną ręką o ścianę, a deski skrzypiały złowieszczo pod jego stopami.

Pierwsze piętro było w znacznie gorszym stanie niż parter. Utrzymywała się tu silniejsza kwaśna woń. Miejscami drugie piętro zawaliło się na pierwsze podczas pożaru, tworząc niebezpieczne zespolenie zwęglonych mebli i spalonych popękanych belek. W dachu ziały wielkie dziury, przez które widać było fragmenty krokwi i błękitne brazylijskie niebo. Powoli przechodząc przez sterty gruzów, Pendergast ustalił, że na tym piętrze znajdowały się kiedyś trzy pokoje: biuro lub może gabinet, łazienka i mała sypialnia, przeznaczona, jak można się było domyślać na podstawie miłej niegdyś dla oka tapety i pozostałości małego łóżeczka, na pokoik dziecka. Pomimo spalonych ścian i popękanego sufitu ten pokój wyglądał lepiej od innych.

Sypialnia Daniki, a raczej Daniki i Albana, musiała mieścić się na drugim piętrze. Nic z niej nie zostało. Pendergast stał w tonącym w półmroku pokoiku dziecka, zastanawiając się. Ten pokój powinien się nadać.

Czekał w kompletnym bezruchu pięć, dziesięć minut. Wreszcie, krzywiąc się z bólu, wolno położył się na podłodze, ignorując warstwę popiołu, węgla i brudu pokrywającą płytki. Złożył ręce na piersiach i przez chwilę wodził

wzrokiem po ścianach i suficie, zanim zamknął oczy i ponownie znieruchomiał.

Pendergast należał do nielicznej garstki wybrańców, którzy mieli okazję poznać ezoteryczną sztukę mentalną znaną jako Chongg Ran i jednego z dwóch jej mistrzów przebywających poza Tybetem. Po latach treningu, intensywnych ćwiczeń, niemal fanatycznego rygoru intelektualnego i poznawania innych umysłowych technik, takich jak te, które można znaleźć w *Ars Memoriae* Giordana Bruna i *Dziewięciu poziomach świadomości* opisanych w rzadkim siedemnastowiecznym traktacie Alexandre'a Carêma, Pendergast rozwinął w sobie zdolność wprawiania się w stan czystego skupienia, najwyższej koncentracji. Z tego stanu – całkowicie oderwawszy się do świata fizycznego – potrafił łączyć w swoim umyśle tysiące oddzielonych od siebie faktów, spostrzeżeń, przypuszczeń i hipotez. Dzięki temu zjednoczeniu i syntezie był w stanie odtwarzać sceny z przeszłości i przenosić się do miejsc i między ludzi, którzy odeszli dawno temu. To ćwiczenie często prowadziło do zdumiewających odkryć, niemożliwych do osiągnięcia w żaden inny sposób.

Problem stanowiła dyscyplina intelektualna, konieczność oczyszczenia umysłu ze wszystkiego, co go rozpraszało, zanim możliwe będzie pójście krok dalej. W jego obecnym stanie zadanie to wydawało się wyjątkowo trudne.

Najpierw musiał wyizolować ból, starając się równocześnie jak najlepiej oczyścić umysł. Kiedy już wszystko od siebie odsunął, zaczął od problemów natury matematycznej: całkowania $e^{-(x^2)}$, e podniesionego do potęgi minus x kwadrat.

Ból nie mijał.

Potem zajął się rachunkiem tensorowym, rozpracowując równocześnie dwa problemy w analizie wektorowej.

Ból wciąż nie mijał.

Konieczna była jeszcze inna metoda. Oddychając płytko i mając oczy delikatnie, lecz całkowicie zamknięte, spróbował nakłonić umysł, żeby przestał odbierać ból, który przenikał jego kończyny. Pendergast pozwolił, by w jego wyobraźni pojawiła się maleńka idealna orchidea. Następnie pozwolił, żeby orchidea rozpadła się powoli na poszczególne części: płatki, pręciki, załącznik, liście kielicha, liście boczne i liście grzbietowe.

Skupił się na pojedynczym elemencie: warzce rośliny. Sprawił, że reszta kwiatu rozrosła się i wypełniła całe jego mentalne pole widzenia. Wiąz się powiększała, aż był w stanie wejrzeć poza enzymy, łańcuchy DNA i powłoki elektronów w głąb struktury atomowej tego elementu, a nawet głębiej, do cząsteczek na poziomie subatomowym. Przez dłuższą chwilę patrzył beznamiętnie, jak najgłębsze i najbardziej ukryte elementy struktury orchidei poruszają się w sposób dziwny i niepojęty. I wtedy – ogromnym wysiłkiem woli – zatrzymał cały silnik atomowy kwiatu, zmuszając niezliczone miliardy cząsteczek do tego, by zawisły w bezruchu w czarnej próżni jego wyobraźni.

Kiedy w końcu pozwolił, żeby warzka rośliny znikła z jego umysłu, ból odszedł.

Wciąż znajdując się w głębi swojego umysłu, opuścił niedoszły pokójk dziecinny, zszedł po schodach, przeniknął przez zamknięte frontowe drzwi i znalazł się na ulicy. Była noc, sześć, może dziewięć miesięcy temu.

Nagle dom, który właśnie opuścił, eksplodował feerią płomieni. Kiedy tak patrzył – bezcielesny, niezdolny do działania, nie mogąc robić nic, jak tylko przyglądać się – przyspieszacz błyskawicznie rozprzestrzeniły ogień na całe drugie piętro. W głębi ciemnej uliczki zauważył dwie oddalające się biegiem mroczne sylwetki.

Niemal natychmiast trzask płomieni złał się w jedno z przeraźliwymi krzykami kobiety. Zebrał się tłum, nawołując i wrzeszcząc histerycznie. Kilku ludzi próbowało sforsować zamknięte frontowe drzwi prowizorycznymi taranami. Zajęło im to może minutę, ale krzyki już ucichły, a drugie piętro runęło, zmieniając się w ognisty labirynt belek i fragmentów sufitu. A jednak kilku mężczyzn – Pendergast rozpoznał wśród nich Fábía – wbiegło do budynku, pospiesznie tworząc ochotniczą brygadę gaśniczą.

Pendergast obserwował ich energiczne, szaleńcze działania dzięki widmowej mieszance intelektu i pamięci. W pół godziny ogień ugaszono, ale co złego miało się stać, już się stało. Ujrzał teraz nową postać biegnącą pod górę wzdłuż Rio Paranoá. Rozpoznał ją – to był jego syn Alban. Ale był to Alban, jakiego Pendergast wcześniej nie widział. Zamiast jak dotąd wyniosłego, pogardliwego i znudzonego wyrazu twarzy zobaczył, że Alban emanuje smutkiem i trwogą. Sprawiał wrażenie, jakby przebiegł spory

dystans. Zasapany przedarł się przez tłum, torując sobie drogę do domu o numerze trzydzieści jeden.

W drzwiach spotkał się z nim jego adiutant Fábio. Twarz miał umorusaną od sadzy i ociekającą potem. Alban próbował go wyminąć, ale Fábio zastąpił mu drogę i stanowczo pokręcił głową, błagając, aby nie wchodził do domu.

Wreszcie Alban cofnął się chwiejnie kilka kroków. Oparł się jedną ręką o tynkowaną fasadę, żeby nie upaść. Pendergast obserwujący to wszystko oczyma wyobraźni miał wrażenie, że jakby świat Albana właśnie rozsypywał się w gruzy. Jego syn zaczął rwać włosy z głowy, uderzył pięścią w pocerniałą od sadzy ścianę, wydając z siebie ni to jęk, ni to skowyt rozpacz. Był to wyraz bólu i żałoby, jakiego Pendergast nigdy nie widział i nie spodziewał się ujrzeć u Albana.

Nagle Alban się zmienił. Był teraz spokojny, niemal nieludzko spokojny. Spojrzał na zgliszcza domu, które wciąż dymiły, na zawalone piętra, z których nadal sypały się rozżarzone węgle. Odwrócił się do Fábio i zadał mu konkretne pytania cichym, lecz stanowczym tonem. Fábio słuchał go i kiwał głową. A potem obaj odwrócili się i zniknęli w mroku jednej z bocznych uliczek.

Na chwilę sceny rozgrywające się w głowie Pendergasta zniknęły. Kiedy znów się pojawiły, lokalizacja się zmieniła. Znajdował się teraz przed zabudowaniami na szczycie Cidade dos Anjos: otoczonego siatką z bramą kompleksu, który opuścił zaledwie przed godziną. Teraz to miejsce wyglądało raczej jak wojskowy garnizon, a nie rezydencja. Dwóch strażników patrolowało teren wokół wraz z psami; mieli grube skórzane rękawice i krążyli z czworonogami po placyku. W oknach na najwyższym piętrze środkowego budynku paliło się światło, słychać było dobiegające stamtąd rozmowy i śmiech. Ze swojego miejsca wśród cieni po drugiej stronie ulicy Pendergast zauważył sylwetkę potężnego mężczyzny, który przeszedł przed jednym z okien. To był O Punho – Pięść.

Pendergast obejrzał się przez ramię, w dół faweli rozciągającej się na połaci górskiego zbocza. Prawie kilometr niżej, wśród labiryntu uliczek, dało się dostrzec słabą łunę – dom Albana wciąż się tlił.

Teraz dał się słyszeć nowy dźwięk: cichy warkot silnika. Pendergast ujrzał rozklekotanego jeepa z wygaszonymi światłami, który podjechał i zatrzymał się na poboczu drogi jakieś czterysta metrów dalej. Z fotela kierowcy

podniosła się, a następnie wysiadła z samochodu samotna postać – Alban.

Pendergast, w myślach mrużąc lekko powieki, wyteżył wzrok, żeby lepiej się przyjrzeć. Alban miał przewieszony przez ramię wielki plecak i broń w każdym ręku. Przywarł do ściany najbliższego domu, a gdy upewnił się, że nikt go nie zauważył, pospiesznie przemknął ciemną ulicą w stronę bramy wejściowej kompleksu.

I wtedy wydarzyło się coś zaskakującego. W chwili, kiedy dotarł do bramy, Alban przystanął, odwrócił się i spojrzał wprost na Pendergasta.

Oczywiście Pendergast nie mógł zostać zauważony. Nie było go tam fizycznie, bo ciałem przebywał w ruinach pokoiku dziecinnego, a to wszystko było jedynie wytworem jego umysłu. A jednak przenikliwe, dziwnie świadome spojrzenie Albana zaniepokoiło go, grożąc rozerwaniem i tak już słabego łącza pamięci.

Nagle Alban odwrócił wzrok. Przykucnął, sprawdzając broń: dwa TEC-9 zaopatrzone w tłumiki i magazynki na trzydzieści dwa naboje.

Jeden ze strażników przed bramą odwrócił się i przystanął, żeby zapalić cygaro. Alban natychmiast zakradł się i zaczekał, aż drugi strażnik zbliży się do tego miejsca. Zdawał się przewidywać ruchy mężczyzny. Kiedy strażnik ruszył dalej, Alban wyjął zza pasa nóż, zaczekał, aż tamten zatrzyma się i zapali zapalniczkę; gdy mężczyzna skupił się na zapaleniu papierosa, poderżnął mu gardło. Wilgotne westchnienie było jedynym odgłosem, jaki się rozległ, gdy Alban delikatnie opuszczał ciało strażnika na ziemię, i w tej samej chwili drugi strażnik, który właśnie zapalił cygaro, odwrócił się. Strażnik sięgnął po broń, lecz Alban, znów wykorzystując swój nadnaturalny dar przewidywania zdarzeń w krótkim czasie, chwycił lufę, wyrwał pistolet maszynowy z rąk strażnika i zatopił ostrze noża w jego sercu.

Upewniwszy się, że obaj strażnicy są martwi, Alban znów wycofał się na poprzednią pozycję. Zdjął z ramienia wypchany plecak, postawił na ziemi i wyjął z niego coś, co wyglądało masywnie i groźnie. Gdy wykonywał te czynności, Pendergast rozpoznał długi przedmiot w jego rękach – ręczny granatnik przeciwpancerny RPG-7.

Alban znieruchomiał, przygotowując się. Ponownie zarzucił plecak na ramię, włożył oba TEC-9 za pasek spodni i raz jeszcze zbliżył się do ogrodzenia kompleksu. Gdy Pendergast patrzył z mroków pamięci, Alban zatrzymał się w pewnej odległości od bramy, zarzucił granatnik na ramię,

złożył się do strzału i wypalił.

Rozległa się potężna eksplozja, a po niej w niebo wzbiła się olbrzymia chmura dymu i pomarańczowych płomieni. Z oddali Pendergast usłyszał okrzyki, szczekanie psów i brzęk sypiących się dokoła na ziemię odłamków metalu. Z kłębow dymu wybiegli strażnicy z psami. Alban zarzucił RPG-7 na drugie ramię i wyciągnął zza paska TEC-9, po czym krótkimi seriami z broni automatycznej zlikwidował wszystkie nadbiegające drużyny, zanim na dobre wyłoniły się z zasłony dymnej.

Kiedy nie pojawili się kolejni strażnicy, Alban sięgnął do plecaka, wyjął następny pocisk i załadował go do granatnika. Przeszedł ostrożnie przez zniszczone ogrodzenie z bronią gotową do strzału, a tu i ówdzie w powietrze wciąż wzbijały się kłęby gęstego, gryzącego dymu. Pendergast podążył za nim.

Dziedziniec był pusty. W centralnym budynku panowała konsternacja i wyraźnie coś się tam działo. Kilka sekund później z okna na górze rozległ się terkot broni maszynowej. Alban jednak ukrył się w osłoniętym miejscu, gdzie nie mogły go dosięgnąć kule. Ponownie uniósł granatnik do strzału i odpalił pocisk w okna na najwyższym piętrze. Rozleciały się w drobny mak pośród kaskady potłuczonego szkła, roztrzaskanych fragmentów pustaków i pogruchotanego drewna. Kiedy echo wybuchu ucichło, dały się słyszeć dochodzące ze środka okrzyki bólu. Alban założył następny granat do RPG-7 i oddał kolejny strzał.

Teraz z budynków po lewej i prawej stronie zaczęli wybiegać uzbrojeni mężczyźni. Alban zasypał ich krótkimi celnymi seriami z TEC-9, po czym przemknął z jednego spłachetka czerni do drugiego, z jednego gwarantującego schronienie miejsca do drugiego, zanim tamci rozpoczęli ostrzał.

W kilka minut zabójczy balet dobiegł końca. Kilkunastu mężczyzn było martwych; ich ciała zalegały w drzwiach lub na bruku dziedzińca.

Alban zbliżył się do centralnego budynku z bronią automatyczną gotową do strzału. Wszedł frontowymi drzwiami. Pendergast ruszył za nim. Alban rozejrzał się pospiesznie dokoła, po czym skradając się, zaczął wspinać się na górę.

U szczytu schodów z ciemnego pokoju wyskoczył nagle mężczyzna, trzymając w ręku pistolet, lecz Alban dzięki swojemu szóstemu zmysłowi

przewidział ten ruch i strzelił, zanim napastnik zbliżył się do schodów; zabójcze pociski rozerwały framugę i drzwi, uśmiercając mężczyznę, który się zza nich wyłonił. Alban przystanął, by wyjąć puste magazynki z TEC-9 i założyć nowe, pełne. Następnie wszedł po schodach na drugie piętro.

Biuro – to samo, które Pendergast miał okazję odwiedzić zaledwie przed godziną, ale pół roku później – było kompletnie zniszczone. Meble płonęły, w ścianach ziały dwa otwory wlotowe po pociskach do granatnika. Alban przeszedł na środek pomieszczenia z bronią gotową do strzału i powoli rozejrzał się dokoła. Co najmniej cztery okrwawione postacie leżały nieruchomo: kilka na poprzewracanych krzesłach, a jedna przyszpilona do ściany wielkim fragmentem roztrzaskanego drewnianego mebla.

W poprzek biurka leżał muskularny mężczyzna; strużki krwi wyciekały mu z nosa i ust. O Punho. Mężczyzna zadrżał leciutko. Alban odwrócił się do niego i posłał celną serię, przeszywając ciało przywódcy gangu co najmniej sześcioma kulami. Chwila upiornych konwulsji, charczący dźwięk, a potem cisza. Krew rozlała się po podłodze i wypłynęła przez otwór w ścianie budynku.

Alban znieruchomiał, nasłuchując. Ale wszędzie panowała cisza. Adiutanci O Punho i jego ochroniarze byli martwi – wszyscy.

Jeszcze chwilę Alban stał pośród krwi i zniszczeń. A potem wolno – bardzo wolno – osunął się na podłogę, w rozlewające się wokoło, tworzące wielkie kałuże strugi szkarłatnej krwi.

Obserwując go, Pendergast przypomniał sobie słowa Fábía. *Pan nic nie rozumie. Coś się w nim zmieniło, kiedy zamordowano jego żonę i dziecko.*

Stojąc w wejściu, oczyma wyobraźni Pendergast przyglądał się synowi, który osunął się na podłogę i leżał tam milczący i nieruchomy pośród zniszczeń, jakie spowodował, a krew wsiąkała powoli w jego ubranie. Czyżby Fábío powiedział prawdę? Czyżby Pendergast miał do czynienia z czymś więcej niż tylko z brutalnym odwetem? Czy to możliwe, że był świadkiem tego, jak w jego synu odezwały się wyrzuty sumienia? Czy była to swego rodzaju surowa sprawiedliwość? Czy to możliwe, że Alban zrozumiał, czym naprawdę jest zło – prawdziwe zło? Czy Alban się zmienił?

Nagle ściany zrujnowanego biura zamigotały, na moment szerniały, ponownie pojawiły się w umyśle agenta i znowu zniknęły. Pendergast rozpaczliwie próbował utrzymać tę ścieżkę pamięci: chciał dalej obserwować

syna, poznać odpowiedź na dręczące go pytania. Wtedy jednak znów przeszył go ból, tym bardziej dojmujący, że długo tłumiony, i cały obraz – płonący kompleks, okrwawione ciała i Alban – rozmył się w umyśle agenta.

Przez chwilę Pendergast po prostu leżał w bezruchu w starym, spalonym pokoiku dzieciennym. Wreszcie otworzył oczy i z trudem podźwignął się na nogi. Otrzeptał się z pyłu i rozejrzał wokoło niepewnym wzrokiem. A potem jak we śnie opuścił pokój, zszedł po schodach i wyłonił się z półmroku na skąpaną w promieniach słońca zaśmieconą ulicę.

Margo Green zajęła miejsce przy stole konferencyjnym w sali sekcyjnej na dziewiątym piętrze gmachu One Police Plaza. Pomieszczenie stanowiło dziwaczne połączenie sali komputerowej i autopsyjnej – obok terminali i stanowisk komputerowych stały wózki noszowe, podświetlarki i pojemniki na odpady niebezpieczne.

Po drugiej stronie stołu siedział D'Agosta. Zawezwał ją z muzeum, gdzie spędzała popołudnie, analizując anomalie wykryte w kościach pani Padgett i unikając doktora Frisby'ego. Obok niego siedział wysoki Azjata, a jeszcze dalej Terry Bonomo z nieodłącznym laptopem. Wiercił się nerwowo na siedzeniu i uśmiechał w przestrzeń.

– Margo – rzekł D'Agosta – dzięki, że się zjawiałaś. Znasz już Terry'ego Bonomo. – Skinął głową w stronę drugiego z mężczyzn. – A to doktor Lu z Columbia Medical School. Jest ekspertem od chirurgii plastycznej. Doktorze Lu, to doktor Green, etnofarmakolog i antropolog z Instytutu Pearsona.

Margo skinęła głową do doktora Lu, który uśmiechnął się w odpowiedzi. Miał olśniewająco białe zęby.

– Teraz, kiedy jesteście tu oboje, mogę wreszcie zadzwonić.

D'Agosta sięgnął po telefon leżący pośrodku stołu, wcisnął przycisk głośnomówiący i wybrał numer zamiejscowy. Odebrano już przy trzecim sygnale.

– Halo?

D'Agosta nachylił się w stronę głośnika.

– Czy rozmawiam z doktorem Samuelsem?

– Tak.

– Doktorze Samuels, tu porucznik D'Agosta z policji nowojorskiej. Przełączyłem tę rozmowę na tryb głośnomówiący i przysłuchują się jej chirurg plastyczny z Columbia Medical oraz antropolog współpracująca

z Nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej. Czy zechciałby pan podzielić się z nimi tym, co powiedział mi pan wczoraj?

– Oczywiście. – Mężczyzna odchrząknął. – Jak już mówiłem porucznikowi, jestem patologiem pracującym dla wydziału więziennictwa w Indio w Kalifornii. Prowadziłem autopsję niezidentyfikowanego mężczyzny, który popełnił samobójstwo, podejrzanego w sprawie zabójstwa pracownika waszego muzeum, gdy nagle coś zwróciło moją uwagę.

Przerwał.

– Najpierw ustaliłem przyczynę śmierci, która, jak pan wie, była dość niezwykła. Chociaż byłem kompletnie zdegrustowany oględzinami zwłok, zwróciłem uwagę na pewne niezwykle zagojone blizny. Znajdowały się wewnątrz ust, wzdłuż górnej i dolnej bruzdy dziąsłowej. Z początku pomyślałem, że może to być rezultat dawnego pobicia albo wypadku samochodowego. Gdy zacząłem je badać, stwierdziłem, że blizny były jak na to zbyt precyzyjne. Odkryłem też podobne, symetryczne blizny po drugiej stronie ust. Wówczas zrozumiałem, że był to efekt zabiegu chirurgicznego, a konkretnie zabiegu chirurgicznej rekonstrukcji twarzy.

– Implanty w policzkach i podbródku? – zapytał doktor Lu.

– Tak. Wykazały to prześwietlenie rentgenowskie oraz tomografia komputerowa. Na zdjęciach pojawiły się także płytki – z tytanu, jak się okazało – przytwierdzone do żuchwy.

Doktor Lu pokiwał głową z zamyśleniem.

– Czy były jeszcze inne blizny? Na czaszce, biodrze lub wewnątrz nosa?

– Kiedy oglądaliśmy czaszkę, nie odkryliśmy żadnych blizn. Ale owszem, natknęliśmy się na nacięcia wewnątrz nosowe i bliznę na biodrze, nieco powyżej grzebienia biodrowego. Zdjęcia, które przesłałem porucznikowi D'Agoście, dokumentują wszystko.

– Czy autopsja wykazała jeszcze jakieś anomalie, natury chemicznej albo innej? – spytał D'Agosta. – Ten człowiek, zanim się zabił, musiał cierpieć przeraźliwe katusze. I zachowywał się, jakby był kompletnie obłąkany. Mógł zostać otruty.

Chwila ciszy.

– Chciałbym, żebyśmy stwierdzili to z całkowitą pewnością. W jego krwi natrafiliśmy na niezwykłą substancję, którą wciąż staramy się zanalizować. Nerki tego człowieka prawie nie pracowały, możliwe, że była za to

odpowiedzialna ta dziwna substancja.

– Jeżeli ustalili pan coś konkretnego, proszę skontaktować się ze mną za pośrednictwem porucznika – odezwała się Margo. – Poza tym byłabym wdzięczna, gdyby mógł pan również przeprowadzić analizę kości szkieletu tego człowieka na obecność podejrzanych substancji.

– Zrobię to. Ach i jeszcze jedno, ten człowiek farbował włosy. W rzeczywistości nie był brunetem, lecz ciemnym blondynem.

– Dziękuję, doktorze Samuels. Gdyby odkrył pan coś jeszcze, proszę o telefon. – D’Agosta wyłączył tryb głośnomówiący, kończąc połączenie.

Na stole leżała duża szara koperta, którą D’Agosta przesunął w stronę Lu.

– Doktorze? Czy zechciałby pan wspomóc nas swoją ekspertyzą?

Chirurg plastyczny otworzył kopertę i wyjął jej zawartość, którą szybko rozłożył na dwie kupki. Margo zauważyła, że po jednej stronie znalazły się zdjęcia twarzy i te z kostnicy, a po drugiej barwne fotografie rentgenowskie i skany tomograficzne.

Lu przejrzał fotografie mężczyzny, którego Margo rozpoznała jako fałszywego profesora Waldrona. Wziął do ręki powiększone zdjęcie twarzy i pokazał pozostałym; Margo zwróciła uwagę, że były na nim widoczne wewnątrz ust, górne dziąsła, podniebienie miękkie i języczek.

– Doktor Samuels miał rację – rzekł Lu, wodząc palcem wzdłuż słabo widocznej linii nad dziąsłem. – Proszę zwrócić uwagę na to wcięcie intraoralne, na górną bruzdę dziąsłową, o której wspominał doktor Samuels.

– O czym to świadczy? – spytał D’Agosta.

Lu odłożył zdjęcie.

– Istnieją dwa podstawowe rodzaje chirurgii plastycznej. Pierwsza to praca ze skórą. Lifting twarzy, usuwanie worków pod oczami, zabiegi, które sprawiają, że wygląda się młodziej. Drugi rodzaj to praca z kośćmi. Ta jest znacznie bardziej inwazyjna i wykorzystuje się ją w wypadku urazów. Powiedzmy, że miał pan wypadek samochodowy i doznał pan zmiążdżenia kości twarzy. Chirurgia plastyczna kości postara się pomóc w usunięciu uszkodzeń. – Machnął ręką w stronę zdjęć. – Większość zabiegów, jakim poddano tego człowieka, wiązała się z chirurgią kostną.

– A jeśli idzie o chirurgię kostną – czy można ją wykorzystać do zmiany wyglądu?

– Zdecydowanie. Prawdę mówiąc, ponieważ nie widzę tu żadnych oznak

wcześniejszych urazów, powiedziałbym, że wszystkie zabiegi, jakie przeszedł ten mężczyzna, miały na celu wyłącznie zmianę jego wyglądu.

– Ile operacji trzeba, aby tego dokonać?

– Jeżeli wystarczyłaby zmiana orientacji kości, dajmy na to wysunięcie środkowej części twarzy, to po jednej operacji pacjent wyglądałby zupełnie inaczej, zwłaszcza po przefarbowaniu włosów.

– Ale zdaje się, że ten człowiek przeszedł kilka zabiegów.

Lu pokiwał głową, po czym wziął do ręki inne zdjęcie i pokazał je pozostałym. Margo rozpoznała je z pewnym niesmakiem jako zbliżenie wnętrza włochatego nosa.

– Widzicie to nacięcie wewnątrznosowe? Jest dobrze ukryte, ale widoczne, jeżeli wie się, czego szukać. Lekarz wykorzystał to nacięcie, by wprowadzić do nosa silikon, bez wątplenia po to, żeby wydawał się wyższy.

Chirurg przejrzał pozostałe zdjęcia.

– Górne wcięcie intraoralne, w miejscu gdzie dziąsło styka się z bruzdą, musiało zostać wykorzystane do zmiany kształtu policzków. Robi się nacięcia po obu stronach, tworzy w kości kieszeń i umieszcza w nich implanty. Dolne nacięcie intraoralne natomiast mogło posłużyć dodaniu silikonu do podbródka, aby go uwydatnić.

Terry Bonomo miał już otwarty laptop i zawzięcie sporządzał na bieżąco notatki. Margo patrzyła, jak D'Agosta wierci się na krześle.

– A więc nasz przyjaciel miał zmieniony wygląd policzków, podbródka i wysokość nosa. – Spojrzał znacząco w stronę Bonomo. – Coś jeszcze?

– Samuels wspomniał o tytanowych płytkach – powiedział Lu.

Sięgnął po zdjęcie rentgenowskie, wstał i podszedł do rzędu podświetlarek na jednej ze ścian. Włączył je, podpiął zdjęcia rentgenowskie do szyb i obejrzał z uwagą.

– Ach tak. Przeprowadzono zmianę wyglądu poprzez wydłużenie żuchwy.

– Czy mógłby pan to wyjaśnić dokładniej, bardzo proszę? – zapytał Bonomo.

– Zabieg ten nazywany jest osteotomią LeForta. Polega dosłownie na złamaniu i ponownym zestawieniu kości twarzy. Wykorzystując to samo nacięcie wzdłuż górnej bruzdy dziąsłowej, dociera się aż do kości i przecina ją, żeby stała się ruchoma, a następnie wypycha się żuchwę do przodu. W celu wypełnienia powstałych wolnych przestrzeni dodaje się fragmenty

kości z innych obszarów ciała, zwykle pobiera się je z czaszki lub biodra pacjenta. W wypadku tej osoby mamy do czynienia z blizną powyżej grzebienia biodrowego, tak więc dodatkowe fragmenty kości musiały zostać pobrane z biodra. Po zakończeniu tego zabiegu zakłada się tytanowe płytki mające utrzymać szczękę we właściwym położeniu. Widać je tutaj. – Wskazał na zdjęcie rentgenowskie.

– Chryste Panie – westchnął Bonomo. – To musiało boleć.

– Kiedy te wszystkie zabiegi zostały przeprowadzone? – spytała Margo.

Lu spojrział na zdjęcie.

– Trudno powiedzieć. Kość szczęki jest całkowicie zagojona, tu widać wyraźnie stwardnienie. Tytanowe płytki nie zostały usunięte, ale to nic niezwykłego. Powiedziałbym, że co najmniej parę lat temu, może trochę więcej.

– Naliczyłem cztery procedury – rzekł D’Agosta. – I mówi pan, że to by wystarczyło, żeby kompletnie zmienić wygląd człowieka?

– Wystarczyłaby osteotomia LeForta.

– A czy na podstawie zdjęć rentgenowskich, fotografii i skanów tomograficznych mógłby pan przeprowadzić analizę wsteczną tych zmian? Pokazać nam, jak wyglądał ten człowiek, zanim przeszedł te wszystkie operacje?

Lu pokiwał głową.

– Mogę spróbować. Pęknięcia w szpiku kostnym i wielkość nacięć w błonie śluzowej są dość wyraźne. Możemy zacząć od tego.

– Świetnie. Proszę wziąć się do pracy z obecnym tu Terryem Bonomo i przekonajmy się, czy uda się odtworzyć pierwotny wygląd twarzy tego człowieka.

D’Agosta odwrócił się do eksperta w dziedzinie portretów pamięciowych.

– Dasz radę?

– Pewnie, że tak – odparł Bonomo. – Jeżeli doktor poda mi konkretne dane, zmodyfikowanie biometryki twarzy to będzie pestka. Mam już gotowy program podstawowy z fragmentarycznymi elementami twarzy naszego gagatka, a teraz muszę jedynie przeprowadzić standardową procedurę operacyjną i mówiąc najogólniej, wykonać ją wspak.

Margo tylko patrzyła, gdy doktor Lu zajął miejsce obok Bonomo i wspólnie, pochyliwszy się nad laptopem, mężczyźni zajęli się

przemodelowaniem twarzy zabójcy, wymazując efekty pracy anonimowego chirurga plastycznego sprzed kilku lat. Od czasu do czasu Lu spoglądał na fotografie z autopsji albo zdjęcia rentgenowskie i skany tomograficzne, w miarę jak wraz z Bonomo żmudnie korygowali rozmaite parametry w wyglądzie policzków, podbródka, nosa i szczęki.

– Nie zapomnij o włosach koloru ciemnoblond – rzucił D’Agosta.

Dwadzieścia minut później Bonomo teatralnym gestem wcisnął jeden z klawiszy.

– Renderowanie obrazu zajmie parę chwil.

Margo usłyszała, jak pół minuty później laptop zaświergotał. Bonomo odwrócił go do doktora Lu, który spojrział na ekran i energicznie pokiwał głową. Następnie Bonomo ustawił laptop tak, by mogli zobaczyć obraz na nim Margo i D’Agosta.

– Boże – wymamrotał porucznik.

Margo była w szoku. Chirurg plastyczny miał rację, na ekranie widniała twarz zupełnie innego mężczyzny.

– Chcę, żebyś stworzył model tej twarzy z kilku różnych ujęć – polecił D’Agosta Bonomo. – A następnie wprowadził ten portret do wydziałowej bazy danych. Dokonamy analizy porównawczej i przekonamy się, czy nasz sprawca był rejestrowany w policyjnym archiwum.

Odwrócił się do Lu.

– Dziękuję za poświęcony czas, doktorze.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Zaraz wracam, Margo – powiedział D’Agosta i wstał, żeby opuścić pomieszczenie.

Niecałe dwadzieścia minut później wrócił zdyszany i z rumieńcami na twarzy.

– Niech to szlag – zwrócił się Margo. – Mieliśmy farta. Tak po prostu.

Pendergast zatrzymał samochód na parkingu dla gości przy Sanatorium de Piz Julier i wyłączył silnik. Tak jak się spodziewał, parking był pusty: spa, nieduże, leżało na odludziu i przyjmowało tylko wybranych gości. A obecnie w rezydencji przebywał tylko jeden pacjent.

Agent wysiadł z dwunastocylindrowego lamborghini gallardo aventador i powoli przeszedł na drugi koniec parkingu. Za nim, daleko w dole zielone połacie Alp wiodły do szwajcarskiego kurortu St. Moritz, z tej odległości sprawiającego wrażenie zbyt doskonałego i nazbyt pięknego, żeby mógł być prawdziwy. Na południe wznosił się Piz Bernina, najwyższy szczyt wschodnich Alp. Na jego dolnych stokach spokojnie skubały trawę owce, maleńkie punkciki bieli.

Pendergast odwrócił się i ruszył w stronę sanatorium, czerwono-białej budowli z fasadą jak w domku z piernika i skrzyniami pełnymi kwiatów pod każdym oknem. Choć nadal był słaby i chwiały się na nogach, najpoważniejsze symptomy – ból i zmęczenie umysłu – jakich doświadczył w Brazylii, przynajmniej na razie ustąpiły. Zrezygnował nawet z zamiaru zatrudnienia szofera i po prostu wynajął samochód. Lamborghini nie było w jego stylu, bo za bardzo rzucało się w oczy, uznał jednak, że szybkość i opanowanie, jakiego wymaga ten pojazd na górskich drogach, pomogą mu w przywróceniu jasności umysłu.

Zatrzymał się przed frontowymi drzwiami i nacisnął dzwonek. Nierzucająca się w oczy kamera ochrony zamontowana nad drzwiami obróciła się w jego stronę. Rozległ się głośny brzęczyk, drzwi otworzyły się i agent wszedł do środka. W holu znajdowała się recepcja. Za kontuarem siedziała kobieta w białym fartuchu i czepku.

– *Ja?* – spytała, spoglądając wyczekująco.

Pendergast sięgnął do kieszeni i podał jej legitymację. Kobieta otworzyła szufladę, wyjęła teczkę, spojrzała na znajdujące się w niej zdjęcie, a potem

znów na agenta.

– Ach tak – rzekła, odkładając teczkę i przechodząc na angielski z silnym akcentem – *Herr Pendergast*. Spodziewaliśmy się pana. Proszę zaczekać.

Uniosła słuchawkę telefonu stojącego na kontuarze i wybrała numer. Po chwili w ścianie za nią z cichym brzęczeniem otworzyły się drzwi i pojawiły się dwie kolejne pielęgniarki. Jedna z nich gestem przywołała do siebie Pendergasta. Podążył za kobietami długim chłodnym korytarzem ozdobionym oknami, przez które wpadały silne promienie porannego słońca. Dzięki zasłonom z tafty i kolorowym fotografiom Alp miejsce to wydawało się barwne i radosne. Jednak kraty w oknach zrobiono z hartowanej stali, a pod białymi fartuchami pielęgniarek można było dostrzec charakterystyczne wybrzuszenia ukrytej broni.

Przystanęli na końcu korytarza, przed zamkniętymi drzwiami. Pielęgniarki otworzyły je, cofnęły się i gestem zaprosiły Pendergasta do środka.

Za drzwiami znajdował się przestrzenny pokój, a przez okna, otwarte, lecz okratowane, rozciągał się przepiękny widok na jezioro poniżej. Były tu łóżko, biurko, regał z książkami w języku angielskim i niemieckim, fotel oraz łazienka z wanną.

Przy stole, skąpanym w promieniach słońca, siedział siedemnastoletni młodzieniec. Z zapalem – i niemałym trudem – kopiował coś z jednej z książek do swojego dziennika. Słońce złociło jego jasne blond włosy. Szaroniebieskie oczy chłopaka spoglądały to do książki, to do dziennika i z powrotem. Młodzieniec był tak pochłonięty pracą, że nie zdawał sobie sprawy, iż ktoś wszedł do pokoju. Pendergast w milczeniu przyglądał się patrycjuszowskim rysom i szczupłej sylwetce młodzieńca.

Zmęczenie narastało w nim.

Nastolatek uniósł wzrok znad swojej pracy. Przez krótką chwilę na jego twarzy malowało się zakłopotanie. Zaraz jednak uśmiechnął się szeroko.

– Ojcze! – zawołał, zrywając się z fotela. – Cóż za niespodzianka!

Pendergast pozwolił sobie odwzajemnić uścisk. Potem zapadła niezręczna cisza.

– Kiedy będę mógł opuścić to miejsce? – zapytał w końcu Tristram. – Nie cierpię tu być. – Mówił dziwnie formalną szkolną angielszczyzną z niemieckim akcentem złagodzoną portugalskimi naleciałościami.

– Obawiam się, że to jeszcze trochę potrwa, Tristramie.

Chłopak zmarszczył brwi i przez chwilę bawił się pierścieniem na środkowym palcu lewej dłoni – złotą obrączką z wprawionym w nią gwiaździstym szafirem.

– Dobrze cię tu traktują?

– Może być. Jedzenie jest pyszne. I każdego dnia chodzę na piesze wycieczki. Ale przez cały czas ktoś nade mną czuwa. Nie mam tu żadnych przyjaciół i nudzę się. Bardziej podobało mi się w École Mère-Église. Czy mogę tam wrócić, ojcze?

– Już niebawem. – Pendergast zamilkł. – Kiedy tylko uporam się z pewnymi sprawami.

– Jakimi?

– To nic, czym powinieneś się przejmować. Posłuchaj, Tristramie, chciałbym cię o coś zapytać. Czy od naszego ostatniego spotkania przydarzyło ci się coś niezwykłego?

– Niezwykłego?

– Coś dziwnego. Może dostałeś jakiś list? Odebrałeś niespodziewany telefon? Ktoś złożył ci niezapowiedzianą wizytę?

Przez twarz Tristrama przemknął cień. Chłopak zawahał się. A potem w milczeniu pokręcił przecząco głową.

– Nie.

Pendergast spojrzał na niego przenikliwym wzrokiem.

– Kłamiesz.

Tristram nie odpowiedział, wlepił wzrok w ziemię.

Pendergast wziął głęboki oddech.

– Nie bardzo wiem, jak mam ci to powiedzieć. Twój brat nie żyje.

Tristram drgnął nerwowo.

– Alban? *Tot?*

Pendergast pokiwał głową.

– Jak to się stało?

– Został zamordowany.

W pokoju zapadła cisza. Tristram, wstrząśnięty, patrzył przez chwilę w przestrzeń, ale w końcu znów spuścił wzrok. W kącie jego oka zadrzała łza i spłynęła po policzku.

– Żal ci go? – spytał Pendergast. – Po tym, jak cię traktował?

Tristram pokręcił głową.

– Był moim bratem.

Te słowa głęboko poruszyły Pendergasta. Był też moim synem. Zastanawiał się, dlaczego śmierć Albana wzbudziła w nim tak mało emocji, dlaczego brakowało mu współczucia, jakie miał jego drugi syn.

Zauważył, że Tristram przygląda mu się ciemnoszarymi oczami.

– Kto to zrobił?

– Jeszcze nie wiem. Próbuję się tego dowiedzieć.

– To musiało być trudne... zabić Albana.

Pendergast nie odpowiedział. Czuł się skrępowany, gdy Tristram przyglądał mu się z takim przejęciem. Nie wiedział, jak ma być ojcem dla tego chłopaka.

– Jesteś niezdrów, ojcze.

– Dochodzę do siebie po ataku malarii, której nabawiłem się podczas moich ostatnich podróży. Nic poważnego – odparł pospiesznie.

W pokoju znów zapadła cisza. Tristram, który podczas tej wymiany zdań stał blisko ojca, usiadł ponownie przy swoim biurku. Sprawiał wrażenie, jakby toczył wewnętrzną walkę. Wreszcie przeniósł wzrok na Pendergasta.

– Tak. Skłamałem. Muszę ci o czymś opowiedzieć. Obiecałem mu, że tego nie zrobię, ale teraz, kiedy on nie żyje, chyba powinienes o tym wiedzieć.

Pendergast czekał.

– Alban mnie odwiedził, ojcze.

– Kiedy?

– Parę tygodni temu. Wciąż jeszcze byłem w Mère-Église. Wybrałem się na przechadzkę na wzgórze. Cekał na mnie na szlaku. Powiedział, że musiał się ze mną spotkać.

– Mów dalej.

– Wyglądał inaczej.

– W jakim sensie?

– Był starszy, szczuplejszy. Wydawał się zasmucony. A sposób, w jaki się do mnie zwracał... był inny niż dawniej. Nie było w nim... brakowało... – Poruszył rękami, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa. – *Verachtung*.

– Pogardy – podpowiedział Pendergast.

– Właśnie tak. W jego głosie nie było pogardy.

– O czym z tobą rozmawiał?

– Powiedział, że wybiera się do Stanów.
– Czy mówił po co?
– Tak. Powiedział, że zamierza... naprawić zło. Położyć kres jakiejś strasznej rzeczy, do której sam się przyczynił.
– Czy tak właśnie brzmiały jego słowa?
– Dokładnie tak. Nie rozumiem tego. Naprawić zło? Zapytałem go, co chce przez to powiedzieć, ale tego już nie wyjaśnił.
– Mówił coś jeszcze?
– Prosił, abym obiecał, że nie powiem ci o jego wizycie.
– To wszystko?
Tristram przerwał.
– Było coś jeszcze.
– Tak?
– Powiedział, że przyjechał prosić mnie o wybaczenie.
– Wybaczenie? – powtórzył zdumiony Pendergast.
– Tak.
– I co mu odpowiedziałeś?
– Przebaczyłem mu.
Pendergast wstał. Z niejaką rezygnacją zdał sobie sprawę, że ból i zmęczenie umysłu powoli zaczynają powracać.
– Jak poprosił cię o wybaczenie – zapytał oschłym tonem.
– Szlochając. Z rozpaczy niemal odchodził od zmysłów.
Pendergast pokręcił głową. Czy wyrzuty sumienia były szczerze, czy Alban próbował ćwiczyć na swoim bracie bliźniaku jakąś nową, okrutną grę?
– Tristramie. Przeniosłem cię tu dla twojego bezpieczeństwa, gdy zamordowano twojego brata. Próbuję odnaleźć zabójcę. Będziesz musiał pozostać tutaj, dopóki nie rozwiążę tej zagadki... i nie uporam się z pewnymi sprawami. Kiedy to nastąpi, mam nadzieję, że nie będziesz chciał wrócić do Mère-Église. Liczę na to, że zechcesz wrócić do Nowego Jorku i zamieszkać...
– zawahał się – z rodziną.
Oczy nastolatka rozszerzyły się, ale nic nie powiedział.
– Będę w kontakcie, albo bezpośrednio, albo poprzez Constance. Gdybyś czegoś potrzebował, napisz, proszę, i daj mi znać.
Podszedł do Tristrama, ucałował delikatnie w czoło i odwrócił się, żeby wyjść.

– Ojczy? – odezwał się Tristram.

Pendergast spojrział na niego.

– Znam objawy malarii. W Brazylii wielu *Schwächlinge* zmarło na malarię.

Ty cierpisz na inną chorobę.

– To moja sprawa, co mi dolega – odrzekł surowym tonem agent.

– Czy nie jest to również moja sprawa, skoro jestem twoim synem?

Pendergast zawahał się.

– Wybacz. Nie chciałem, by tak to zabrzmiało. Robię, co w mojej mocy, jeżeli chodzi o moją... dolegliwość. Bywaj, Tristramie. Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy.

I niezwłocznie opuścił pokój. Dwie pielęgniarki, które czekały na zewnątrz, zamknęły drzwi na klucz, a następnie odprowadziły Pendergasta korytarzem do holu i głównego wyjścia z sanatorium.

Thierry Gabler zajął miejsce na tarasie przed Café Remoire i z westchnieniem rozłożył egzemplarz „Le Courriera”. Po niespełna minucie kelnerka przyniosła mu stałe zamówienie: szklankę pflümli, talerz wędlin i kilka kromek chleba razowego.

– *Bonjour, monsieur* Gabler – powiedziała.

– *Merci, Anno* – odparł z, jak sądził, ujmującym uśmiechem.

Kelnerka oddaliła się, a on odprowadził ją wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na rozkołysanych biodrach. Następnie przeniósł uwagę na pflümli; uniósł szklankę i upił łyk, wzdychając z zadowoleniem. Rok temu przeszedł na emeryturę i aperitif w zacisznej kafejce przy ulicy późnym popołudniem stał się dla niego swoistym rytuałem. Lubił zwłaszcza Café Remoire, bo choć nie oferowała widoku na jezioro, była jedną z nielicznych tradycyjnych kafejek, jakie jeszcze zachowały się w Genewie, i – zważywszy na jej lokalizację dokładnie w centrum na Place du Cirque – idealnym miejscem, by rozkoszować się atmosferą gwarnejszego miasta.

Upił jeszcze łyk śliwkowej brandy, złożył gazetę starannie na stronie trzeciej i rozejrzał się dokoła. O tej porze w kafejce było pełno turystów, biznesmenów, studentów i zebranych w małe grupki plotkujących kobiet. Na ulicy też panował spory ruch, samochody przejeżdżały z głośnym rykiem silników, ludzie spieszyli się gdzieś, pochłonięci swoimi sprawami. Hotele w mieście zapęłniły się gośćmi przybyłymi na Fêtes de Genève, by obejrzeć słynny na cały świat pokaz sztucznych ogni.

Starannie nałożył plasterek wędliny na kromkę chleba, unosił ją właśnie do ust, gdy przy krawężniku, niecałe półtora metra od miejsca, gdzie siedział na tarasie przed kafejką, zatrzymał się samochód. I to nie było jakie. Wyglądał jak pojazd z przyszłości; nisko zawieszony, wydawał się zarazem smukły i kanciasty niczym wykuty z kawałka granatu w kolorze ognia. Masywne krawędzie kół sięgały do wysokości deski rozdzielczej, ledwie widocznej

przez tafłę przydymionego, ciemnego szkła. Gabler nigdy nie widział takiego wozu. Na złowieszczo wyglądającej masce, w miejscu, gdzie powinna znajdować się maskownica, zauważył znaczek Lamborghini.

Drzwiczki pojazdu otworzyły się pionowo, odchylając się w górę. Nie zważając na ruch uliczny, wysiadł z niego mężczyzna; nadjeżdżający samochód omal go nie potracił, lecz zjechał na sąsiedni pas przy wtórze gniewnego klaksonu. Kierowca nie zwrócił na to uwagi. Zatrzasnął drzwiczki i ruszył w stronę wejścia do kafejki. Gabler spojrział na niego. Mężczyzna wyglądał równie niezwykle co jego wóz: ubrany w surowo skrojony czarny garnitur, białą koszulę i drogi krawat. Był blady – Gabler nigdy nie widział bledszego człowieka. Oczy miał podpuchnięte i podkrążone, a chód zarazem chwiejny i zdecydowany, jak pijak, który stara się udawać trzeźwego. Gabler zauważył, że mężczyzna zamienił kilka słów z szefową kafejki. Po chwili wyszedł i usiadł przy jednym z sąsiednich stolików na tarasie. Gabler znów napił się pflümli, a przypomniawszy sobie o kanapce z wędliną, skosztował kawałek, starając się nie patrzeć zbyt nachalnie na nieznanego. Kątem oka zauważył, że mężczyźnie podano coś, co wyglądało jak absynt, który niedawno został zalegalizowany w Szwajcarii.

Gabler wziął do ręki gazetę i zaczął przeglądać trzecią stronę, od czasu do czasu zerkając na siedzącego kilka stolików dalej mężczyznę. Tamten pozostawał nieruchomy jak głaz, nie zważał na nic i na nikogo, wpatrywał się bladymi oczami w przestrzeń i z rzadka tylko mrugał. Od czasu do czasu unosił do ust kieliszek z absyntem. Gabler zwrócił uwagę, że dłoń mężczyzny drżała, a kieliszek dźwięczał odstawiany na blat.

Kiedy tylko kieliszek został opróżniony, zamawiany był następny.

Gabler zjadł kanapkę, dopił pflümli i przeczytał egzemplarz „Le Courriera”; w końcu zapomniał o dziwnie wyglądającym nieznanym, wykonując rutynowe czynności składające się na jego tradycyjne popołudnie.

I wtedy wydarzyło się coś, co przykuło jego uwagę. Od strony Place du Cirque nadszedł strażnik miejski. Miał w ręku bloczek z mandatami i przyglądał się każdemu mijanemu pojazdowi. Gdy napotykał nieprzepisowo zaparkowany wóz albo taki, którego opłacony czas postoju minął, przystawał, uśmiechał się z satysfakcją, wypisywał mandat i wsuwał

pod wycieraczkę.

Gabler spojrział na lamborghini. Zasady parkowania w Genewie były zarazem surowe i rygorystyczne, a pojazd ewidentnie stał w niedozwolonym miejscu.

Strażnik miejski zbliżał się do tarasu kafejki. Gabler patrzył, przekonany, że ubrany na czarno mężczyzna zerwie się i przestawi wóz, zanim funkcjonariusz służb publicznych dotrze na miejsce. Ale nie, tamten nie ruszył się, tylko powoli sączył drinka.

Strażnik podszedł do lamborghini. Był niskim mężczyzną, korpulentnym, z poczerwieniałą twarzą i gęstymi siwymi włosami wystającymi spod czapki. Samochód stał nieprzepisowo, bez dwóch zdań, wciśnięty w wąską lukę pod szaleńczym kątem, co zdradzało obojętność, ba, wręcz pogardę dla porządku i władzy, a strażnik uśmiechnął się szerzej, z większym niż zwykle zadowoleniem, gdy oblizywał palec i otwierał bloczek z mandatami. Wypisawszy mandat, wsunął go za wycieraczkę ukrytą w masce, przy obudowie silnika na tyle dobrze, że potrzebował chwili, by ją znaleźć, ale zrobił to zamaszystym gestem i z nieskrywaną satysfakcją.

Dopiero teraz, gdy strażnik ruszył dalej, mężczyzna w czerni wstał od stolika. Zszedł z tarasu i podszedł do funkcjonariusza; stanął między nim a następnym zaparkowanym autem. Bez słowa wyciągnął rękę i wskazał palcem na lamborghini.

Strażnik popatrzył na niego, na samochód i z powrotem.

– *Est-ce que cette voiture vous appartient?* – zapytał.

Mężczyzna wolno pokiwał głową.

– *Monsieur, elle est...*

– Po angielsku, bardzo proszę – rzekł mężczyzna z amerykańskim akcentem, który Gabler rozpoznał jako południowy.

Jak większość genewczyków strażnik całkiem nieźle mówił po angielsku. Przeszedł na ten język z westchnieniem, jakby sporo go to kosztowało.

– Dobrze.

– Wygląda na to, że popełniłem wykroczenie, jeżeli chodzi o parkowanie. Jak się pan zapewne domyśla, jestem tu przejazdem. Proszę pozwolić mi odjechać i zapomnijmy o tym mandacie.

– Bardzo mi przykro – odrzekł strażnik, choć ton jego głosu raczej na to nie wskazywał. – Mandat został wypisany.

– Zauważyłem. A jakież to wykroczenie pana zdaniem popełniłem?

– *Monsieur*, zaparkował pan w niebieskiej strefie.

– Wszystkie inne pojazdy są także zaparkowane w niebieskiej strefie. Stąd moje przypuszczenie, że parkowanie w niebieskiej strefie jest dozwolone.

– Ach! – zawołał strażnik, jakby zdobył ważny punkt w filozoficznej debacie. – Ale pański samochód nie ma *disque de stationnement*.

– Nie ma czego?

– Biletu parkingowego. Nie może pan parkować w niebieskiej strefie, nie pozostawiając w widocznym miejscu biletu parkingowego wskazującego godzinę pańskiego przyjazdu.

– W rzeczy samej. Bilet parkingowy. Coś takiego. A skąd ja, który jestem tu gościem, mam o tym wiedzieć?

Strażnik spojrzał na tamtego z wyrazem biurokratycznej pogardy.

– *Monsieur*, jako że jest pan gościem w naszym mieście, oczekuje się od pana znajomości i przestrzegania moich zasad.

– Moich zasad?

Funkcjonariusz zmieszał się tym drobnym przejęzyczeniem.

– Naszych zasad.

– Rozumiem. Nawet jeśli te zasady są kapryśne, niepotrzebne i koniec końców szkodliwe?

Otyły strażnik zmarszczył brwi. Wydawał się zbity z tropu.

– Prawo jest prawem, *monsieur*. Złamał je pan i...

– Chwileczkę. – Amerykanin położył rękę na przegubie strażnika, skutecznie go zatrzymując. – Ile wynosi grzywna towarzysząca temu mandatowi?

– Czterdzieści pięć franków szwajcarskich.

– Czterdzieści pięć franków szwajcarskich.

Wciąż nie pozwalając tamtemu odejść, Amerykanin sięgnął do kieszeni marynarki, po czym niespiesznie wyjął portfel i odliczył pieniądze.

– Nie mogę przyjąć od pana pieniędzy, *monsieur* – rzekł strażnik. – Musi pan udać się do...

Gwałtownym ruchem Amerykanin podarł banknoty. Najpierw na pół, potem jeszcze raz i jeszcze raz, aż pozostały małe kawałeczki. Cisnął je w powietrze jak konfetti. Opadając, wylądowały na czapce i ramionach strażnika. Gabler obserwował z rozdziawionymi ustami rozwój wydarzeń.

Przechodnie i klienci kafejki siedzący na tarasie również byli zaskoczeni.

– *Monsieur* – rzekł strażnik, a jego twarz jeszcze bardziej poczerwieniała. – Jest pan najwyraźniej nietrzeźwy. Muszę prosić, żeby nie wsiadał pan do tego pojazdu, albo...

– Albo co? – odparował drwiąco Amerykanin. – Wypisze mi pan mandat za zaśmiecanie pod wpływem? Niech pan uważa, bo jeszcze przejdę przez ulicę. A wówczas będzie mógł mi pan wypisać mandat za przejście przez ulicę w stanie nietrzeźwym. Ale nie, niech zgadnę, nie ma pan upoważnienia, aby wystawiać mandaty za tak poważne przestępstwa. Do tego potrzebny byłby prawdziwy policjant. Jakże mi przykro! Jak mi pana żal! Aż serce mi się kraje!

Nie tracąc resztek zimnej krwi, korpulentny strażnik wyjął komórkę i zaczął wybierać numer. W tej samej chwili Amerykanin porzucił dramatyczną pozę i znów sięgnął do kieszeni, ale tym razem wyjął inny portfel. Ten, jak stwierdził Gabler, zawierał jakąś odznakę. Mężczyzna pokazał ją na moment strażnikowi i zaraz schował z powrotem.

Zachowanie funkcjonariusza natychmiast się zmieniło. Oficjalna, nadęta, biurokratyczna maska opadła.

– Trzeba było tak od razu – powiedział. – Gdybym wiedział, że jest pan tu w ważnej sprawie służbowej, nie wypisałbym mandatu. Jednakże nie tłumaczy to...

Amerykanin nachylił się w stronę niższego mężczyzny.

– Nie zrozumiał pan. Nie jestem tu służbowo. Jestem jedynie podróżnym, który zatrzymał się w drodze na lotnisko na filiżankę kawy z prądem.

Strażnik pokręcił głową i cofnął się dwa kroki. Odwrócił się w stronę lamborghini i mandatu trzepoczącego leniwie w tę i z powrotem na wietrze, którego podmuchy przetoczyły się przez Place du Cirque.

– Proszę pozwolić mi, *monsieur*, zabrać ten mandat, ale muszę pana prosić...

– Nie waż się pan tknąć tego mandatu – warknął Amerykanin. – Łapy precz od niego!

Strażnik odwrócił się, wyraźnie zdezorientowany i zaniepokojony.

– *Monsieur*, nie rozumiem.

– Nie rozumie pan? – Głos mężczyzny z każdym kolejnym słowem stawał się coraz chłodniejszy, niemal wyczuwało się w nim lodowate zimno. –

Wobec tego wyjaśnię to panu w taki sposób, że nawet ktoś wyjątkowo ograniczony umysłowo musiałby to zrozumieć. Postanowiłem, że chcę ten mandat, Aspirancie Popierdołów. Zamierzam podważyć ważność tego mandatu przed sądem. I jeśli się nie mylę, będzie to oznaczać, że pan także będzie musiał stawić się w sądzie. A wówczas z dziką rozkoszą przedstawię sędziemu, prawnikom i wszystkim, którzy będą obecni w sali, jaki z pana żaloszny cień człowieka. Cień? Może jednak przesadziłem. Cień przynajmniej potrafi być wielki, nierzadko ogromny. A pan jest zwykłym homunkulusem, wyschniętym jaszczurczym ogonem, wrzodem na tyłku ludzkości.

Zamaszystym ruchem Amerykanin strącił strażnikowi czapkę z głowy.

– Niech pan spojrzy na siebie! Ma pan co najmniej sześćdziesiąt lat. A jednak wciąż pan tu jest, wciąż wypisuje mandaty tak jak dziesięć, dwadzieścia i trzydzieści lat temu. Musi pan być świetny w tym, co robi, i tak skuteczny, że przełożeni po prostu nie odważyli się pana awansować. Gratuluję wykorzystania pana mialkiej, pospolitej bezbarwności. Jakimże niezwykłym dziełem jest człowiek! Mimo to wyczuwam, że nie jest pan do końca zadowolony ze swojej pozycji – ta pajęczyna popękanych żyłek na nosie i policzkach świadczy niezbicie, że często topi pan troski w alkoholu. Zaprzeczy pan? Nie wydaje mi się! Żona też nie jest z tego zadowolona. Och, wydedukowałem to z pańskiej postawy, jest pan jak Walter Mitty. Wyobraża pan sobie Bóg wie co, ale zaraz kładzie uszy po sobie, gdy ktoś mający więcej ikry tupnie nogą. Cóż, jeżeli to pana pocieszy, mogę powiedzieć, co będzie napisane na pańskim nagrobku: Czterdzieści pięć franków poproszę. A teraz niech się pan odsunie od mojego auta. Udam się na najbliższy posterunek policji, a tam zadbam... zadbam...

Podczas tej tyrady twarz Amerykanina nagle zwiotczała, mięśnie rozluźniły się, skóra poszarzała. Na skroniach zaperlił się pot. Podczas swojego monologu mężczyzna przerwał raz na chwilę, by przetrzeć czoło dłonią, i drugi raz, by machnąć ręką przed nosem, jakby chciał odegnać niemiłą woń. Gabler zauważył, że cała kafejka, ba, cała ulica pogrążyła się w milczeniu, obserwując, jak zakończy się ten osobliwy dramat. Mężczyzna był pijany albo pod wpływem narkotyków. Teraz ruszył niepewnie w stronę lamborghini, a strażnik pospiesznie zszedł mu z drogi. Amerykanin sięgnął dłonią do klamki, albo raczej próbował wymacać dłonią klamkę szaleńczym, niemal desperackim gestem – i chybił. Postąpił jeszcze krok naprzód,

zachwiał się, odzyskał równowagę, znów się zakołysał i nagle osunął na chodnik. Rozległy się wołania o pomoc, kilka osób zerwało się od stolików. Gabler także poderwał się z miejsca, przewracając krzesło. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że potrącił przy okazji szklankę z niedopitą pflümli i zalał brandy nogawkę swoich nienagannie odprasowanych spodni.

Porucznik Peter Angler siedział przy biurku w swoim gabinecie Dwudziestego Szóstego Komisariatu. Wszystkie papiery, których nazbierało się całkiem sporo, zostały rozdzielone na cztery stosy rozłożone na każdym z rogów, a środek był wolny, jeśli nie liczyć trzech przedmiotów – srebrnej monety, kawałka drewna i kuli.

W każdym śledztwie nadchodził moment, kiedy Angler czuł, że zbliża się do punktu zwrotnego. W takich chwilach powtarzał pewien rytuał: wyjmował te trzy przedmioty z zamkniętej szuflady biurka i przyglądał się im po kolei. Każdy był jak kamień milowy – tak jak każda sprawa, którą rozwiązał, odkąd zaczął pracować w policji, była potencjalnym kamieniem milowym w miniaturze – i cieszył się, rozważając ich znaczenie.

Najpierw sięgnął po monetę. Był to stary rzymski imperialny denar wybity w 37 roku naszej ery, z Kaligulą na awersie i Agrypiną Starszą na rewersie. Angler nabył go, gdy jego praca na temat imperatora, z medyczną i psychologiczną analizą zmian wywołanych przez poważną chorobę, którą przeszedł w tym właśnie roku, i rolę, jaką owa choroba wywarła, zmieniając go z względnie łagodnego władcy w szalonego tyrana, pozwoliła mu zdobyć nagrodę główną na ostatnim roku studiów na Uniwersytecie Browna. Moneta była droga, ale czuł, że powinien ją mieć.

Odłożywszy denara na biurko, sięgnął po kawałek drewna. Oryginalnie pofałdowany i szorstki, został przez niego starannie wygładzony papierem ściernym i wyrównany, aż osiągnął rozmiar ołówka. Następnie drewno pociągnięto werniksem i teraz lśniło przepięknie w blasku świetlówek. Ten kawałek drewna pochodził z pierwszej starej sekwoi, którą jako wojujący ekolog Angler uratował przed piłami pracowników kompanii zajmujących się wycinką. Prawie trzy tygodnie koczował wśród konarów tego wielkiego drzewa, dopóki drwale nie dali za wygraną i nie przenieśli się gdzie indziej. Gdy zszedł z drzewa, zabrał niewielki fragment uschniętej gałęzi na

pamiątkę swojego triumfu.

Na koniec wziął do ręki kulę. Była spłaszczona i zniekształcona, gdyż uderzyła w jego lewą kość piszczelową. Nigdy nie rozmawiał w pracy ani poza nią o tym, że zarobił kulkę, nigdy też nie obnosił się z policyjnym krzyżem zasługi, który otrzymał za bohaterską postawę na służbie. Niewiele osób, które z nim pracowały, wiedziało, że został postrzelony podczas pełnienia obowiązków. To nie miało znaczenia. Obracał kulę w dłoniach, a potem odłożył ją na biurko. On wiedział i to wystarczyło.

Delikatnie schował trzy przedmioty z powrotem do szuflady, zamknął ją, a potem sięgnął po telefon i wybrał numer sekretarki wydziałowej.

– Niech wejdą – powiedział.

Minutę później otworzyły się drzwi i do gabinetu weszło trzech mężczyzn – sierżant Slade oraz dwóch sierżantów dyżurnych przydzielonych do sprawy morderstwa Albana.

– Poproszę o raport – powiedział Angler.

Jeden z mężczyzn postąpił naprzód.

– Panie poruczniku, zakończyliśmy przegląd list pasażerów linii lotniczych.

– Słucham dalej.

– Tak jak pan sobie tego życzył, przejrzeliśmy wszystkie dostępne dane z ostatnich osiemnastu miesięcy w poszukiwaniu dowodów na to, że ofiara mogła odwiedzić Stany Zjednoczone w jeszcze innym terminie niż tylko czwartego czerwca tego roku. Znaleźliśmy taki dowód. Ofiara, posługując się tym samym fałszywym nazwiskiem Tapanes Landberg, mniej więcej rok temu wjechała do Stanów z Brazylii, a dokładnie siedemnastego maja wylądowała na lotnisku JFK. Pięć dni później, dwudziestego drugiego maja, ten człowiek odleciał z powrotem do Rio.

– Coś jeszcze?

– Tak, panie poruczniku. Posiłkując się dokumentami z Homeland Security, odkryliśmy, że mężczyzna używający tego samego nazwiska i paszportu odleciał z lotniska LaGuardia do Albany osiemnastego maja i wrócił dwudziestego pierwszego maja.

– Fałszywy paszport brazylijski – rzekł Angler. – Musiał być naprawdę doskonałej jakości. Zastanawia mnie, skąd go zdobył.

– Bez wątplenia tego typu rzeczy w kraju takim jak Brazylia są łatwiejsze

do uzyskania niż tutaj – rzekł Slade.

– Bez wątpienia. Coś jeszcze?

– To wszystko, panie poruczniku. Na lotnisku w Albany ślad się urywa. Sprawdziliśmy wszystkie potencjalne tropy poprzez lokalną policję, biura podróży, dworce autobusowe. Nie ma śladu po Tapanesie Landbergu aż do dwudziestego pierwszego maja, kiedy wszedł na pokład samolotu na lotnisku LaGuardia i następnego dnia wrócił do Brazylii.

– Dziękuję. Doskonała robota. Możecie odejść.

Angler zaczekał, aż dwaj funkcjonariusze opuszczą gabinet. Wówczas skinął na Slade'a i gestem wskazał mu krzesło. Z jednego ze stosów papierów na obrzeżach biurka wydobyl duży plik kartek do notowania. Zawierały informacje zgromadzone entuzjastycznie przez sierżanta Slade'a w ostatnich kilku dniach.

– Po co nasz przyjaciel Alban miałby się udać do Albany? – zapytał Angler.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Slade. – Ale powiedziałbym, że te dwie wyprawy są ze sobą powiązane.

– To nieduże miasto. Lotnisko i główny dworzec autobusowy mogłyby zmieścić się w poczekalni Port Authority. Alban musiał się sporo natrudzić, żeby pozacierać tam swoje ślady.

– Skąd tyle pan wie o Albany?

– Mam krewnych w Colonie, na północnym zachodzie. – Angler powrócił do notatek. – Byłeś bardzo zajęty. W innym życiu mógłbyś zostać doskonałym dziennikarzem śledczym.

Slade uśmiechnął się.

Angler powoli przeglądał notatki.

– Zeznanie podatkowe Pendergasta i rejestr jego własności. Spodziewam się, że niełatwo było je zdobyć.

– Pendergast ceni sobie prywatność.

– Rozumiem, że jest właścicielem czterech nieruchomości: dwóch w Nowym Jorku, jednej w Nowym Orleanie i jeszcze jednej niedaleko stamtąd. Ta w Nowym Orleanie to plac parkingowy. Dziwne.

Slade wzruszył ramionami.

– Nie zdziwiłoby mnie również, gdyby był również właścicielem jakiejś nieruchomości nad morzem.

– Mnie również. Obawiam się jednak, że nie byłbym w stanie dogrzebać

się niczego więcej, panie poruczniku.

– To bez znaczenia. – Angler odłożył kartki i spojrzął na kolejny plik papierów. – Lista aresztowań, których dokonał, i osób, które dzięki niemu udało się postawić przed sądem. – Przejrzał kartki. – Imponujące. Naprawdę imponujące.

– Najbardziej ciekawa spośród wszystkich statystyk wydaje się liczba podejrzanych, którzy ponieśli śmierć w trakcie próby zatrzymania.

Angler odnalazł tę listę i aż uniósł brwi ze zdumienia. Zaraz jednak wrócił do przeglądania kartek z notatkami.

– Widzę, że Pendergast ma niemal tyle samo pochwał co nagan.

– Moi przyjaciele z Biura mówią, że to kontrowersyjna postać. Samotny wilk. Niezależny, bogaty, otrzymuje roczne pobory w wysokości jednego dolara, żeby wszystko było oficjalnie. W ostatnich latach grube ryby z FBI z uwagi na ogromną liczbę rozwiązanych przez niego spraw wołały się go nie czepiać, przynajmniej dopóki nie zrobi czegoś naprawdę głupiego. Wygląda na to, że ma przynajmniej jednego potężnego, niewidzialnego przyjaciela w wysokich kręgach Biura, a może nawet więcej.

– Hmm. – Angler przerzucił kilka kolejnych kartek. – Ma za sobą okres pracy w służbach specjalnych. Czym się zajmował?

– To ściśle tajne. Zdołałem się dowiedzieć tylko tego, że otrzymał kilka medali za odwagę podczas działań bojowych i że przeprowadził kilka utajnionych operacji wysokiego ryzyka o największym znaczeniu strategicznym.

Angler ułożył kartki w stos, wyrównał o blat biurka i odłożył na bok.

– Czy to nie wydaje ci się dziwne?

Slade spojrzął na Anglera.

– Tak.

– Mnie również. Co to ma znaczyć?

– To wszystko śmierdzi... panie poruczniku.

– Właśnie. Ty to wiesz i ja to wiem. Wiedzieliśmy o tym już od jakiegoś czasu. A teraz to. – Angler postukał palcem w stosik kartek. – Skupmy się na tym. Ostatni raz Pendergast miał widzieć swojego syna żywego, jak sam stwierdził, osiemnaście miesięcy temu w Brazylii. Rok temu Alban wrócił na krótko do Stanów pod fałszywym nazwiskiem, udał się do miejscowości na północy stanu Nowy Jork, a następnie wrócił do Brazylii. Mniej więcej trzy

tygodnie temu wrócił do Nowego Jorku i został zamordowany. W jego ciele odnaleziono turkus. Agent Pendergast twierdzi, że ten kamień doprowadził go do Salton Fontainebleau, gdzie rzekomo miał zostać zaatakowany przez tego samego mężczyznę, który podawał się za uczonego i prawdopodobnie zabił technika w muzeum. Wcześniej skryty i niechętny do współpracy, Pendergast zaczął nagle przejawiać odmienne nastawienie... gdy dowiedział się, że odkryliśmy prawdę o Tapanesie Landbergu. Wtedy jednak, przekazawszy nam garść wątpliwych informacji, znów nabrał wody w usta i zaprzestał dalszej współpracy. Na przykład ani on, ani porucznik D'Agosta nie raczyli poinformować nas, że fałszywy profesor popełnił samobójstwo w areszcie śledczym w Indio. Musieliśmy ustalić to sami. A kiedy wysłaliśmy sierżanta Dawkinsa, by zbadał Fontainebleau, po powrocie stwierdził, że to miejsce wygląda, jakby od lat nikogo tam nie było, i nic nie wskazuje, by rozegrała się tam jakaś walka. Masz rację, Loomis, ta sprawa śmierdzi. I to jak! Z tego wszystkiego można wysnuć jeden wniosek: Pendergast wciska nam kit. Wysłał nas w pogoń za zwidami. Powód tego może być tylko jeden: on sam jest uwikłany w śmierć swojego syna. No i teraz jeszcze to.

Wychyliwszy się do przodu, Angler wziął z jednego stosu papierów artykuł po portugalsku.

– Wycinek z brazylijskiej gazety, niejasny, niepodający źródeł informacji, opisujący masakrę, która wydarzyła się w dżungli, w którą był zamieszany nieznany z nazwiska gringo, charakteryzowany tu jako mężczyzna *de rosto pálido*.

– *De rosto pálido*? Co to znaczy?

– O bladym obliczu.

– Niech to szlag.

– I to wszystko wydarzyło się osiemnaście miesięcy temu, akurat wtedy gdy Pendergast przebywał w Brazylii.

Angler odłożył wycinek.

– Ten artykuł zwrócił moją uwagę dziś rano. To klucz do tej sprawy, Loomis. Czuję to. Klucz do całej zagadki.

Rozparł się w fotelu i wlepił wzrok w sufit.

– Brakuje jeszcze jednego elementu. Tylko jednego. A gdy odnajdę ten element... dopadnę go.

Constance Greene szła błyszczącym korytarzem czwartego, najwyższego piętra prywatnej genewskiej kliniki La Colline w towarzystwie przyrodzianego w biały kitel lekarza.

– Jak określiłby pan jego stan? – spytała nienaganną francuszczyzną.

– Trudno nam było postawić trafną diagnozę, *mademoiselle*. Nie mieliśmy nigdy do czynienia z takim przypadkiem. Nasza klinika jest multidyscyplinarna, więc wezwaliśmy kilku specjalistów, żeby zbadali pacjenta. Wyniki konsultacji i testów są... zastanawiające. I wzajemnie sprzeczne. Niektórzy nasi eksperci uważają, że pacjent cierpi na nieznaną chorobę genetyczną. Inni sądzą, że został otruty albo ma symptomy odstawienia jakiegoś leku lub nieznannej substancji. We krwi wykryto ślady nietypowych pierwiastków, ale nie wskazywały one na żadną z substancji zarejestrowanych w naszych bazach danych. Jeszcze inni podejrzewali, że problem jest po części natury psychologicznej, nikt jednak nie może zaprzeczyć, iż przejawia się on w formie silnych zaburzeń fizycznych.

– Jakie leki podaliście w jego obecnym stanie?

– Nie możemy rozpocząć konkretnej terapii, dopóki nie będzie diagnozy. Kontrolujemy ból przez zastosowanie transdermalnych plastrów fentanylowych. A na rozluźnienie mięśni stosujemy somę. I benzodiazepam jako środek usmierzający i uspokajający.

– Jaki konkretnie benzodiazepam?

– Klonopin.

– To dość niezwykła mieszanka, doktorze.

– Owszem. Ale dopóki nie ustalimy, co jest źródłem choroby, możemy jedynie leczyć symptomy. Gdybyśmy nie podali tych środków, konieczne byłoby całkowite unieruchomienie pacjenta.

Lekarz otworzył drzwi i wpuścił Constance do środka. Pokój był nowoczesny, nieskazitelny, funkcjonalny, z pojedynczym łóżkiem, wokół

którego stało całe mnóstwo monitorów i urządzeń medycznych, na ekranach ledowych niektórych z nich widać było skomplikowane odczyty, inne jedynie wydawały regularne piskliwe sygnały. Przez okna o niebieskawym odcieniu rozciągał się widok na Avenue de Beau-Séjour.

Na łóżku leżał agent specjalny Aloysius Pendergast. Na skroniach miał elektrody, w zgięciu nadgarstka igłę kroplówki, na jednym ramieniu mankiet ciśnieniomierza, a na końcu palca wskazującego pulsoksymetr. W nogach łóżka, na specjalnej szynie z pierścieniami wisiał złożony parawan.

– Mówił mało – rzekł lekarz. – I niewiele z tego brzmiało sensownie. Gdyby mogła pani nam pomóc, bylibyśmy zobowiązani.

– Dziękuję, doktorze – powiedziała Constance, skinąwszy głową. – Zrobię, co w mojej mocy.

– *Mademoiselle*. – Lekarz lekko skinął głową, odwrócił się i wyszedł, cicho zamykając pokój.

Constance stała przez chwilę, wpatrując się w zamknięte drzwi. Wreszcie, wygładziwszy ręką przód sukni, usiadła na jedynym krześle znajdującym się obok łóżka. I choć nikt nie miał chłodniejszego umysłu niż Constance Greene, to, co ujrzała, wstrząsnęło nią do głębi. Twarz agenta FBI miała przeraźliwie szary odcień, a jego jasne, niemal białe włosy, pociemniałe od potu, były zmierzwione i pozlepiane w strąki. Zwykle gładko ogolone policzki pokrywał kilkudniowy zarost. Gorączka wręcz biła z jego ciała. Miał zamknięte oczy, ale Constance widziała, jak gałki oczne poruszają się pod ciemnymi, jakby posiniaczonymi powiekami. Jego ciało zeszywniało z bólu, drgnęło spazmatycznie, aż w końcu się rozluźniło. Pochyliła się nad nim i położyła dłoń na jednej z jego zaciśniętych pięści.

– Aloysiusie – powiedziała cicho. – To ja, Constance.

Przez chwilę nie było żadnej reakcji. I nagle pięść się rozluźniła. Pendergast odwrócił głowę wspartą na poduszce. Wymamrotał coś niezrozumiale.

Constance delikatnie ścisnęła jego dłoń.

– Słucham?

Pendergast otworzył usta, aby coś powiedzieć, i wziął głęboki, drżący oddech.

– *Lasciala, indegno* – wymamrotał. – *Battiti meco. L'assassino m'ha ferito.*

Constance wciąż ścisnęła jego dłoń.

Ciałem Pendergasta wstrząsnął kolejny spazmatyczny skurcz.

– Nie – powiedział cichym, zduszonym głosem. – Nie, nie możesz. Wrota Piekieł... nie zbliżaj... nie zbliżaj się, błagam... nie patrz... gorejące, trójlistne oko.

Ciało Pendergasta rozluźniło się i kilka minut leżał w zupełnym milczeniu. Wreszcie znów się poruszył.

– Mylisz się, Tristramie – powiedział wyraźniejszym, bardziej zdecydowanym głosem. – On nigdy by się nie zmienił. Obawiam się, że zostałeś oszukany.

Tym razem cisza trwała znacznie dłużej. Pojawiła się pielęgniarka, sprawdziła wyniki odczytów z urządzeń monitorujących stan Pendergasta, wymieniła plaster na nowy i wyszła. Constance pozostała na krześle nieruchoma jak posąg, z dłonią opartą na ręku Pendergasta. Wreszcie agent bardzo wolno otworzył oczy. Przez chwilę wydawały się mętne, niewidzące. Zamrugał i rozejrzał się niespiesznie po pokoju szpitalnym. Jego wzrok zatrzymał się na kobiecie.

– Constance – wyszeptał.

W odpowiedzi znów ścisnęła go za rękę.

– Miałem... koszmar. Myślałem, że nigdy się nie skończy.

Głos miał oschły i lekki jak delikatny wietrzyk wiejący nad zeschniętymi liśćmi, więc Constance musiała nachylić się bardziej, żeby usłyszeć słowa.

– Cytowałeś libretto z *Don Giovanniego* – powiedziała.

– Tak. Wyobrażałem sobie, że jestem... Commendatore.

– Trudno mi wyobrazić sobie sen o Mozarcie jako koszmar.

– Ja... – Usta agenta poruszały się przez chwilę bezgłośnie, zanim dokończył. – Nie cierpię opery.

– Było coś jeszcze – rzekła Constance. – I to akurat brzmiało jak koszmar. Mówiłeś coś o Wrotach Piekieł.

– Tak. Tak. Moje koszmary bazują także na wspomnieniach.

– Mówiłeś coś o Tristramie. O tym, że się pomylił.

Pendergast tylko pokręcił głową.

Constance czekała, gdyż agent znów stracił przytomność. Dziesięć minut później poruszył się i ponownie otworzył oczy.

– Gdzie jestem? – zapytał.

– W szpitalu w Genewie.
– Genewa. – Pauza. – Oczywiście.
– Powiedziano mi, dałeś popalić jakiemuś strażnikowi miejskiemu.
– Pamiętam. Uparł się, żeby wlepić mi mandat. Podle go potraktowałem. Cóż, nie znoszę tępych służbistów. – Kolejna pauza. – To jeden z moich licznych złych nawyków.

Kiedy znów zamilkł, Constance, teraz już pewna, że Pendergast jest przytomny, opowiedziała mu o wydarzeniach, o których dowiedziała się od D'Agosty: o samobójstwie więźnia w areszcie śledczym w Indio, o tym, że mężczyzna ten przeszedł operację plastyczną, że zrekonstruowano jego pierwotny wygląd i ustalono prawdziwą tożsamość. Potem przeszła do informacji o odkryciu przez D'Agostę – dzięki danym zebranych przez Anglera – że Alban rok wcześniej wjechał do Ameryki pod nazwiskiem Tapanes Landberg i udał się na północ stanu Nowy Jork, zanim znów wrócił do Brazylii. Pendergast wysłuchał tego wszystkiego z wielkim zainteresowaniem. Raz czy dwa w jego oczach zabłyśły iskierki, które Constance tak dobrze знаła. Jednak gdy skończyła, zamknął oczy, odwrócił głowę i ponownie odpłynął w niebyt.

Kiedy znowu się ocknął, była już noc. Constance wciąż czuwała, czekając, aż agent się odezwie.

– Constance – zaczął równie cicho jak poprzednio. – Musisz zrozumieć, że... czasami trudno jest mi utrzymać kontakt z rzeczywistością. To pojawia się i znika, podobnie jak ból. Na przykład teraz muszę się maksymalnie skupić, żeby móc z tobą rozmawiać. Pozwól więc, że powiem, co mam ci do powiedzenia, najszybciej jak to możliwe.

Constance słuchała w bezruchu.

– Powiedziałem ci coś niewybaczalnego.

– Wybaczylam ci.

– Jesteś zbyt wspaniałomyślna. Niemal od samego początku, gdy poczułem zapach lilii w tym dziwnym pomieszczeniu, gdzie odurzano zwierzęta, nad Salton Sea, domyślałem się, co się stało: że przeszłość mojej rodziny znów mnie nęka. Ktoś zapragnął wziąć na mnie odwet.

Oddychał płytko, nerwowo.

– To, co zrobił mój przodek Hezekiah, było zbrodnią. Stworzył eliksir, a tak naprawdę silnie uzależniającą truciznę, która zabiła mnóstwo osób

i wielu innym zrujnowała życie. Ale to było... dawno temu... – Pauza. – Wiedziałem, co się ze mną dzieje, i szybko się tego domyśliłaś. Nie byłem jednak w stanie znieść twojego smutku i współczucia. Początkowo liczyłem, że uda mi się odwrócić działanie tej substancji, ale moje nadzieje spełzły na niczym. Wołałem o tym w ogóle nie myśleć. Stąd moja niewybaczalna uwaga, którą skierowałem pod twoim adresem w pokoju muzycznym.

– Proszę, nie zadręczaj się tym.

Zamilkł. Ponieważ w pokoju panowała ciemność, rozjaśniana tylko blaskiem urządzeń medycznych, Constance nie była pewna, czy Pendergast jest jeszcze przytomny.

– Lilie zaczynają się psuć – powiedział.

– Och, Aloysiusie – szepnęła.

– Jest coś gorszego niż cierpienie. Bardziej doskwiera mi brak odpowiedzi. Ten barokowy spisek nad Salton Sea nosi wszelkie oznaki czegoś, co mógłby zorganizować Alban. Ale z kim pracował i dlaczego ten ktoś go zabił? No i... jak miałbym znieść to osuwanie się w otchłań szaleństwa?

Constance ujęła jego dłoń w dwie swoje.

– Musi być jakiś lek, antidotum. Pokonamy to wspólnie.

Pendergast w półmroku pokręcił głową.

– Nie, Constance. Nie ma lekarstwa. Musisz odejść. Wróć do domu. Znam prywatnych lekarzy, którzy będą w stanie zapewnić mi maksimum komfortu do czasu, aż nadejdzie koniec.

– Nie! – rzuciła Constance głośniejsz, niż zamierzała. – Nigdy cię nie opuszczę.

– Nie chcę, byś oglądała mnie... w tym stanie.

Wstała i pochyliła się nad nim.

– Nie mam wyboru.

Pendergast poruszył się lekko pod kocem.

– Zawsze masz wybór. Proszę, uszanuj moje żądanie, byś nie oglądała mnie in extremis. Tak jak było z tym mężczyzną w Indio.

Powoli pochyliła się nad wyciągniętym jak struna ciałem cierpiącego agenta i pocałowała go w czoło.

– Wybacz, ale wybieram walkę do samego końca. Ponieważ...

– Ale...

– Ponieważ jesteś drugą połówką mojego serca – wyszeptała.
Ponownie usiadła, ujęła go za rękę i nie powiedziała nic więcej.

Mundurowy policjant podjechał i zatrzymał samochód przy krawężniku.

– Jesteśmy na miejscu, poruczniku – powiedział.

– Na pewno? – spytał D’Agosta, wyglądając przez okno od strony pasażera.

– Colfax Avenue czterdzieści jeden dwadzieścia siedem. A może źle zapisałem adres?

– Nie, jest właściwy.

D’Agosta był zdziwiony. Spodziewał się parkingu dla przyczep albo ponurego, zapuszczonego blokowiska. Jednak ten dom w dzielnicy Miller Beach w Gary w stanie Indiana był dobrze utrzymany i mimo że nieduży, to świeżo odmalowany, a teren wokół niego wyglądał na zadbane. Zaledwie kilka przecznic stąd znajdował się Marquette Park.

D’Agosta odwrócił się do policjanta z Gary.

– Proszę jeszcze raz przypomnieć mi, co on ma na koncie. Żebym mógł dobrze zapamiętać.

– Jasne. – Gliniarz rozsunał zamek w teczce i wyjął wydruk komputerowy.

– Jest prawie czysty. Parę mandatów, jeden za jazdę z prędkością sześćdziesiąt kilometrów na godzinę w strefie, gdzie było ograniczenie do pięćdziesięciu, i drugi za przechodzenie w miejscu niedozwolonym.

– Przechodzenie w miejscu niedozwolonym? – spytał D’Agosta. – Za coś takiego wlepia się tu mandaty?

– Tak się robiło za czasów ostatniego komendanta. Był naprawdę ostry i zasadniczy. – Gliniarz znów spojrział na wydruk. – Jedyne, co faktycznie na niego mamy, to aresztowanie podczas nalotu na gangsterską melinę. Ale gość był czysty. Żadnych prochów, żadnej broni, a ponieważ nie wiedzieliśmy nic o tym, by przynależał do jakiejś grupy przestępczej, nie postawiono mu żadnych zarzutów. Cztery miesiące później żona zgłosiła jego zaginięcie. – Gliniarz włożył wydruk do teczki. – To wszystko. Z uwagi na możliwe związki z gangsterami uznaliśmy, że został zabity. Facet jakby

się zapadł pod ziemię, nie pojawił się więcej, żywy ani martwy, nie było ciała, nic. W końcu sprawa trafiła do archiwum.

D'Agosta pokiwał głową.

– Jeżeli można, ja chciałbym mówić.

– Proszę bardzo.

D'Agosta spojrział na zegarek, było wpół do siódmej. Otworzył drzwiczki radiowozu i wyszedł z głuchym stęknieniem.

Ruszył za mundurowym policjantem wzdłuż chodnika i czekał, gdy tamten nacisnął dzwonek. Po krótkiej chwili w drzwiach pojawiła się kobieta. D'Agosta otaksował ją wprawnym spojrzeniem, rejestrując szczegóły: metr sześćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt kilogramów, brunetka. W jednym ręku trzymała półmisek, a w drugim ścierkę i miała na sobie spodnium pamiętające lepsze czasy, ale czyste i starannie odprasowane. Na widok funkcjonariusza przez jej twarz przemknął grymas, mieszanina niepokoju i nadziei zarazem.

D'Agosta postąpił naprzód.

– Czy pani Carolyn Rudd?

Kobieta skinęła głową.

Błysnął odznaką.

– Porucznik Vincent D'Agosta z policji nowojorskiej, a to funkcjonariusz Hektor Ortillo z policji w Gary. Chcielibyśmy zająć pani chwilę.

Wahanie.

– Oczywiście – odparła kobieta. – Tak, jasne. Zapraszam.

Otworzyła drzwi i wpuściła ich do niedużego salonu. Meble, chociaż stare, lecz funkcjonalne, również wyglądały na doskonale utrzymane i czyste. D'Agosta znów odniósł wrażenie, że w tym domu się nie przelewa, ale dbano tu o porządek i schludność.

Pani Rudd poprosiła ich, aby usiedli.

– Może lemoniady? – spytała. – Albo kawy?

Obaj mężczyźni podziękowali zdecydowanym ruchem głowy.

Na schodach wiodących na pięterko rozległy się kroki i pojawiły się dwie zdziwione twarzyczki, mniej więcej dwunastoletniego chłopca i kilka lat młodszej dziewczynki.

– Howie – powiedziała kobieta – Jennifer, muszę porozmawiać z tymi panami. Wracajcie na górę i odróbcie pracę domową. Niedługo do was

przyjdę.

Dzieci popatrzyły na policjantów milczące i zdziwione. Po kilku sekundach cichcem wróciły na górę, znikając im z oczu.

– Przepraszę panów na moment. Odłożę ten półmisek. – Kobieta wróciła do kuchni i zaraz znów się pojawiła, by usiąść naprzeciwko D’Agosty i policjanta z Gary.

– Czym mogę panom służyć? – spytała.

– Chcielibyśmy pomówić o pani mężu – zaczął D’Agosta. – Howardzie Ruddzie.

Na jej twarzy znowu pojawiła się nadzieja, tym razem silniejsza.

– Och! Są jakieś nowe ślady? On żyje? Gdzie teraz jest?

Przejęcie i żarliwość zawarte w słowach kobiety zaskoczyły D’Agostę bardziej niż wygląd domu. W ostatnich tygodniach stworzył sobie wyraźny portret człowieka, który zaatakował agenta Pendergasta i prawdopodobnie zabił Victora Marsalę – jako bezwzględnego zbira bez zasad moralnych, zatwardziałego bandziora, który był całkowicie wyzuty z wszelkich skrupułów i zepsuty do szpiku kości. Kiedy przez Terry’ego Bonomo i specjalny policyjny program komputerowy człowiek ten został zidentyfikowany jako Howard Rudd, mieszkający ostatnio w Gary w stanie Indiana, D’Agosta był prawie pewien, że wie, co usłyszy od jego żony. Tymczasem nadzieja w jej oczach zmusiła go do zrewidowania wcześniejszych założeń. Nagle przestał wiedzieć, co ma o tym wszystkim myśleć.

– Nie, nie znaleźliśmy go. Niezupełnie. Przyjechałem tutaj, pani Rudd, by dowiedzieć się czegoś więcej o pani mężu.

Kobieta przeniosła wzrok z D’Agosty na funkcjonariusza Ortillo i z powrotem.

– Czy sprawa zostanie ponownie otwarta? Obawiałam się, że zbyt szybko odłożono ją do archiwum. Chcę pomóc. Ale nie wiem, co mogę zrobić. Powiedzcie mi.

– Na początek chcielibyśmy dowiedzieć się, jakim był człowiekiem. Jako ojciec i mąż.

– Jest – poprawiła.

– Słucham?

– Jakim jest człowiekiem. Wiem, że zdaniem policji on nie żyje, ale ja

wierzę, że on gdzieś tam jest, czuję to. Nie zniknąłby tak, nie odszedłby, nie mając naprawdę ważnego powodu. Któregoś dnia wróci, a wówczas wyjaśni, co się stało i dlaczego.

Uczucie skrępowania narastało w D'Agostie coraz bardziej. Przekonanie w głosie kobiety wzbudziło w nim konsternację.

– Proszę nam o nim opowiedzieć, pani Rudd.

– Co tu jest do opowiadania? – Kobieta przerwała na chwilę. – Był dobrym mężem, oddanym rodzinie. Ciężko pracującym, lojalnym i cudownym ojcem. Nie pił, nie uprawiał hazardu, nie oglądał się za kobietami. Jego ojciec był pastorem metodystów i Howard odziedziczył po nim najlepsze cechy. Nigdy nie znałam nikogo równie obowiązkowego. Jeżeli coś rozpoczynał, zawsze doprowadzał to do końca. Na studiach dorabiał, pracując na zmywaku. W młodości był bokserem, zwycięzcą turnieju o Złotą Rękawicę. Słowo zawsze było dla niego najważniejsze, czy też raczej na drugim miejscu, zaraz po rodzinie. Zaharowywał się, żeby jego sklepik z artykułami żelaznymi mógł prosperować, urabiał sobie ręce po łokcie, nawet gdy przy szosie numer dwadzieścia otwarto Home Depot i sklepik splajtował. To nie jego wina, że musiał pożyczyć pieniądze. Gdyby tylko wiedział od kogo...

Potok słów ustał, a oczy kobiety lekko się rozszerzyły.

– Proszę mówić dalej – rzekł D'Agosta. – Gdyby tylko co wiedział?

Kobieta zawahała się. A potem westchnęła, spojrzała w stronę schodów, by mieć pewność, że dzieci tego nie słyszą, i mówiła dalej:

– Gdyby tylko wiedział, od kogo pożyczają pieniądze, jacy to są ludzie. Widzi pan, bank uznał, że sklep nie ma zdolności kredytowej. Nie chcieli dać Howardowi pożyczki. Zaczęło być krucho z kasą.

Złączyła dłonie i wlepiła wzrok w podłogę.

– Pożyczał od złych ludzi.

Nagle znów uniosła wzrok i spojrzała błagalnie na D'Agostę.

– Ale nie można go za to winić, prawda?

D'Agosta tylko pokiwał głową.

– Całymi wieczorami siedział przy kuchennym stole, wpatrując się w ścianę i nie odzywając się słowem... Na ten widok aż mi się serce krajało!

Kobieta otarła z oka łzę.

– I któregoś dnia zniknął. Tak po prostu. To było ponad trzy lata temu. I od tamtej pory ani razu się nie odezwał. Ale musi być jakiś powód i ja wiem,

że ten powód istnieje.

Na twarzy pani Rudd pojawił się wojowniczy grymas.

– Wiem, co o tym myśli policja. Ale ja w to nie wierzę. I nie uwierzę.

D’Agosta odezwał się do niej łagodnym tonem:

– Czy coś mogło świadczyć o tym, że zamierzał odejść? Zauważyła pani oznaki, które mogły to zapowiadać? Cokolwiek.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie. Nic poza tamtym telefonem.

– Jakim telefonem?

– To było w noc poprzedzającą jego zniknięcie. Ktoś zadzwonił, i to dość późno. Howard odebrał w kuchni. Mówił cicho, chyba nie chciał, żebym usłyszała, o czym rozmawia. Później wyglądał na przybitego. Ale nie chciał o tym ze mną rozmawiać, nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi.

– Nie domyśla się pani, co mogło się z nim stać ani gdzie przebywał przez ten czas?

Kobieta znów pokręciła głową.

– Jak pani radzi od tamtej pory?

– Dostałam pracę w firmie reklamowej. Zajmuję się projektowaniem stron i sporządzaniem projektów. Da się z tego przyzwoicie żyć.

– A ci ludzie, od których pani mąż pożyczył pieniądze? Czy po jego zniknięciu otrzymywała pani pogróżki? Próbowali wymusić od pani spłatę długu?

– Nie.

– Czy ma pani zdjęcie męża?

– Oczywiście. Mam ich wiele.

Pani Rudd odwróciła się do stojących na stoliku oprawionych w ramki fotografii, podniosła jedną i podała D’Agoście. Popatrzył. Był to portret rodzinny, z rodzicami pośrodku i dwójką dzieci po bokach.

Terry Bonomo spisał się na medal. Mężczyzna ze zdjęcia wyglądał kubek w kubek jak mężczyzna z portretu stworzonego w komputerze dzięki programowi do rekonstrukcji twarzy sprzed operacji plastycznej.

Gdy D’Agosta oddawał zdjęcie pani Rudd, nagle schwyciła go za przegub. Miała bardzo silny uścisk.

– Proszę – powiedziała. – Niech pan pomoże odnaleźć mojego męża. Błagam.

Nie mógł dłużej tego znieść.

– Niestety mam dla pani przykrą wiadomość. Wcześniej powiedziałem, że nie znaleźliśmy pani męża. Ale odnaleźliśmy ciało i obawiam się, że to może być on.

Uchwyt na nadgarstku wzmógł się.

– Jednak aby mieć pewność, potrzebujemy jego DNA. Czy moglibyśmy pożyczyć kilka jego osobistych przedmiotów, dajmy na to grzebień albo szczoteczkę do zębów? Oczywiście zwrócimy je pani.

Kobieta nic nie powiedziała.

– Pani Rudd – ciągnął D’Agosta – czasami niewiedza bywa gorsza niż najgorsza prawda, która nieraz okazuje się ona naprawdę bolesna.

Przez dłuższą chwilę kobieta nie poruszyła się. Wreszcie bardzo wolno rozluźniła uchwyt na przegubie D’Agosty. Opuściła dłoń. Na chwilę wzrok jej zmętniał. W końcu wzięła się w garść, wstała, podeszła do schodów i bez słowa wspięła się na pięterko.

Dwadzieścia minut później, wróciwszy na miejsce pasażera w radiowozie, D’Agosta jechał z powrotem na lotnisko O’Hare, mając w kieszeni szczelnie zamkniętą foliową torebkę zawierającą grzebień Howarda Rudda. Zastanawiał się ponuro, na ile mylnie mogły okazać się jego wcześniejsze przypuszczenia. Ostatnią rzeczą, jakiej mógł się spodziewać, był schludny dom przy Colfax Avenue i mieszkająca w nim głęboko oddana i zdeterminowana wdowa.

Rudd mógł być mordercą. Ale wydawał się także dobrym człowiekiem, który podjął złą decyzję i wpakował się w kłopoty. D’Agosta miał już do czynienia z podobnymi przypadkami. Czasami im bardziej ktoś próbował walczyć, tym głębiej zapadał się w bagno, w którym tkwił. D’Agosta musiał zrewidować swoją opinię w kwestii Rudda. Uświadomił sobie, że to miłość Rudda do rodziny i trudna sytuacja, w jakiej się znalazł, zmusiły go do podjęcia drastycznych kroków i przerażających decyzji, łącznie ze zmianą wyglądu i tożsamości. Nie wątpił, że ostatecznym argumentem, którego ci ludzie, kimkolwiek byli, użyli przeciwko Ruddowi, była jego rodzina. Musiał zetknąć się z bandą naprawdę wrednych sukinsynów.

D’Agosta przeniósł wzrok na policjanta z Gary.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

D'Agosta spojrział na autostradę przed nimi. To było dziwne, bardzo dziwne. Mieli „Nemo”, człowieka, który zaatakował Pendergasta i przypuszczalnie zabił Marsalę, w chłodni w kostnicy, ale brakowało im jego historii, nie znali jego przeszłości, wiedzieli jedynie, że był ciężko pracującym domatorem, ojcem rodziny, dobrym mężem i ojcem i nazywał się Howard Rudd. Pomiedzy zniknięciem Rudda w Gary a jego ponownym pojawieniem się w Nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej, gdzie podawał się za naukowca nazwiskiem Waldron, była trzyletnia luka.

W tej sytuacji D'Agostę nurtowało zasadnicze pytanie: Co, u licha, działo się w tym czasie z Ruddem?

Porucznik Angler siedział na zapleczu biura wynajmu samochodów na lotnisku w Albany, obracając leżący przed nim na blacie ołówek i czekając, aż kierownik Mark Mohlman skończy obsługiwać klienta i wróci do gabinetu. Wszystko szło tak dobrze, że wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. I właśnie stwierdził, że raczej nie było prawdą, a jedynie pobożnym życzeniem. Nieosiągalnym marzeniem.

Zlecił swojej ekipie, by przygotowała listy wszystkich, którzy wynajęli samochód w okolicy Albany wtedy, gdy Alban przebywał w mieście. Osobiście przejrzał te listy i trafił w dziesiątkę – niejaki Abrades Plangent, znowu posługując się anagramem nazwiska Alban Pendergast, wynajął wóz w Republic 19 maja, dzień po swoim przylocie do Albany. Angler zadzwonił do biura wynajmu samochodów i przełączono go do Marka Mohlmana. Tak, w firmie jest archiwum przeprowadzonych transakcji. Tak, wóz wciąż jest w użyciu, choć obecnie znajduje się w innym biurze, oddalonym sześćdziesiąt kilometrów. Tak, Mohlman może sprowadzić go do Albany. Właśnie dlatego Angler i sierżant Slade wsiedli do udostępnionego im samochodu i odbyli trzygodzinną podróż z Nowego Jorku do stolicy stanu.

Mohlman okazał się człowiekiem, o jakiego im chodziło. Ten były żołnierz piechoty morskiej i zarejestrowany członek NRA – Krajowego Związku Myślistwa Sportowego – zaoferował im pomoc z entuzjazmem godnym niedosłego gliniarza. W sprawnych rękach Mohlmana zadania, na które trzeba by poświęcić wiele godzin papierkowej roboty albo które wymagały nawet nakazu sądowego, stały się banalnie proste. Mężczyzna bez trudu odnalazł dokumenty wynajmu samochodu przez Albana – niebieskiej toyoty avalon – i dostarczył je Anglerowi. Alban zwrócił wóz po trzech dniach; na liczniku było jedynie trzysta kilometrów więcej.

Właśnie w tym momencie Anglera zaczęły ogarniać coraz bardziej niepokojące podejrzenia. Alban Pendergast miał irytujący talent do

znikania, kiedy tylko przyszła mu na to ochota. Stawiając się na miejscu Albana, Angler uznał, że młodzieniec po prostu musiał zrobić coś, by zatuszować swoje poczynania. Poprosił Mohlmana o ponowne sprawdzenie rejestratorów systemu śledzenia pojazdu z okresu, gdy Alban wynajął samochód. Mohlman zabrał się do tego z entuzjazmem. Zalogował się w systemie śledzenia pojazdów i wybrał dane z rejestratora toyoty. Przeczucie nie zawiodło Anglera: dane z systemu nie pasowały do wskazania licznika, gdyż wypożyczonym samochodem Alban przejechał łącznie sześćset pięćdziesiąt kilometrów.

I wtedy śledztwo zaczęło się sypać. Nagle pojawiło się zbyt dużo zmiennych. Alban mógł manipulować przy ustawieniach licznika, co rzekomo było niemożliwe, ale w jego przypadku Angler nie wykluczał takiej ewentualności. Mógł też usunąć urządzenie śledzące z toyoty i podpiąć je do innego pojazdu, potem zabrać i w ten sposób wprowadzić do systemu fałszywe dane. A może wcale nie zamontował ponownie urządzenia, lecz włożył do auta inny lokalizator, by namieszać w rejestratorze danych. Musieli wybrać najbardziej prawdopodobną opcję, a nie wiedzieli, jak się do tego zabrać.

Mohlman był zmuszony opuścić gabinet, by zająć się rozszluszczonym klientem. Dlatego Angler siedział w ponurym nastroju, jakby od niechcenia obracając ołówek leżący na blacie. Sierżant Slade, jak zwykle milczący, siedział naprzeciw niego. Angler, bawiąc się ołówkiem, zastanawiał się, co właściwie miał nadzieję uzyskać, przyjeżdżając tutaj. Nawet gdyby wiedział, ile dokładnie kilometrów przejechał Alban i jakim samochodem się poruszał, co by mu to dało? W ciągu trzech dni Alban mógł pojechać dokądkolwiek. Niebieskich toyot avalon nie brakowało. A w miasteczkach na terenie północnej części stanu Nowy Jork ulicznych kamer monitoringu czy fotoradarów było jak na lekarstwo. Kiedy jednak Mohlman wrócił do gabinetu, na jego twarzy malował się uśmiech.

– Czarna skrzynka – powiedział.

– Co?

– Czarna skrzynka. Rejestrator danych szczegółowych. Każdy samochód z wypożyczalni ma takie urządzenie.

– Naprawdę? – Angler wiedział, że są w nie wyposażone radiowozy, ale to było dla niego coś nowego.

– Oczywiście. I to od kilku lat. Początkowo wykorzystywano je tylko do tego, żeby zbierać informacje o tym, jak i dlaczego doszło do uruchomienia w danym pojeździe poduszek powietrznych. Skrzynki włączały się automatycznie podczas silnego wstrząsu. Ostatnio jednak wypożyczalnie zaczęły płacić za samochody z bardziej wyspecjalizowanymi skrzynkami. Teraz wynajmujący samochód nie zdoła niczego ukryć.

– Jakie informacje rejestrują te urządzenia?

– Cóż, te nowsze zapisują podstawowe dane o lokalizacji. Odległości przejechane każdego dnia. Średnią prędkość. Sposób prowadzenia. Częstotliwość hamowań. A nawet czy były zapięte pasy bezpieczeństwa. Wszystko jest powiązane z systemem GPS. Kiedy silnik jest wyłączony, czarna skrzynka rejestruje położenie pojazdu w odniesieniu do momentu ponownego uruchomienia silnika. I tak jak w wypadku samolotu czarnej skrzynki nie można usunąć ani zmanipulować. Ludzie nie zdają sobie sprawy, do jakiego stopnia my w wypożyczalniach jesteśmy w stanie kontrolować, co robią z naszymi pojazdami.

Czarnej skrzynki nie można usunąć ani zmanipulować. W duszy Anglera znów zakiełkowała nadzieja.

– Mówimy o wydarzeniach sprzed roku. Czy w tym urządzeniu wciąż mogą znajdować się te dane?

– To zależy. Kiedy pamięć się zapełni, urządzenie zaczyna nadpisywać najstarsze dane. Na pana miejscu byłbym dobrej myśli. Ta toyota przez ostatnie pół roku znajdowała się w naszym biurze w Tupper Lake, a tam rzadko wypożycza się samochody. Więc dane wciąż mogą tam być.

– Jak można to sprawdzić?

Mohlman wzruszył ramionami.

– Wystarczy się podłączyć. Najnowsze modele są w stanie przekazywać dane bezprzewodowo.

– Może pan to zrobić?

Angler nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Alban był sprytny, ale popełnił poważny błąd. Angler miał nadzieję, że Mohlman nie zechce zwrócić się do sędziego o zgodę na odczytanie czarnej skrzynki, ten jednak tylko pokiwał głową.

– Samochód nadal stoi w garażu. Poproszę moich ludzi, żeby ściągnęli te dane i wydrukowali je dla pana.

Godzinę później Angler siedział przy komputerze w komendzie głównej policji w Albany, trzymając na kolanach rozłożoną mapę stanu Nowy Jork. Sierżant Slade siedział przy drugim komputerze, obok niego.

Mohlman znowu się spisał. Oprócz najróżniejszych bezużytecznych informacji rejestrator danych z toyoty dostarczył im najważniejsze dane – w dniu, gdy Alban wynajął samochód, przejechał nim sto trzydzieści kilometrów niemal dokładnie na północ od lotniska w Albany.

To oznaczało, że wóz musiał dotrzeć do miasteczka Adirondack nad brzegami jeziora Schroon. Angler gorąco podziękował Mohlmanowi, prosząc, by nikomu o tym nie mówił, i obiecał mu przejażdżkę radiowozem, gdyby kierownik wypożyczalni znalazł się kiedyś na Manhattanie.

– Adirondack w stanie Nowy Jork – powiedział na głos Angler. – Kod pocztowy dwanaście osiemset osiem, liczba mieszkańców – trzysta. Po jaką cholerę Alban tłukł się taki szmat drogi z Rio do Adirondack?

– Może dla widoków? – odpowiedział Slade.

– Widoki z Głowy Cukru są o wiele bardziej malownicze.

Angler wszedł do policyjnej bazy danych zawierającej informacje o przestępstwach popełnionych wtedy w tamtym regionie.

– Żadnych morderstw – powiedział po chwili. – Żadnych kradzieży. W ogóle żadnych przestępstw! Chryste, mogłoby się wydawać, że hrabstwo Warren przespało dziewiętnastego, dwudziestego i dwudziestego pierwszego maja.

Po wyjściu z systemu zaczął przeszukiwać Google.

– Adirondack – wymamrotał. – Tam nic nie ma. Z wyjątkiem mnóstwa strzelistych drzew. I jednej firmy: Red Mountain Industries.

– Nigdy o niej nie słyszałem – powiedział Slade.

Red Mountain Industries. Coś świtało Anglerowi. Wpisał tę nazwę do wyszukiwarki i szybko przejrzał wyniki.

– To duży prywatny kontrahent zbrojeniowy. Zajmuje się systemami obronnymi. I ma dość wątpliwą historię, jeśli wierzyć internetowym zwolennikom teorii spiskowych. W najlepszym wypadku firma jest bardzo podejrzana. Jej właścicielem jest niejaki John Barbeaux.

– Sprawdź go. – Slade odwrócił się do swojego komputera.

Angler milczał przez chwilę. Intuicyjna część jego mózgu znów zaczęła pracować w przyspieszonym tempie. Pendergast ostatni raz widział swojego

syna w Brazylii osiemnaście miesięcy temu.

– Sierzancie – powiedział. – Pamiętacie artykuł prasowy, o którym wam mówiłem? Kiedy Pendergast był w Brazylii półtora roku temu, pojawiły się doniesienia o masakrze gdzieś w głębi dżungli, w której uczestniczył gringo o bladym obliczu.

Slade przestał stukać w klawisze.

– Tak, panie poruczniku.

– Kilka miesięcy później Alban udał się potajemnie do Adirondack w stanie Nowy Jork, do siedziby Red Mountain, prywatnej firmy zbrojeniowej specjalizującej się w systemach obronnych.

Zapadła cisza, gdy Slade zastanawiał się nad słowami Anglera.

– Myśli pan, że za tą masakrą stał Pendergast? – zapytał w końcu Slade. – I że być może towarzyszył mu ktoś z Red Mountain? Sfinansował ten projekt, zapewnił broń? Uważa pan, że było to coś w rodzaju akcji najemników?

– Przeszło mi to przez myśl.

Slade zmarszczył brwi.

– Ale czemu Pendergast miałby mieszać się w coś takiego?

– Kto wie? Ten facet to zagadka. Ale założę się, że wiem, dlaczego Alban pojechał do Adirondack. I dlaczego został zabity.

Slade znów słuchał w milczeniu.

– Alban wiedział o masakrze. Możliwe nawet, że tam był. Pamiętasz? Pendergast mówił, że jedyny raz spotkał swojego syna w brazylijskiej dżungli. A jeśli Alban szantażował zarówno swojego ojca, jak i jego łącznika z Red Mountain tym, co wiedział? I oni obaj zaaranżowali jego śmierć?

– Chce pan powiedzieć, że Pendergast sprzątnął własnego syna? – rzekł Slade. – To zbyt grubymi nićmi szyte nawet jak na Pendergasta.

– Szantażowanie ojca to równie szalony pomysł. Ale spójrz na historię osiągnięć Pendergasta. Wiemy, do czego jest zdolny. Może to tylko teoria, ale jedyna, która pasuje do tej układanki.

– Po co miałby podrzucać ciało syna pod drzwi własnego domu?

– Żeby zmylić policję. Cała ta sprawa z turkusem, rzekomym atakiem na Pendergasta w Kalifornii to wszystko zasłona dymna. Przypomnij sobie, jak skryty i niechętny do współpracy wydawał się z początku Pendergast. Jakby ta sprawa w ogóle go nie obchodziła. Rozkręcił się dopiero wtedy, gdy

skupiłem się na poczynaniach Albana.

Kolejna chwila ciszy.

– Jeżeli ma pan rację, możemy zrobić tylko jedno – skwitował Slade. – Pojechać do Red Mountain. I porozmawiać bezpośrednio z tym Barbeaux. Jeżeli w firmie jest jakaś czarna owca, ktoś, kto sprzedaje broń na boku i zgarnia za to forszę do własnej kieszeni albo angażuje się w najemnicze operacje, na pewno chciałby się o tym dowiedzieć.

– To ryzykowne – odparł Angler. – A jeśli to Barbeaux jest umoczony? To byłoby jak wejście wprost do jaskini lwa.

– Właśnie go sprawdziłem. – Slade wskazał na swój komputer. – Jest czysty jak świeży śnieg. Skaut ze wszystkimi sprawnościami, odznaczony ranger, diakon w swoim kościele, nigdy nie był zamieszany w żaden skandal, nie ma o nim nawet wzmianki w naszych archiwach.

Angler zamyślił się.

– Znakomicie nadaje się do tego, żeby wszczął ciche dochodzenie w tej sprawie. Żeby prześwietlił własną firmę. A jeśli jest nieuczciwy, mimo skautowskiej przeszłości, nasze działania powinny sprawić, że się zdradzi, odkryje karty.

– Pomyślałem dokładnie o tym samym – odrzekł Slade. – W ten czy inny sposób poznamy prawdę. Grunt, żeby przynajmniej na początku działać jak najbardziej dyskretnie i po cichu.

– Dobra. Jeżeli okaże się chętny do współpracy, nie będziemy robić większego zamieszania. Zajmij się papierkową robotą, powiadom ekipę, dokąd się wybieramy, kogo zamierzamy przesłuchać i kiedy wrócimy.

– Już się robi. – Slade odwrócił się do komputera.

Angler odłożył mapę i wstał.

– Następny przystanek – powiedział półgłosem – Adirondack w stanie Nowy Jork.

Po raz drugi w ciągu niespełna tygodnia porucznik D'Agosta znalazł się w pokoju z kolekcją broni w rezydencji przy Riverside Drive. Wszystko wyglądało tak samo, ta sama rzadka broń wystawiona w szafkach i gablotach, ściany z różanego drewna, kasetonowe sklepienie. W pokoju były też te same osoby co poprzednio: Constance Greene, w delikatnej bluzce z organdy i ciemnobrązowej plisowanej spódnicy, oraz Margo, która uśmiechnęła się do niego niepewnie. Brakowało jedynie właściciela posiadłości, Aloysiusa Pendergasta.

Constance zajęła miejsce u szczytu stołu. Wydawała się jeszcze bardziej zagadkowa niż zazwyczaj ze swoimi nienagannymi dystygowanymi manierami i staroświeckim akcentem.

– Dziękuję wam za przybycie – powiedziała. – Poprosiłam o dzisiejsze spotkanie, ponieważ mamy sytuację kryzysową.

D'Agosta zajął miejsce w jednym ze skórzanych foteli ustawionych wokół stołu, a jego umysł wypełniły mroczne, niepokojące myśli.

– Mój opiekun, wasz przyjaciel, jest niezdrów. Prawdę mówiąc, jest ciężko chory.

D'Agosta wychylił się do przodu.

– Jak bardzo jest z nim źle?

– On umiera.

Te słowa sprawiły, że w pokoju zapanowała wywołana szokiem cisza.

– A więc został otruty jak ten facet w Indio? – spytał D'Agosta. – Niech to szlag, gdzie on się podziewał?

– W Brazylii i Szwajcarii, usiłował dowiedzieć się, co stało się z Albanem i dlaczego on sam został otruty. W Szwajcarii doznał zapaści. Odnalazłam go w szpitalu w Genewie.

– Gdzie jest teraz? – spytał D'Agosta.

– Na górze. Pod prywatną opieką.

– Z tego, co zdążyłam się zorientować, osoby zażywające eliksir Hezekiaha chorowały przez wiele miesięcy, a nawet lat, zanim zmarły – odezwała się Margo. – Pendergast musiał otrzymać silnie stężoną dawkę.

Constance pokiwała głową.

– Tak. Osoba, która go zaatakowała, wiedziała, że ma tylko jedną szansę, by go dopaść. Można śmiało przypuszczać – na podstawie bardzo gwałtownego pogorszenia się jego stanu – że człowiek, który zasadził się na Pendergasta w Salton Fontainebleau i zmarł później samobójczą śmiercią w areszcie śledczym w Indio, otrzymał jeszcze silniejszą dawkę.

– To by się zgadzało – powiedziała Margo. – Dostałam raport od doktora Samuela w Indio. Szkielet denata wykazuje obecność tych samych niezwyklej substancji, które odkryłam w szczątkach pani Padgett, lecz w znacznie bardziej stężonych dawkach. Nic dziwnego, że eliksir zabił go tak szybko.

– Jeżeli Pendergast umiera – rzekł D’Agosta, wstając – to czemu, u licha, nie jest teraz w szpitalu?

Odpowiedzią było surowe spojrzenie.

– Nalegał na opuszczenie szpitala w Genewie i powrót do domu na pokładzie wycarterowanego samolotu ze sprzętem medycznym. Nie można zatrzymać chorego w szpitalu wbrew jego woli. Upiera się, że nic nie można dla niego zrobić, a nie chce umrzeć w szpitalu.

– Jezu – szepnął D’Agosta. – Co możemy zrobić?

– Potrzebujemy antidotum. Z kolei żeby znaleźć antidotum, potrzebujemy informacji. Właśnie dlatego tu jesteśmy.

Constance odwróciła się do D’Agosty.

– Poruczniku, proszę opowiedzieć nam o wynikach swojego dochodzenia.

D’Agosta otarł czoło.

– Nie wiem, na ile to może być ważne, ale dotarliśmy śladem napastnika, który zaatakował Pendergasta, do Gary w stanie Indiana. Trzy lata temu człowiek ten nazywał się Howard Rudd, był przykładowym ojcem rodziny i właścicielem sklepiku. Wpadł jednak w długi i zaciągnął pożyczkę u niewłaściwych ludzi, a potem zniknął, porzucając żonę i dzieci. Dwa miesiące temu znów się pojawił, ze zmienioną twarzą. To on zaatakował Pendergasta i przypuszczalnie zabił również Victora Marsalę. Próbuujemy wypełnić lukę w jego historii, gdzie był i dla kogo pracował. Ale jak dotąd

wciąż zderzamy się ze ścianą.

D'Agosta spojrział na Margo. Milczała, a jej twarz była bardzo blada.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Wreszcie znów odezwała się Constance:

– Niezupełnie.

D'Agosta spojrział na nią.

– Sporządziłam listę ofiar Hezekiaha, wychodząc z założenia, że potomek jednej z nich mógł być odpowiedzialny za zaaplikowanie trucizny Pendergastowi. Dwie spośród tych ofiar to Stephen i Ethel Barbeaux, małżeństwo, które zmarło wskutek zażywania eliksiru w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym. Osierocili troje dzieci, w tym niemowlę, które zostało poczęte, gdy Ethel już przyjmowała eliksir. Rodzina mieszkała w Nowym Orleanie, przy Dauphine Street, dwa domy dalej od rodzinnej rezydencji Pendergastów.

– Ale dlaczego właśnie oni? – spytał D'Agosta.

– Ich prawnukiem jest John Barbeaux. To prezes wojskowej firmy doradczej o nazwie Red Mountain Industries, człowiek bardzo bogaty i odludek. Barbeaux miał syna, jedynaka. Chłopak był geniuszem muzycznym. Zawsze był słabego zdrowia, jednak dwa lata temu silnie zaniemógł. Nie udało mi się poznać więcej szczegółów na temat jego choroby, ale najwyraźniej wprawiła ona w zakłopotanie tabuny lekarzy i specjalistów swoimi niezwyklejmi symptomami. Podjęto ogromne wysiłki, by ocalić życie chłopca, lecz wszystko to na próżno.

Constance przeniosła wzrok z Margo na D'Agostę i z powrotem.

– Przypadek ten opisano w jednym z numerów brytyjskiego czasopisma medycznego „Lancet”.

– O czym ty mówisz? – spytał D'Agosta. – Chcesz powiedzieć, że trucizna, która zabiła pradziadków Johna Barbeaux, kilka pokoleń później uśmierciła jego syna?

– Tak. Chłopak przed śmiercią skarżył się na odór gnijących kwiatów. Natrafiłam też na kilka innych podobnych zgonów w rodzinie Barbeaux, sięgających paru pokoleń wstecz.

– Nie kupuję tego – rzekł D'Agosta.

– A ja tak – powiedziała Margo. – To może oznaczać, że eliksir Hezekiaha wywołał zmiany epigenetyczne. Czyli przekazywane z pokolenia na

pokolenie. Trucizny środowiskowe to podstawowa przyczyna zmian epigenetycznych.

– Dziękuję – powiedziała Constance.

W pokoju znów zapadła krótka cisza.

D’Agosta wstał i zaczął spacerować nerwowo w tę i z powrotem, w głowie miał mętlik.

– Dobra. Pozbierajmy to do kupy. Chcesz powiedzieć, że Barbeaux otruwał Pendergasta eliksirem z zemsty nie tylko za swoich przodków, lecz również za swojego syna. Jak Barbeaux wpadł na ten pomysł? Wątpię, by mógł wiedzieć, co stało się z jego pradziadkami, którzy zmarli ponad sto lat temu. No i scenariusz zemsty – zabicie Albana, umieszczenie w jego ciele turkusów, zwabienie Pendergasta na drugi koniec kraju – jest piekielnie barokowy w swojej złożoności. Po co? Kto mógł wymyślić coś takiego?

– Człowiek nazwiskiem Tapanes Landberg – powiedziała Constance.

– Kto? – spytała Margo.

– Oczywiście! – D’Agosta uderzył pięścią w otwartą dłoń i odwrócił się. – Alban! Mówiłem już, że odbył krótką wycieczkę na północ stanu Nowy Jork, do Albany, rok przed swoją śmiercią. Dowiedziałem się tego z akt zebranych przez porucznika Anglera.

– Red Mountain Industries ma siedzibę w Adirondack w stanie Nowy Jork – wtrąciła Constance. – To półtorej godziny drogi z Albany.

D’Agosta znów się odwrócił.

– Alban. Szurnięty popapraniec. Z tego, co mówił o nim Pendergast, plan wydaje się gierką, jaka mogłaby się zrodzić w jego chorym umyśle. Oczywiście jako geniusz musiał wiedzieć wszystko o eliksirze Hezekiaha. Dlatego pojechał i znalazł potomka ofiary, człowieka, który miał zarówno powód do zemsty, jak i środki, żeby zrealizować plan odwetu. Barbeaux, który stracił syna. Alban musiał dowiedzieć się czegoś o Barbeaux, bo bez wątplenia facet jest zwolennikiem maksymy oko za oko. To byłoby doskonale również w innym kontekście: i Barbeaux, i Alban mieli zemścić się na Pendergaście.

– Tak. Ten plan cuchnie Albanem – przyznała Constance.

– Może nawet odwiedził Salton Fontainebleau i kopalnię turkusów. Mógł powiedzieć Barbeaux: Oto plan. Musisz jedynie zsyntetyzować eliksir i zwabić Pendergasta w określone miejsce.

– Tyle że ostatecznie to Alban został oszukany – wtrąciła Margo.

– Pytanie brzmi – kontynuował D’Agosta – jak, u licha, to wszystko może nam pomóc w opracowaniu antidotum?

– Musimy rozszyfrować formułę eliksiru, zanim będziemy w stanie odwrócić skutki jego działania. Jeżeli Barbeaux zdołał odtworzyć tę substancję, to znaczy, że my również możemy to zrobić. – Constance rozejrzała się wokoło. – Przejrzę tutejsze piwniczne zbiory, akta i archiwa rodzinne oraz stare laboratorium chemiczne w poszukiwaniu śladów formuły Hezekiaha. Margo, zechciałabyś popracować jeszcze przy kościach pani Padgett? Te kości zawierają kluczowy trop, zważywszy na to, ile trudu zadał sobie Barbeaux, żeby pozyskać jedną z nich.

– Tak – rzekła Margo. – Raport koronera z autopsji Ruddy także może pomóc w rozpracowaniu formuły.

– Jeżeli chodzi o mnie – powiedział D’Agosta – zamierzam sprawdzić Barbeaux. Dowiem się, czy jest za to odpowiedzialny. A jeżeli okaże się, że tak, przycisnę go mocno, aż ta formuła wyskoczy z jego...

– Nie.

To słowo wypowiedział nowy, inny głos, brzmiący jak ochryply szept, dochodzący od strony drzwi do pokoju z bronią. D’Agosta odwrócił się w tę stronę i ujrzał Pendergasta. Stał chwiejnie, przytrzymując się framugi, ubrany w rozchełstany jedwabny szlafrok. Wyglądałby jak trup, gdyby nie jego oczy lśniące niczym monety pośród podpuchniętych czarnych worków otaczającej je skóry.

– Aloysiusie! – zawołała Constance, podrywając się z miejsca. – Czemu wstałeś z łóżka? – Podbiegła do niego. – Gdzie doktor Stone?

– Doktor nie przyda mi się na nic.

Próbowała wyprowadzić go z pokoju, ale odepchnął ją od siebie.

– Muszę to powiedzieć. – Zachwiał się, ale zaraz odzyskał równowagę. – Jeśli macie rację, pamiętajcie, że człowiek, który to zrobił, był w stanie zabić mojego syna. A więc jest wyjątkowo potężnym i groźnym przeciwnikiem. – Pokręcił głową, jakby chciał oczyścić umysł. – Jeżeli spróbujecie go dopaść, narazicie się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Ja i tylko ja... podążę dalej... muszę podążyć dalej...

Nagle w drzwiach pojawił się mężczyzna, wysoki, chudy, w okularach w szylkretowych oprawkach i garniturze w prążki, ze stetoskopem

przewieszonym na szyi.

– Chodź, przyjacielu – rzekł łagodnie. – Nie możesz się przemęczać. Wróćmy na górę. Skorzystamy z windy...

– Nie! – ponownie zaprotestował Pendergast, ale już słabiej, najwyraźniej wysiłek, jakim było dla niego wstanie z łóżka, wyczerpał go.

Doktor Stone wyprowadził agenta niezbyt mocno, lecz zdecydowanie. Gdy zniknęli w korytarzu, D'Agosta usłyszał, jak Pendergast mówi:

– Światło! Ależ ono świeci! Zgaś je, błagam...

Cała trójka wciąż stała, wymieniając spojrzenia. D'Agosta zauważył, że Constance, zwykle chłodna i nieodgadniona, ma rumieńce i jest bardzo zdenerwowana.

– On ma rację – rzekł. – Ten Barbeaux to nie jest zwykły gość. Lepiej dobrze się nad tym zastanówmy. Musimy pozostawać w ścisłym kontakcie i wymieniać się na bieżąco informacjami. Jeden błąd może nas wszystkich kosztować życie.

– Wobec tego nie popełnimy ani jednego błędu – skwitowała półgłosem Margo.

Gabinet był spartański, funkcjonalny i – ponieważ odzwierciedlał osobowość właściciela – umeblowany w stylu wojskowym. Na dużym biurku, wypolerowanym do połysku, leżały jedynie staroświecka suszka, zestaw piór i ołówek, telefon oraz zdjęcie w srebrnej ramce, zgrabnie uporządkowane. Nie było ani komputera, ani klawiatury. W rogu pomieszczenia na drewnianym stojaku umieszczono flagę amerykańską. Na ścianie z tyłu stał regał z książkami o historii wojskowości i rocznikami wojskowymi: „Broń pancerna i artyleryjska”, „Rozbrajanie ładunków wybuchowych”, „Pojazdy wojskowe i logistyka”. Na sąsiedniej ścianie wisiały oprawione medale, dyplomy i pochwały.

Za biurkiem siedział mężczyzna w eleganckim garniturze i śnieżnobiałej koszuli z ciemnoczerwonym krawatem. Siedział sztywno, a garnitur nosił niemal jak mundur. Pisał piórem wiecznym, a skrobanie stalówki było jedynym odgłosem rozlegającym się w ciszy gabinetu. Za panoramicznym oknem rozciągał się widok na nieduże skupisko podobnych budynków, z przyciemnionymi szybami i otoczonych parkanem zabezpieczonym u góry zwojami drutu brzytwiastego. Za zewnętrzną linią siatki można było dostrzec gęsty zagajnik drzew, strzelistych i ociekających soczystą zielenią, a jeszcze dalej taflę błękitnego jeziora. Zadzwoił telefon i mężczyzna odebrał.

– Tak? – rzucił krótko. Głos, oschły, chrapliwy, zdawał się wybywać z głębi jego masywnej klatki piersiowej.

– Panie Barbeaux – odezwała się sekretarka – dwaj policjanci do pana.

– Daj mi sześćdziesiąt sekund – powiedział. – A potem ich wpuść.

– Tak, proszę pana.

Mężczyzna odłożył telefon. Siedział przy biurku w kompletnym bezruchu jeszcze kilka sekund. A potem, spojrzawszy na zdjęcie, podniósł się z fotela. Był po sześćdziesiątce, ale wykonał ten ruch swobodnie i płynnie jak

dwudziestolatek. Odwrócił się, by przejrzeć się w niewielkim lustrze wiszącym na ścianie za biurkiem. W odpowiedzi popatrzył na niego mężczyzna o potężnej, grubokościstej twarzy, z niebieskimi oczami, rzymskim nosem i kwadratową szczęką. Choć krawat miał zawiązany idealnie i tak go poprawił. A następnie odwrócił się w stronę drzwi gabinetu.

Te właśnie się otworzyły i sekretarka wprowadziła do środka dwóch mężczyzn.

Barbeaux przyjrzał im się po kolei. Jeden był wysoki, o nieco rozwianych ciemnoblonde włosach. Poruszał się władczo i z gracją urodzonego atlety. Drugi był niższy, ciemnowłosy. Popatrzył na Barbeaux z wyrazem twarzy, który nie zdradzał absolutnie niczego.

– John Barbeaux? – spytał wyższy mężczyzna.

Skinął głową.

– Jestem porucznik Peter Angler z policji nowojorskiej, a to mój współpracownik, sierżant Slade.

Uścisnął dłonie przybyłych i wrócił na miejsce.

– Proszę spocząć. Kawy, herbaty?

– Nie, dzięki. – Angler usiadł na jednym z krzeseł przed biurkiem, a po chwili Slade zrobił to samo. – Ma pan tu niezłą fortecę, panie Barbeaux.

Słyszając te słowa, uśmiechnął się.

– To głównie na pokaz. Przekonałem się, że warto robić odpowiednie wrażenie.

– A jednak mnie to ciekawi. Po co budować tak wielki kompleks akurat tu, na takim odludziu?

– Czemu nie? – odparł Barbeaux. Angler nic nie powiedział, więc dodał: – Moi rodzice przyjeżdżali tutaj każdego lata. Podoba mi się okolica jeziora Schroon.

– Rozumiem. – Angler założył nogę na nogę. – To piękny region.

Barbeaux znów skinął głową.

– Co więcej, ziemia tu nie jest droga. Red Mountain jest właścicielem ponad pięciuset hektarów gruntów do wykorzystania na treningi, symulację działań bojowych, testy nowej broni i tym podobne.

Przerwał.

– No dobra. Co panów sprowadza na północne rubieże stanu Nowy Jork?

– Prawdę mówiąc, Red Mountain. A przynajmniej częściowo.

Barbeaux ze zdziwieniem zmarszczył brwi.

– Naprawdę? A czemu policja nowojorska miałaby interesować się moją firmą?

– Czy zechciałby pan powiedzieć mi, czym konkretnie zajmuje się Red Mountain Industries? – spytał Angler. – Poszperałem trochę w internecie, ale pańska oficjalna strona skąpi istotnych danych.

Zdumienie wciąż nie zniknęło z twarzy Barbeaux.

– Zapewniamy szkolenia i wsparcie policji, służbom ochrony i klientom wojskowym. Prowadzimy także badania nad zaawansowanymi systemami.

– Ach. Czy te systemy dotyczą także działań antyterrorystycznych?

– Tak.

– Czy oprócz wsparcia na miejscu zapewniacie także odpowiednie zaplecze?

Barbeaux zawahał się i po chwili odparł:

– Niekiedy tak. Ale w czym właściwie mogę pomóc?

– Wyjaśnię za chwilę, jeżeli zechce pan odpowiedzieć mi na jeszcze jedno, dwa pytania. Zakładam, że pańskim największym klientem jest rząd Stanów Zjednoczonych?

– Tak.

– Czy można powiedzieć, że reputacja dostawcy sprzętu do obrony jest dla pana sprawą priorytetową? Mam na myśli komisje nadzoru z ramienia Kongresu i tak dalej.

– To sprawa najwyższej wagi.

– Oczywiście. – Angler rozprostował nogi i wychylił się lekko do przodu. – Panie Barbeaux, powodem naszej dzisiejszej wizyty jest pewien problem w pańskiej firmie.

Barbeaux znieruchomiał.

– Co, proszę? Jaki problem?

– Nie znamy szczegółów. Uważamy jednak, że pewna osoba – lub osoby, bo może być ich więcej, choć prawdopodobnie chodzi o jednego człowieka – sprzeniewierzyła zasoby firmy i może być zamieszana w nielegalne działania. Możliwe, że w grę wchodzi sprzedaż broni na boku, szkolenia prywatnych jednostek najemników albo nawet potajemne operacje bojowe.

– Ale to niemożliwe. Prześwietlamy wszystkich nowych pracowników i dokładnie sprawdzamy ich przeszłość. Poza tym wszyscy stali pracownicy

co roku muszą poddać się badaniu wykrywaczem kłamstw.

– Rozumiem, że to może być dla pana trudne do zaakceptowania – odparł Angler. – Niemniej wnioski wynikające z naszego dochodzenia są jednoznaczne.

Barbeaux zastanawiał się przez chwilę.

– Oczywiście chciałbym wam pomóc, panowie. Ale nasza firma jest tak skrupulatna, ostrożna i uważna – w tym biznesie inaczej się nie da – że nie rozumiem, jak pańska hipoteza miałyby się potwierdzić.

Angler podjął wywód.

– Ujmę to inaczej. Czy gdybyśmy mieli rację, przyznałby pan, że kładłoby się to cieniem na reputacji Red Mountain Industries?

Barbeaux skinął głową.

– Owszem, tak.

– I gdybyśmy mieli rację, a sprawa wyszłaby na jaw, konsekwencje byłyby niewyobrażalne.

Barbeaux znów się zamyślił. A potem zrobił długi wydech.

– Wie pan co... – zaczął i nagle zamilkł.

Wstał i wyszedł z za biurka. Spojrzał najpierw na Anglera, a potem na sierżanta Slade'a. Niższy mężczyzna cały czas milczał, pozwalając mówić swojemu przełożonemu. Barbeaux znów przeniósł wzrok na Anglera.

– Wie pan co, myślę, że powinniśmy wrócić do tej rozmowy w innym miejscu. Nauczyłem się, że ściany mają uszy, nawet w prywatnym gabinecie.

Skierował się do drzwi prowadzących do zewnętrznego biura, przeszedł przez nie, minął korytarz i zatrzymał się przy windzie. Wcisnął guzik ze strzałką skierowaną ku dołowi i drzwi znajdujące się bliżej niego rozsunęły się z cichym szmerem. Zaprosił policjantów, by weszli pierwsi do kabiny, po czym sam również wsiadł i wcisnął przycisk oznaczony symbolem B3.

– B3? – spytał Angler.

– Trzeci poziom podziemny. Mamy tam kilka strzelnic do testowania broni dużego kalibru. Są dźwiękoszczelne i mają specjalnie wzmocnione ściany. Będziemy mogli swobodnie rozmawiać.

Winda zjechała na najniższy poziom, a drzwi rozsunęły się, ukazując długi betonowy korytarz skąpany szkarłatną poświatą czerwonych żarówek w metalowych siatkach. Barbeaux ruszył przed siebie, mijając od czasu do czasu pozbawione okien drzwi z grubej stali. W końcu zatrzymał się przed

drzwiami z oznaczeniem ST-D, jednym ruchem ręki zapalił świetlówki powyżej i rozejrzawszy się, upewnił się, że w pomieszczeniu nikogo nie ma, zanim zaprosił do środka obu policjantów.

Porucznik Angler zlustrował wzrokiem ściany, podłogę i sufit pokryte czarnym podgumowanym materiałem izolacyjnym.

– To wygląda jak skrzyżowanie kortu do squasha z celą w wariatkowie.

– Jak już wspomniałem, tu nikt nas nie podsłucha.

Barbeaux zamknął drzwi i odwrócił się do policjantów.

– To, co pan mówi, poruczniku, jest bardzo niepokojące. Jakkolwiek w miarę możliwości postaram się współpracować.

– Domyślałem się, że pan to powie – odrzekł Angler. – Sierżant Slade sprawdził pana przeszłość i wierzymy, że należy pan do ludzi, którzy zawsze chcą robić to, co słuszne.

– Jak właściwie mogę pomóc? – zapytał Barbeaux.

– Wszczynając prywatne śledztwo. Proszę pomóc nam zdemaskować tego pracownika lub pracowników. Nie chodzi nam o pogrążenie pańskiej firmy. Dotarliśmy do pana niejako przypadkiem, prowadząc śledztwo w sprawie morderstwa. Interesuje mnie potencjalny podejrzany powiązany z morderstwem, który, jak sądzimy, może być w zмовie z działającym na własną rękę pracownikiem w pańskiej firmie.

Barbeaux zmarszczył brwi.

– Kim jest ten podejrzany?

– To agent FBI, którego tożsamości na razie nie zdradzę. Jeśli jednak zechce pan z nami współpracować, dopilnuję, żeby nazwa Red Mountain nie trafiła do gazet. Postawię tego agenta przed oblicze sprawiedliwości, a pan pozbędzie się czarnej owcy ze swojej firmy.

– Agent FBI działający na własną rękę – rzekł jakby do siebie Barbeaux. – To ciekawe. – Spojrzał na Anglera. – To wszystko, co pan wie? Nie ma pan żadnych innych informacji na temat czarnej owcy w mojej firmie?

– Nie. Dlatego przyjechaliśmy do pana.

– Rozumiem. – Barbeaux odwrócił się i przeniósł wzrok na sierżanta Slade'a. – Możesz go już zastrzelić.

Porucznik Angler zamrugał, jakby usiłował zrozumieć te słowa niemające związku z jego wcześniejszą wypowiedzią. Zanim zdążył odwrócić się do swojego współpracownika, ten wyciągnął służbową broń. Uniósł ją

spokojnym ruchem i oddał dwa szybkie strzały w głowę Anglera. Impet pocisków odrzucił głowę porucznika do tyłu, a jego ciało osunęło się na podłogę pośród mgielki krwi i materii mózgowej, która osiadła na zwłokach chwilę później. Odgłos strzałów wydał się dziwnie stłumiony za sprawą dźwiękochłonnych zabezpieczeń strzelnicy. Slade spojrzął na Barbeaux, chowając pistolet do kabury.

– Czemu tak długo pan to ciągnął? – zapytał.

– Chciałem się dowiedzieć, ile wiedział.

– Mogłem sam to panu powiedzieć.

– Dobrze się spisałeś, Loomis. Zostaniesz odpowiednio nagrodzony.

– Mam nadzieję. Pięćdziesiąt tysięcy rocznie, które płacił mi pan do tej pory, to zdecydowanie za mało. Harowałem w nadgodzinach i chroniłem pański tyłek w związku z tą sprawą. Nie uwierzy pan, za ile sznurków musiałem pociągnąć, oczywiście po cichu, by mieć pewność, że sprawa Albana Pendergasta zostanie przydzielona Anglerowi.

– Niech ci się nie wydaje, że tego nie doceniam, przyjacielu. Ale mamy teraz znacznie ważniejsze sprawy.

Barbeaux podszedł do telefonu wiszącego przy drzwiach, podniósł słuchawkę i wybrał numer.

– Richardzie? Mówi Barbeaux. Jestem na strzelnicy testowej D. Trochę tu nabałaganiałem. Przyślij, proszę, sprzątaczy, żeby się tym zajęli. A potem zbierz drużynę operacyjną. Niech spotkają się ze mną w mojej prywatnej sali konferencyjnej o trzynastej. Mamy nową ważną sprawę.

Odwiesił słuchawkę i ostrożnie przestąpił ponad ciałem leżącym w rozlewającej się coraz bardziej kałuży krwi.

– Sierzancie – powiedział – uważajcie, żeby nie wdepnąć i nie upaprać sobie butów.

Constance Greene stała przed dużym wnątkowym regałem w bibliotece rezydencji przy Riverside Drive 891. W palenisku kominka dogasał ogień, światła były przygaszone, a w domu wreszcie zapanowała cisza. Niezbyt głośne dźwięki z sypialni na górze, bardzo niepokojące, wreszcie ustały. Ale w głowie Constance wciąż panował zamęt. Doktor Stone nalegał, żeby Pendergasta zabrać do szpitala i umieścić na OIOM-ie. Constance nie pozwoliła na to. Po wizycie w Genewie wiedziała doskonale, że żaden szpital nie jest w stanie pomóc Pendergastowi, a jedynie może przyspieszyć jego śmierć.

Sięgnęła do wewnętrznej kieszonki sukni, gdzie trzymała niedużą fiolkę z tabletkami cyjanku. Była to jej polisa ubezpieczeniowa, na wypadek gdyby Pendergast umarł. Za życia nie mogli być razem, ale może po śmierci ich prochy zmieszają się ze sobą.

Jednakże Pendergast nie może umrzeć. Musi być jakieś antidotum na tę truciznę. Odpowiedź na tę zagadkę Constance powinna znaleźć gdzieś w opuszczonych laboratoriach i zakurzonych archiwach rozległego labiryntu podziemnych pomieszczeń rezydencji. Przekonało ją o tym długotrwałe studiowanie historii rodziny Pendergastów, a zwłaszcza Hezekiaha Pendergasta.

Jeśli mój przodek Hezekiah, powiedział do niej Pendergast, którego żona umarła wskutek zażycia tego eliksiru, nie był w stanie znaleźć lekarstwa... to jak mnie mogłoby się to udać?

No właśnie – jak?

Przesunęła stojący na półce gruby wolumin. Rozległo się stłumione szczęknięcie i dwa przylegające do siebie regały rozsunęły się bezgłośnie na zewnątrz na dobrze naoliwionych zawiasach, ukazując mosiężną klatkę staroświeckiej windy. Weszła do środka, zamknęła kratę i przekręciła mosiężną dźwignię. Przy wtórze klekotu dawnej maszynierii winda zjechała

na dół. Po chwili zatrzymała się, a Constance wysiadła i znalazła się w ciemnym przedpokoju. W nozdrza uderzyła ją słaba woń amoniaku, kurzu i pleśni. To była znajoma woń. Constance знаła te podziemia tak dobrze, że prawie nie potrzebowała światła, by się tu swobodnie poruszać. To miejsce było dosłownie jej drugim domem.

Mimo to zdjęła ze stojaka na sąsiedniej ścianie latarkę i ją zapaliła. Przeszła przez labirynt korytarzy i w końcu dotarła do starych, ciężkich od grynspanu drzwi, które otworzyła silnym pchnięciem. Jej oczom ukazała się opuszczona sala operacyjna. W świetle latarki zabłysnął pusty wózek noszowy i obwieszony pajęczynami stojak do kroplówek, a także masywny elektroencefalograf i taca z nierdzewnej stali, na której rozłożono rozmaite narzędzia chirurgiczne. Przeszła przez salę i zbliżyła się do kamiennej ściany na jej drugim końcu. Szybki, zdecydowany ruch Constance: wciśnięcie jednego z kamiennych paneli, sprawił, że fragment ściany uchylił się do wewnątrz. Weszła do środka, a promień latarki oświetlił spiralne schody wyciosane w litej skale stanowiącej podłoże Górnego Manhattanu.

Zeszła po schodach, kierując się ku niższemu poziomowi podziemi. Na dole pojawiła się długa, półkolistą sklepiona piwnica z podłogą z gołej ziemi i ceglanym chodnikiem wiodącym przez długi, zdający się nie mieć końca ciąg podziemnych pomieszczeń. Constance szła po chodniku, mijając magazyny, nisze i komory grobowe. Promień latarki oświetlał kolejne rzędy szafek wypełnionych butelkami z chemikaliami w najróżniejszych kolorach i odcieniach, migoczących jak drogie kamienie. To było wszystko, co pozostało z chemicznych zbiorów Antoine'a Pendergasta, znanego opinii publicznej pod pseudonimem Enoch Leng, stryjecznego pradziadka agenta Pendergasta i jednego z synów Hezekiaha Pendergasta.

Zamiłowanie do chemii okazało się dziedziczne.

Żona Hezekiaha, także imieniem Constance (dziwny zbieg okoliczności, choć może wcale nie), zmarła wskutek zażywania eliksiru swojego męża. W ostatnich rozpaczliwych tygodniach jej życia, jak głosiły przekazy rodzinne, Hezekiah w końcu przestał się oszukiwać i zrozumiał, czym naprawdę jest jego patentowany lek. Po strasznej śmierci żony odebrał sobie życie i został pochowany w wyłożonym ołowiem rodzinnym mauzoleum w Nowym Orleanie, pod starą rodzinną posiadłością znaną jako Rochenoire. Mauzoleum zostało opieczętowane po spaleniu Rochenoire przez

rozjuszony tłum, a teraz było ukryte pod warstwą asfaltu na parkingu.

Co zatem stało się z laboratorium Hezekiaha, jego kolekcją preparatów chemicznych i dziennikami? Czy zostały zniszczone w pożarze? A może jego syn Antoine odziedziczył rzeczy związane z badaniami chemicznymi ojca i przewiózł je tutaj, do Nowego Jorku? Jeżeli tak, powinny znajdować się gdzieś w tych zapuszczonych laboratoriach na najniższym poziomie piwnic. Trzech pozostałych synów Hezekiaha nie interesowało się chemią. Comstock został sławnym iluzjonistą, a Boethius, pradziadek Pendergasta, wybrał żywot badacza i archeologa. Nie zdołała nigdy dowiedzieć się, co osiągnął czwarty brat, Maurice, poza tym że odszedł przedwcześnie na tamten świat wskutek opilstwa.

Jeżeli Hezekiah pozostawił gdzieś notatki, sprzęt laboratoryjny lub chemikalia, Antoine lub, jak wołała o nim myśleć Constance, doktor Enoch, był jedyną osobą, którą mogły one zainteresować. I może właśnie w tych piwnicach pozostały jakieś zapiski dotyczące składu zabójczego eliksiru Hezekiaha.

Najpierw formuła, potem antidotum. I z tym wszystkim trzeba się było uwinąć, zanim Pendergast umrze.

Minąwszy kilka pomieszczeń, Constance przeszła pod romańskim łukiem ozdobionym wyblakłym gobelinem i znalazła się w miejscu, gdzie panował spory nieład. Półki były pourywane, butelki i ich zawartość roztrzaskały się i porozlewały po podłodze; to rezultat starcia, do jakiego doszło tutaj półtora roku temu. Ona i Proctor próbowali posprzątać ten bałagan. Było to jedno z ostatnich pomieszczeń oczekujących na gruntowne porządki; podłoga była zalana pozostałościami entomologicznych zbiorów Antoine'a, wśród potrzaskanych butelek można było dostrzec zasuszone odwłoki szerszeni, skrzydła ważek, opalizujące tułowia żuków i pomarszczone, wyschnięte pająki.

Prześlizgnęła się pod kolejnym łukowatym przejściem i znalazła się w pokoju pełnym wypchanych wróblowatych, a stamtąd przeszła do najbardziej niezwykłej części podziemi, gdzie znajdowała się należąca do Antoine'a kolekcja różnakości. Były tu gabloty z tak dziwnymi rzeczami jak peruki, gałki do drzwi, gorsety, brykle, trzewiki, parasole i laski, a także dość oryginalna kolekcja broni: arkebuzy, piki, buzdygany, berdysze, halabardy, giewie, bombardy i młoty bojowe. Po sąsiedzku znajdowała się

sala ze starodawnym sprzętem medycznym, najwyraźniej służącym do leczenia ludzi i zwierząt i jak wszystko na to wskazywało, wiele z nich było niejednokrotnie używanych. Dalej, co mogło wydawać się zaskakujące, umieszczono kolekcję broni wojskowej, mundurów i najróżniejszego sprzętu sięgającego, jak można przypuszczać, czasów pierwszej wojny światowej. Constance z zaciekawieniem przez chwilę przyglądała się zarówno zbiorom akcesoriów medycznych, jak i militarnych.

Następnie przeszła do narzędzi tortur: spizowych byków, kół tortur, śrub do miażdżenia palców, żelaznych dziewic i najokropniejszej z nich wszystkich gruszki udręki. Pośrodku sali postawiono katowski pień, a tuż obok leżały topór, fragment zwiniętej ludzkiej skóry i pęk włosów: pozostałości pewnego przerażającego zdarzenia, do którego doszło pięć lat temu, mniej więcej wtedy, gdy agent Pendergast został jej opiekunem. Constance patrzyła na przedmioty obojętnie. Nie przejmowała się zbyt tymi groteskowymi dowodami ludzkiego okrucieństwa. Wręcz przeciwnie, potwierdzały jedynie, że jej pogląd na temat ludzkości był trafny i nie wymagał zrewidowania.

W końcu znalazła się w docelowym pomieszczeniu: laboratorium chemicznym Antoine'a. Gdy otworzyła drzwi, jej oczom ukazał się las szklanych naczyń, sprzętów do destylacji, aparatury do miareczkowania i innych urządzeń z końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku. Lata temu spędziła trochę czasu w tym właśnie pokoju, asystując swojemu pierwszemu opiekunowi. Nigdy nie widziała tu tego, czego teraz szukała. A jednak była pewna, że jeśli Antoine odziedziczył cokolwiek po swoim ojcu, znajdzie to właśnie tutaj.

Położyła latarkę na stole ze steatytu i rozejrzała się dokoła. Postanowiła, że zacznie poszukiwania od drugiego końca pomieszczenia.

Na długich stołach, pokrytych w większej części grubą warstwą kurzu, była rozstawiona aparatura chemiczna. Constance pospiesznie przejrzała zawartość szuflad, znajdując wiele notatek i starych papierów, ale nic, co pochodziłoby sprzed czasów Antoine'a, wszystko koncentrowało się wokół jego unikalnych badań, związanych głównie z kwasami i neurotoksynami. Następnie zainteresowała się starymi dębowymi szafkami ustawionymi wzdłuż ścian, w których za drzwiczkami z szybami z mlecznego szkła wciąż znajdowało się sporo czynnych chemikaliów. Powoli, z uwagą przejrzała

buteleczki, fiolki, ampułki i butle, ale wszystkie zostały opisane przez Antoine'a jego charakterystycznym odręcznym, bardzo starannym pismem, a nie pismem Hezekiaha, które – jak wiedziała dzięki swoim badaniom – było zamaszyste, niechlujne i nierówne.

Potem postanowiła sprawdzić drzwi, szuflady, blaty i podstawy regałów, a także framugi i listwy przy zawiasach w poszukiwaniu ukrytych schowków. I niemal natychmiast odnalazła dużą wnękę za szufladą w jednym ze stołów ze steatytowym blatem.

Potrzebowała tylko paru chwil, by odkryć mechanizm zamka, i odblokowała go. Wewnątrz skrytki stała duża butelka wypełniona płynem, a nalepkę zdobił podpis:

Kwas triflatowy

$\text{CF}_3\text{SO}_3\text{H}$

wrzesień, 1940



Butla była zapieczętowana tak dobrze, że szklany korek zeszklił się z gorąca i przywarł do wnętrza szyjki. Rok 1940 – za późno, by zrobił to Hezekiah. Ale czemu tę butlę tak starannie ukryto? Postanowiła poszukać informacji na temat tego kwasu, o którym nigdy dotąd nie słyszała.

Zamknęła skrytkę, odwróciła się i kontynuowała poszukiwania.

Pierwsze sprawdzenie laboratorium nie przyniosło żadnych rezultatów. Konieczne będą bardziej gruntowne poszukiwania.

Rozglądając się wokoło i przyświecając sobie latarką, zauważyła, że jedna z szafek pod ścianą była przymocowana do kamiennej płyty sworzniami, które dawno temu musiały zostać wyjęte i założone ponownie.

Sięgnąwszy po długi kawał metalu, wyciągnęła sworznie, obluzowując je stopniowo i usuwając z murszejącej ściany, aż całą szafkę można było swobodnie przesunąć na bok. Za regałem odkryła niewielką starą, spróchniałą skórzaną walizkę; skóra była zapleśniała i nadzarta przez gryzonie.

Była to walizka z rodzaju tych, w których komiwojażer oferujący patentowany lek mógł wozić próbki swojego specyfiku. Gdy ją wyciągnęła

i obróciła w dłoniach, ujrzała pozostałości wykwintnego, złoconego, wiktoriańskiego, tłoczonego napisu, ozdobionego wielkim, złożonym wzorem pełnym zawijasów i przeplatających się ze sobą winorośli, liści i motywów kwiatowych. Z trudem odczytała napis.

**PREPARAT HEZEKIAHA
CUDOWNY LEK
NA WSZELKIE DOLEGLIWOŚCI
I REGENERUJĄCY GRUCZOŁY**

Odsunęła na bok niektóre szklane przybory, położyła walizeczkę na stole i spróbowała ją otworzyć. Okazało się, że jest zamknięta. Wystarczyło jednak szybkie szarpnięcie i stare zawiasy ustąpiły.

Walizeczka była pusta, jeśli nie liczyć truchła wysuszonej na wiór myszy.

Constance wytrząsnęła mysz, uniosła walizkę i obróciła, żeby obejrzeć jej dno. Nic tam nie było, żadnych szwów ani szczelin. Ponownie obróciła stary przedmiot, podniosła i zważyła w dłoniach.

Wewnątrz było coś ciężkiego, ukrytego najwyraźniej w podwójnym dnie. Szybkie cięcie ostrzem noża wzdłuż podstawy walizeczki pozwoliło odsłonić tajny schowek, w którym ukryto stary, oprawny w skórę notatnik. Wyjęła ostrożnie notes i otworzyła na pierwszej stronie. Była zapisana kanciastym, niezgrabnym, odręcznym pismem.

Constance przez chwilę wpatrywała się w stronicę. A potem szybko przewertowała dziennik prawie do samego końca. Gdy doszła do ostatnich stron, usiadła i zabrała się do lektury, by poznać historię innej kobiety imieniem Constance, którą cała rodzina czule i z miłością nazywała po prostu Stanzą...

6 września 1905

Ciemność. Znalazłem ją w ciemnościach, jakże niepasujących do mojej Stanzы! Spośród wszystkich ludzi ona zawsze dążyła ku światłu. Nawet przy niesprzyjającej pogodzie, gdy nad miastem panowała szarówka, ona zawsze była skłonna włożyć czepek i szal i gotowa pospacerować wzdłuż brzegów Missisipi, gdyby tylko spomiędzy gęstych chmur wyłoniły się promienie słońca. Dziś wszelako odnalazłem ją na wpół śpiącą na szezlongu, w jej pokoju, przy opuszczonych żaluzjach niewpuszczających do środka ani odrobiny światła. Wydawała się zaskoczona moją obecnością i zadrżała niemal, jakby targnęły nią wyrzuty sumienia. Z pewnością to jakiś przypadkowy atak nerwów albo może kobieca dolegliwość; ona jest wszak najsilniejszą i najlepszą z kobiet, nie będę przeto dłużej o tym myślał. Podałem jej dawkę Elik siru za pomocą Hydrokonium i to ją zdecydowanie uspokoiło.

H.C.P.

19 września 1905

Mam coraz większe obawy co do stanu zdrowia Stanzы. Wydaje się balansować pomiędzy okresami euforii, niepohamowanej, szaleńczej radości, która nigdy nie była jej domeną, a stanami głębokiego przygnębienia, które sprawia, że prawie nie wychodzi ze swego pokoju albo nawet nie wstaje z łóżka. Skarży się na woń lilii,

początkowo miłą, ale teraz mdlącą, słodką, nieprzyjemną. Poza wzmianką o liliach jednak zauważyłem, że nie zwierza mi się tak jak w przeszłości i być może to niepokoi mnie najbardziej. Chciałbym móc spędzać z nią więcej czasu, aby odkryć, co ją dręczy, jednak całe dnie zajmuje mi radzenie sobie z kłopotami w interesach. Niechaj zaraza weźmie tych wszystkich niedouczonej wicherzycieli, co swymi wysznanymi z palca teoriami próbują podważyć lecznicze wartości mego preparatu!

H.C.P.

30 września 1905

Artykuł w „Collierze” akurat teraz to doprawdy wielce niefortunny cios i feralne zrządzenie losu. Mój Elikzir niejednokrotnie potwierdził swe lecznicze i odmładzające właściwości. Dodał żywotności i wigoru niezliczonym tysiącom osób. A jednak zapomina się o tym pośród nawoływań niedouczonej ignorantów, tak zwanych reformatorów patentowanych leków. Reformatorów, ba! To zazdrośni, próbujący jątrzyć pedanci. Po cóż zadawać sobie trud, starając się polepszyć ludzkie zdrowie, skoro w efekcie stajesz się ofiarą ataku, tak jak ja teraz?

H.P.

4 października 1905

Wierzę, że odkryłem przyczynę przypadłości Stanzy. Choć starała się to ukryć, dowiedziałem się w trakcie kolejnej comiesięcznej inwentaryzacji, że z szafek w magazynie znikły prawie trzy tuziny buteleczek z Eliksiem. Jedynie trzy osoby na tej ziemi mają klucze do tych szafek: ja sam, Stanza i oczywiście mój asystent Edmund, który przebywa obecnie za granicą, zbierając i analizując nowe okazy

przyrodnicze. Nie dalej jak dziś rano zobaczyłem, że Stanza wymyka się z domu, by przekazać puste butelki śmieciarzowi.

Przyjmowany we właściwych dawkach Elik sir jest rzecz jasna najlepszym na świecie remedium. Jednak tak jak we wszystkim brak umiaru może mieć poważne konsekwencje. Co mam czynić? Czy doprowadzić do konfrontacji z nią? Nasz związek został zbudowany na dobrych obyczajach, etykiecie i zaufaniu – ona nie znosi scen. Co mam czynić?

H.P.

11 października 1905

Wczoraj odkryłem, że z szafek znikło kolejne pół tuzina buteleczek Elik siru – czułem się zobowiązany skonfrontować się ze Stanzą w tej sprawie. Nie obyło się bez przykrych scen. Usłyszałem od niej ohydne rzeczy, nigdy nie spodziewałbym się, że takie mogłyby wypłynąć z jej ust. Teraz udała się do swego pokoju i zapowiedziała, że stamtąd nie wyjdzie.

Na łamach brukowych gazet wciąż trwają zmasowane ataki szkalujące moją reputację i podważające zbawienne wartości mego Elik siru. Zazwyczaj, tak jak czyniłem do tej pory, dałbym im silny odpór z niezłomną wiarą i przekonaniem. Teraz wszelako nieprzyjemna sytuacja w domu sprawia, że trudno mi skupić się na tych sprawach. Dzięki moim niespożytym wysiłkom finansowa stabilność mej rodziny została przywrócona, bezpieczna przyszłość zapewniona, a jednak nie potrafię się tym cieszyć w obliczu osobistych trosk i kłopotów, w jakich się obecnie znalazłem.

H.P.

13 października 1905

Czy zechce odpowiedzieć na me błagania? Słyszę ją, jak szlocha nocą za zamkniętymi drzwiami. Jakież przeżywa katusze i czemu nie chce przyjąć mej pomocy?

H.P.

18 października 1905

Dziś w końcu zostałem wpuszczony na pokoje mej żony. Stało się to na usilną prośbę Nettie, jej wiernej służącej, która wręcz odchodzi od zmysłów, tak martwi się o zdrowie Stanzy.

Gdy tam wszedłem, przekonałem się, że obawy Nettie były jak najbardziej uzasadnione. Moja ukochana jest przeraźliwie blada i wymizerowana. Nie przyjmuje żadnej strawy ani nie wstaje z łóżka. Odczuwa nieustający ból. Nie sprowadziłem żadnych lekarzy – z własnego doświadczenia wiem więcej niż ci wszyscy nowoorleańscy oszuści i hochsztaplerzy podający się za lekarzy, dostrzegam jednak, że w Stanzy rozwija się jakaś gwałtowna, wyniszczająca przypadłość, która wydaje się szokująca z uwagi na to, jak błyskawicznie postępuje. Czyż to nie zaledwie dwa miesiące temu wybraliśmy się kolaską na przystań, a Stanza promieniała, śmiała się i śpiewała, pełna radości życia, tryskająca zdrowiem, piękna niczym majowy poranek? Pociesza mnie jedynie to, że Antoine i Comstock są jeszcze w szkole i nie będą oglądać swej matki w tak żalonym stanie. Boethiusem zajmuje się opiekunka i guwernantki, a jak dotąd udawało mi się skutecznie zbywać jego pytania o zdrowie matki. Chwała Bogu, że Maurice jest zbyt mały, by mógł to zrozumieć.

H.

21 października 1905

Boże, wybacz mi, dziś z braku innych skutecznych leków przyniosłem

Stanzy Hydrokonium i Elikzir, o który błagała. Ulga, niemal zwierzęcy głód, jakie u niej dostrzegłem na ten widok, były chyba najgorszym ciosem w me serce. Pozwoliłem tylko na jeden głęboki haust; jej krzyki i błagania, gdym odchodził, zabierając butelkę, są zbyt bolesnym doznaniem, abym je tutaj wspominał. Cała ta sytuacja uległa nagle okrutnemu odwróceniu – wcześniej sama zamykała się w pokoju, by mnie tam nie wpuścić, a teraz musi być zamykana na klucz.

...Cóżem uczynił?

26 października 1905

Jest bardzo późno, a ja siedzę przy biurku, mając przed sobą kałamarz i lampkę do pisania. Noc jest paskudna, wiatr wyje, a deszcz głośno bębni o szyby.

Stanza płacze w swej sypialni. Od czasu do czasu zza zamkniętych solidnie drzwi słyszę zduszony jęk bólu.

Nie mogę już dłużej zaprzeczać temu, czego od tak dawna nie ośmieliłem się przyjąć. Wmawiałem sobie, że pracuję dla dobra ogółu, dla większego dobra. Wierzyłem w to szczerze i bezgranicznie. Pogłoski o tym, że mój Elikzir powoduje uzależnienie, obłąd, a nawet defekty płodów, przypisywałem zawiści ignorantów albo tych chemików i farmaceutów, którym niepowodzenie Elikziru mogłoby być na rękę. Jednak nawet moja hipokryzja ma granice. Potrzeba było tej tragedii, która dotknęła moją żonę, aby łuski spadły mi wreszcie z oczu. To ja jestem za to odpowiedzialny. Mój Elikzir nie jest lekiem na wszystko. Leczy raczej symptomy niż samą chorobę, problem, który pod nimi się skrywa. Wywołuje uzależnienie, a zrazu pozytywne skutki zostają przyćmione ostatecznie przez tajemnicze i zabójcze efekty uboczne. A teraz Stanza i pośrednio również ja płacimy cenę mej krótkowzroczności.

1 listopada 1905

Najmroczniejszy z wszystkich listopadowych miesięcy. Stanza z dnia na dzień wydaje się słabsza. Trawią ją omamy, miewa też od czasu do czasu gwałtowne ataki. Wbrew zdrowemu rozsądkowi próbuję łagodzić jej ból morfiną i dodatkowymi inhalacjami Eliksiru, ale nawet one już niewiele dają, a wręcz przeciwnie, zdają się przyspieszać pogorszenie jej stanu. Boże, mój Boże, cóż mam czynić?

5 listopada 1905

W mrokach, jakie spowiły obecnie me życie, zalśnił nagle maleńki promyczek światła. Dostrzegam możliwość, zrodzoną z desperacji, lecz jednak realną, że mógłbym opracować lek, innymi słowy antidotum na Eliksir. Myśl ta nawiedziła mnie przedwczoraj i od tej pory nie zajmuję się niczym innym.

Z mych obserwacji Stanzy wynika, że szkodliwe skutki Eliksiru spowodowane są osobliwą kombinacją jego składników, w której to połączone efekty sprawdzonych i wyśmienitych remediów, takich jak chlorowoderek i octan kokainy, zostają zniesione i odwrócone przez rzadkie substancje roślinne.

To właśnie owe rośliny wywołują szkodliwe skutki. Zgodnie z logiką można je zniwelować poprzez zastosowanie innych roślin. Gdyby udało mi się zablokować skutki ekstraktów roślinnych, możliwe, że odwróciłoby to wyniszczające szkody zarówno fizyczne, jak i mentalne spowodowane przez te ingrediencje, podobnie jak ekstrakt z bobu kalabarskiego jest w stanie zneutralizować działanie trucizny z belladonny.

Tym antidotum mógłbym pomóc nie tylko mej biednej cierpiącej Stanzy, lecz również innym, których przez mą chciwość i krótkowzroczność dotknęła ta przypadłość.

...Gdyby tylko Edmund powrócił! Wybrał się w trzyletnią podróż, by zebrać zioła i rośliny z terenów dżungli równikowej. Każdego dnia oczekuję przybycia statku, na którego pokładzie powinien wrócić. W przeciwieństwie do mych rzekomo uczonych braci głęboko wierzę, że tubylcze plemiona są w stanie wiele nas nauczyć na temat naturalnych substancji o charakterze leczniczym. Nauczyły mnie tego choćby wyprawy na terytoria Indian z Wielkich Równin. Dostrzegam pewien postęp w mych działaniach, lecz rośliny, które przetestowałem do tej pory – z wyjątkiem *Thismia americana*, co do której wciąż żywię ogromne nadzieje – nie przynoszą spodziewanych efektów, jeżeli chodzi o przeciwdziałanie niszczycielskim skutkom mego przekłętą środka tonizującego.

8 listopada 1905

Edmund nareszcie wrócił! Przywiózł dziesiątki nader interesujących roślin, którym tubylcy przypisują rzekomo cudowne właściwości lecznicze. Iskierka nadziei, która nieśmiało zatliła się w mym wnętrzu ledwie parę dni temu, zaczyna teraz nabierać coraz większej mocy, a jej blask się nasila. Praca pochłania mnie bez reszty; nie mogę spać, nie mogę jeść, o niczym innym nie myślę. Do listy substancji roślinnych użytych przy wyrobieniu Elixiru przyporządkowuję inną, mającą adekwatne względem nich przeciwdziałanie, i znalazły się na niej, między innymi, kora szakłaku amerykańskiego, kalomel, olejek z gęsiej stopy, ekstrakt z Rozpaczy Hodgsona oraz wyciąg z *Thismia americana*.

Nie mam jednak kiedy pisać, tak wiele jest do zrobienia. A czasu tak mało, z każdym dniem Stanza coraz bardziej gaśnie. Jest już teraz cieniem samej siebie. Jeśli mi się nie uda – i jeśli nie osiągnę sukcesu możliwie szybko – odejdzie do krainy cieni.

12 listopada 1905

Zawiodłem.

Aż do ostatniej chwili byłem pewien sukcesu. Synteza chemiczna wydawała się idealna. Byłem pewien, że udało mi się ustalić dokładny skład i proporcje poszczególnych składników preparatu – zapisanych skrętnie po wewnętrznej stronie na okładce tego dziennika – które po przygotowaniu stworzą nalewkę zdolną przeciwdziałać skutkom Elixiru. Podałem Stanzy serię dawek – ta nieszczęsna, udręczona istota nie jest w stanie utrzymać niczego w żołądku – lecz wszystko na nic. Dziś wczesnym rankiem jej cierpienia stały się tak nieposkromione, że pomogłem jej w przejściu na tamten świat.

Więcej nic nie napiszę. Utraciłem to, co było mi najdroższe. Nic już nie trzyma mnie na tym świecie. Kreślę te ostatnie słowa nie jako żywa istota, lecz jako ten, który jest duchem ze swą zmarłą żoną i który będzie z nią wkrótce także ciałem.

D'entre les morts,

Hezekiah Comstock Pendergast

Spojrzenie Constance zatrzymało się na dłuższą chwilę na ostatnich słowach. Wreszcie w zamyśleniu przewróciła stronę i znieruchomiała. Była tam skomplikowana lista składników, roślin, ekstraktów i kolejnych etapów przygotowań, a wszystko to pod wspólnym hasłem: ET CONTRA ARCANUM:

Formuła antidotum.

Poniżej listy widniał kolejny sporządzony odręcznie wpis, jednak jego charakter wskazywał na inną osobę, tusz także był znacznie świeższy, a to piękne, eleganckie pismo znała bardzo dobrze.

Najdroższa Constance.

Znając twą wrodzoną ciekawość i zainteresowanie historią rodziny Pendergastów i twą skłonność do eksplorowania zbiorów w piwnicach, nie wątpię, że w którymś momencie twego jakże długiego życia natkniesz się na ten wpis.

Czy uważasz, że lektura tego dziennika wzbudza niepokój? Oczywiście, że tak.

Wyobraź sobie przeto – jeżeli zdołasz – jaki ból mnie przepełnił, kiedy odnalazł tę kronikę, relacjonującą szczegółowo poszukiwania podjęte przez mego ojca w celu pokonania przypadłości, którą on sam sprowadził na mamę Constance. (Fakt, że nosisz takie samo imię jak ona, nawiasem mówiąc, nie jest dziełem przypadku). Na największą zaś ironię zakrawa to, że mój ojciec był o krok od osiągnięcia sukcesu. Bo widzisz, z moich analiz wynika, że jego antidotum powinno było zadziałać. Tyle że popełnił on pewien drobny błąd. Czy przypuszczasz, że był po prostu zbyt zaślepiiony przez smutek i poczucie winy do tego stopnia, iż nie zauważył tego niewielkiego przeoczenia? To doprawdy interesujące.

Bądź ostrożna.

Twój jak zwykle wielce oddany itd.

Dr Enoch Leng

Vincent D'Agosta usiadł w fotelu i spojrzał ponuro na ekran komputera. Było po szóstej. Odwołał randkę z Laurą w koreańskiej knajpce za rogiem i nie zamierzał odpuścić, dopóki nie uczyni wszystkiego, co w jego mocy. Dlatego gapił się tępo w ekran, jakby próbował siłą spojrzenia wycisnąć z niego coś użytecznego.

Spędził ponad godzinę, grzebiąc w archiwach policji nowojorskiej i innych źródłach, szukając informacji na temat Johna Barbeaux i Red Mountain Industries, ale nie znalazł kompletnie niczego. Policja nie miała tego człowieka w swoich aktach. Surfowanie w internecie też niewiele dało. Po krótkiej, lecz szczytnej karierze w korpusie piechoty morskiej Barbeaux, który pochodził z bogatej rodziny, założył Red Mountain jako firmę zajmującą się doradztwem wojskowym. Firma rozrosła się w jeden z największych w kraju prywatnych biznesów zajmujących się realizacją kontraktów na zapewnienie ochrony. Barbeaux urodził się w Charleston, miał sześćdziesiąt jeden lat i był wdowcem, jego jedyny syn zmarł niecałe dwa lata temu na nieznaną chorobę. Poza tym D'Agosta nie dowiedział się niczego więcej. Red Mountain była bardzo skrytą firmą, jej strona internetowa nie dała porucznikowi żadnego punktu zaczepienia. Jednakże skrytość nie jest przestępstwem. W internecie było wiele plotek dotyczących rozmaitych kontraktów wojskowych. Kilka samotnych głosów wołających na cyfrowej puszczy łączyło firmę z licznymi przewrotami w Afryce i Ameryce Południowej, akcjami najemników i tajnymi operacjami wojskowymi, ale mówili o tym ci sami ludzie, którzy twierdzili, że Elvis żyje i przebywa na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Z westchnieniem D'Agosta już wyciągał rękę, żeby wyłączyć komputer.

I wtedy coś sobie przypomniał. Z inicjatywy policyjnego konsultanta, byłego pracownika NSA – Agencji Bezpieczeństwa Narodowego – mniej więcej pół roku temu wdrożono program przeniesienia wszystkich

dokumentów policji nowojorskiej na nośniki cyfrowe i przepuszczenia ich przez oprogramowanie OCR – optycznego rozpoznawania pisma. Chodziło o osiągnięcie ostatecznego zestawienia wszystkich strzępków informacji z archiwów wydziału w celu odnalezienia wzorców, które mogły pomóc w rozwiązaniu wielu zimnych spraw. Ale, jak w wypadku większości innych inicjatyw, także ta została odstawiona na boczny tor. Narzekano na zbyt wielkie koszty, konsultanta zwolniono, a projekt kulał i nikt nie był w stanie stwierdzić, kiedy zostanie ukończony.

D’Agosta spojrział na ekran komputera. Zespół miał zacząć od najświeższych dokumentów wprowadzonych do systemu, a następnie cofać się w porządku chronologicznym do najstarszych. Jednak odkąd ich zespół znacznie uszczuplono, a każdego dnia pojawiały się nowe materiały, ekipa dreptała w miejscu. Nikt nie korzystał z bazy danych, bo był w niej zbyt duży bałagan.

Niemniej przeszukanie zajęłoby tylko chwilę. Na szczęście Barbeaux nie było popularnym nazwiskiem.

Zalogował się w wydziałowej sieci, przebrnął cały ciąg menu i uzyskał dostęp do strony głównej projektu. Pojawił się spartańsko wyglądający ekran:

```
WYDZIAŁ POLICJI NOWOJORSKIEJ,  
PROJEKT [ZADISW]  
Zintegrowanej Analizy Danych i Systemu  
Wyszukiwania  
Uwaga: tylko eksploatacja próbna
```

Ponizej pojawiła się ramka tekstowa. D’Agosta kliknął, żeby ją uaktywnić, wpisał „Barbeaux”, a następnie wcisnął klawisz enter.

Zdziwił się, ale uzyskał trafienie.

```
Akta nr 135823_R  
Temat: Barbeaux, John  
Format: JPG (kompresja stratna)  
Metadane: dostępne
```

– A niech mnie – wymamrotał.

Przy tekście widniała ikona dokumentu. D’Agosta kliknął na nią i na ekranie pojawił się skan oficjalnego dokumentu. Była to notatka policji z Albany, przesłana, zgodnie z zasadami międzywydziałowej kurtuazji, do policji nowojorskiej prawie pół roku temu. Dotyczyła „pogłosek” pochodzących od „bliżej nieznanymi osób trzecich” o nielegalnym handlu bronią prowadzonym przez Red Mountain Industries w Ameryce Południowej. Jakkolwiek, zgodnie z treścią notatki, pogłoski te nie zostały oficjalnie potwierdzone, firma pod każdym innym względem ma nieposzlakowaną opinię i w związku z tym, zamiast przekazać śledztwo wyżej, by mogły je przejąć agencje federalne, takie jak ATF – Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych – dochodzenie zamknięto.

D’Agosta zmarszczył brwi. Czemu wcześniej nie znalazł tej informacji?

Kliknął na ekran i zbadał dołączone metadane. Wynikało z nich, że fizyczna kopia notatki została zarejestrowana w archiwum policji nowojorskiej w katalogu nazwanym „Barbecci, Albert”. Zgodnie z nagłówkiem zapisu osobą, która zaklasyfikowała tę notatkę, był sierżant Loomis Slade.

Po kilku kolejnych kliknięciach myszką D’Agosta otworzył katalog dotyczący Alberta Barbecciego. Barbecci był drugorzędnym gangsterem, który zmarł siedem lat temu.

Barbeaux. Barbecci. Pomyłony katalog. Niechlujna robota. D’Agosta potrząsnął głową. Taka niedbałość nie pasowała do Slade’a. D’Agosta sięgnął po telefon, zajrzał do książki telefonicznej i wybrał numer.

– Slade. – Na drugim końcu łączy rozległ się atonalny głos.

– Sierżancie? Mówi Vincent D’Agosta.

– Tak, poruczniku?

– Natknąłem się właśnie na dokument dotyczący niejakiego Barbeaux. Słyszeliście o nim?

– Nie.

– A powinniście. Bo sami wprowadziliście ten dokument do archiwum, ale do niewłaściwego katalogu. Oznaczonego nazwiskiem Barbecci.

Chwila ciszy.

– Och. To. Albany, zgadza się? Idiota ze mnie. Przepraszam.

- Zastanawiam się, jak znaleźliście się w posiadaniu tej notatki.
- Dał mi ją Angler, żebym wprowadził do archiwum. O ile sobie przypominam, to Albany prowadziło tę sprawę, a nie my, i to oni tego nie dopilnowali.
- Domyślcie się, dlaczego w ogóle przesłano tę notatkę Anglerowi? Na jego żądanie?
- Przykro mi, poruczniku. Nie mam pojęcia.
- W porządku. Sam go zapytam. Jest tam gdzieś może?
- Nie. Wziął parę dni wolnego, żeby odwiedzić jakichś krewnych na północy stanu.
- Dobra. Złapię go później.
- Proszę na siebie uważać, poruczniku. – Rozległo się kliknięcie, gdy Slade się rozłączył.

– Przeczytaj listę składników – powiedziała Margo do Constance. – Wyszukamy je po kolei.

– Aqua vitae – zaczęła Constance.

Siedziała w bibliotece rezydencji przy Riverside Drive, trzymając na udach stary dziennik. Było parę minut po jedenastej, ale na jej usilną prośbę Margo wymknęła się z pracy. Jej smukłe dłonie drżały z podniecenia, a policzki były zaróżowione. Ale wyraz twarzy miała jak zwykle opanowany.

Margo skinęła głową.

– To staroświeckie określenie wodnego roztworu etanolu. Wystarczy wódka.

Zapisała to w notesie.

Constance zajrzała do dziennika.

– Następne jest laudanum.

– Tynktura opium. Rodzaj nalewki. Wciąż dostępna na receptę w Stanach Zjednoczonych. – Margo sporządziła kolejny wpis, mrużąc lekko powieki. Choć było jeszcze wcześniej, okna w bibliotece pozamykano na głucho, zamknięto też okiennice, więc oświetlenie było słabe. – Poprosimy doktora Stone’a, żeby wypisał receptę.

– To nie będzie konieczne. W składzie chemikaliów w piwnicach jest mnóstwo laudanum – powiedziała Constance.

– Dobrze.

Constance znów zajrzała do starego dziennika.

– Olej skalny. Kalomel... kalomel to, jak sądzę, chlorek rtęci. W piwnicach też znajdzie się tego sporo.

– Olej skalny możemy dostać w każdej drogerii – stwierdziła Margo.

Przejrzała listę zawierającą jeszcze około dziesięciu innych pozycji, które zapisała w notesie. Wbrew wszystkiemu poczuła narastającą nadzieję. Z początku wiadomość o antidotum Hezekiaha i stary dziennik, który

pokazała jej Constance, wydawały się strzałem w ciemno. Teraz jednak...

– Kora szakłaku – powiedziała Constance, ponownie skupiając uwagę na dzienniku. – Tego nie znam.

– Szakłak amerykański – odparła Margo. – *Rhamnus purshiana*. Jego kora była i wciąż jest pospolitym składnikiem suplementów ziołowych.

Constance pokiwała głową.

– Olejek z gęsiej stopy.

– To inna nazwa olejku z kwiatu bylicy czerwogubnej – wyjaśniła Margo.

– Ma lekko toksyczne właściwości, ale mimo to stanowił częsty składnik dziewiętnastowiecznych szemranych leków sprzedawanych przez obwoźnych handlarzy.

– Wobec tego w piwnicach powinny znajdować się butelki z obiema tymi substancjami. – Constance przerwała. – Dwa ostatnie składniki to: Rozpacz Hodgsona i *Thismia americana*.

– Nie słyszałam o żadnym z nich – stwierdziła Margo. – Ale to ewidentnie jakieś rośliny.

Constance wstała i zdjęła z półki wielką encyklopedię roślin. Położyła ją na pulpicie i zaczęła wertować.

– Rozpacz Hodgsona. Kwitnąca nocą lilia wodna z rodziny *Nymphaeaceae*, o zjawiskowej ciemnoróżowej barwie. Poza kolorem charakteryzuje ją niezwykła woń. Nie piszą tu nic o jej właściwościach leczniczych.

– To ciekawe.

Constance przeczytała cały opis:

– Rośnie wyłącznie na Madagaskarze. Bardzo rzadka. Ceniona przez kolekcjonerów lilii wodnych.

W bibliotece zapadła cisza.

– Madagaskar – powiedziała Margo. – Cholera.

Wyjęła z torebki tablet, weszła do internetu i szybko wyszukała Rozpacz Hodgsona. Błyskawicznie przejrzała hasła, jakie podała jej wyszukiwarka.

– Dobra. Nie jest tak źle. Wygląda na to, że mają taki okaz w ogrodzie botanicznym na Brooklynie.

Otworzyła stronę internetową ogrodu i szperała chwilę.

– Znajduje się w Aquatic House, który stanowi część głównego kompleksu ciepłarni. Ale jak zdobędziemy ten kwiat?

– Jest tylko jeden sposób.

– Jaki?

– Musimy go ukraść.

Po chwili Margo pokiwała głową.

– A jeżeli chodzi o ostatni składnik... – Constance znów zajrzała do encyklopedii. – *Thismia americana*... roślina odkryta na mokradłach wokół jeziora Calumet, w okolicach Chicago. Rozkwita ponad ziemią na niespełna miesiąc. Jest interesująca dla botaników nie tylko z uwagi na obszar swego występowania, lecz również dlatego, że należy do mykoheterotrofów.

– To rzadki rodzaj roślin – wtrąciła Margo – które pasożytują na żyjących pod ziemią grzybach i czerpią z nich pożywienie, zamiast korzystać z fotosyntezy.

Nagle Constance zastygła w bezruchu. Przez jej twarz przemknął dziwny grymas, gdy wpatrywała się w stronicę encyklopedii.

– Tu napisano, że ta roślina wymarła około roku tysiąc dziewięćset szesnastego, kiedy tereny, na których występowała, zostały wykorzystane pod zabudowę.

– Wymarła?

– Tak. – W głosie Constance pojawiła się posępna nuta. – Kilka lat temu niewielka grupa ochotników podjęła szeroko zakrojoną próbę przeszukania okolic Far South Side pod Chicago z zamiarem odnalezienia okazu *Thismia americana*. Ich wysiłki zakończyły się niepowodzeniem.

Odłożyła encyklopedię i podeszła do dogasającego kominka. Przystanąła, wpatrując się w żarzące się węgle i mnąc w dłoniach chustkę. Nie odezwała się słowem.

– Istnieje szansa – odezwała się Margo – że muzeum ma okaz tej rośliny w swoich zbiorach.

Ponownie skorzystała z tabletu i weszła na stronę internetową muzeum, wpisując swoje nazwisko i hasło. Otworzyła internetowy katalog wydziału botaniki i wpisała do wyszukiwarki hasło: *Thismia americana*.

Nic.

Margo opuściła tablet. Constance wciąż skręcała w dłoniach chustkę.

– Sprawdzę, czy w zbiorach muzeum nie ma czegoś zbliżonego – rzekła Margo. – Mykoheterotrofy są dość podobne i mogą mieć jednakowe właściwości farmakologiczne.

Constance odwróciła się do niej gwałtownie.

– Idź do muzeum. Zdobądź wszystkie okazy zbliżonych gatunków, jakie tylko uda ci się znaleźć.

Oczywiście, stwierdziła w duchu Margo, w tym wypadku też trzeba będzie posunąć się do kradzieży. Boże, jak to zrobić? Kiedy jednak pomyślała o Pendergaście na piętrze powyżej, uświadomiła sobie, że nie ma wyboru. Po krótkim milczeniu stwierdziła:

– Chyba o czymś zapominamy.

– Tak? O czym?

– Że antidotum, którego skład podaje tu Hezekiah... nie poskutkowało. Jego żona jednak zmarła.

– Ostatni liścik Lenga zawiera wzmiankę o jakiejś drobnej pomyłce. Niewielkim przeoczeniu. Domyślasz się, o co może chodzić?

Margo znów skupiła uwagę na formule. To był całkiem prosty preparat, z wyjątkiem dwóch ostatnich, bardzo niezwykłych roślin.

– To może być cokolwiek – odparła, kręcąc głową. – Możliwe, że podczas przygotowywania preparatu został popełniony jakiś błąd. Być może pomyłono proporcje. Użyto niewłaściwego składnika. Albo doszło do nieoczekiwanej interakcji.

– Myśl, proszę cię, myśl!

Margo słyszała, jak rozrywa się chustka skręcana w dłoniach Constance. Próbowała spełnić tę prośbę, skupiając całą swoją uwagę na składnikach. I znów niezwykle były tylko dwa ostatnie. Reszta należała do w miarę pospolitych, a ich przygotowanie było standardową procedurą. Najwyraźniej przeoczenie dotyczyło tych dwóch rzadkich składników.

Przejrzała wskazówki dotyczące przygotowania preparatu. Wywar z obu roślin uzyskano tradycyjną metodą – poprzez gotowanie. Zwykle to działało, jednak w niektórych wypadkach denaturowało pewne złożone proteiny roślinne. Obecnie najlepszym sposobem pozyskania ekstraktu roślinnego w farmacji było użycie chloroformu. Margo uniosła wzrok.

– Sporządzenie ekstraktu z tych dwóch roślin w temperaturze pokojowej, z wykorzystaniem chloroformu byłoby bardziej skuteczne.

– Jestem pewna, że znajdę chloroform wśród zbiorów. Bierzmy się szybko do roboty.

– Powinniśmy to najpierw przetestować. Nie mamy pojęcia, jakie substancje zawierają te dwie rośliny. Mogą być zabójcze.

Constance spojrzała na Margo.

– Nie ma czasu na testy. Wczoraj wieczorem Pendergast wydawał się w niezłym stanie, ale dziś bardzo mu się pogorszyło. Idź do muzeum. Zrób, co musisz, żeby zdobyć te mykoheterotrofy. Ja tymczasem zabiorę z kolekcji w podziemiach tyle składników, ile tylko się da i... – Przerwała, gdy dostrzegła wyraz twarzy Margo. – Jakiś problem?

– Muzeum.

– Oczywiście. To logiczne, że właśnie tam znajdziesz niezbędne składniki.

– Ale one będą się znajdowały... w piwnicach magazynowych.

– Znasz muzeum lepiej niż ja.

Margo nie odpowiedziała, więc Constance mówiła dalej:

– Te rośliny są niezbędne, jeżeli chcemy mieć nadzieję na ocalenie Pendergasta.

– Tak. Tak. Wiem. – Margo przełknęła ślinę i schowała tablet do torebki. – A co z D’Agostą? Mówiliśmy, że będziemy w kontakcie, ale nie wydaje mi się, że powinniśmy wtajemniczać go w nasz mały... plan.

– Jest policjantem. Nie mógłby nam pomóc, a raczej starałby się nas powstrzymać.

Margo z rezygnacją opuściła głowę.

– Powodzenia – powiedziała Constance.

– Wzajemnie. – Margo przerwała. – Zaciekał mnie ten liścik w... dzienniku. Został napisany do ciebie. O co tu chodzi?

Cisza.

– Przed Aloysiusem miałam innego opiekuna. Doktora Enocha Lenga. Mężczyznę, który sporządził ostatni zapis w tym dzienniku.

Margo czekała cierpliwie. Constance nigdy nie zdradzała z własnej woli informacji na swój temat; Margo nic o niej nie wiedziała. Wiele razy zastanawiała się, skąd nagle wzięła się ta kobieta i co naprawdę łączyło ją z Pendergastem. Teraz jednak, co nie było typowe dla Constance, jej głos nabrał łagodniejszego tonu – brzmiał jak płynące z serca wyznanie.

– Doktor Enoch Leng był pasjonatem chemii, a raczej niektórych jej działów. Zdarzało mi się pełnić funkcję jego asystentki. Pomagałam mu przy jego eksperymentach.

– Kiedy to było? – spytała Margo, zdziwiona, gdyż Constance wyglądała na dwudziestopięciolatkę, a od dobrych kilku lat była podopieczną Pendergasta.

- Dawno temu. Byłam jeszcze dzieckiem.
- Och – powiedziała Margo. – A którym z działów chemii interesował się doktor Enoch?
- Kwasami – odparła Constance, a na jej ustach pojawił się słaby, niemal nostalgiczny uśmiech.

Odkąd Margo współpracowała z Nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej, Jörgensen był „na emeryturze”. A mimo to codziennie zajmował narożne biuro, gdzie przebywał zawsze, jakby w ogóle nie wracał do domu – o ile miał jakiś dom – i odnosił się opryskliwie do wszystkich, którzy zakłócali mu spokój. Margo przystanęła w na wpół otwartych drzwiach, wahając się, czy powinna zapukać. Widziała staruszkę pochyloną nad jakimiś strąkami roślinnymi i przyglądającego się im przez soczewkę; jego głowa była całkiem łysa, a gęste, krzaczaste brwi wydawały się gniewnie najeżone. Zapukała.

– Doktorze Jörgensen? – zapytała.

Głowa odwróciła się i dwoje bladoniebieskich oczu popatrzyło na nią. Mężczyzna nic nie powiedział, ale w jego spojrzeniu malowało się rozdrażnienie.

– Przepraszam, że niepokoję.

Słowa Margo wywołały reakcję w postaci nieartykułowanego mruknięcia. Ponieważ nie doczekała się oficjalnego zaproszenia, samowolnie weszła do gabinetu.

– Jestem Margo Green – powiedziała, wyciągając rękę. – Pracowałam tu.

Kolejne mruknięcie i wychudzona dłoń uściśniła jej rękę. Gęste brwi uniosły się.

– Margo Green... Ach tak. Byłaś tu w czasie tych okropnych zabójstw. – Pokręcił głową. – Byłem współpracownikiem Whittleseya, biedaczysko...

Margo przełknęła ślinę i pospiesznie zmieniła temat.

– To było dawno temu, prawie nie pamiętam tamtych zabójstw – skłamała. – Zastanawiałam się...

– Ale ja pamiętam – przerwał jej Jörgensen. – I pamiętam ciebie. To zabawne, twoje nazwisko było niedawno wymieniane. Gdzież to się mogło...

– Rozejrzał się, ale nie znalazł tego, czego szukał, i ponownie przeniósł na nią wzrok. – A co się stało z tym wysokim mężczyzną z grzywką, który stale

się przy tobie kręcił? No wiesz, mam na myśli tego, który uwielbiał swój głos?

Margo zawahała się.

– Nie żyje.

Jörgensen zamyślił się nad tym przez chwilę.

– Nie żyje? To były mroczne czasy. Tylu ludzi straciło życie. A co z tobą, przeniosłaś się do jakiegoś lepszego miejsca?

– Owszem. – Znowu się zawahała. – Z muzeum wiązało się dla mnie zbyt wiele złych wspomnień. Pracuję obecnie dla fundacji medycznej.

Skinienie głowy. Margo poczuła, że odzyskuje pewność siebie.

– Potrzebuję pomocy. Porady botanika.

– No dobrze.

– Zna się pan na mykoheterotrofach?

– Tak.

– Doskonale. Wobec tego interesuje mnie roślina o nazwie *Thismia americana*.

– Już jej nie ma. Wymarła.

Margo wzięła głęboki oddech.

– Wiem. Miałam nadzieję... zastanawiałam się... czy w zbiorach muzeum może znajdować się okaz mykoheterotrofa zbliżonego do *Thismia*.

Jörgensen usiadł wygodniej na krześle i złączył koniuszki palców obu dłoni. Margo zorientowała się, że zaraz usłyszy cały wykład.

– *Thismia americana* – zaczął, jakby w ogóle nie usłyszał jej ostatnich słów – była dość sławną rośliną w kręgach botaników. Nie tylko dlatego, że wymarła i już jej nie ma, ale kiedy istniała, była jedną z najrzadszych spośród wszystkich znanych roślin. Widział ją tylko jeden botanik i pobrał próbki. Roślina zniknęła w roku tysiąc dziewięćset szesnastym z powodu rozszerzania się granic Chicago. Przepadła bez śladu.

Margo udawała, że interesuje ją ten miniwykład, chociaż znała te wszystkie szczegóły. Jörgensen przerwał; wciąż nie odpowiedział na jej pytanie.

– A więc – odezwała się – tylko jeden botanik natknął się na okaz tej rośliny?

– Zgadza się.

– I co się stało z tymi próbkami?

W tym momencie twarz Jörgensena rozpromienił nietypowy dla niego

uśmiech.

– Oczywiście są tutaj.

– Tutaj? W zbiorach muzeum?

Skinienie głowy.

– Dlaczego nie uwzględniono tego w katalogu internetowym?

Jørgensen machnął lekceważąco ręką.

– Dlatego, że znajdują się w Skarbcu Herbarium. Te okazy ujęto w osobnym katalogu.

Margo nie posiadała się ze szczęścia.

– Ee... a jak mogę uzyskać do nich dostęp?

– Nie możesz.

– Ale potrzebuję ich do swoich badań.

Twarz Jørgensena przybrała surowy wyraz.

– Moja droga – zaczął – dostęp do Herbarium mają wyłącznie kustosze i to jedynie za pisemnym zezwoleniem samego dyrektora. – Jego głos nabrał doniosłego tonu. – Te rośliny, których nigdzie indziej już nie ma, są bardzo delikatne i nie mogą trafić w ręce niedoświadczonych laików.

– Nie jestem niedoświadczonym laikiem. Jestem etnofarmakologiem i mam uzasadniony, bardzo istotny powód, by zbadać ten okaz.

Krzaczaste brwi uniosły się.

– Jaki to powód?

– Otóż... studiuje dziewiętnastowieczną medycynę...

– Chwileczkę – przerwał jej Jørgensen – już sobie przypominam, gdzie niedawno widziałem twoje nazwisko!

Wysuszona dłoń zdjęła jeden z dokumentów ze stosu papierów.

– Ostatnio otrzymałem okólnik dotyczący twojego statusu tutaj, w muzeum.

Margo oniemiała.

– Co?

Jørgensen spojrział na dokument i podał jej.

– Sama zobacz.

Była to notatka służbowa od Frisby'ego, przesłana całemu personelowi wydziału botaniki. Zawierała krótki tekst.

Niniejszym informuję o zmianie statusu badaczki

spoza naszego muzeum, doktor Margo Green, etnofarmakolog zatrudnionej przez Instytut Pearsona. Jej przywileje dostępu do zbiorów zostały obniżone z poziomu 1 do poziomu 5 w trybie natychmiastowym.

Margo wiedziała, jak należy tłumaczyć tę biurokratyczną nowomowę. Poziom 5 oznaczał brak jakiegokolwiek dostępu.

– Kiedy pan to dostał?

– Dziś rano.

– Dlaczego nie wspomniał pan o tym wcześniej?

– Nie zwracam większej uwagi na krążące po muzeum notatki służbowe czy okólniki. To cud, że w ogóle go zapamiętałem. O ósmej czterdzieści pięć, o ile mnie pamięć nie myli.

Margo siedziała, próbując zapanować nad nerwami. Nie byłoby dobrze, gdyby straciła kontrolę nad sobą przy Jörgensenie. Najlepiej powiedzieć wszystko otwarcie i szczerze, pomyślała.

– Doktorze, mam przyjaciela, który jest ciężko chory. Właściwie umiera. Lekkie skinienie głowy.

– Może go uratować jedynie ekstrakt z *Thismia americana*.

Jörgensen zmarszczył brwi.

– Moja droga...

Margo przełknęła ślinę. Nie znosiła, gdy zwracano się do niej w ten sposób.

– ...Chyba nie mówisz serio. Jeżeli ta roślina naprawdę miałaby uratować mu życie, to czy mógłbym zobaczyć oświadczenie podpisane przez jego lekarza?

– Pozwoli pan, że to wyjaśnię. Mój przyjaciel został otruty, a ten ekstrakt musi znaleźć się w składzie antidotum. Żaden lekarz nic o tym nie wie.

– Trąci mi to hochsztaplerką.

– Słowo daję...

– Ale nawet gdybyś miała potwierdzenie na piśmie – przerwał Jörgensen, wchodząc jej w słowo – nigdy nie pozwoliłbym na zniszczenie okazu wymarłej, niewystępującej już w środowisku naturalnym rośliny, ostatej z

swojego gatunku, w celu wykorzystania jej do jednorazowego podania w formie leku. Jaką wartość ma jedno ludzkie życie w zestawieniu z ostatnim okazem rośliny, która nigdzie nie istnieje?

– Ty...! – Margo spojrzała na jego twarz przepełnioną grymasem głębokiej dezaprobaty. Była zniesmaczona tym, co właśnie usłyszała, jawnym stwierdzeniem, że ten naukowy okaz jest wart więcej niż ludzkie życie. Nigdy nie zdoła przekonać tego człowieka do swoich racji.

Myślała intensywnie. Widziała Skarbiec Herbarium wiele lat temu i pamiętała, że wygląda jak wielki sejf zaopatrzony w zamek elektroniczny z klawiaturą. Kombinacje do tego rodzaju zamków były regularnie zmieniane w celu bezpieczeństwa. Spojrzała na Jörgensena, który łypał na nią, marszcząc brwi, i skrzyżował ramiona, czekając, aż ona skończy mówić.

Powiedział, że jego pamięć ostatnio szwankuje. To była ważna informacja. Margo rozejrzała się po gabinecie. Gdzie mógł zapisać kod do zamka? W książce? W biurku? Przypomniała sobie stary film Hitchcocka *Marnie*, w którym biznesmen trzymał kod do sejfu w zamkniętej na klucz szufladzie biurka swojej sekretarki. Nawet w tak niewielkim gabinecie szyfr mógł znajdować się w tysiącu miejsc. Może mogłaby podstępem nakłonić go do tego, żeby zdradził jej, gdzie go schował.

– Coś jeszcze, doktor Green?

Jeśli szybko czegoś nie wymyśli, nigdy nie dostanie się do tego skarbcza... a Pendergast umrze. Stawka była naprawdę wysoka. Spojrzała na Jörgensena.

– Gdzie trzyma pan szyfr do skarbcza?

Prawie niedostrzegalny ruch gałek ocznych i zaraz spojrzenie mężczyzny przeniosło się na nią.

– Cóż za impertynencja! Dość już czasu zmarnowałem przez ciebie. Żegnam, doktor Green. Życzę miłego dnia.

Margo wstała i wyszła. W tej krótkiej chwili jego oczy mimowolnie spojrzały gdzieś ponad jej głowę. Gdy odwróciła się, by wyjść, zauważyła, że w tym miejscu na ścianie wisi niewielka, oprawiona w ramki reprodukcja botaniczna.

W jej sercu zaświtała nadzieja, że właśnie za tą reprodukcją znajduje się sejf, w którym zapisany był szyfr do skarbcza. Ale jak wywabić Jörgensena z jego cholernego gabinetu? A gdyby nawet odnalazła sejf, gdzie miałyby

szukać szyfru, by go otworzyć? No i gdyby nawet zdołała poznać właściwą kombinację, to Skarbiec Herbarium mieścił się głęboko w podziemiach muzeum...

Mimo wszystko musiała spróbować.

W połowie korytarza zatrzymała się. Czy powinna uruchomić alarm pożarowy? Tyle że spowodowałaby ewakuację całego skrzydła i przypuszczalnie wpakowałaby się w kłopoty.

Pomaszerowała dalej, mijając kolejne laboratoria i gabinety. Wciąż była pora lunchu i pomieszczenia świeciły pustkami. W jednym z pustych laboratoriów dostrzegła telefon wewnętrznej linii. Weszła do środka, spojrzała na aparat. Czy mogła zadzwonić do Jörgensena i podając się za czyjąś sekretarkę, powiedzieć mu, że ktoś chce się z nim widzieć? Ten człowiek nie sprawiał wrażenia, że widuje się z kimkolwiek lub ma w zwyczaju odpowiadać na nieoczekiwane wezwania. A poza tym zapewne zna głosy większości sekretarek.

Musi być jakiś sposób na wywabienie go z gabinetu. I to taki, który nielicho go wkurzy, wywoła w nim taką wściekłość, że zapragnie obsztorcować kolegę po fachu.

Sięgnęła po telefon. Zamiast do Jörgensena zadzwoniła do biura doktora Frisby'ego. Zmieniając głos, powiedziała:

– Dzwonię z biura wydziału botaniki. Czy mogę mówić z doktorem Frisbym? Mamy problem.

Po chwili na linii usłyszała zdyszany głos doktora Frisby'ego.

– Słucham, o co chodzi?

– Otrzymał pański okólnik na temat tej kobiety, doktor Green – powiedziała cicho.

– Co zrobiła? Chyba nie próbowała zawracać wam głowy?

– Zna pan starego doktora Jörgensena? To dobry przyjaciel doktor Green. Obawiam się, że zamierza sprzeciwić się pańskiej decyzji i umożliwić jej dostęp do zbiorów. Od rana pomstuje na pański okólnik. Mówię o tym tylko dlatego, że nie chcemy żadnych kłopotów, a wie pan, jak trudny bywa doktor Jörgensen...

Frisby rzucił słuchawkę. Margo czekała w pustym laboratorium, przy nieznacznie uchylonych drzwiach. Kilka minut później usłyszała sapanie i korytarzem przemaszerował wściekły Jörgensen; twarz miał

poczerwieniałą i jak na swój wiek wyglądał całkiem krzepko – najwyraźniej kierował się do gabinetu Frisby’ego, żeby się z nim rozmówić.

Pospiesznie przemknęła w przeciwną stronę i aż odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że Jörgensen tak szybko opuścił gabinet, że nawet nie zamknął za sobą drzwi. Przymknęła je i zdjęła ze ściany reprodukcję botaniczną.

Nic. Żadnego sejfu, tylko pusta ściana.

Poczuła się zdruzgotana. Dlaczego spojrział w tę stronę? Na ścianie nie było nic więcej. Może przypadkiem skierował tu swój wzrok, a może czegoś nie zauważyła. Już miała odwiesić reprodukcję, gdy dostrzegła świstek papieru przyklejony z tyłu do ramy. Na kartce widniała lista ciągów cyfr. Wszystkie oprócz ostatniego były skreślane.

Aloysius Pendergast leżał w łóżku, starając się nie poruszyć. Nawet najmniejsze drgnięcie sprawiało mu niewysłowiony ból. Gdy nabierał tylko tyle powietrza, żeby utlenić krew, miał wrażenie, jakby w mięśnie i nerwy jego klatki piersiowej wbijały się rozpalone do białości igły bólu. Czuł w nogach łóżka mroczną obecność sukkuba gotowego wspiąć się na łóżko i go udusić. Kiedy jednak próbował na niego spojrzeć, upiór zniknął i pojawiał się dopiero wtedy, gdy agent odwracał wzrok.

Starał się siłą woli odegnąć ból, zatracić się w wyposażeniu swojej sypialni, skoncentrować całą uwagę na wiszącym na przeciwległej ścianie obrazie, którego kontemplowanie często przynosiło mu ukojenie; było to późne dzieło Turnera *Szkuner u brzegów Beachy Head*. Potrafił na wiele godzin zatracić się w studiowaniu warstw światłocieni, sposobów, w jaki Turner oddał kaskady piany i targane sztormem żagle okrętu. Ale ból i paskudna woń gnijących lilii – dławiąca, mdląca, słodka jak smród ropiejącego ciała – uniemożliwiały mu tę mentalną ucieczkę.

Wszystkie jego zwyczajowe mechanizmy radzenia sobie z emocjonalną lub fizyczną traumą zostały zablokowane przez chorobę. Skończyła się morfina, a następną dawkę podłączą mu dopiero za godzinę. Nie pozostało mu nic oprócz pejzażu bólu, rozciągającego się wokół niego we wszystkich kierunkach, bez końca.

Nawet w tak zaawansowanym stadium choroby Pendergast wiedział, że bóle powracają falami i na przemian słabną bądź nasilają się. Jeśli zdoła przeżyć obecny atak, to cierpienie zmniejszy się na tyle, żeby mógł poczuć przynajmniej krótkotrwałą ulgę. Będzie mógł znowu oddychać, mówić, a nawet wstać z łóżka i poruszać się. Potem ból powróci i za każdym razem będzie silniejszy i będzie trwał dłużej niż poprzednio. Zdawał sobie sprawę z tego, że w pewnym momencie, niebawem, eskalacja bólu przestanie słabnąć i wówczas nadejdzie koniec.

Teraz na obrzeżach jego świadomości pojawił się grzbiet fali bólu: czerń zbliżająca się ukradkiem i wypełniająca skraj pola widzenia. Stanowiła swego rodzaju zapowiedź. Była sygnałem, że za parę minut straci przytomność. Z początku chętnie witał to ukojenie. Jednak wkrótce okazało się, że i w tym stanie nie może liczyć na chwilę wytchnienia. W mroku bowiem nie kryła się pustka, lecz pełen omamów mroczny świat jego podświadomości, który pod wieloma względami był gorszy od bólu.

Czerń spowiła go, otaczając ciasnym kokonem, jak podstępna fala porywająca zmęczonego pływaka. Przez moment czuł, że spada – nie było to przyjemne. Wreszcie ciemność się rozplynęła jak kurtyna odsłaniająca scenę w teatrze.

Stał na poranej szczelinami półce zastygłej lawy, wysoko na stokach czynnego wulkanu. Był zmierzch. Na lewo od niego żebrowane zbocza wulkanu prowadziły ku brzegowi znajdującemu się w dole tak daleko, że zdawał się częścią zupełnie innego świata, w którym małe skupiska bielonych budynków tuliły się do siebie na brzegach spienionej piany, a palące się w nich światła rozpraszały półmrok. Dokładnie na wprost i poniżej niego rozpościerała się ogromna czeluść, monstrualna szczelina ziejąca w samym sercu wulkanu. Widział lawę przelewającą się wewnątrz jak krew, magmę połyskującą soczystą, wściekłą czerwienią w cieniu krateru wznoszącego się powyżej. Ze szczeliny biły kłęby siarczanego dymu, a w powietrzu unosiły się targane piekielnym wiatrem czarne drobiny popiołu.

Pendergast doskonale wiedział, gdzie się znajduje – na grzbiecie Bastimento, na stokach wulkanu Stromboli – i spogląda w głąb niesławnego Sciarra del Fuoco, Ognistego Zbocza. Stał już na tym stoku ponad trzy lata temu. Kiedy był świadkiem jednego z najbardziej wstrząsających dramatów w swoim życiu.

Tyle że teraz to miejsce wyglądało inaczej. Zawsze groźne i posępne, w teatrze jego trawionego omamami umysłu stało się prawdziwym koszmarem. Otaczające je niebo zamiast fioletowej poświaty zmierzchu miało upiornie zielonkawy odcień przypominający zgniłe jaja. Niebo rozdzierały błyski pomarańczowych i niebieskawych piorunów. Nabrzmiałe karmazynowe chmury przesuwwały się przed tarczą bladożółtego, roztapiającego się słońca. Całą tę scenę spowijały najokropniejsze barwy.

Przyglądając się tej piekielnej wizji, zdziwił się, bo nagle ujrzał jakąś postać. Niecałe trzy metry od niego na plażowym leżaku, stojącym na płaskim skrawku zastygłej lawy nad dymiącym *Sciara del Fuoco*, siedział mężczyzna. Nosił ciemne okulary, słomkowy kapelusz, kwiecistą koszulę oraz bermudy i sączył z wysokiej szklanki coś, co wyglądało jak lemoniada. Pendergast nie musiał podchodzić bliżej, żeby rozpoznać ten profil, orli nos, starannie przystrzyżoną bródkę i rude włosy. To był jego brat Diogenes. Diogenes, który zniknął w tym miejscu w trakcie przerażającej sceny, jaka rozegrała się między nim a Constance Greene.

Diogenes upił wolno duży łyk lemoniady. Patrzył ponad rozszalałą kipiela *Sciara del Fuoco* ze spokojną miną turysty obserwującego Morze Śródziemne z balkonu hotelu w Nicei.

– *Ave, frater* – powiedział, nie odwracając się do niego.

Pendergast nie odpowiedział.

– Zapytałbym, jak twoje zdrowie, lecz obecne okoliczności czynią ten jawny przejaw hipokryzji całkowicie zbędnym.

Pendergast patrzył po prostu na tę niezwykłą zjawę, swojego nieżyjącego brata wylegującego się na leżaku na skraju czynnego wulkanu.

– Wiesz co – ciągnął Diogenes – śmiem twierdzić, że ironia całej tej sytuacji, oczywista ironia położenia, w jakim się znalazłeś, rozbawia mnie do łez. Po tym, co przeszedłeś, po tym, jak poradziłeś sobie ze wszystkimi moimi planami, to nie ja przyczyniam się do twojej śmierci, lecz ty sam. Sam zgotowałeś sobie ten los. A raczej uczynił to twój syn. Kto by przypuszczał! Szkoda, że go nie poznałem. Na pewno byśmy się polubili. Alban i ja znaleźlibyśmy nić porozumienia. Mógłbym nauczyć go wielu rzeczy.

Pendergast nie odpowiedział. Nie było sensu dyskutować z omamem wywołanym przez gorączkę. Diogenes znów napił się lemoniady.

– Tym, co sprawia, że ta ironia losu jest tak cudownie dopełniona, jest fakt, że Alban był jedynie pośrednim sprawcą twojego upadku. Twoim pierwszym zabójcą był prapradziadek Hezekiah. Co tu mówić o grzechach ojców! Nie tylko jego eliksir cię zabija, ale ten facet Barbeaux, który niebezpośrednio stał się jego ofiarą, postanowił się na tobie zemścić.

Diogenes przerwał.

– Hezekiah, Alban, ja. Nie ma to jak sympatyczny rodzinny krąg.

Pendergast wciąż milczał.

Diogenes, nadal zwrócony do niego profilem, patrzył ponad falami magmy przelewającymi się dziko u ich stóp.

– Spodziewałem się, że zechcesz z pokorą przyjąć na siebie tę okazję do pokuty.

Sprowokowany Pendergast dopiero teraz się odezwał:

– Pokuty? Za co?

– Ach, cały ty z tą swoją pruderią, ograniczonym poczuciem moralności i mylnie pojmowanym pragnieniem czynienia dobra na świecie. Zawsze było dla mnie niepojętą zagadką, jak możesz nie zadręczać się faktem, że przez cały czas żyliśmy jak pączki w maśle, korzystając w najlepsze z fortuny Hezekiaha.

– Mówisz o czymś, co wydarzyło się sto dwadzieścia pięć lat temu.

– Czy upływ czasu był w stanie umniejszyć cierpienie jego ofiar? Ilu potrzeba lat, żeby zmyć krew z tej całej fortuny?

– To fałszywy sylogizm. Hezekiah zbił majątek, działając okrutnie i bez skrupułów, ale my byliśmy niewinni, dziedzicząc po nim bogactwo. Pieniądz jest zmienny. Nie można nas winić.

Diogenes zachichotał – co ledwie dało się słyszeć pośród ryku wulkanu – a potem pokręcił głową.

– Cóż za ironia, że to ja stałem się głosem twojego sumienia.

Pośród omamów zaczęła jawić się udręczona, osłabiona świadomość Pendergasta. Agent zachwiał się na grzbiecie zastygłej lawy; zaraz jednak odzyskał równowagę.

– Ja... – zaczął – nie jestem... za to... odpowiedzialny. I nie będę się kłócił z wytworem halucynacji.

– Wytworem halucynacji?

Dopiero teraz Diogenes odwrócił się twarzą do brata. Prawa strona jego oblicza, ta, którą był zwrócony do niego wcześniej, wyglądała normalnie i nieskazitelnie. Lewa natomiast była przeraźliwie okaleczona, poparzona, pokryta warstwą bliznowatych tkanek, wypukłych jak kora drzewa i sięgających od podbródka aż po linię włosów, kość policzkowa oraz oczodoł pozbawiony gałki ocznej były białe i odsłonięte.

– Mów sobie tak dalej, *frater* – powiedział, przekrzykując ryk góry.

I równie wolno jak wcześniej obrócił się do Pendergasta, tak teraz odwrócił się od niego, ukrywając potwornie zdeformowaną twarz

i ponownie kierując wzrok na Sciara del Fuoco. W tej samej chwili koszmarna scena zaczęła się rozplýwać, falować i znikać, pozostawiając Pendergasta w jego sypialni, wśród przyciemnionych świateł i nowych ataków bólu, które znów zaczęły targać jego ciałem.

Constance stała w ostatnim z długiego ciągu podziemnych pomieszczeń, ciężko oddychając. Przez ramię miała przewieszoną nylonową czarną torbę. Z jej sukni zwieszały się pasemka porozrywanych pajęczyn.

Dotarła do końca gabinetu doktora Enocha Lenga. Było wpół do trzeciej po południu; poświęciła wiele godzin, usiłując zebrać niezbędne składniki do wytworzenia antidotum. Odstawiając nylonową torbę, ponownie rzuciła okiem na listę, choć wiedziała doskonale, czego wciąż jej brakuje. Chloroformu i olejku z gęsiej stopy. Znalazła dużą butlę chloroformu, ale okazało się, że pojemnik nie był szczelnie zamknięty i zawartość przez lata wyparowała. Chloroform był dostępny w aptece, jednak zdobycie go trwałoby zbyt długo i nie spodziewała się, że czuwający na górze doktor Stone da się przekonać i bez szemrania wypisze receptę. Większym problemem stawał się olejek z gęsiej stopy, ponieważ z uwagi na toksyczne właściwości nie stosowano go już we współczesnej farmaceutyce. Jeżeli nie będzie go tu na dole, szczęście się od niej odwróci. Na pewno ta substancja znajduje się w jakichś zbiorach, gdyż był to popularny składnik w dawnych patentowanych lekach.

Ale na nic takiego nie natrafiła.

Zaczęła wracać przez pomieszczenia, schylając głowę przy łukowatych przejściach. Gdy szła w tamtą stronę, pominęła kilka zniszczonych przestrzeni magazynowych. Teraz postanowiła, że je także przeszuka. Przez ostatnie miesiące wspólnie z Proctorem podjęli się żmudnego zajęcia posprzątania piwnic i pozbyli się całych stert potłuczonego szkła, zbitych naczyń, zmiażdżonych artefaktów i resztek rozmaitych substancji chemicznych.

A jeśli butelki z olejkiem z gęsiej stopy znajdowały się wśród tych, które się potłukły i zostały wyrzucone...?

Przystanęła w pomieszczeniu, którego nie zdążyli posprzątać. Wszędzie

walały się pourywane półki, a na podłodze skrzyły się i migotały miliony kawałków potłuczonego szkła, pokrytego pozostałościami różnobarwnych substancji, które porozlewały się wokół, tworząc lepkie, zaschnięte kałuże. W powietrzu jak toksyczny miazmat unosiła się nieprzyjemna woń pleśni. Ale nie wszystko się potłukło: wiele buteleczek leżało na podłodze nietkniętych, a niektóre półki wciąż się trzymały, bardziej lub mniej poprzecyłane, pozostawiane słojami w różnych kolorach i ozdobione karteczkami opisanymi starannie i odręcznie przez Enocha Lengę.

Zaczęła przeglądać ocalałe szklane pojemniki na tych półkach, które uniknęły uszkodzeń. Butelki grzechotały pod jej palcami, gdy je sortowała, odczytując jedną łacińską nazwę po drugiej w niekończącej się litanii preparatów i substancji chemicznych.

To zakrawało na obłąd. Doktor Leng posługiwał się systemem katalogowania, który miał tylko w swojej głowie, i kiedy umarł, Constance nie była w stanie go rozszyfrować. Podejrzewała zresztą, że w tym szaleństwie nie było żadnej metody, że doktor zarejestrował całą bibliotekę substancji chemicznych w swojej niezwykłej, fotograficznej pamięci.

Gdy uporała się z jedną półką, przeszła do kolejnej i do następnej. Jakaś butelka spadła i rozbiła się, więc Constance kopnęła odłamki na bok. W powietrzu rozeszła się silna woń. Constance nie przerywała pracy, sortując coraz szybciej, od tego pośpiechu z półek sypały się kolejne butelki. Spojrzała na zegarek. Trzecia.

Sycząc z wściekłości, przeniosła uwagę na walające się na podłodze nienaruszone butelki. Pochylona, stąpając po tłuczonym szkłe, kontynuowała poszukiwania: podnosiła butelkę, odczytywała napis na etykiecie i odrzucała ją na bok. Było tu wiele olejków – z nagietka lekarskiego, nasion ogórecznika, pierwiosnka, dziewanny, korzenia szkarłatki... ale nie z gęsiej stopy. W przypiływie frustracji zerwała jedną z półek, której zawartość przejrzała, i zrzuciła wszystko na podłogę. Butelki roztrzaskały się z głośnym brzękiem i chlupotem, a w powietrzu rozszedł się okropny smród.

Zrobiła kilka kroków w bok. Ta utrata kontroli była niewybaczalna. Zaczerpnąwszy kilka głębokich oddechów, Constance odzyskała panowanie nad sobą i zaczęła przeglądać ostatnie półki. Wciąż nic.

I nagle to zobaczyła: wielką butlę z napisem „Olejek z gęsiej stopy” na

etykiecie. Dokładnie na wprost niej. Włożyła ją do torby i kontynuowała poszukiwania chloroformu. Jedna z kolejnych buteleczek okazała się dobrze zamknięta i choć była niewielka, zawierała potrzebną substancję. Ją również wcisnęła do torby, po czym wyprostowała się i ruszyła w stronę schodów wiodących do windy.

Uznała ten mały uśmiech losu za dobry znak. Ale gdy dotarła do biblioteki i zasunęła regały, zobaczyła panią Trask, która podała jej telefon.

– Dzwoni porucznik.

– Powiedz, że mnie nie ma.

Pani Trask z wyrazem dezaprobaty wciąż podsuwała telefon w jej stronę.

– Nalega.

Constance wzięła słuchawkę i spróbowała nadać swojemu głosowi serdeczny ton.

– Słucham, poruczniku?

– Chcę widzieć ciebie i Margo w moim gabinecie i to jak najszybciej.

– Jesteśmy teraz trochę zajęte.

– Mam bardzo ważne informacje. W tę sprawę są zaangażowani bardzo, ale to bardzo niebezpieczni ludzie. Ty i Margo możecie zginąć. Chcę pomóc.

– Nie możesz nam pomóc – odparła Constance.

– Dlaczego?

– Ponieważ... – Zamilkła.

– Ponieważ szykujecie nielegalny numer?

Cisza.

– Constance, rusz tyłek i przyjeżdżaj tu raz-dwa. Albo jak mi Bóg miły pofatyguję się z całą ekipą i sprowadzę cię tutaj osobiście.

– Uściślijmy wszystko – rzekł D’Agosta. Było późne popołudnie, a Margo i Constance siedziały w jego gabinecie. – Mówicie, że znalazłyście środek przeciwko truciźnie, którą podano Pendergastowi?

– Antidotum – sprecyzowała Constance. – Opracowane przez Hezekiaha Pendergasta w celu zniwelowania skutków jego eliksiru.

– Ale nie macie pewności.

– Nie całkiem – przyznała Margo. – Jednak musimy spróbować.

D’Agosta usiadł prosto. To brzmiało jak czyste szaleństwo.

– I macie już wszystkie składniki?

– Wszystkie oprócz dwóch – odparła Margo. – To rośliny i wiemy, gdzie je znaleźć.

– Gdzie?

Cisza.

D’Agosta spojrział na Margo.

– Niech zgadnę: zamierzacie ukraść je z muzeum.

Znów cisza. Twarz Margo była blada i wymizerowana, ale w jej oczach dało się dostrzec lodowate błyski. D’Agosta przejechał dłonią po łysince i popatrzył na siedzące naprzeciw niego dwie zuchwałe kobiety.

– Posłuchajcie, jestem gliną od wielu lat. Znamy się nie od dziś i wiem, że planujecie coś niezgodnego z prawem. Przecież nie jestem idiotą. Szczerze mówiąc, akurat teraz mam gdzieś, co kombinujecie. Pendergast jest moim przyjacielem. Zależy mi, żebyście zdobyły te rośliny. I żebyście nie straciły przy tym życia. Rozumiemy się?

Margo w końcu skinęła głową.

D’Agosta odwrócił się do Constance.

– A ty?

– Rozumiem – powiedziała, ale z wyrazu jej twarzy widać było, że się z tym nie zgadza. – Mówiłeś, że masz ważne informacje. Co to takiego?

– Jeżeli się nie mylę, Barbeaux jest groźniejszy, niż się komukolwiek wydaje. Będziecie potrzebować wsparcia. Pozwólcie, że pomogę wam w zdobyciu tych roślin, czymkolwiek one są.

Znów cisza. Wreszcie Constance wstała.

– Jak miałbyś nam pomóc? Sam mówiłeś, że to, co planujemy, jest niezgodne z prawem.

– Constance ma rację – powiedziała Margo. – Wyobrażasz sobie całą niezbędną biurokrację? Posłuchaj, Pendergast, twój przyjaciel, umiera. Kończy się nam czas.

D’Agosta poczuł, że puszczają mu nerwy.

– Zdaję sobie z tego sprawę i dlatego jestem gotów przekroczyć pewne granice. Do cholery, jeśli nie pozwolicie, żebym wam pomógł, wpakuję was za kratki. I to zaraz. Dla waszego bezpieczeństwa.

– Jeżeli to zrobisz, Pendergast na pewno umrze – stwierdziła Constance.

D’Agosta wypuścił powietrze.

– Nie pozwolę wam uganiać się po mieście, zgrywając gliny. Barbeaux albo jego ludzie cały czas wyprzedzają nas o krok. Jak waszym zdaniem będę się czuł, mając na sumieniu trzy śmierci zamiast jednej? Bo on może próbować was powstrzymać.

– Mam nadzieję, że spróbuje – rzekła Constance. – A teraz musimy już iść.

– Przysięgam, że zamknę was w areszcie.

– Nie, nie zrobisz tego – odparła półgłosem.

D’Agosta wstał.

– Zostańcie tu. Nie idźcie nigdzie.

Wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi, i podszedł do oficera dyżurnego, sierżanta Josephusa.

– Sierżancie? Widzieliście te dwie kobiety w moim gabinecie? Kiedy wyjdą, macie je śledzić. Na okrągło, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, aż do odwołania.

Josephus spojrział w stronę gabinetu D’Agosty, a ten podążył za jego wzrokiem. Przez przeszkłone drzwi zobaczył, że Constance i Margo rozmawiają ze sobą.

– Tak jest, panie poruczniku – rzekł Josephus i wyjął oficjalny formularz. – Proszę podać mi ich nazwiska...

D’Agosta zamyślił się przez chwilę i machnął ręką.

– Wiecie co, dajcie sobie z tym spokój. Mam inny pomysł.

– Jasne, poruczniku.

D’Agosta otworzył drzwi gabinetu, wszedł do środka i spojrzał na obie kobiety.

– Jeśli wybieracie się do muzeum, żeby ukraść stamtąd parę roślin, to powinniście przejmować się bardziej ludźmi Barbeaux niż tamtejszą ochroną. Czy wyraziłem się jasno?

Przytaknęły.

– A teraz idźcie sobie stąd.

Wyszły.

Porucznik patrzył na puste drzwi, czując, jak kipi w nim gniew wywołany bezsilnością. Niech to szlag, w życiu nie spotkał bardziej niezdolnych kobiet. Ale istniał sposób, żeby zapewnić im bezpieczeństwo, a przynajmniej zmniejszyć prawdopodobieństwo ich spotkania z Barbeaux. Tym sposobem było wystawienie nakazu aresztowania tego człowieka, sprowadzenie go na przesłuchanie i zatrzymanie na posterunku, dopóki one nie zrobią tego, co postanowiły. Jednak by zdobyć nakaz, będzie musiał zebrać wszystkie dowody, jakimi dysponował, i przekazać je prokuratorowi okręgowemu.

Odwrócił się do komputera i zaczął wściekle stukać w klawisze.

W biurach wydziału zapanowała cisza. Było typowe późne popołudnie, na posterunku czas względnego spokoju, gdyż większość funkcjonariuszy przebywała w terenie i jeszcze nie wróciła, by sporządzić raporty albo dowieźć podejrzanych do aresztu. Minęła minuta, dwie, po czym w korytarzu przed gabinetem D’Agosty rozległy się kroki.

Chwilę później pojawił się sierżant Slade. Wszedł ze swojego gabinetu, skąd – gdy stał we właściwym miejscu – miał doskonały widok na drzwi wejściowe do pokoju D’Agosty. Przystanął przy sąsiednich drzwiach do pustego pomieszczenia, gdzie D’Agosta i reszta wydziału przenosili nadmiar dokumentów.

Rozejrzał się uważnie dokoła. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi na zasuwkę. Światła były zgaszone, ale ich nie zapalił.

Jak najciszej podszedł do ściany, za którą znajdował się gabinet D’Agosty, skąd bez przerwy dochodziło stukanie w klawiaturę. Pod ścianą stał stos pudeł; Slade ukląkł i ostrożnie przesunął je na bok. Macał koniuszkami

palców, aż znalazł to, czego szukał – mały mikrofon podsłuchowy wpuszczony w gipsową ściankę, ze zminiaturyzowanym cyfrowym dyktafonem, który uruchamiał się pod wpływem głosu.

Prostując się, włożył do ust kawałek lukrecji, a do ucha słuchawkę, podłączył kabel słuchawki do dyktafonu i uruchomił urządzenie. Kiwając raz po raz głową, odsłuchiwał skazane na niepowodzenie próby protestu D'Agosty, dźwięk otwieranych drzwi, a potem głosy rozmawiających ze sobą kobiet.

– *Gdzie dokładnie w muzeum znajduje się ta roślina?*

– *W Skarbcu Herbarium. Wiem, gdzie to jest, i mam szyfr do skarbcza. A co ty wiesz?*

– *Roślina, której potrzebuję, jest w Aquatic Park w ogrodzie botanicznym na Brooklynie. Kiedy zamkną ogród i zrobi się całkiem ciemno, zdobędę ten okaz. Nie możemy dłużej zwlekać.*

Slade uśmiechnął się. Zostanie za to sownie nagrodzony.

Włożył dyktafon do kieszeni, delikatnie przesunął stos pudeł z powrotem na miejsce, podszedł do drzwi, otworzył zasuwkę i – upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby go zauważyć – opuścił pokój, a następnie ruszył powoli w głąb korytarza; jego uszu wciąż dochodził odgłos stukającego w klawisze D'Agosty.

Cmentarz Bramy Niebios znajdował się na szczycie słabo zalesionego wzniesienia, skąd rozciągał się widok na jezioro Schroon. Na wschód od niego, pośród zielonej dali leżał Fort Ticonderoga strzegący ujścia rzeki Hudson. Jeszcze dalej na północ wznosił się masyw Mount Marcy, najwyższej góry w stanie Nowy Jork.

John Barbeaux szedł w zamyśleniu po starannie przystrzyżonej trawie, lawirując niespiesznie pomiędzy nagrobkami. Teren wznosił się i opadał łagodnymi, rozłożystymi falami, tu i ówdzie pod drzewami można było dostrzec wysypaną żwirem ścieżkę. Liście rozpraszały promienie popołudniowego słońca, kładąc na tym sennym zielonkawym pejzażu cętkowane cienie.

Wreszcie Barbeaux dotarł do niewielkiej gustownej rodzinnej parceli, na której wznosiły się dwa pomniki otoczone niskim żelaznym płotkiem. Podeszedł do większego pomnika, przedstawiającego anioła z dłońmi przyciśniętymi do piersi i zapłakanymi, wzniesionymi ku niebu oczami. Na podstawie widniało wyryte nazwisko: Felicity Barbeaux. Nie było żadnej daty.

Barbeaux niósł w prawym ręku dwa cięte kwiaty: czerwoną różę o długiej łodydze i fioletowy hiacynt. Ukląkł i złożył różę przed pomnikiem. Potem wstał i w milczeniu kontemplował posąg.

Jego żonę zabił pijany kierowca niespełna dziesięć lat temu. Policyjne śledztwo nie obyło się bez uchybień – sprawca, pracownik firmy telemarketingowej, nie został w porę zapoznany z przysługującymi mu prawami i nie dopełniono tym samym wszystkich obowiązujących procedur. Szczwany prawnik zdołał wybronić swojego klienta za cenę najniższego wyroku więzienia w zawieszeniu na rok.

John Barbeaux był człowiekiem, który rodzinę cenił nade wszystko. Wierzył również w sprawiedliwość. Nie tak jego zdaniem powinna ona

wyglądać.

Choć Red Mountain dziesięć lat temu była znacznie mniejszą i nie tak potężną firmą, Barbeaux już wtedy miał spore wpływy i liczne kontakty w różnych, nierzadko szemranych sferach. Na początek doprowadził do ponownego aresztowania tego mężczyzny, kiedy w jego samochodzie znaleziono sto gramów kokainy. Choć było to jego pierwsze przewinienie, spowodowało odwieszenie zasądzonego wcześniej wyroku, czyli co najmniej pięciu lat za kratkami. Pół roku później, gdy telemarketer zaczął odsiadywać wyrok w federalnym zakładzie karnym Otisville, Barbeaux dopilnował – za cenę dziesięciu tysięcy dolarów – aby mężczyzna, który zabił mu żonę, został pchnięty spiłowanym śrubokrętem podczas kąpieli pod prysznicem i pozostawiony, aż wykrwawił się na śmierć.

Sprawiedliwości stało się zadość.

Barbeaux raz jeszcze popatrzył na pomnik. A potem, wzięwszy głęboki oddech, podszedł do sąsiedniego. Ten był znacznie mniejszy – prosty krzyż z napisem: John Barbeaux junior.

Po śmierci Felicity Barbeaux przelał wszystkie uczucia i troskę na syna. John junior, choć w dzieciństwie chorowity, wyrósł na obiecującego artystę. Może nawet bardziej niż obiecującego, był naprawdę utalentowanym pianistą, i jako kompozytor, i jako wykonawca. Ojciec zapewnił mu wszystko: najlepszych nauczycieli i najlepsze szkoły. W Johnie juniorze Barbeaux pokładał wielkie nadzieje na przyszłość swojego rodu.

Ale wtedy stało się coś strasznego. Zaczęło się niewinnie. John junior zaczął być chimeryczny, miewał zmienne nastroje, stracił apetyt i coraz częściej cierpiał na bezsenność. Barbeaux kładł to na karb trudnego okresu dorastania. Jednak sytuacja zaczęła się pogarszać. Chłopak skarżył się, że czuje woń, której nie jest w stanie się pozbyć. Z początku była słodka i przyjemna, lecz z czasem przerodziła się w wyjątkowo odpychający smród gnijących kwiatów. Syn Barbeaux słabł, stał się nerwowy, męczyły go migreny i bóle stawów, które z dnia na dzień przybierały na sile. Miewał też coraz gwałtowniejsze omamy, ataki niczym nietłumaczonej wściekłości przeplatane okresami wyczerpania i letargu. Barbeaux szukał pomocy u światowej sławy lekarzy, ale nikt nie był w stanie nawet zdiagnozować choroby syna, a co dopiero go wyleczyć. Barbeaux mógł jedynie patrzeć, jak John junior osuwa się coraz głębiej w otchłań szaleństwa i niewysłowionego

bólu. Pod koniec obiecujący niegdyś chłopak był praktycznie warzywem. Umarł w wieku szesnastu lat w wyniku ustania akcji serca wywołanego gwałtowną utratą wagi i wyczerpaniem – i poniekąd śmierć była dla niego wybawieniem.

Wydarzyło się to niecałe dwa lata temu. Barbeaux pogrążył się w żałobie. Nie był w stanie wybrać dla syna ozdobnego pomnika, tak jak to zrobił dla żony, nie mógł nawet pozbierać myśli, tak więc koniec końców prosty krzyż stanowił jakby świadectwo niespełnionej obietnicy.

I oto, niemal dokładnie rok po śmierci Johna juniora, stało się coś, czego Barbeaux nigdy się nie spodziewał. Pewnego wieczoru odwiedził go gość – młody człowiek, niewiele starszy od jego syna, ale którego postura, energia i magnetyzm były tak niezwykle, że równie dobrze mógł pochodzić z innej planety. Mówił doskonale po angielsku, choć z wyraźnym akcentem. Młodzieniec sporo wiedział o Barbeaux. Prawdę mówiąc, wiedział o rodzinie Barbeaux więcej niż on sam. Opowiedział mu o jego pradziadkach, Stephenie i Ethel, którzy mieszkali w Nowym Orleanie przy Dauphine Street. Opowiedział też o mieszkającym wtedy po sąsiedzku Hezekiahu Pendergastie, który stworzył nostrum znane jako cudowny eliksir Hezekiaha, lek na wszystkie choroby i remedium powodujące wzmocnienie gruczołów, opatentowaną, oszukańczą miksturę, która była odpowiedzialna za cierpienia, szaleństwo i śmierć tysięcy ludzi. Wśród ofiar, jak stwierdził młodzieniec – czym zadziwił Barbeaux – byli Stephen i Ethel, oboje wówczas dopiero po trzydziestce, którzy zmarli za sprawą tego specyfiku w roku 1895.

Ale to nie wszystko, rzekł młodzieniec. Jeszcze jedną ofiarą, znacznie bliższą Barbeaux, był jego syn.

Młodzieniec wyjaśnił, że eliksir spowodował zmiany epigenetyczne w rodowodzie Barbeaux, które ujawniły się kilka pokoleń później – po ponad stu latach zabiły Johna juniora.

Wtedy młodzieniec przeszedł do prawdziwego powodu swojego przybycia. Rodzina Pendergastów wciąż istniała w postaci niejakiego Aloysiusa Pendergasta, agenta specjalnego FBI, który nie tylko żył, ale miał się świetnie dzięki majątkowi zbitemu przez Hezekiaha na zabójczym eliksirze.

Młodzieniec wyjawiał Barbeaux, dlaczego składa mu wizytę. Powiedział, że nazywa się Alban... i jest synem agenta specjalnego Pendergasta.

Opowiedział mu mrozącą krew w żyłach historię, a potem zaproponował przeprowadzenie złożonego, osobliwego, ale satysfakcjonującego planu.

Jeszcze jedno, rzekł Alban. Słowa te rozbrzmiały echem w głowie Barbeaux. Możesz poczuć nieodpartą pokusę, żeby dopaść także mnie, a tym samym wyeliminować kolejnego Pendergasta. Ostrzegam cię jednak, byś nie podejmował nieroztropnych kroków. Dysponuję niezwykłymi umiejętnościami, które wykraczają poza twoje zdolności pojmwania. Powinieneś zadowolić się moim ojcem. To on jak pasożyt żeruje na fortunie po Hezekiaha. Po czym zostawił mu obszerny pakiet dokumentów potwierdzających jego słowa i zawierający podstawowe zarysy planu... i rozpląnął się jak duch w ciemnościach nocy.

Barbeaux uznał wzmiankę o niezwykłych umiejętnościach za przejaw zuchwałości i buty młodzieńca. Posłał za Albanem swoich dwóch znakomitych, doświadczonych ludzi. Jeden wrócił z wybitym okiem, drugiego znaleziono z poderżniętym gardłem. To wszystko Alban zrobił im rozmyślnie i niespiesznie w miejscu objętym monitoringiem kamer ochrony Barbeaux.

Dysponuję niezwykłymi umiejętnościami, które wykraczają poza twoje zdolności pojmwania. Rzeczywiście miał niezwykle zdolności. Ale nie wykraczały one poza zdolności pojmwania Barbeaux. I tu akurat Alban popełnił fatalny w skutkach błąd.

Historia, którą Alban opowiedział Barbeaux, wydawała się zbyt dziwna, by mogła być prawdziwa. Jednak w miarę jak Barbeaux przeglądał przekazane mu dokumenty i poznawał historię rodziny oraz symptomy, jakie ujawniły się u jego syna, a zwłaszcza gdy zlecił przeprowadzenie badań krwi, zrozumiał, że to wszystko mogło być prawdą. Doznał olśnienia, które zmieniło jego smutek w nienawiść, a nienawiść w obsesję.

Z kieszonki na piersiach jego marynarki dobiegł sygnał komórki. Odwracając wzrok w kierunku Mount Mercy, Barbeaux wyłuskał aparat.

– Tak? – powiedział.

Słuchał przez minutę. Kłykcie zaciśnięte na komórce zbieleły. Na twarzy pojawił się wyraz szoku.

– Chcesz powiedzieć – przerwał – że nie tylko wie, co się stało, ale zamierza również przedsięwziąć kroki, by temu zapobiec?

Znów słuchał, tym razem dłużej, co ma mu do powiedzenia głos na drugim końcu łącza.

– W porządku – powiedział. – Wiesz, co robić. I musisz działać szybko, bardzo szybko.

Rozłączył się i wybrał inny numer.

– Richard? Czy grupa operacyjna jest gotowa? To dobrze. Mamy nowy cel. Chcę, żebyś wyprawił ich do Nowego Jorku w trybie pilnym. Tak, natychmiast. Muszą być w powietrzu w ciągu pół godziny.

Zakończył połączenie, wsunął komórkę z powrotem do kieszeni, odwrócił się i pośpiesznie opuścił cmentarz.

Była szósta wieczorem, gdy Constance Greene wróciła z posterunku policji do rezydencji przy Riverside Drive. Weszła frontowymi drzwiami i z korytarza refektarzowego udała się do wyłożonej marmurami sali głównej. Wewnątrz panowała cisza, jeśli nie liczyć delikatnych odgłosów jej kroków. Posiadłość wydawała się opuszczona. Proctor wciąż dochodził do siebie w szpitalu. Pani Trask była w kuchni, a doktor Stone zapewne czuwał przy Pendergaście w jego pokoju.

Przeszła wzdłuż ozdobionego gobelinami korytarza, mijając marmurowe nisze, które w regularnych odstępach pojawiały się wśród ścian pokrytych różowymi tapetami. Wspięła się po schodach, stąpając miękko, by stare deski nie zaskrzypiały głośnie. Następnie podążyła długim korytarzem na piętrze, obok wielkiego, ohydneho, wypchanego niedźwiedzia polarnego, i dotarła do drzwi po lewej stronie. Dotknęła dłonią klamki. Zacerpnąwszy powietrza, nacisnęła klamkę i pchnięciem otworzyła drzwi. Ze stojącego przy nich krzesła bezgłośnie podniósł się doktor Stone. Zirytowała ją jego obecność, jego kretyński ubiór, żółty fularowy krawat i okulary w szylkretowych oprawkach, a zwłaszcza to, że nie był w stanie uczynić dla jej opiekuna nic więcej oprócz zapewnienia mu opieki paliatywnej. To było niesprawiedliwe, zdawała sobie z tego sprawę, ale nie miała nastroju na konwenanse.

– Chciałabym zostać z nim przez chwilę sam na sam, doktorze.

– On śpi – odparł, wychodząc.

Zanim stan Pendergasta się pogorszył, Constance rzadko przestępowała próg jego prywatnej sypialni. Nawet teraz, stojąc tuż przy wejściu, rozejrzała się dokoła z zaciekawieniem. Pokój nie był duży. Słabe światło płynęło z przemyślnie urządzonych wąskich wnęk pod sufitem i pojedynczej lampy od Tiffany'ego stojącej na szafce nocnej; nie było tu okien. Tapeta w odcieniach burgunda i czerwieni, z subtelnym wzorem lilii. Na ścianie

wisiał kilka dzieł sztuki: niewielkie studium do *Chłopca z koszem owoców* Caravaggia, pejzaż morski Turnera, akwaforta Piranesiego. Na regale stały trzy rzędy starych, oprawnych w skórę woluminów. W pokoju znajdowały się też muzealne eksponaty, które, zamiast tkwić w gablotach, służyły na co dzień: w rzymskim szklanym dzbanie była woda mineralna, kandelabr z czasów Bizancjum zawierał sześć białych niezapalonych jeszcze świec. Kadzidło palące się w starym egipskim fajansowym naczyniu wypełniało powietrze ciężkim aromatem w skazanej na niepowodzenie próbie zabicia woni, która dzień i noc wypełniała nozdrza Pendergasta. Stojak na kroplówkę, wykonany ze stali nierdzewnej, miał podwieszony woreczek z roztworem soli fizjologicznej i przedmiot ten ostro kontrastował z resztą wyposażenia pokoju.

Pendergast leżał na łóżku w bezruchu. Jego jasne włosy, pociemniałe od potu, odcinały się wyraźnie na tle śnieżnobiałych poduszek. Skóra jego twarzy miała barwę porcelany i była niemal równie przezroczysta, widać było pod nią mięśnie i kości, prześwitywały też niebieskawe żyłki na czole. Oczy miał zamknięte.

Constance podeszła do łóżka. Kroplówka z morfiną została zaprogramowana tak, żeby aplikować miligram środka uśmierzającego co piętnaście minut. Doktor Stone, jak zauważyła Constance, ustawił maksymalną dawkę na sześć miligramów na godzinę; ponieważ Pendergast nie chciał, by opiekowała się nim pielęgniarka, istotne było, żeby nie zaaplikował sobie zbyt dużej ilości środków farmakologicznych.

– Constance.

Szept Pendergasta zaskoczył ją. A więc nie spał. Może obudziły go jej ruchy, choć starała się zachowywać jak najciszej.

Podeszła i usiadła u wezgłowania jego łóżka. Przypomniała sobie, że tak samo siedziała w pokoju Pendergasta w szpitalu w Genewie zaledwie trzy dni temu. Gwałtowne pogorszenie jego stanu zdrowia przeraziło ją do głębi. Jednak widać było, że mimo słabości cały czas walczył, nie chcąc dopuścić, by ból i szaleństwo owdądęły nim bez reszty.

Zauważyła, że wsunął rękę pod koc i zaraz ją wyjął. Trzymał w dłoni kartkę papieru. Uniósł ją drżącą.

– Co to jest?

Zdziwił ją lodowaty chłód i gniew w jego głosie.

Wzięła od niego świstek i rozpoznała listę składników, którą sama sporządziła. Zostawiła ją na stole w bibliotece, która dla niej i Margo stała się czymś w rodzaju pokoju narad. Chyba popełniła błąd.

– Hezekiah opracował antidotum, próbując ocalić żonę. Staramy się je odtworzyć dla ciebie.

– My? My, czyli kto?

– Margo i ja.

Przymrużył lekko powieki.

– Zabraniam.

Spojrzała na niego surowo.

– Nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia.

Uniósł głowę z wysiłkiem.

– Popełniacie wielki błąd. Nie macie pojęcia, z kim się mierzycie. Barbeaux był w stanie zabić Albana. Pokonał mnie. I was z pewnością też zabije.

– Nie zdąży. Wybieram się dziś wieczorem do ogrodu botanicznego na Brooklynie, a Margo jest już w muzeum. Zbierzemy ostatnie brakujące składniki.

Jego oczy rozbłysły, gdy świdrował ją wzrokiem.

– Barbeaux albo ktoś od niego będzie czekać na ciebie w ogrodzie. A na Margo w muzeum.

– Niemożliwe – rzekła Constance. – Odkryłam tę listę dziś rano. Tylko Margo i ja ją widziałyśmy.

– Leżała w bibliotece na widoku.

– Barbeaux nie zdołałby dostać się do domu.

Pendergast oderwał głowę od poduszki, choć wiele go to kosztowało.

– Constance, ten człowiek jest diabłem wcielonym. Nie idź do ogrodu botanicznego.

– Przykro mi, Aloysiusie. Powiedziałam ci, że zamierzam walczyć do końca.

Pendergast zamrugał.

– Więc co tu jeszcze robisz?

– Chciałam się pożegnać. Na wypadek gdyby... – Nie dokończyła.

Pendergast z niemałym trudem spróbował podnieść się wyżej. Nadludzkim wysiłkiem podparł się na łokciu. Gdy popatrzył na Constance,

jego wzrok trochę się wyostrzył. Dłoń wsunęła się pod koc i znów pojawiła, tym razem ściskając czterdziestkępiątkę. Podał jej pistolet.

– Skoro nie chcesz posłuchać głosu rozsądku, przynajmniej weź to. Magazynek jest pełen.

Constance cofnęła się o krok.

– Nie. Przypomnij sobie, co się stało ostatnim razem, gdy próbowałam wystrzelić z pistoletu.

– Wobec tego przynieś mi telefon.

– Do kogo chcesz zadzwonić?

– Do D’Agosty.

– Nie. Proszę, nie. Spróbujcie nam przeszkodzić.

– Constance, na miłość boską! – Głos uwiązał mu w gardle. Pendergast powoli osunął się na białe prześcieradło. Wysilek bardzo go wyczerpał.

Constance zawahała się. Była wstrząśnięta i głęboko poruszona, że tak się dla niej poświęcał. Nie powinna dopuścić, żeby tracił resztki sił. Źle to rozegrała. Swoim uporem sprawiła, że za bardzo się ożywił, przez co naraził na śmiertelne niebezpieczeństwo. Wzięła głęboki oddech i postanowiła skłamać.

– Przekonałeś mnie. Nie pójdę do ogrodu. I odwołam Margo.

– Mam nadzieję, że mnie nie oszukujesz. – Popatrzył na nią, zniżając głos.

– Nie.

Wychylił się do przodu i resztką sił wyszeptał:

– Nie idź do ogrodu botanicznego.

Zostawiła go z telefonem i ciężko oddychając, wypadła na korytarz. Tam przystanąła, zastanawiając się gorączkowo.

Nie brała pod uwagę tego, że Barbeaux może czekać na nią w ogrodzie botanicznym. To była zaskakująca perspektywa, choć nie całkiem nieprzyjemna i niepożądana.

Będzie potrzebowała broni. Nie pistoletu, rzecz jasna, lecz czegoś, co jest bardziej... w jej stylu.

Przemknąwszy szybkim krokiem przez korytarz, zeszła po schodach do głównej sali i skręciła do biblioteki, poruszyła sekretną księgę i wślizgnęła się do windy, by zjechać do podziemi. Tam niemal biegiem dotarła do wykutych w kamiennym podłożu schodów prowadzących spiralnie na jeszcze niższy poziom, do spowitych cieniami, wypełnionych wonią kurzu

pomieszczeń.

Siedzący w poczekalni za ścianą doktor Stone usłyszał oddalające się kroki Constance. Wrócił do sypialni Pendergasta, wzdrygając się na myśl o tej dziwnej kobiecie. Choć Constance była obdarzona wspaniałym gustem, elegancją i niebywałą egzotyczną urodą, wydawała się zimna jak lód i co więcej, doktor nie miał wątpliwości, że coś z nią jest nie tak, miała w sobie coś, co sprawiało, iż po plecach przechodziły mu ciarki.

Został swojego pacjenta ponownie pogrążonego we śnie. Telefon wyslizgnął się Pendergastowi z rąk i leżał na pościeli. Doktor schylił się i spojrział na aparat, zastanawiając się, do kogo agent próbował zadzwonić; zobaczył, że z komórki nie wykonywano ostatnio żadnych połączeń, więc delikatnie ją wyłączył i odłożył na komódkę. A potem znów usiadł na krześle przy drzwiach, przygotowując się w duchu na długą, bardzo długą noc... zanim nadejdzie koniec.

Margo zdała sobie sprawę, że dostanie się do muzeum po godzinach otwarcia będzie dużym problemem. Podejrzała, że Frisby umieścił jej nazwisko na liście osób niepożądanych na bramce ochrony przy głównym wejściu, jedynym, z którego korzystali wchodzący i wychodzący z placówki po jej zamknięciu. Dlatego postanowiła ukryć się w muzeum i poczekać do jego zamknięcia. Zdobędzie to, po co przyszła, a potem przejdzie przez bramkę ochrony nonszalancko, tłumacząc, że przysnęła w laboratorium.

Gdy zbliżała się pora zamknięcia, Margo, udając zwiedzającą, udała się do najodleglejszych i najrzadziej odwiedzanych sal. Czuła ucisk w piersiach, z trudem oddychała. Gdy strażnicy zaczęli obchód, zapraszając gości do wyjścia, ukryła się w łazience; weszła do kabiny i wspięła się na klapę toalety, w myślach zmuszając się do całkowitego rozluźnienia. Wreszcie około szóstej zapadła zupełna cisza. Margo chyłkiem wymknęła się z łazienki.

Na korytarzach było praktycznie pusto, słyszała jednak echo kroków rozbrzmiewających na marmurowych posadzkach, gdyż ochrona kontynuowała rutynowy obchód sal. Było to jak sygnał wczesnego ostrzegania pozwalający jej uniknąć spotkania z nimi. Kierowała się w stronę jedyne miejsce, gdzie ochrona zwykle nie zaglądała – do wnęki brzuchonogów.

Czy naprawdę zamierza to zrobić? Czy będzie w stanie? Dodawała sobie sił, wspominając słowa Constance: *Te rośliny są niezbędne, jeżeli chcemy mieć nadzieję na ocalenie Pendergasta.*

Wślizgnęła się do niszy i ukryła w głębi, w najdalszym kącie. Aż się wzdrygnęła, gdy zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie tutaj musiał się ukrywać zabójca Marsali. Zgodnie z jej przewidywaniami strażnicy mijali wnękę mniej więcej co pół godziny, ale żaden nawet nie pokwapił się, żeby zajrzeć i poświecić latarką do środka. Żadna zbrodnia nie zdarzała się dwa razy w tym samym miejscu – powrócono do *status quo ante delicti*. Od czasu

do czasu przechodził obok zmierzający ku wyjściu pracownik muzeum, ale około dziewiątej zrobiło się niemal całkiem pusto. Z pewnością w swoich laboratoriach i gabinetach pracowało kilku kustoszów, ale szanse na wpadnięcie na któregoś z nich były niewielkie.

Na samą myśl o tym, co miała zrobić, dokąd miała się udać, serce w piersi Margo załomotało. Miała zejść do jedyne miejsce, które przerażało ją jak żadne inne, które sprawiało, że budziła się w środku nocy zrana zimnym potem i które zmuszało ją do tego, by zawsze wchodziła do muzeum z buteleczką xanaxu w torebce. Zastanawiała się, czy nie wziąć tabletki na uspokojenie, ale ostatecznie tego nie zrobiła, bo musiała zachować trzeźwy umysł. Zaczęła oddychać powoli, głęboko, regularnie, zmuszając umysł, by skupił się na drobnych czynnościach, nie na wykonaniu całego planu. Musiała działać krok po kroku, z rozmysłem.

Kolejna seria długich regularnych oddechów. Pora iść.

Gdy tylko obok niszy przeszedł strażnik, przekradła się w głąb korytarza do najbliższej windy towarowej i użyła karty. Co prawda jej karta miała ograniczony dostęp, a w dodatku Frisby wysłał mail z żądaniem, aby Margo ją zwróciła, ponieważ jednak tę wiadomość otrzymała po południu, uznała, że odczeka co najmniej jeden dzień, zanim podporządkuje się żądaniom tego pompatycznego bufona.

Winda skrzypiała i postękiwała, zjeżdżając do magazynów piwnicznych budynku numer sześć, jak je powszechnie nazywano, co było swoistym anachronizmem, gdyż wszystkie budynki składające się na muzeum tworzyły obecnie jeden wielki kompleks przypominający labirynt. Drzwi otworzyły się. W powietrzu rozeszła się znajoma woń naftaliny, pleśni i martwych od dawna istot. Wdarła się do nozdrzy Margo, podsycając jej niepokój i przypominając o zdarzeniu, kiedy w tych samych korytarzach umykała przed ścigającym ją prześladowcą.

Ale to było dawno temu i przypuszczalnie wszystkie te lęki można było sklasyfikować jako fobie. Tu na dole nie było obecnie niczego, co mogłoby jej zagrozić, poza być może zabłąkanym pracownikiem muzeum domagającym się, by okazała przepustkę i identyfikator.

Wzięła jeszcze kilka głębokich oddechów i wysiadła z windy. Otworzyła drzwi do piwnic budynku numer sześć i przeszła cicho przez długie, tonące w półmroku korytarze oświetlone słabymi żarówkami w drucianych

osłonach w stronę, gdzie przetrzymywano zbiory botaniczne.

Jak dotąd nieźle. Włożyła kartę do otworu w poobijanych metalowych drzwiach, za którymi przechowywano sławne kolekcje botaniczne, i przekonała się, że karta wciąż działa. Drzwi miały dobrze naoliwione zawiasy. Pokój za nimi był ciemny, więc Margo wyjęła z torby mocną ledową czołówkę, nałożyła ją i weszła do środka. Z mroku na wprost niej wyłoniły się ciemne szafki znikające hen w ciemnościach, zatechłe powietrze było przesycone wonią naftaliny.

Przystanęła, a serce dudniło jej w piersiach tak mocno, że prawie nie mogła oddychać; stłumiła jednak napad irracjonalnego strachu. Pomimo tego, co sobie stale powtarzała, woń, przyprawiająca o klaustrofobię ciemność i dziwne odgłosy znów wzbudziły w niej panikę i chwytający za gardło lęk. Przystanęła, by zaczerpnąć kilka oddechów na uspokojenie i przewyciężyć strach zdroworoządkową logiką.

Krok po kroku. Zebrała się w sobie i zrobiła najpierw jeden, potem drugi krok w ciemność. Musiała zamknąć drzwi, nierozsądnie byłoby zostawiać je otwarte. Odwróciła się i przymknęła je, odcinając dopływ resztek światła z korytarza.

Rozejrzała się dokoła. Skarbiec Herbarium znajdował się na drugim końcu sali. Wokół niej wznosiły się półki z zakonserwowanymi w płynach roślinami – tak zwana mokra kolekcja; w miarę jak wąskie przejścia rozchodziły się w dwóch kierunkach, wszystko rozplywało się w mroku.

Ruszaj, powiedziała do siebie. Wybrała przejście po lewej. Przynajmniej znajdujące się tu okazy nie wyłaniały się nagle z ciemności jak szkielety dinozaurów albo wypchanych zwierząt w innych salach magazynowych. Kolekcja botaniczna nie budziła przerażenia.

A jednak monotonia tego miejsca, wąskie przejścia wyglądające jednakowo i błyszczące buteleczki, które niekiedy sprawiały wrażenie, jakby z ciemności łypały na nią świecące oczy, nie umniejszały ani trochę przepęlniającego ją lęku.

Przemaszerowała szybko wąskim przejściem, skręciła w prawo, przeszła kawałek, skręciła w lewo, potem jeszcze raz w prawo, kierując się ku przeciwległej narożnej części sali. Czemu te pomieszczenia magazynowe zaprojektowano tak chaotycznie? I nagle przystanęła. Usłyszała coś. Z początku zagłuszył to odgłos jej kroków, ale była pewna, że coś usłyszała.

Czekała, nasłuchując i wstrzymując na moment oddech. Ale jej uszu dobiegło jedynie ciche skrzypienie i stukanie wywołane osiadaniem budynku lub działaniem wentylacji.

Jej niepokój narastał. Jak ma iść dalej? Lęk sprawił, że zapomniała, w którą stronę powinna teraz skręcić. Gdyby się pogubiła w tym labiryncie... Szybko wybrała jedno z przejść, a gdy doszła do ściany magazynu, zorientowała się, że był to właściwy kierunek; znalazła się w przeciwległym narożniku sali.

I było tam to, czego szukała: skarbiec. Wyglądał jak stary skarbiec bankowy – i zapewne faktycznie nim był, choć obecnie odgrywał zupełnie inną rolę. Był pomalowany na oliwkowo i miał duże koło i klawiaturę numeryczną, nad którą błyskała czerwona lampka. Margo odetchnęła z ulgą i wystukała ciąg cyfr, który odnalazła w gabinecie Jörgensena.

Światelko nad klawiaturą zmieniło się na zielone. Dzięki Bogu. Zakręciła kołem i otworzyła ciężkie drzwi. Zaglądając do środka, rozejrzała się dokoła przy świetle czołówki. Pomieszczenie było nieduże, wielkości dwóch i pół na trzy metry, ze stalowymi półkami rozmieszczonymi wzdłuż trzech ścian. Popatrzyła na ciężkie drzwi. Nie ma mowy, by je zamknęła, ryzykując, że zatrzaśnie się w środku. Ale powinna je przynajmniej przymknąć. Na wypadek gdyby ktoś zajrzał do pomieszczenia magazynowego, co samo w sobie wydawało się mało prawdopodobne.

Wślizgnęła się do środka, przymykając drzwi tak, by pozostawić kilkunastocentymetrową szczelinę.

Tłumiąc panikę i upominając się, że powinna działać krok po kroku, Margo skupiła uwagę na odręcznie wykonanych podpisach przy każdej z półek, przepatrując je w świetle czołówki. Jeżeli chodzi o uporządkowanie, było z tym różnie, jedne podpisy odręczne, zrobione tuszem, zaczęły już blaknąć i zanikać, ale były też nowsze, wykonane z użyciem drukarki laserowej. Na drugim końcu skarbcza, za półkami dostrzegła parę stojących pod ścianą starych dmuchawek, jak można się było domyślać po ozdobach, zapewne pochodzących od plemion indiańskich z regionu Gujany lub Amazonii. Przy jednej z dmuchawek wisiał nieduży kołczan z ozdobionego koralikami bambusa, zawierający kilka strzałek. Zastanawiała się, co tu robią te przedmioty – trucizna używana przez większość plemion do smarowania czubków strzałek nie pochodziła od roślin, lecz od żab. Domyślała się jednak, że zamknięto je w skarbcu właśnie z powodu trucizny.

Powróciła do przeglądania etykiet i szybko znalazła półkę oznaczoną napisem „Mykoheterotrofy”, po czym wysunęła znajdującą się pod nią metalową szufladę. Były w niej rzędy rozmaitych okazów posegregowanych niemal jak akta w szafce archiwum. Stare zasuszone rośliny wypreparowane wiele lat temu były przymocowane do arkuszy pożółkłego papieru zaopatrzonego w stosowne podpisy. Z kolei szare arkusze zabezpieczono dwiema taflami specjalnego wzmocnionego szkła. Nie było ich wiele i niespełna minutę później odnalazła *Thismia americana*.

Szło jej zaskakująco dobrze. Jeśli zdoła opanować strach, powinna opuścić budynek muzeum w ciągu dziesięciu minut. Zorientowała się, że jest cała spocona, i nie potrafi zapanować nad rozkołatanym sercem, ale przynajmniej taktyka pojedynczych kroków pozwalała jej zachować rozsądek.

Były trzy płyty z arkuszami *Thismia americana*: jedna zawierająca kilka podziemnych kłączy, jedna z próbkami nadziemnej części rośliny i ostatnia z kwiatami oraz nasionami.

Margo przypomniała sobie słowa Jörgensena. *Nigdy nie pozwoliłbym na zniszczenie okazu wymarłej, niewystępującej już w środowisku naturalnym rośliny, ostatniej ze swojego gatunku, w celu wykorzystania jej do jednorazowego podania w formie leku. Jaką wartość ma jedno ludzkie życie w zestawieniu z ostatnim okazem rośliny, która nigdzie nie istnieje?* Spojrzała na roślinę ozdobioną małym białym kwiatem. Nie mogła zgodzić się z poglądem zdradzającym taką niechęć do ludzi. Może nie potrzebowała wszystkich trzech okazów, ale postanowiła, że i tak je zabierze.

Wsunęła je ostrożnie do torby, następnie zapięła torbę i przewiesiła przez ramię. Z wielką ostrożnością zgasiła czołówkę i otworzyła szerzej drzwi skarbca. Wychyliła się w ciemność, nasłuchując z uwagą. Gdy uznała, że wokół panuje zupełna cisza, wyszła ze skarbca, macając przed sobą dłońmi, zamknęła metalowe drzwi, a potem zakręciła kołem; zielone światelko automatycznie zmieniło się na czerwone.

Gotowe! Odwróciła się i zapaliła czołówkę.

Ujrzała niewyraźny kształt stojącego przed nią mężczyzny. A zaraz potem rozblęsnęło jasne światło, które ją oślepiło.

D'Agosta wstał od biurka i przeciągnął się. Po godzinach siedzenia na prostym drewnianym krześle bolały go plecy, a prawe ucho tępo pulsowało od przykładanej do niego słuchawki telefonu.

Miał wrażenie, że spędził wiele godzin, rozmawiając z biurem prokuratora okręgowego, by uzyskać nakaz sprowadzenia Johna Barbeaux na przesłuchanie. Prokurator nie podzielił jednak jego punktu widzenia i stwierdził, że nie widzi podstaw do tego rodzaju działania, zwłaszcza wobec ludzi pokroju Barbeaux, który natychmiast uruchomiłby zastępy prawników, a ci urządziliby policji i prokuraturze prawdziwe piekło.

D'Agoście wydawał się oczywisty ciąg następujących wydarzeń: Barbeaux wynajął Howarda Rudda, by udawał fałszywego doktora Jonathana Waldrona, który z kolei wykorzystał Victora Marsalę, żeby uzyskać dostęp do szczątków nieżyjącej od dawna pani Padgett. Barbeaux potrzebował kości z jej szkieletu do przeprowadzenia analizy wstecznej komponentów eliksiru Hezekiaha Pendergasta, by zsyntetyzować tę miksturę i wykorzystać ją przeciwko Pendergastowi. D'Agosta był pewien, że gdy tylko ciało Albana zostało podrzucone pod drzwi rezydencji Pendergasta, uruchamiając w ten sposób cały plan, Rudd zabił Marsalę, by pozbyć się niewygodnego świadka – zwabił technika w ustronne miejsce w muzeum pod pretekstem wypłacenia mu pieniędzy czy coś takiego. Dla D'Agosty było również oczywiste, że Barbeaux posłużył się później Ruddem, by zwabić Pendergasta do pomieszczenia w Salton Fontainebleau, gdzie usypiano gazem dzikie zwierzęta z tamtejszego zoo i gdzie wykorzystując starą instalację, zaaplikowano agentowi rozpylony eliksir. A wszystko w zemście za to, że Hezekiah otruł pradziadków Barbeaux i był winny śmierci jego syna.

Chociaż nie miał pewności, podejrzewał, że Barbeaux wynajął Rudda trzy lata temu, spłacając jego długi hazardowe, dając mu nową twarz i tożsamość i zatrzymując w roli anonimowego likwidatora, którego mógł

wykorzystywać do brudnej roboty, bo wiedział, że tamten będzie wobec niego absolutnie lojalny z obawy o życie swojej żony. Tak, to miało sens.

Prokurator okręgowy zbył jego wyjaśnienia, z trudem skrywając pogardliwy ton, nazywając je teoriami spiskowymi, spekulacjami i niepotwierdzonymi wymysłami pozbawionymi podstaw medycznych.

D'Agosta przez większą część wieczoru wydzwaniał do różnych ekspertów z dziedziny botaniki i farmacji w poszukiwaniu danych medycznych. Szybko jednak zrozumiał, że aby wyciągnąć jakiegokolwiek wnioski, potrzebne są długotrwałe testy, analizy i badania.

Musiał być jakiś sposób na pozyskanie dowodów wystarczających do sprowadzenia Barbeaux na posterunek na dostatecznie długo, by Margo i Constance zdążyły zrobić swoje.

Prawdopodobna przyczyna. Niech to szlag. Musiał być gdzieś jakiś dowód, który przeoczono, a który sugerowałby, że Barbeaux ma coś na sumieniu. Sfrustrowany D'Agosta wstał od biurka. Była dziewiąta, musiał odetchnąć świeżym powietrzem, przejść się trochę, żeby otrzeźwić umysł. Włożył marynarkę, podszedł do drzwi, zgasił światło i ruszył w głąb korytarza. Po kilku krokach zatrzymał się. Może Pendergast miałby pomysł, jak można przycisnąć Barbeaux? Ale agent był zbyt słaby na takie rozmowy. Stan Pendergasta przepełniał D'Agostę gniewem i uczuciem bezsilności.

Gdy wyszedł z gabinetu, przystanął. Akta Marsali znajdowały się w pokoju obok; powinien jeszcze raz je przejrzeć, aby upewnić się, że niczego nie przeoczył. Wszedł więc do pomieszczenia, gdzie składowano nadmiar papierów.

Zapalił światło i zaczął przeszukiwać sterty teczek leżące na stole konferencyjnym i pod ścianami. Zamierzał przejrzeć wszystko, co było związane z Howardem Ruddem. Może Barbeaux był jakoś powiązany z Gary w Indianie i można by...

Znieruchomiał. Jego wzrok zatrzymał się na stojącym w pokoju jedynym koszu na śmieci. Była w nim tylko jedna rzecz – zmięte opakowanie po lukrecji.

Okropna lukrecja, którą zjadał się Slade. Co on tu robił, u licha?

D'Agosta wziął głęboki oddech, jeden, potem drugi. To było tylko opakowanie po lukrecji, i tak, Slade miał dostęp do tych akt. Mógł tu wejść, żeby coś sprawdzić w papierach. D'Agosta nie potrafił powiedzieć dlaczego,

ale nagle włączył się jego instynkt gliniarza. Znow rozejrzył się dokoła, tym razem uważniej. Pod ścianami stały szafki archiwizacyjne i pudła z aktami. Teczki były tam, gdzie je zostawił. Co prawda Slade powinien się z nim skontaktować, ale może Angler tego nie chciał. Ten facet najwyraźniej nie przepadał za Pendergastem, a D'Agosta był przyjacielem agenta i wszyscy o tym wiedzieli.

Sięgał już po akta Rudda, gdy jego uwagę zwróciły drobiny gipsowego pyłu na dywanie przy ścianie, za którą znajdował się jego gabinet. Podszedł do ściany i odsunął od niej pudła. Tuż nad listwą przypodłogową był w niej wywiercony niewielki otwór.

Ukląkł i przyjrzał się uważniej, dotykając dziury palcem. Miała nieco ponad centymetr średnicy. Wsunął do środka wyprostowany spinacz do papieru i w którymś momencie natrafił na opór – drut nie przeszedł na wylot.

Ponownie powiódł wzrokiem do gipsowego pyłu na dywanie. Tę dziurę wywiercono niedawno.

Papierek po lukrecji, świeżo wywiercony otwór... takie rzeczy niekoniecznie musiały być ze sobą powiązane. Nagle D'Agosta przypomniał sobie, że Slade omyłkowo umieścił w niewłaściwym folderze ważną informację dotyczącą Barbeaux nadesłaną przez policję z Albany.

Czy naprawdę trafiła na biurko Anglera, czy Slade w ogóle mu ją pokazał, zanim włożył notatkę do niewłaściwego folderu?

Albany. Jeszcze jedna sprawa. Czy Slade nie wspomniał, że Angler wyjechał odwiedzić krewnych na północy stanu?

D'Agosta wrócił do swojego gabinetu i nie zapalając światła, wpisał hasło do komputera, po czym wyszukał akta osobowe pracowników wydziału zabójstw. Odnalazłszy akta Petera Anglera, przeszukał rozległe archiwum z informacjami o bliższych i dalszych krewnych; do podania adresów całej rodziny byli zobowiązani wszyscy funkcjonariusze nowojorskiej policji. No i proszę: siostra Anglera Marjorie mieszkała przy Rowan Street 2007 w Colonie w stanie Nowy Jork.

Sięgnął po telefon i wybrał numer widoczny na ekranie komputera. Odebrano po trzecim sygnale.

– Halo? – rozległ się kobiecy głos.

– Czy mówię z Marjorie Angler? Nazywam się Vincent D'Agosta. Jestem

porucznikiem z policji nowojorskiej. Zastałem porucznika Anglera?

– Nie. Nie było go tutaj.

– Kiedy ostatni raz pani z nim rozmawiała?

– Niech pomyślę... ze cztery, pięć dni temu.

– Czy mogę wiedzieć, o czym państwo rozmawiali?

– Mówił, że wybiera się na północ stanu. Chodziło o jakieś śledztwo, nad którym pracował. Mówił, że czas go goni, ale spodziewał się, że mnie odwiedzi w drodze powrotnej do Nowego Jorku. Jednak się nie pojawił, pewnie jak zwykle był zawałony robotą.

– Mówił, dokąd się wybiera?

– Tak. Do Adirondack. Coś się stało?

– Nic o tym nie wiem. Bardzo dziękuję za pomoc, pani Angler.

– Nie ma za co... – padło w odpowiedzi, ale D'Agosta już się rozłączył.

Oddech miał przyspieszony. Adirondack. Siedziba Red Mountain Industries.

Kilka dni temu Angler był w drodze do Adirondack. Dlaczego nie wrócił do Nowego Jorku? Najwyraźniej zniknął. Dlaczego Slade skłamał? A może Slade się pomylił? Albo nie znał prawdy? No i ten otwór... dokładnie taki, jaki trzeba wywiercić, by umieścić w nim miniaturowy mikrofon.

Czy to Slade schował w ścianie jego gabinetu mikrofon, jakiego używa się do podsłuchów? Jeżeli tak, to musiał znać treść jego rozmów telefonicznych. I bez wątpienia usłyszał też rozmowę Margo i Constance.

Otwór był pusty. Mikrofon zniknął. To oznaczało, że podsłuchujący uznał, iż ma już wszystkie informacje, jakich potrzebował.

To wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe: Slade był brudnym gliniarzem. Dla kogo pracował? Odpowiedź mogła być tylko jedna: dla Barbeaux.

Nieokreślone obawy, że Barbeaux w jakiś sposób spróbuje zagrozić lub przeszkodzić Margo i Constance, nabrały bardziej wymiernego charakteru. Barbeaux musiał wiedzieć to, co wiedział Slade, czyli praktycznie wszystko. A zwłaszcza to, że Margo i Constance wybierają się do muzeum, żeby ukraść stamtąd okazy rośliny.

D'Agosta znów sięgnął po telefon i nagle zawahał się, myśląc intensywnie. Znalazł się w trudnym położeniu. Oskarża kolegę po fachu, że jest skorumpowany – oby okazało się, że ma rację.

Czy Slade faktycznie był brudnym, skorumpowanym gliniarzem? Chryste, dysponował jedynie papierkiem po lukrecji i dokumentem, który znalazł się nie tam, gdzie powinien. To niedużo jak na dowody mające zniszczyć czyjąś karierę.

Co gorsza, nie mógł wezwać posiłków. Jego przełożeni uznaliby go za wariata – miał mniej dowodów na nieuczciwość Slade'a niż informacji, jakie udało mu się zgromadzić na Barbeaux, a przecież zostały odrzucone przez prokuratora okręgowego. Nie miał wyjścia – musiał sam pójść w ślad za Margo i Constance do muzeum. Może miał rację, może się mylił, ale tak czy inaczej musiał działać – i to szybko. Bo jeżeli rzeczywiście miał rację, konsekwencje były niewyobrażalne.

Wybiegł z gabinetu i pognął w stronę windy.

Margo znieruchomiała, sparaliżowana oślepiającym światłem.

– Proszę, proszę, czemu mnie to nie dziwi?

Zza źródła światła dobiegł głos Frisby'ego.

– Wyłącz tę przeklętą lampę. Wyglądasz jak górnik dołowy.

Margo wykonała polecenie.

– No i mam cię, przyłapałem cię na gorącym uczynku, jak kradniesz najcenniejsze okazy w całym naszym herbarium. – W głosie brzmiał triumf.

– To nie jest wewnętrzna sprawa muzeum, doktor Green. To przestępstwo, którym zajmie się policja. Trafisz za kratki na długo... jeżeli nie na zawsze.

Frisby opuścił latarkę i teraz dobrze widoczny spoza światła wyciągnął do niej rękę.

– Oddaj mi torbę.

Margo zawahała się. Co on tu robił, u licha? Skąd mógł wiedzieć?

– Oddawaj torbę albo odbiorę ci ją siłą.

Popatrzyła w lewo i w prawo, szukając drogi ucieczki, ale masywna sylwetka Frisby'ego blokowała cały korytarz. Musiałaby go przewrócić, a był piętnaście centymetrów wyższy od niej.

Postąpił groźnie krok w jej stronę i zdała sobie sprawę, że nie ma wyboru. Podała mu torbę. Otworzył ją, wyjął jedną ze szklanych płyt i odczytał donośnym tonem:

– *Thismia americana*.

Ostrożnie odłożył okaz do torby.

– Przyłapano na gorącym uczynku. Już po tobie, doktor Green. Jesteś skończona. Powiem ci, co się teraz stanie.

Wyjął komórkę i uniósł w dłoni.

– Zadzwoń na policję. Zostaniesz aresztowana. A ponieważ wartość okazów znacznie przekracza kwotę pięciu tysięcy dolarów, zostaniesz oskarżona o przestępstwo typu C, włamanie drugiego stopnia, za co grozi ci

do piętnastu lat więzienia.

Margo słuchała, ale prawie nie rozumiała, co Frisby do niej mówi. Była zdruzgotana, ponieważ oznaczało to nie tylko jej koniec, lecz także śmierć Pendergasta.

Przeszukał resztę torby, przyświecając sobie latarką.

– Nie ma broni. Szkoda.

– Doktorze Frisby – powiedziała beznamiętnym tonem Margo. – Co pan właściwie ma do mnie?

– Niby ja mam coś do ciebie? – Jego oczy rozszerzyły się w ironicznym grymasie i zaraz potem zwężyły. – Same kłopoty z tobą. Wywołujesz zamęt na moim wydziale, kręcąc się to tu, to tam. Wszędzie cię pełno. Utrudniasz dochodzenie, zachęcając, by policja wzięła pod lupę cały nasz personel. A teraz w nagrodę za moją szczodrość, za to, że pozwoliłem ci uzyskać dostęp do zbiorów naszego muzeum, najnormalniej w świecie bezczelnie kradniesz. Ależ skąd, nic do ciebie nie mam.

Z lodowatym uśmiechem wstukał policyjny numer alarmowy, trzymając komórkę tak, by Margo mogła widzieć, co robi. Odczekał chwilę, po czym zmarszczył brwi.

– Cholerne automatyczne połączenie.

– Proszę posłuchać – wykrztusiła Margo. – Chodzi o ludzkie życie...

– Och, na miłość boską, oszczędź mi tych żalosnych wymówek. Wycięłaś Jörgensenowi paskudny numer, nieźle się wkurzył. Wpadł do mojego gabinetu, aż przestraszyłem się, że zaraz dostanie zawału. Kiedy usłyszałem, że byłaś w jego biurze i żądałaś dostępu do rzadkiej rośliny należącej do wymarłego gatunku, zorientowałem się, że coś kombinujesz. Co zamierzałaś z nią zrobić? Sprzedać na aukcji temu, kto zaoferuje najwyższą cenę? Dlatego przyszedłem tutaj, usiadłem na krześle w najdalszym kącie i czekałem na ciebie. – W jego głosie pojawiła się nuta satysfakcji. – I oto jesteś jak na zawołanie!

Uśmiechnął się triumfalnie.

– A teraz zaprowadzę cię do stanowiska ochrony, gdzie zaczekamy na przybycie policji.

Przez głowę Margo przeleciało tysiąc myśli. Mogła uciec, mogła wyrwać torbę, przewrócić Frisby'ego i rzucić się do ucieczki, mogła próbować go ubłagać, przekonać, żeby zmienił zdanie, mogła starać się go przekupić... Ale

nic z tego nie zapewniało najmniejszej szansy na powodzenie. Miała przerąbane, to koniec. Pendergast umrze.

Przez chwilę patrzyli na siebie nawzajem. Z wyrazu twarzy Frisby'ego Margo wyczytała, że nie może oczekiwać po nim litości.

I nagle wyraz triumfu na twarzy Frisby'ego zmienił się – z początku zastąpiło go zdumienie, a potem szok. Oczy wyszły mu z orbit, wargi zacisnęły się. Otworzył usta, ale nie wypłynął z nich głos, a jedynie dziwny gardłowy charkot. Upuścił latarkę, która uderzyła o kamienną posadzkę i zgasła, pogrążając pomieszczenie w ciemnościach. Margo instynktownie wyrwała swoją torbę z pozbawionych czucia palców. Po chwili usłyszała odgłos ciała Frisby'ego osuwającego się na podłogę.

Wtedy pojawiło się nowe źródło światła, ukazując sylwetkę mężczyzny, który stał za Frisbym. Postąpił naprzód i niemal kurtuazyjnym gestem oświetlił swoją twarz, a Margo zobaczyła niewysokiego, śniadego człowieka o ciemnych włosach i oczach, na którego ustach błąkał się cień uśmiechu.

Dokładnie w tej samej chwili, o dziewiątej piętnaście, pod rezydencję przy Riverside Drive zajechała miejska taksówka, zakręciła i zatrzymała się przy głównej bramie, z włączonym silnikiem pracującym na jałowym biegu.

Minęła minuta, dwie. Frontowe drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich Constance Greene ubrana w czarną plisowaną suknię z dodatkami w kolorze kości słoniowej. Przez ramię miała przewieszoną czarną torbę wojskową z nylonu balistycznego. W słabym świetle księżycy formalna, wręcz elegancka suknia wyglądała jak ubiór maskujący.

Constance nachyliła się do szyby od strony kierowcy, wyszeptała coś, otworzyła tylne drzwiczki, ostrożnie położyła torbę na siedzeniu i wsiadła do taksówki. Drzwiczki zamknęły się. Samochód opuścił podjazd i po chwili włączył się do niezbyt dużego wieczornego ruchu, kierując się na północ.

Doktor Horace Stone obudził się nagle w pokoju ze swoim pacjentem. Nie przepadał za typowymi zajęciami pielęgniarskimi, ale pacjent płacił mu wyjątkowo dobrze, a przypadek wydawał się nadzwyczajny, niezwykle, przez co fascynujący. Mógł napisać na ten temat frapujący artykuł do „JAMA”, oczywiście już po śmierci i autopsji pacjenta, gdy będzie można lepiej zdiagnozować jego zastanawiającą przypadłość.

Tak, będzie z tego świetny artykuł.

Zastanawiał się, co go obudziło. Pendergast otworzył oczy i świdrował go przenikliwym spojrzeniem.

– Mój telefon?

– Tak, proszę pana. – Stone wziął komórkę z komódki i mu podał.

Agent spojrzał na telefon, był bardzo blady.

– Dwadzieścia po dziewiątej. Gdzie jest Constance?

– Chyba niedawno wyszła.

– Chyba?

– Cóż – odparł z konsternacją w głosie doktor Stone – słyszałem, jak zęgnęła się z panią Trask, słyszałem trzask zamykanych drzwi, przed domem czekała taksówka, wsiadła do niej i odjechała.

Stone był wstrząśnięty, kiedy Pendergast zaczął podnosić się z łóżka. Najwyraźniej wchodził w remisyjną fazę choroby.

– Kategorycznie odradzam...

– Milcz – wycedził Pendergast, odgarniając koc i z trudem podnosząc się na nogi. Wyjął z ramienia igłę kroplówki. – Zejdź mi z drogi.

– Panie Pendergast, nie mogę pozwolić panu wstać z łóżka.

Agent spojrzał bladymi błyszczącymi oczami na doktora Stone’a.

– Jeżeli spróbuje mnie pan zatrzymać, zrobię panu krzywdę.

Ta jawna groźba powstrzymała Stone’a przed dalszymi próbami zatrzymania Pendergasta. Pacjent wyraźnie gorączkował, miał urojenia,

może nawet halucynacje. Stone prosił o pielęgniarkę, ale jego życzenie spotkało się z odmową. Sam sobie nie poradzi. Opuścił pokój, gdy Pendergast zaczął się przebierać.

– Pani Trask? – zawołał. Ten dom był tak cholernie duży. – Pani Trask!

Usłyszał gosposię krzątającą się na dole, odkrzykującą do niego u podnóża schodów:

– Tak, doktorze?

Pendergast pojawił się w drzwiach sypialni, wkładając czarny garnitur, do kieszeni kartkę papieru, a do kabury przy pasku pistolet. Doktor Stone usunął się na bok, żeby go przepuścić.

– Panie Pendergast, powtarzam, w pańskim stanie nie wolno panu wychodzić z domu!

Pendergast zignorował go i zszedł po schodach, stąpając powoli jak starzec. Doktor Stone podążył za nim. U podnóża schodów stała wystraszona pani Trask.

– Proszę sprowadzić dla mnie taksówkę – rzekł do gospodyni Pendergast.

– Dobrze, proszę pana.

– Nie może pani sprowadzić dla niego taksówki! – wykrzyknął Stone. – Proszę spojrzeć, w jakim jest stanie!

Pani Trask odwróciła się do niego.

– Kiedy pan Pendergast o coś prosi, to mu się nie odmawia.

Stone przeniósł wzrok z gosposi na agenta, który, choć był w nie najlepszej kondycji, odpowiedział tak lodowatym spojrzeniem, że lekarz skapitulował. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Pani Trask skończyła rozmawiać przez telefon, a Pendergast, lekko chwiejąc się, ruszył w stronę bramy przy głównym wejściu. Po chwili wyszedł, a na podjeździe pojawiły się tylne światła zamówionej taksówki.

Stone usiadł, ciężko oddychając. Nigdy jeszcze nie spotkał pacjenta, który w obliczu śmiertelnej choroby wykazywałby tak niezłomną siłę woli.

Rozsiadłszy się na tylnym siedzeniu samochodu, Pendergast wyjął z kieszeni świstek papieru i przeczytał jego treść. To była lista napisana odręcznie przez Constance, spis składników i substancji chemicznych. Obok niektórych z nich widniały adresy.

Powoli, z uwagą przeczytał listę raz, potem drugi. Następnie złożył kartkę na pół i podarł na małe kawałki, opuścił szybę i jeden po drugim wyrzucił

strzępki papieru w nowojorską noc.

Taksówka skręciła na wjazd na West Side Highway, kierując się w stronę Manhattan Bridge, a stamtąd na Flatbush Avenue w Brooklynie.

Kręcąc głową, mężczyzna schylił się i wyciągnął coś, co tkwiło w karku Frisby'ego.

– Macie tu ciekawe zbiory – powiedział, unosząc przedmiot ociekający krwią.

Margo zobaczyła, że był to karambit z Sumatry, piętnastocentymetrowy, zakrzywiony, ostry jak brzytwa nóż stosowany przez adeptów szkół walki w Indonezji.

– Lepiej się przedstawię – rzekł mężczyzna. – Jestem sierżant Slade z policji nowojorskiej. – Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął legitymację, oświetlając ją latarką.

Margo spojrzała na dokument. Odznaka i legitymacja wyglądały na prawdziwe. Ale kim był ten człowiek i co tu robił? I czy on właśnie... nie zabił Frisby'ego? Poczwała narastający strach i zagubienie.

– Chyba zjawiłem się w samą porę – mówił dalej Slade. – Ten stary kustosz – nazywał się Frisby, prawda? – najwyraźniej zamierzał nasłać na ciebie gliny. Nie wiedział, że policja jest już na miejscu. I mylił się co do zarzutów, jakie można by ci przedstawić: mowa tu co najwyżej o wykroczeniu typu E i ewentualnie konieczności wykonywania zasądzonej liczby godzin prac społecznych. W Nowym Jorku żadna ława przysięgłych nie przejmie się paroma spleśniałymi okazami roślin zwędzonymi z muzeum.

Schylił się, by zbadać ciało, pospiesznie przestępując ponad kałużą rozlewającą się wokół szyi Frisby'ego, i znów się wyprostował.

– Dobra, miejmy to za sobą – powiedział. – Skoro już tu jestem, nie masz się czym przejmować. Oddaj mi, proszę, torbę. – I wyciągnął rękę.

Margo stała jak wrośnięta w ziemię. Frisby nie żył. Ten człowiek pchnął go indonezyjskim nożem. To było zwykłe morderstwo. Przypomniała sobie ostrzeżenie D'Agosty i nagle zrozumiała: gliniarz czy nie, ten człowiek pracował dla Barbeaux.

Sierżant Slade postąpił krok naprzód z zakrzywionym morderczym ostrzem w dłoni.

– Proszę mi oddać torbę, doktor Green.

Zrobiła krok w tył.

– Nie utrudniaj sytuacji, która i tak jest już dość skomplikowana. Oddaj mi torbę, a ja dopilnuję, żeby potraktowano cię jak najłagodniej!

Zaciskając palce na torbie, Margo cofnęła się jeszcze o krok. Slade westchnął.

– Sama mnie do tego zmuszasz – powiedział. – Ale skoro tak chcesz to rozegrać, obawiam się, że konsekwencje będą o wiele surowsze niż narzucone przez sąd prace społeczne.

Przełożył zakrzywione ostrze do prawej ręki i mocno ścisnął, ruszając w jej stronę. Gdy odwróciła się, zdała sobie sprawę, że znalazła się w ślepej uliczce botanicznych zbiorów; po obu stronach miała półki z okazami, a w oddali za sobą skarbiec, z którego przed chwilą wyszła.

Spojrzała na sierżanta Slade'a. Być niski, ale poruszał się z gracją szczupłego, silnego mężczyzny. Oprócz groźnego, zakrzywionego, egzotycznego ostrza miał pod marynarką służbowy pas z pistoletem, pojemnikiem z gazem pieprzowym i kajdanki.

Postąpiła jeszcze jeden krok w tył i poczuła, że jej plecy dotykają metalowych drzwi skarbcza.

– Zrobię to szybko – powiedział Slade tonem, w którym pobrzmiwała nuta żalu. – Naprawdę mnie to nie rajcuje.

Ręka z zakrzywionym jak szpon ostrzem karambita uniosła się do ciosu, a mężczyzna wychylił się lekko do przodu, przygotowując się, by jednym zgrabnym cięciem rozplatać jej gardło.

– Proszę zatrzymać tutaj.

Taksówkarz skręcił i podjechał do krawężnika. Constance Greene wsunęła pieniądze przez okienko z unoszoną klapką, zabrała torbę i wysiadła. Stała przez chwilę na chodniku, zastanawiając się. Po przeciwnej stronie Washington Avenue wznosiło się ogrodzenie z kutego żelaza, a za nim widać było ciemne drzewa Brooklyńskiego Ogrodu Botanicznego. Mimo że było po wpół do dziesiątej, panował tu nadal spory ruch, a i przechodniów nie brakowało.

Zarzuciwszy torbę na ramię, Constance wygładziła plisowaną spódnicę i odgarnęła włosy z twarzy. Podeszła do rogu, zaczęła na przejściu dla pieszych, aż zmieni się światło, i przemaszerowała na drugą stronę.

Ogrodzenie z kutego żelaza otaczające ogród sięgało jej zaledwie do talii, a wieńczące je szpikulce były stępione. Przechodząc jak gdyby nigdy nic wzdłuż ogrodzenia, Constance podeszła do miejsca w połowie odległości między latarniami, ciemnego punktu, gdzie nisko zwisające gałęzie rzucały dodatkowe cienie. Odłożyła torbę na ziemię, wyjęła komórkę, udając, że chce coś sprawdzić, i zaczęła, aż nikogo nie będzie w pobliżu. Następnie jednym płynnym ruchem schwyciła dwa szpikulce, podciągnęła się, po czym miękko zeskoczyła po drugiej stronie. Sięgnęła ponad ogrodzeniem po swoją torbę. Szybkim truchtem pomknęła w dającą osłonę ciemność między drzewami i dopiero tam przystanęła, by sprawdzić, czy jej zachowanie zwróciło czyjąś uwagę.

Wszystko wyglądało normalnie.

Otworzywszy torbę, by wyjąć z niej nieduży płócienny plecak, ukryła ją wśród krzewów. I ruszyła przed siebie. Nie zabrała latarki, gdyż nad drzewami widać było księżyc zbliżający się do pełni, w dodatku jej oczy były doskonale przystosowane do patrzenia w ciemnościach, bo przecież przez lata żyła w piwnicach i podziemnych tunelach pod rezydencją przy Riverside

Drive 891.

Ze strony internetowej ściągnęła mapę Brooklyńskiego Ogrodu Botanicznego i nauczyła się jej na pamięć. Przed sobą miała granicę gęstych krzewów tworzących naturalny mur. Przedarła się przez chaszczę i wyszła w narożnej, rzadko odwiedzanej części Ogrodu Szekspira. Przeszła przez splechetek irysów i otoczona ich zapachem dotarła do ceglanej ścieżki biegnącej wśród klombów. Tu znów przystanęła, nasłuchując. Wszędzie panowały ciemność i cisza. Nie miała pojęcia, jaką ochroną dysponuje ogród botaniczny, więc poruszała się z największą ostrożnością, instynktownie wykorzystując umiejętności nabyte w dzieciństwie, kiedy błąkała się po nowojorskiej przystani, kradnąc jedzenie i pieniądze.

Trzymając się z dala od głównych ścieżek, minęła kwietnik z pierwiosnkami i jeszcze jedno zarośla, a za nimi niski kamienny murek. Wspiąwszy się niego, dotarła do skraju głównej ścieżki wiodącej do Palmiarni, przepięknego gmachu z żelaza i szkła w stylu tokańskiego odrodzenia. Dalej znajdowały się cieplarnie, a wśród nich Aquatic House, gdzie rósł okaz Rozpaczy Hodgsona. Jednak główna ścieżka była szeroka i zbyt dobrze oświetlona, aby mogła nią iść. Czekwała wśród krzewów, wypatrując ochrony, i zdziwiła się, że nie dostrzega żadnych strażników. Przyszło jej na myśl, że być może zgodnie z przewidywaniami Pendergasta Barbeaux dotarł na miejsce przed nią i skutecznie zneutralizował całą ochronę.

Dobrze wiedzieć.

Chociaż ogród botaniczny to nie muzeum. Może nie było tu nocnych strażników.

W cieniu roślin przeszła między Ogrodem Wonności a Ogrodem Japońskim, który mógł poszczycić się pięknym stawem i majestatycznym pagórkami. Nocna bryza przyniosła ze sobą aromat kapryfolium i peonii. Mijając rosnące nieopodal azalie, dostrzegła przed sobą plac Magnolii; drzewa pozbyły się już wiosennego kwiecia. Jeszcze dalej rozciągały się wody stawu z liliami, skrzące się w blasku księżyca.

Gdy Constance zapoznawała się z mapą ogrodu botanicznego, w myślach zaznaczyła drogę, którą musiała przebyć. Najlepiej było wejść od strony eleganckiej Palmiarni, gdzie spora część oranżerii była wykorzystywana po remoncie jako miejsce spotkań biznesowych i uroczystych przyjęć. Budynek

miał wielkie okna z pojedynczych tafli szkła. Nowsze cieplarnie zaś miały mniejsze okna z podwójnymi szybami.

Przemknęła przez plac Magnolii i dotarła do ciemnego zakamarka przy długim skrzydle Palmiarni. Stara, wielka, wiktoriańska budowla składała się z centralnej kopuły i dwóch przeszklonych skrzydeł. Constance przystanęła, by zajrzeć przez jedno z okien. To skrzydło Palmiarni zostało przygotowane na mające się tu odbyć nazajutrz przyjęcie weselne; długie stoły nakryto białymi obrusami, wzdłuż nich ustawiono rzędy krzeseł, widać było lśniące kandelabry, zastawę i niezapalone świece. Nie dostrzegła żadnej ochrony. Uklękła, zdjęła z ramienia plecak i położyła na ziemi. Z jednej z zewnętrznych kieszeni plecaka wyjęła nieduży skórzany futerał, a z niego przecinając do szkła i przyssawkę. Umocowawszy przyssawkę pośrodku dużej szyby, starannie wykonała nacięcie. Kilka mocniejszych uderzeń wystarczyło, by wybić nacięte szkło. Ostrożnie odstawiła je na bok, przełożyła plecak przez otwór i wpełzła do pomieszczenia, podwijając suknię, by nie zaczepiła się o krawędź.

Ruszyła między długimi stołami, przeszła przez wielką centralną kopułę i parkiet taneczny w stronę drugiego skrzydła. Były tam drzwi, lecz po naciśnięciu klamki okazało się, że nie zamknięto ich na klucz. Cały czas była gotowa natychmiast rzucić się do ucieczki na pierwszy dźwięk alarmu, ale Palmiarnia pozostała cicha i mroczna.

Uchyliła drzwi, nasłuchiwała chwilę, rozejrzała się, a potem wślizgnęła się do środka. Znalazła się w Muzeum Bonsai, rzekomo największym poza terytorium Japonii. Za tym pomieszczeniem był cel jej wyprawy: Aquatic House i kolekcja orchidei.

Muzeum Bonsai oferowało kilka kryjówek; karłowate drzewka ustawiono na podwyższeniu rzędami wzdłuż frontowej i tylnej ściany, pozostawiając wolne główne przejście. Przykucnąwszy za jednym z podwyższeń, Constance zastygła w bezruchu. Wciąż nie napotkała żadnych śladów strażników – ani Barbeaux. Było tu chłodniej, cicho szumiały obracające się pod sufitem wentylatory.

Szybko prześlizgnęła się obok poskręcanych małych drzewek i przystanęła przy następnych drzwiach. Uchyliwszy je lekko – one także nie były zamknięte na klucz – zawahała się. Wokół panowała cisza. Po prawej stronie miała kompleks Ciepłarni Steinhardta z wielkim Pawilonem Tropikalnym,

a na wprost Aquatic House.

Przemknęła przez ciemny hol do wejścia z dwojgiem przeszklonych drzwi – jedno i drugie były zamknięte. Podeszła do tych, które znajdowały się bliżej, przykucnęła wśród czerni i zajrzała do środka.

Kompletna cisza. A jednak po dokładnym przyjrzeniu się przestrzeni za drzwiami jej oczy zaczęły wychwytywać niewyraźne kontury mężczyzny stojącego w absolutnym bezruchu. Nie widziała go bezpośrednio, zobaczyła jedynie jego odbicie na tafli wody migoczącej w blasku księżyca. W ręku mężczyzny dostrzegła zarys broni.

A więc Pendergast miał rację. Barbeaux wiedział, że ona się tu wybiera – i było to zastanawiające. Rozmawiała o wyprawie do tego miejsca jedynie z Margo. Ale najwyraźniej ktoś zdradził ich plany i Barbeaux czekał na nią.

Pomyślała o Margo. Czy to możliwe, żeby Barbeaux wiedział także o jej wycieczce do muzealnych podziemi? Oczywiście, że tak. Mogła mieć tylko nadzieję, że rozległa wiedza Margo o muzeum i miejscach, w których można tam się schronić, zapewni jej bezpieczeństwo.

Constance bardzo wolno zmieniła pozycję i wtedy dostrzegła w pomieszczeniu za drzwiami drugą mroczną sylwetkę. Ten mężczyzna miał przewieszony przez ramię karabinek szturmowy.

Ci ludzie najwyraźniej byli zawodowymi żołnierzami, uzbrojonymi po zęby – niepokojące, ale nie powinno jej dziwić, zważywszy na to, czym zajmowała się firma Red Mountain. Barbeaux nie pozostawił niczego przypadkowi.

Wiedziała, że ciepłarnia nieopodal jest olbrzymia i nawet teraz w ciemnościach widać było mnóstwo znajdujących się tam roślin. Skoro z tego miejsca przy drzwiach spostrzegła dwóch mężczyzn, zapewne było ich więcej, czekali na nią gdzieś w ukryciu. Dlaczego zebrali się akurat tutaj?

Najwyraźniej Barbeaux postawił sobie za cel nie dopuścić, by zdobyła cenną roślinę. Chciał mieć pewność, że Pendergasta czeka śmierć w niewyobrażalnych, ciągnących się w nieskończoność męczarniach; z całego serca życzył mu takiej udręki, bo uważał, że była adekwatną karą za winy jego przodka. Ale to nasuwało kolejne pytania: Po co w ogóle byli tu ci mężczyźni? Czy nie prościej byłoby zabrać lub po prostu zniszczyć okaz Rozpaczy Hodgsona, a następnie ulotnić się stąd? Po co ta zasadzka?

Odpowiedź mogła być tylko jedna: ponieważ wiedzieli, w którym budynku

znajduje się roślina, ale nie znali jej nazwy. Informacje, które zdobyli, były niepełne.

Analizując w myślach rozkład ogrodu, przypomniała sobie, że Aquatic House ma jeszcze jeden poziom, piętro, na które można było dostać się schodami z holu i skąd zwiedzający mogli podziwiać z góry podmokłą dżunglę. Przez chwilę rozważała, czy się tam nie wybrać, ale uznała, że na schodach albo na podeście też na pewno stoi co najmniej jeden uzbrojony człowiek.

Mężczyzn było zbyt wielu. Nie miała szans w starciu ze wszystkimi naraz. Będzie musiała wślizgnąć się bezszelestnie, wykraść okaz niemal tuż pod ich nosem i zniknąć niepostrzeżenie. Z Barbeaux policzy się później. To rozwiązanie niezbyt jej się podobało... ale nie miała wyjścia.

Najważniejsze było działanie po cichu, dyskretnie. Co oznaczało, że plecak stawał się dla niej przeszkodą. Włożyła więc przecinak do szkła i przyssawkę do kieszeni sukni, a plecak ukryła pod ławeczką dla gości. Podkraǳła się do podwójnych przeszklonych drzwi, by ustalić, gdzie ukrywają się ludzie Barbeaux. Gdyby ich tam nie było, odnalezienie rośliny nie zajęłoby jej nawet paru minut.

Teraz to nie będzie takie proste.

Wycofała się wzdłuż ściany do holu. Drzwi głównego wejścia były zamknięte. Poruszając się nieco szybciej, prześlizgnęła się przez Muzeum Bonsai, główne pomieszczenie Palmiarni, drugie skrzydło i wymknęła się na zewnątrz przez wycięty otwór w szybie. Okrążyła pobliskie arboretum i minawszy Pawilon Tropikalny, podeszła do Aquatic House od tyłu; tamtejsza ściana także była niemal w całości wykonana ze szkła. Szyby były mniejsze niż w Palmiarni, ale na tyle duże, by dało się przez nie przecisnąć. W tej ścianie nie było drzwi. Zakładano, że tędy nikt nie będzie wchodził.

Przykucnęła, nasłuchując. Nic. Przymocowała przyssawkę do szyby i zaczęła przecinać szkło. Ostrze wydało głośny zgrzyt. Constance natychmiast znieruchomiała. W tle słychać było odgłosy Brooklynu, trąbienie aut, świst przelatujących po niebie odrzutowców, dźwięki bijącego serca miasta. A jednak przecinak wydał zbyt głośny zgrzyt i w budynku na pewno trudno go było przegapić.

Jakby w odpowiedzi ujrzała ciemną postać przesuwającą się ukradkiem wewnątrz pomieszczenia, podchodzącą, by sprawdzić źródło tajemniczego

dźwięku. Mężczyzna rozejrzał się na wszystkie strony, z bronią gotową do strzału. Constance wiedziała, że on nie może jej zobaczyć, przykucniętej w ciemnościach na zewnątrz. Po chwili mężczyzna, upewniwszy się, że nie dzieje się nic podejrzanego, zniknął na powrót wśród listowia.

Constance czekała, zastanawiając się, jak ma się dostać do środka. Gdyby zdołała obmyślić sposób na to bez wycinania otworu w szybie czy tłuczenia szkła, miałyby większe szanse, że nie zostanie wykryta.

Przepęzła wzdłuż krawędzi długiej szklanej ściany, dotykając szyby palcami i badając jej wytrzymałość. Niektóre tafle wydawały się obluzowane. Framugi były skorodowane, zwłaszcza w miejscu, gdzie stykały się z betonowym fundamentem.

Wciąż pełznąca, naciskała jedną tafelę po drugiej, dopóki nie natknęła się na szybę obluzowaną bardziej niż reszta. Zbadła framugę i stwierdziła, że niemal całkiem skorodowała wzdłuż dolnej krawędzi.

Wsunęła przecinak pod cienką framugę i zaczęła napierać, wyginając ją na zewnątrz; poddawała się bez trudu i odpadały z niej płaty utlenionego metalu. Constance kontynuowała powoli, by nie wywierać zbyt silnego nacisku i nie stłuc szyby. Po kilku minutach obluzowała ją na tyle, że mogła spróbować przymocować przyssawkę. Szkło stawiało opór, ale teraz wystarczyło już tylko odgiąć framugę w jednym miejscu. Jeszcze kilka sekund pracy przecinakiem i udało się wyjąć tafelę szkła. Constance poczuła podmuch parnego powietrza przesyconego zapachem kwiatów.

Wczołgała się do środka.

Od mężczyzn oddzielała ją gęsta ściana wiszących orchidei. Była to, jak Constance zapamiętała z mapy, kolekcja orchidei, która zajmowała cały drugi koniec Aquatic House. Dalej znajdował się łukowato biegnący chodnik z podwójnymi barierkami, a jeszcze dalej urządzone pod dachem staw, w którym powinna znaleźć okaz Rozpaczy Hodgsona.

Przystanęła w zamyśleniu. Listowie wokół i na wprost niej było wyjątkowo gęste. Czarna suknia z białymi dodatkami zapewniła jej odpowiedni kamuflaż. Jednak czołganie się w ciasnych pomieszczeniach w sukni mogło okazać się sporym utrudnieniem. Co gorsza, mogła zahaczyć o wystającą gałąź, a rozdzierany materiał wydałby niepożądany odgłos. Krzywiąc się z niezadowolenia zsunęła suknię, pozwalając, by materiał miękko ześlizgnął się z jej ciała. Pod spodem miała czarną halkę. Następnie zdjęła buty

i rajstopy, aż została całkiem boso. Zwinęła suknię, rajstopy i buty razem i wcisnęła pod jeden z krzewów, po czym podpełza naprzód, powoli wsuwając dłoń w gęstą kotarę orchidei i ostrożnie uchylając ją na centymetr, może półtora.

Chodnik dla gości był skąpany w blasku księżyca, który jednak wisiał nisko i wśród krzewów zalegały gęste cienie. Nie było innej drogi do centralnego stawu. Przystanąła, rozejrzała się dokoła i wypatrzyła jeszcze trzech innych mężczyzn w ciemnościach. Wszyscy stali w milczeniu. Tylko od czasu do czasu któryś z nich odwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, wypatrując i nasłuchując.

Niełatwo będzie ominąć tych facetów. Ale musiała to zrobić, w przeciwnym razie Pendergast umrze.

Grunt przed nią był wilgotny i błotnisty. Choć miała czarną halkę, odsłonięte części jej ciała były blade i łatwo można było ją zauważyć. Nabrała garść błota i zaczęła rozsmarowywać je na twarzy, nogach i ramionach. Gdy była nim już całkiem utyłana, znów centymetr po centymetrze zaczęła pełznąć naprzód, rozchylając orchidee z wielką ostrożnością. Zapach wilgotnej ziemi, kwiatów i roślin wdzierał się w jej nozdrza. Po każdym ruchu nieruchomiała na chwilę. Będąc małą dziewczynką, często kradła ryby na przystani przy Water Street, poruszając się tak niepostrzeżenie, że nikt nigdy jej nie zauważył. Ale wtedy była małym brzdącem. Teraz jest dojrzałą, dorosłą kobietą.

W kilka minut zdołała przepelznąć odległość trzech metrów i leżała wśród tropikalnych paproci. Musiała tylko pokonać niską barierkę, a potem chodnik. Z tego miejsca widziała kilku uzbrojonych mężczyzn, ale z pewnością byli tu również inni, których nie spostrzegła. Miała przewagę: tamci nie wiedzieli, że zdołała dostać się do środka i już była wśród nich. Skupiali całą uwagę na wejściu i wyjściu awaryjnym na tyłach budynku.

Poruszając się ukradkiem, dotarła do dużej płyty i przyczała się za nią. Przejście przez chodnik nie będzie proste. Nie mogła przecież tamtędy się przeczołgać. Będzie musiała przebiec, gdy akurat nikt nie będzie patrzył w tę stronę.

Czekała i czekała. Wreszcie usłyszała cichy syk radia i zniekształcony głos. A potem drugi, dobiegający z innego miejsca – i trzeci. Była dokładnie dziewięta czterdzieści pięć. Tamci porozumiewali się między sobą,

sprawdzali posterunki.

W kilka chwil ujawnili, gdzie znajduje się każdy z nich, a przynajmniej ci, którzy byli ukryci na drugim końcu cieplarni.

Constance naliczyła ich pięciu. Oszacowała, że najwyżej trzech z nich może ją zauważyć, gdy będzie przemykać przez chodnik.

Spojrzała w górę. Księżyc wznosił się wyżej, zalewając cieplarnię coraz silniejszym, niepożądanym blaskiem i minie prawie cała noc, zanim na powrót skryje się za drzewami. Po niebie przesuwały się jednak niewielkie chmury. Uznała, że jedna z nich powinna przesłonić księżyc za mniej więcej trzy minuty.

Zamknęła oczy – nawet białka mogły ją zdradzić – i czekała, odliczając w myślach. Minęły trzy minuty. Znów lekko otworzyła powieki i dostrzegła chmurę skrzącą się białą, gdy jej krawędź zaczęła przesuwać się przed tarczą księżyca. Cień padł na cieplarnię. Nastąpiła ciemność.

Na tę chwilę czekała. Powoli uniosła głowę. Obserwatorzy wtopili się w mrok tak, że nie potrafiła stwierdzić, w którą stronę patrzą. W cieplarni było teraz bardzo ciemno, ciemniej już nie będzie. Musiała zaryzykować.

Jednym, płynnym, miękkim ruchem podniosła się z ziemi i przeskoczyła nad barierką, przemknęła przez chodnik dla zwiedzających i wyciągnęła się płasko pod wielkim tropikalnym drzewem obwieszonym orchideami. Pozostała w bezruchu, prawie nie oddychając. Wokół niej panowała cisza. Gdy chmura odpłynęła, znów pojawił się srebrzysty blask. Nikt się nie poruszył, nikt jej nie spostrzegł.

A teraz do stawu po roślinę...

Poczuła, że coś zimnego lekko dotknęło jej karku.

– Nie ruszaj się – powiedział cichy głos.

Margo rzuciła się w bok i ostatecznie ostrze tylko rozcięło jej kurtkę i skaleczyło ją w ramię. Upadła na podłogę, gdzie została uwięziona w szeregu półek, a jej czołówka pofrunęła w mrok. Slade zrobił krok naprzód. Margo leżała, a policjant stał nad nią w bezruchu.

– Tylko wszystko utrudniasz – wycedził Slade.

Jedną rękę miała uwięzioną z tyłu i dotykała nią czegoś zimnego. Zorientowała się, że to słój na okazy, jeden z całego rzędu stojącego na najniższej półce.

– Posłuchaj, chcę tylko tej rośliny, którą masz. – Slade starał się, żeby jego głos brzmiał spokojnie i rozsądnie. – Nie musimy tak tego kończyć. Oddaj mi to, czego chcę, a pozwolę ci odejść.

Margo nie odpowiedziała. Ten człowiek był kłamcą. Choć jej umysł pracował jak szalony, nie potrafiła znaleźć wyjścia z sytuacji.

– Nie zdołasz mi uciec, więc równie dobrze możesz pójść na współpracę.

Spojrzała za niego, w stronę odległych drzwi sali zbiorów botanicznych, przez które tu weszła.

– Nawet nie myśl o ucieczce – ostrzegł Slade. – Kiedy wszedłem do magazynu budynku szóstego, pozamykałem wszystkie wejścia i zablokowałem zamek ostrzem złamanego scyzoryka. Jesteśmy tu sami, tylko ty i ja. – Na jego pociągłej twarzy pojawił się dziwny uśmiezek.

Margo zdusiła w sobie strach i myślała intensywnie. Jak przez mgłę pamiętała, że na samym końcu piwnic budynku szóstego jest drugie wyjście. Wyteżala umysł, usiłując przypomnieć sobie wiodące tam korytarze. Gdyby tylko zdołała ominąć tego człowieka, mogłaby pobiec w stronę tego wyjścia i go zgubić. Bądź co bądź znała wszystkie zakamarki muzeum, a on nie...

– I nie myśl o próbie wydostania się stąd tylnym wyjściem. Prawda jest taka, że znam te podziemne korytarze prawie tak dobrze jak ty.

Była wstrząśnięta, że domyślił się, co zaprzętało jej umysł. Ale to musiało

być kolejne kłamstwo, nie mógł znać tak dobrze podziemi.

– Och, znam muzeum jak własną kieszeń! – rzekł Slade. – Choć żałuję, że tak jest, bo muzeum zrujnowało mi życie. Widzisz, nie zawsze służyłem w nowojorskiej policji. Kiedyś byłem agentem FBI. Ukończyłem akademię z drugim wynikiem na roku. Moim pierwszym zadaniem jako agenta terenowego było przejęcie głównego punktu dowodzenia tu, w muzeum, i zapewnienie niezbędnej pomocy podczas otwarcia pewnej wielkiej, wyjątkowej wystawy oraz zadbanie o to, żeby wszystko poszło gładko. Wiesz, o jakiej wystawie mówię? Powinnaś wiedzieć, byłaś tam przecież.

Margo spojrzała na niego. Slade... Slade... jak przez mgłę przypomniała sobie, że słyszała to nazwisko podczas sprząwania po tamtej strasznej nocy przed dwunastu laty, kiedy muzeum stało się areną krwawej jatki. Nigdy nie widziała jego twarzy. Czy to naprawdę mógł być ten sam człowiek?

– Ty jesteś... tym Slade'em?

Poczuł się doceniony.

– Zgadza się. Wystawa *Przesady*. Miałem pecha, że nad grupą agentów FBI sprawował pieczę niejaki Spencer Coffey. Wystawa nie udała się najlepiej, prawda? Ile osób zginęło? Dwadzieścia sześć? To była jednak z największych wpadek w historii Biura. Tak wielka, że postanowiono ukarać nie tylko Coffeya, ale nas wszystkich. Coffeya przeniesiono do Waco, a mnie i resztę zespołu wydano z FBI. Od tamtej pory byłem jak napiętnowany, miałem szczęście, że znalazłem pracę w policji. Ale wciąż jestem napiętnowany. Już zawsze tak będzie. Jak sądzisz, dlaczego człowiek o takim stażu i doświadczeniu jak ja wciąż jest zaledwie sierżantem?

Dzięki tej gorzkiej przemowie Margo zyskała czas na zebranie się w sobie. Próbowała nakłonić Slade'a, by mówił dalej.

– I dlatego postanowiłeś się sprzedać? – spytała. – Tak to działa?

– Nie miałem nic wspólnego z tą katastrofą, na miejscu pojawiłem się dopiero wtedy, gdy osiadł kurz, a jednak bez namysłu rzucono mnie wilkom na pożarcie. Takie rzeczy sprawiają, że człowiek staje się bardziej podatny na – jakby to ująć – bardziej intratne propozycje. W swoim czasie otrzymałem lepszą ofertę – i oto tu jestem.

Slade wychylił się do przodu, ściskając w dłoni karambit. Margo zorientowała się, że szykuje się do tego, by ponownie spróbować rozplatać jej gardło zakrzywionym ostrzem. Zacisnęła palce na stojącym za nią słoju.

Zanim Slade zdążył zadać cios, kopnęła z całej siły, trafiając go powyżej kostki i pozbawiając równowagi, po czym zamachnęła się i uderzyła go w głowę trzymanym w dłoni naczyniem. Szkło rozprysło się, rozbryzgując wokół etanol, a Slade upadł na kolana. Margo podniosła się i przeskoczywszy nad nim, pobiegła w głąb przejścia, trzymając mocno torbę pod pachą. Slade podźwignął się z podłogi przy wtórze skowytu wściekłości.

Panika dodała Margo sił i oczyściła umysł. Margo biegła między regałami, wypadła z pomieszczenia, gdzie przechowywano kolekcję botaniczną, i skręciła w lewo, kierując się w stronę tylnego wyjścia z budynku numer sześć. Ponieważ podziemia muzeum pochodziły sprzed wieków, nie była to prosta droga. Margo musiała przebiec przez cały ciąg pomieszczeń magazynowych. Słyszała za sobą tupot stóp Slade'a na cementowej posadzce i jego ochryply oddech – z każdą chwilą prześladowca zmniejszał dzielący ich dystans.

Constance leżała na ziemi w kompletnym bezruchu. Słabe światło omiatało jej ciało i słyszała ciche głosy, gdy mężczyźni porozumiewali się między sobą. Poczowała dziwnie nagromadzone pomieszanie wyrzutów sumienia, smutku, ale przede wszystkim gniewu – nie dlatego, że miała zginąć, bo nie dbała o swoje życie – lecz dlatego, że jej wykrycie i pojmanie oznaczało śmierć Pendergasta.

Usłyszała ciche kroki, a potem inny głos powiedział:

– Podnieś ją.

Znów szturchnięto ją w kark.

– Wstań. Powoli.

Podniosła się na nogi. Stał przed nią wysoki mężczyzna o manierach wojskowego, ubrany w ciemny biznesowy garnitur. Jego twarz, nieznacznie rozjaśniona blaskiem księżyca, była duża, szeroka i jak wykuta z granitu, o wystających kościach policzkowych i kanciastej, mocnej szczęce.

Barbeaux.

Przez chwilę jej koncentracja zawężała się do pojedynczego gorejącego punkciku, tak głęboką nienawiść i odrazę czuła do tego mężczyzny. Pozostała w bezruchu, a tymczasem Barbeaux przyglądał się jej w świetle latarki.

– Jest na co popatrzeć – rzucił drwiąco ochryłym głosem.

Pojawiło się jeszcze kilku milczących mężczyzn i zajęło pozycje wokół niej. Byli uzbrojeni po zęby. Wszystkie drogi ucieczki zostały zablokowane. Rozważała wyszarpięcie broni któremuś z mężczyzn, ale wiedziała, że nic by to nie dało, a poza tym nie umie posługiwać się nowoczesną bronią automatyczną. Barbeaux nie wyglądał na człowieka, którego można łatwo zaskoczyć albo pokonać, o ile to w ogóle było możliwe. Roztaczał aurę spokoju, inteligencji, czujności i okrucieństwa, z jaką dotychczas zetknęła się dwukrotnie: w wypadku jej pierwszego opiekuna Enocha Lenga

i Diogenesa Pendergasta.

Zakończywszy oględziny, Barbeaux znów się odezwał:

– A więc to jest agent, którego Pendergast wysłał jako swojego anioła zemsty. Nie mogłem uwierzyć, gdy Slade opowiedział mi o tobie.

Constance nie zareagowała.

– Chciałbym poznać nazwę rośliny, po którą przysłaś.

Wciąż tylko na niego patrzyła.

– Zjawiałaś się tu w akcie desperacji, żeby ocalić swojego drogiego Pendergasta. Jak widzisz, wyprzedzaliśmy cię o krok. Mimo to jestem pod wrażeniem tego, jak daleko udało ci się dotrzeć w tej straceńczej misji, zanim cię złapaliśmy.

Constance pozwoliła mu mówić.

– Pendergast jest już na łożu śmierci. Nie masz pojęcia, jaką rozkosz sprawia mi jego cierpienie. Jego choroba jest niezwykła sama w sobie – nieopisany ból fizyczny połączony ze świadomością, że tracisz rozum. Wiem o tym wszystko. Widziałem to na własne oczy.

Przerwał, zatrzymując wzrok na jej ciele pokrytym od stóp do głów warstwą błota.

– Rozumiem, że agent Pendergast jest twoim „opiekunem”. Co to właściwie oznacza?

Cisza.

– Nie mówisz, ale zdradzają cię oczy. Widzę, jak bardzo mnie nienawidzisz. To nienawiść, jaką kobieta może żywić wobec zabójcy jej kochanka. Wzruszające. Jaka jest między wami różnica wieku? Dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat? Odrażające. Mogłabyś być jego córką.

Constance nie spuściła wzroku. Wciąż patrzyła mu prosto w oczy.

– Odważna dziewczyna. – Barbeaux westchnął. – Muszę znać nazwę rośliny, której szukasz. Ale widzę, że trzeba będzie nakłonić cię do mówienia.

Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Nie drgnęła ani się nie cofnęła. Jego dłoń przesunęła się w dół, rozmazując błoto na jej szyi, a potem opuściła się niżej, w stronę halki, i dotknęła piersi przez jedwabny materiał.

Błyskawicznie jak atakujący wąż Constance wymierzyła mu siarczysty policzek.

Barbeaux cofnął się, ciężko oddychając.

– Przytrzymajcie ją.

Mężczyźni po obu stronach pochwycili ją za ramiona. Jeden był ogolony na łysa, drugi miał włosy do ramion. Nie stawiała oporu. Barbeaux postąpił krok naprzód i znów wyciągnął rękę, by dotknąć jej piersi.

– Szkoda, że Pendergast nie może tu być, żeby zobaczyć, co z tobą zrobię. A teraz podaj mi nazwę tej rośliny. – Ścisnął mocno jej pierś.

Constance przygryzła wargę z bólu.

– Nazwa rośliny.

Znów sprawił jej ból. Wydała z siebie krótki urywany okrzyk, ale zaraz się opanowała.

– Nie drażnij nas wybuchami hysterii. Nic ci to nie da. Zneutralizowaliśmy tu całą ochronę. Mamy to miejsce wyłącznie dla siebie.

Dłoń Barbeaux zsunęła się niżej, chwytając materiał halki. Podciągnął go w górę.

– Masz atrakcyjne, gibkie ciało. Wyobrażam sobie, że Pendergast dla rozrywki wygina je śmiało.

Puścił materiał halki i przez chwilę taksował ją wzrokiem. A potem znów się cofnął i skinął na łysiego. Mężczyzna odwrócił się do Constance i uderzył ją otwartą dłonią w twarz, raz i drugi. Znosiła to w milczeniu.

– Dajcie pastucha – rozkazał Barbeaux.

Z plecaka zawieszzonego na ramieniu długowłosego wyjął paskudnie wyglądające urządzenie długości ponad sześćdziesięciu centymetrów, z gumowaną rękojeścią, metalową spiralą pośrodku i dwoma srebrnymi sztyftami wystającymi z drugiego końca. Pastuch elektryczny. Machnął nim przed nosem Constance.

– Zakneblować ją – rzucił Barbeaux. – Wiecie, że nie znoszę wrzasków.

Z plecaka wyjęto pęk waty i taśmę klejącą. Łysy nagle wyrznął Constance w brzuch, a gdy zgięła się wpół, wcisnął jej watę do ust, a potem szybko i wprawnie zakleił usta taśmą. Cofnął się, a długowłosego włączył elektrycznego pastucha. Pozostali mężczyźni uformowali ciemny, milczący krąg wokół nich, obserwując rozwój wydarzeń.

Podczas gdy łysy przytrzymał ją za ręce, długowłosego wbił jej pałkę elektrycznego pastucha w brzuch. Zawahał się przez chwilę, uśmiechając się krzywo, a potem wcisnął guzik. Ciało Constance drgnęło konwulsyjnie, jej mięśnie ściągnęły się, podczas gdy łysy unieruchomił ją za ramiona.

Constance wydała z siebie zdławiony jęk udręki, choć wciąż starała się zachować milczenie. Długowłosey opuścił pałkę elektryczną.

– Jeszcze raz – powiedział Barbeaux. – Kiedy będzie gotowa mówić, da nam znać.

Constance próbowała się wyprostować. Długowłosey machnął pałką elektryczną w jedną i drugą stronę, szykując się do ponownego potraktowania jej prądem. Nagle rzucił się naprzód, przytknął koniec pałki do ciała pomiędzy jej piersiami i włączył urządzenie. Constance zaczęła się wić. Była bliska obłądu z bólu, ale tym razem prawie nie jęknęła. Długowłosey ponownie cofnął paralizator.

– Trzeba czegoś mocniejszego, żeby ją złamać – rzekł Barbeaux.

– Może potrzebuje stymulacji w bardziej wrażliwym obszarze – podsunął łysy.

Barbeaux pokiwał głową i zdarł z Constance halkę. Uśmiechając się, długowłosey podszedł z pałką elektryczną w dłoni. Nagle padł strzał. W tej samej chwili czubek głowy długowłosego zniknął w rozbryzgu krwi, odłamków kości i strzępków materii mózgowej.

Mężczyźni zareagowali natychmiast, rzucając się na ziemię. Łysy pociągnął Constance i zmusił, by położyła się płasko obok niego. Rozległy się dwa kolejne strzały i jeden z mężczyzn zgiał się wpół, chwytając się z głośnym rykiem za brzuch, a drugi, już leżący na ziemi, został trafiony w plecy. Targnął się konwulsyjnie, a z jego ust popłynął jęk bólu.

Constance próbowała wyrwać się z uścisku łysego, ale jej mięśnie wciąż drżały po porażeniu prądem, a mężczyzna trzymał ją mocno. Zauważyła, że tylko Barbeaux wciąż stoi prosto – ukrył się za pnem potężnego drzewa.

– Jeden strzelec – rzekł. – Strzela z wyżej położonego punktu. Manewr oskrzydleniowy, znajdźcie go z dwóch stron.

Dał znak trzem mężczyznom, którzy natychmiast poderwali się z ziemi i zniknęli, a Constance pozostała z Barbeaux, łysym, trzecim mężczyzną i trzema ciałami, poskręcanyimi i broczącymi krwią wśród orchidei. Usłyszała jeszcze kilka strzałów i uniosła wzrok. Barbeaux odpiął krótkofalówkę od paska i wydał kolejne rozkazy, najwyraźniej kontaktując się ze swoimi ludźmi w punkcie poza cieplarnią. Wsłuchując się w fugę odgłosów płynących z głośnika krótkofalówki, Constance oszacowała, że Barbeaux musi mieć około dziesięciu ludzi w Aquatic House i wokół siebie.

Obserwowała go spod półprzymkniętych powiek. Co się dzieje? Czy porucznik D'Agosta domyślił się, dokąd pojechała, i zjawił się tu z policją?

Łysy zmusił ją, by rozciągnęła się płasko na ziemi.

– Nie ruszaj się, do cholery – wycedził.

Ze swojego miejsca za drzewem Barbeaux spokojnie wydawał dalsze rozkazy przez krótkofalówkę. Chwilę było zupełnie cicho. Nagle z głębi cieplarni dobiegły kolejne strzały, a potem rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Z głośnika krótkofalówki Barbeaux popłynęły głosy przepełnione ekscytacją.

Constance leżała unieruchomiona w błocie, powoli odzyskując oddech. Barbeaux wspomniał o jednym strzelcu. Ale gdyby tym strzelcem był D'Agosta, na pewno sprowadziłby posiłki. Cokolwiek to oznaczało, może Pendergast nie był jeszcze stracony...

Z krótkofalówki znów dobiegły głosy, a potem Barbeaux odwrócił się do łysego.

– Podnieś ją. Możesz już wyjąć jej knebel. Dorwali tego strzelca. To Pendergast.

Margo dotarła do drzwi pierwszego pomieszczenia magazynowego i modląc się w duchu, wsunęła kartę do otworu czytnika. Drzwi ustąpiły. Westchnęła, szarpnięciem otworzyła drzwi, wbiegła do środka i zatrzasnęła je za sobą. W tej samej chwili z impetem uderzył w nie Slade, lekko je uchylając, ale Margo zapała się i pchnęła z całej siły. Slade uderzył raz jeszcze, a ona znów go odepchnęła.

To nie mogło trwać długo. Przegra tę bitwę. A poza tym Slade mógł zacząć strzelać przez drzwi.

Uderzył w drzwi ponownie w chwili, gdy je uchylila, i wyłożył się na podłodze u jej stóp. Kopnęła go mocno w głowę i pobiegła w mrok magazynu. Z tyłu dobiegł ją skowyt zranionego mężczyzny. Zgubiła czołówkę, a on wciąż miał latarkę. Jej promień przeciął powietrze obok niej, gdy pędem skręciła w przejście za rogiem niekończących się regałów, przebiegła kilkadziesiąt metrów i skręciła w następny prześwit. Jakby mimochodem zauważyła, że na półkach stoją szklane słoje, z których każdy zawiera błyszczącą, oślizgłą kulę wielkości buli do kręgli – była to legendarna kolekcja gałek ocznych waleni.

W biegu sięgnęła do torby, wyłuskała telefon i spojrzała na wyświetlacz. Tak jak się spodziewała, ani jednej kreski. Grube ściany podziemi muzeum skutecznie blokowały zasięg komórki.

Margo była szybka i w dobrej formie, ale najwyraźniej Slade również, zrozumiała, że i w tej rywalizacji z nim przegra. Musiała znaleźć sposób, żeby go zatrzymać albo przynajmniej spowolnić. Dlaczego nie strzelał? Może nie chciał ryzykować hałasu, jakiego by przy tym narobił? Slade był najwyraźniej ostrożnym człowiekiem, a nigdy nie wiadomo, kto mógł włóczyć się po piwnicach nawet o tak późnej porze.

Mijając rząd włączników światła na końcu przejścia, Margo przekręciła je – w ten sposób stanie się widoczna, ale skoro Slade do niej nie strzelił,

przynajmniej straci przewagę, jaką dawała mu latarka. Gdy świetlówki się włączyły, natychmiast odwróciła się i sąsiednim przejściem pobiegła w przeciwnym kierunku. Usłyszała Slade'a pędzącego w przejściu tuż obok. I nagle coś jej przyszło do głowy: zatrzymała się przed jednym z regałów i pchnęła go oburącz z całej siły, zsuwając cały rząd słoików z drugiej strony tak, że roztrzaskały się o podłogę tuż przed jej prześladowcą. Ale gdy znów zerwała się do biegu, usłyszała, jak Slade potyka się i przeskakuje nad wielkimi, miękkimi, turlającymi się po podłodze gałkami ocznymi. Tylko trochę go spowolniła. Może mogłaby zwalić na niego jeden z regałów – nie, okazało się, że są przyśrubowane do podłoża.

Z sali gałek ocznych waleni było kilka przejść wiodących do innych pomieszczeń magazynowych, ale tylko niektóre prowadziły do tylnego wyjścia z budynku numer sześć. Slade zbliżał się do niej, a ona nie zdołała zbliżyć się do wyjścia. Zresztą o tej porze wyjście mogło być zamknięte od środka. Biegając, strącała kolejne słoje, by roztrzaskały się na podłodze za nią. Czy mogła zapalić etanol? Nie miała w torebce zapalniczki, a gdyby nawet jej się udało, cały magazyn mógłby spłonąć razem z nią.

Skręcając w kolejne przejście, zrzuciła z półek jeszcze kilka słoików, które potłukły się, a z nich po podłodze potoczyły się wielkie gałki oczne waleni, ciągnąc za sobą ślady spirytusu i śluzu. Slade zaklął, gdy poślizgnął się na jednej z nich, a schwyciwszy krawędź półki, by nie upaść, stracił z niej kilka kolejnych szklanych naczyń. Pomieszczenie wypełnił rybi smród gałek ocznych i spirytusu. Slade błyskawicznie stanął na nogi, ale Margo zyskała kilka sekund. Gdy dotarła do końca przejścia, zdyszana i z nogami płonącymi żywym ogniem, napotkała wreszcie drzwi prowadzące do wyjścia z budynku numer sześć. Ale Slade był tak blisko, że dopadłby ją, zanim zdążyłaby włożyć klucz do zamka.

Przy drzwiach wisiała gaśnica.

Margo usłyszała tupot zbliżających się kroków. Wyrwała gaśnicę z uchwytu, odwróciła się, zamachnęła i trafiła Slade'a w splot słoneczny, powalając go na ziemię. Gdy znów zaczął się podnosić, z głuchym stęknieniem wyrwała zawleczkę i kierując wylot dyszy w jego stronę, uruchomiła gaśnicę, obryzgując strumieniem piany jego twarz z bliskiej odległości. Slade wymachiwał rękami na oślep, nadaremnie starając się wyrwać Margo gaśnicę.

– Ty suko! – zawołał, próbując wstać i ocierając twarz z piany. – Zabiję cię za to! – rzucił się w jej stronę, poślizgnął się i znów wylądował na podłodze.

Dostrzegła szansę i uderzyła go gaśnicą w głowę. Jęknął i zamilkł: był nieprzytomny, na wpół unurzany w pianie, oczy wywróciły mu się w oczodołach.

Znieruchomiała, myśląc intensywnie. Jeszcze jedno silne uderzenie teraz, gdy był nieruchomy, zmiażdżyłoby mu czaszkę. Uniosła gaśnicę... ale nie była w stanie tego zrobić. Odrzuciła gaśnicę. Dzięki Bogu wciąż miała torbę. Musiała się stąd wydostać. Tylko któredy? Gdyby wciąż zmierzała do tylnego wyjścia, musiałaby pokonać kilka kolejnych sal, zapewne zamkniętych, a jej klucz elektroniczny niekoniecznie musiał otworzyć drzwi każdej z nich. Szybciej będzie, jeśli wróci tą samą drogą, przez kolekcję botaniczną do windy. To, co powiedział Slade, że zablokował zamek, było zapewne kłamstwem, no bo jak sam by się stąd wtedy wydostał?

Pobiegła w kierunku Skarbca Herbarium. Boże, miała nadzieję, że wydostanie się tędy. W przeciwnym razie będzie musiała tu wrócić i ponownie minąć Slade'a. Ale może do tego czasu on umrze.

Poruszając się jak najszybciej w świetle lamp awaryjnych, minęła wejście do kolekcji botanicznej i dalej skierowała się korytarzem do wyjścia z budynku numer sześć. Jeśli zdoła dostać się do windy, dojedzie nią do wyjścia przy punkcie ochrony, gdzie czuwali uzbrojeni strażnicy. Tam będzie bezpieczna. Opowie im o Frisbym, o jego śmierci i nieprzytomnym gliniarzu zabójcy w podziemiach...

Dotarła do wyjścia, szarpnęła za klamkę. Zamknięte. Klamka też stawiała opór. Margo spróbowała wsunąć klucz elektroniczny do zamka, ale okazało się, że Slade nie kłamał i rzeczywiście wbił do otworu scyzoryk, a następnie złamał go, pozostawiając fragment ostrza w szczelinie. Zaklęła na głos. Będzie jednak musiała wrócić do tylnego wyjścia. Żałowała teraz, że nie roztrzaskała Slade'owi czaszki. Że nie miała dość przytomności umysłu, aby zabrać mu broń. Tym razem nie popełni tego błędu – o ile Slade był wciąż nieprzytomny.

Szybko i bezszelestnie wróciła drogą, którą przysła. A jeśli ten mężczyzna doszedł do siebie i jej szuka? Potrzebowała jakiejś broni. Rozejrzała się dokoła. Znów znalazła się przy wejściu do sali z kolekcją botaniczną. Jaka roślina mogła być użyteczna w starciu z bronią palną? Oczywiście żadna.

I wtedy coś sobie przypomniała.

Wbiegła do sali, mijając regały i półki, przystając tylko na chwilę, żeby podnieść z podłogi czołówkę, aż dotarła do Skarbcza Herbarium, gdzie czerwone światelko palące się na panelu głównym było dla niej jak latarnia przewodnia. Oddychając z trudem, wbiła kod na klawiaturze i otworzyła ciężkie drzwi.

Były tam; w świetle czołówki ujrzała stojące w kącie pod ścianą dmuchawki – długie, wydrążone tuby – oraz kołczan z niewielkimi strzałkami z kości, każda długości około pięciu centymetrów, z pękiem drobnych piór na końcu. Czubki strzałek były pokryte lepką czarną substancją.

Schwyciła jedną dmuchawkę, zarzuciła pasek kołczanu na wolne ramię i wsunęła jedną strzałkę do dmuchawki ostrym końcem na zewnątrz. Opuściła skarbiec i przechodząc między regałami, zgasiła czołówkę, aby tylko w świetle lamp awaryjnych minąć drzwi pomieszczenia magazynowego i znaleźć się w sali z gałkami ocznymi waleni. Kiedy tam weszła, smród uderzył ją w nozdrza z niemal fizyczną siłą.

Serce prawie zamarło jej w piersi, gdyż w przejściu, gdzie zostawiła gliniarza, było mnóstwo piany, ale ciało znikło. Na podłodze dostrzegła wilgotne ślady stóp.

Ogarnęła ją paralizująca groza. Facet był przytomny, ruszał się i możliwe, że zaczął się na nią gdzieś w pobliżu. Rozejrzała się dokoła, ale nic nie zauważyła. Próbując zapanować nad rozkołatanim sercem, nasłuchiwała z uwagą. Czy to echo kroków kogoś, kto skradał się ku niej, choć nie potrafiła określić z której strony?

Spanikowana pobiegła w kierunku tylnego wyjścia, ale gdy skręciła w następne przejście, wpadła na Slade'a, który stał tam z wyciągniętą bronią. Schwycił Margo i powalił na ziemię. Stanął nad nią z pistoletem w dłoni.

– Dość tego – wycedził półgłosem. – Dawaj tę cholerną torbę albo wpakuję ci kulkę w łeb.

– Śmiało. Hałas ściągnie ochronę.

Slade nie odpowiedział, a Margo zorientowała się, że jej przypuszczenia są słuszne. Wtedy jednak na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Wygląda na to, że muszę zmodyfikować broń. Albo wymienić ją na inną. Cichszą.

Schylił się i podniósł dmuchawkę oraz kołczan ze strzałami, które Margo upuściła, gdy się z nim zderzyła. Wyjął jedną krótką strzałę z kołczanu i obejrzał.

– Zatruta. Świetnie.

Przyjrzał się dmuchawce.

– I w dodatku byłaś tak uprzejma, że już ją dla mnie załadowałeś.

Uniósł niezdarnie dmuchawkę i przyłożył do ust. Margo rzuciła się w bok, gdy dmuchnął. Strzałka minęła ją o centymetry i odbiła się niegroźnie od krawędzi szafki. Margo zaczęła pełznąć na czworakach jak krab, a po chwili poderwała się na nogi, gdy Slade wyjął następną strzałkę i wsunął do dmuchawki. Pognała co sił w nogach, gdy druga strzałka przecięła powietrze obok niej. Usłyszała, że Slade znów biegnie w ślad za nią.

Miała tylko jedną szansę, żeby zgubić się gdzieś pośród labiryntu muzealnych pomieszczeń magazynowych.

Skręciła za jeden róg, potem następny, mijając kolejne regały. Dotarłszy do drzwi w najbliższej ze ścian, otworzyła je raptownie, wbiegła do następnego magazynu, skręciła i pobiegła ku drzwiom na drugim końcu sali. Były zamknięte i tym razem jej klucz elektroniczny nie zadziałał. Już miała zawrócić, gdy zza rogu dobiegł ją drwiący głos Slade'a:

– Wygląda na to, że wpadłaś w pułapkę.

Rozejrzała się w prawo i lewo, ale nie miała dokąd uciec. Miał rację – naprawdę była w pułapce.

Ciężko oddychając, z sercem tłukącym się w piersi, Margo zobaczyła cień Slade'a na ścianie prowadzącej w stronę zamkniętych drzwi – czerń na tle czerwieni oświetlenia awaryjnego – przesuwany się powoli naprzód, gdy niespiesznie zbliżał się do rogu. I wtedy ujrzała dmuchawkę kołyszącą się w powietrzu i centymetr po centymetrze pojawiającą się w jej polu widzenia. Zaraz potem zobaczyła głowę i ręce Slade'a. Poruszał się ostrożnie, trzymając dmuchawkę uniesioną do ust, i powoli, z rozmysłem szykował się do oddania kolejnego, tym razem celnego strzału.

Więcej już nie spuszcza.

Barbeaux szedł pierwszy, a łysy popychał przed sobą Constance. Minęli Muzeum Bonsai i znaleźli się w drugim skrzydle Palmiarni, wciąż przygotowanym na przyjęcie ślubne, choć teraz panował tu pewien bałagan. Czterej mężczyźni stali wokół postaci siedzącej przy stole zarezerwowanym dla młodej pary. Na blacie stała świeca rzucająca słaby blask, z trudem rozpraszający półmrok.

Constance zadrżała na widok Pendergasta – ze skutymi rękami, twarzą umazaną błotem i w wymiętym garniturze. Nawet jego spojrzenie utraciło dawny blask. Na moment srebrzyste niegdyś oczy spojrzały w jej stronę, a ona aż zamarła, dostrzegając w nich wyraz beznadziei i rezygnacji.

– No, no, cóż za niespodzianka – powiedział Barbeaux. – Nieoczekiwana, choć w istocie miła. Sam lepiej bym tego nie zaplanował. Nie tylko oddałeś w moje ręce swoją śliczną, miłą podopieczną, lecz również siebie, mimo że trawi cię paskudna choroba.

Przez chwilę przyglądał się Pendergastowi z lodowatym uśmiechem, a potem zwrócił się do dwóch mężczyzn:

– Postawcie go. Chcę, żeby to widział.

Podźwignęli Pendergasta. Był tak słaby, że słał się na nogach i musieli go podtrzymywać, bo ugięły się pod nim kolana. Constance prawie nie była w stanie na niego patrzeć. To ona go tu ściągnęła. Przybył w ślad za nią.

– Zamierzałem odwiedzić cię na końcu – rzekł Barbeaux – żebyś dowiedział się, kto cię tak urządził i dlaczego. A zwłaszcza... – Barbeaux znów się uśmiechnął – kto opracował ten sprytny plan.

Głowa Pendergasta przekrzywiła się w bok, a Barbeaux powiedział do swoich ludzi:

– Ocućcie go.

Jeden z mężczyzn z szyją tak pokrytą tatuażami, że była prawie całkiem granatowa, postąpił naprzód i otwartą dłonią zdzielił mocno Pendergasta

w głowę.

Constance spojrzała na tatuowanego.

– Ty umrzesz pierwszy – rzekła półgłosem.

Mężczyzna spojrzał na nią, a wargi wykrzywił mu drwiący grymas, gdy taksował jej ciało lubieżnym spojrzeniem. Zaśmiał się oschle, a potem wyciągnął rękę i schwycił ją za włosy, przyciągnął do siebie.

– A co, załatwisz mnie karabinem, który schowałeś pod halką?

– Wystarczy – rzucił ostro Barbeaux.

Tatuowany cofnął się z ironicznym uśmiechem. Barbeaux przeniósł uwagę na Pendergasta.

– Podejrzewam, że już z grubsza wiesz, dlaczego cię otrujęm. Z pewnością doceniasz fakt, że sprawiedliwości stało się zadość. Nasze rodziny mieszkały w Nowym Orleanie po sąsiedzku. Mój pradziadek chadzał na polowania z twoim prapradziadkiem Hezekiahem na jego plantacji i zapraszał Hezekiaha z żoną na kolacje. W zamian Hezekiah otruił moich pradziadków tak zwanym eliksirem. Oboje zmarli straszliwą śmiercią. Ale na tym nie koniec. Moja prababka zażywała eliksir, będąc w ciąży, i urodziła, zanim zmarła z jego powodu. Jednak w rezultacie eliksir wywołał zmiany epigenetyczne w jej rodowodzie, w DNA naszej rodziny, rzucając cień na całe pokolenia. Ale oczywiście wtedy nikt o tym nie wiedział. Jednak od czasu do czasu umierał kolejny członek rodziny. Lekarze nie umieli tego wyjaśnić. Moi przodkowie szeptem nazywali to „rodzinną przypadłością”. Ale choroba oszczędziła pokolenie mojego ojca. I moje. Uwierzyłem, że rodzinna przypadłość wygasła.

Przerwał.

– Jakże się myliłem. Następną ofiarą był mój syn. Umarł powolną, straszną śmiercią. Lekarze znów byli kompletnie zagubieni. Znów mówili, że to jakaś dziedziczna przypadłość, wada genetyczna.

Barbeaux ponownie przerwał, wpatrując się badawczo w Pendergasta.

– Był moim jedynym synem. Moja żona umarła wcześniej. Zostałem sam ze swoją żałobą.

Głęboki oddech.

– I wtedy ktoś mnie odwiedził. Twój syn Alban.

Barbeaux odwrócił się i zaczął spacerować w tę i z powrotem z początku powoli, zniżając głos, w którym słychać było drzenie.

– Znalazł mnie. Otworzył mi oczy na zło, jakie twoja rodzina wyrządziła mojej. Uświadomił, że fortuna rodziny Pendergastów w dużej mierze pochodziła z krwawych pieniędzy uzyskanych dzięki sprzedaży eliksiru Hezekiaha. Że wystawny styl życia – apartament w Dakocie, rezydencja przy Riverside Drive, rolls-royce z szoferem, służba – zawdzięczasz cierpieniu innych. Mierzyła go twoja hipokryzja, udawanie, że niesiesz światu sprawiedliwość, podczas gdy cały czas stanowisz uosobienie niesprawiedliwości.

Głos Barbeaux przybierał na sile. Mężczyzna przystanął, poczerwieniał na twarzy, na jego grubej szyi pulsowała żyła.

– Alban wyjawiał mi, jak bardzo cię nienawidził. Boże, co to była za nienawiść! Przybył do mnie z zamiarem wymierzenia sprawiedliwości. Jakich słów użył, żeby nazwać swój plan? Wykwintnie stosowny.

Barbeaux wciąż spacerował, tym razem szybciej.

– Nie muszę ci mówić, ile czasu i pieniędzy wymagało wdrożenie tego planu. Największym wyzwaniem było odtworzenie pierwotnej formuły eliksiru. Jednak tak się złożyło, że w zbiorach nowojorskiego muzeum znajdował się szkielet kobiety, którą eliksir zabił, a ja zdobyłem jedną z jej kości, dzięki czemu moi naukowcy mogli zrekonstruować formułę chemiczną. Ale oczywiście ty już to wszystko wiesz. Następnie pojawiło się wyzwanie polegające na opracowaniu i zastawieniu pułapki nad Salton Sea, w miejscu, które odkrył i którego przeznaczenie wymyślił osobiście Alban. Było dla mnie ważne, byś cierpiał, by spotkał cię los mojego syna i innych członków mojej rodziny. Alban to przewidział. A mnie nigdy by się to nie udało, gdyby nie on. Zanim opuścił mnie tamtego niezwykłego wieczoru, ostrzegł mnie z całą stanowczością, żebym cię nie lekceważył. Istotnie, roztropna rada. Oczywiście ostrzegł mnie przed czymś jeszcze – żebym nie posyłał za nim swoich ludzi. A potem wyszedł.

Barbeaux zatrzymał się i nachylił do Pendergasta. Agent odnalazł jego spojrzenie, chociaż oczy miał przymknięte i wyglądały teraz jak szklane szparki. Krew ciekąca z jego nosa wydawała się prawie purpurowa na tle alabastrowej skóry.

– I wtedy wydarzyło się coś niebywałego. Niemal rok później, gdy mój plan wszedł w fazę realizacji, Alban powrócił. Wyglądało, że zmienił zdanie. Próbował mnie nakłonić, żebym zrezygnował z zemsty, a gdy odmówiłem,

odszedł przepętniony gniewem.

Barbeaux wziął głęboki drżący oddech.

– Wiedziałem, że na tym nie poprzestanie. Wiedziałem, że spróbuje mnie zabić. I mogło mu się to nawet udać... gdybym nie miał nagrań z kamer monitoringu z jego poprzedniej wizyty. Bo widzisz, wbrew ostrzeżeniom Albana posłałem ludzi, żeby go zatrzymali. Ale on ich pokonał w najbrutalniejszy i wyjątkowo skuteczny sposób. Oglądałem te fascynujące nagrania ukazujące go w akcji raz po raz... i z czasem doszedłem do wniosku, że mógł dokonać tego, co z pozoru niemożliwe, tylko w jeden sposób. Miał szósty zmysł, zgadza się? Zdolność przewidywania tego, co ma się wydarzyć.

Barbeaux spojrział na Pendergasta, żeby sprawdzić, jaki wpływ mają jego słowa na agenta.

– Mam rację, prawda? Chyba wszyscy mamy tę zdolność, przynajmniej do pewnego stopnia. Ale u Albana ten zmysł był o wiele bardziej rozwinięty. Arogancko wspominał o swoich niezwykłych umiejętnościach. Badając taśmy z kamer ochrony klatka po klatce, ustaliłem, że twój syn posiadał niezwykłą zdolność przewidywania zdarzeń, dzięki czemu w pewnym sensie wiedział, co miało się wydarzyć w najbliższych sekundach. Nie dosłownie, ale raczej postrzegając pewne możliwości. Nie wątpię, że i o tym także wiesz.

Barbeaux spacerował teraz trochę szybciej. Zachowywał się jak człowiek opętany.

– Nie będę się wdawał we wszystkie szczegóły tego, jak go pokonałem. Niech ci wystarczy, że powiem, iż wykorzystałem jego zdolności przeciwko niemu. Był butny. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że ma jakiegokolwiek słabości. I wydaje mi się, że trochę zmiękł między naszym pierwszym i drugim spotkaniem. Opracowałem wyjątkowo złożony i skrupulatny plan ataku, wdrożyłem do niego moich ludzi. Wszystko było przygotowane. Zwabiliśmy Albana obietnicą kolejnego spotkania, na którym miało dojść między nami do pojednania. Zjawił się wszechwiedzący, w jego mniemaniu niezniszczalny, przekonany, że to spotkanie jest tylko pułapką, a ja spontanicznie udusiłem go na miejscu sznurówką. To była improwizacja, działanie bez namysłu, bez uprzednich przygotowań. Celowo unikałem myślenia o tym, jak i kiedy go zabiję. W ten sposób storpedowałem jego nadzwyczajną zdolność do przewidywania zdarzeń. Nawiasem mówiąc,

wyraz zdziwienia na jego twarzy był bezcenny.

Zarechotał i odwrócił się.

– Na tym polegała największa ironia tego wszystkiego. Zachodziłem w głowę, jak cię zwabić – człowieka wyjątkowo podejrzliwego i nieufnego – w moją pułapkę. A koniec końców to sam Alban zapewnił mi odpowiednią przynętę. Wykorzystałem w tym celu jego zwłoki. Skądinąd powiem tylko, że byłem tam, w Salton Fontainebleau. Gdybyś tylko wiedział, ile czasu, pieniędzy i wysiłku kosztowało przygotowanie tego wszystkiego, z pajęczynami, nienaruszoną warstwą kurzu i rdzą na drzwiach łącznie. Ale było warto, bo taka była cena oszukania ciebie i zwabienia w pułapkę. Patrzyłem, jak się tam zakradasz przekonany, że zyskałeś przewagę – zapłaciłbym dziesięć razy więcej, żeby być tego świadkiem! Bo widzisz, to ja nacisnąłem guzik, uwalniając eliksir i podając ci truciznę. A teraz jesteśmy tutaj.

Na twarzy Barbeaux wykwitł następny uśmiech, gdy zrobił kolejną pauzę.

– Jeszcze jedno. Wygląda na to, że masz drugiego syna, przebywającego w Szwajcarii. Ma na imię Tristram, o ile się nie mylę. Kiedy już cię nie będzie, złożę mu krótką wizytę. Oczyszczę ten świat z plugawości Pendergastów.

Barbeaux zatrzymał się przed Pendergastem, wysuwając kanciastą zuchwę do przodu.

– Chcesz coś powiedzieć?

Pendergast milczał przez chwilę. A potem wyszeptał coś cicho, niezrozumiale.

– Co?

– Ja... – Pendergast przerwał, zabrakło mu tchu, by mówić dalej.

Barbeaux wymierzył mu siarczasty policzek.

– Co chciałeś powiedzieć? Gadaj!

– Przepraszam.

Barbeaux cofnął się o krok zaskoczony.

– Przepraszam za to, co się stało z twoim synem... bardzo ci współczuję.

– Przykro ci? – wykrztusił Barbeaux. – Współczujesz mi? Nie masz pojęcia, czym jest współczucie.

– Ja... jestem pogodzony z tym, że muszę umrzeć.

Słyszając te słowa, Constance zamarła. Cała grupa pogrążyła się

w elektryzującej ciszy. Barbeaux, wyraźnie zdumiony, starał się rozbudzić w sobie gniew. W tej krótkiej chwili ciszy srebrne oko Pendergasta zerknęło w stronę Constance – trwało to zaledwie ułamek sekundy, zrozumiała jednak, że jej opiekun tym spojrzeniem pragnął przekazać jej wiadomość. Tylko jakiej treści?

– Przepraszam...

Constance poczuła, że uchwyt dłoni łysego na jej ramionach nieznacznie osłabł. Mężczyzna, podobnie jak inni, był pochłonięty dramatem rozgrywającym się między Barbeaux a Pendergastem.

Nagle Pendergast zwiotczał i osunął się ciężko jak worek cementu na podłogę. Dwaj mężczyźni, którzy stali po obu jego stronach, rzucili się, by go schwycić, ale to, co się stało, zaskoczyło ich i wytrąciło z równowagi, gdy próbowali na powrót postawić go na nogi.

W tej samej chwili Constance zrozumiała, że nadszedł moment, na który czekała. Gwałtownym skretem całego ciała uwolniła się z uścisku łysego i rzuciła w ciemność.

Slade uniósł dmuchawkę do strzału. Lekko przymrużył powieki, celując.

W nagłym przypiływie desperacji Margo rzuciła się naprzód, schwyciła koniec tuby i mocno w nią dmuchnęła. Slade upuścił broń ze zduszonym okrzykiem i zatoczył się w tył, unosząc dłonie do gardła, krztusząc się i charcząc. Gdy wypluł pięciocentymetrową strzałkę, Margo minęła go i wybiegła z pułapki w głąb labiryntu przejść w pomieszczeniach magazynowych.

– Niech to szlag! – wydusił z siebie Slade i pobiegł za nią.

Po chwili usłyszała huk wystrzałów; pociski zrykoszetowały od betonowych ścian przed nią, wzbijając kłęby pyłu i kurzu. W zamkniętej przestrzeni strzały z broni palnej brzmiały wyjątkowo głośno. Slade nie martwił się już o zachowanie ostrożności.

Margo wpadła do pomieszczenia z gałkami ocznymi waleni i przystanęła na chwilę. Slade odciął jej główną drogę wyjścia z piwnic. Od tylnego wyjścia dzielił ją ciąg pomieszczeń, z których część prawdopodobnie była zamknięta. Odruchowo skręciła, wybierając jedno z innych wyjść z sali, i szarpnięciem otworzyła drzwi. W jej polu widzenia pojawił się Slade, chwiejąc się lekko w słabym świetle, a potem przyklękając niezdarnie do pozycji strzeleckiej. Czy zranił się końcem zatrutej strzałki? Wyglądał fatalnie.

Rzuciła się w bok, gdy grad kul zabębnił o drzwi. Pędząc przez korytarz, zaglądała do biur i magazynów, które mijała po prawej i lewej stronie, w nadziei, że znajdzie sposób, by zgubić prześladowcę, ale jej wysiłki spełzły na niczym, bo każde z tych pomieszczeń mogło okazać się dla niej śmiertelną pułapką. Miała już tylko nadzieję, że ochrona usłyszała strzały i zjawi się, by sprawdzić, co się dzieje, natknie się na zablokowane drzwi i je sforsuje.

Ale nawet to zajmie trochę czasu. Nie zdoła uciec z podziemi. Musiała

jakoś pokonać tego człowieka albo przynajmniej utrzymać go na dystans, aż przybędzie pomoc.

Korytarz kończył się skrzyżowaniem w kształcie litery T i skręciła w lewo. Za nią rozlegał się głośny tupot kroków biegnącego Slade'a. Kiedy skręciła, obejrzała się i zobaczyła, że się zatrzymał, wbijając do pistoletu nowy magazynek.

Wiedziała, że główne laboratorium z dinozaurami mieści się dokładnie na wprost niej: było duże i oferowało mnóstwo kryjówek. Znajdował się tam też wewnętrzny telefon, z którego mogła skorzystać, żeby wezwać pomoc.

Dobiegła do drzwi laboratorium, były zamknięte, więc włożyła klucz do zamka i przekręciła klamkę, mamrocząc pod nosem cichą modlitwę. Drzwi się otworzyły. Wpadła do środka, a potem zatrzasnęła za sobą drzwi i je zablokowała.

Wykorzystała światła awaryjne, żeby zorientować się w otoczeniu. W wielkiej sali stało kilkanaście stołów roboczych z rozłożonymi na nich skamielinami w różnych stadiach restauracji lub archiwizacji. Pośrodku sali wznosiły się dwa wielkie, wciąż jeszcze składane szkielety dinozaurów; słynne „walczące dinozaury”, niedawno nabyte przez muzeum, wokół których zrobił się spory szum – triceratops i tyranozaur złączone w morderczym starciu.

Usłyszała łomotanie do drzwi, krzyki, a potem strzały oddawane w zamek. Rozejrzała się wokoło, ale nie zauważyła telefonu. Musiał tu gdzieś być. Albo przynajmniej inne wyjście. Niczego jednak nie zauważyła. Ani telefonu, ani innego wyjścia. Mnóstwa potencjalnych kryjówek, na które liczyła, także nie było.

Jej plan spalił na panewce.

Seria strzałów wybiła częściowo zamek z drzwi. Slade lada chwila dostanie się do laboratorium. A gdy mu się to uda, ona umrze.

Usłyszała jego okrzyk wściekłości... a może bólu? Czyżby trucizna działała?

Dwa wielkie szkielety górowały nad nią jak gigantyczny pająk do wspinaczki. Instynktownie podbiegła do triceratopsa, schwyciła jego żebro i zaczęła się wspinać. Szkielet nie był w pełni złożony i cała ekspozycja się chwiała. Margo strąciła kilka mniejszych kości, które posypały się na podłogę. To było szaleństwo – będzie tu uwięziona jak kurek na strzelnicy. Jednak jakiś impuls kazał jej wspinać się dalej.

Chwytając za wyrostki grzbietowe, podciągnęła się na kręgosłup triceratopsa. Kilka kolejnych strzałów wybiło zupełnie zamek; wypadł i poszorował po podłodze. Slade napierał na drzwi. Margo usłyszała zgrzyt metalowej płyty, w której znajdował się zamek, i chrzęst odblokowywanych zapadek. Jeszcze jedno silne pchnięcie i płyta zamka ustąpiła.

Wspinając się rozpaczliwie, prześlizgnęła się z jednego szkieletu dinozaura na drugi, pnąc się coraz wyżej po bardziej stromym kręgosłupie tyranozaura. Jego masywny łeb, wielkości niedużego samochodu i najeżony wielkimi zębiskami, nie został jeszcze w pełni zabezpieczony przyspawanymi metalowymi sworzniami i instalacja cały czas niebezpiecznie się trzęsła. Gdy zbliżyła się do łba, okazało się, że jest on umieszczony w metalowej osłonie. Większość otworów na sworznie, które wywiercono w obudowie, wciąż jeszcze była pusta, nic dziwnego, że cała konstrukcja mocno się chwiała. Obróciła całe ciało i opierając się plecami o metalowy dźwigar, zapała się stopami o bok czaszki dinozaura. Liczyła na to, że prześladowca jej tu nie dostrzeże.

Następne pchnięcie i drzwi otworzyły się z głuchym łupnięciem. Slade wparował do środka. Wymachiwał pistoletem jak oszalały, miał niepewny, pijacki krok. Zatoczył się w jedną stronę, potem w drugą i uniósł wzrok.

– Tu jesteś! W pułapce jak kot na drzewie!

Zrobił kilka chwiejnych kroków i stanął pod instalacją, trzymając broń oburącz i składając się do strzału. Wyglądało na to, że trucizna zaczyna działać, ale nie dość szybko i nie była dość mocna.

Margo z całej siły wypchnęła czerep tyranozaura z mocowania. Zakołysał się i na chwilę zatrzymał na krawędzi, po czym runął, przebijając się przez klatkę piersiową triceratopsa. Margo przez moment dostrzegła Slade'a zastygłego jak jeleni w kręgu światła reflektorów nadjeżdżającego samochodu, zanim olbrzymia masa skamieniałych kości spadła na niego, przygniatając jego ciało do ziemi. Sekundę później górna część czerepu tyranozaura wylądowała na nim kłami do dołu przy wtórze przyprawiającego o mdłości wilgotnego plaśnięcia.

Margo kurczowo przywarła do rozdygotanej metalowej instalacji, gdy kolejne kości zaczęły odpadać od szkieletu i z grzechotem sypały się na podłogę. Czekwała, próbując odzyskać oddech, aż wielki stelaż przestanie się kołysać. Z dużą ostrożnością i przy drżących mięśniach opuściła się na dół.

Slade leżał na podłodze z szeroko rozrzuconymi rękami i oczyma wychodzącymi z orbit. Górna część czaszki tyranozaura przygniotła go, a zęby przebiły ciało. To był straszny widok. Margo zatoczyła się do tyłu, by być z dala od tej okropnej sceny. Zaraz jednak przypomniała sobie o torbie. Cały czas odruchowo przyciskała ją mocno do ciała. Rozpięła torbę i zajrzała do środka. Szklane płyty zabezpieczające roślinne okazy stłukły się. Spojrzała na resztki zniszczonych roślin zmieszane z okruchami szkła na dnie torby. O Jezus, czy to wystarczy?

Usłyszała donośny głos i odwróciła się. W drzwiach stał porucznik D'Agosta w towarzystwie dwóch strażników; wpatrywali się w upiorną scenę.

– Margo? – zawołał. – Co, u licha...?

– Dzięki Bogu, że jesteś – wykrztusiła.

Wciąż tylko patrzył, przenosząc wzrok z Margo na ciało leżące na podłodze.

– Slade – powiedział. To nie było pytanie.

– Tak. Próbował mnie zabić.

– To sukinsyn.

– Mówił coś o tym, że złożono mu lepszą ofertę. Co się dzieje, do cholery?

D'Agosta pokiwał głową ponuro.

– Pracował dla Barbeaux. Podśluchał dzisiejszą rozmowę w moim gabinecie. – Rozejrzał się dokoła. – Gdzie Constance?

Margo spojrzała na niego.

– Tu jej nie ma. – Zawahała się. – Wybrała się do ogrodu botanicznego na Brooklynie.

– Co? Myślałem, że będzie tu z tobą!

– Nie, nie. Udała się na Brooklyn, żeby zdobyć rzadką roślinę, która się tam znajduje...

Nie dokończyła, bo D'Agosta już wyjął służbową krótkofalówkę, żeby ściągnąć siły policyjnego wsparcia i ratowników medycznych do ogrodu botanicznego. Znow się do niej odwrócił.

– Chodź, musimy się spieszyć. Weź torbę. Mam nadzieję, że nie jest za późno.

Constance pobiegła w stronę drugiego końca Palmiarni ścigana przez dwóch mężczyzn. Słyszała dobiegające z tyłu za nią rozkazy wydawane przez Barbeaux. Wysyłał kolejnych ludzi, żeby ją okrążyli i nie dopuścili do tego, by wymknęła się na ulice Brooklynu.

Ale Constance nie zamierzała uciekać.

Pognała w stronę otworu wyciętego w szybie na końcu sali i wyskoczyła na zewnątrz; rosnące tam krzewy złagodziły impet upadku. Przetoczyła się po ziemi i natychmiast zerwała na nogi, by pędzić dalej. Gdzieś za nią rozległ się trzask odblokowywanych drzwi, a gdy obejrzała się za siebie, zobaczyła dwie ciemne postacie wybiegające bocznym wejściem z Palmiarni i rozdzielające się, aby zająć ją z dwóch stron, podczas gdy trzecia wypełzła przez ten sam otwór w szybie co ona chwilę wcześniej.

Miała przed sobą staw z liliami skrzący się spokojnie w blasku księżyca. Przed sadzawką skręciła ostro w lewo i pobiegła jej skrajem, oddalając się od wyjścia z ogrodu, czyli skierowała się w przeciwną stronę, niż mogli tego oczekiwać jej prześladowcy. To sprawiło, że się zatrzymali, próbując zorientować się w sytuacji, i dopiero potem zawrócili, dzięki czemu zyskała kilka cennych sekund.

Okrążając kopułę Ciepłarni Steinhardta, Constance zawróciła w stronę Aquatic House. Nie próbowała ukrywać swoich poczynań, szybkość była najważniejsza, a trzech mężczyzn mogli ją widzieć i szybko się do niej zbliżali, osaczając ją.

Pobiegła wzdłuż przeszklonej ściany, wślizgnęła się do środka przez drugi wycięty przez siebie otwór i wyłoniła w ogrodzie pełnym orchidei. Przedarła się przez gęstwiny, przestąpiła nad trzema martwymi ciałami, okrążyła główną sadzawkę i przez frontowe podwójne drzwi wbiegła do holu. Tam przystanęła na chwilę, żeby zabrać plecak, który wcisnęła pod ławkę, po czym wpadła do Pawilonu Tropikalnego. To była największa cieplarnia

w ogrodzie botanicznym: ogromna budowla z wysoką na pięć pięter szklaną kopułą otoczoną gęstą parną dżunglą.

Przerzucając plecak przez ramię, podbiegła do jednego z wielkich tropikalnych drzew pośrodku pawilonu, schwyciła jego dolne konary i zaczęła się wspinać. Usłyszała, że jej prześladowcy wbiegają do cieplarni. Przyłgnęła do jednego z wyższych krzewów, otworzyła plecak i wyjęła niewielki pojemnik na chemikalia. Wewnątrz znajdowały się cztery nieduże buteleczki kwasu triflutowego, które zabrała wcześniej tego wieczoru ze składziku Enocha Lenga w podziemiach rezydencji przy Riverside Drive. Każda buteleczka była umieszczona w specjalnej otulinie z pianki, którą Constance przygotowała osobiście. Teraz wydobyła jedną z nich i ostrożnie wyjęła szklany korek. Starła się trzymać naczynie na wyciągnięcie ręki, bo nawet opary kwasu były zabójcze.

Słyszała, jak mężczyźni rozpraszają się i przeszukują pawilon, światła ich latarek przesuwają się to tu, to tam, słychać było szmer głosów i trzaski krótkofalówek. Promienie latarek wniknęły pomiędzy drzewa. Głos zawołał:

– Wiemy, że tu jesteś. Wyłaź.

Cisza.

– Jeśli się nie ujawnisz, zabijemy twojego kumpla Pendergasta.

Constance ostrożnie wyjrzała ponad krawędzią głównego konara, za którym się schroniła. Znajdowała się jakieś dziesięć metrów nad ziemią, a oprócz tego drzewo miało jeszcze z dziesięć metrów wysokości.

– Jeśli nie wyjdiesz – rozległ się głos – będziemy strzelać.

– Wiecie, że Barbeaux chce mnie mieć żywą – odparła.

Na dźwięk jej głosu promienie latarek natychmiast omiotły drzewo, próbując ją odnaleźć. Trzej mężczyźni przeszli przez gąszcz krzewów i stanęli pod drzewem, okrążając je.

Pora się pokazać. Wychyliła głowę i spojrzała na nich z kamiennym wyrazem twarzy.

– Tam jest!

Znów się ukryła.

– Złaź na dół!

Constance nie odpowiedziała.

– Jeżeli będziemy musieli pofatygować się po ciebie, będziemy bardzo wkurzeni. A nie chcesz, żebyśmy się na ciebie wkurzyli.

– Idźcie do diabła – odparła.

Trzej mężczyźni przez chwilę dyskutowali między sobą po cichu.

– Dobra, księżniczko, idziemy po ciebie.

Jeden z mężczyzn schwycił dolną gałąź i podciągnął się, a drugi świecił latarką, wskazując mu drogę na górę.

Constance wyrzała ponad konarem. Mężczyzna wspinał się szybko, a na jego uniesionej w górę twarzy malowała się wściekłość.

To był tatuowany.

Świetnie.

Zaczekała, aż będzie go od niej dzieliło nie więcej niż trzy metry. Wysuwając rękę nad głowę wspinającego się mężczyzny, przechyliła buteleczkę, z której popłynęła strużka kwasu triflutowego. Płyn trafił tatuowanego w lewe oko. Z zaciekawieniem dostrzegła, że superkwas przy zetknięciu z ciałem zareagował jak wrzątek, gdy polewa się nim suchy lód, i zjawisku temu towarzyszyło powstanie wielkiej syczącej chmury oparów. Mężczyzna wydał z siebie zdławione kasznięcie, a potem po prostu znikł jej z oczu otoczony powiększającą się chmurą. Po chwili usłyszała, jak jego ciało spada, objając się o gałęzie, i ląduje na ziemi pośród okrzyków zdumienia jego kompanów.

Wciąż wyglądając ponad konarem, dostrzegła tatuowanego leżącego na wznak na grubej warstwie zgnieczonego podszytu; zdawał się tańczyć na leżąco, targały nim konwulsje i wił się jak szalony, rozgorączkowane dłonie szukały po omacku, rwąc i rozgniatając liście oraz kwiaty, aż nagle całe ciało wyprężyło się i wygięło w łuk, opierając się o ziemię tylko potylicą i stopami. Tatuowany zadygotał, pozostając przez chwilę w tej pozycji. Constance odniosła wrażenie, że usłyszała trzask pękających kręgów, zanim ciało osunęło się na zorany kobierzec roślinności, a z dymiącej dziury w potylicy wylał się mózg, by zastygnąć na ziemi w postaci kałuży szarej tłustej brei.

Efekt, jaki to zdarzenie wywarło na dwóch pozostałych, usatysfakcjonował Constance. Podejrzewała, że ci mężczyźni brali udział w wojnach, musieli zatem być świadkami zabijania i śmierci. Oczywiście byli głupi – jak wielu mężczyzn – jednak doskonale wyszkoleni, niebezpieczni i dobrzy w tym, co robili. Nigdy jednak nie zetknęli się z czymś takim. To nie była wojna partyzancka, operacja specjalna ani działania w rodzaju szok i trwoga. To było coś, do czego nie byli szkoleni. Zastygli jak posągi, z latarkami

skierowanymi na martwego towarzysza; oszołomienie całkiem ich sparaliżowało, nie rozumieli, co się stało, a co za tym idzie, nie byli w stanie zareagować.

Z ogromną szybkością Constance zmieniała pozycję na drzewie, przesuając się tak, by znaleźć się ponad jednym z dwóch pozostałych mężczyzn – łysym – i tym razem opróżniła do końca buteleczkę, a następnie, już pustą, upuściła, uważając, żeby nawet kropla superkwasu nie skapnęła na jej skórę.

Ponownie efekt był jak najbardziej zadowalający. Dawka nie była wymierzona tak precyzyjnie jak pierwsza i kwas rozbryztał się po całej głowie mężczyzny i jego jednym ramieniu, nie oszczędzając nawet roślinności wokoło. Niemniej skutki były natychmiastowe. Mogło się wydawać, że głowa mężczyzny zaczęła się roztopiać i buchnęły z niej kłęby tłustego gazu. Z przeraźliwym wrzaskiem zwierzęcego przerażenia łysy upadł na kolana, przykładając dłonie do czaszki, która właśnie zaczęła się rozpuszczać, rozgorączkowane palce w panice przebijały rozplywające się kości i materię mózgową, zanim mężczyzna przewrócił się, a jego ciałem zaczęły wstrząsać takie same konwulsje, jakie wcześniej pojawiły się u tatuowanego. Równocześnie zaczęły dymić rośliny spryskane kwasem, skrzęcając się, zwijając i buchając ogniem, który błyskawicznie wygasał – żaden płomień nie był w stanie utrzymać się długo wśród wilgotnej zieleni.

Jak wszystkie superkwasy, o czym Constance wiedziała, kwas triflatowy wywoływał silną reakcję egzotermiczną w zetknięciu z substancjami organicznymi.

Trzeci mężczyzna zdołał się wreszcie opanować. Cofnął się od targanego konwulsjami kompana, po czym uniósł broń i zaczął strzelać. Constance jednak ukryła się bezpiecznie za konarem i mężczyzna strzelał na oślep. Constance wykorzystała okazję, by wspiąć się na wyższe gałęzie. Tu łączyły się one z konarami sąsiednich drzew, tworząc gęsty baldachim. Powoli, z rozmysłem, trzymając mocno plecak, przesuwała się z jednego konara na drugi, tymczasem rozgorączkowany mężczyzna na dole strzelał raz po raz, gdy tylko usłyszał poruszenie, ale nie zdołał jej trafić. Udało się jej przejść na sąsiednie drzewo, ześlizgnęła się parę metrów niżej i ukryła przy jednej z gałęzi porośniętej gęstym listowiem.

Rozległo się skrzeczenie krótkofalówki. Strzały nagle ucichły i pojawiło się

światło latarki przesuwające się to w tę, to w tamtą stronę. Po chwili do Pawilonu Tropikalnego wpadło jeszcze dwóch mężczyzn.

– Co się dzieje? – zawołał jeden z nich, wskazując na dymiące ciała. – Co tu się stało, do cholery?

– Ta szurnięta suka czymś ich oblała. Możliwe, że jakimś kwasem. Ukryła się na którymś z drzew.

Kolejne promienie latarek zaczęły przepatrywać korony drzew.

– Kto tam, kurwa, strzela? Szef mówił, żeby jej nie zabijać.

Przysłuchując się tej wymianie zdań, Constance sprawdziła zawartość niewielkiego pojemnika na chemikalia. Były w nim jeszcze trzy buteleczki, pełne i starannie zakorkowane. Oczywiście miała też do dyspozycji inne rzeczy znajdujące się w plecaku. W myślach oceniła sytuację. Uznała, że pozostało jeszcze sześciu lub siedmiu mężczyzn, łącznie z Barbeaux.

Barbeaux. Przypominał jej Diogenesa Pendergasta. Błyskotliwego. Onieśmielającego. Ze skłonnościami do sadyzmu, jaki przejawiają wyłącznie psychopaci. Ale Barbeaux był prymitywniejszy, bardziej militarystyczny, mniej wyrafinowany.

Constance nienawidziła go teraz tak bardzo, że niemal czuła żar nienawiści rozpalający całe jej wnętrze żywym ogniem.

John Barbeaux czekał w ciemnościach Palmiarni. Dwaj mężczyźni, którzy zostali z nim, ułożyli Pendergasta na podłodze. Skuty kajdankami agent pozostał nieprzytomny mimo wymierzonych mu siarczystych policzków, a nawet rażenia go pastuchem. Barbeaux nachylił się i przyłożył dwa palce do jego szyi, usiłując wyczuć puls. Nic. Przycisnął palce mocniej. A jednak puls był, choć bardzo słaby.

Pendergast znajdował się u progu śmierci.

Barbeaux poczuł lekki niepokój. Zbliżała się chwila jego triumfu, chwila, na którą czekał od tak dawna, fantazjując o niej, wyobrażając sobie moment, kiedy Pendergast stanie oko w oko z prawdą. Moment, który obiecał mu Alban. Ale nie wszystko poszło, jak to sobie zamarzył. Pendergast był zbyt słaby, żeby mógł zrozumieć w pełni bezmiar swojej porażki. Co więcej, przeprosił Barbeaux, czym kompletnie go zaskoczył. Wziął na siebie odpowiedzialność za grzechy ojców. To było dla Barbeaux szokiem, który odebrał mu wiele radości z tego, co zdołał osiągnąć, pozbawił go szansy na upajanie się zwycięstwem. A przynajmniej tak tłumaczył sobie powód dziwnego niepokoju.

No i jeszcze ta dziewczyna...

Pojmanie jej zajmowało jego ludziom więcej czasu, niż się spodziewał, i znów zaczął krążyć niespokojnie w tę i z powrotem. Jego ruchy sprawiły, że pojedyncza świeca stojąca na stole zamigotała i zaczęła skwierczeć. Zgasił ją dmuchnięciem, pozostawiając Palmiarnię skąpaną w blasku księżyca. Usłyszał kolejne strzały. Tym razem wyjął krótkofalówkę.

– Steiner. Zgłoś się.

– Sir – rozległ się głos dowódcy jednostki operacyjnej.

– Steiner, co się dzieje?

– Ta suka załatwiła dwóch naszych ludzi. Oblała ich kwasem czy czymś.

– Przestańcie do niej strzelać – rzucił Barbeaux. – Chcę mieć ją żywą.

– Tak jest, sir. Ale...

– Gdzie ona jest teraz?

– W koronach drzew w Pawilonie Tropikalnym. Ma butelkę z kwasem i jest kompletnie pokręcona... to wariatka...

– Jest was trzech, macie broń automatyczną i nie potraficie poradzić sobie z jedną kobietą siedzącą na drzewie, ubraną tylko w halkę i uzbrojoną w – jak mówicie – butelkę z jakimś kwasem? Czy dobrze zrozumiałem?

Wahanie.

– Tak.

– Zaraz, ale w czym, kurwa, problem?

Kolejne zawahanie.

– Nie ma żadnego problemu, sir.

– To dobrze. Bo byłby, gdybyście ją zabili. Ten, kto ją zabije, zapłaci za to życiem.

– Sir... proszę wybaczyć, ale cel... nie żyje albo jest umierający. Zgadza się?

– Do czego zmierzacie?

– Pytam tylko, po co nam ta dziewczyna? Nawet gdyby zdobyła tę roślinę... to i tak bez znaczenia. Łatwiej byłoby po prostu ostrzelać ją i strącić z...

– Nie słyszeliście, co przed chwilą powiedziałem, Steiner? Chcę mieć ją żywą.

Cisza.

– Ale... co mamy zrobić?

I to ma być zawodowiec. Barbeaux nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Wziął głęboki oddech.

– Ustawcie zespół na pozycji. Podchodźcie ukośnie, pod kątem. Płyn spływa pionowo w dół.

Znów cisza.

– Tak jest, sir.

Barbeaux wsunął krótkofalówkę do futerału. Samotna dziewczyna przeciwko zawodowym najemnikom, z których kilku należało wcześniej do sił specjalnych. A jednak wzbudziła w nich trwogę. Nie do wiary. Tyle że teraz niedoskonałość jego ludzi stała się oczywista. Wariatka? Jasne, że tak, ta dziewczyna musiała być szalona jak Kapelusznik. Nie docenił jej. Ale to się nie powtórzy.

Schylił się i dotknął dłoni Pendergasta. Teraz nie czuł już pulsu,

jakkolwiek mocno czy głęboko naciskał.

– Niech to szlag – wymamrotał przez zęby.

Poczuł się oszukany, zdradzony, okradziony ze zwycięstwa, którego tak łaknął. Kopnął z całej siły bezwładne ciało.

Odwrócił się do dwóch mężczyzn, którzy zajęli pozycje po obu stronach Pendergasta. Nie trzeba już było czuwać nad ciałem. Mieli ważniejsze zadanie do wykonania.

Barbeaux spojrział na swoich ludzi, a potem wskazał ruchem kciuka za siebie.

– Dołączcie do tamtych – warknął. – Dorwijcie tę dziewczynę.

Do ocalałego z pierwszego ataku mężczyzny dołączyło jeszcze dwóch. Z tego, co Constance wychwyciła z rozmów przez krótkofalówki, wiedziała, że w drodze było jeszcze przynajmniej dwóch. Mężczyźni gromadzili się poniżej i opracowywali plan. Widziała, jak rozdzielają się w gęstwinie krzewów poniżej. A potem zaczęli wspinać się na sąsiednie drzewa, otaczające to, na którym się schroniła. Zamierzali zająć ją z trzech stron.

Włożyła mały pojemnik na chemikalia do plecaka, który zarzuciła sobie na szyję, żeby mieć wolne ręce, po czym wspięła się wyżej. Pień stawał się węższy i zaczynał się kiwać, a konary rozgałęziały się na wszystkie strony. W pewnym momencie dotarła do miejsca, gdzie pień rozdzielał się na całą masę smukłych gałęzi, które uginały się i bujały w rytm jej ruchów. Szklana kopuła znajdowała się niecałe dwa metry nad jej głową.

Gdy Constance wspinała się coraz wyżej, usiłując dotrzeć do szklanego sklepienia, cały wierzchołek drzewa zaczął się niebezpiecznie kołysać. Mężczyźni także dotarli już do koron drzew i pięli się po równoległych konarach, powoli ją osaczając.

Konar, którego się uchwyciła, pękł z trzaskiem i osunęła się w dół. Zahamowała upadek, chwytając się kurczowo kilku mniejszych gałęzi, ale zawisała w powietrzu, kołysząc się i szukając oparcia dla stóp.

– Tam jest!

Padł na nią promień latarki, gdy powoli zaczęła dźwigać się w górę i w końcu zdołała oprzeć stopy na jednej z wytrzymalszych gałęzi.

Każde poruszenie wprawiało gałęzie w kolejny paroksyzm wahaniec i skrzypnięć.

Starając się nie wprawić górnych konarów drzewa w silniejsze wychylenia, ostrożnie kontynuowała wspinaczkę. Najmniejsze gałęzie i konary były oddalone trzydzieści centymetrów od szklanej kopuły, ale były zbyt cienkie, by mogły utrzymać większy ciężar. Promienie latarek dosięgły

jej z trzech stron.

Cichy śmiech.

– Hej, maleńka. Jesteś otoczona. Zejdź stamtąd.

Constance wiedziała, że gdyby któryś z nich wdrapał się wyżej, ich wspólny ciężar na splatających się ze sobą konarach sprawi, iż popękają i wszyscy runą na ziemię. Tyle że tamci nie zdawali sobie z tego sprawy. Napawali się swoim rychłym zwycięstwem.

Przez prześwity w gałęziach drzew zauważyła, że do Pawilonu Tropikalnego weszło jeszcze dwóch mężczyzn. Jeden z nich wyjął pistolet i wycelował do niej.

– Złóż albo wpakuję ci kulkę.

Zignorowała to, pnąc się jeszcze wyżej z zachowaniem największej ostrożności i równowagi.

– Złóż stamtąd, do cholery!

Była tuż pod szklaną kopułą. Gałęzie kołysały się i trzęsły, jej nagie stopy ześlizgiwały się z nich. Nie miała niczego, czym mogłaby zbić szybę nad sobą, poza, rzecz jasna, plecakiem, a nie odważyłaby się tego zrobić w obawie, by nie stłuc znajdujących się w środku buteleczek. Stabilizując pozycję na najwyższych gałęziach na tyle, na ile to było możliwe, wyjęła z plecaka kawałek materiału, owinęła nim dłoń zaciśniętą w pięść i jednym uderzeniem wybiła tafłę szkła powyżej.

To wprawilo w gwałtowne drżenie platformę splecionych konarów, na których przycupnęła, i osunęła się kilkadziesiąt centymetrów w dół, gdy wokół niej posypał się grad odłamków szkła.

– Wyjdzie przez dach! – zawołał jeden z mężczyzn.

Desperackim, ryzykownym ruchem wybiła się w górę i zaciśnęła palce na metalowej framudze, usiłując poprawić uchwyt, raniąc je o pozostałe w niej odłamki szkła. Najpierw wystawiła na zewnątrz niewielki pojemnik, a potem plecak, umieściła je na kopule i dopiero wtedy podciągnęła się i sprawnie wyczołgała na górę.

Stała na obramowaniach poszczególnych tafli szkła, by nie stąpać po samym szkłe, uklękła, otworzyła nieduży pojemnik na chemikalia i wyjęła z niego drugą buteleczkę. Dwaj mężczyźni, którzy wspinali się na sąsiednie drzewa, byli tuż pod nią; kierowali się w stronę otworu w kopule. Trzeci pospiesznie schodził na dół, bez wątpienia chciał dołączyć do dwóch

kompanów, którzy tam czekali i szykowali się, by przechwycić ją na zewnątrz.

Nachyliła się nad otworem, który wybiła w dachu, i spojrzała na wspinacza znajdującego się bliżej niej. Krzyczał coś i wymachiwał pistoletem. Wyjąwszy korek z buteleczki, opróżniła jej zawartość na mężczyznę i szybko się cofnęła. Pistolet wypalił, roztrzaskując tafłę szkła tuż obok niej, a potem rozległ się wrzask, pośród księżycowej nocy pojawiła się mętnawa chmura kwaśnego dymu, czemu towarzyszyło skwierczenie liści i gałązek, które skręcały się i strzelały małymi płomykami. Usłyszała, jak ciało, spadając, obija się o kolejne gałęzie, by ostatecznie wylądować na ziemi przy wtórze przyprawiającego o mdłości wilgotnego plaśnięcia.

Drugi ze wspinających się odpowiedział kanonadą strzałów, rozbijając szyby wokół niej, ale znajdował się w górnych partiach drzewa i gałęzie kołyszące się pod nim utrudniały mu celowanie. A może nie chciał jej trafić, lecz jedynie starał się ją zastraszyć. To bez znaczenia. Sięgnęła po trzecią buteleczkę, prześlizgnęła się po kopule, zajmując odpowiednią pozycję, wyjęła korek i wychylając się ponad jednym ze świetlików roztrzaskanych przez kule, wylała zawartość naczynia na mężczyznę. Buchnęły kłęby pary i powietrze przecięła kolejna kula, ciągnąc za sobą szkarłatną oleistą smugę, a Constance cofnęła się, by jej uniknąć. Przez otwór w szkle dobiegł zawodzący, rozdzierający gardło skowyt, a zaraz potem raz jeszcze rozległy się odgłosy towarzyszące bezwładnemu upadkowi ciała na ziemię. Wyjęła z pojemnika ostatnią buteleczkę i cisnęła ją przez inny ze strzaskanych świetlików. Może zadziała jak granat – załatwi jednego lub więcej mężczyzn czekających na nią na dole. Usłyszała dziwne pyknięcie przypominające dźwięk włączanej kuchenki gazowej, a potem hen, poniżej buchnęły jęzory ognia, falując gniewnie przez kilka sekund, zanim w końcu zgasły.

Potem zapadła kompletna cisza.

Pozostawiając pusty już pojemnik na chemikalia na kopule, Constance zarzuciła plecak na ramię i zaczęła przesuwać się po kopule w kierunku drabinki prowadzącej na dół.

Zeszła w chwili, gdy z kompleksu cieplarni wybiegali dwaj mężczyźni, a zaraz potem pojawił się trzeci. Wbiegła do ciemnego arboretum, gdzie wśród wielkich drzew panował prawie nieprzenikniony mrok. Skręcając pod kątem prostym w prawo, skierowała się ku gęsto porośniętemu Ogrodowi

Japońskiemu. Przy bramie torii przycupnęła wśród cieni i obejrzała się za siebie. Prześladowcy zgubili ją wśród drzew, a teraz utworzyli rozproszoną formację, próbując ją okrążyć, komunikując się między sobą przez krótkofalówki. Z pobliskich budynków nie wyłonił się nikt więcej.

Czyli, skonstatowała Constance, Barbeaux został w Palmiarni sam z Pendergastem.

Trzej mężczyźni rozdzielili się jeszcze bardziej, zbliżając się do Ogrodu Japońskiego. Constance przemknęła cichcem przez ciemność i ominęła staw, przesuając się wąskimi zwirowymi ścieżkami wzdłuż gęsto rosnących tu połamanych wierzb, wiśni, cisów i klonów japońskich. W połowie długości stawu wznosił się rustykalny pawilon.

Z dobiegających w krótkofalówkach głosów i szeptów Constance zdołała zorientować się, że trzej mężczyźni zajęli pozycje na bazie trójkąta wokół Ogrodu Japońskiego. Musieli wiedzieć, że ją otoczyli; przypuszczali, że gdzie się przyczaiła.

Nadeszła już pora.

Constance uklękła w ciemnym zakątku wśród poskręcanych jałowców i opuściła plecak na ziemię. Otworzyła go i zajrzała do środka. Wyjęła stary bandolier z grubej skóry z naszytymi szlufkami na naboje, który pożyczyła z sali z kolekcją militariów Enocha Lenga. Przerzuciła go przez jedno ramię i przewiązała się w talii zwieszającymi się u dołu paskami. Ponownie sięgnąwszy do plecaka, wyjęła ze starej szkatułki pięć dużych identycznych strzykawek i ułożyła w rzędzie na miękkiej ziemi. Były to stare, wykonane z dmuchanego ręcznie szkła strzykawki irygacyjne, z rodzaju kateterów, służące do podawania doustnie leków koniom i innym dużym zwierzętom. One również pochodziły z gabinetu osobliwości Lenga, w tym wypadku z kolekcji weterynaryjnych kuriozów, a ich zawartość służyła dawnemu opiekunowi Constance do eksperymentów, nad którymi lepiej było w ogóle się nie zastanawiać. Wszystkie pięć strzykawek wypełniono kwasem triflatowym, a dzięki specyfice naczynia można było wykorzystać ich zawartość w bardziej ukierunkowany sposób niż wylewając go z buteleczek. Każda strzykawka miała prawie trzydzieści centymetrów długości i była gruba jak tuba do kalfatażu – uszczelniania okrętu pakułami i smołą. Wykonano je ze szkła borokrzemianowego, a metakrzemian sodu służył jako lubrykant i jako materiał uszczelniający. Te ostatnie szczegóły były

wyjątkowo ważne: kwas triflatowy, znany jako superkwas, o czym miała okazję się przekonać, gwałtownie atakował każdą substancję zbudowaną na bazie wiązań węglowodorowych.

Constance wsunęła pokaźne strzykawki do skórzanych szlufek bandoliera. Wykonano go po to, by można w nim przenosić pociski artyleryjskie kalibru pięćdziesiąt milimetrów, i strzykawki pasowały idealnie. Każda miała końcówkę zabezpieczoną szklanym korkiem, ale mimo to Constance obchodziła się z nimi bardzo delikatnie: kwas triflatowy był nie tylko potężnym superkwasem, lecz również zabójczą neurotoksyną. Upewniwszy się, że bandolier jest dobrze założony, podniosła się ostrożnie, porzucając pusty już plecak, i rozejrzała się dokoła.

Trzech mężczyzn.

Opuszczając kryjówkę wśród krzewów, ruszyła w stronę pawilonu – drewnianej budowli z otwartymi boksami i nisko zwieszającym się dachem z cedrowych deszczulek. Wspięła się na barierkę, schwyciła brzeg dachu, podciągnęła się i uklękła, wyglądając ponad jego krawędzią. Mężczyźni zacieśniali pętlę, wchodząc z bronią gotową do strzału na teren Ogrodu Japońskiego. Zbliżali się z trzech stron, przepatrując gęstwinę w świetle latarek. Jeden z nich kierował się w stronę pawilonu. Przycupnęła nisko, gdy promień jego latarki przesunął się tuż obok niej. W kompletnej ciszy Constance wysunęła jedną strzykawkę z bandoliera, zdjęła ochronną szklaną nasadkę, wycelowała w mężczyznę, a potem puściła długą dymiącą strugę kwasu, obryzgując go od góry do dołu.

Zalane superkwasem ubranie mężczyzny stanęło w ogniu i błyskawicznie się rozpuściło. Przerażliwe okrzyki niemal natychmiast zmieniły się w gardłowy charkot. Wymachując rozpaczliwie rękami, mężczyzna zatoczył się w jedną, a potem w drugą stronę – ciało dosłownie zaczęło odpadać mu od kości w miejscach, gdzie trafił go kwas – a po chwili runął bezwładnie do stawu. Gdy wpadł do wody, w powietrzu uniosła się gęsta chmura tłustych oparów, rozchodząca się wolno ponad tonią wzburzoną przez targane konwulsjami ciało. W kilka sekund mężczyzna znikł pod powierzchnią, pozostawiając na niej tylko chmurę bąbli powietrza.

Dwaj pozostali mężczyźni wpadli w gęstwinę. Teraz już wiedzieli, że Constance znajduje się na dachu pawilonu.

Nie dając im czasu na ochłonięcie, cisnęła pustą już strzykawkę w bok

i przepęzła po dachu w kierunku stawu. Osłonięta przed wzrokiem tamtych przez pawilon, ześlizgnęła się ostrożnie do wody i zanurkowawszy, przepłynęła pod powierzchnią w stronę przeciwległego brzegu i tam wyszła. Mężczyźni zaczęli strzelać do niej z ukrycia, ale kucając w ciemnościach i celując z odległości ponad trzydziestu metrów, żaden z nich nie trafił. Wpęzła w gęszcz azalii rosnących nad stawem i na czworakach przeczołgała się jeszcze dalej między krzewy, podczas gdy kolejne pociski rozłupywały gałęzie nad jej głową. Mężczyźni strzelali pomimo wyraźnych rozkazów Barbeaux. Byli wściekli i ogarnięci paniką. Mimo to nadal jej zagrażali. Musiała być gotowa na to, co mogło się zdarzyć.

Wyobraziła sobie lwicę w buszu, pełną nienawiści i dzikich myśli o zemście.

Dotarłszy do centrum gęszczy azalii, przyczała się w ciemnościach. Bezszelestnie wyłuskała z bandoliera następną strzykawkę i przygotowała ją do użycia. Czekala spięta, nasłuchując.

Nie widziala tamtych, ale słyszała ich szepty. Obeszli staw i najwyraźniej zatrzymali się w azaliach jakieś dziesięć metrów od niej. Dalsze szepty uświadomiły jej, że mężczyźni przepatrywali brzegi stawu. Usłyszała szum krótkofalówki, krótką rozmowę. Nie byli tak spanikowani, jak się spodziewała. Wierzyli w przewagę, jaką dawała im broń palna.

Odnaleźli jej trop i weszli w gęstwinię. Hałas, jaki przy tym robili, pozwolił jej lepiej określić kierunek, skąd nadchodzili. Czekala w bezruchu, przywierając do ziemi wśród gęstwiny krzewów. Tamci wciąż się zbliżali, przedzierając się przez azalie, poruszając się z ogromną ostrożnością. Pięć metrów, trzy...

Lwica nie zamierzała czekać. Zaatakuję.

Constance zerwała się i pognęła w ich stronę, nie wydając nawet najcichszego dźwięku. Zaskoczeni mężczyźni nie zdążyli zareagować, zanim ich dopadła. W biegu, odwracając się bokiem, żeby nie zostać opryskaną przez rozbryzgujący się strumień ciecży, opróżniła zawartość strzykawki na jednego z mężczyzn, zalewając go bezbarwną strugą śmierci. Nie zatrzymując się, odrzuciła pustą strzykawkę, wydobyla drugą i wykonała płynny obrót, by opróżnić pojemnik, oblewając jego zawartością drugiego prześladowcę. Także teraz ani na chwilę nie zwolniła, lecz wyrzuciwszy zużyta strzykawkę, wybiegła z gęstwiny azalii i dopiero tam zatrzymała się

i obejrzała przez ramię, by oszacować swoje dzieło.

W miejscu, skąd się przed chwilą wyłoniła, spora połać azaliowych zarośli stała teraz w ogniu, całe krzewy eksplodowały jak prażona kukurydza, strzelając jęzorami płomieni, liście czerniały, gałęzie pochłaniała czerwonopomarańczowa poświata. Mężczyźni wyli, jeden strzelał na oślep w przestrzeń, drugi kręcił się w kółko jak fryga, orząc palcami twarz. Po chwili obaj osunęli się na kolana, a z ich rozpuszczającego się ciała spływały skłębione opary szaroróżowej mgiełki. To, co zostało z obu mężczyzn, zległo na ziemi targane konwulsjami, a krzewy wokół nich ciemniały i niknęły w oczach.

Constance jeszcze przez chwilę wpatrywała się w tę upiorną scenę. W końcu odwróciła się, przeszła pospiesznie przez wilgotną od rosy połać traw i znalazła się na ścieżce wiodącej do Palmiarni, której szklane panele lśniły łagodnie w blasku księżyca.

– Wróciłam – zza pleców Barbeaux dobiegł dziwnie staroświecki głos.

Mężczyzna odwrócił się, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Ujrzał przed sobą drobną postać Constance Greene. W jakiś sposób zdołała bezgłośnie podkraść się do niego.

Patrzył na nią oszołomiony. Jej czarna halka była porozrywana, czoło i twarz brudne, umazane błotem i krwawiące z dziesiątków zadrapań. Włosy miała pozlepiane, z grudkami błota, kawałkami gałązek i liści. Wyglądała bardziej jak dzika bestia niż człowiek. A jednak głos i oczy były zimne, nieodgadnione. Była bezbronna, miała puste ręce.

Zachwiała się lekko, spoglądając na Pendergasta leżącego u stóp Barbeaux, a potem przeniosła wzrok na niego.

– On nie żyje – powiedział Barbeaux.

Nie zareagowała. Jeżeli w tej wariatce były jakieś normalne emocje, Barbeaux ich nie dostrzegał i to go denerwowało.

– Chcę poznać nazwę tej rośliny – rzekł, kierując broń w jej stronę.

Nic. Zupełnie jakby go nie słyszała.

– Zabiję cię, jeśli nie podasz mi tej nazwy. Zabiję cię w najokropniejszy sposób, jaki możesz sobie wyobrazić. Podaj mi nazwę tej rośliny.

Dopiero teraz się odezwała:

– Zaczęłeś czuć zapach lilii, prawda?

Domyśliła się.

– Skąd...?

– To oczywiste. Po co miałbyś chcieć zachować mnie przy życiu? I po co miałbyś chcieć tę roślinę teraz, kiedy on nie żyje? – Ruchem ręki wskazała na Pendergasta.

Dzięki samodyscyplinie zrodzonej z długoletniej praktyki Barbeaux zdołał się opanować.

– A moi ludzie?

– Zabiłam ich wszystkich.

Chociaż Barbeaux domyślał się, że sytuacja przybrała niekorzystny obrót, na co mogła wskazywać cisza w eterze, nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Patrzył na szaleńczą istotę stojącą przed nim.

– Ale jak, u licha...? – wyszeptał.

Nie odpowiedziała.

– Proponuję układ. Ty chcesz... potrzebujesz tej rośliny. Ja chcę zabrać ciało mojego opiekuna, żeby urządzić mu należyty pochówek.

Barbeaux patrzył na nią przez chwilę. Młoda kobieta czekała z głową lekko przechyloną w bok. Znow się zachwiała. Wyglądała, jakby mogła w każdej chwili zemdleć.

– W porządku – powiedział, wykonując gest trzymanym w dłoni pistoletem. – Pójdziemy wspólnie do Aquatic House. Kiedy uznam, że powiedziałaś prawdę, pozwolę ci odejść.

– Obiecujesz?

– Tak.

– Nie jestem pewna, czy dam radę iść o własnych siłach. Podtrzymaj mnie za ramię.

– Tylko żadnych sztuczek. Prowadzisz.

Szturchnął ją pistoletem. Była sprytna, ale nie dość sprytna. Kiedy tylko wskaże mu roślinę, umrze.

Potknęła się o ciało Pendergasta, minęła je i powłócząc nogami, weszła do Muzeum Bonsai. Tam upadła i nie była w stanie podnieść się o własnych siłach. Barbeaux musiał jej pomóc. Weszli do Aquatic House.

– Podaj mi nazwę tej rośliny – zażądał Barbeaux.

– *Fragmipedium*. Ogień Andów. Aktywny składnik znajduje się w podwodnym kłęczu.

– Pokaż mi ją.

Potykając się i przytrzymując barierki, Constance obeszła duży centralny staw.

– Pospiesz się.

Na drugim końcu stawu znajdował się ciąg opadających mniejszych sadzawek. Tabliczka przy jednym z nich informowała, że w tym zbiorniku znajduje się roślina znana jako Ogień Andów. Zakołysała się i wskazała ręką.

– Tam.

Barbeaux spojrział w ciemną wodę.

– W sadzawce nic nie ma.

Constance osunęła się na klęczki.

– O tej porze roku roślina jest w stanie uśpiania. – Głos miała powolny, chropowaty. – Korzenie znajdują się w błocie na dnie.

Machnął pistoletem.

– Wstawaj.

Spróbowała się podnieść.

– Nie mogę się ruszyć.

Barbeaux zaklął, zdjął marynarkę, ukląkł przy sadzawce i włożył rękę do wody. Nie podwinął rękawa koszuli.

– Nie zapomnij o swojej obietnicy – wymamrotała Constance.

Ignorując jej słowa, Barbeaux zaczął grzebać w mule na dnie. Po kilku sekundach wyciągnął rękę z wody z dziwnym stęknięciem. Coś było nie tak. I to nawet bardzo. Bawełniany materiał jego koszuli zaczął się rozpuszczać i spływać z jego ramienia pośród obłoczków dymu.

Z oddali dobiegło przenikliwe, niepokojące zawodzenie policyjnych syren.

Barbeaux podźwignął się na nogi, zatoczył do tyłu z rykiem wściekłości, wyszarpnął pistolet lewą ręką i uniósł do strzału, ale Constance Greene znikła już w pobliskich zaroślach.

Ból narastał, przeraźliwy, pełznący w górę jego ramienia i wdzierający się do głowy. Już po chwili Barbeaux poczuł w mózgu coś, co przypominało silne wyładowanie elektryczne, a zaraz po nim kolejne, jeszcze silniejsze. Zakołysał się w przód i w tył, wymachując w powietrzu dymiącą ręką, i widział, jak jego skóra zaczyna czernieć, a następnie odpadać płatami, ukazując znajdujące się pod nią tkanki. Zaczął strzelać jak oszalały w otaczającą go dżunglę, choć oczy zaszły mu mgłą, płuca odmawiały posłuszeństwa, a wstrząsy elektryczne pod czaszką i skurcze mięśni w całym ciele nawracały coraz gwałtowniej, z coraz większą siłą, aż kolejny spazm powalił go na kolana, a potem przewrócił na ziemię.

– Nie ma sensu z tym walczyć – rzekła Constance.

Znów się pojawiła, wyłaniając się z jakiejś kryjówki, a Barbeaux kątem oka dostrzegł, że podniosła jego broń i wyrzuciła w krzaki.

– Kwas triflutowy, który wpuściłam do tej sadzawki, jest nie tylko wyjątkowo żrący, ale ma też silne działanie toksyczne. Kiedy przeżre się

przez skórę, zaczyna zatruwać cały organizm. To neurotoksyna. Umrzesz w straszliwych męczarniach.

Odwróciła się i znów zniknęła.

W przypiływie wściekłości Barbeaux zdołał się podnieść i nawet próbował ruszyć za nią w pościg, ale dotarł tylko do drugiego końca Palmiarni i ponownie runął ciężko na ziemię. Raz jeszcze spróbował wstać, ale stwierdził, że zupełnie utracił władzę nad mięśniami.

Odgłosy syren przybrały na sile i gdzieś w oddali, pośród mgiełki bólu Barbeaux usłyszał wołania i tupot stóp. Constance pobiegła w stronę, skąd dochodziły odgłosy zamieszania. Barbeaux prawie tego nie zarejestrował. Jego mózg płonął. Mężczyzna wył, choć jego drgające konwulsyjnie usta nie były w stanie wydać z siebie słowa. Całym jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze, mięśnie brzucha zacisnęły się tak mocno, że był pewien, iż lada chwila popękają, a gdy spróbował krzyknąć, z jego gardła wypłynął tylko cichy szepc wydechu. Odgłosy zamieszania zbliżały się i wyłapywał już pojedyncze słowa.

– ...Defibrylator... Naładowany! ...Jest puls!... Podłączcie kroplówkę z pięcioprocentowym roztworem glukozy w wodzie!... Do karetki z nim!...

Całe godziny, a może ledwie kilka chwil później funkcjonariusz policji i ratownik medyczny pochylili się nad nim, a ich twarze wypełnił wyraz szoku. Barbeaux poczuł, że jest unoszony i kładziony na noszach. Zaraz potem pojawiła się Constance Greene i spojrzała na niego z góry. Poprzez mgłę bólu i targających nim konwulsji Barbeaux próbował powiedzieć, że go okłamała, że zerwała umowę. Z jego ust nie wypłynął nawet jęk.

Ale i tak go zrozumiała. Pochyliła się i powiedziała cicho, tak, żeby tylko on mógł ją usłyszeć:

– To prawda. Nie dotrzymałam umowy. Tak jak ty zamierzałeś to zrobić.

Ratownicy mieli zaraz dźwignąć nosze, więc dodała pospiesznie:

– Jeszcze jedno. Twoim największym błędem było to, że uwierzyłeś, iż masz – użyję wulgaryzmu, choć staram się tego unikać – większe jaja.

I zanim owładnął nim nieopisany ból zaćmiewający mu wzrok, Barbeaux zobaczył jeszcze, jak Constance podnosi się, odwraca i znika w oddali, podczas gdy nosze, na których leży Pendergast, są kierowane w stronę czekającej karetki.

W ciągu pięciu minut sytuacja w Brooklyńskim Ogrodzie Botanicznym zmieniła się z czystego szaleństwa w kompletny oblęd. Ratownicy medyczni, policjanci, strażacy byli dosłownie wszędzie, zabezpieczając cały teren, porozumiewając się przez krótkofalówki, wydając okrzyki zdumienia i odrazy przy każdym kolejnym przerażającym odkryciu.

Gdy D'Agosta truchtał w stronę centralnego pawilonu, w jego stronę nadbiegła dziwna postać – kobieta ubrana tylko w podartą halkę, cała brudna, z włosami pozlepianymi błotem i pełnymi połamanymi gałązek oraz fragmentów roślin.

– Tutaj! – zawołała postać.

Ze zdumieniem rozpoznał w niej Constance Greene. Odruchowo zaczął zdejmować marynarkę, żeby ją okryć, ale minęła go i podbiegła do grupy ratowników medycznych.

– Tędy! – zawołała, prowadząc ich w stronę wielkiej wiktoriańskiej budowli z metalu i szkła.

Margo i D'Agosta podążyli za nimi przez boczne drzwi do długiej sali, gdzie najwyraźniej szykowano się do urządzenia przyjęcia weselnego, jednak miejsce to wyglądało, jakby balowała w nim banda rockersów: stoliki były poprzewracane, krzesła połamane, szklane naczynia potłuczone. Na drugim końcu sali, na parkiecie tanecznym leżały dwa ciała. Constance podprowadziła ratowników medycznych do jednego z nich. Kiedy D'Agosta zobaczył, że leżącym mężczyzną jest Pendergast, aż się zdziwił i przytrzymał oparcia jednego z krzesel. Odwrócił się do ratowników medycznych i krzyknął:

– Najpierw zajmijcie się tym tutaj!

– O nie – zaszlochała Margo, przykładając dłoń do ust. – Nie.

Ratownicy medyczni otoczyli Pendergasta i zaczęli podstawową procedurę mającą na celu udrożnienie dróg oddechowych, przywrócenie

oddechu i krążenia.

– Defibrylator! – warknął jeden z nich przez ramię.

Zjawił się sanitariusz z urządzeniem pierwszej pomocy, a tymczasem Pendergastowi zdjęto koszulę.

– Gotowy! – powiedział sanitariusz.

Do piersi nieprzytomnego mężczyzny przyłożono elektrody, ciało drgnęło gwałtownie, po chwili procedurę powtórzono.

– Jeszcze raz! – rozkazał ratownik medyczny.

Kolejny ładunek, kolejny wywołany wstrząsem elektrycznym skurcz.

Dopiero teraz, gdy Pendergast został ułożony na noszach, D’Agosta zwrócił uwagę na drugą leżącą postać. Ciałem targały gwałtowne konwulsje, oczy patrzyły w przestrzeń, usta poruszały się bezgłośnie. Mężczyzna miał na sobie koszulę, był w średnim wieku i wyglądał na dobrze zbudowanego. D’Agosta rozpoznał go ze zdjęć ze strony internetowej Red Mountain jako Johna Barbeaux. Jedną rękę miał pokrytą bąblami, dymiącą, widać było w niej odsłoniętą kość, a rękaw koszuli był wyżarty prawie do ramienia. Kilku ratowników medycznych, którzy właśnie przybyli, pochyliło się i zaczęło czynności zgodnie z procedurami. Gdy D’Agosta patrzył, Constance podeszła do targanego drgawkami ciała Barbeaux, odsunęła jednego z ratowników medycznych i nachyliła się. Dostrzegł, że jej usta poruszyły się, gdy szeptem przekazywała mężczyźnie jakąś wiadomość, a potem odwróciła się i rzekła do ratowników:

– Jest wasz.

– Panią też trzeba się zająć – rzekł kolejny ratownik medyczny, podchodząc do niej.

– Nie dotykaj mnie.

Cofnęła się i odwróciła, znikając w ciemnych trzewiach kompleksu ciepłarni. Ratownicy odprowadzili ją wzrokiem, po czym skierowali uwagę na Barbeaux.

– Co jej się stało, do cholery? – D’Agosta zwrócił się do Margo.

– Nie mam pojęcia. Ale jest tu sporo... martwych ciał.

D’Agosta pokręcił głową. To mogło poczekać. Przeniósł uwagę na Pendergasta. Ratownicy medyczni właśnie dźwigali nosze, na których leżał, jeden trzymał w uniesionej ręce pojemnik z kroplówką i już po chwili mężczyźni ruszyli w kierunku najbliższej karetki. D’Agosta i Margo podążyli

za nimi.

Gdy tak szli szybkim krokiem, ponownie pojawiła się Constance. W dłoni trzymała ociekającą wodą dużą różową lilię.

– Teraz mogę wziąć twoją marynarkę – powiedziała do D’Agosty.

D’Agosta zarzucił marynarkę na jej ramiona.

– Nic ci nie jest?

– Nic.

Odwróciła się do Margo.

– Masz to, co miałaś zdobyć?

W odpowiedzi Margo przyłożyła dłoń do torby, którą miała przewieszoną przez ramię.

Na parkingu stało kilka karetek z włączonymi, obracającymi się kogutami. Zmierzając w ich stronę, Constance przyspieszyła, by zabrać torbę na ramię ukrytą wśród krzewów. Ratownicy medyczni otworzyli tylne drzwi najbliższej karetki, wtoczyli do środka wózek noszowy z Pendergastem i wsiedli. D’Agosta też wskoczył do karetki, a za nim Margo i Constance. Ratownicy medyczni spojrzeli na kobiety.

– Przykro mi – powiedział jeden z nich – ale musicie wsiąść do drugiej...

D’Agosta uciszył go, błyskając odznaką. Wzruszywszy ramionami, ratownik zatrzasnął drzwiczki; włączyła się syrena. Constance podała Margo torbę i lilię.

– Co to jest? – spytał gniewnie jeden z ratowników. – To nie jest sterylne. Nie wolno tu tego wnosić!

– Odsuń się – rzuciła ostro Margo.

D’Agosta położył dłoń na ramieniu mężczyzny i wskazał na Pendergasta.

– Wy dwaj skupcie się na pacjencie, a ja biorę na siebie odpowiedzialność za całą resztę.

Ratownik medyczny zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

D’Agosta patrzył, jak Margo zabiera się do pracy. Otworzyła schowek znajdujący się w tylnej części karetki, wysunęła szufladę, z torby Constance zaczęła wyciągać różne rzeczy – stare buteleczki wypełnione płynami, ampułki i pojemniki z jakimiś substancjami w proszku, a także słoje ze środkiem zmiękczającym. Wyłożyła je po kolei i poukładała w rzędzie. Do tego wszystkiego dodała lilię oraz kilka zasuszonych okazów roślin, które wyjęła ze swojej torby i wyłuskała spomiędzy kawałków potłuczonego szkła.

Obok tych przedmiotów położyła pomięty świstek papieru, który wcześniej wygładziła; przytrzymała się mocno uchwyty, gdy karetka skręciła ostro w Washington Avenue przy wtórze zawodzącego sygnału.

– Co robisz? – zapytał D’Agosta.

– Przygotowuję antidotum – odparła Margo.

– Nie powinnaś tego robić w laboratorium?

– A mamy na to czas?

– Jak pacjent? – Constance zwróciła się do ratownika medycznego.

Mężczyzna spojrzał na D’Agostę, a potem na nią.

– Nie za dobrze. Ciśnienie krwi spada, tętno nitkowate. – Wysunął plastikową tacę z boku wózka noszowego. – Zamierzam zaaplikować mu kroplówkę z lidokainą.

Gdy karetka wjechała na Eastern Parkway, D’Agosta zobaczył, że Margo z jednej szuflady wyjmując woreczek z roztworem soli fizjologicznej, a z drugiej skalpel, po czym wyluskuje go z ochronnego srebrnego opakowania. Rozcięła woreczek z roztworem soli fizjologicznej, naląła trochę płynu do pustej plastikowej zlewki i upuściła ciekący woreczek na podłogę.

– Ej – rzucił ratownik medyczny. – Co pani wyprawia, u licha?

Znów został uciszony ostrzegawczym gestem D’Agosty.

Karetka z głośnym rykiem przemknęła obok Prospect Park, a następnie przez Grand Army Plaza. Balansując, by utrzymać równowagę w kołyszącym się pojeździe, Margo wybrała spośród rzeczy z torby Constance niewielki szklany słoik, ogrzała go przez chwilę w dłoniach, a następnie zdjęła z niego pokrywkę i wylała zawartość do plastikowej zlewki. Wnętrze karetki natychmiast wypełniła słodkawa chemiczna woń.

– Co to takiego? – spytał D’Agosta, machając dłonią, by odegnać od siebie ten zapach.

– Chloroform – wyjaśniła Margo i nałożyła pokrywkę na słoik.

Skalpelem pokroiła lilię, którą Constance zdobyła w Aquatic House, zgmiotła kawałki na miazgę, a potem wsypała pulpę wraz z zaszuszonymi pokruszonymi kawałkami rośliny ze swojej torby do płynu w zlewce. Zamknęła zlewkę i potrząsnęła nią.

– Co się dzieje? – spytał D’Agosta.

– Chloroform działa jak rozpuszczalnik. Jest wykorzystywany

w farmakologii przy ekstrakcji substancji z materiałów roślinnych. Potem muszę wygotować większość tego roztworu, bo mógłby okazać się trujący, gdyby został wstrzyknięty w tej postaci.

– Chwileczkę – wtrąciła Constance. – Jeżeli przegotujesz roztwór, popełnisz ten sam błąd co Hezekiah.

– Nie, nie – odparła Margo. – Chloroform wrze w znacznie niższej temperaturze niż woda, w około pięćdziesięciu czterech stopniach Celsjusza. Nie spowoduje zdenaturalizowania protein ani leczniczych składników roztworu.

– Jakie właściwie składniki chcesz wyodrębnić? – spytał D’Agosta.

– Nie mam pojęcia.

– Nie wiesz tego?

Margo odwróciła się do niego.

– Nikt nie wie, jakie są aktywne składniki w tych roślinach. Strzelam w ciemno.

– Jezu – wyszeptał D’Agosta.

Karetka skręciła w Ósmą Aleję, zbliżając się do Nowojorskiego Szpitala Metodystów. Tymczasem Margo spojrzała na listę, dodała więcej płynu, przełamała ampulkę i zmieszała dwa rodzaje sproszkowanej substancji ze szklanych pojemników.

– Poruczniku – powiedziała przez ramię – kiedy dotrzemy do szpitala, będę potrzebować natychmiast kilku rzeczy. Zimnej wody. Kawalka materiału w charakterze filtra. Probówki. Kilku filtrów do kawy. I zwykłej zapalniczki. W porządku?

– Tu masz zapalniczkę – rzekł D’Agosta, sięgając do kieszeni. – Resztą się zajmę.

Karetka zatrzymała się przed wejściem na szpitalny oddział ratunkowy, syrena ucichła. Ratownicy medyczni otworzyli tylne drzwi karetki i wystawili wózek noszowy, przekazując go ekipie ostrego dyżuru. D’Agosta spojrział na Pendergasta przykrytego cienkim pledem. Agent był błydy i nieruchomy jak trup. Jako następna wysiadła z karetki Constance i weszła za wózkiem noszowym do budynku; jej ubiór i wygląd sprawiały, że personel szpitala patrzył na nią dziwnym wzrokiem. Po chwili z ambulansu wyskoczył D’Agosta i szybko ruszył w stronę wejścia. W pewnej chwili odwrócił się i obejrzał przez ramię. Dostrzegł Margo, która wewnątrz karetki, jasno

oświetlonej silnymi świetlówkami, nieprzerwanie i z determinacją wykonywała swoją pracę.

W sali numer trzy na oddziale intensywnej opieki medycznej Nowojorskiego Szpitala Metodystów panował kontrolowany chaos. Jeden sanitariusz wtoczył do sali defibrylator, podczas gdy drugi przygotowywał zestaw do intubacji. Pielęgniarka mocowała elektrody do nieruchomego ciała Pendergasta: mankiet ciśnieniomierza, EKG, pulsoksymetr i nową kroplówkę. Ratownicy medyczni z karetki przekazali informacje o stanie Pendergasta personelowi szpitala, a potem wyszli; nic więcej nie mogli zrobić.

Pojawili się dwaj lekarze w fartuchach i rozpoczęli badanie Pendergasta, zwracając się przyciszonym głosem do pielęgniarek i sanitariuszy.

D'Agosta rozejrzył się wokoło. Constance siedziała na drugim końcu sali, jej drobną postać otulała teraz szpitalna koszula. Pięć minut temu dostarczył do karetki żądane przez Margo materiały. Wciąż tam pozostawała, pracując jak opętana; zapalniczką D'Agosty podgrzała płyn w probówce, więc powietrze przesyciła słodkawa woń.

– Wyniki pacjenta? – spytał jeden z lekarzy.

– Ciśnienie krwi sześćdziesiąt pięć na trzydzieści i spada – odparła pielęgniarka. – Tętno siedemdziesiąt.

– Przygotować pacjenta do intubacji dotchawiczej – rzekł lekarz.

D'Agosta patrzył, jak do sali wtaczano kolejne sprzęty. Czuł przeraźliwą mieszaninę gniewu, rozpacz i ulotnej nadziei, która zżerała go od wewnątrz. Nie mogąc ustać na miejscu, spacerował w tę i z powrotem. Jeden z lekarzy, którzy wcześniej próbowali pozbyć się jego i Constance, spojrział na niego gniewnie, ale policjant go zignorował. Jaki sens miało to wszystko? Cała ta afera z antidotum wydawała się mrzonką albo kompletnym szaleństwem. Pendergast umierał od wielu dni, tygodni – i właśnie nadeszły jego ostatnie chwile. Cały ten zamęt i bezsensowny harmider tylko wzbudzały w nim większe ożywienie. Nie mogli pomóc Pendergastowi. Nikt

nie mógł mu pomóc. Margo mimo swojego talentu próbowała stworzyć eliksir, którego składu procentowego mogła się jedynie domyślać – i który wcześniej nie poskutkował. Poza tym to już i tak nieistotne; zbyt wiele czasu jej to zajęło. Nawet lekarze z całym ich sprzętem nie byli w stanie ocalić Pendergasta.

– Mam rytm letalny – powiedział lekarz monitorujący jeden z ekranów u węzłowia Pendergasta.

– Wstrzymać podawanie lidokainy – rzekł drugi lekarz, przeciskając się między pielęgniarkami. – Przygotować kateter żyły głównej. Dwa miligramy epinefryny, już.

D'Agosta usiadł na wolnym krześle obok Constance.

– Oznaki życiowe słabną – rzekł jeden z lekarzy. – Tracimy go.

– Dajcie tę epinefrynę – warknął drugi. – Natychmiast!

D'Agosta zerwał się z miejsca. Nie! Musiało być coś, co mógł zrobić, musiało być...

W tej samej chwili u wejścia do sali na OIOM-ie pojawiła się Margo Green. Odsuwając parawan, podeszła w stronę łóżka, na którym leżał Pendergast. W jednym ręku trzymała niewielką zlewkę wypełnioną w dwóch trzecich wodnistym zielonkawobrazowym płynem. W górnej części zlewki umieściła na przemian warstwę filtrów do kawy i materiału bawełnianego, który porucznik zabrał z szafki na ostrym dyżurze. Cała zlewka była owinięta cienkim przezroczystym plastikiem i opięta gumką recepturką.

Jeden z lekarzy spojrzał na nią.

– Kim pani jest?

Margo nie odpowiedziała. Podążyła wzrokiem ku nieruchomemu ciału na łóżku. A potem podeszła do grupki pielęgniarek.

– Cholera – zawołał lekarz. – Nie może pani tu przebywać. To pomieszczenie jest sterylne.

– Proszę mi podać strzykawkę – zwróciła się do jednej z pielęgniarek Margo.

Pielęgniarka spojrzała na nią zdziwiona.

– Słucham?

– Strzykawkę. Z dużą igłą. Natychmiast.

– Proszę zrobić to, co ona mówi – rzekł D'Agosta, wyjmując odznakę.

Pielęgniarka przeniosła wzrok z Margo na lekarzy, a potem na D'Agostę.

I bez słowa wysunęła szufladę, ukazując mnóstwo przedmiotów owiniętych w sterylny papier. Margo schwyciła jeden z nich i rozdarła opakowanie, by wyjąć dużą plastikową strzykawkę. Z tej samej szuflady wybrała odpowiednią igłę i zamocowała na końcu strzykawki. Następnie podeszła do D'Agosty i Constance. Ciężko oddychała, na jej skroniach perlił się pot.

– Co się dzieje? – spytał jeden z lekarzy, odrywając się na chwilę od pracy.

Margo przeniosła wzrok z Constance na D'Agosty i z powrotem. W jednym ręku trzymała strzykawkę, w drugim zlewkę. W powietrzu zawisło niewypowiedziane przez nią pytanie.

Constance wolno pokiwała głową.

Margo przyjrzała się antidotum w silnym świetle sali ostrego dyżuru, rozerwała folię na zlewce, włożyła igłę do roztworu, nabrała pewną ilość substancji do strzykawki, uniosła strzykawkę i strzepnęła, by pozbyć się płynu z zewnętrznej powierzchni igły. Potem, zaczerpnąwszy głęboki oddech, podeszła do łóżka.

– Dość tego – rzekł lekarz. – Proszę się odsunąć od mojego pacjenta, ale już.

– Rozkazuję panu, żeby pozwolił jej pan działać – powiedział D'Agosta. – Mówię to jako oficer policji.

– Nie ma pan tu żadnej władzy. Mam dość mieszania się w nasze procedury, nie mogę pracować. Wzywam ochronę.

D'Agosta oparł obie dłonie na biodrach. Prawą chciał zacisnąć na kolbie służbowej broni, ale jego palce napotkały tylko pustą kaburę.

Odwrócił się, by ujrzeć Constance stojącą tuż obok i celującą z jego trzydziestkiósemki do lekarzy i pielęgniarek. Choć zmyła z siebie większość błota, a podartą halkę zastąpiła szpitalną koszulą, wciąż była cała podrapana i pokiereszowana. Na jej twarzy malował się wyraz niepokojącej, niezłomnej determinacji. W sali nagle zapadła cisza i ustały wszelkie działania.

– Zamierzamy uratować życie pańskiego pacjenta – oznajmiła półgłosem.
– Proszę odsunąć się od przycisku alarmowego.

Jej lodowaty wyraz twarzy i broń D'Agosty sprawiły, że personel szpitala posłusznie wykonał polecenie.

Pospiesznie, dopóki lekarze byli oszołomieni i zdeterminowani, Margo wbiła igłę strzykawki w rurkę kroplówki nieco powyżej komory kroplowej i nacisnęła tłoczek, wprowadzając do środka około trzech centymetrów

sześciennych płynu.

– Zabije go pani! – zawołał jeden z lekarzy.

– On już nie żyje – odparła Margo.

Nastąpiła chwila dziwnego, przepełnionego szokiem stanu zawieszenia. Ciało Pendergasta leżało w bezruchu. Odgłosy popiskujących urządzeń monitorujących rozstawionych wokół łóżka tworzyły coś w rodzaju pogrzebowej fugi. I nagle pośród tego chóru dał się słyszeć jeszcze jeden, cichy, ponaglący dźwięk.

– Znow go tracimy! – powiedział pierwszy z lekarzy, nachylając się w kierunku pacjenta.

Margo nie poruszyła się przez moment. W końcu jednak znow uniosła strzykawkę w stronę kroplówki.

– Pieprzyć to – powiedziała, wprowadzając do rurki kroplówki dawkę dwa razy większą od pierwszej.

Pielęgniarki i lekarze natychmiast rzucili się w stronę nieruchomego pacjenta, nie zważając na broń. Margo została bezceremonialnie odepchnięta na bok, z jej zwiotczącej dłoni ktoś wyjął strzykawkę. Słysząc było wydawane ochryplym głosem komendy i kolejne polecenia. W tle rozległ się jęk sygnału alarmowego. Constance opuściła broń i patrzyła z twarzą białą jak śnieg.

– Częstoskurcz komorowy bez tętna! – Spośród gwaru dał się słyszeć jeden szczególnie donośny głos.

– Tracimy go – zawołał drugi lekarz. – Masaż serca! Już!

Zszokowany D'Agosta patrzył, jak postacie w fartuchach uwijają się wokół łóżka. Na ekranie monitora EKG pojawiła się płaska linia. Porucznik podszedł do Constance, delikatnie wyjął pistolet z jej dłoni i włożył do kabury.

– Przykro mi.

Patrzył na próżne wysiłki lekarzy, próbując przypomnieć sobie ostatnią rozmowę między nim a Pendergastem. Nie szaleńczy wybuch w pokoju z kolekcją broni, ale prawdziwą rozmowę, gdy spotkali się tylko we dwóch. D'Agostie wydawało się bardzo ważne, żeby zapamiętał te ostatnie słowa. Było to przed wejściem do więzienia w Indio, tuż po tym, gdy próbowali bez powodzenia przesłuchać Rudda. Co konkretnie powiedział Pendergast, kiedy stali na asfaltowym parkingu w prażącym słońcu?

Bo widzisz, mój drogi Vincencie, nasz więzień nie jest jedyną osobą, która ostatnio zaczęła czuć zapach kwiatów.

Pendergast niemal od samego początku rozumiał, co się z nim działo. Boże, i pomyśleć, że to były ostatnie słowa, jakie skierował do niego agent...

Nagle odgłosy wokół niego, nawoływania i komendy zmieniły ton i intensywność.

– Mam puls! – rzekł jeden z lekarzy.

Płaska linia EKG zaczęła się załamywać, ni stąd, ni zowąd ponownie ożyła.

– Ciśnienie krwi rośnie – oznajmiła pielęgniarka. – Siedemdziesiąt pięć na czterdzieści.

– Przerwać masaż serca – powiedział drugi lekarz.

Minęła minuta, gdy lekarze kontynuowali czynności, a wskazania funkcji życiowych na monitorach wokół łóżka pacjenta z wolna się poprawiały.

Nagle Pendergast nieznacznie otworzył oko – jego powieka uniosła się odrobinę i pojawiła się wąska błyszcząca szczelina. D’Agosta, wstrząśnięty, zobaczył w tej szczelinie przesuającą się źrenicę, gdy gałka oczna poruszyła się, jakby chory taksował wzrokiem pokój.

Constance ujęła go za rękę.

– Ty żyjesz! – wybuchnął spontanicznie D’Agosta.

Usta Pendergasta poruszyły się i wypłynęły spomiędzy nich ciche słowa:

– Albanie, żegnaj, mój synu...

EPILOG

Dwa miesiące później

Beau Bartlett skręcił z szosy stanowej na białą żwirową drogę i wolno przejechał wzdłuż szpaleru czarnych dębów obwieszonych mchem hiszpańskim, by znaleźć się na okrągłym podjeździe. Jego oczom ukazał się wielki, stateczny budynek plantacji w stylu renesansowym i jak zwykle widok ten zaparł Bartlettowi dech w piersiach. Było gorące popołudnie w St. Charles Parish i Bartlett podniósł wszystkie szyby, by włączyć klimatyzację w aucie na pełną moc. Teraz zgasił silnik, otworzył drzwiczki i wysiadł, tryskając dobrym humorem. Miał na sobie limonkową koszulkę polo, różowe spodnie i buty do golfa.

Na frontowej werandzie podniosły się dwie postacie. Jedną rozpoznał natychmiast jako Pendergasta, ubranego tradycyjnie w czarny garnitur – twarz mężczyzny była jak zwykle bardzo blada. Drugą postacią była młoda kobieta wyjątkowej urody, szczupła, o krótkich mahoniowych włosach, ubrana w plisowaną białą suknię.

Beau Bartlett przystanął i spojrział na wielką rezydencję. Czuł się jak wędkarz, który złowił rybę swojego życia. Z trudem pohamował się, by nie zacząć zacierać rąk. To będzie prawdziwa gratka.

– Proszę, proszę! – wykrzyknął. – Plantacja Penumbra!

– W rzeczy samej – mruknął Pendergast, podchodząc do niego.

Kobieta szła tuż przy nim.

– Zawsze uważałem, że to najpiękniejsza posiadłość w całej Luizjanie – powiedział Bartlett, czekając, aż zostanie przedstawiony pięknej młodej kobiecie.

Tak się jednak nie stało. Pendergast jedynie lekko pochylił głowę na powitanie. Bartlett otarł czoło.

– Zzera mnie ciekawość. Moja firma od lat próbowała nakłonić pana do sprzedaży tej posiadłości. Zresztą nie tylko my. Co sprawiło, że zmienił pan

zdanie? – Na pulchnym obliczu dewelopera pojawił się nagle wyraz niepokoju, mimo że umowa wstępna została podpisana; zupełnie jakby to pytanie mogło podać w wątpliwość przyszłość całej transakcji. – Oczywiście bardzo się cieszymy, że tak się stało, naprawdę bardzo. Po prostu... mnie to zaciekało... to wszystko.

Pendergast wolno rozejrzał się dokoła, jakby starał się zapamiętać ten widok: greckie kolumny, kryty ganek, cyprysowe gaje i rozległe ogrody. Po czym znów zwrócił się do Bartletta:

– Powiedzmy, że posiadłość stała się... niedogodnością.

– Bez wątpienia! Te stare plantacje to istna czarna dziura, jeżeli chodzi o utrzymanie! Cóż, my wszyscy w Southern Realty Ventures dziękujemy, że zechciał pan nam zaufać. – Bartlett obficie się pocił. Wyjął z kieszeni chustkę i otarł nią wilgotną twarz. – Mamy wspaniałe plany co do tej posiadłości, naprawdę wspaniałe! Za mniej więcej dwadzieścia cztery miesiące zmieni się ona w Cypress Wynd Estates. Sześćdziesiąt pięć dużych, eleganckich, luksusowych domów, rezydencji, jak je nazywamy, każda usytuowana na osobnej działce. Proszę tylko pomyśleć!

– Myślę – odparł Pendergast. – I jestem w stanie to sobie wyobrazić.

– Mam nadzieję, że zechce pan rozważyć wybór jednej z rezydencji w ramach Cypress Wynd na własny użytek, byłaby z pewnością mniej uciążliwa i wygodniejsza w utrzymaniu niż ten stary dom. W pakiecie jest również członkostwo w klubie golfowym. Zaproponujemy panu naprawdę wyśmienite warunki! – Beau Bartlett szturchnął Pendergasta w ramię.

– To bardzo szczerze z pańskiej strony – odparł Pendergast.

– Oczywiście, oczywiście – rzekł Bartlett. – Zapewniam, że będziemy dobrymi powiernikami tych gruntów. Starego domu nie wolno nam tknąć, znajduje się na liście szczególnych miejsc oraz zabytków historycznych i w ogóle. Ale da się w nim urządzić wspaniały klub, restaurację, bar i biura. Osiedle Cypress Wynd Estates zostanie pobudowane zgodnie z zasadami ochrony środowiska naturalnego, mamy na to specjalny certyfikat. No i oczywiście, tak jak pan sobie tego życzy, cyprysowe moczary zostaną zachowane jako rezerwat przyrody. Zgodnie z prawem pewien procent tych terenów, to znaczy nie gruntów pod zabudowę, ale ziem wokół nich, i tak musi być objęty ochroną, żeby tutejsze środowisko naturalne nie zostało bezpowrotnie zniszczone. Tereny moczarów idealnie nadają się na rezerwat

przyrody. No i oczywiście pole golfowe uczyni Cypress Wynd znacznie atrakcyjniejszym miejscem.

– Bez wątpienia.

– Zawsze będzie pan moim gościem honorowym. A zatem... W przyszłym tygodniu zaczyna pan przeniesienie rodzinnego cmentarza? – zapytał Bartlett.

– Tak. Zajmę się wszystkimi szczegółami. I wydatkami.

– To szlachetne z pańskiej strony. Szacunek dla zmarłych. Bardzo to wzniosłe. I takie chrześcijańskie.

– No i pozostaje jeszcze kwestia Maurice'a – rzekł Pendergast.

Na wspomnienie o Maurice, starym służącym, który opiekował się Penumbra przez niezliczone lata, pogodny nastrój Bartletta zaczął stopniowo się ulatniać. Maurice był stary jak okoliczne wzgórza, mocno posunięty w latach, a w dodatku posepny i milczący. Jednak Pendergast pozostał w tej sprawie nieustępliwy.

– Tak. Maurice.

– Zatrzyma go pan tutaj w charakterze stewarda do podawania wina tak długo, jak on zechce tu zostać.

– A więc mamy umowę. – Deweloper znów uniósł wzrok i spojrzał na masywną fasadę. – Nasi adwokaci skontaktują się z pańskimi prawnikami w celu ustalenia ostatecznej daty zamknięcia transakcji.

Pendergast pokiwał głową.

– Doskonale. A teraz zostawię pana... i tę damę... abyście mogli ostatni raz oddać szacunek zmarłym, i proszę się nie spieszyć! – Bartlett kurtuazyjnie cofnął się parę kroków od budynku. – A może potrzebujecie, żeby was podwieźć do miasta? Podejrzewam, że przyjechaliście taksówką, nie zauważyłem auta.

– To nie będzie konieczne, dziękuję – odparł Pendergast.

– Ach. Rozumiem. W takim razie życzę udanego popołudnia. – Bartlett kolejno uścisnął dłoń Pendergasta i młodej kobiety. – Jeszcze raz dziękuję.

Ponownie otarł czoło chustką i wrócił do samochodu, uruchomił silnik i odjechał.

Pendergast i Constance Greene wspięli się po starych skrzypiących schodach na kryty ganek. Wyjąwszy z kieszeni pęk kluczy na kółku, Pendergast otworzył główne drzwi rezydencji i wpuścił Constance pierwszą do środka.

Wnętrze domu pachniało pastą do czyszczenia mebli, starym drewnem i kurzem. W milczeniu przeszli przez kolejne pomieszczenia na parterze, salon, bar, pokój jadalny, popatrując to tu, to tam na różne sprzęty. Wszystko było oznakowane sygnaturami handlarzy antykami, agentów nieruchomości i domów aukcyjnych i przygotowane do wywiezienia.

Zatrzymali się w bibliotece. Constance przystanęła przy przeszklonych drzwiczkach regału. Na półkach znajdowały się prawdziwe białe kruki: pierwsze wydanie folio *Dzieł wszystkich Szekspira*, wczesna kopia iluminowanych *Très riches heures Duca de Berry*, pierwsze wydanie *Don Kichota*. Jednak Constance najbardziej zainteresowały cztery olbrzymie woluminy na drugim końcu regału. Z niemal nabożną czcią wyjęła jeden z nich, otworzyła i powoli zaczęła przewracać strony, podziwiając niesamowicie wyraziste, wyglądające jak żywe ilustracje ptaków, jakie się w nim znajdowały.

– Podwójna edycja folio Ptaków Ameryki Audubona – wyszeptała. – Wszystkie cztery tomy, które twój praprapradziadek zdobył na subskrypcję od samego Audubona.

– Ojciec Hezekiaha – rzekł beznamiętnie Pendergast. – A skoro tak, tę jedną księgę mogę zatrzymać wraz z egzemplarzem Biblii Gutenberga, który był w naszej rodzinie od czasów Henriego Prendregasta de Mousquetona. Obie są sprzed czasów plugawości Hezekiaha. Wszystko inne musi zostać sprzedane.

Wrócili do holu głównego i wspięli się po schodach na piętro. Przed nimi otwierał się salon na piętrze i weszli tam, mijając zawieszony nad wejściem skrzyżowane słońce ciosy. Wewnątrz oprócz dywanika ze skóry zebry i kilku wiszących na ścianach zwierzęcych głów znajdowała się szafka na broń, w której wystawiono egzemplarze rzadkich i wyjątkowo drogich strzelb i sztucerów myśliwskich. Tak jak w wypadku ruchomości na dole każda sztuka broni miała fiszkę z sygnaturą przyszłego sprzedawcy. Constance podeszła do szafki.

– Która z nich należała do Helen? – spytała.

Pendergast sięgnął do kieszeni i ponownie wyjął kółko z kluczami. Otworzył gablotę i wyjął dwulufowy sztucer, którego łożo zdobiły misterne grawerunki oraz inkrustacje z metali szlacheckich.

– Krieghoff – oznajmił.

Przyglądał się przez chwilę broni, a w jego oczach pojawił się dziwny wyraz. Agent wziął głęboki oddech.

– To był mój prezent ślubny dla niej.

Podał sztucer Constance.

– Wolałabym nie, jeżeli nie masz nic przeciw temu – odparła.

Pendergast wstawił sztucer na miejsce i zamknął gablotę.

– Już dawno powinienem pozbyć się tej broni i wszystkiego, co się z nią wiąże – powiedział półgłosem, jakby mówił do siebie.

Zajęli miejsca przy głównym stole w salonie.

– A więc naprawdę sprzedajesz to wszystko – stwierdziła Constance.

– Wszystko, co bezpośrednio lub pośrednio wywodzi się z majątku zdobytego ze sprzedaży eliksiru Hezekiaha.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że wierzysz Barbeaux?

Pendergast odpowiedział po krótkiej chwili zawahania:

– Aż do czasu mojej... ee... choroby nie kwestionowałem tego, skąd pochodziła fortuna Hezekiaha. Ale niezależnie od tego, co powiedział Barbeaux, uważam, że powinienem pozbyć się całego mojego majątku w Luizjanie, wszystkiego, co się z tym wiąże, by w ten sposób oczyścić się z plugawości czynów Hezekiaha. Wszystkie te ruchomości, cały ten majątek jest dla mnie jak trucizna. Jak wiesz, zamierzam wykorzystać pozyskane w ten sposób fundusze na założenie nowej fundacji charytatywnej.

– Vita Brevis Inc. Trafna nazwa, jak mniemam?

– Jak najbardziej. Fundacja ma niezwykle, choć słuszny cel.

– Jaki konkretnie?

Na ustach Pendergasta pojawił się delikatny uśmiech.

– Świat wkrótce się o tym dowie.

Wstali i odbyli krótki spacer po piętrze rezydencji. Pendergast wskazywał Constance co ciekawsze rzeczy. Spędzili kilka chwil w pokoju, który należał do niego w dzieciństwie. A potem znów zeszli na parter.

– Jest jeszcze piwnica na wino – powiedziała Constance. – Wspominałeś, że jest wspaniała, połączenie zawartości wszystkich piwnic pochodzących z różnych gałęzi twojej rodziny, kiedy kolejno wygaszały. Odwiedzimy ją?

Przez oblicze Pendergasta przemknął cień.

– Obawiam się, że nie jestem na to gotowy, i mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Rozległo się pukanie do frontowych drzwi. Pendergast otworzył je. W drzwiach stała osobliwa postać: niski pulchny mężczyzna w czarnym fraku rozjaśnionym przez wpięty w klapę biały goździk. W jednym ręku trzymał, sądząc z wyglądu, drogą aktówkę, a w drugiej, mimo że dzień był pogodny, starannie złożony parasol. Na głowie nosił melonik, przechylony zawadiacko na bok. Mężczyzna wyglądał jak połączenie Herkulesa Poirota z Charliem Chaplinem.

– Ach, panie Pendergast! – rzekł rozpromieniony. – Dobrze pan wygląda.

– Dziękuję. Proszę wejść. – Pendergast odwrócił się, by dokonać prezentacji. – Constance, to Horace Ogilby. Jego firma zajmuje się sprawami prawnymi rodziny Pendergastów w Nowym Orleanie. Panie Ogilby, to Constance Greene. Moja podopieczna.

– Czarująca! – rzekł Ogilby. Ujął dłoń Constance i ucałował szarmancko.

– Zakładam, że wszystkie papiery są w porządku? – spytał Pendergast.

– Tak. – Prawnik podszedł do pobliskiego stolika, otworzył aktówkę i wyjął kilka formularzy. – To dokumenty potrzebne do przeniesienia cmentarza rodzinnego.

– Doskonale – rzekł Pendergast.

– Proszę tu podpisać.

Prawnik patrzył, jak Pendergast składa podpis na dokumencie.

– Zdaje pan sobie sprawę, że chociaż cmentarz ma zostać przeniesiony, wszystkie warunki postawione przez pańskiego dziadka w jego testamencie pozostają w mocy?

– Oczywiście.

– To oznacza, że mogę oczekiwać, iż zjawi się pan ponownie przy grobie za... – Prawnik szybko policzył w myślach. – Kolejne trzy lata.

– Nie mogę się tego doczekać.

Pendergast odwrócił się do Constance.

– Mój dziadek zastrzegł w swoim testamencie, że wszyscy jego żyjący spadkobiercy, których liczba przez lata została drastycznie uszczuplona, muszą odbywać pielgrzymkę do miejsca spoczynku jego ciała dokładnie co pięć lat. Kto tego nie zrobi, zostanie zgodnie z prawem wydziedziczony.

– Był doprawdy niezwykłym dżentelmenem – rzekł Ogilby, przewracając papiery. – Ach tak. Na dziś mamy jeszcze tylko jedną ważną sprawę. Dotyczy prywatnego parkingu przy Dauphine Street, który pan sprzedaje.

Pendergast uniósł brwi w pytającym geście.

– A konkretnie chodzi o ograniczenia, które załączył pan w aneksie do umowy.

– Tak?

– Cóż... – Prawnik przez chwilę chrząkał i pomrukiwał. – Warunki, jakie pan postawił, są, powiedzmy sobie szczerze, dość niekonwencjonalne. Na przykład klauzula zakazująca jakichkolwiek prac na terenie parkingu, a w szczególności jego rozkopywania. To uniemożliwi prowadzenie tam wszelkich robót i znacznie obniży cenę, jaką otrzyma pan za tę własność. Jest pan pewien, że właśnie tego pan chce?

– Absolutnie.

– No to dobrze. A przy okazji – prawnik klasnął w pulchne dłonie – mamy nadzwyczajną cenę na rollsa. Nieomal obawiam się ją panu wyjawić.

– Niech pan nie mówi. – Pendergast przejrzał podane mu dokumenty. – Wygląda na to, że wszystko w porządku, dziękuję.

– Skoro tak, pójdę już. Zdziwiłby się pan, wiedząc, ile papierkowej roboty wiąże się ze sprzedażą majątku na tak wielką skalę.

– Odprowadzimy pana – rzekł Pendergast.

Zeszli po frontowych schodach i zatrzymali się obok samochodu prawnika. Ogilby położył aktówkę i parasol na tylnym siedzeniu, po czym rozejrzał się pospiesznie wokoło.

– I jak się nazywa osiedle, które tu powstanie?

– Cypress Wynd Estates. Sześćdziesiąt pięć rezydencji i pole golfowe.

– Upiorne. Ciekaw jestem, co na to wasz stary rodzinny duch.

– W rzeczy samej – przyznał Pendergast.

Ogilby zachichotał. Gdy otworzył drzwiczki od strony kierowcy, znów się rozejrzał.

– Przepraszam. Może podwieźć państwa do miasta?

– Dziękuję, to nie będzie konieczne. Już o to zadbałem.

Pendergast i Constance patrzyli, jak prawnik wsiada do auta, macha na pożegnanie i odjeżdża w stronę drogi dojazdowej. Po chwili Pendergast poprowadził Constance wokół domu. Na tyłach znajdowała się stara stajnia, pomalowana na biało, przerobiona na garaż na kilka pojazdów. Z jednej strony na lawecie stał klasyczny rolls-royce silver wraith, wypolerowany tak, że błyszczał jak drogi klejnot; czekał na przewóz i dostarczenie do nowego

właściciela. Constance przeniosła wzrok z Pendergasta na limuzynę i z powrotem.

– Wiesz, że tak naprawdę nie potrzebuję dwóch samochodów – odparł.

– Nie o to chodzi – zaoponowała Constance. – Powiedziałeś panu Bartlettowi i panu Ogilby’emu, że zająłeś się wszystkim i zadbałeś o to, byśmy mieli jak wrócić do Nowego Orleanu. Chyba nie czeka nas przejażdżka w ciężarówce do holowania aut?

W odpowiedzi Pendergast podszedł do garażu, otworzył kłódkę i uchylił jedno skrzydło drzwi, po czym zbliżył się do pojazdu przykrytego brezentem – jedyne, jaki tu pozostał. Schwycił brzeg płachty i ściągnął ją silnym szarpnięciem.

Pod plandeką stał czerwony roadster o niskim zawieszeniu i z opuszczonym dachem. Połyskiwał łagodnie w półmroku panującym w starej stajni.

– Helen kupiła to auto, zanim się pobraliśmy – wyjaśnił Pendergast. – To porsche pięćset pięćdziesiąt spyder rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt cztery.

Otworzył Constance drzwiczki od strony pasażera, a potem sam wślizgnął się za kierownicę. Włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił. Wóz ożył z głośnym rykiem.

Wyjechali z garażu, a Pendergast wysiadł na chwilę, by ponownie zamknąć drzwi starej stajni na kłódkę.

– To ciekawe – rzekła Constance.

– Co takiego? – spytał Pendergast, gdy ponownie zasiadł za kierownicą.

– Postanowiłeś pozbyć się wszystkiego, co zostało zakupione z pieniędzy Hezekiaha.

– Na tyle, na ile to możliwe, tak.

– Ale najwyraźniej i tak wciąż sporo ci zostanie.

– To prawda. Wiele z tego pochodzi od mojego dziadka, tego, którego grób muszę odwiedzać co pięć lat. Pozwoli mi to zachować apartament w Dakocie i utrzymać styl życia na poziomie, do którego przywykłem.

– A co z rezydencją przy Riverside Drive?

– Odziedziczyłem ją po moim stryjecznym pradziadku Antoinie. Znałaś go jako doktora Enocha Lenga. Wraz z jego niemałym majątkiem, ma się rozumieć.

– Naturalnie. A jednak to doprawdy ciekawe.

– Do czego zmierzasz, Constance?

Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Odrzucasz majątek jednego seryjnego zabójcy, Hezekiaha, podczas gdy swobodnie pozwalasz sobie na korzystanie z majątku innego, Enocha Lenga. Mam rację?

Pendergast zamyślił się przez chwilę.

– Wolę hipokryzję niż ubóstwo.

– Jeśli się nad tym zastanowić, wydaje się to racjonalne. Leng nie zyskał majątku dzięki zabijaniu. Dorobił się na spekulacjach ropą, metalami szlachetnymi i akcjami kolei żelaznej.

Pendergast uniósł brwi.

– Nie wiedziałem.

– Wciąż jest wiele rzeczy, których o nim nie wiesz.

W milczeniu wsłuchiwali się w pomruki silnika. Pendergast zawahał się, po czym odwrócił się do Constance i z pewną niezręcznością powiedział:

– Nie jestem pewien, czy należycie podziękowałem tobie i doktor Green za uratowanie życia. Tak bardzo ryzykowałyście...

Przerwała mu, przykładając do ust palec wskazujący.

– Proszę. Wiesz, co do ciebie czuję. Nie wprawiaj mnie w zakłopotanie, zmuszając, abym to powtórzyła.

Przez chwilę wydawało się, że Pendergast chce coś powiedzieć. Ale ostatecznie dodał tylko:

– Uszanuję twoją prośbę.

Łagodnie wyprowadził pomrukujący samochód na wysypany białym żwirem podjazd. Wielka rezydencja pozostała z tyłu za nimi.

– To piękna maszyna, choć niezbyt wygodna – stwierdziła Constance, przepatrując kokpit. – Wrócimy nią do Nowego Orleanu czy wybierzemy się w dłuższą podróż z powrotem do Nowego Jorku?

– Może pozwolimy, aby wóz o tym zdecydował?

Pokonawszy otoczoną szpalerem masywnych dębów drogę dojazdową i wyprowadziwszy samochód na szosę stanową, Pendergast przyspieszył, a ryk potężnego silnika przetoczył się gromkim echem ponad zalewiskami i sennymi namorzynowymi mokradłami St. Charles Parish.

PODZIĘKOWANIA

Chcielibyśmy podziękować za nieustające wsparcie i pomoc: Mitchowi Hoffmanowi, Lindsey Rose, Jamie Raab, Kallie Shimek, Ericowi Simonoffowi, Claudii Ruelke i Nadine Waddell. A także doktorowi medycyny Edmundowi Kwanowi za cenne uwagi.

¹ Centralny Rejestr Bazy Danych DNA (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² Automatyczny System Identyfikacji Odcisków Palców.

³ Krajowe Centrum Informacji Kryminalnych.

⁴ To zdanie i poprzednie, wypowiedziane przez Pendergasta, jest cytatem z *Burzy* Szekspira w tłumaczeniu S. Barańczaka, wyd. Znak, 2008.